

A D R I A N
GRZEGORZEWSKI

*Znakomita powieść,
której głównymi
bohaterkami są historia,
wojna i miłość.*

Polecam

**Anna
Ficner-Ogonowska**

**CZAS
TĘSKNOTY**

DLA WIELBICIELI SERIALU CZAS HONORU

Adrian Grzegorzewski

Czas tęsknoty

między
słowami

*Moim Rodzicom urodzonym na Kresach
oraz moim Dzieciom, Martynce i Wiktorowi*

Część pierwsza



Bedryczany



Bedryczany, sierpień 1939

Skrzypiąca piasta wysłużonego służbowego roweru za każdym naciśnięciem pedałów przypominała, że czas pamiętającego chyba starożytność pojazdu nieubłaganie zbliża się do końca. Listonosz Ciechoń zupełnie nie zwracał na nią uwagi. W tej chwili skupił się na pokonaniu ostatniego wzniesienia przed wioską. Cieniutkie strużki potu wydostające się spod czapki spływały głębokimi bruzdami na czole w stronę nosa, po czym skapywały w dół. Ciechoń przecierał co chwilę twarz mankietem mundurowej bluzy, sapiąc przy tym głośno. Wgramolił się na szczyt wzgórza i zatrzymał się. Przed nim w dole na kilku mniejszych wzniesieniach leżała skąpana w południowym słońcu ostatnia wieś dzisiejszej trasy, Bedryczany. Zmrużył oczy i spojrzał na malutkie domki powciskane pomiędzy kolorowe od owoców sady. Wielka łąka przecięta strumieniem, wrzynająca się w środek wsi, oddalona była od niego o niespełna pięć minut jazdy ubitą drogą. Zerknął do torby przewieszanej przez ramię. Pęczek listów związanych cienkim sznurkiem leżał w ostatniej przegródce. Jeszcze tylko ich się pozbędzie i praca na dziś skończona. Listonosz patrzył chwilę na

wioskowe chaty i zabudowania, po czym splunął na ziemię i westchnął: – Cholerna dziura.

Po chwili pędził w dół w kierunku wsi, marząc tylko o tym, żeby zanurzyć sumiaste wąsy w kubku zimnego mleka.

Maria Kosiecka pochyliła się nad rabatką. Sierpniowe słońce paliło dzisiaj szczególnie mocno. Jednak to jej nie przeszkadzało. Małą motyką usuwała wszystko, co nie było jej ulubionymi różami. Była szczególnie dumna z niewielkiego ogródka przyklejonego do domu od strony drogi, nie tylko ze względu na czerwone kwiaty, których zazdrościły sąsiadki. W samym jego środku stała wysoka murowana kapliczka. Biały krzyż z przyklepionymi do niego płaskorzeźbami przedstawiającymi Marię i świętego Jana postawił tu kilka lat temu jej mąż. Od kiedy zmarł, pani Maria dbała zawsze o to, żeby w niewielkim wazoniku stojącym na małej półeczce tuż pod rzeźbami nie zabrakło świeżych kwiatów.

Wyprostowała się teraz na dźwięk rowerowego dzwonka. Przyłożyła otwartą dłoń do czoła, żeby osłonić oczy przed słońcem, i spojrzała na drogę. Uśmiechnęła się, widząc na niej granatową postać listonosza, pedałuującego zawzięcie w kierunku jej furtki. Po chwili zdezelowany rower, wzbijając tumany kurzu, zatrzymał się przy ogrodzeniu.

– Ale z pana rajdowiec, panie Ciechoń – rzuciła do niego wesoło. – Jak jakiś mistrz kolarski. Tylko że róże mi pan zakurzył. I co teraz będzie? – zapytała żartobliwie.

– Nooo, brudne będą i tela – odsapał w odpowiedzi listonosz. – Lepiej by pani jaką szklankę mleka przyniesła, bo w gardle mi zaschło od kręcenia w tym skwarze.

– A za co to mleko? – pani Maria nie dawała za wygraną. – Za moje biedne kwiatki?

– A nie – odparł Ciechoń triumfalnie. – Za liścik, droga pani. – Poszperał przez chwilę w swojej torbie i po chwili podniósł do góry białą kopertę. – Polecony, z Warszawy.

– To do mnie? – zapytała zdziwiona.

– Nie tą razą, pani Mario – listonosz ściszył głos. – To do pani tego, no... – zająknął się, nie wiedząc, jak określić pokrewieństwo adresata.

– Do Piotrusia – przerwała jego męki pani Maria.

– No właśnie, dla Piotrusia – wysapał z wdzięcznością w głosie. – Jeszcze tylko mi pani pokwituje odbiór i już.

– A co jak nie pokwituję? – zapytała pani Maria wesołym tonem.

– To zrobię z niego papirową łódkę i spuszczę strumieniem – odparł rezolutnie Ciechoń. – A tera za te przekomarzanki to młuczko się należy, pani Kosiecka – dorzucił.

– Mnie czy panu się należy?

– Zlituj się pani, bo uschnę tutaj – odpowiedział listonosz błagalnym tonem.

– No dobrze już, dobrze – Pani Maria ze śmiechem ruszyła w kierunku domu, wycierając dłonie w fartuch założony na spódnice. – Niech pan nie usycha, tylko poczeka minutkę, zaraz wracam.

– Minutka to o sześćdziesiąt sekund za długo – listonosz krzyknął za wchodzącą do domu kobietą. Rozejrzał się niespokojnie. Nie czuł się bezpiecznie. Napięta sytuacja pomiędzy Ukraińcami a Polakami ostatnio szczególnie dawała powody do niepokoju. OUN-owcy poczynali sobie coraz śmieiej. Nie mając szans w otwartej konfrontacji z regularnym wojskiem, skupili się na zamachach i zabójstwach innych przedstawicieli władzy polskiej na tym terenie. Jakoś szczególnie upodobali sobie pocztowców i listonoszy. Tylko w tym roku zamordowali trzech „donosicieli” i zaatakowali dwa urzędy pocztowe. Chodziło głównie o możliwość

zrabowania pieniędzy, ale fakt, że ofiarami byli sami Polacy, nie pozostawał bez znaczenia.

Marzenia o Wielkiej Ukrainie od kazachskich stepów po Małopolskę napędzały ich wyobraźnię do tego stopnia, że nie cofali się przed najgorszymi zbrodniami. Wojsko Polskie odpowiadało zdecydowanie, przesiedlając Ukraińców ze szczególnie zapalnych punktów i miejscowości. Nie wróżyło to nic dobrego.

Ciechoń coraz bardziej bał się o swoją skórę. Wprawdzie w okolicy wszyscy go znali i lubili, ale nie mógł nie zauważyć, że gdy dostarczał listy w ukraińskiej części wsi, nikt już nie zapraszał go na herbatę, szklankę mleka czy zwyczajną pogawędkę. Ograniczano się jedynie do chłodnej wymiany uprzejmości. Zwykle wtedy, kończąc pracę, pedałowal co sił w nogach i dopiero tuż za cerkwią mógł odetchnąć z ulgą. Tu mieszkali już sami Polacy.

Właśnie tego nie mógł nigdy zrozumieć. Bedryczany, spora wieś w powiecie drohobyckim, przedzielone były wielką łąką na pół. Od strony Drohobycza rozciągała się część ukraińska wsi, a po drugiej stronie leżała część polska. Jednak kościół katolicki znajdował się na górze, tuż przy ukraińskiej części, natomiast cerkiew przylepiona była do skraju łąki od polskiej strony, tuż przy ogrodzie pani Marii. W niedzielę na łące spotykali się wszyscy sąsiedzi, mijając się w drodze do swoich świątyń. Może właśnie to powodowało, że było tu raczej spokojnie. No, oczywiście poza wydarzeniami sprzed trzech lat, ale o tym chyba wszyscy chcieli jak najszybciej zapomnieć.

Z domu wyszła pani Maria, niosąc na tacy szklankę napełnioną mlekiem prosto od krowy. Listonosz uśmiechnął się.

- Podziękować szanownej pani, podziękować.
- Na zdrowie, panie Ciechoń. – Serdeczny głos gospodyni stanowił

idealne dopełnienie poczęstunku. – Teraz niech pan da mi ten list, a ja pokwituję, gdzie trzeba.

Ciechoń odstawił na tacę pustą szklanę, ocierając kropelki mleka z wąsów, i podał kobiecie kopertę.

– A, i jeszcze niech pani powie temu... Piotrusiowi – uśmiechnął się pod wąsem – żeby uważał na siebie. Ludzie dużo mówią o tem jego zatargu z Jegorem. – Cmoknął i pokręcił z niezadowoleniem głową. – Niepotrzebne mu tutaj żadne kłopoty, a i szkoda by go było, jakby co...

– Jakby co, panie Ciechoń? – głos pani Marii natychmiast spowaźniał.

– Ta gadajom, że to przez jakąś bijatykę z Ukraińcem, ale wie pani, ludzie różnie gadajom. – Listonosz otarł pot z czoła. – Ja bym się tym gadaniem nie zajmował. Ale niech lepiej uważa. Jak już paplają językami, to nic to dobrego nie wróży.

Pani Maria zastygła w bezruchu, mieląc w myślach usłyszane słowa. Lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby nie okazało się to prawdą. Jakiś nierozważny krok mógłby zaostriżyć już i tak napięte stosunki z sąsiadami z drugiej strony łąki. Piotr za kilka dni wyjedzie, ale ona razem z córką tu zostaną, a Ukraińcy nie zapominają tak szybko. O nieszczęście naprawdę łatwo.

– Wie pani, teraz Niemce stroczo się jak koguty, wojna za pasem. A przecież to żadna tajemnica, że tajnie wspierajo tutejsze bandy. W razie jakby co, to tylko patrzeć ich gotowych nas tu ukatrupić – mówił dalej Ciechoń.

– W razie jakby co, to mamy wojsko i policję. – Pani Maria otrząsnęła się ze złych myśli. – A oni już wiedzą, jak sobie poradzić z kłopotami. Hitler niech uważa, bo może się jeszcze zdziwić.

Ciechoń podrapał się w głowę z zakłopotaniem.

– Oby miała pani rację, pani Kosiecka. – Zarzucił torbę na ramię

i wcisnął na głowę służbową czapkę. – Na mnie już czas. Jeszcze tylko kilka listów i wracam do Drohobycza. Barszcz żonka zgotowała na obiad.

– Dobry?

– Najlepszy! – rzucił już przez ramię. – Ukraiński!

2



Miesiąc wcześniej

Te wakacje miały być sentymentalną podróżą w przeszłość. Piotr Ochocki od dawna miał w planach wyjazd na południe kraju. Strony, z których pochodziła jego matka, odwiedził tylko raz, gdy miał siedem lat. Z wyjazdu pamiętał jedynie ukwieconą łąkę, nogi moczone w strumieniu i smak kradzionych u sąsiada czereśni.

Gdy matka zmarła niedługo potem, ojciec nie chciał się zgodzić na wyjazd do Bedryczan. Na początku Piotr tego nie rozumiał. Jednak widząc, z jakim uczuciem pielęgnował wspomnienia o żonie, pojął, że dla ojca taki wyjazd to wysiłek uczuciowo niemożliwy. Pękłoby mu chyba serce z żalu.

Piotr za całą rodzinę w Bedryczanach miał przyjaciółkę matki, panią Marię. Gdy jedynaczka, panna Judyta Kowalewska, została panią Judytą Ochocką i wyjechała z mężem do Warszawy, kontakt między przyjaciółkami nieco się rozluźnił, ale dalej pisały do siebie dość regularnie. Po śmierci dziadków Piotra Ochoccy sprzedali odziedziczone dom i gospodarkę i na dobre rozstali się z Kresami. Jednak to sam ojciec wiosną zaproponował Piotrowi, gdy ten kolejny raz próbował namówić go na wakacje na wsi, że

napisze do pani Kosieckiej z prośbą o gościnę dla syna. Odpowiedni list wyruszył w kierunku Bedryczan, a odpowiedź, zawierająca magiczne słowa „zapraszam serdecznie Was obu”, przywędrowała tydzień później.

Starszy Ochocki nie zdecydował się jednak na podróż. Za to syn nie mógł się doczekać wyjazdu. Jeszcze tylko zaliczenie pierwszego roku na Uniwersytecie Warszawskim na kierunku architektura i żak Piotr dziarsko przemierzał na piechotę siedem kilometrów, dzielących stację kolejową w Drohobyczu od domu pani Marii.

Wszystko tutaj było inne niż to, co znał z wycieczek poza miasto. Niby takie same drzewa, niby podobne do mazowieckich pola złączone się łąkami zbóż i niby droga jak każda inna wiodła pomiędzy nimi, a jednak Piotr miał wrażenie, że tutaj jest się jakby „bardziej”, „głębiej”.

Wciągnął haust powietrza. Przesycone zapachem ziół, rozedrgane od gorąca, upajało zmysły. Intensywniej niż w domu. Jakby malarz zamiast „mazowieckich” akwareli użył do stworzenia tego krajobrazu mocniejszych, olejnych farb. A może tylko się tak Piotrowi wydawało? Może to emocje towarzyszące przygotowaniom do wyprawy i sama podróż spowodowały, że chłonał otaczający go świat z pasją małego dziecka, które widzi rzeczy po raz pierwszy? Może to tak jak z tym chlebem, który zawsze bardziej będzie smakował głodnemu niż sytemu, choć kupiony w tej samej piekarni? Dziś Polska, ta magiczna piekarnia, odsłaniała przed nim swą kolejną tajemnicę, wypiek pod nazwą „Kresy”.

Z niewysokiego wzgórza, na którym droga skręcała lekko w prawo, roztaczał się widok na Bedryczany. Piotr przystanął na chwilę. Ściągnął plecak i popatrzył przed siebie. Chłonał każdy szczegół tego miejsca: od zieleni drzew po błękit nieba. Przypatrywał się chwilę małym postaciom pracującym w polu na obrzeżach wsi, chatom, z tej odległości niewielkim, wieży kościelnej i leżącej bliżej niego kopule cerkwi, po czym szepnął:

„Mamo, wróciłem”.

– *G*dzie on jest?! Mamo! Gdzie?! – Marta wpadła do domu niczym huragan.

– Uspokój się, dziewczyno – rzekła pani Maria udawanym srogim tonem, ale po chwili na widok szarpiącej ją za rękaw bluzki podekscytowanej córki, powtarzającej niczym katarynka: „Gdzie? Gdzie?”, wybuchnęła śmiechem.

– Zaraz przyjdzie na kolację, na razie rozpakowuje się w gościnnym pokoju – odpowiedziała i spojrzała na Martę podejrzliwie. – A gdzie się włóczyłaś do tej pory, pannico? Ciemno już, a ty ganiasz gdzieś po wsi.

– Oj, mamo. – Dziewczyna zrobiła minę w stylu „nie truj, proszę”. – Wakacje mam przecież. Nie będę siedziała w domu. Poza tym, jakie tam ciemno? Jeszcze kury łążą po podwórku – odpowiedziała. Wbiła zęby w porwane ze stołu jabłko, obróciła się na pięcie, wybiegła z kuchni i rzuciła z pełnymi ustami: – Przyhde na kohaczie.

– Co? – Matka nie zrozumiała bełkotu, ale machnęła ręką. – Skaranie boskie z tą dziewuchą.

Uśmiechnęła się pod nosem i wróciła do przygotowywania kolacji. Kiedy nakrywała do stołu, w jadalni pojawił się Piotr. Odświeżony, w czystej koszuli wyglądał jeszcze przystojniej niż w chwili, gdy zobaczyła go wchodzącego na ganek jej domu. Wysoki ciemny blondyn o szczupłej sylwetce w niczym nie przypominał siedmiolatka, którego poznała kilkanaście lat temu. Uśmiechnęła się.

– Jest pan taki podobny do matki. Ma pan jej oczy i brwi.

– Pani Mario – chrząknął Piotr z zakłopotaniem. – Jaki tam ze mnie pan. Na pana to trzeba wygląd mieć. I pieniądze. A u mnie ani tego, ani tamtego.

– Pieniądze są, a potem ich nie ma, i tak w kółko. A na wygląd niech pan

nie narzeka. – Gospodyni podała chłopakowi talerz z kiełbasą. – Bo brzucha nie ciągnie pan po ziemi ani garba też nie ma. Nie jest tak źle – żartowała dalej.

– Piotr, a nie pan, proszę – odpowiedział z udawaną powagą. – Poza tym jesteśmy prawie rodziną. W końcu moja mama była pani przyjaciółką.

– To prawda – pani Maria westchnęła smutno. – Brakuje mi jej bardzo. Zresztą zawsze mi jej brakowało. Gdy wyjeżdżała do Warszawy, powiedziałam pańskiemu... twojemu ojcu – poprawiła się z uśmiechem – że jest złodziejem, bo skradł mi najważniejszą osobę po rodzicach. Ech, płakałam za Judytką długo. Teraz też czasem płaczę...

– Mama starała się nie wspominać za często o Bedryczanach. – Piotr ugryzł pachnącą czosnkiem kiełbasę. – Myślę, że po prostu bała się, że się rozklei. No i nie chciała z pewnością zrobić przykrości ojcu. Kochała go bardzo. Dla niego była drugą osobą po Bogu. Gdy dowiedział się o gruźlicy, jeździł od doktora do doktora z nadzieją na to, że ją uratuje. – Piotr spoważniał. – Niestety, nie udało się. Po pogrzebie nakazał mi, żeby przez trzy dni mu nie przeszkadzać. Oddał mnie pod opiekę swojej siostrze, a sam zamknął się w pokoju i pił. Przez całe trzy dni. Potem, gdy wyszedł, zobaczyłem innego człowieka. Był siwy. Mój ojciec, żołnierz Legionów, walczący w roku dwudziestym z bolszewikami pod Radzyminem, osiwiiał. Przestał się uśmiechać i przygarbił się mocno...

– A co się tu dzieje?! Pogrzeb jakiś czy co?! – Marta wpadła nagle do kuchni.

– Marta! – krzyknęła pani Maria, ale córka nie zwróciła uwagi na ton matki.

Podbiegła do Piotra i stanęła przed chłopakiem, nim ten zdążył podnieść się z krzesła.

– Marta Kosiicka! – wypaliła, wyciągając dłoń do przywitania

i przekrzywiając blond główkę z uśmiechem. – A pan pewnie Piotr Ochocki z Warszawy dalekiej? – Jej rozbijająco bezpośredni ton nieco onieśmielił chłopaka, ale zaraz odzyskał rezon.

– Piotr Ochocki, do usług szanownej pani. I nie żaden pan...

– Wiem, wiem – przerwała mu dziewczyna. – Na pana to wygląd i pieniądze trzeba mieć, a tu...

– Marta! – Pani Maria trzasnęła dłonią w stół. – Uspokoisz się wreszcie?! Gość po podróży, a tobie się żartów zachciewa. Zaraz, zaraz. – Zmarszczyła brew. – Skąd ty znasz to powiedzenie? Podśluchiwałaś pod drzwiami, diablico?

– Eeee, tam zaraz „podśluchiwałaś” – zaśmiała się dziewczyna. – Tak tylko mi wpadło w ucho.

Przechodząc za plecami Piotra, wyszczerzyła bielutkie zęby w uśmiechu i pokiwała głową na „tak” w stronę matki, dając jej do zrozumienia, że Piotr jej się bardzo podoba.

– Smacznego! – rzuciła, zajmując miejsce przy stole.

– Wybacz jej, Piotrusiu – rzekła pani Maria z dezaprobatą. – Szaleju się chyba najadła.

– Nie szaleju – odpowiedziała Marta, gryząc pajdę posmarowanego masłem chleba – tylko malin. Z ogrodu Honczarów po ukraińskiej stronie.

– Kradłaś maliny? Z kim?!

– Żadne „kradłaś”. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Kateryna sama mnie zaprosiła. Spacerowałyśmy trochę po lesie, a później poszłyśmy ukraińską stroną. Zaprosiła, to skorzystałam. Dobre były.

– Nie podoba mi się, że prowadzasz się z Ukrainką. Wiesz, co ludzie gadają. – Matka była wyraźnie niezadowolona.

– Ludzie gadają, że w Rohatyniu krowa się ocielila dwugłowym cielakiem – odparła Marta. – A prawdy w tym tyle, co kot napłakał. – Po

czym zwróciła się do Piotra:

– No bo kto widział dwugłowe ciele? A ty co tam studiujesz w tej Warszawie? – zmieniła nagle temat.


Piotr wyraźnie rozbawiony dialogiem pomiędzy matką i córką odpowiedział z uśmiechem:

- Architekturę.
- Mhm – Marta chrząknęła z aprobatą. – A co potem? Po studiach?
- Będę projektował kurniki. I krowniki – odparł Piotr.
- Chyba obory, panie architekcie?
- Obory też.

Pani Maria pokiwała głową z rezygnacją. – No to się dobrali.

3



 budziła go natrętna mucha bzycząca od chwili, kiedy na horyzoncie pojawiło się poranne słońce. Przez jakiś czas próbował walczyć ze złośliwym owadem i odganiał go znad nosa, który ten upatrzył sobie szczególnie. Po chwili dał jednak za wygraną i zwlókł się z łóżka. Wciągnął na siebie spodnie i trzymając koszulę w dłoni, wyszedł na korytarz. Miał nadzieję, że domownicy jeszcze śpią i zdąży się umyć, zanim wstaną. Niestety, gdy podchodził do kuchennych drzwi, te otworzyły się i stanęła w nich Marta. Podskoczyła z krzykiem zaskoczona obecnością Piotra, upuszczając miskę z wodą na ziemię.

– Jezu, jak mnie przestraszyłeś – powiedziała, dysząc i trzymając się za

serce. – No ładnie, drugi dzień i chcesz mnie zamordować. Prawie umarłabym ze strachu.

– Przepraszam bardzo – odpowiedział zmieszany Piotr, którego również zaskoczyła ta sytuacja. Nie zauważył nawet, gdy woda z miednicy zalała jego spodnie i buty. Marcie jednak to nie umknęło. Zlustrowała chłopaka od kostek po ramiona. Zawiesiła dłużej wzrok na nagim torsie Piotra, unosząc przy tym kąciki ust i brwi w ledwie skrywanym uśmiechu.

– No proszę, utaplało się dziecko, ściągaj spodnie i daj mi, przesuszę je trochę nad kuchnią.

– Samo się nie utaplało – w głosie Piotra można było wyczuć zażenowanie. – Ktoś jeszcze mi w tym pomógł. Pewnie zrobił to specjalnie. – Piotr ukradkiem przypatrywał się dziewczynie. Spięła dziś proste blond włosy w kucyk i była jeszcze ładniejsza, niż wydawało mu się wczoraj przy kolacji. Ubrana w odświętną, niedzielną sukienkę do kolan wyglądała dokładnie tak, jak potrzeba, żeby na jej widok wszystkie męskie rozmowy milkły, zamieniając się w cielecy zachwyty. Wzrok Piotra nie uszedł jej uwagi. Stali tak chwilę, patrząc jedno na drugie. Wreszcie Marta lekko zmieszana wzrokiem bądź co bądź półnagiego chłopaka, odwróciła głowę. Zarumieniona weszła do kuchni, gdzie niewidoczna od strony korytarza oparła się o ścianę, uśmiechając się szeroko z zadowolenia.

– No pewnie, że specjalnie to zrobiłam. Odkryłeś mój misterny plan. A teraz pospiesz się, jeśli chcesz zdążyć do kościoła na mszę – powiedziała do niego przez drzwi. – Ksiądz nie będzie czekał cały dzień na ciebie.

– Pani Maria mówiła, że msza jest o dwunastej, a jest dopiero ósma!

– Ale się czepiasz!

zli do kościoła na skróty. Droga wiodła dookoła łąki przedzielającej wieś. Oni jednak, podobnie jak większość sąsiadów, woleli przemierzać połacie

Szielonej trawy. Piotr niósł buty w rękę, tak poradziła mu pani Maria. Wszyscy zresztą szli boso. W połowie łąki zatrzymywali się przy strumieniu, żeby obmyć nogi. Po wytarciu stóp zakładali buty i bocianimi krokami docierali do przeciwległego końca łąki. Gdy siedzieli jeszcze na brzegu strumienia, Piotr zauważył postaci nadchodzące z drugiej strony. To prawosławni Ukraińcy szli do cerkwi leżącej po polskiej stronie wsi. Mijali się z Polakami, w milczeniu wymieniając ukłony. Czasem ktoś przystanął na chwilę, żeby zamienić kilka słów. Piotr przypatrywał im się z zainteresowaniem. Nie różnili się niczym od swych polskich sąsiadów, ale to akurat go nie zdziwiło. Wszyscy żyli tutaj między sobą od pokoleń. Kultury przenikały się, mimo że zarówno Polacy, jak i ich ukraińscy sąsiedzi starali się pilnować swoich spraw i nie asymilować się za bardzo. Zdarzały się mieszane małżeństwa. Prawie zawsze jednak to polskie dziewczyny wychodziły za mąż za Ukraińców. Często decydowały się wtedy „złamać krzyż”, czyli zmienić wyznanie na prawosławne. Siłą rzeczy przyjmowały tradycję i kulturę swoich mężów i teraz przemierzały łąkę w przeciwnym do Piotra kierunku.

Gdy wiązał buty, zobaczył nad sobą jakiś cień. Podniósł głowę. Przed nim stał młody, może dwudziestoparoletni mężczyzna. W błyszczących czarnych oficerkach, z rękami w kieszeniach i w jasnej koszuli przyglądał się Piotrowi z zaciekawieniem. Odgarnął ciemne włosy znad czoła do tyłu, zadarł lekko głowę w pogardliwym geście i nie odwracając wzroku od chłopaka, zwrócił się do Marty w niezrozumiałym dla Piotra języku:

– Szczo, Marta, nareczenoho ty znajszła?

Marta popatrzyła na niego i popukała się w czoło.

– Idź, Jegor, nie zawracaj gitary. Pilnuj lepiej swego nosa – odpowiedziała hardo.

– No ty ne serd’sia diwczyno, bo nekrasywoju budetez. – Ukrainiec

wyszczерzył białe zęby.

Piotr wytrzymał jego ostre jak brzytwa spojrzenie. „Na Czerniakowie godziny byś nie przeżył, żłobie jeden – pomyślał. – W try miga by ci chłopaki majchrem po żebrach przejechali za takie spojrzenie”.

Jegor jeszcze chwilę gapił się na niego, po czym przeskoczył strumień i pogwizdując, poszedł dalej.

– Nie przejmuj się – powiedziała Marta. – Baran z niego i tyle.

– Kto to w ogóle był?

– Jegor. Wiecznie łązi z zadartym nosem. Nie lubi nas, Polaków, ale to tutaj normalne. Mówią, że skumał się z OUN-owcami od Bandery. W każdym razie uważać na niego trzeba.

– Ura bura, szef podwóra – powiedział do siebie Piotr.

– Kto? – roześmiała się Marta. – Ura co?

– Nic, nic, taka warszawska gadka – odpowiedział, uśmiechając się, ale całe zajście spowodowało, że gdzieś w środku czuł niezrozumiały niepokój. Tak jakby ktoś wrzucił kamień do wody i zburzył idealną taflę czystego dotąd jeziora.

– Chodźmy już – pani Maria, która nie odzywała się przez cały czas, wstała teraz i otrzepała spódnicę. Widać było, że ją też zaniepokoiło to zdarzenie. – Nie powinnaś się do niego tak odzywać, z nim nigdy nie wiadomo – zwróciła się do córki.

– Nie będę siedziała cicho, jak mi się śmieją z Piotrusia. – Dziewczyna znów była sobą, rezolutną, piękną szesnastolatką. Wzięła Piotra pod rękę, przytulając głowę do jego ramienia. – Nie pozwolę go skrzywdzić.

Piotr poczuł dotyk dziewczyny i zrobiło mu się bardzo przyjemnie z tego powodu.



Po obiedzie pani Maria zajęła się przygotowaniem podwieczorku, a Piotr postanowił zrobić krótki rekonesans po najbliższej okolicy. Kosieccy, przedkładając wiejską sielankę nad miejski zgiełk, mieszkali w małym dworku zakupionym przez męża pani Marii, gdy los się do nich uśmiechnął, zwielokrotniając małą fortunę zainwestowaną w „czarne złoto”. Odkąd w pobliskim Borysławiu odkryto płytkie złoża ropy naftowej, w ich okolicy niczym grzyby po deszczu zaczęły wyrastać szyby wydobywcze. Michał Kosiecki wyczuł koniunkturę rewelacyjnie, lokując wszystkie pieniądze w udziały w prywatnej rafinerii „Galicja”. Wydobywanie osiągnęło stan dający Borysławowi trzecie miejsce na świecie, a kontom bankowym pana Michała więcej zer niż sztachet w płocie. Los jednak działa według siebie tylko znanych prawideł. Gdy wydawało się, że już nic oprócz dostatniego wiejskiego życia nie może Kosieckich spotkać, okazało się, że w płucach pana Michała, karmiony wyborynym dymem papierosowym, zagnieździł się rak. Krótko trwały pertraktacje z kapryśnym losem. Michał Kosiecki zmarł w 1935 roku, zostawiając żonie i córce pokaźny majątek i dworek z kawałkiem pola i obejściem.

Piotr poznał już dom. Teraz przyglądał się chwilę wałęsającym się smętnie po podwórku kurom i wszedł do stodoły. Chłonał zapach siana zalegającego pod drewnianymi ścianami. Rzucił się na stóg z rozłożonymi rękoma i wciągnął do płuc haust powietrza. Zamknął oczy i uspokoił oddech. To dziwne, ale nie czuł się tu obco, przeciwnie, miał wrażenie, że należy do tego miejsca, że jest u siebie. Płynąca w jego żyłach krew matki wpompowywała w jego serce cichutki szept całego otaczającego go w tej

chwili świata: „Witaj z powrotem...”.

Po chwili przypomniał sobie sytuację znad strumienia i usiadł. Obraz rosnącego Ukraińca bezczelnie rzucającego mu wyzwanie tym ostrym spojrzeniem rzucił cień na jego dobre samopoczucie. „Jak on tak mógł?! – myślał wzburzony. – Przecież mnie nawet nie zna!”.

W jego wyobraźni pojawiały się kolejne obrazy, w których on, niezwykły harcerz ze stolicy, kładzie Jegora na ziemi jednym uderzeniem w szczękę albo zasłania własnym ciałem przerażoną Martę, gdy tamten próbuje ją obłapić swoimi brudnymi rękami. „Właśnie, Marta...” – pomyślał o dziewczynie. Przyjeżdżając tu, wiedział, że pani Maria ma córkę, ale spodziewał się raczej rozczochranego jak wściekła wiewiórka podlotka, a nie pięknej i przykuwającej oko dziewczyny. Imponowało mu zainteresowanie, którym go obdarza. Wiedział, że się jej podoba. Nie umiała tego ukryć. Ciągłe spojrzenia i ukradkowe uśmiechy łechtały go przyjemnie. Odpowiadała mu jej bezpośredniość i ten błysk w oku, gdy uśmiechała się do niego. Starał się jednak nie myśleć o niej inaczej jak o życzliwej, przyjaznej mu osobie. Nie mógł przecież zawieść zaufania pani Marii.

– Piotrusiu! – z podwórza dobiegł go głos Marty. – Gdzie jesteś? Podwieczorek już prawie gotowy!

Podniósł się z siana i otrzepał ubranie w chwili, gdy drzwi od strony podwórza otworzyły się, a przez szparę wsunął się blond kok zdobiący głowę dziewczyny.

– Pasiesz się na sianie? – zapytała, uśmiechając się szeroko. – W domu mam coś lepszego, dasz się skusić?

– Daj mi jeszcze chwilę. – Piotr podszedł w kierunku drzwi wychodzących na ogród. – Chciałbym rzucić okiem na cerkiew za ogrodem.

– Cerkiew jak cerkiew, a moje ciasto to poezja. – Marta weszła do wewnątrz, chwilę mocowała się ze skoblem zamykającym drzwi, po czym

podeszła do Piotra. – Chodź, poprowadzę cię. Jeszcze mi się zgubisz i będę musiała wtrynić blachę jabłecznika sama. A chyba nie chcemy, żebym była gruba jak pies wójta, prawda?

Piotr parsknął śmiechem i otworzył zasuwę. Po chwili byli już w ogrodzie. Do ogrodzenia oddzielającego posesję Kosieckich od polnej drogi, przy której znajdowało się wejście na plac otaczający cerkiew, nie było więcej jak pięćdziesiąt metrów. Wzdłuż podjazdu do bramy wejściowej i w głębi sadu rosło kilka jabłoni i śliw. Marta poprowadziła go jednak nie podjazdem, ale w głąb ogrodu, tam, gdzie płot przylegał do placu cerkiewnego. Niewielki budynek wzniesiony na planie krzyża wieńczyło kilka pomalowanych na złoty kolor kopuł. Centralną, największą z nich, zdobił prawosławny krzyż z ukośną poprzeczką pod poziomą belką. Piotr zadarł głowę i przymrużył oczy, patrząc na niego.

– Inny niż nasz, prawda? – łagodny głos Marty przerwał ciszę.

– Co inny?

– Krzyż. Inny niż u nas. Widzisz tę ukośną belkę? Wiesz, co oznacza?

Piotr zaprzeczył ruchem głowy.

– Ech, studenciku. – Miał wrażenie, że barwa jej głosu zrobiła się jeszcze cieplejsza. – Co ty wiesz w takim razie? To belka, do której przybito stopy Jezusa. I to nie jednym gwoździem, ale dwoma. Każdą stopę z osobna.

– A dlaczego jest krzywa?

Marta pokiwała głową z udawaną rezygnacją.

– Nieuk warszawski. Ej! – krzyknęła lekko, gdy dosięgnął ją kuksaniec Piotra. – Bo oddam! A teraz słuchaj i się ucz. Wyższy koniec zwrócony jest ku niebu. Oznacza kierunek, w którym udał się po śmierci dobry łotr.

– No to w takim razie ten opuszczony koniec oznacza drogę drugiego łotra, tego, który nie wyraził skruchy?

– Nie drogę, tylko jej kierunek. Ale blisko byłeś. Dobry uczeń. A umiesz

tak? – Marta chrząknęła znacząco, jak uczeń rozpoczynający recytację. – Otcze nasz Ty szczo jesy na nebesach, nechaj swiatyt’sia imia Twoje, nechaj pryjde carstwo Twoje, nechaj bude wola Twoja jak na nebi, tak i na zemli, chlib nasz nasuszcznyj daj nam siohodni... siogodni... – Zmarszczyła brwi, próbując przypomnieć sobie właściwe słowo. Po chwili dała jednak za wygraną. – Nie pamiętam. W tym miejscu zawsze mi się myli.

Piotrowi jednak wystarczyło, żeby pokiwać z podziwem głową.

– Nie umiem, mistrzyni. Ale umiem tak! – I wysunął z ust język zwinięty w rurkę. Dziewczyna popukała się w czoło niezbyt zachwycona popisem.

Zatrzymali się przy płocie. Marta wychyliła się na drugą stronę i rozejrzała się.

– Dalej nie pójdziemy. Prawosławni nie lubią, gdy ktoś obcy szwenda im się wokół świątyni. Witalij, kościelny, to przyzwoity człowiek, ale nie będziemy mu przysparzać kłopotów naszą obecnością. Zresztą oni wokół naszego kościoła też nie chodzą.

– To znaczy, że nie można tam wejść?

– Zakazu nie ma, raczej po prostu taka niepisana umowa. Za to czasem lubię przyjść sobie tutaj, żeby posłuchać, jak oni śpiewają.

– Ładnie?

– Ładnie? Cudnie! – Marta rozpromieniła się na samo wspomnienie śpiewów prowadzącego piewczego¹ i chóru. – Wiesz, jest takie powiedzenie, że dwóch prawosławnych potrafi zaśpiewać nawet na sześć głosów.

– Chciałbym tam wejść. Chciałbym zobaczyć cerkiew od środka – powiedział ściszym głosem Piotr. Marta wzruszyła ramionami.

– Nie będzie raczej takiej możliwości. Zwłaszcza teraz, kiedy sytuacja jest taka napięta po lecie trzydziestego szóstego.

– Sytuacja? Co się wtedy stało? – Piotr popatrzył na dziewczynę

zdziwiony.

– Nieważne, nie chcę o tym rozmawiać. – Marta potrząsnęła głową i dodała, widząc pytające spojrzenie chłopaka. – Nie teraz. Nie chcę psuć chwili.

Postali tak jeszcze kilka minut, gdy nagle Piotr wyteńczył słuch.

– Słyszysz to? – Wydawało się, że słyszy jakiś głos dobiegający z wnętrza świątyni. Coś jakby delikatny śpiew.

– Co mam słyszeć?

– Śpiew, słyszałaś?


Wzruszyła ramionami.

– Nic nie słyhać. – Obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku domu. – Słyszę, nie słyszę, a ciasto czeka. Rzuciła jeszcze na odchodnym:

– Ty rób, co chcesz, ja idę.

Piotr postać jeszcze chwilę, wpatrując się w mury cerkwi, jakby jego wzrok miał moc, żeby przebić ceglaną ścianę i dotrzeć do źródła tajemniczego śpiewu. Niestety nie usłyszał już nic. Oparł dłonie na ogrodzeniu i czekał. Miał jeszcze nadzieję, że zobaczy kogokolwiek wychodzącego ze świątyni. Po chwili jednak z drugiej strony podwórza wyłonił się mężczyzna w ubraniu, które trudno było uznać za odświętne, za to określenie „robocze” pasowało jak ulał.

„Pewnie kościelny” – pomyślał chłopak. Tamten spojrzał chłodno na Piotra i zapytał o coś w śpiewnym języku. Piotr jednak nie zrozumiał ani słowa. Odwrócił się i pobiegł za Martą w kierunku domu.

 wieta zamknęła drzwi od cerkwi i przekręciła klucz. Przychodziła tu kilka razy w tygodniu, żeby pośpiewać w ciszy. Mogła wtedy spokojnie zebrać myśli i zapalić świeczkę babci, osobie, którą kochała

najbardziej na świecie, a którą Pan Bóg zabrał zeszłego lata. Miała zamiar oddać teraz klucz jak zwykle Witalijowi, kościelnemu opiekującemu się cerkwią już od wielu lat, jednak usłyszała dobiegające zza rogu głosy. Ktoś rozmawiał w przylegającym do świątyni ogrodzie należącym do Kosieckich. Marta? Raczej na pewno. Drugiego głosu jednak nie rozpoznała. Obeszła budynek dookoła i zatrzymała się za pnem kasztanowca rosnącego na placu. Chłopak stojący za płotem i wpatrujący się w cerkiew nie zauważył jej. Marty już nie dostrzegła. Popatrzyła na nieznanomego. Musiał być od niej młodszy. Przekrzywił lekko głowę, nasłuchując czegoś. Nagle Święta zrozumiała, że to jej śpiew był powodem, dla którego ten młokos stoi teraz przy ogrodzeniu. Uśmiechnęła się rozbawiona, zakrywając dłonią usta.

– No, no, Polaczek ma dobry słuch – szepnęła sama do siebie. Patrzyła na niego z ukrycia. Podobał się jej ten chłopak o całkiem ładnej jak na męską twarzy. Dość wysoki i szczupły różnił się nieco od miejscowych Lachów, jak pogardliwie nazywano tu Polaków. Ciekawe, skąd go tu przywiało? Kim jest dla Marty? „Nie daj się zauroczyć Lachowi” – zażartowała w duchu. Zapyta o niego Annę, żonę Witalija, może ona będzie coś wiedzieć, w końcu to Polka.

Nagle na plac wszedł kościelny. Zauważył chłopaka opartego o płot i zawołał do niego:

– Co tak się opierasz, chcesz mi płot połamać?

Tamten chyba jednak nie zrozumiał, co Witalij do niego mówi. Zobaczyła tylko jeszcze, jak znika w głębi sadu po drugiej stronie.



Deszcz zaczął padać tuż po zmierzchu. Duże, ciężkie krople w ciągu krótkiej chwili napełniły wszystkie nierówności wodą, zamieniając polną drogę za wsią w pas nieprzejezdnego błota. Koła małego wózka ciągniętego przez rosnącego mężczyznę i pchanego z tyłu przez jego towarzysza zapadały się po osie. Musieli zatrzymać się co chwilę, żeby wyciągnąć je z błotnistej mazi. Z jednej strony przeklinali w duchu wszystkie trudności, których przysparzała im ulewa. Z drugiej jednak dziękowali Bogu za idealny kamuflaż, który dawał im ten nocny prysznic. Nie musieli się martwić o to, że ktokolwiek zainteresuje się nimi i ładunkiem, który wieźli na rozklekotanym wózku. Kto bowiem będzie włóczył się po nocy, moknąc, gdy można zamiast tego zasiąść w domowym zaciszu i wychylić ćwiartkę samogonu albo dwie? Do lasu pozostał im jeszcze niewielki kawałek do przejścia, ale w takich warunkach zajęło im to całe wieki. Wreszcie dotarli do linii drzew i po chwili zagłębili się w zarośla.

Las o tej porze nie był najlepszym miejscem do odbywania nocnych spacerów. Przy prawie zerowej widoczności wszystkie ścieżki i wszystkie miejsca wyglądały tak samo. Oni jednak znali go jak własną kieszeń. Posuwali się teraz szybko i pewnie. Przy zwalonej brzozie zmienili kierunek i skierowali się na wschód. Po dziesięciu minutach dotarli na miejsce. Jeszcze tylko wystarczyło wejść pomiędzy gęste krzewy i przebrnąć przez nie na drugą stronę. Znajdowali się w środku gęstego skupiska zarośli. Starszy mężczyzna pchający do tej pory wózek oparł się o niego i odezwał się po ukraińsku do swojego towarzysza:

- Jegor, daj mi minutę. Zapalę tylko papierosa, żeby złapać oddech.
- Wyciągnij też jednego dla mnie.

Po chwili, trzymając w ustach papierosy, usiedli na wózku. Jegor odezwał się pierwszy.

– Kiedy zaczynamy, Danyło?

Po drugiej stronie wózka panowała cisza. Po chwili Danyło westchnął ciężko:

– Niedługo. Bądź cierpliwy. Na pewne rzeczy warto poczekać. Wojna za pasem. Musimy być gotowi. Jednak jeśli się zdradzimy z przygotowaniami, to wojsko nas na bagnietach roznieśie i nici z powstania. Poczekamy. Niech się Lachy wezmą za łby z Germańcami. My wtedy chwycimy za broń i wygonimy ich z Ukrainy...

– Wiem, wiem – przerwał mu Jegor. – Chciałbym tylko już, teraz!

– Gorąca głowa – Danyło uśmiechnął się do niego. – Co nagle, to po diable. Jak zaczniemy za wcześnie, to wykrwawimy się na darmo. Jak poczekamy na Niemców, to wszystko pójdzie jak zaplanowaliśmy. Abwehra i tak już wystarczająco nam pomaga. Dostajemy broń i pieniądze. Gdy zaatakują, to będzie nasz moment. Lachy będą zajęte gaszeniem swojego podwórka i nie będą mieli siły i czasu, żeby skutecznie się nam przeciwstawić. Z chłopami i całą resztą poradzimy sobie w try miga.

– A jak będą stawiać opór, to...

– Nie będą. Ludzie to z zasady strachliwe zwierzęta. Będą liczyć na to, że to ktoś inny się sprzeciwi i stanie okoniem, a oni sami nie będą musieli ryzykować. Nie będą w stanie się przeciwstawić. Pójdą jak barany na rzeź.

Słowa o baranach rozbawiły Jegora. Śmiał się, zaciągając się końcówką papierosa. Danyło mówił dalej.

– Poza tym na chłopów przyjdzie czas później, kiedy Niemcy rozpoczną swoje rządy. Jeśli dotrzymają umowy, to będziemy mieli to, na co zasługujemy – ukraińskie państwo.

– A co jeśli nie? – Jegor wstał z wózka i przeciągnął się.

– Jeśli nie, to czeka nas kolejna walka. A teraz do roboty, nie będziemy tu tak sterczeć na deszczu. – Danyło podniósł się również. Pochylili się obaj nad kępą trawy i po chwili cała połać darni podniosła się wraz z klapą osłaniającą wejście do podziemnego bunkra. Mężczyźni zdjęli przykrycie wózka i wyciągnęli z niego przywiezioną potajemnie broń. Wkrótce mały podziemny arsenał zasiliły cztery karabiny typu Mauser, kilka pistoletów, ładownice z nabojami i bagnety.

– Niedużo tego – powiedział Jegor, gdy już ukryli ładunek i zamknęli właz wejściowy. – Ale kropla do kropli i zbieramy tyle broni, żeby starczyło dla każdego z nas.

– Oby Jegor, oby – westchnął Danyło. – Inaczej przyjdzie nam walczyć widłami.

Jegor splunął pod nogi i chwycił za dyszel. Po chwili wyciągnęli wózek z zarośli i zatarli ślady najlepiej jak mogli. Teraz pozostało jedynie dopchać wózek do wsi. Jednak na samą myśl o ponownym powolnym marszu przez błoto ogarnęło ich zmęczenie.

– Danyło, jak już dopchamy ten złom, to wychylimy po szklance samogonu. – Jegor podniósł dyszel wózka gotowy do drogi.

– Do Swiety ci się chce, zbóju – zaśmiał się Danyło – a nie do wódki. Poczekaj do ślubu. Już niedługo.

– No to tak czy inaczej musisz się z przyszłym zięciem napić – Jegor nie dawał za wygraną.

– Zobaczymy, jak dopchamy.

– No to do roboty.

Po chwili ciągnęli już wózek w kierunku wsi. Nie odzywali się do siebie pochłonięci niełatwym marszem. Jegor w myślach powracał do rozmowy z Danyłem. Jako naród ukraiński przygotowywali się do walki o niepodległość już od dawna. Najpierw na drodze stanęła im ta gówniarzeria

ze Lwowa, uzbrojone harcerzyki w ich mieście, ich przyszłej stolicy. Do tej pory nie wiedzieli, jakim cudem te chłystki odparły szturm regularnej armii. Ta ich nekropolia na Łyczakowie jest jak cierń w dupie. Boli przy każdym ruchu, przypomina o tym, że wraz z powstaniem państwa polskiego w obecnym kształcie wolna Ukraina musiała pozostać w sferze marzeń.

W sumie szansa na niepodległość była. Tak im się wtedy wydawało. Nowo utworzona Ukraińska Republika Ludowa wchodząca w skład sowieckiego państwa miała być podstawą, na której wyrosłaby niepodległa Ukraina. Jednak w obliczu nieuniknionej wojny między czerwoną gwiazdą a białym orłem prezydent URL, ataman Symon Petlura, wybrał sojusz z wąsatym marszałkiem Piłsudskim.


Już wchodzili do wyzwolonego Kijowa wraz z polskim wojskiem, już widzieli się w roli nowych gospodarzy. Tak niewiele brakowało... Los jednak nie na darmo nosi jako drugie żeńskie imię, Fortuna. Zgodnie ze swoją kobiecą naturą bywa kapryśny i zmienny. Karłowi z kozią bródką z Kremla nie spodobał się ten prztyczek w nos od pańskiej Polski. Miał inne plany. Anulowanie rozbiorów to była tylko przykrywka, preludium dla wielkiego koncertu na smyczki dział i luf karabinów dla ludu pracującego miast i wsi na całym świecie. Wysłał więc swoje czerwone hordy, aby zaniósł zarzewie rewolucji przez Europę na cały świat. Daleko się nie nanosili. Sowieckie zastępy zostały rozniesione w Bitwie Warszawskiej w 1920 roku. A oni, Ukraińcy? Stanęli u boku Polaków. I co? I nic. Wolnej Ukrainy jak nie było, tak nie ma. Pozostał tylko niesmak po nieudanym romansie z Lachami i partia tych zdrajców, petlurowców, zwolenników byłego prezydenta.

Jegor nie pamiętał tego wszystkiego. Za młody był. Jednak historię swojego narodu znał. Wiedział, kto ciemiężył ich przez tyle lat. Ilekroć tylko pomyślał o Lachach, czuł, jak krew się w nim burzy. Wprawdzie Sowieci dalej byli oficjalnie głównym wrogiem, ale to nie z nimi będą teraz walczyć.

Na razie muszą poradzić sobie z Polakami. Uśmiechnął się pod nosem do siebie. Oj, poradzą sobie, poradzą. Naostrzą bagnety i wezmą, co do nich należy. Na Sowietów przyjdzie czas później, jak urosną w siłę. Odpłaci się tym sukinsynom za zagłodzenie na śmierć kilku milionów współbraci Ukraińców. Jegor czuł, jak kłykcie jego palców zaciskają się stalowym chwytem na dyszlu wózka. Szarpnął ze złością, przeklinając wszystkich, od Lachów po Sowietów. Zza zakrętu wyłoniły się pierwsze bedryczańskie chaty. Jeszcze kawałek i cała złość i smutek spłyną do gardła wraz z pierwszą szklanką samogonu.

6



 budził ją jakiś hałas. Na wpół wyrwana z głębokiego snu nie była pewna, czy odgłosy dochodzące jej uszu są jeszcze jego częścią, czy rzeczywiście coś się dzieje tuż pod oknem. Leżała, jeszcze chwilę nasłuchując uważnie. Wydawało się jej, że słyszy niski, przyciszony głos ojca. Z kimś rozmawiał. Podniosła się na łokciach i nagle usłyszała Jegora. No tak, pewnie znów załatwiali te swoje interesy. Swieta wstała z łóżka i podeszła do okna. Delikatnie, żeby się nie zdradzić, odchyliła zasłonę. Niewiele mogła dostrzec w ciemności. Nagle skrzypnęły drzwi od komórki. Chwilę później mdłe światło lampy naftowej oświetliło dwie sylwetki wchodzące do jej wnętrza. To rzeczywiście był ojciec z Jegorem. Pewnie zaraz przyjdą do kuchni i będą pić jak zwykle. Miała tylko nadzieję, że nie wpadnie im do głowy budzić ją w środku nocy, jak to mieli w zwyczaju.

„Swieta, zrób zagrychę!”, „Swieta, zaparz czaju!”. Swieta to, Swieta siamto... Nie cierpiała tych nocnych pijackich sesji. Dyskusje o wielkiej niepodległej Ukrainie i piosenki wojskowe na dwa zapite głosy. Wszystko zaś okraszone wykrzykiwanymi w amoku hasłami typu: „Na Lachy!”.

Od wiosny jednak miała jeszcze jeden powód, aby wzdrygać się na samą myśl o zestawie: ojciec plus Jegor, plus wódka. Danyło zawołał ją wtedy, jak zwykle, do kuchni w środku nocy. Gdy weszła, zobaczyła pijanego w sztok Jegora siedzącego za stołem, a obok niego tatkę obejmującego chłopaka, całującego go w policzek i bełkoczącego: „Mordo ty moja”.

Na jej widok Jegor usiłował się podnieść, ale poleciał do przodu jak długi i wylądował na podłodze z nosem przy jej bosych stopach. Tato buchnął śmiechem i krzyknął do niego:

– Jak ty teraz moją córkę sobie weźmiesz, jak leżysz urżnięty jak świnia?! Hahahaha... – Danyło oparł o uda dłonie, wielkie jak bochny chleba i rechotał.

Swieta struchlała. Miała nadzieję, że się przesłyszała. Nie była w stanie wydusić z siebie głosu. Nie zwróciła nawet uwagi na Jegora całującego jej stopy i mamroczącego „Żonko moja”.

Ojciec uspokoił się wreszcie, mętym wzrokiem ogarnął pomieszczenie i jakby mu było trochę wstyd, powiedział:

– Swieta, zostaniesz żoną Jegora...

Milion małych, lodowato zimnych igieł przeszło jej serce, zadając ból tak fizyczny, że brakło jej w piersiach tchu. Błada, z szeroko otwartymi oczami stała w bezruchu niczym żona Lota zamieniona w słup soli. Głos ojca i sapanie Jegora dźwięczały ledwie w jej uszach, jak gdyby od reszty świata oddzielała ją gruba szklana zasłona. Miała w głowie totalną pustkę. Danyło szarpał ją za ramiona i wołał po imieniu, ale ona była daleko, dużo dalej niż sięgały jego ręce. W końcu zaczęły do niej docierać poszczególne słowa,

jakieś urywki zdań wypowiedziane przerażonym głosem ojca.

– Swietoczka!... Co się dzieje?!... Córcia!...

Popatrzyła na niego martwym wzrokiem i dopiero teraz zaczęło do niej docierać to, co przed chwilą usłyszała. Jej ojciec, jej ukochany tatko, oddawał ją lekką ręką, jak się oddaje na targu uwiązaną na postronku krowę, bez pytania. Wiedziała, że nie jest jedyną, której ojciec wybiera męża. Łudziła się jednak do tej pory, że jest na tyle ważna dla swojego, że ten nigdy nie zrobi niczego wbrew jej woli. Niestety, właśnie przekonywała się, że jej pobożne życzenie jest warte tyle, co nic.

– Ale ja nie chcę... – wyszeptała, odwracając wzrok gdzieś w bok.

– Córcia, to już postanowione – spokojny ton ojca miał zapewne załagodzić sytuację. – Zresztą, kto może być lepszy niż Jegor?

Swieta spojrzała na leżące u jej stóp bełkoczące zwłoki cuchnące bimbrem i odpowiedziała chłodno:

– Nawet stryk jest lepszy...

– Co ty gadasz, głupia?! – Ojciec potrząsnął nią zaskoczony odpowiedzią. – Nie mów tak! Jeszcze zrozumiesz, że to najlepszy wybór!

– Ja go nie kocham... – chciała dodać: „tato”, ale nie przeszło jej to przez gardło.

– Kocham, nie kocham. – Danyło puścił ją wreszcie z uścisku i usiadł ciężko na krześle. – Jak nie kochasz, to pokochasz. Sprawę już obgadałem. Ślub latem albo jesienią będzie. Taka moja wola.

Swieta obróciła się powoli i ruszyła w kierunku drzwi.

– A moja? Co z moją wolą? – szeptała do siebie. Danyło jednak już jej nie usłyszał, zajęty napełnianiem kolejnej szklanki jabłkowym bimbrem.

Wyszła na podwórze boso i w samej koszuli. Nawet nie zauważyła, że zmrożone wiosennym przymrozkiem grudki ziemi kaleczą jej stopy, a skóra zamienia się w gęsią owiana zimnym nocnym powietrzem. Wiatr zawiewał

skądś małe płatki sadzy. Osiadały na jej włosach i długiej koszuli. Kiedy doszła do studni, czuła dziwny smak spalenizny nawet na ustach. Chwyła dłońmi drewnianą cembrowinę i pochyliła się nad czarnym otworem. Oświetlona poświatą pyzatego księżycy patrzyła na spokojną taflę wody poniżej. Wyteżała wzrok, jak gdyby chciała przebić lśniąca zasłonę wody i zobaczyć ten świat po drugiej stronie. Zamiast tego patrzyła na swoje odbicie, ciemny, otoczony długimi włosami owal twarzy. Nie dostrzegła swych pełnych delikatnych ust, lekko rzeźbionych smukłych kości policzkowych i pięknych, dużych ciemnych oczu. Ze studni spoglądała na nią tylko czarna, upiorna plama bez wyrazu. Czuła się brudna, niczym wirująca w powietrzu sadza.

Mówi się, że czas leczy rany. Są jednak takie, które mimo upływającego oceanu sekund za nic nie chcą zamienić się w blizny i w końcu zniknąć. Święta przemieniona zaklęciem – „Zostaniesz żoną Jegora” – w bezwartościowy dodatek do garnituru narzeczonego, za każdym razem, gdy przypominała sobie tę upokarzającą noc, czuła ból ściskający żołądek. Nauczyła się już nie płakać na widok ojca i nie odwracać głowy z obrzydzeniem od narzeczonego.

Jegor, starszy od niej o trzy lata przystojny Ukrainiec, był przedmiotem westchnień prawie wszystkich jej koleżanek, nawet tych noszących już obrączkę na palcu. Nieraz słyszała, jak mówiły, że z chęcią wymieniąby swojego starego na właśnie tego nowego, choćby na jedną noc. Świecie również nie udało się uniknąć „jedorowego amoku”. Był czas, gdy z chęcią oglądała się za tym niepokornym, dumnym chłopcem. Był, ale minął bezpowrotnie pamiętnej nocy. Teraz nie kojarzył się jej z niczym więcej, jak z leżącym na podłodze zwykłym, zapijaczonym i śmierdzącym potem i wódką chłopcem. Na dodatek jeszcze musiała oswoić się z myślą, że jej własny ojciec oddał mu ją jak jakąś krowę na jarmarku w Drohobyczu.

Zdawała sobie dobrze sprawę z tego, że decyzja Danyły była związana z jego politycznymi kalkulacjami. Ojciec, prowidnyk rejonu drohobyckiego Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, potrzebował Jegora – przywódcy bedryczańskiego kuszczu, okręgu obejmującego pięć sąsiednich wsi. Jegor, choć młody, miał posłuch u podległych mu ludzi. Związując go z sobą za pomocą małżeństwa ze Swietą, Danyło liczył na lojalność i oddanie miejscowych. Sam nie przepadał do końca za porywczym i krnąbrnym młodzieńcem, ale zdawał sobie sprawę z tego, że inaczej Jegor może w każdej chwili wypowiedzieć mu posłuszeństwo i zagrozić jego pozycji w organizacji.

Swieta nie angażowała się w politykę tak bardzo jak jej ojciec. Wiedziała jednak, że jeśli tak postanowił, to sprzeciw jest bezcelowy. Jej los został przypieczętowany. Mogła tylko płakać w ukryciu. Pamiętała długie godziny spędzone na wylewaniu hektolitrów łez na kolanach Rusłany, młodej żony jej kuzyna. Ta nie mogła z początku zrozumieć tej hysterii. Gładziła Swietę po jej ciemnych lokach i próbowała ją uspokoić.

– Oj, durnaś, dziewucho, durnaś... Jakby mnie tak kto go dał, to bym jego..., mmmmm! Od razu bym spódnice podrywała.

– To go sobie bierz! – odpowiadała z płaczem dziewczyna.

– Ech, gdybym tylko mogła...

Zapłakana Swieta nie zauważyła nawet, że usłyszawszy o zaręczynach, Rusłana pobladła i odwróciła wzrok, zaciskając zęby z zazdrości. Opanowała się jednak i z wymuszonym uśmiechem przytulała młodszą szwagierkę do siebie.

Teraz więc, słysząc ten dziwny hałas i widząc narzeczonego z ojcem człapiących w kierunku kuchni, wzdrygnęła się i usiadła pod ścianą przy drzwiach. Nie było sensu spać, nie odpuszczą jej na pewno. Jegor będzie chciał wykorzystać każdą okazję do tego, żeby choć na chwilę znaleźć się

blisko niej. Nawet za cenę jej snu.

Mężczyźni weszli do sieni i już po chwili w kuchni zabrzączały stawiane na stole szklanki. Swieta objęła kolana ramionami i przysnęła na chwilę w tej pozycji.

Obudziło ją skrzypnięcie podłogi za drzwiami. Podniosła się, przecierając oczy. Drzwi jednak pozostały zamknięte. Po chwili usłyszała oddalające się kroki. Przyłożyła ucho do szpary w drzwiach i zaczęła nasłuchiwać.

Po drugiej stronie Danyło, upewniwszy się, że nikt nie będzie im przeszkadzał, zasiadł za stołem. Popatrzył na Jegora i po chwili spokojnym głosem rozpoczął rozmowę, do której przygotowywał się od dawna.

– Jesteś gotowy, Jegor?

– Na co?

– Mamy prawo do tego, żeby zrobić, co tylko zapagniemy, bo racja jest po naszej stronie. To daje nam prawo do każdego działania, obojętnie czy podoba się to tym przybłędom polskim, czy nie. Cel jest najważniejszy, choćby przyszło nam wyrywać ich z korzeniami.

– Co mam nie być gotowy – zachnął się chłopak. Wyjął z kieszeni nóż sprężynowy. Nacisnął guzik w rękojeści, zwalniając sprężynę, która otworzyła z chrzęstem błyszczące, stalowe ostrze. – Zawsze jestem gotowy!

Danyło westchnął. Pochylił głowę i zniżył głos.

– Czy wiesz, co trzeba będzie robić, jeśli oni nie będą chcieli opuścić naszej ziemi?

Jegor uniósł górną wargę w cwaniackim uśmiechu. Podniósł dłoń trzymającą sprężynowca i wbił go z impetem w blat stołu.

– Będziemy ich ciąć jak młode żyto.

– Zabijeś kogoś w swoim życiu? Widziałeś kiedykolwiek, jak umiera człowiek?

– Danyło, przestań truć! O co ci chodzi?! – warknął Jegor, któremu przestawało się podobać to przesłuchanie. – Wiem, że mi nie ufasz, ale w dupie to mam! Zrobię, co do mnie należy!

Danyło puścił mimo uszu cierpką uwagę chłopaka. Podniósł głowę i pogładził dłonią sumiaste wąsy.

– Do tego cięcia jak młode żyto jeszcze droga daleka. Na razie wojna za pasem. Germańcy uderzą może jeszcze w tym miesiącu. Polacy nie mają tu, w naszym rejonie, za dużo wojska. Będziemy ich rozbierać, jeśli tylko się da. Policjantów, pojedynczych żołnierzy, ewentualnie małe grupki...

– Wiem, Danyło! Znam plan! – Jegor sięgnął po szklanekę. Wychylił ją jednym haustem i dodał już spokojniej:

– Wszystko będzie dobrze. Uspokój się już.

– Jegor, to będą nasi sąsiedzi. Ludzie, obok których żyjemy od dawna. Chcę wiedzieć, że dasz radę.

– A ty dasz, Danyło? – Chłopak podniósł brwi i rzucił przysłemu teściowi wyzywające spojrzenie.

– O mnie się nie martw.

– Ty o mnie też. Co do sąsiadów, to jebał ich pies, bandę Lachów! – Zaciągnął się skręconym papierosem, podniósł go do góry i powiedział z pogardą:

– Ja za takiego skręta to dziesięciu Polaków zariżu!

Obok w pokoju Swieta nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Z szeroko otwartymi z przerażenia oczami siedziała pod ścianą, nie mogąc się ruszyć ze strachu. Jej ojciec planował z zimną krwią coś, co nie mieściło się jej w głowie. A Jegor? Zwyczajny morderca! Dopiero teraz docierało do niej, jaki los ją czeka i co oznacza polityka w wykonaniu takich ludzi jak ci dwaj za ścianą. Czowała obrzydzenie do siebie. Mieszkała pod jednym dachem z riznykom. Pomyślała o ludziach mieszkających za łąką. Nawet nie

przypuszczali, co ich czeka. Dziewczyna osunęła się na podłogę i zwinęła w kłębek. Sparaliżowana przez bezsilność bała się nawet myśleć o tym, co usłyszała. Powiedzieć komuś? Ale komu? Witalijowi? Rusłanie? Przecież to też Ukraińcy. Ostrzec Polaków? Ludzie Jegora poderzną jej gardło i nikt się nawet o tym nie dowie. Nie wiedziała, co ma zrobić. Zmęczona potwornym natłokiem myśli zasnęła na podłodze.

7



Pani Maria krzątała się od wczesnego poranka po kuchni. Na stole stały talerze i kubki, a z koszyka wystawały pajdy świeżutkiego chleba. Śniadanie było już prawie gotowe.

– Marta! Piotr! Śniadanie na stole! – zawołała, zgarniając z patelni na talerze wspaniale pachnącą jajecznicę na kiełbasie i cebulce. – Pospieszcie się, bo wystygnie!

Zdażyła odstawić pustą patelnię, gdy do kuchni wczłapała Marta, przecierając zaspane oczy i ziewając szeroko. Wymamrotała pod nosem „Dzień dobry” i usiadła ciężko za stołem.

– Mamo, okrutna jesteś... Tak mnie budzić w środku nocy... – Spojrzała na zegar. – O ósmej?

– Nie marudź, tylko jedz. – Pani Maria otworzyła okno, przez które natychmiast wdarło się chłodne jeszcze powietrze, a wraz z nim uporczywe gdakanie kury wygrzebującej tłuście, wijące się smakołyki z ziemi tuż pod oknem.

– Uroki życia na wsi... – powiedziała zaspanym głosem Marta, podpierając głowę dłońmi.

– Lepiej idź i obudź Piotra. – Matka smagnęła ją końcem trzymanej w ręce ścierki. – Jak ci się wieś nie podoba, to już, do miasta!

– Już, to jeszcze nie. – Marta zwlekła się z krzesła. – Ale kiedyś na pewno... tam, gdzie nie ma kur... – Podniosła jabłko ze stołu i rzuciła nim przez okno. Kura wygdakała gwałtownie swoje oburzenie, po czym uciekła spod okna. Marta wyszła z kuchni, wołając niemrawo:

– Piotruuuuuusiuuuu, pobuuuudkaaaaa!

Po chwili wróciła. Usiadła za stołem, przeżegnała się i wbiła łyżkę w stygnącą jajecznicę.

– Nie ma go – powiedziała z pełnymi ustami. – Może wyszedł gdzieś z samego rana.

Pani Maria spojrzała na córkę zdziwiona.

– Jak to wyszedł?

– Normalnie, mamó – Marta odpowiedziała z politowaniem w głosie, jakby musiała wyjaśniać rzecz oczywistą. – Ma dwie nogi, to wyszedł. Widocznie parę dni wystarczyło, żeby poczuł się jak u siebie.

– Ale gdzie poszedł?

– Mamó...

Nie zdążyła dokończyć. W drzwiach stanął uśmiechnięty Piotr.

– Dzień dobry paniom. – Ukłonił się teatralnym gestem. – O proszę, jajeczniczka smakowicie pachnie. A mi coś w brzuchu burczy lekko... – Ściągnął z ramienia torbę i usiadł obok Marty.

– Dzień dobry, kawalerze. – Pani Maria nalała do kubka świeżego mleka. – A gdzie się tak włóczysz od rana? Myślałyśmy, że śpisz jeszcze.

– Rysowałem trochę. – Piotr wsunął do ust łyżkę z jajecznicą. –

Mmmmm, pycha, pani Mario. Rewelacja!

– A coś tam rysował? – zapytała gospodyni.

– Krowy od Malińskiego – mruknęła Marta, odgarniając kosmyk włosów z czoła.

Piotr spojrział na rozczochraną i wciąż jeszcze zaspaną dziewczynę i powiedział najśłodszy głośem, na jaki było go stać:

– Pięknie dziś wyglądasz, Martusiu.

Marta popukała się znacząco w czoło, wywołując śmiech chłopaka.

– Co zamierzasz dziś robić? – zapytała pani Maria, ustawiając talerze w kuchennym kredensie.

– Chcę dziś pójść do cerkwi.

Przy stole zapadła cisza. Pani Maria odwrócona zamarła w bezruchu, a Marta patrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Piotr w spokoju ugryzł pajdę chleba i popił ją mlekiem. Popatrzył na obie Kosieckie i zapytał:

– Coś się stało?

Gospodyni, nie odwracając się, spytała chłodnym głośem:

– Po co?

– Chcę zobaczyć cerkiew od wewnątrz. To chyba nie przestępstwo.

Marta pochyliła się nad stołem w stronę Piotra i odpowiedziała spokojnym, ale stanowczym głośem:

– To nie jest przestępstwo, Piotrze. To błąd. Jesteś z zewnątrz, więc obcy. Nie jesteś stąd, więc nie rozumiesz tego, jakie tu panują układy. Między nami a Ukraińcami póki co jest spokojnie. Wystarczy jednak iskra i wszystko może się zmienić. Oni nie rozumieją tego inaczej, niż tak, że chcesz ich sprowokować. Nie będziesz tam mile widzianym gościem. Będziesz miał nawet szczęście, jeśli cię nie poturbują. To będzie jak wyzwanie, które im rzucisz, a którym zaszkożysz też nam wszystkim. Nie proszę cię o nic. Mam

po prostu nadzieję, że nie będziesz na tyle nierozsądny, żeby nas narażać.

Dziewczyna odłożyła łyżkę i podniosła się z krzesła, nie ukrywając złości. Podeszła do okna i oparła dłonie na parapecie. Zaległa niezręczna cisza. Przerwał ją Piotr.

– Nie chcę nikogo prowokować. Jestem tylko ciekawy...

– Piotrze – pani Maria sprawiała wrażenie dużo spokojniejszej od córki – prawosławni nie będą się zastanawiać nad tym, dlaczego przyszedłeś. Dla nich będzie to oczywiste. Będziesz tam niemiłe widzianym intruzem. Sprowadzisz na siebie i na nas kłopoty. Oni nie odwiedzają naszego kościoła, my nie chodzimy do nich. Tak tu jest.

– Dobrze już, dobrze – powiedział Piotr, wyjmując z torby szkicownik. – Nie chcę sprawiać kłopotów.

Marta odwróciła się od okna i skierowała do wyjścia. Przechodząc obok stołu, rzuciła okiem na szkice Piotra. Zatrzymała się z zaciekawieniem. Cała złość uleciała z niej momentalnie.

– One są świetne! – powiedziała z podziwem. – Znaczą te rysunki.

Piotr uśmiechnął się pod nosem. Pani Maria również patrzyła na jego prace z uznaniem. Marta podnosiła kartkę za kartką. Uśmiechała się na widok cudnie uchwyconych pierwszych promieni porannego słońca wynurzającego się nad cerkwią, łąki skąpanej światłem, malutkich domków po jej drugiej stronie. Na ostatnim rysunku dostrzegła chłopca ostrzącego kosę. Poorana brzdami niemłoda twarz skupiona na wykonywanej czynności przykuwała uwagę.

– Waśko jak żywy – szepnęła pani Maria, zerkając przez ramię dziewczyny. Marta spojrzała na Piotra. Chwilę biła się z myślami, po czym zapytała.

– Piotr, narysujesz mnie?

Chłopak popatrzył na nią, przekrzywiając głowę.

– Niestety. Nie jesteś krową od Malińskiego... – odpowiedział, po czym zrobił unik.

W jego stronę poleciało jabłko.

8



W życiu oprócz śmierci i podatków nie ma rzeczy pewnych. Człowiek od wieków przekonuje się o tym raz za razem, gdy jego wypielegnowany świat rozsypuje się w pył. To, co wydawało się znajome i bezpieczne, nagle odsłania swe upiorne i wrogie oblicze. Jednak, z uporem godnym dużo lepszej sprawy, ten sam człowiek buduje od nowa zamek swego życia z piasku ułudy i „takmisięwydajeizmu”, dopóki kolejny podmuch go nie zwali, aż do fundamentów.

Swieta szła szybkim krokiem przez łąkę. Przeskoczyła mechanicznie przez strumień i zaczęła biec. Miała wrażenie, że stopy zapadają się jej aż do kostek w miękkim od nocnego deszczu gruncie. Nie zważała jednak na to. Jak najszybciej chciała teraz znaleźć się w cerkwi. Niczym ścigany uciekinier szukający azylu przed całym światem oglądała się co chwilę za siebie, sprawdzając, czy jeszcze jest bezpieczna. Czuła się tak, jakby okradziono ją ze wszystkiego, co ma. Nawet z imienia i tożsamości. Nawet z pamięci. Zwłaszcza z niej. Mijając wcześniej sąsiadki i znajomych, miała wrażenie, że patrzy na kiepskich aktorów grających w jakiejś upiornej sztuce pod tytułem *Życie Swietłany Horodyło*. Najpierw ten ustawiony ślub z Jegorem, a teraz jeszcze to. Ostatnia noc wyrwała ją z głębokiego

przeświadczenia, że zna i rozumie świat, w którym żyje. Jedna noc odebrała jej ojca i narzeczonego. Zamiast nich obok siebie zobaczyła morderców zdolnych do najcięższych zbrodni. Kim był ten człowiek, który, gdy była dzieckiem, sadzał ją sobie na kolanach i gładził po włosach, śpiewając cicho do ucha? Na pewno nie tylko jej dobrym tatkiem. A te dłonie unoszące ją do góry tyle razy? Nosiły już krwawe plamy czy dopiero będą się nurzać w czerwonej posoce? A ludzie dookoła? Czy oni wiedzieli o tym, co ma nadejść niebawem? Czy te wszystkie kobiety znają swych mężów i synów, czy żyją w nieświadomości jak ona do tej pory? Przypomniała sobie swą babcię. Czy ona też była taka? A wtedy, gdy pomagała jej wyciągnąć ze studni kota, który wpadł tam przez przypadek, nie miała ochoty wepchnąć go pod powierzchnię wody? Czy każdy z tych mieszkających po ukraińskiej stronie ludzi był mordercą, czy tylko nieświadomym głupcem, jak ona? Myśli wirowały w jej głowie, odbierając oddech.

I nagle przypomniała sobie dekalog ukraińskiego nacjonalisty, którego ojciec uczył ją od najmłodszych lat. Słowa znane pod każdą strzechą w tej części świata dudniły jej w głowie niczym młot kowalski: „Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy”. W jednej chwili zrozumiała, co oznaczają naprawdę, i poczuła, jak lodowa obejmą ściska jej serce. Należała do narodu, który swój kraj chce zbudować na przelanej krwi sąsiadów. Zrobiło jej się niedobrze. Nie tego się spodziewała po tych, którzy uczyli ją być ukraińską patriotką. Weszła na plac cerkiewny. Był pusty. Podeszła do drzwi i chwyciła za klamkę. Niestety okazały się zamknięte. Pobiegła w kierunku małego domku przylegającego do świątyni. Zapukała do drzwi. Po chwili usłyszała za nimi ciężkie kroki. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Witalij. Uśmiechnął się i już miał przywitać się ze Swietoczką, jak ją nazywał, gdy spojrzał w jej oczy i zobaczył pustkę i śmierć. Nie powiedział ani słowa. Ściągnął klucz z umocowanego

za drzwiami gwoźdźcia i podał go dziewczynie. Chwyliła go w swą drżącą dłoń, odwróciła się i pobiegła w kierunku cerkwi. Witalij jeszcze chwilę stał w otwartych drzwiach. Zamknął je dopiero, gdy upewnił się, że zniknęła wewnątrz świątyni.

Nie posłuchał. Wymknął się chyłkiem po obiedzie. Przez stodołę przedostał się do ogrodu. Podszedł szybkim krokiem do płotu cerkiewnego i oparł na nim dłonie. Budynek świątynny fascynował go bardzo. Nie chodziło już nawet o zainteresowanie architekturą sakralną. Pociągała go atmosfera. Przyzwyczajonemu do kościółka na ulicy Karolkowej w Warszawie Piotrowi prawosławie jawiło się niemalże jako sztuka czarnoksiężska. Niezrozumiały język i śpiewy, które nieraz słyszał, przechodząc obok cerkwi św. Jana Klimaka na Woli, budowały niesamowitą aurę wyjątkowości i uduchowienia. Miał wtedy wrażenie, że doświadcza samej esencji duchowości, jakby wokół świątyni rozpylono ledwie uchwytny posmak tajemnicy. Nigdy wcześniej jednak nie miał okazji zobaczyć tego wszystkiego od środka. Pragnienie, by dotknąć tabu, było silniejsze niż rozsądek podpowiadający, aby posłuchać pani Marii i Marty. Jeszcze chwilę się wahał. Chwilę. Do momentu, aż usłyszał śpiew...

Delikatny, wysoki i swobodny głos ślizgał się po tonacjach z wielką wprawą. Piotr miał wrażenie, że słyszy raczej melodię wygrywaną na flecie niż kobiecy śpiew. Musiał ją zobaczyć. Podciągnął się na dłoniach i już po chwili stał po drugiej stronie ogrodzenia. Czuł się jak złodziej podkradający się do jabłoni w ogrodzie sąsiada. Szybkim krokiem przemierzył placyk i przylgnął do ściany świątyni, ciężko oddychając. Ostrożnym krokiem niczym zwiadowca przesunął się w kierunku drzwi. Zauważył, że są uchylone. Uśmiechnął się z zadowolenia. Nie sploty więc tajemniczej śpiewaczki. Wsunął się do środka. Wewnątrz panował lekki półmrok.

Światło sączyło się jedynie z maleńkich, wąskich okienek tuż przy sklepieniu. Rozejrzał się wokół i zobaczył ją.

Świeta przekręciła klucz w zamku i po chwili była już w środku. Ukłoniła się i podeszła do świecznika. Zapaliła długą cienką świecę, szepcząc cichutko modlitwę. Stała po prawej stronie carskich wrót, przy małym podejściu dla piewczego. Nie próbowała uspokoić skołatanych myśli. Nie zawraca się przecież rzeki kijem od miotły. Poddała się emocjom, które nią targaly, i zamknęła oczy. Tysiące pytań i wątpliwości biegło jej w tej chwili przez głowę. Nie potrafiła sobie z nimi poradzić. Nie chciała nawet. Nie po to tu przyszła. Pośród tego całego kołowrotu mielącego jej myśli wyłowiała tę jedną delikatną jak jedwabna nić modlitwę i chwyciła się jej.

– Hospody, pomyśl, Panie, zmiłuj się nade mną. Zlituj się i pomóż, bo gubię drogę. Boże Wszechmogący, nie pozwól, bym zwątpiła. Odebrałeś mi babcię, teraz odbierasz ojca. Pozwól wierzyć, że masz w tym wszystkim swój plan...

Nawet nie zauważyła, kiedy słowa zamieniły się w melodię. Śpiewała z zamkniętymi oczami z lekko uniesioną głową. Chusta zasłaniająca jej włosy zsunęła się lekko i niewielki kosmyk włosów wysunął się na policzek. Nie słyszała już myśli. Nie czuła nawet, że jej bijące szybko serce odnajduje właściwy rytm. Poddała się całkowicie temu spokojowi płynącemu gdzieś ze środka. Przestała odczuwać upływający czas...

Gdy wybrzmiała ostatnia nuta pieśni, Swieta spuściła głowę. Trwała jeszcze chwilę w zasłuchaniu. Nagle usłyszała za sobą szelest. Podniosła głowę i w przekonaniu, że to Witalij wszedł do cerkwi, odwróciła się.

Otworzyła szeroko swoje ciemne oczy. To nie był Witalij. To był on. Nieznajomy chłopiec zza ogrodzenia.

Tylko ten, kto tego nie przeżył sam, może szydzić z romansu. Tego słońca aż do znudzenia, z ciętymi spojrzeniami i niezdarnością pierwszych podchodów. Na ten jeden moment, przemieniający najtwardszego cwaniaka w pluszowego misia i najbardziej niewinne dziewczę w świadomą swojego piękna kobietę, nie ma rady. Serce natychmiast puchnie tak, że przestaje mieścić się w piersiach, a drżenia rąk nie powstydzilyby się alkoholik. Takie momenty pozostawiają w człowieku bruzdy niczym górskie wąwozy, niemożliwe do uleczenia i zabliznienia. Takie chwile pamięta się nawet na łóżu śmierci, mimo otaczającego je wianuszka dzieci i wnuków. Jedynym sposobem na to, żeby złagodzić skutki tego zaklęcia, jest przejście przez wszystkie jego etapy. Od gorących dłoni, żaru pocałunków i pozbawiającego snu szczęścia, poprzez zmęczenie zwykłą codziennością, z kłótniami i urodzinami u teściów, aż do momentu, w którym odkrywa się, że każdy kolejny przeżyty ze sobą dzień jest nagrodą wyrwaną z pyska czającej się za progiem śmierci. W przeciwnym razie ten magiczny moment przerodzi się w niebezpieczną legendę. Dzieje się tak, gdyż pamięć o nim nadaje mu złudny walor nieskażonej prozą życia doskonałości, zdolny rozsądzić od środka niejedną późniejszy związek. Nie można bowiem konkurować z aniołem, który przywłaszczył sobie na wieczność serce i rozum kochanej osoby, czyniąc ją istotą zdolną jedynie do odtwarzania tego pierwotnie zaznanego uczucia.

Piotr zobaczył anioła. Pięknego jak najpiękniejsza gwiazda w bezchmurną noc. Spojrzał mu w oczy, ciemne i głębokie niczym studnie, w które można wpaść, ale wyjść już z nich niepodobna. W jednej chwili zrozumiał, co oznacza zostać uderzonym przez grom z jasnego nieba. Anioł milczał i tylko wpatrywał się w niego. Wskazówki zegara stanęły, a ziemia przestała się obracać.

wieta nie mogła zrobić kroku. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma i oddychała głęboko. I ten wzrok, te oczy, które pochłaniały ją całą i przenikały na wskroś każdą nitkę okrywającej ją tkaniny, aż do nagiej skóry i jeszcze głębiej. Nikt nie patrzył nigdy na nią tak... intensywnie, z taką pasją. Czuła się bezbronna, ale o dziwo, było jej z tym dobrze. Była bezpieczna.

I stali tak oboje, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Piotr przymrużył lekko oczy i uśmiechnął się delikatnie. Swieta przechyliła lekko głowę i zacisnęła dłonie na trzymanym w rękach rogu chusty osłaniającej jej włosy. Już nie zastanawiała się nad tym, kim jest nieznajomy z ogrodu. Już wiedziała, że jest ważny, najważniejszy.

Drzwi od cerkwi uchyliły się, wpuszczając do wnętrza snop dziennego światła. Ocknęli się oboje, jakby nagle zdjęto z nich czar. Piotr obrócił się gwałtownie. W wejściu zobaczył tego samego człowieka, który ostatnio zagadał do niego przy płocie. Witalij wszedł do środka i patrząc na Swietę, skinął pytająco głową w kierunku Piotra. Dziewczyna zrobiła dłonią uspokajający gest. Piotr cofnął się pod ścianę, czekając na reakcję Ukraińca. Dobiegł go mocny, dźwięczny głos dziewczyny.

– Witalij, spokojnie. On jest niegroźny. Zaraz sobie pójdzie.

– Znasz go? – zapytał kościelny, nie spuszczając wzroku z Piotra. Stał gotowy w każdej chwili do skoku. Dziewczyna milczała dłuższą chwilę. Patrzyła na chłopaka czule, ale uważnie.

– Znasz? – Witalij ponaglił ją powtórным pytaniem.

– Znam – odpowiedziała cicho.

Witalij, patrząc na obserwującego go chłopca, przesunął się, odsłaniając wyjście. Gestem ręki wskazał drzwi. Piotr ostatni raz spojrział na Swietę. Złapał wzrokiem jej spojrzenie. Zrozumiał, że rozmawiała o nim i że uratowała go przed wiszącą w powietrzu awanturą.

– Dziękuję – wyszeptał do niej. Uśmiechnęła się delikatnie. Spokojnym krokiem skierował się do wyjścia. Przeszedł obok Ukraińca, wyczuwając napięcie. Po chwili zniknął w jasnej plamie światła wdzierającego się przez otwarte drzwi.

Witalij nie zapytał o nic. Nie musiał. Widział w swym życiu wiele i wiedział doskonale, co właśnie się tu wydarzyło. Podszedł do Swiety i pogłaskał ją delikatnie po głowie ojcowskim gestem.

– Córcia, zapomnij o nim – powiedział do niej spokojnie. – Im szybciej, tym lepiej.

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co jej groziło za polskiego chłopca. Spojrzała na niego. Wiedziała, że jest jedną z niewielu osób, na które może liczyć. Witalij traktował ją jak własną córkę. Nieraz wysłuchiwał jej dziecięcych, a później nastoletnich zwierzeń, zawsze gotowy, aby pomóc jej dobrym słowem. Znał dobrze jej ojca i wiedział, jaką prowadzi grę. Kiedyś się nawet przyjaźnili. Od kiedy pamiętał, Swieta nazywała go wujkiem. Podobało mu się w niej to, że choć mała, charakter miała twardy i mocny. Polubił ją jak swoje dziecko. Z jej rodziną poróżniły go dwie rzeczy. Pierwszą były kwestie polityczne. Nie podzielał wizji wyzwolenia Ukrainy metodą akceptowaną przez Danyłę. Druga to fakt, że kobieta, którą poślubił, była Polką. OUN-owiec Danyło nie mógł tego przetrwać. Przestali się odwiedzać. Tylko Swieta nie dbała o to, że jej ojciec zerwał kontakt z Witalijem. Przychodziła nadal do jego domu od czasu do czasu.

– Zapomnij, Swieta...

Patrzyła na niego tymi swoimi głębokimi oczyma. Uśmiechnęła się smutno i spuściła głowę.

– Nie potrafię już, Witalij... już nie...



Pani Maria wyszła na ganek od strony podwórka. Spojrzała na siedzącą na schodach córkę i spytała, wyciągając dłoń trzymającą kubek w jej stronę:

– Herbaty?

Marta odmówiła ruchem głowy i objęła ramionami podkulone kolana. Wpatrywała się w drzwi od stodoły w ciszy. Kobieta westchnęła cicho i pokręciła głową. Było jej żal córki. Wiedziała doskonale, dlaczego zamiast jak zwykle włóczyć się z Kateryną, woli przesiadywać na schodach i czekać. Może gdyby wiedziała, jak bardzo skomplikuje jej delikatne uczucia, zgadzając się na przyjazd Piotra, nie zrobiłaby tego. Teraz jednak było już za późno. Tylko ślepy nie zauważyłby, jak Marta gasła, kiedy Piotr znikał ze swoim szkicownikiem na długie godziny. Tylko głuchy nie wyłapałby w dziewczęcym tonie jej głosu tej radości i ciepła, kiedy wreszcie mogła porozmawiać z nim chwilę. Tylko głupi nie mógłby tego wszystkiego przewidzieć. Tak jak ona, jej własna matka.

Patrzyła na Martę i nie mogła wyjść z podziwu. Jeszcze tydzień temu dzieliła dom z dzieckiem, odrobinę roztrzepaną, pełną energii dziewczyną. Dziś stała obok ślicznej, dorosłej kobiety. Nic nie czyni kobiety piękną i dojrzałą bardziej niż zakochanie. A Marta była zakochana. Po same uszy. Nie potrafiła nawet dobrze tego maskować. I chyba tylko on jeden tego nie dostrzegł. Albo nie chciał.

Bała się o Martę. Rozdarta pomiędzy matczyną troską o dziecko a kobiecą solidarnością podpowiadającą, że uczucie jest ważniejsze niż

rozum, nie potrafiła jej doradzić. Nie wiedziała nawet, jak zacząć taką rozmowę. Była za to świadoma tego, że powinna po prostu być. Kiedy Piotr już wyjedzie i rozpocznie się dramat nieprzespanych nocy i morza wylanych łez, musi być dla córki podporą, przyjaciółką, pocieszycielką i wszystkim innym na „p”. Bo że ten dzień nadejdzie, była bardziej pewna niż tego, że jutro wstanie słońce.

Na razie usiadła obok dziewczyny, popijając herbatę. Pogłodziła ją po głowie. Marta spojrzała na nią smutno.

– Wiem, co myślisz, mamó – powiedziała cicho. – Że jestem głupia gęś, zakochana w miastowym eleganciku i że powinnam dać sobie spokój. Ale ja nie chcę. Nie mogę zrezygnować z tego, co czuję, choćbym miała potem wyc po nocach. Nie odbiorę sobie tej radości, nawet jeśli później zamieni się w koszmar.

Pani Maria milczała zaskoczona. Marta odwróciła głowę i patrząc na stodołę, mówiła dalej.

– Mamó, ja nigdy nie przeżyłam niczego takiego. To tak strasznie boli. Ale jednocześnie nigdy nie czułam się lepiej. – Dotknęła dłoni matki i oparła głowę o jej ramię. Po policzkach zaczęły jej płynąć łzy. Pani Maria przytuliła ją do siebie, czując dokładnie całą plątaninę emocji kłębiącą się w sercu córki.

– Martuniu, dziecko – wyszeptała, sama z trudem powstrzymując płacz – on wyjedzie. Co wtedy? Co jeśli cię nie zechce? Nie powinnam była go tu zapraszać.

Marta podniosła gwałtownie głowę.

– Nie mów tak! – odpowiedziała mocnym głosem. – Nie rozumiesz! Dałaś mi najpiękniejszy prezent pod słońcem. To moje najwspanialsze lato. – Popatrzyła matce prosto w oczy. – Czy będzie mój, czy nie, nieważne... ja chcę go tylko kochać...

Matka spojrzała na nią pobłażliwie, po czym obie wybuchnęły śmiechem.

– Bzdury gadam – mówiła Marta, śmiejąc się przez łzy. – Pewnie, że chcę, żeby był mój. Mój i nikogo więcej.

Śmiały się obie, przytulając się do siebie, gdy drzwi od stodoły skrzypnęły i wyszedł z nich Piotr. Marta natychmiast otarła łzy z policzków i już po kilku sekundach znów była uśmiechniętą, roztrzepaną szesnastolatką.

– Gdzieś ty bywał, czarny baraaaanie... – zaśpiewała na przywitanie.

– We młynie, we młynie, mój miły paaanie – pani Maria dokończyła frazę. Piotr jednak nie zwrócił na nie uwagi. Wszedł na schody prowadzące na ganek i już miał minąć obie kobiety, gdy Marta chwyciła go za nogawkę.

– A co to za muchy w nosie? Nie stać kawalera na słówko?

Popatrzył na nie mętym wzrokiem, pokręcił głową, jakby strząsając niewidzialną zasłonę odgradzającą jego myśli od świata.

– Przepraszam bardzo – powiedział przyciszonym, dziwnym tonem. – Ja... muszę iść. Przeszedł kilka kroków. Zatrzymał się jednak po chwili i zawrócił.

– Marta, muszę cię zapytać. – Spojrzał na dziewczynę błędnym wzrokiem. – Ty wiesz, kto przychodzi do cerkwi śpiewać, prawda?

Marta struchlała. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Ty byłeś w cerkwi... – powiedziała, bardziej stwierdzając, niż pytając.

– Byłem! – Piotr kucnął przy niej i położył jej dłoń na ramieniu, patrząc prosto w oczy. – Musisz mi powiedzieć, kto to jest? Jak ma na imię?!

– Wiedziałam, że nie posłucha! – Pani Maria trzasnęła metalowym kubkiem o kamienny schodek i stanowczym głosem włączyła się do rozmowy. – Nie powinienesz być tam chodzić! Ktoś cię widział?

Jednak chłopiec nie zwrócił na nią uwagi. Patrzył dalej na Martę.

– Ja ją widziałem, Marta. Kto to jest?!

– Po co ci to wiedzieć? I czemu się wałęsasz tam, gdzie nie powinienes? Widział cię ktokolwiek? – Marta powtórzyła pytanie matki.

– Widział – odpowiedział zniecierpliwionym tonem Piotr. – Marta, błagam cię, kto to jest?

Z miłością jest tak, że niesie ze sobą bogactwo inwentarza w postaci całej gamy innych związanych z nią uczuć. Jedno z nich, niczym stalowa igła wbiło się głęboko w serce dziewczyny. Zagryzła zęby, czując lodowatą zazdrość, i odpowiedziała cicho:

– Swieta.

– Swieta... – powtórzył Piotr. Odwrócił głowę, wstał i ruszył w kierunku domu, powtarzając do siebie cicho:

– Swieta...

Gdy zamknęły się za nim drzwi, pani Maria westchnęła.

– Żeby tylko nam jakiej biedy nie napytał. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

– Stało się – odpowiedziała chłodnym głosem Marta i widząc pytający wzrok matki, dodała: – Swieta się stała! Jeszcze jej brakowało na dokładkę.



Sierpniowe warszawskie słońce prażyło niemiłosiernie, a garnitur jeszcze bardziej wzmagął uczucie gorąca. Witold Ochocki szybkim krokiem przemierzał ulicę Chmielną. Minął kino Bałtyk pod numerem dziewiętnym i przyspieszył kroku. Nie zwracał uwagi na gwar i tłok panujący

w tym miejscu. Liczne kawiarenki i sklepy z odzieżą przyciągały w taki dzień jak dziś tłumy warszawiaków. Po kilku minutach dotarł do Nowego Świata, zatłoczonego jeszcze bardziej niż Chmielna. Nic dziwnego. Nowy Świat był wizytówką stolicy i choć największym powodzeniem cieszył się wieczorem, gdy światło latarni stwarzało idealny klimat do spacerów, a restauracje i kawiarnie gwarantowały miło spędzony czas, o tej porze również prezentował się wspaniale. Ochocki stanął na skraju jezdni. Począł, aż minie go ruszający z przystanku tramwaj, po czym przeciął ulicę, by po chwili zniknąć w wejściu jednej z wielu kawiarni. Rozejrzał się w panującym wewnątrz półmroku. Wydawało mu się, że osoba, której oczekiwał, nie przybyła jeszcze na spotkanie, gdy nagle zobaczył mężczyznę w popielatym garniturze przywołującego go ruchem ręki. Ochocki spojrzał na niego z niedowierzaniem, po czym podszedł do stolika i wyciągnął dłoń w geście powitania. Czekający na niego człowiek podniósł się z krzesła. Odrobinę niższy, z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu, krzaczastymi brwiami i postawną sylwetką sprawiał wrażenie dużo młodszego od niego. W rzeczywistości byli prawie równoletkami. Mężczyzna przywitał się stalowym uściskiem dłoni.

– Witaj, Stefan! – Ochocki uśmiechnął się, szeroko lustrując tamtego od stóp do głów. – Nie w mundurze? Jestem zaskoczony.

– Witaj, Witoldzie, a gdzie twój mundur? Zamieniłeś go na stałe na tę pasiastą piżamę? – mężczyzna odciął się, patrząc na garnitur w delikatne prążki, który nosił Ochocki.

– Nic się nie zmieniłeś, poczucie humoru dopisuje ci jak zwykle. Ale czy to przystoi generałowi?

Usiedli przy stoliku. Ochocki ruchem ręki przywołał kelnera.

– Do generała mi jeszcze daleko, ale nie będę oponował i potraktuję to jako dobrą wróżbę – mężczyzna uśmiechnął się i dodał: – Dawno cię nie

widziałem. Opowiadaj, co u ciebie.

– Dawno, to prawda – Ochocki zamówił czarną kawę i lemoniadę. – Wiesz, co mówią? Jeśli dawno nie widziałeś swojego przyjaciela, to przespaceruj się dwa razy Nowym Światem, a na pewno go spotkasz.

Mężczyzna roześmiał się.

– Racja. Tyle że ja nie chadzam po Nowym Świecie, tylko konie pasę. Mechaniczne.

– Słyszałem, słyszałem i gratuluję serdecznie nominacji – odpowiedział z uznaniem Ochocki. – Dowódca Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, pułkownik dyplomowany Stefan Rowecki to już nie w kij dmuchał. Ważna szychą z ciebie. No i dowodzisz awangardą naszej armii.

– Nie żartuj, Witek – uśmiechnął się z pobłażaniem Rowecki. – Awangarda to to może jest, ale mała i w powijakach. Wszystko dosłownie trzeba wydzierać z gardła biurokracji. – Rowecki westchnął. – Ale wiesz, ja nie lubię się poddawać. Brygada będzie hulać jak w zegarku. Trzeba tylko czasu.

– Mamy go? – zapytał Ochocki pochmurnym tonem.

Pułkownik podniósł do ust filiżankę. Zanim jednak spróbował aromatycznej kawy, odpowiedział przyjacielowi:

– Czas zawsze mamy. Pytanie tylko, czy wystarczająco dużo.

– Będzie wojna?

– To ja powinienem cię o to spytać. Ty jesteś wybitnym analitykiem. – Rowecki odstawił filiżankę i splótł dłonie na kolanie.

– Nie trzeba być mistrzem analizy, żeby przewidzieć awanturę – zasepił się Ochocki. – Hitler stawia coraz bardziej absurdalne żądania. On nie chce ugody. Pragnie jedynie zdetonować bombę, którą podłożył pod Europę. Niestety, ci durnie Anglicy i Francuzi gdyby mogli, to przehandlowaliby nas w ciemno za uludę pokoju.

– Rozmawiałem ze znajomym z ministerstwa. Udało mi się pociągnąć go za język – odparł Rowecki. – Przygotowywana umowa o wzajemnej pomocy w wypadku agresji na dniach zostanie sfinalizowana. Jednak nieoficjalnymi kanałami dowiedzieliśmy się, że w wypadku ogłoszenia przez nas mobilizacji będą protestować i oponować, że prowokujemy konflikt.

Ochocki parsknął ze złości.

– Wiedziałem, że ten sojusz można rozbić o kant du... stołu! – pohamował się w ostatniej chwili. Obok jakaś para szepcząca do siebie nad stolikiem obróciła w ich stronę głowy. Ochocki pochylił się w kierunku Roweckiego i zapytał cicho:

– Pomogą jakby co?

Rowecki ścisnął usta w grymasie. Milczał chwilę, po czym odpowiedział równie cicho:

– A domyślasz się, dlaczego Hitler chce wszcząć bojkę z nami, a nie z Francuzami?

– Domyślam się, Stefan. Jeśli uderzą na Francję, to mają jak w banku, że my odpowiemy od wschodu i będą mieli na głowie niezły pasztet. Przerzną wojnę, zanim ją na dobre zaczną. Jeśli natomiast zaatakują nas, Francja nie wywiąże się ze swoich zobowiązań sojuszniczych. Hitler gra z nami w pokera. Domyśla się, że nasz sojusz nie zadziała w obydwie strony. Teraz właśnie mówi: „Sprawdzam!”.

– Dokładnie tak – pokiwał głową Rowecki. – Francja nam nie pomoże. Na dodatek Niemcy zaczynają się układać ze Stalinem. Jeśli dojdą do porozumienia, to po nas.

– A Anglia?

Rowecki parsknął śmiechem.

– Anglia jako siła lądowa w tej chwili nie istnieje. Chyba że liczymy na to, że wpłyną swoją Royal Navy przez Zatokę Gdańską Wisłą aż do

Warszawy – kpił ponurym tonem.

– Jak rozmieszczacie linię obrony?

– Na całej długości granicy z Niemcami...

– Przecież to szaleństwo! – przerwał Ochocki. – Takie ustawienie skazuje nas na przerwanie linii w ciągu doby, najwyżej dwóch! Nie mamy wystarczających sił, żeby utrzymać tak długą granicę. Niemcy wejdą w Polskę jak w masło! Trzeba było zawęzić linię obrony tak, żeby luk nie było, wpuścić ich trochę w głąb, dać im podejść i wtedy wygarnąć!

– Witold! Ja to wiem! Ale zrozum jedno – Rowecki starał się dłonią uciszyć przyjaciela. Parka przy stoliku obok znów zaczęła podejrzliwie łąpać w ich stronę. – Pakt przewiduje, że tylko obrona całego terytorium Polski pozwoli uruchomić potencjalną pomoc sojuszników. Jeśli cofniemy linię obrony, a Niemcy wejdą, zajmą na przykład korytarz gdański, oświadczą, że osiągnęli cel i zakończą działania wojenne, to będziemy w bardzo ciężkiej sytuacji politycznej. Alianci stwierdzą, że można pokój uratować za cenę Gdańska i będą czekali na nasz ruch. Jeśli będziemy chcieli odbić korytarz, powiedzą, że to my dążymy do awantury i nici z pomocy. A my zostaniemy bez dojścia do morza. Musimy działać tak, żeby atak Hitlera był atakiem na całe państwo i żeby obrona była obroną całego państwa. To, że możemy przypuszczać, iż tak czy inaczej nie ruszą tyłków z Linii Maginota to jedno, ale oficjalnie będziemy w sojuszu i musimy się dostosować. Jedyna nadzieja w tym, że Niemcy tylko blefują i nie zdecydują się na atak.

– Zakładam, że takich jednostek jak twoja jest niewiele, prawda? – Ochocki był wyraźnie zrezygnowany.

– Niewiele – Rowecki bawił się pustą filiżanką. – Do zeszłego roku zakładano, że zagrożenie przyjdzie ze wschodu. Rozbudowywano kawalerię i wszystkie jednostki potrzebne do walki z Sowietami. Niestety, mylili się wszyscy i teraz jest trochę za późno na odrabianie strat. Niemcy nie

próżnowali. Wywiad donosił od dawna, że testowali swoją broń pancerną na poligonach na Ukrainie. A my? Szkoda słów. No, ale defetystą nie można być do końca. Trzeba wierzyć! – Rowecki wyprostował się na krześle.

– Taaa, ja to też powtarzam mojemu synowi – uśmiechnął się Ochocki.

– A właśnie, co u niego? – zapytał pułkownik, dopijając kawę.

– Studiuje architekturę. Teraz wyjechał na wakacje pod Lwów. Poznaje rodzinne strony swojej matki.

– Nie chce w wojsku kariery robić jak ty?

– Chciał. Ja mu to wybiłem z głowy. Niech się uczy czegoś innego.

Rowecki uśmiechnął się tajemniczo.

– Tego się nie da wybić z głowy. Jeśli chciał, to będzie. Teraz albo później. Nie ma znaczenia.

– Oby nie – odpowiedział Ochocki.

Pułkownik zawahał się przez moment, po czym zapytał:

– A ty?

– Co, ja?

– Nie chciałbyś wrócić? – Rowecki zawiesił lekko głos, udając, że pytanie rzucone jest tylko mimochodem. – Mógłbym szepnąć tu i ówdzie. Znalazłby się dla ciebie etat. Potrzebujemy takich ludzi jak ty.

– To po to mnie tu wzywałeś, stary lisie! – Ochocki udał wzburzenie. Po czym dodał wesołym już tonem:

– Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Ja już wyczołgałem się na brzeg. Chyba raczej spasuję.

Rowecki popatrzył na niego uważnie. Nie zamierzał się poddać tak od razu.

– Praca w zbrojeniówce to też praca dla wojska. Ale to nie to samo, co służba...

– I niech tak zostanie! – przerwał mu Ochocki.

– A, gdybym cię potrzebował po?

– Po czym?

– Po wojnie?

– Wygranej czy przegranej?

– Przegranej...

Ochocki uważnie popatrzył na przyjaciela.

– Wiesz, że za takie gadanie...

– Wiem, wiem – Rowecki zniżył głos. – Ja tylko chcę się ubezpieczyć. Chcę wiedzieć, czy w razie czego mogę na ciebie liczyć. W konspiracji będą potrzebni tacy żołnierze jak ty.

– Zobaczymy, Stefan. W razie czego to i tak, szuje jedne, wyślecie mi kartę mobilizacyjną i zakujecie w kamasze!

Rowecki roześmiał się. Zawołał kelnera i powiedział rozbawionym tonem:

– To prawda! Wypijemy po kieliszku za to!



*L*ato na wsi różni się znacznie od tego spędzanego w mieście. Czas nie nabiera tu szalonej prędkości niczym pędzący Alejami Jerozolimskimi policyjny samochód. Wręcz przeciwnie. Upalne sierpniowe słońce zamieniało powietrze w gęstą galaretę, w której ciężko było oddychać, nie wspominając już o poruszaniu. Nawet krowy na łące szukały cienia,

redukując swe czynności życiowe do leniwego mielenia pyskiem. Jednak powszechnie panująca w mieście opinia, że chłop śpi, a w polu samo mu rośnie, daleka była od prawdy. Od rana do nocy okoliczne pola zapełniały się żeńcami. Żniwa rozpoczęły się na dobre. Od czasu do czasu można było usłyszeć metaliczny zgrzyt, kiedy trzymana wprawną dłonią oselka przywracała kosom i sierpom ich ostrość. Bedryczany zamieniały złote łany w ściernisko dłońmi swoich mieszkańców. Na te kilkanaście dni ludzie zapominali o wzajemnej niechęci i waśniach. Nie było na nie czasu. Zmęczeni pracą mężczyźni tylko wypatrywali około południa żon taszczących z domu garnki pełne jedzenia, a wieczorem schodzili z pól na wpół żywi.

Nie tylko spichlerze zapełniały się zebrany plonem. Leśna kryjówka Jegora i jego ludzi wzbogaciła swój asortyment o kolejne dwa karabiny typu Mauser. Operacja, przygotowywana w ukryciu od dawna, nabierała wreszcie kształtów. Niesnaski pomiędzy Ukraińcami a ich polskimi sąsiadami zaostrzały się coraz bardziej. Rozbudzona świadomość narodowa podsycana ideologią Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów powoli stawała się glebą, na której wyrosnąć miał niebawem owoc, niepodległe państwo ukraińskie. W ich wizjach nie było w nim miejsca dla tych, którzy nie byli rdzennymi Ukraińcami. Przygotowywana od dawna akcja miała na celu wysiedlenie albo zmuszenie do ucieczki głównie Polaków, którzy mogliby być zagrożeniem dla integralności mającego się narodzić państwa. Choć oficjalnie głównym wrogiem nadal pozostawał Związek Radziecki, to Polacy byli tak naprawdę pierwszym elementem, który miał zostać usunięty z ukraińskiej układanki. Swoje trzy grosze wtrącili również Niemcy. Hitlerowski wywiad wspomagał ukraińskich nacjonalistów w nadziei na to, że w razie wojny z Polską staną się siłą zdolną do wszczęcia antypolskiego powstania. Zredukowałyby to Wojsko Polskie na Kresach do roli strażaka gaszącego własne podwórko.

Ukraińcy mieli rozbrajać polskie patrole i siać terror na tyle skuteczny, żeby ludność cywilna bała się nawet wspomagać swoich żołnierzy. Do tego potrzebna była broń.

Część przerzucano ze Słowacji przez zieloną granicę. Trochę udawało się zdobyć na miejscu, choć przypadki kradzieży czy rozbrajania policjantów powodowały natychmiast ostre reakcje władz. Ograniczano więc tego typu akcje do minimum. OUN-owcy czekali. Byli gotowi. Teraz wszystko pozostawało tylko w rękach Hitlera.

Piotr zniknął z domu na całe dni. Rysował dużo, a szkice cerkwi deklasowały inną tematykę. Ciągnęło go w to miejsce. Czekał z nadzieją, że się doczeka. Niestety, Swieta nie pojawiła się więcej. Od kilku dni bezskutecznie wypatrywał jej postaci na drodze za ogrodem. Czasem tylko zauważał kościelnego przypatrującego mu się zza drugiej strony ogrodzenia. Dziewczyny jednak nie było.

Przestał zwracać uwagę na zaczepki Marty. Nie zauważał nawet, że jest ich coraz mniej. Kiedyś tylko złapał jej spojrzenie przy kolacji. Smutne, duże oczy wpatrywały się w niego przez chwilę, a potem zniknęły przysłonięte dłońmi, kiedy dziewczyna udawała, że coś jej wpadło pod powiekę. Lubił Martę, nawet bardzo. Niestety, nie umiał jej dać tego, na co czekała tak jak wyschnięty strumień czeka na deszcz. Nie mógł być tym deszczem. Zresztą nawet nie chciał. Gdy tylko zatapiał się w myślach, pod powiekami pojawiała się piękna Ukrainka. Nie wiedział o niej nic poza tym, że w ciągu sekundy stracił dla niej głowę. Wtedy w cerkwi w tej jednej sekundzie stał się innym człowiekiem. Bogatszym o żar w sercu, tęsknotę i to przekonanie, że obca osoba staje się bliższa niż najwierniejszy przyjaciel. Nie mógł przestać o niej myśleć i miał wielką nadzieję, że ona cierpi na dokładnie taką samą chorobę.

Nie pytał już o nic Marty. Wiedział doskonale, że nie może się nad nią

pastwić swoją ciekawością o inną kobietę. Wszystkiego musiał dowiedzieć się sam.

Któregoś dnia natknął się na panią Marię siedzącą na ganku i wyszywającą kolorową włóczką obrus. Przywitał ją i zszedł po kamiennych stopniach.

– Piotrusiu, poczekaj... – usłyszał za sobą.

Pani Maria milczała przez chwilę, jakby to, co miała do powiedzenia, ciążyło jej bardzo.

– Jak ci się u nas podoba? – zapytała, choć wiedział, że to tylko wstęp do właściwej rozmowy. Postanowił skrócić jej męki.

– Pani Mario, bardzo mi się podoba. Nie wiem, co powiedzieć. Chyba tyle, że to najlepsze wakacje w moim życiu. Domyślam się jednak, że nie o tym chciała pani porozmawiać.

Gospodyni uśmiechnęła się, nie podnosząc wzroku.

– Zupełnie jak twój ojciec, prosto do sedna – zawiesiła głos, szukając odpowiednich słów. Po chwili zaczęła ściszym głosem. – Kiedy umarł mój mąż, byłam w fatalnym stanie. To stało się tak nagle, że zaskoczyło nas wszystkich. Nie miałam ochoty wstawać z łóżka, a poduszki były nasiąknięte łzami. Jednak była jedna rzecz, która trzymała mnie w pionie i dzięki której stanęłam bardzo szybko na nogi. Musiałam trwać dla Marty. Cierpiałam, ale ważniejsze było to, że moje dziecko potrzebowało mnie wtedy dużo bardziej. Ogarnęłam się i mimo że dalej płakałam w nocy, starałam się jak mogłam, żeby Marta jak najłagodniej przeszła przez ten trudny czas. – Pani Maria odłożyła na bok obrus i włóczkę i oparła dłonie o kolana. Mówiła dalej. – Ciężko było nam obu. Mąż zostawił mnie ze wszystkim samą. Udało mi się jednak posłać Martę do najlepszego gimnazjum w Drohobyczu. Patrzyłam przez te wszystkie lata, jak kwitnie i pięknieje. Do teraz.

Piotr poczuł lód w żołądku.

– Od kiedy przyjechałeś, nie poznaję jej – westchnęła pani Maria. – Najpierw rozszczebiotana jak skowronek, teraz zamieniła się w mruka. Wiesz, dlaczego tak się dzieje? – zapytała nieoczekiwanie.

Piotr popatrzył na nią. Domyślał się, jak ciężko było jej, jako matce, podjąć tak delikatny temat.

– Wiem – odpowiedział.

– Piotrze, ja się domyślam, że nie czujesz tego, co ona – pani Maria mówiła z zaciśniętym gardłem. – Na początku bałam się, że zrobisz sobie z niej zabawkę i wykorzystasz ją. Jesteś młodym chłopcem i ja to rozumiem. Ale postanowiłam sobie dawno temu, że nie pozwolę jej skrzywdzić nikomu. Nawet tobie.

Patrzył uważnie na gospodynię i wstydził się. Nie zrobił nic złego, a jednak wiedział, że to właśnie jego zachowanie jest problemem.

– Piotrusiu, za jakiś czas wyjedziesz, a ona tu zostanie. Będzie cierpieć tak czy inaczej. Nie dodawaj jej ciężaru już teraz. Nie odtrącaj jej zupełnie. Rozmawiaj z nią. Ona chłonie takie chwile jak gąbka wodę. Nie każę ci zalecać się do niej, ale nie chcę, żebyś był dla niej jak obcy zimny człowiek.

Piotr spuścił głowę. Nie miał nic do powiedzenia. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko przytaknąć.

– Postaram się, pani Mario. To nie tak, że ja nie chcę...

Przerwała mu w pół słowa.

– Po prostu jej nie skrzywdź.

Podniósł wzrok i popatrzył na nią. Siedziała zamyślona, patrząc gdzieś w głąb podwórza. Nie chciał przedłużać tej kłopotliwej rozmowy. Uśmiechnął się i powiedział:

– Nie skrzywdzę jej, pani Mario. Niech pani będzie spokojna...

Odchodził w stronę stodoły. Zostawił za sobą matkę Marty siedzącą dalej na schodkach. Nie wiedział tylko, dlaczego czuł się jak złodziej przyłapany

na kradzieży zegarka.

Nie poznawała zupełnie samej siebie. Niby wszystko było po staremu. Obowiązki w domu, przygotowywanie posiłku pracującym w polu ojcu i bratu. Wszystkie czynności wykonywała sumiennie i starannie jak zwykle. Wstawała wcześnie rano, pracowała w pocie czoła przez cały dzień, po czym kładła się do łóżka, kiedy wszyscy już dawno spali. Ciało poddawało się codziennemu rygorowi z uległością niewolnika, ale jej w tym wszystkim nie było w ogóle. Od kilku dni mieszkała myślami w cerkwi. I kiedy dłonie gniotły ciasto na pierogi, ona obracała się zaalarmowana szelestem, żeby spojrzeć po raz kolejny na tego nieznanego chłopaka. I znowu, i znowu... a przecież nie wiedziała nawet, jak mu na imię.

Tego dnia w cerkwi długo rozmawiała z Witalijem. Na początku próbował ją przekonać, że znajomość z Polakiem ściągnie na jej głowę masę problemów. Roześmiała się wtedy pobłaźliwie. Czy można mówić o znajomości, jeśli spotkanie trwało krócej niż zmówienie pacierza? Witalij popatrzył jednak na nią z politowaniem. Wypowiedział wtedy zdanie, które zapadło jej głęboko w pamięć, stłumiło śmiech i sprawiło, że zaczerwieniła się ze wstydu.

– Córcia, o znajomości nie można mówić, ale o kochaniu jak najbardziej.

Wiedziała, że ma rację. Powinna była zapomnieć o tym chłopaku, nie myśleć i w żadnym wypadku nie próbować nawiązywać kontaktu. Jegor, gdyby się dowiedział, wpadłby w szal. Było więcej niż pewne, że chłopiec nie opuściłby Bedryczan w jednym kawałku. O siebie też się bała. W tym przypadku nawet ojciec by jej nie upilnował. Kto wie, może nawet on sam stanowiłby dla niej największe zagrożenie. Łudziła się, że może po kilku dniach ogień trawiący ją od środka zamieni się w przytłumiony płomień i w końcu zasypie rozharatane serce warstwą popiołu. Na próżno. Na

dodatek, jakby wszystkiego innego było mało, pojawiła się nowa rzecz. Tej nie spodziewała się za nic w świecie. Przecież go nie znała, a jednak... tęskniła.

Nie chodziła do cerkwi. Nie miała czasu. Pomoc w domu pochłaniała ją całymi dniami. Jegor nie pojawiał się od dawna. Zapytała o niego ojca, ale ten zbył ją jakimś banałem o pilnym wyjeździe. Ucieszyło ją to. Nie musiała się przynajmniej martwić o to, że natarczywy Jegor wyczuje już nawet nie jej niechęć, ale totalną obojętność. Dopóki stawiała opór, stanowiła wyzwanie, które tylko podniecało Ukraińca. Jeśli jednak zauważy, że jest dla niej jak powietrze, zacznie węszyć. Tacy ludzie jak on, zdobywcy, muszą czuć szarpnięcie za uzdę. Obojętne czy powodowane miłością czy nienawiścią. Ważne, żeby było. Wtedy czują więź. Obojętność to znak, że zdobycz wymyka im się z rąk. Jeszcze kilka następnych i może uda jej się wymknąć do cerkwi. A wtedy, kto wie...

12



— Coś ty za jeden? — nagłe pytanie wyrwało go z odrętwienia. Zerwał się z miejsca, nie zważając na rozsypujące się na trawie ołówki i kartki. Wystraszył się. Przed sobą zobaczył trzech nieznajomych. Jeden z nich, stojąc na uboczu, patrzył gdzieś w bok, jakby ubezpieczając całą grupę. Drugi przypatrywał mu się bacznie. Ten stojący najbliżej z uwagą spoglądał na porozrzucane rysunki. Piotr był zły na siebie. Dał się podejść jak młokos. Na dodatek nawet nie wiedział komu.

– A kto pyta? – Piotr mimo zaskoczenia nie miał zamiaru tłumaczyć się nieznanym. Nie spodobało się to raczej przybyszom, gdyż postanowili kontynuować przesłuchanie. Piotr usłyszał kolejne pytanie.

– A w ucho chcesz?!

Szybka analiza sytuacji oraz błyskawicznie przeprowadzony rachunek zysków i strat podsuwały Piotrowi tylko jedno właściwe rozwiązanie. Powinien podkulić ogon i grzecznie się wycofać. Niestety, popołudnia spędzane w towarzystwie warszawskich chłopaków z sąsiedztwa zaowocowały alergią na jakąkolwiek próbę nacisku. Zamiast więc zachować się rozsądnie, Piotr wybrał wariant obrony za pomocą ataku. Rzucił na ziemię trzymaną w dłoniach torbę i stanął w lekkim rozkroku. Dłonie zacisnął w pięści.

– Zapraszam – powiedział najbardziej stanowczym głosem, jaki udało mu się wydobyć. Wystarczyło jednak, żeby tamci popatrzyli na niego zdziwieni. Nie spodziewali się po nim takiej reakcji. Ten stojący najbliżej spojrzał na swoich kompanów niezdecydowany. Nie uśmiechało mu się wszczynanie bijatyki. Jednak jego towarzysz postanowił zadziałać. Ruszył w stronę Piotra szybkim krokiem z pochyloną głową. Stojący na uboczu mężczyzna postanowił jednak przerwać dobrze zapowiadającą się zabawę.

– Józek, stój! – jego mocny głos osadził w miejscu atakującego, który stanął, dysząc ciężko, i patrzył spode łba na Piotra. Tamten spokojnym krokiem szedł w stronę całej reszty. Wyminął swoich towarzyszy i przystanął przed Piotrem. Chłopak obserwował go uważnie. Wyglądający na starszego od swoich kompanów mężczyzna o gabarytach średniej wielkości szafy trzymający w ustach źdźbło trawy swoją posturą i wyrazem twarzy wysyłał jednoznaczny przekaz: „Wyprowadź mnie z równowagi, a udasz się do nieba jeszcze dziś”. Piotr spojrzał mu w oczy i prawie natychmiast skierował wzrok gdzie indziej. Spojrzenie tamtego było zimne i bezwzględne. Ostre jak miecz.

Piotr wiedział, że nie ma najmniejszych szans. Stali tak w ciszy przez kilka chwil. Przerwał ją nieznajomy.

– Nie szukaj kłopotów, jeśli nie będziesz w stanie dać im rady – powiedział niskim i spokojnym głosem. – Edzio zadał ci proste pytanie. Nie znamy cię, a bardzo nie lubimy, jak obcy węszą wokół naszej wsi. – Jego wzrok nadal przeszywał Piotra na wskroś.

– Nie jestem obcy. – Chłopak stracił już cały animusz do walki. – Pochodzę stąd.

Tamten podniósł brew w zdziwieniu, ale nie skomentował tego. Czekał wyraźnie na dalsze słowa Piotra, który stwierdził, że oprócz zębów nie ma nic do stracenia. Mówił więc dalej.

– Przyjechałem na wakacje. Z Warszawy. Moja matka pochodziła z Bedryczan. Ochocka, znaczy z domu Kowalewska.

Na dźwięk tego nazwiska nieznajomy ożywił się.

– Z tych Kowalewskich, co mieszkali obok szkoły? – zapytał zdziwiony.

– Tak. – Piotr rozluźnił mięśnie, gdy zobaczył na twarzy tamtego grymas uśmiechu. – Dziadkowie już nie żyją, a ja zwiedzam rodzinne strony. Mieszkam u Kosieckich.

– U Marty! – Ten nazwany Edkiem wyszczerzył w uśmiechu nie całkiem kompletny garnitur zębów. – Szczęściarz! Taka kobitka...

Piotr, cały czas gotowy do konfrontacji, rzucił szybkie spojrzenia na swoich rozmówców. Edek, chłopak mniej więcej w jego wieku, był od niego niższy. Lekko puciołowata twarz pasowała do nieco wystającego zza paska od spodni brzucha. Uśmiechał się teraz szeroko, patrząc przyjaźnie na Piotra. Niestety, Piotr najwyraźniej jednak nie przypadł do gustu walecznemu Józkowi. Chudy chłopak dalej łypał na niego ponuro, zły, że przerwano mu zabawę. Wyglądał nieco komicznie w przydużej koszuli wiszącej na jego szczupłych ramionach jak na wieszaku.

Stojący zaś przed nim wielkolud nie spuszczał z niego wzroku. Ocena musiała wypaść pozytywnie, gdyż wyciągnął wielką niczym księżyc w pełni dłoń i przywitał się:

– Michał jestem.

Piotr podał mu rękę, która zniknęła w łopacie Michała. I pewnie tylko przez kurtuazję nie została natychmiast zmiażdżona w stalowym uścisku.

– Piotr Ochocki.

– No więc Pietrek – oczy Michała straciły nieco ze swojej ostrości – co porabiasz tutaj pod lasem, daleko od wsi?

Piotr rozluźnił mięśnie. Widmo bijatyki oddaliło się już na bezpieczną odległość.

– Rysuję. Stąd mam najlepszy widok na całą wioskę.

Wzgórek, na którym stali, górował nad okolicą. Przed nimi w dole rozciągała się cała panorama Bedryczan. Widać było wyraźnie łąkę w środku wsi i kościelną wieżę. Michał popatrzył w tamtym kierunku, potem rzucił okiem na szkice Piotra i pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Prawda, widok przedni. Aaaa... – zawiesił na chwilę głos, jakby się zastanawiał, czy mówić dalej – nie widziałeś, żeby się kto tu kręcił?

– Widziałem. – Piotr odzyskiwał pewność siebie. – Trzech typów spod ciemnej gwiazdy.

Edek i Józek popatrzyli z uwagą na niego.

– Kto? Kiedy?

– Edek, Józek i Michał. Teraz.

Józkowi dowcip chyba nie przypadł do gustu, bo fuknął pod nosem wściekły.

– Pytam poważnie – w głosie Michała dało się wyczuć determinację. – Widziałeś kogoś w lesie?

Piotr pokręcił przecząco głową.

– Nikogo. Zresztą do lasu nie wchodziłem. A wy co tu robicie?

– Ryby łowimy – burknął Józek, a Edek natychmiast wybuchnął rechotem.

Michał położył dłoń na ramieniu Piotra, który mógłby przysiąc, że to nie ręka, ale stukilogramowy worek z węglem.

– Jesteś w porządku – powiedział Michał. – Rysuj dalej. My pójdziemy połowić ryby. Gdybyś kogoś podejrzanego zobaczył, to daj znać. Można mnie spotkać przy starej leśniczówce. Wiesz, gdzie to?

Piotr pokręcił przecząco głową.

– Zapytasz Marty. Ona ci powie. To mądra dziewczyna. Uważaj na Ukraińców, mogą być niebezpieczni. Trochę się tu nie lubimy nawzajem.

– Spotkałem już Jegora – wtrącił Piotr – ale obyło się bez kłopotów.

– Uważaj na niego. Niebezpieczny typ. Jak wleziesz mu na odcisk, to nie popuści, dopóki się nie odegra. Czasy nie są najlepsze. Trzeba mieć oczy dookoła głowy i być gotowym.

– Będę pamiętał – odpowiedział Piotr.

Michał uśmiechnął się do niego, kiwnął głową na swych towarzyszy i w ciągu kilku sekund nie było po nich śladu.

Piotr zabrał się do zbierania porzrzuconych kartek i ołówków. Myśli jednak kotłowały mu się intensywnie pod czaszką. „Kim oni są?”, „Kogo szukają?”, „Co to za, ryby które chcą w lesie ułowić?”. Stracił ochotę na rysowanie. Zrzucił torbę na ramię i odszedł w kierunku wsi.

Dwie pary oczu śledziły czujnie jego każdy krok.

– Będzie sprawiał kłopoty? – zapytał właściciel jednej z nich w śpiewnym języku. – Strasznie się kręci wszędzie. Jeszcze coś wypatrzy.

– Jak wypatrzy, to nie zdąży nawet pisać – odpowiedział mu drugi

głos. – Musimy Jegorowi powiedzieć, że Lachy wężą wokół kryjówek.

13



Widziała go dzisiaj. Schodził z górki pod lasem. Serce podskoczyło jej aż do gardła. Nigdy nie przypuszczała, że radość może odbierać dech. Ojciec nie zauważył uśmiechu na jej twarzy, ale brat zaczął się jej podejrzliwie przyglądać. Siedziała obok nich i nie mogła się powstrzymać od spoglądania w kierunku przechodzącego w oddali Piotra. Nie widziała go dokładnie, ale rozpoznałaby jego sylwetkę nawet gdyby słońce zgasło. Mężczyźni jedli w milczeniu posiłek przygotowany przez matkę, a ona zagryzała wargi, żeby nie zdradzić przed nimi żadnych emocji. Przez kilka ostatnich dni biła się z myślami. Nie chciała narażać nieznanego Polaka na żadne niebezpieczeństwo. Nie znała go nawet. Próbowwała o nim zapomnieć, ale natura ludzka jest przekorna. Wystarczy obiecać sobie, że nie będzie się myśleć o różowych słoniach, żeby ich stada natychmiast zapełniły wyobraźnię i każdy wolny skrawek myśli. Im bardziej starała się zapomnieć, tym częstszym gościem w jej myślach stawał się „jej Lach”, jak go w myślach nazywała.

– Świeta! Głuchaś, czy co? – głos Danyły przedarł się przez kłębowisko myśli. – Mówię, że jutro wraca Jegor.

– Niech wraca, co mnie do tego. – Otrząsnęła się z zamyślenia. – Czy ja jestem jego anioł stróż, żeby wszystko o nim wiedzieć?

Ojciec popatrzył na nią gniewnie.

– Dziewczyna, ty bacz na słowa. To twój narzeczony jest! – powiedział cierpko.

– Chyba wasz, tato – odcięła się chłodno. – Bo ja sobie nie przypominam, żeby on mnie o cokolwiek prosił. O proszeniu o rękę nie wspominając. To wyście się zgodzili, nie ja.

– Zgłupiała do reszty! – rzucił z pogardą jej młodszy brat, Oleg. – Chomąto jej na szyję i tyle!

Popatrzyła na niego lodowatym wzrokiem.

– Krowy ci pasać, wymoczku, a nie z kobietami rozmawiać! A jakżeś taki odważny, to chodź i sam mi załóż!

– Spokój! – głos Danyły przyprowadził do porządku kłócące się rodzeństwo. – Oleg, do krów! Tfu! Co ja gadam! Do kosy! Święta, do domu! I żebym cię nie widział tu do wieczora. Jegor przyjedzie, to zrobi z tobą porządek.

– Jego niedoczekanie... – powiedziała Święta pod nosem na odchodnym.

– Co tam miauczysz? – dosięgnął ją ostry głos ojca.

– Nic.

– No, ja myślę – zakończył dyskusję Danyło.

Rusłana odgarnęła włosy z czoła. Zebrała je spinką i wróciła do zagniatania ciasta. Nie cierpiała gotowania, jednak dzisiaj nie przeszkadzało jej ono tak bardzo. Za chwilę obudzi się jej mężczyzna i nie może być głodny. O to, żeby nie był spragniony, zadbała już wcześniej. Starła się przez cały ranek, żeby dostał to, po co przyszedł. Do tej pory czuła jego silne męskie dłonie na swoich biodrach i piersiach. Teraz musi się postarać, żeby zaspokoić też jego głód. Nie ma na to lepszego sposobu niż pierogi.

Jej mąż wyjechał nagle z rozkazu organizacji na ważne szkolenie gdzieś w bieszczadzkich lasach. Nie będzie go jeszcze przez dwa dni. Dziękował dowódcy za to wyróżnienie, na które czekał od dłuższego czasu, obiecując, że się odwdzieczy. Nie musiał. Dowódca bowiem odebrał sobie wszystko z nawiązką. Jeszcze tej samej nocy rozgrzane do czerwoności uda Tarasowej żony trzykrotnie drżały z rozkoszy. Wszystko poszło zatem zgodnie z planem. Teraz Rusłana czekała tylko, aż Jegor się obudzi.

To nie tak, że nie kochała męża. Wręcz przeciwnie. Taras to dobry chłop, poczciwy, gotowy w każdej chwili oddać życie za wolną Ukrainę. Rusłanę nosił na rękach. Nie brakowało jej niczego. Może poza jednym. Takim zakochaniem aż do utraty zmysłów. Wszystko się zmieniło, odkąd poznała Jegora, mocnego, silnego mężczyznę, zdobywcę. Ogień zapłonął w niej natychmiast, a ugasić mógł go tylko jeden strażak. I gasił. Za każdym razem, gdy tylko była okazja. Wprawdzie ostatnio takie chwile zdarzały się jakby rzadziej, ale kiedy już trzymał ją w ramionach, wynagradzał jej wszystko po stokroć.

Nie rozumiała zupełnie szwagierki Swiety. Jak można bronić się przed takim mężczyzną jak Jegor? Złościło ją to. Gdyby to ona mogła wyjść za niego, nie wahałaby się nawet sekundy. Pamiętała dobrze ten dzień, kiedy zapłakana Swieta żaliła się na to, za czym ona poszłaby w ogień. Z zazdrości nie potrafiła się już wyleczyć. Zaczęła unikać szwagierki, żeby nie musieć wysłuchiwać jej bzdurnych narzekań. Niestety, już niedługo będzie musiała zacząć dzielić się z nią swoim Jegorem. A to doprowadzało ją do furii jeszcze bardziej.

Na razie jednak chłopak należał tylko do niej. Już ona wiedziała dobrze, jak sprawić, żeby chciał wracać do niej jak najczęściej.



Wracił do domu po zmroku. Nieodłączna torba ze szkicownikiem dyndała na jego ramieniu, objając się o biodro. Późnym popołudniem wybrał się na ukraińską stronę rysować kościół. Pokręcił się trochę po sąsiadującym z nim cmentarzu, a później rozłożył swój majdan na małej łące przy posągu Chrystusa rozpościerającego ręce na boki. Murowana świątynia z dwiema wieżami widoczna była z tego miejsca idealnie. Upalny dzień rozleniwił Piotra na tyle, że rysunek kończył dopiero, kiedy słońce zbliżało się już do horyzontu. Przez cały czas miał nadzieję, że jakimś dziwnym trafem zobaczy przechodzącą gdzieś nieopodal Świętę. Nie zobaczył. Zrezygnowany postanowił jeszcze przejść kawałek drogą wzdłuż zabudowań, zanim wejdzie na łąkę i skróci sobie drogę. Nie łudził się, że przez okno któregoś z przydrożnych domów wypatrzy piękną Ukrainkę, jednak mimo to zaglądał w prawie każde. Nie zauważył więc dwóch postaci idących drogą z naprzeciwka. Gdy usłyszał ich głosy, było już za późno na to, żeby stać się niewidzialnym za pomocą susa za jakiś płot. Szedł więc drugą stroną drogi tak, żeby niczym nie zwrócić na siebie uwagi przechodniów. W tej części wsi było prawie pewne, że obaj są Ukraińcami. Piotr niekoniecznie chciał jako przyjezdny ryzykować awanturę z miejscowymi, zwłaszcza że starszy był nasączony bimbrem jak gąbka wodą. Śpiewał przy tym jakąś skoczną piosenkę.

Gdy już prawie się zrównali, „Gąbka” popatrzył na Piotra, uklonił się i wymamrotał:

– Sława Chrystu!

Zaskoczony Piotr nie wiedział nawet, jak się odezwać. „Gąbka”

najwyraźniej zawiedziony brakiem odpowiedzi postanowił przyjrzeć się bliżej nieznanemu. Przeszedł dziarsko na stronę Piotra i przypatrzył mu się uważnie, łypiąc na niego jednym okiem, a drugie mrużył komicznie.

– Zwidky ty?! – zapytał natarczywym tonem. Piotr na wszelki wypadek cofnął się o krok. W chwili gdy próbował wyminąć natręta, jego towarzysz, młody chłopak, złapał tamtego za rękę.

– Bat’ko, pidemo...

Tamten jednak wyszarpnął rękę z uścisku syna i ruszył w kierunku Piotra, który zacisnął pięści gotowy do konfrontacji. Chłopak skoczył za ojcem i przytrzymał go od tyłu.

– Idy wże! – krzyknął do Piotra, który natychmiast przebiegł obok nich. Gdy odwrócił głowę, zobaczył jak „Gąbka” bije syna, krzycząc na niego głośno. Alkoholowy trans musiał znaleźć ujście, a zdobycz za sprawą syna właśnie mu się wymknęła. Wyładowywał więc na nim swą złość. Piotr nie planował swojej reakcji. Zanim pomyślał, krzyczał już w kierunku Ukraińca:

– Zostaw go, łachudro!

Jednak stary okładał syna pięściami jak w amoku. Chłopak zakrył głowę rękami, lecz kilka chaotycznych ciosów przedarło się przez tę zasłonę. Piotr doskoczył do starego i szarpnął go za ramię. Tamten obrócił się bezwładnie i straciwszy równowagę, runął na ziemię. Próbował się podnieść, mamrocząc pod nosem: „Lach proklatyj...”.

Piotr nie czekał, aż mężczyzna wstanie do końca. Złapał go za klapę marynarki i uderzył. Pięść wylądowała na twarzy Ukraińca, pozbawiając go przytomności. Jego syn podniósł się obolały i patrzył na scenę przed nim z przerażeniem w oczach.

– Szczo ty zrobyw?! – zawołał do Piotra i podbiegł do ojca. – Bat’ko! Bat’ko! – Próbował go ocucić, klepiąc w policzki. Obrócił głowę w kierunku Piotra i popatrzył na niego z nienawiścią.

– Ty joho wbyw! – wycedził przez zęby. W tym momencie leżący na ziemi Ukrainiec zakaszłał, odzyskując przytomność. Jednak chłopak nie zwrócił na to uwagi, krzycząc na całe gardło: – Wbywcja! Riznyk!

Nie trzeba było długo czekać na efekt. Z okolicznych chałup zaczęli wychodzić ludzie zaalarmowani krzykiem. Przy leżącym na ziemi mężczyźnie zebrał się już mały tłum. Jednak Piotr już tego nie widział. Pędził przez łąkę w kierunku polskiej części wsi. Gdy przystanął przy strumieniu i obejrzał się za siebie, zobaczył pościg złożony z kilku postaci. Nie miał czasu na odpoczynek.

Ruszył pędem przed siebie. Nie pobiegł jednak do domu Kosieckich stojącego na skraju łąki. Nie chciał kobietom ściągnąć na głowę dyszących żądzą odwetu, ścigających go problemów. Przebiegł obok ogrodu, minął go i wpadł na plac przed cerkwią. Słyszał za sobą krzyki biegnących za nim Ukraińców. Pobiegł za świątynię w nadziei, że ścigający nie wpadną na pomysł, żeby go tu szukać i pobiegną dalej. Stał chwilę nieruchomo, aż poczuł, jak czyjaś ręka zaciska się wokół jego ramion, a obca dłoń zakrywa usta, dławiąc krzyk przerażenia.

– Ciiiiii, nie krzycz. Nic ci nie zrobię – usłyszał tuż przy uchu lekko zabarwiony wschodnim akcentem szept. – Będziesz spokojny?

Piotr pokiwał twierdząco głową. Tamten puścił go, a chłopak natychmiast się obrócił. Nie widział wyraźnie w ciemności, ale domyślił się, z kim ma do czynienia.

– Chodź ze mną – powiedział tamten i ruszył w kierunku przycerkiewnej chaty. Piotr wahał się przez moment, ale w końcu poszedł za nim.



Weszli do ciemnego pomieszczenia. Po chwili zapłonęła mała lampka. W jej świetle Piotr dostrzegł twarz kościelnego. Wciąż jeszcze nie wiedział, co powiedzieć, zaskoczony tym, że właśnie tu znalazł schronienie. Kościelny popatrzył na niego, jakby czytał w jego myślach. Wyciągnął rękę do powitania.

– Witalij jestem.

– Piotr Ochocki. Z Warszawy.

– Dam ci mleka i coś do jedzenia, a ty mi opowiesz w tym czasie, co się tam zdarzyło – powiedział gospodarz spokojnym, mocnym głosem. – Siadaj przy stole. Nie bój się, tu cię nie będą szukać – dodał, widząc, że Piotr ciągle rozgląda się na boki nerwowo.

Na stole wylądował chleb, wielki kawał kielbasy, osełka masła i ser. Witalij krzątał się po kuchni, a Piotr krótko streścił mu przebieg całego wieczoru.

– Nie możesz wrócić dzisiaj do domu – powiedział Witalij, gryząc kielbasę i patrząc na chłopaka uważnie. – Ściągniesz nieszczęście na siebie, na Marusię Kosiecką i Martę, gdyby cię szukali u nich.

Piotr zakrył twarz dłońmi.

– Tych dwóch, widziałeś ich wcześniej? Znają cię?

Pokręcił głową.

– Co by się stało, gdyby mnie znaleźli u Kosieckich? – zapytał.

Witalij popatrzył na niego z ironicznym uśmiechem.

– Wściekła banda Kozaków szukająca zemsty, osaczona zdobycz – wskazał palcem na Piotra – i dwie bezbronne kobiety. Jak myślisz, co by się stało? Ty – Piotr ponownie zobaczył wycelowany w siebie palec – ty pewnie

trup. One? Na mordzie by się raczej nie skończyło. Przynajmniej nie od razu.

– Pan żartuje, prawda? – Piotr nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

– A wyglądam na żartownisia? – Gospodarz popatrzył chłopakowi prosto w oczy. Piotr spuścił głowę i westchnął ciężko.

– Nie chciałem zrobić nic złego. Po prostu broniłem tego chłopca... Zresztą, staremu nic się nie stało. Widziałem, jak się ruszał. Tylko ten chłopak darł się jak opętany...

– To nie ma już znaczenia – Witalij mówił spokojnie, przegryzając ser pajdą chleba. – Mechanizm zadziałał i teraz trybiki kręcą się same. Nie obchodzi ich już, czy jesteś winny, czy nie. Szukają cię i chcą zemsty. Tu wszystko od dawna wisiało na włosku. Przez trzy lata był względny spokój. Teraz już sam nie wiem, jak to się skończy.

Piotr nagle przypomniał sobie swoją rozmowę z Martą. Wspominała coś o wydarzeniach sprzed trzech lat, ale nie chciała zdradzić szczegółów.

– Panie Witaliju, co stało się trzy lata temu?

Kościelny, beznamiętnie przeżuwając kolejny kęs, odpowiedział:

– Nieciekawa historia. Mieszkał tu kiedyś z żoną Piotrowski, Polak. Złapał ją raz na zdradzie z Ukraińcem. Wściekł się i chciał go zabić. Tamten jednak uciekł. Niestety, Piotrowski był policjantem. Doniósł gdzie trzeba, że ten Ukrainiec jest członkiem OUN. Przyjechało wojsko i wpadło mu do chaty. Nic nie znaleźli, bo akurat ten młody w organizacji nie był. Ale Piotrowski nie mógł przeboleć, że nic na niego nie mają. Korzystając z zamieszania, zastrzelił tamtego, mówiąc, że się na niego rzucił. Chatę spalono do gołej ziemi, a rodzinę wygnano. Później wyszło, że ten Ukrainiec wcale nie chędożył Piotrowskiej. Przyszedł po prostu do nich po radę. Myślał, że Piotrowski jako policjant mu pomoże. Ten jednak, zazdrosny do nieprzytomności, bo babę miał ładną, oskarżył ją i jego o cudzołóstwo.

Witalij przerwał opowieść i podniósł do ust kubek z herbatą.

– I co? Co było dalej? – Piotr ponaglił go zniecierpliwiony.

– Nic. We wsi wrzało jak w ulu. Mało brakowało, a Ukraińcy ruszyliby na Polaków. Bali się jednak wojska. Ale dwie chałupy poszły z dymem. W tym ta Piotrowskiego.

Piotr słuchał Witalija z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Nie przerywał mu jednak.

– Piotrowscy wyjechali, a właściwie zostali wyrzuceni ze wsi. Polacy powiedzieli, że ich tu nie chcą, a Ukraińcy uznali to za przeprosiny. No i spokój zapanował. Kruchy, jak to w takich sytuacjach bywa, ale jednak spokój. A teraz ty i ta bójka...

Piotr poczuł, że cała ta sytuacja zaczyna go przerastać. Nie tego się spodziewał, przyjeżdżając do Bedryczan. Zamiast cieszyć się ciszą, spokojem i wiejskim powietrzem, wpadł w środek polsko-ukraińskiego konfliktu. Jakby tego było mało, teraz sam stał się przyczyną, dla której banda uzbrojonych w widły Ukraińców biega nocą po wsi. Wyprostował się na krześle, odchylając głowę do tyłu. W pomieszczeniu zapadła cisza, przerywana z rzadka mlaskaniem Witalija przeżuwanego ostatnie kęsy kiełbasy. Gdy po chwili spojrzął na stół, zobaczył przed sobą szklanę wypełnioną do połowy klarownym płynem.

– Woda? – ironicznie zapytał. Witalij parsknął śmiechem.

– Woda ukraińska, z porannego udoju.

Piotr odstawił szklanę na bok.

– Ja nie piję.

– A ja nie jem – odpowiedział mu kościelny, z powrotem stawiając przed nim szklanę. Piotr pokręcił odmownie głową, na co Witalij zareagował wzruszeniem ramion. Podniósł swoją szklanę do ust i pochłonął jej zawartość jednym haustem. Przygotowany jako zakąska chleb ze słoniną

pozostał nietknięty. Piotr uśmiechnął się, kiwając głową z niedowierzaniem, choć nie było mu do śmiechu.

– Panie Witaliju – przerwał po chwili ciszę – proszę mi powiedzieć... – zawahał się przez moment – dlaczego mi pan pomógł?

Kościelny nie przerywał zucia, ale chłopakowi wydawało się, że przez jego twarz przebiegł grymas, jakby nie do końca wiedział, jakiej udzielić odpowiedzi. Piotr przyjrzał mu się dokładniej. Poorana zmarszczkami twarz, ozdobiona sporymi wąsami, nie zdradzała żadnych emocji. Nie potrafił odgadnąć wieku mężczyzny, ale domyślał się, że Rusin przekroczył już piąty krzyżyk. Jego krępa postać usadowiona za dębowym stołem pochyliła się nad nim w zamyśleniu. Piotr spojrzał w oczy Witalija. Nie zobaczył w nich wrogości. Wiedział, że nic mu tu nie grozi. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że gdyby zaszła potrzeba, to w ciągu sekundy ten pocziwy chłop zmieniłby się w zwinnego i groźnego przeciwnika. Pamiętał go dobrze z cerkwi, kiedy mógł zgasić jego życie jak płomień świecy. Nie, z tym człowiekiem lepiej nie zadzierać.

– Dlaczego, panie Witaliju? – powtórzył swe pytanie.

Kościelny westchnął.

– Bo byłeś niewinny – odpowiedział od niechcienia.

Piotr jednak nie dał się zwieść zdawkowym wytłumaczeniem.

– Ale tego pan jeszcze nie wiedział, gdy chował mnie pan w swoim domu.

Witalij popatrzył na niego i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „A niech tam”.

– Bardzo szanuję Marusię Kosiecką. Martę zresztą też. Nie chciałbym, żeby spotkała je jakakolwiek krzywda. Gdyby cię złapali, to trafiliby pewnie też do nich. A po co? – Witalij zawiesił głos. – Poza tym gdybym tego nie zrobił, to pewna panna rozszarpałaby mnie na strzępy, zanim zdążyłbym

mlasnąć.

Piotr poczuł, że robi mu się gorąco. Nie patrząc na kościelnego, zapytał, z trudem kryjąc emocje:

– Jaka panna?

– Już ty dobrze wiesz, jaka – Witalij zaśmiał się z przekąsem. Po chwili dodał, kręcąc głową:

– Oj, głupieście dzieci, głupie... Co wam do łbów zakutych strzeliło, żeby się tak zakałapućkać...

– Ona... ale – Piotr czuł, jak jego policzki płoną – ona mnie lubi?

Kościelny uderzył się otwartą dłonią w czoło.

– Co za baran, Boże mij! – Patrzył z rozbawieniem na to, jak chłopiec miota się, nie wiedząc nawet, o co zapytać. Wreszcie spowaźniał i powiedział: – Piotrze, posłuchaj ty mnie. Święta nie jest dla ciebie. Ona już obiecana takiemu jednemu. Nie przeskoczysz tego.

– Jak to obiecana?! – Piotr aż zerwał się z krzesła. – Komu?!

– Ciii – Witalij położył palec na ustach – bo mi żonę i dzieci pobudzisz. A coś ty myślał, że to bajka jakaś? Przyjechał królewicz z miasta. Pstryknął palcem i piękna dziewczka od razu na jego skinienie?

Piotr pokręcił głową. – To nie tak, proszę pana...

– Ja wiem jak. Ale posłuchaj. Jeśli się oboje nie uspokoiacie, to napytacie sobie strasznej biedy. Wiesz, czyja to córka?

Piotr zaprzeczył ruchem głowy.

– Wiesz, co to OUN, chłopcze? To bojowcy, psia ich mać. Jej ojciec to ważna figura u nich. Niby to tajne, a i tak wszyscy wiedzą. Szykują się na powstanie...

– Przeciw komu?

– Przeciw wam, Lachy. – Witalij ze spokojem zapalił świeżo nabitą fajkę.

W pomieszczeniu rozszedł się zapach wiśniowego tytoniu. – Oni będą walczyć o wolną Ukrainę. Niemcy już im pomagają. A wojna za pasem. Jak tylko się zacznie, ruszą. Będziecie się z nimi musieli użerać jak z kundlami szarpiącymi po nogawkach. Pół biedy, jak z wojskiem będą się bić. Ale gorzej, jak dowodzić będą tacy jak Jegor, młodzi zapaleńcy. Wspomnisz moje słowa. Kresy, jak to nazywacie, spłyną krwią. Pod nóż pójda wszyscy, mężczyźni, kobiety, dzieci... – Popatrzył uważnie na chłopaka. – A Swieta właśnie Jegorowi obiecana. Jeśli on się domyśli, że się zakochała, to lepiej, żeby się nie narodziła. Nawet Danyło, jej ojciec, może jej nie ustrzec. Wiesz, co pies z nieposłuszną suką robi? – powiedział, patrząc na chłopaka, który słuchał go z rozdziawioną gębą. – Za gardło gryzie.

– A ona... zakochana? – Piotr nie dawał za wygraną.

– Ile razy dzisiaj mam powtórzyć słowo „baran”? Ech – kościelny westchnął z politowaniem – zakochana, zakochana. Tylko co z tego zakochania?

Piotr z determinacją wbił wzrok w blat stołu.

– Ja ją ochronię!

Salwy śmiechu, jaka rozległa się w pomieszczeniu, nie powstydziliby się najlepszy warszawski kabaret. Witalij ocierał łzę z oka, rechocząc na tyle głośno, że zza ściany dobiegło ich łomotanie pięścią i głos: – Cicho tam! Po nocach spać nie dają!

Mężczyzna patrzył na chłopca z pobłażaniem.

– Ochronisz, powiadasz?

– Potrafię się bić! – powiedział hardo Piotr.

– Nie wątpię, chłopcze. – Z głosu Witalija zniknęła wesołość. – Ale czy potrafisz zabić? Zabiłeś już kogokolwiek? – zapytał, a kiedy nie otrzymał odpowiedzi, mówił dalej: – A jeśli ona umrze, jeśli odda życie za tę twoją miłość? Będiesz mógł z tym żyć? Nie, chłopcze, to nie wasze *Ogniem*

i mieczem, a tyś nie Skrzetuski. Tu Bohun rządzi twardą ręką i pewniej pchnie ją nożem, niż pozwoli odejść.

– Więc uciekniemy! – Piotr nie dawał za wygraną. – Zabiorę ją do Warszawy!

– Głupiś! – Witalij powoli tracił cierpliwość. – Gdzie będziecie mieszkać? U twego ojca? A ty? Co umiesz robić? Na chleb zarobisz? Nie chce mi się już tego słuchać.

Piotr opadł na krzesło. W głowie kłębiły mu się tysiące myśli.

– Co więc robić? – zapytał cicho.

Kościelny wstał od stołu i podszedł do okna. Przez chwilę patrzył przez nie w ciemną noc, jakby wypatrując czegoś na zewnątrz.

– Nic – odpowiedział. – Po prostu pozwól jej żyć. Chcesz ją chronić? To jest najlepszy sposób. Nie skazuj jej na cierpienie przez swój egoizm. To dobra dziewczyna i nie zasłużyła na to.

– A nie martwi się pan o to, że Jegor będzie jej mężem?

– Piotr, ona jest stąd. Wie, jak sobie radzić z ukraińskim chłopem. I pomoc od swoich dostanie, jeśli będzie potrzebować. A z tobą? Stanie się wygnańcem, jak ja i moja żona.

Piotr otworzył oczy ze zdziwienia.

– Tak, tak – uśmiechnął się smutno Witalij. – Wiem, o czym mówię, młokosie. Moja żona jest Polką. I jak kto pyta, to odpowiadam, że tak, jestem szczęśliwy. I ona też. Ale nikomu takiego szczęścia nie życzymy. Wiesz, co moje dzieci mają za życie? Ukraińcy krzyczą za nimi: „Lachy!”, a polskie dzieci uważają je za Ukraińców. Wiecznie same, zawieszane pomiędzy dwoma światami. Ani tu, ani tam. Wiesz, jak mi się serce kraje, gdy o tym pomyślę?

Piotr milczał zgaszony. Witalij zniknął na chwilę w sąsiedniej izbie, by po chwili wrócić z kolejnym pętem kiełbasy. Położył ją na stole, poklepał

Piotra po ramieniu i usiadł ciężko na krześle.

– We wsi już chyba spokój. Nic nie słyhać. Albo odeszli za łąkę, albo krążą gdzieś dalej – mówił, bębniąc palcami w stół. Piotr jednak sprawiał wrażenie, jakby całe to zamieszanie po drugiej stronie drzwi niewiele go obchodziło. Myślni był w zupełnie innym miejscu.

– Panie Witaliju – zaczął w końcu – jaka ona jest?

– Swieta? – uśmiechnął się kościelny, przerywając bębnienie. – To silna, dzielna dziewczyna.

– I piękna... – dodał chłopak.

Witalij westchnął, kiwając głową.

– Prawda. Najpiękniejsza. – Oczy Witalija lśniły, kiedy opowiadał o dziewczynie. – Kiedy była jeszcze małą dziewczynką, zawsze powtarzała, że będzie lekarzem. Ganiała kury po podwórku, żeby igłą do szycia robić im zastrzyki. Żadnej nie złapała, na szczęście dla nich. Lekarzem nie została, ale pielęgniarką tak. Będzie pracować w szpitalu. Chociaż jeśli wojna wybuchnie, to nie wiadomo, jak to wszystko się potoczy.

– Mówią, że lada dzień mogą Niemcy ruszyć – westchnął Piotr.

– Już niedługo. – Kościelny odkroił kawałek chleba i podał Piotrowi. – Jedz, jeszcze nic do ust nie wzięłeś.

Piotr posmarował kromkę masłem i ugryzł.

– Niech phyjdą nawet jutho – powiedział z pełnymi ustami. – Damy im takiego kopa w dupe, zhe popamiętają. A pan po kóhej jest sthonie? – zapytał Witalija, który ponownie napełnił szklanke i wypił jej zawartość jednym haustem. Wytarł usta wierzchem dłoni i odpowiedział:

– Po swojej stronie. I tych, których kocham.

– Ale będzie musiał się pan opowiedzieć. Nie można stać z boku, kiedy...

Witalij spojrział na Piotra i przerwał mu.

– Posłuchaj mnie dobrze. Jesteś jeszcze młody i nie rozumiesz. Tu stron jest tyle, ilu ludzi. Każdy ma swoją. Ja jestem Ukrainiec. Walczyłem o wolność dla mojego kraju. I z wami w 1918, i z bolszewikami dwa lata później. Bóg jednak pewnie nie chciał, żebyśmy zakosztowali tej wolności, więc nam jej nie dał. Teraz, kiedy wszyscy się wezmą za łby, to może się udać. Ale ja mam żonę Polkę. I dzieci, które same nie wiedzą, która strona to ich. Kiedy Niemcy wejdą, to takie szumowiny jak Jegor i jego kompani będą mieli swoje pięć minut. Niech was wtedy ręka boska broni, bo oni przyjdą po was. W nocy. Zresztą, po mnie też, bom się według nich splamił, biorąc Laszkę. Która strona moja? Nie wiem. Może bolszewicka? Tam też Ukraińcy. Ale tym psom spod czerwonej gwiazdy życzę, żeby zdechli w męczarniach. Tak jak moi rodacy, kiedy ich głodzono kilka lat temu. Wiesz, co się tam działo, chłopcze? – zapytał z żalem w głosie. Piotr pokiwał spuszczoną głową.

– No właśnie. Ruscy chcieli im ziemię zabrać i zagonić do kołchozów. Ukraińcy powiedzieli „nie”. Wtedy ten diabeł, Stalin, rozkazał morzyć ich głodem. – Kościelny ścisnął pięść, a w jego głosie zabrzmiała złowroga nuta wściekłości. – Rozumiesz? Głodem. Wydał dekret o kłosie! Za trzy kłosa zboża zebrane z pola kula w łeb! Sołdaty otoczyły pola i zabierały wszystko, co można było do gęby włożyć. Ludzie padali jak muchy. Wiesz, co się działo? Matki zjadały swoje dzieci. Tak, tak – powiedział, widząc, że Piotr kręci z niedowierzaniem głową – własne dzieci. Tak żeby reszta rodziny mogła się najeść ich mięsem. Te skurwysyny zezwierzęciły cały mój naród. Kilka milionów ludzi zagłodziły na śmierć... Która więc ta moja strona, co? A te durnie od Jegora nie zdają sobie sprawy z tego, jak dużo mają szczęścia, bo mieszkają po tej stronie granicy. Pańska Polska im dupy uratowała, czy tego chcą, czy nie. Tam zdechliby z głodu z innymi...

Witalij opadł na krzesło. Piotr przełykał ciężko ślinę, próbując przetrwać

to, co usłyszał. Kiedy kościelny napełniał szklanę, podsunął mu też swoją.

– Na pohybel czerwonym! – Dłoń Witalija trzymająca szklanę powędrowała do góry.

– Na pohybel czerwonym i brunatnym! – odpowiedział Piotr.

Szklanki powędrowały do ust. Piotr przełknął spirytus, po czym zbladł. Zakrztusił się i stracił na chwilę oddech.

– Wody!... Wody! – wydukał, trzymając się za gardło.

Witalij uśmiechnął się kpiąco i podał mu chleb.

– Zagryź, szczeniaku. Mleko ci pić, a nie samogon.

Gdy po kilku minutach tętno Piotra wróciło do normy, chłopak zapytał, wskazując na szklanę:

– Co to było?!

– Życie – usłyszał w odpowiedzi.

Piotr roześmiał się głośno. Ugryzł kawałek kielbasy i pokiwał głową z uznaniem dla jej doprawionego czosnkiem smaku. W głowie pojawił się pierwszy szum.

– Panie Witaliju – zapytał, nieudolnie pokrywając nadmierną ciekawość obojętnym tonem – a w 1918 to gdzie pan walczył z nami?

Kościelny spuścił wzrok. Długo nie odpowiadał. W ciszy, która zapadła, Piotr słyszał tykanie starego zegara w sąsiedniej izbie. W końcu, przełamując wewnętrzny opór, Witalij wyszeptął:

– We Lwowie.

– Ha! – wykrzyknął Piotr z tryumfem w głosie. – I nie daliście rady!

Witalij spojrzał na niego tak, że chłopak zamilkł, a uśmiech z jego twarzy zniknął natychmiast.

– Nie daliśmy, boście dzieci wysłali do walki, sukinsyny! Jak tu z dziećmi się bić?! Te wasze Orłęta przeklęte! Skąd ja mogłem wiedzieć?

Piotr nie śmiał pytać o nic więcej. Siedział w bezruchu i wpatrywał się w starego. Czekał, aż Witalijowi minie złość i zacznie mówić dalej. Po chwili stary uśmiechnął się gorzko.

– To był listopad. Mój oddział dopiero dotarł do Lwowa. Walki trwały od kilku dni. Danyło Horodyło, ojciec Swiety, służył razem ze mną. Cieszyliśmy się wtedy wszyscy, że za kilka dni Lwów będzie nasz. Miał być naszą stolicą. Rzucili nas na Łyczaków. To miała być bułka z masłem. Wiedzieliśmy, że waszego wojska nie ma w mieście. Tylko cywile. Ruszyliśmy w nocy pomiędzy nagrobkami. Cisza była taka... dziwna jakaś. Wiedzieliśmy, że nie śpią. Bałem się bardzo. Tym bardziej chciałem, żeby już zaczęli strzelać. Tak, żeby już nie czekać na to, co ma się stać. – Piotr widział, jak wiele wysiłku kosztuje Witalija ta opowieść. Kościelny kontynuował:

– Gdy już dochodziliśmy do szczytu wzniesienia, ich linie rzygnęły ogniem. Kosili nas strasznie. Danyło skrył się za takim dużym nagrobkiem, a oni strzelali i strzelali. Rzuciłem granat. Poleciał w samo gniazdo erkaemu. Karabin zamilkł. Dopadłem tego stanowiska kilkoma susami. I wtedy to zobaczyłem.

Witalij zamilkł. Siedział nieruchomo, wpatrując się w ścianę. Piotr przerwał ciszę nieśmiało.

– Co pan zobaczył?

Kościelny poruszył się i podjął przerwana opowieść.

– Było ich czterech. Wszyscy leżeli na dnie zagłębienia. Chłopcy. Najstarszy nie miał więcej niż piętnaście lat. Byłem w takim szoku, że stałem, nie zważając na padające wokół mnie kule. Pochyliłem się nad jednym z nich. Mógł mieć dwanaście lat. Żył jeszcze. Łzy leciały mu po policzkach. Trzymałem go na rękach i nie mogłem się ruszyć. Jego krew przesiąkła płaszczyk i spływała po moich dłoniach na ziemię. Czułem się jak morderca! Skąd miałem wiedzieć, że wysłaliście dzieci?! – mówił

rozgorączkowany podniesionym tonem, aby po chwili, już dużo spokojniej, dokończyć. – Umarł chwilę potem. Na moich rękach. Od mojego granatu. A ja płakałem i nie chciałem go puścić. Nie poczułem nawet, gdy kula trafiła mnie w plecy. Tylko takie gorąco. Zrobiło mi się słabo i straciłem przytomność. Gdy się obudziłem, leżałem w jakimś szpitalu. Obok mnie Polacy, na szpitalnych łóżkach, jak i ja. Byłem w waszej niewoli. Mnie, mordercy waszych dzieci, uratowaliście życie.

Spojrzał na Piotra smutnym wzrokiem.

– Od tej chwili przysiągłem sobie, że nie będę walczył z Polakami. Kiedy spotkałem moją żonę, to nawet się ucieszyłem, że jest Polką. – Witalij uśmiechnął się i powiedział cicho:

– Jesteście bardzo waleczni. Szanuję was. Dlatego mi nie po drodze z tymi siepaczami z OUN. Ich wróg, Polska, nie jest moim wrogiem. Wiesz, ilekroć jestem we Lwowie, zawsze zachodzę na Cmentarz Łyczakowski. Zawsze mam ze sobą świeczkę. Stawiam ją na jednym z grobów, tam, gdzie pochowaliście swoje Orleta. Może za którymś razem trafię i postawię ją na grobie tego chłopca...

Piotr popatrzył na Witalija, nie mówiąc ani słowa. Wyciągnął rękę z pustą szklanką i postawił ją na stole.

– Proszę polać. Muszę się znów napić.

Rozmawiali prawie do rana. Pili prawie tak samo długo. Piotr zupełnie zapomniał o nocnej pogoni i strachu przed zemstą Ukraińców. Gdy nad ranem uderzył czołem o blat stołu, Witalij westchnął tylko, podniósł się i założył marynarkę. Mimo że wlał w siebie naprawdę dużo tej nocy, nie chwiał się na nogach, a bystry umysł pracował na najwyższych obrotach. Podniósł chłopaka jak piórko i wyniósł na zewnątrz. Minął bramę cerkiewną, niosąc Piotra na rękach. Wszedł do sadu

Kosieckich i po kilku chwilach był już przy drzwiach dworku. Po dwóch stuknięciach otworzyły się, a w progu stanęła zapłakana Marta. Po chwili dołączyła do niej pani Maria.

– Jezu, Witalij! – Złapała się za serce. – Co się stało?!

– Marusia, spokojnie – Witalij uśmiechnął się ciepło. – Chłopak zaniemógł tylko.

Mrugnął porozumiewawczo, wnosząc Piotra do środka.

– Byli tu – głos Marty brzmiał tak, jakby dobiegał z za grobu. – Pytali o niego.

Witalij natychmiast spowaźniał.

– I co powiedziałyście? – zapytał, niosąc Piotra do wskazanego przez panią Marię pokoju.

– Nic, że śpi. Chcieli wejść i sprawdzić, ale Marta zagroziła im, że jeśli przekroczą próg domu, to jutro wojsko spali im wszystkie chałupy w odwecie. – Pani Maria pomagała Witalijowi rozebrać Piotra. Gdy chłopak trafił wreszcie do łóżka, wyprostowała się, przetarła czoło i pokiwała z niedowierzaniem głową. – Nie wiem, czy bardziej przekonał ich ton głosu Marty, widły, które trzymała, czy strach przed wojskiem. Nieważne. Umierałyśmy za to ze strachu, że go dopadli. Nawet nie wiemy, za co. Dlaczego go szukali, Witaliju? – zapytała zmęczonym głosem.

Kościelny położył jej dłoń na ramieniu.

– Uspokój się, Marusia. Wszystko już w porządku. Chłopak wdał się w bójkę z jakimś Ukraińcem. Nawet go nieźle poturbował. A oni jeśli nie weszli siłą, to znak, że nie wiedzieli, kogo gonią. To dobrze.

Na wieść o bójce Marta rozplakała się ponownie.

– Zabiję go! – cedziła przez zęby. – Najpierw potnę go na kawałki, a później utopię jak szczeniaka! Albo odwrotnie! Jak on mógł mi to zrobić?!

– Marta, to nie jego wina – Witalij próbował uspokoić ją łagodnym tonem

swojego głosu. – To był przypadek.

– Przypadek czy nie – pani Maria zebrała z podłogi rzeczy Piotra i ułożyła je na krześle, odwracając głowę, gdyż odór spirytusu przyprawiał ją o mdłości – narobiło się z tego mnóstwo problemów. Oni mu nie darują.

Witalij popatrzył na nią i stanowczym, spokojnym tonem powiedział:

– O to już się nie martw, Marusia. Jeśli zrobi się gorąco, ja to załatwię. Daj tylko chłopakowi rosołu jak wstanie. Kaca to on będzie miał wielkiego, jak dziura w starych portkach.

Witalij miał rację. Zarówno w kwestii porannego kaca, jak i nocnej pogoni. Ukraińcy działali po omacku, nie wiedząc, kogo szukają. Po dość chaotycznym pościgu za zbiegiem zastukali tylko do kilku domów. Usłyszawszy jednak litanie „wysławiające” cześć ich matek, szanownych przodków i noszącej ich niedomyte ciała ziemi zrezygnowali z poszukiwań. Dom Kosieckich był ostatnim, którego nocną ciszę odważyli się zakłócić. Wydawało się, że nie ryzykują wiele. Wiedzieli, że w dworku mieszkają tylko dwie kobiety i ich gość. Jednak odprawa ze strony panny Marty szybko wyprowadziła ich z błędu. Rzucając harde spojrzenia mające ukryć wstyd z powodu pogromu zafundowanego im przez rezolutną blondynkę, odeszli przez łąkę w kierunku swoich domów, nie wskórawszy nic.

Witalij postanowił, że koło południa wybierze się do sklepu. Miał nadzieję, że uda mu się zasięgnąć języka w sprawie nocnych wypadków. Tymczasem wrócił do domu, żeby odpocząć po nieprzespanej nocy. W domu żona popukała się w czoło, pokazując palcem pustą butelkę na stole i wskazała bez słowa na łóżko. Witalij nie oponował. Zsunął buty, nawet ich nie rozwiązując. Rzucił marynarkę na krzesło, co miłującą nienaganny porządek kobietę przyprawiło o białą gorączkę, po czym, nie zważając na jej krzyki, osunął się na pościel i zasnął prawie natychmiast.



Na początku był ból. Uporczywy, kłujący skronie przy najmniejszym ruchu głową tępy ból. I kiedy otworzyły się przestworza, wpuszczając przez wyłaniającą się z mroku szczelinę uchylonych powiek promyk światła, ból zamienił się w gejzer doznań, z których najłagodniejsze można by nazwać stadem głodnych, miauczących kotów zamiast mózgu. Mogłoby się wydawać, że nic gorszego już się nie może wydarzyć, kiedy nagle żołądek zamienił się w tańczący na falach korsarski żaglowiec. Właśnie w chwili, gdy wystraszona kolejną falą załoga okrętu szykowała się do opuszczenia pokładu, za oknem zapiał kogut, zamieniając uszy Piotra w krwawą miazgę. Spośród bezładu myśli szybujących pod sklepieniem czaszki chłopak wyłowił tę najintensywniejszą: „Nie jest dobrze!”.

Po kilku próbach udało mu się usiąść na brzegu łóżka. Rozejrzał się dookoła, nie rozumiejąc zupełnie tego, jakim sposobem znalazł się w swoim pokoju. Spróbował sobie przypomnieć wydarzenia ostatniej nocy, ale na razie w głowie miał jedynie czarną dziurę. Dopiero po chwili, niczym krople wody ściekające ze stalagmitu, zaczęły pojawiać się wspomnienia. Przypomniał sobie wczorajszą wycieczkę pod kościół. Gdy doszedł do momentu, w którym natknął się na dwóch Ukraińców, zerwał się na równe nogi mimo potężnego bólu głowy. Nagle wszystko sobie przypomniał. Ucieczkę przed ścigającymi go ludźmi, wizytę u Witalija i nocną rozmowę zakrapianą spirytusem. Jedynym szczegółem, który w dalszym ciągu pozostał nieodgadniony, był sposób, w jaki przeniósł się z chaty Witalija do swojego łóżka.

Z trudem nałożył spodnie i koszulę. Opierając się rękoma o ścianę,

wyszedł z pokoju i poczłapał w kierunku kuchni.

Sprawne dłonie uzbrojone w ostry wąski nóż cięły szybko i pewnie. Ostrze czerwone od krwi przenikało skórę z łatwością, a silny uchwyt przygważdżał ciało ofiary do gładkiej powierzchni stołu. Po chwili świeża ryba zamieniła się w równiutkie, białe prostokąty. Marta otarła czoło wierzchem dłoni trzymającej nóż, wzięła do ręki drugą płoć i zabrała się do patroszenia. Uwielbiała ryby, a dziś nadarzyła się okazja, aby za kilka jajek i garść cukierków „odkupić” od syna sąsiada z naprzeciwka trzy duże płotki. Przygotowywała je teraz z niemałą wprawą, choć jej myśli wciąż krążyły wokół tego, co stało się wczoraj w nocy. Zaciśnęła usta w niemej złości i zmrużyła oczy. Ruchy jej dłoni stały się jeszcze szybsze i straciły płynność. Była wściekła. Nie przekonywało ją tłumaczenie Witalija o niewinności Piotra. Był winny. Winny jej nieprzespanej nocy i łez wylanych w poduszkę, gdy z trudem odpychała natrętne myśli o tym, że znalazł się w jakimś śmiertelnym niebezpieczeństwie. Gdy nad ranem zobaczyła Witalija trzymającego go na rękach, o mały włos nie zemdląca. Była pewna, że chłopak nie żyje. Do chwili gdy poczuła zapach spirytusu. Wszystko było jasne. Ona durna ryczała w pokoju, a on chlał na umór z Ukraińcem. Wściekłość ponownie zablokowała jej w gardle. Już ona mu pokaże, gdy tylko zwlecze się z łóżka. Ciachnęła zamasyście i syknęła, upuszczając nóż. Zdławiła w ustach przekleństwo. Nóż musnął tylko jej palec, ale to wystarczyło, aby wyrwać ją z natłoku myśli, a palec zamienić w kran, z którego zaczęła płynąć krew.

– Szkoda palca – usłyszała za sobą. Odwróciła się, zawijając krwawiącą ranę w chustkę wyciągniętą z kieszeni kuchennego fartucha. W drzwiach kuchni ujrzała blade zwłoki przypominające co nieco Piotra. Nie odpowiedziała mu. Z zawiniętym już palcem wróciła do patroszenia ryb.

Piotr podszedł do stołu, ale widok jeszcze surowego jedzenia połączony z zapachem wywołał potężny skurcz żołądka. Odsunął się odrobinę i westchnął.

– Marta – zaczął niepewnie – przepraszam. Nie chciałem sprawić ci przykrości. Nie wiedziałem, że to się tak skończy, znaczy wczorajszy wieczór. Bo ja chciałem tylko tego chłopca... no i ten ojciec... tego wiesz, chłopca... – Język odmawiał mu posłuszeństwa, a myśli wyjątkowo opornie składały się w jakąkolwiek sensowną całość. W końcu dał za wygraną. Usiadł ciężko na krześle i spojrzał na dziewczynę. Z trudem tłumila w sobie gniew. Zaciśnięte usta i nerwowe ruchy mówiły same za siebie. A jednak wszyscy, którzy twierdzą, że złość szkodzi piękności, kłamią bezczelnie albo nie widzieli wściekłej kobiety. Piotr z podziwem patrzył na Martę. Była śliczna takim rodzajem piękna, że nawet furia dodawała jej uroku. Uśmiechnął się i ponownie spróbował przerwać krępującą ciszę.

– Podobno w Japonii jedzą surową rybę. Zawijają jej kawałki w ryż i czekają, aż ten ją zamarynuje. Podobno palce lizać. Nazywają to jakoś dziwnie... – Zamyślił się, przywołując z pustej otchłani głowy zapomnianą nazwę. – Już wiem! Suszi czy jakoś tak.

Marta znieruchomiała. Odłożyła nóż i wzięła do ręki na wpół wypatroszoną rybę. Podeszła do Piotra i pewnym mocnym ruchem cisnęła mu płóć na kolana, opryskując krwią jego spodnie, koszulę i ręce.

– Smacznego więc! – syknęła i szybkim krokiem wyszła z kuchni, mijając się z panią Marią.

– Marta, co się stało? – Matka patrzyła ze zdziwieniem, jak dziewczyna znika w swoim pokoju. Wzruszyła ramionami z rezygnacją i podeszła do stołu.

– Dobrze, że już wstałeś, Piotrze – powiedziała, spuszczaając głowę. – Musimy porozmawiać. – Ten ruch głowy wskazywał na to, że rozmowa nie

będzie należała do najprzyjemniejszych. Jednak widząc błagalny wzrok chłopaka, pani Maria westchnęła, uśmiechając się:

– Doprowadź się najpierw do porządku, wykup się i zjedz coś. Zagrzeję ci rosół. Marta gotowała. Specjalnie dla ciebie. Podziękuj jej za to.

Piotr oparł czoło o blat stołu i zamknął oczy. Nadchodziła kolejna faza alkoholowego udręczenia. Jeszcze gorsza od wariacji żołądkowych i bólu głowy. Chłopak po raz pierwszy w życiu doświadczał tego, co wtajemniczeni w arkanach spożywania trunków zwą kacem moralnym.

Piotr mocno odchorował swój alkoholowy debiut. Wprawdzie gorący rosół uspokoił nieco jego mocno sfatygowany żołądek, ale dopiero radykalna kuracja pani Marii postawiła go na nogi. Gospodyni, widząc, jakie katusze przechodzi, postawiła przed nim szklankę i wyciągnęła z kredensu butelkę. Piotrowi włosy stanęły dęba. Na samą myśl o wódce cała zawartość żołądka podeszła mu do gardła. Jednak pani Maria była nieubłagana. Piotr zacisnął nos palcami i przełknął palący płyn. Po chwili, ku swojemu zdziwieniu, czuł się już znacznie lepiej, żołądkowa rewolucja została spacyfikowana, a on sam mógł doświadczyć na własnej skórze działania zasady: „Czym się strułeś, tym się lecz”.

Rozmawiali długo. Ustalili, że jeśli pojawi się jakikolwiek sygnał, jakiegokolwiek grożące Piotrowi niebezpieczeństwo, wyjedzie on natychmiast. Nie było najmniejszego powodu, aby go narażać. Tak przynajmniej podpowiadała pani Marii logika. I tylko jej, ponieważ młodemu Ochockiemu logika nagle zrobiła psikusa, oddając pole ślepemu jak kura sercu. Zgadzał się z gospodynią, potakując głową i wiedząc jednocześnie, że nie ruszy się stąd, dopóki nie spotka się ze Świętą choćby raz. Zgadzał się zupełnie tak, jakby trzymał za plecami dłoń ze skrzyżowanymi palcami.

Witalij również odczuł boleśnie skutki nocnego spotkania. Odezwał się

kręgosłup podrażniony atletycznym wyczynem polegającym na dźwiganiu Piotra. Przygwoździł kościelny ból do łóżka na długie godziny. O rekonesansie pod sklepem nie mogło być mowy. Witalij miał jedynie nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach. A jeśli nie, będzie musiał, mimo potwornego bólu, pofatygować się gdzie trzeba, żeby zapobiec nieszczęściu. Pytanie, czy zdąży?

17



Gdy tylko usłyszała pogłoski o nocnej bójce, poczuła niepokój. Krzątała się w kuchni, ale nieprzyjemne mrowienie w żołądku nie pozwalało jej skupić na wykonywanej pracy. Jegor rozmawiał przy komórcie z ojcem. Gestykulował energicznie i pieklił się bardzo. Widziała przez okno, jak Danyło, bardziej opanowany, uspokajał go gestem dłoni. Z pewnością dyskutowali na temat nocnego zajścia. Swieta pokręciła się jeszcze chwilę, udając zajęta. Gdy matka wyszła na podwórko nakarmić zwierzęta, dziewczyna zarzuciła chustkę na głowę i wyszła z domu. Nie wiedziała, dokąd ma pójść. Chciała zasięgnąć języka, dowiedzieć się czegokolwiek, ale jak na złość nie spotkała nikogo. Nawet Rusłana, łasa na plotki, tym razem zbyła ją chłodno. Swieta miała dziwne przeczucie, że cokolwiek wydarzyło się poprzedniej nocy, ten chłopiec z cerkwi jest w to w jakiś sposób zamieszany.

Ludzie są jak naczynia połączone ze sobą niewidzialnymi nićmi emocji. Uczucia to potężna więź, która potrafi zadzwonić niepokojąco prosto do

ucha, jeśli na drugim końcu sznurka dzieje się coś niedobrego. Najciekawsze jest jednak to, że łączność ta zarezerwowana jest prawie wyłącznie dla negatywnych bodźców. To nagłe choroby, wypadki albo niespodziewane śmierci ciągną za sznur, bujając dzwonem o nazwie „niepokój”. Radość i szczęście to wartości samolubne. W oddaleniu przeżywa się je wyłącznie w samotności, pozostawiając sznurek w stanie niezmaconego spokoju. Tym razem sznurek przytwierdzony do dna serca wykonywał płasy niczym oszalały, doprowadzając Swietę do szału. „Żeby mu się tylko nic nie stało” – pomyślała, idąc w kierunku cerkwi. Porozmawia z Witalijem. Może on będzie wiedział więcej. On wszystko wie.

Marta nie mogła usiedzieć w domu. Próbowwała zająć się czymkolwiek, żeby tylko nie myśleć o Piotrze, nocnej wizycie i całym tym zamieszaniu. Z braku lepszego zajęcia poszła do ogrodu, dźwigając w rękę kosz na jabłka. Dłonie sprawnie wyszukiwały w trawie opadłe papierówki, ale jej myśli krążyły wokół czegoś zupełnie innego. Przystawała sobie radzić z tym, co czuła do Piotra, oraz z tym, jak bardzo wyprowadzał ją z równowagi swoim, często jeszcze szczeniackim zachowaniem. Chciało jej się płakać z bezsilności. Stłukłaby go z chęcią za ten żart o japońskiej rybie, żeby wtulić się w niego zaraz potem. Nie mogła. Można kogoś rozśmieszyć, ale nie można zmusić go do kochania. Piotr jej nie kochał. Czuła to i wiedziała o tym doskonale. Była już na tyle dojrzała, by doskonale wyczuć unoszący się w powietrzu zapach tej innej. I właśnie teraz poczuła go znowu. Taki rodzaj magnetyzmu, który kazał jej odstawić kosz i podejść do ogrodzenia. Oparła dłonie na płocie i spojrzała w kierunku cerkwi. Pod jej ścianą zobaczyła Swietę idącą szybkim krokiem w stronę domku Witalija. Popatrzyła przez chwilę w stronę Marty, ale odwróciła głowę, nie zwalniając kroku. Marta była pewna, że nie została zauważona. Ale właśnie wtedy

Swieta zatrzymała się. Chwilę stała nieruchomo, jakby rozważając swój następny krok. Po chwili odwróciła się jednak i podeszła w kierunku stojącej po drugiej stronie płotu dziewczyny.

– Witaj, Marta – głos Swiety zdradzał zdenerwowanie, jakby nie wiedziała zupełnie, jak zacząć rozmowę.

– Cześć, Swieta. – Marta chciała dodać coś jeszcze, ale szybko z tego zrezygnowała. Nie chciała ułatwiać Ukraince zadania. Chce rozmowy? Niech się pomęczy. Nie czuła do niej nienawiści. Po prostu zwykłą niechęć z oczywistego powodu..

Swieta miała w dłoniach róg chusty, nie wiedząc, jak zapytać o to, czego ciekawość przyprawiała ją prawie o zawał serca.

– Jabłka zbierasz? – Po tych słowach zakłęła w duchu: „O czym ja plotę, durna?! Weź się w garść, dziewczyno, i po prostu zapytaj!”.

Marta nie odpowiedziała. Skinęła tylko głową, patrząc na Ukrainkę.

Swieta zebrała się w sobie.

– Słyszałam, że gościa macie...?

Oczy Marty zmieniły się w szparki, a oddech przyspieszył. To nie było kurtuazyjne pytanie. Zdawała sobie sprawę z tego, że Swieta łaknie każdej informacji. Ukrainka nawet na nią nie patrzyła, nieudolnie maskując zżerającą ją ciekawość i zdenerwowanie. To wszystko sprawiało, że jej własna przestrzeń, w której Piotr miał swoje miejsce, została naruszona.

– Kto to taki? – Swieta postawiła wszystko na jedną kartę.

Marta, ze stoickim spokojem ukrywającym wściekłość, zimno i mocno odpowiedziała:

– Jarema Wiśniowiecki!

Odwróciła się na pięcie i odeszła w głąb sadu, zostawiając za sobą stojącą z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami Swietę.

Świeta jeszcze długo stała w bezruchu. Czuła się taka... poniżona. Nie wiedziała, co ugryzło Martę, ale nie mogła jej winić za przebieg rozmowy. Sama wystawiła się na strzał. Czuła, że Polka czytała w niej jak w otwartej książce. Zupełnie nie rozumiała tego, co się z nią dzieje. Gdy myślała o tym chłopcu, jakieś dziwne kamienie zaczynały żarzyć się w jej żołądku, a serce kłuło ją niczym przebite sztyletem. Nie było więc dziwne, że Marta przejrzała ją na wylot. W końcu dowlekła się do domu Witalija. Otworzyła jej Anna, żona kościelnego. Popatrzyła na nią ze skwaszoną miną.

– Nic z tego nie będzie, Swietka. Witalij leży i zdycha. Teraz zasnął, więc go nie będę budzić.

– Szczo stałosia? – Dziewczyna zamarła przestraszona.

Anna cofnęła się, żeby wpuścić gościa do środka.

– Wódka się stała! Ot, co! – odpowiedziała ze złością. – Chłwał z tym chłopakiem od Kosieckich przez całą noc. Bałakali tak, że spać się nie dało.

– Z jakim chłopakiem?

Anna machnęła ręką.

– Z tym warszawiakiem, co to przyjechał kilka tygodni temu. Chyba tylko ty jedyna go nie zauważyłaś.

Swieta zignorowała jej uwagę.

– A skąd on się tu wziął?

– Nie wiem do końca. – Anna wzruszyła ramionami. – Witalij go przyprowadził w nocy. Coś tam dzisiaj opowiadał, że chłopaka wasi ganiali po wsi, bo pobił jednego z nich koło kościoła.

Swieta otwarła usta ze zdziwienia.

– Pobił? Kogo? – Czuła, jak serce jej łomocze. Miała rację, że Piotr jest zamieszany w nocne zajście.

– Nie wiem. Zapytasz starego, jak się obudzi – odpowiedziała Anna,

stawiając przed dziewczyną gorący kubek mleka. – Podobno nie wiedzieli, kogo gonia, więc się rozlało po kościach. Dość, że stary schlał chłopaka tak, że go nad ranem na rękach musiał zanieść do Kosieckich. No i podźwignął się przy tym. Teraz dogorywa w łóżku. – Anna kiwała głową z dezaprobatą.

Swieta zawahała się przez moment. Czuła, że zaczyna się czerwienić, ale wiedziała, że musi zapytać.

– Aaa... Witalij wspominał może... jak ten warszawiak ma na imię?

Anna nie zwróciła uwagi na zakłopotanie dziewczyny.

– Mówił coś – zamyśliła się na chwilę – już wiem, Piotr.

Swieta czuła, jak serce wali jej jak wielki bęben, a ciało oblewa fala gorąca.

„Piotr... Piotr...” – powtarzała w myślach. Gdy odwróciła głowę w kierunku Anny, ta patrzyła na nią podejrzliwie.

– A ty co się tak cieszysz jak głupi do sera?

Dopiero teraz Swieta zorientowała się, że cały czas uśmiecha się szeroko do swoich myśli. Zerwała się z krzesła i podbiegła do Anny. Ucałowała ją radośnie.

– Dziękuję! – zawołała uśmiechnięta i poszła szybkim krokiem w kierunku drzwi.

– A ty dokąd tak pędzisz znowu? – Anna pokręciła głową. – Zwariowała dziewczyna!

Ale Swieta już jej nie słyszała. Szła szybkim krokiem w kierunku domu, niosąc radośnie w myślach zdobyty wreszcie skarb. Jego imię.



Sobotnie słońce leniwie przetaczało się z jednego końca widnokągu na drugi i zmieniało cienie drzew wokół podwórka w wydłużone bohomy. Nawet tu, z dala od pól, czuć było mocny zapach ziół przemieszany z wonią kwiatów z ogrodu pani Marii. Piotr siedział na schodach oparty o kolumnkę ganku i z zamkniętymi oczami chłonał ten zapachowy tygiel. Odganiał ruchem dłoni natrętną muchę bzyzącą koło jego ucha, ale ta, niczym przywiązana niewidzialną nitką, kręciła się wciąż nad głową.

– Musisz ją złapać i zabić – usłyszał tuż nad sobą. – Inaczej zje cię żywcem.

Marta usiadła obok niego na schodach, podciągając kolana pod brodę. Patrzyła w stronę zasłoniętego przez drzewa widnokągu.

– Jak się czujesz? – zapytała bez nieustannie obecnego ostatnio przekąsu w głosie. Piotr otworzył jedno oko. Zlustrował nim siedzącą obok Martę, po czym wydobył z siebie kilka dźwięków w rodzaju tych zza grobu.

– Lepiej nie mówić...

– Boli cię głowa? – Marta nie patrzyła w jego stronę. W jej ciepłym, pozbawionym charakterystycznego sarkazmu głosie Piotr wyczuł autentyczną troskę. Przygotował sobie już w głowie serię ciętych ripost na wypadek ataku, jednak wyczuł, że tym razem nie będą mu potrzebne. Otwartość dziewczyny była zachętą do szczerości. Zwykle przepychanki słowne ze ślicznym podlotkiem zniknęły jakoś samoistnie, jakby odłożone na półkę oznaczoną etykietą „na później”. Piotr otrząsnął się z letargu, poprawił włosy dłonią, po czym przysunął się do siedzącej obok Marty.

– To nie głowa – powiedział, gapiąc się w ubitą, upstrzoną drobnymi

kamieniami ziemię podwórka. – Wstyd mi po prostu za to, co się stało. Nie chciałem sprawiać kłopotu ani uchlewać się jak jakaś świnia. – Pokręcił głową z dezaprobatą dla samego siebie. – Wiesz, Marta, to był pierwszy raz, kiedy się upiłem.

– No i chyba nie jesteś z siebie dumny, prawda? – Popatrzyła na niego z delikatnym uśmiechem. Piotr pokręcił przecząco głową.

– Przepraszam... – wyszeptał.

Dziewczyna położyła swoją drobną dłoń na jego ramieniu, uśmiechając się ciepło.

– Posłuchaj – mówiła prawie szeptem – to nie twoja wina. Znaczący chlania na umór z Witalijem tak – zreflektowała się ze śmiechem, którym zaraziła też Piotra. – Ale co do sprawy z tym Ukraińcem to wiem, że zachowałeś się tak, jak powinieneś. Stałeś w obronie słabszego. Nie możesz sobie nic zarzucać. Jesteś mężczyzną, prawdziwym – dodała – a obowiązkiem mężczyzny jest bronić słabszych, a nie chować się po krzakach jak jakiś tchórz. Jestem z Ciebie dumna – powiedziała, ściskając jego ramię. Wiedziała doskonale, że gdyby teraz Piotr popatrzył na nią, zobaczyłby, jak mocno lśnią jej oczy, gdy to mówi. On zaś zdawał sobie doskonale sprawę, że tak właśnie teraz lśnią.

– Nie gniewam się na Ciebie. – Wzruszyła ramionami. – Ani nie jestem zła. Po prostu... – Popatrzyła na niego już bez uśmiechu. – Piotr, ja po prostu potwornie się o Ciebie bałam. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś Ci się stało... – Opuściła głowę.

Zapadła cisza. Nie ta z rodzaju niezręcznych, podczas których nie wiadomo, co powiedzieć, ale taka, podczas której delektuje się obecnością człowieka obok. Marta marzyła teraz o tym, aby Piotr ją przytulił. On zaś modlił się w duchu o siłę, żeby tego nie zrobić.

– Piotr... – miękki głos dziewczyny wślizgnął się w jego ucho, a on

zauważył, że nie nazwała go zdrobniale „Piotruś”, jak zwykle – dziś jest sobota. Organizują potańcówkę w stodole u Hajduków... – Zawiesiła głos tak, jakby wstydziła się tego, o co chciała zapytać. – Pójdiesz ze mną?

Chłopak uśmiechnął się i omiół ją spojrzeniem. Siedziała z podkurczonymi pod brodę kolanami. Kosmyk włosów uwolnionych spod spinki spływał jej delikatnie po policzku. Kształtne usta i lśniące duże oczy, takie, które potrafią stopić lodowce Antarktydy w ułamku sekundy, nie pozostawiały pola manewru.

– Z przyjemnością.

19



☉ zekąła na niego w kuchni. W prostej jasnej sukience do kolan i z włosami zebranymi w koński ogon wyglądała tak, że Piotr cmoknął „po warsiasku” z uznaniem. Zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

– Idziemy? – Piotr nie pozwolił jej długo płonąć ze wstydu. Potaknęła skinieniem głowy. Otworzył przed nią drzwi, po czym zaprosił ją na zewnątrz szerokim gestem. Uśmiechnęła się ciepło i szybkim krokiem opuściła kuchnię.

Po chwili szli już drogą w kierunku remizy.

– Żał mi stąd wyjeżdżać – Piotr pierwszy przerwał ciszę. – Czuję się tak, jakbym tu mieszkał całe życie.

Marta wzięła go pod rękę.

– Nie tęsknisz za Warszawą? – zapytała po chwili.

– Tęsknię, ale wiem, że już za chwilę tam wrócę. Nie odczuwam braku miasta, bo nigdy go nie opuszczam na długo. – Zamyślił się, jak dobrze przykroić słowa, żeby zostać właściwie zrozumianym. – Z Bedryczanami jest inaczej. Wyjeżdżam i nie wiem, kiedy znów was odwiedzę. Czuję jednocześnie, że należę tutaj, do tego miejsca, do tej ziemi i ludzi – zamilkł, przez moment zbierając ponownie myśli. – Przywiązałem się do was i czuję ból na samą myśl, że muszę wsiąść do pociągu i wyjechać.

– To dobrze... – Poczul na ramieniu uścisk dłoni dziewczyny. – Dobrze, że tak czujesz. Szybciej zobaczymy się znowu.

Piotr udał, że nie wyczuł tego, co tak naprawdę miała na myśli.

– Kto wie – odpowiedział. – Wojna za pasem. Nie wiadomo, kiedy następnym razem uda mi się do was wyrwać.

Marta zachmurzyła się na wspomnienie nadchodzącej zawieruchy.

– Boję się tego – jej głos natychmiast nabrał granatowego odcienia. – Boję się o nas, o to, co może się rozpuścić, kiedy wojsko pójdzie walczyć na zachód. Wiem, o czym ludzie gadają. Wszyscy zastanawiają się, co zrobią Ukraińcy. Na razie siedzą cicho, ale ludzie tacy jak Jegor są bardzo niebezpieczni. – Marta zwolniła lekko kroku, jakby chciała przedłużyć jak tylko możliwe tę rozmowę. – Nie chcę o tym nawet myśleć.

Piotr wykazywał nieco więcej optymizmu.

– Nie bój się nic. – W jego głosie można było wyłowić hardą nutę. – Wojsko Polskie to potęga. Poradzimy sobie z Hitlerem i jeszcze dokopiemy tym tu, jeśli będzie trzeba.

– Ja nie chcę nikogo kopać. – Marta wzruszyła ramionami. – Ja chcę tylko normalnie żyć. Chcę skończyć szkołę i robić to, co kocham najbardziej...

– Uczyć cudze dzieci – przerwał jej wesoło.

– A tak, żebyś wiedział – ofuknęła go z udawanym oburzeniem.

Uśmiechnęła się zaraz potem i dodała: – Wiesz, Żyd Ibermann, ten właściciel sklepu we wsi, ilekroć mnie widzi, powtarza ze śmiechem takie żydowskie przekleństwo: „A żebyś ty cudze dzieci uczył”. A dla mnie to wcale nie jest przekleństwo. – Piotr zauważył w jej słowach pasję, kiedy mówiła o swoim powołaniu. – To zaszczyt. Pomyśl, Piotrze! Dostajesz nieociosany kawałek drewna i dłuto swoich umiejętności. To wielka odpowiedzialność. Będziesz obrabiać to drewno, a kiedy skończysz, to być może zrozumiesz, że wydobyłeś z nieokreślonej bryły piękny kształt.

– Jesteś idealistką – uśmiechnął się pobłażliwie. – Ale przejdzie ci jeszcze. Z wiekiem.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedziała z równym pobłażaniem.

Przed nimi właśnie wyłaniał się wysoki budynek stodoły, w którym od czasu do czasu urządzano potańcówki. Przychodzili wszyscy. I Ukraińcy, i Polacy. Piotr dostrzegł kilka postaci stojących przy wejściu do środka, z którego dobiegały dźwięki skocznej muzyki.

– A ty? – Marta popatrzyła na niego. – Co chcesz w życiu robić?

– Już ci mówiłem. Chcę projektować krowniki... – nie dokończył. Poczuł pod żebrami kuksaniec.

– Pytam poważnie. – Marta nie dawała za wygraną.

Zastanowił się chwilę.

– W Warszawie będzie niedługo powstawać podziemna kolej łącząca najważniejsze punkty miasta. Chciałbym być na tyle dobry, żeby pomóc przy jej projektowaniu. Tam powstaną całe kompleksy, stacje, sklepy i inne rzeczy. – Piotr zapalił się na samo wspomnienie swoich planów. – To będzie wielka sprawa.

– Wierzę, że ci się uda, rysujesz wyśmienicie. – Marta uśmiechnęła się do niego. Nagle przypomniała sobie o czymś. – Wiesz, moja wychowawczyni z seminarium nauczycielskiego, pani Józefina Szelińska, miała kiedyś

narzeczonego. Nazywa się Bruno Schulz. Uczy rysunku w drohobyckim liceum. Powinieneś zobaczyć to, co wychodzi spod jego ręki. Niesamowite! – Popatrzyła na niego. – Oczywiście nie tak dobre jak twoje – dodała z udawaną kurtuazją. Roześmiali się oboje.


– Bruno Schulz. – Piotr zamyślił się przez chwilę. – Ten od *Sklepów cynamonowych*?

– Ten sam – przytaknęła Marta.

– Czytałem, średnio mi się podobały, ale nie wiedziałem, że on rysuje.

– Pani Józefina pokazywała nam kiedyś kopie jego rysunków. Zdaje się, że cały zbiór nazywał się *Xięga bałwochwalcza*. Rozmawialiśmy o kobiecie, jej roli w rodzinie i w ogóle w społeczeństwie. Wtedy pani Szelińska przyniosła te rysunki. Nie było tego dużo, kilka zaledwie. Na każdym centralną postacią była kobieta, czasem całkiem naga. Dookoła niej zwykle kłębili się mężczyźni, tak jakby chcieli oddać jej hołd, stąd przymiotnik „bałwochwalcza”. Ten motyw uwielbienia dla kobiety... Nie wiem. Jakoś zapadło mi to w pamięć. Nie widziałam wcześniej takich rysunków. We mnie raczej niepokój wywołały niż zachwyt. Jakieś takie... jakby artysta miał problem z samym sobą. Może nie potrafi znaleźć miłości, boi się kobiet... Ale trzeba przyznać, że tworzy arcydzieła.

Dochodzili już do obejścia Hajduków. Piotr od dłuższego czasu nie skupiał się na tym, o czym opowiadała Marta. Obserwował z uwagą podwórze, jakby obawiał się, że w grupie stojących przed uchylonymi wrotami mężczyzn zobaczy tego, który poległ ostatnio od jego pięści i którego w myślach nazywał „Gąbką”. Nie pomylił się.

 wieta była wściekła. Jegor wyciągnął ją na tańce, mimo że wcale nie miała ochoty z nim iść. Na dodatek, gdy tylko znaleźli się wewnątrz potężnej, wznoszącej się wysoko nad klepiskiem stodoły, natychmiast

zniknął w grupie czekających na niego znajomych. Została sama. Nie miała dziś nastroju na zabawę, a już na pewno wolała uniknąć zaproszeń do tańca od wlepiających w nią swe świecące gały, podpitych gówniarzy. Ich wzrok mówił wszystko, a od tej mowy robiło się jej niedobrze. Nie czekała na Jegora. Rozejrzała się tylko dookoła w nadziei, że zobaczy twarz, którą teraz najbardziej chciała ujrzeć. Piotra jednak nigdzie nie było. Muzykanci grali teraz jakieś skoczne polki, ale Swieta obróciła się na pięcie i wyszła bocznymi drzwiami.

– Swieta! Gdzie ty się podziewasz?! – Rusłana wyłoniła się niespodziewanie zza rogu. Popatrzyła gniewnie na szwagierkę, po czym chwyciła jej nadgarstek i pociągnęła w stronę bocznych drzwi. – Zwariowałaś? Zabawa dopiero się rozpoczyna, a ty już idziesz?

Swieta nie była w nastroju do rozmowy. Spojrzała ostrym wzrokiem na szarpiącą ją Rusłanę.

– Puść! – rzuciła twardo. Jednak uścisk nie zelżał.

– Zwariowałaś chyba. – Szwagierka poluzowała chwyt. – Jegor będzie wściekły.

– Mam w nosie Jegora. – Swieta zatrzymała się. Spuściła głowę i przestała się wyrywać.

– Co cię ugryzło? – głos Rusłany złagodniał nieco. – Nie poznaję cię od jakiegoś czasu. Co się dzieje?

Swieta milczała. Wiedziała, że lepiej byłoby, żeby nikt nie dowiedział się o Piotrze i spotkaniu w cerkwi, ale ciężar tajemnicy przygniatał ją na tyle mocno, że musiała się z kimś tym podzielić.

– Nie mam ochoty oglądać Jegora – wycedziła przez zęby, nie wiedząc na dobrą sprawę, jak zacząć.

– Głupia! Przecież to twój narzeczony – skwitowała Rusłana. – A jak nie chciałaś, to po coś przyłaziła?

Swieta podniosła głowę i spojrzała na szwagierkę.

– Nie przyszedł tu dla niego. – Czuła, jak ogarnia ją zdenerwowanie przed ujawnieniem prawdy. Rusłana patrzyła na nią z przekrzywioną głową zdziwiona.

– Poznałam chłopca – Swieta uprzedziła pytanie szwagierki, która do przekrzywionej głowy dodała teraz otwarte na oścież usta i oczy okrągłe ze zdziwienia jak spodki.

– Jakiego chłopca...? – ton jej głosu nie odbiegał od wyrazu twarzy.

Swieta przygryzła wargę i ścisnęła w dłoni brzeg chustki spływającej jej z szyi na ramiona. Raz kozie śmierć.

– To Polak. Widziałam go tylko przez chwilę. Nie wiem, co się stało, Rusłano, ale zauroczył mnie chyba. Nie mogę przestać o nim myśleć... – Poczowała ulgę, wyrzucając to z siebie. Teraz czekała na reakcję. Rusłana jednak otworzyła buzię jeszcze mocniej i stała w bezruchu. Po krótkiej chwili jednak wydusiła z siebie pytanie.

– A co z Jegorem...?

Swieta spuściła głowę i wzruszyła ramionami.

– No to się porobiło. – Rusłana oparła się o ścianę, przepuszczając jakąś parę wychodzącą z sali. Myślała intensywnie nad tym, co usłyszała.

– On wie? – rzuciła pytanie.

– Jegor? A skąd ma wiedzieć? Zabiłby mnie chyba zresztą, gdyby wiedział.

– No, to na pewno, ale nie pytam o niego, tylko o tego Lacha.

Swieta pokręciła głową.

– Nie wiem, co on wie, a czego nie. Nie rozmawiałam z nim. Znam tylko jego imię. To ten chłopak, który przyjechał do Kosieckich. Z Warszawy jest. I pewnie niedługo pojedzie z powrotem.

Rusłana chwyciła Swietę za ramiona i popatrzyła jej w oczy.

– Posłuchaj. Nie mów nic nikomu. Nikt się nie może dowiedzieć. Lach przyjechał i pojedzie. A ty masz Jegora. Nie zepsuj tego. Niejedna dałaby się pokroić za takiego chłopa. Nie myśl o warszawiaku, szybciej zapomnisz.

Swieta poczuła, jak po jej policzkach płyną łzy.

– Nie wiem, co mam zrobić. Nie mogę patrzeć na Jegora, a o Piotrze myślę cały czas. Myślałam, że może przyjdzie dzisiaj, że może go zobaczę... Rusłana, to tak boli w środku. Nie daję rady. – Przytuliła się do szwagierki i zagryzła zęby, starając się nie wybuchnąć płaczem. Ta pogładziła ją po włosach, uśmiechając się do siebie. Sytuacja była jej bardzo na rękę. Żal było jej Swiety, ale z drugiej strony kto wie, może z taką wiedzą ugra coś jeszcze dla siebie. Może zatrzyma dłużej Jegora przy sobie.

Odsunęła Swietę i poprawiła jej włosy.

– Nie maż się. Nic tym nie wskórasz. Wracamy do środka i tyle. Lachem się nie przejmuj. Przejdzie ci kiedyś. Teraz jednak graj dobrą narzeczoną i baw się, póki możesz. Zrozumiałaś?

Swieta pokiwała twierdząco głową. Wsunęła dłoń pod ramię szwagierki.

– Niech będzie. Wracamy – powiedziała cicho, a w myślach dodała: „I tak nie zapomnę o nim”.

Minęli Ukraińców stojących przy wejściu, wmieszani w większą grupę młodych ludzi. Zachodzące słońce wpadało w szpary pomiędzy deskami tworzącymi ściany stodoły, oświetlając wnętrze, gdzie kilka par tańczyło już na klepisku. Reszta zgromadzonego towarzystwa podpierała ściany. Piotr i Marta stanęli w rogu, skąd mieli na wszystko doskonały widok. Marta zaczęła podrygiwać do dźwięków harmonii. Piotr rozglądał się bacznie dookoła. Nie był pewien, czy przyjscie tu nie było zbyt lekkomyślnym krokiem. Pamiętał słowa Witalija o tym, co mogą mu zrobić

Ukraińcy, jeśli go rozpoznają. Jednak zaryzykował. Wiedział, że to jest jedna z ostatnich okazji, żeby zobaczyć tę dziewczynę... Świętę. Skoro przychodzą tu wszyscy, to pewnie ona też.

Święty nie było. Za to obok nich, jakby spod ziemi, wyrósł Michał. Klepnął Piotra po ramieniu na przywitanie, szczerząc przy tym zęby w uśmiechu.

– Serwus, warszawiak!

– Witam rybaka – Piotr ucieszył się w myślach ze spotkania choć jednej znajomej osoby. – A gdzie reszta załogi kutra? – zapytał kpiarsko, łowiąc zdziwione spojrzenie Marty.

– Znacie się? – zapytała z szeroko otwartymi oczami.

– Mieliśmy przyjemność się poznać – odpowiedział Piotr, mrugając porozumiewawczo do Michała.

– Reszta załogi... – Michał zawiesił głos na kilka sekund, szukając odpowiednich słów – czuwa przy sieciach.

Piotr pokiwał głową na znak, że zrozumiał aluzję. Michał rozejrzał się po sali.

– A nie słyzałeś niczego przypadkiem o tym pobitym Ukraińcu, hę? – zapytał, nie patrząc w stronę Piotra. – Nie wiesz kto, jak, kiedy?

Piotr pokręcił przecząco głową.

– Nic a nic. Ale gdybym usłyszał, dam ci znać.

– No dobra – westchnął ciężko Michał, dając do zrozumienia, że nie kupuje odpowiedzi Piotra. – Pamiętaj tylko, gdyby się cokolwiek dzisiaj działo, wal do mnie jak w dym. Będę w pobliżu. – Popatrzył z góry na Martę przyklejoną do ramienia Piotra. – A tymczasem bawcie się dobrze. Szkoda takiej dziewczyny na podpieranie ścian. – Mrugnął do Marty z uśmiechem, co wywołało u niej natychmiast wypieki na twarzy.

Muzykanci zaczęli grać wesołą, nieznaną Piotrowi melodię.

Do śmigających na klepisku par dołączyły następne. „Jichały Kozaki iz Donu do domu, pidmanuły Ha’u, zabrały z soboju. Oj, ty Ha’u, Ha’u mołodaja, pidmanuły Ha’u, zabrały z soboju”² śpiewało teraz już pół sali. Piotr dopiero teraz zauważył, że dziewczęta wychodzące na środek ściągały buty, które albo trzymały w rękach podczas tańca, albo zostawiały pod ścianami.

– Szkoda im bucików – odpowiedziała Marta, przekrzykując śpiew, gdy ją o to zapytał. Widząc jego zdziwioną minę, dodała: – Nie mają więcej. To jest ich jedyna para butów. Większość z tych dziewczyn włoży je pewnie jeszcze na swoje wesele. Muszą o nie dbać. To biedni ludzie, Piotr...

Uśmiechnęła się do niego, chwyciła za rękę i pociągnęła na środek.

– Chodź, pokaż, co potrafisz – zawołała do niego. Po chwili wirowali już w piruetach razem z innymi. Marta poruszała się z taką wprawą, że Piotr z trudem dotrzymywał jej kroku. Nie tańczył za dobrze, ale robił, co mógł, żeby nie nadepnąć dziewczynie na stopę, choć tańczyła w butach. Nie wiedział, że w tym samym momencie kilka par oczu obserwuje go uważnie.

Śtała schowana za plecami Rusłany, która darła się wniebogłosy, śpiewając o Hali, co to wpadła w oko Kozakom. Widziała Piotra, jak obracał Martą w tańcu. Twarz dziewczyny promieniała. Swieta poczuła ukłucie w sercu. Dotąd odczuwała ogromną tęsknotę. Teraz dołączyła do niej zazdrość. Nie chciała się wychylać, żeby nie zostać zauważoną. Patrzyła tylko na tańczącą parę, przygryzając nerwowo wargę.

Piosenka dobiegła końca. Marta pociągnęła Piotra w stronę otwartych wrót.

– Muszę się przewietrzyć – powiedziała zdyszana. Rzeczywiście, jej policzki płonęły. Wyszli na zewnątrz.

Piotr nie zauważył, że kilka postaci oderwało się od ściany i ruszyło za

nimi. Gdy już znaleźli się na podwórku, poczuł mocne szarpnięcie za ramię, które o mało co nie zważyło go z nóg. Odwrócił się, łapiąc równowagę. Poznał dwóch ze stojących przed nim ludzi. Pierwszy był tym, którego pobił i który stał dzisiaj przy wejściu. Drugi, syn tamtego, podniósł rękę i wskazał na Piotra.

– To on!

Piotr popatrzył na niego gniewnie.

– To ja ci skórę uratowałem przed tym draniem, a ty mi się tak odpłacasz? – syknął do młodego, który zniknął za plecami ojca.

Jeden z kompanów „Gąbki” szepnął mu do ucha:

– Załatw to.

Wszyscy stojący przed Piotrem odsunęli się na bok. Piotr zasłonił sobą Martę, która korzystając z zamieszania, zniknęła w otwartych wrotach stodoły.

„Gąbka” zamachnął się pięścią, ale Piotr był dużo szybszy. Zanurkował pod ręką Ukraińca, schodząc z linii, po czym strzelił tamtego prawym prostym w twarz. „Gąbka” zachwiał się, ale nie upadł. Zrozumiał, że nie będzie miał łatwego zadania i nie był już teraz taki skory do ataku. Ponaglany okrzykami swoich ziomków, ruszył ponownie w stronę Piotra, wymachując rękami jak cepami. To było łatwe. Piotr pozwolił mu podejść blisko, ponownie zszedł z linii i pchnął Ukraińca w plecy tak, że ten upadł na ziemię, ryjąc po niej nosem.

Przypatrujący się bijatyce Jegor włożył dłoń w kieszeń marynarki, zaciskając ją na rękojeści sprężynowego noża. Nie chciał się mieszać do bójki. Jeszcze narobiłby sobie kłopotów, a to oznaczałoby, że w razie dochodzenia policyjnego ściągnąłby na siebie niepotrzebną uwagę, stawiającą pod znakiem zapytania wszystkie mające rozpocząć się lada dzień operacje jego oddziału. Nie mógł jednak pozwolić na to, żeby ta szarpanina

trwała za długo. Oderwał się od ściany i już miał zamiar ruszyć w kierunku walczących, kiedy czyjaś dłoń, wielka jak koło młyńskie, osadziła go na miejscu.

– Rusz się tylko, sukinsynu, to ci flaki wypruję! – usłyszał za sobą. Odwrócił się. Przed nim stał Michał. Jegor położył palec na spuście noża.

– Wyciągnij tylko ten widelec z kieszeni, to wbiję ci go w gardło tak, że wypatroszy ten twój pusty łeb.

Michał jakby czytał w myślach Ukraińca. Tamten spojrzał tylko na Polaka wąskimi jak szparki oczami i syknął:

– Ty wiesz, w co się mieszasz? Dotknij mnie jeszcze raz, a zobaczysz, co się będzie działo!

Na Michale nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia.

– Nie strasz, psu bracie, bo gównu możesz. Jak nie zostawicie chłopaka, to w nocy z dymem pójdzie pół wioski. – Przysunął twarz do twarzy Jegora tak, że ten czuł jego oddech na swoich policzkach. – Zgadnij, czyja to będzie połowa? A nie wspomnę o tym, co wojsko zrobi z resztą niedobitków, gdy im o tym zamelduję odpowiednio.

Jegor wykrzywił twarz w nienawistnym grymasie, ale nie zdecydował się na ruch. W starciu z Michałem nie miał większych szans. Wiedział o nim tyle, ile donosili informatorzy, ale to wystarczyło. Michał był żołnierzem. Działał incognito, monitorując sytuację w regionie i donosząc wojsku o wszystkich niepokojących ruchach ze strony Ukraińców. Nie można było go po prostu wyeliminować. Ściągnęłoby to na ich głowę odwet ze strony armii, a tego nie chcieli. Byli jeszcze zbyt słabi. Jegor nie mógł wdać się w bezpośrednią konfrontację, choć ręce go świerzbiły.

– Czekaj, Michał, jeszcze się policzymy! – mruknął do Polaka.

Michał odpowiedział spizowym głosem:

– Nie mogę się doczekać, psu bracie!

Jegor zacisnął zęby, ale nie mógł nic zrobić. Ten baran Oleg sam sobie jest winien, że się dał załatwić gówniarzowi od Kosieckich. Musiał go teraz poświęcić. Już miał odwrócić się na pięcie, gdy nagle coś niespodziewanego wydarzyło się przed nimi.

Piotr gładko radził sobie z „Gąbką”, ten jednak po każdym uderzeniu podnosił się z ziemi jak wańka-wstańka. Nie było sensu się dalej bawić. Trzeba było kończyć z Ukraińcem. Piotr przyszykował się do ostatniego starcia, kiedy za szarżującym jak w amoku Olegiem zobaczył Swietę. Stała schowana za plecami otaczających ich ludzi. Kiedy wyłowił jej wzrok, uśmiechnęła się do niego. Opuścił ręce, wpatrując się w nią tak, jakby nikogo poza nimi nie było teraz przed wejściem do stodoły. Czekał na tę chwilę od momentu, kiedy wypłoszony przez Witalija opuścił cerkiew. Odwzajemnił jej uśmiech. Trwało to ułamki sekund. Wystarczyło jednak, żeby jeden z „cepów” Ukraińca wylądował na głowie chłopaka. Cios był na tyle mocny, że zwałił go z nóg. Zanim stracił przytomność, zobaczył tylko, że Swieta przedziera się przez szpaler ludzi i biegnie w jego kierunku.

Jegor nie zauważył Swiety. Gdy zobaczył, jak Piotr pada na ziemię, uśmiechnął się szyderczo do Michała i zniknął za rogiem sali. Michał zaś skoczył w środek napierających na leżącego chłopaka ludzi. Rozgonił ich kilkoma kuksańcami. Dopadł do Piotra, przy którym klęczała już Ukrainka.

– Odsuń się! – warknął do niej, ale dziewczyna popatrzyła na niego tak, że zatrzymał się tylko przed nią, nie robiąc żadnego ruchu.

Piotr odzyskiwał już świadomość. Kiedy zobaczył klęczącą obok niego Swietę, uśmiechnął się, mrużąc oczy. Poczuł, że dziewczyna trzyma jego dłoń w swoich. Ścisnął je mocno. Odwzajemniła uścisk, głaszcząc jego dłoń smukłymi palcami. Nie chciał się podnosić. Mógł tak leżeć bez końca, byle tylko jej nie zabrakło przy nim. „Gąbka” i cała reszta wyparowali gdzieś nagle. Obok nich był już tylko Michał. Kilka kroków dalej stała Marta. Nie

śmiała podchodzić bliżej. Czuła, że jest zbędna. Patrzyła na Piotra i Swiętę, i wiedziała już wszystko. Jej serce, rozdierane wolno, centymetr po centymetrze, zalewało jej piersi krwią zazdrości i żalu. Jednak duma i honor nie pozwalały jej zakłócać tego, co działo się przed nią.

– Co z nim? – zapytał Michał, ale dopiero po kilkunastu sekundach usłyszał odpowiedź.

– Przeżyje. – Swieta mrugnęła do Piotra, ciągle się uśmiechając.

Nagle pomiędzy nimi, jak spod ziemi, pojawiła się Rusłana. Popatrzyła na Michała gniewnie, przeszła obok, po czym złapała szwagierkę za rękę.

– Idziemy! – rozkazała głośno i pochyliwszy się nad Swiętą, dokończyła szeptem, tak, aby nikt nie mógł usłyszeć: – Wiesz, co ci Jegor zrobi, jak się dowie, przed kim się tak mizdrzysz, głupia babo?!

Swieta nie odpowiedziała. Dłoń Piotra wysunęła się z jej ręki. Musiała iść. Rusłana miała rację. Odwróciła się jeszcze w stronę leżącego chłopca, ale zasłaniały go już ogromne barki Michała, który pochylił się nad nim. Pobiegła więc za wciąż krzyczącą na nią Rusłaną.

– Piotr, wszystko w porządku? – Michał przypatrywał mu się z ciekawością.

– Taaa – Piotr wsparł się na łokciach. – Oberwałem tylko trochę.

Michał uśmiechnął się szeroko.

– Szło ci całkiem dobrze! – Głos wielkoluda był pełen uznania – Gdzie się nauczyłeś tak bić?

Piotr uśmiechnął się, rozcierając szczękę.

– W Warszawie nie brakuje cwaniaków, szczególnie tam gdzie mieszkam, to i się nauczyłem.

– To pewnie niezbyt dobra dzielnica? – Michał odsapnął z ulgą, kiedy przekonał się, że nic się nie stało. Piotr usiadł na ziemi i wzruszył ramionami.

– Dobra na tyle, żeby nauczyć się bić.

Michał pomógł mu wstać. Piotr otrzepał się z kurzu.

– Idź już do domu, nie kręć się tu dzisiaj.

Gdy Piotr już miał zamiar odejść w kierunku Marty, poczuł dłoń na swoim ramieniu.

– Słuchaj... – Michał zawiesił na chwilę głos – spotkajmy się w środę wieczorem w tym samym miejscu pod lasem co ostatnio. Przydasz mi się.

Piotr popatrzył na niego zdziwiony. Jednak wielkolud uprzedził jego pytania.

– Sprawiasz wrażenie takiego, co lubi przygody, a mi potrzebny dodatkowy rybak na tę noc. – Mrugnął do chłopaka porozumiewawczo. Wywołał oczekiwany efekt.

– Z chęcią. – Piotr pokiwał głową z zainteresowaniem.

– Do zobaczenia w środę zatem, przyjdę po ciebie. Bądź gotowy o ósmej. – Michał uścisnął jego dłoń na pożegnanie. – Teraz idź już. Ktoś tam na ciebie czeka.

Piotr odwrócił się w stronę Marty. Stała kilka metrów od niego. Nie mówiła nic, ale jej twarz wyrażała wszystko. Piotr domyślił się, że widziała jego i Swietę przed chwilą. Podszedł do niej, chcąc chwycić ją pod rękę. Wywinęła się mu jednak. Zrozumiał. Ruszyli w stronę domu w milczeniu.



„dobrzy ludzie”. Jegor, pamiętając o groźbie Michała, po krótkiej naradzie odprawił swoich podkomendnych do domu. Kilku z nich zostało jednak trochę dłużej, aby porozmawiać z wodzem na osobności. Jeden z nich mówił, a reszta potwierdziła wiadomość, zgodnie kiwając głowami. Kiedy skończyli, Jegor zaciskał pięści z siłą, która zamieniła kłykciki w białe guziki. Nie powiedział nic. „Dobrzy ludzie” odeszli w ciszy, nie chcąc narazić się niczym wściekłemu dowódcy.

„Siostra miłosierdzia, tak?!” – mówił do siebie w myślach, z trudem tłumiąc wściekłość. Szedł szybkim krokiem w stronę domu Danyły, mieląc w ustach przekleństwa. „Opatrzyła obitą buźkę łachudrze?! Zlitowała się!? Nad Lachem?! Ja jej pokażę!”

Z największą trudnością akceptował hardy charakter narzeczonej. Zaciskał zęby, kiedy okazywała mu lekceważenie, ale nielojalności tolerować nie mógł.

Z domu Horodyłów wyszedł szybciej, niż do niego wszedł. Nie spotkał Swiety, za to jej matka na jego rewelacje odpowiedziała wzruszeniem ramion.

– Taż ona w końcu medsestra. – Popatrzyła z politowaniem na ciskającego się Jegora. – Jak obiliście chłopaka, to go pewnie i opatrzyła. A ty zaraz szukasz dziury w całym.

Miał ochotę udusić tego chojraka z Warszawy gołymi rękami. Nie bał się działać. Był jednak na tyle rozsądny, żeby powstrzymać niepotrzebne emocje. Jeśli cokolwiek wymknie się spod kontroli, to jego głowa trafi pod katowski topór. Sprawa była delikatna. Lepiej będzie, jeśli decyzję o losie tego Lacha podejmie ktoś inny, ktoś bardziej kompetentny. A wtedy krótkie: „Ja tylko wykonywałem rozkaz” powinno wystarczyć, żeby wyjść z tego cało.

Danyłę odnalazł w oborze. Nie popełnił drugiego raz tego samego błędu i nie

wyrzucił wszystkiego z siebie, żaląc się jak płaczek na Swietę. Danyło wysłuchał rzeczowego meldunku na temat całego zajścia, przerzucając gnój widłami. Cała ta historia obchodziła go zresztą tyle co świeżo nabrany na widły ładunek. Do czasu.

– Danyło, ten Laszek zwąchał się z tym wojskowym ciurą Michałem. Rozmawiali ze sobą na zabawie. Przyjechał z Warszawy. Pewnie to jakiś tajniak albo co.

Danyło jednak ostrożnie podchodził do takich rewelacji. Wiek i doświadczenie podpowiadały mu, że pośpiech i gwałtowne działanie nie zawsze przynoszą dobre skutki. Jegor, widząc, że nie jest w stanie wywołać w rozmówcy pożądanej reakcji, zablefował.

– Mój informator doniósł, że mają rozpracowaną naszą siatkę, a ten główniarz ma zawieźć raport do Warszawy – kłamał, patrząc uważnie na starego. Dopiero teraz Danyło ożywił się na tyle, że można było zasugerować odpowiednie rozwiązanie.

– Lachy mają u nas wtyczkę. Rozpuściłem więc plotkę między swoimi o tym, że będzie przerzut broni do kryjówek. Te psubraty dowiedziały się o akcji i chcą na nas czatować. Węszą, w którym miejscu mamy schowek. – Jegor starał się być bardzo przekonujący. – Zaplanowałem to. Każdemu z naszych podałem inną datę przerzutu. Czekałem później na meldunek naszego szpicla. Polaczki szykują się na środę. Ten nasz, który doniósł, już więcej nic nie powie. Wyleczyłem go z donosicielstwa bagnetem. Nie znajdą go nawet za sto lat. Problem w tym, że nie wiemy, ile on Polakom naopowiadał. Dlatego nie możemy tego Lacha puścić do Warszawy z meldunkiem, bo całą naszą siatkę szlag trafi. A wojna za pasem. Na dodatek on się wokół Swiety kręci. Węszy pewnie, żeby ciebie dopaść... – Danyło drgnął, a czujne oko Jegora natychmiast to wyłapało. Patrzył, jak stary drapie się po głowie, z nadzieją na sensowne rozkazy. Wreszcie

usłyszał to, co chciał usłyszeć.

– Dobra robota. Urządźcie zasadzkę. Michała wziąć żywcem. Zobaczymy, co wyśpiewa. Czas dojrzał. Za tydzień, góra dwa zacnie się wojna. Już nie będziemy się musieli kryć i przejmować wojskiem. A warszawiaka do piachu.

Pod kamienną maską twardego bojca Jegor cieszył się jak dziecko. Danyło kupił wszystko. Nie mogło być lepiej. Zacisnął pięść tak, jakby trzymał w niej gardło tego wścibskiego Lacha.

21



Doszli do dworku w milczeniu. Piotr doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że siląc się na rozmowę, albo robi z siebie durnia, albo sprowokuje kłótnię. Wiedział, że odpycha od siebie Martę, ale nie mógł zrobić inaczej. On już nie należał do samego siebie, a dzisiaj ona mogła się o tym przekonać. Domyślał się, jak bardzo musiało ją to boleć, ale okrutna prawda była lepsza od ropiejącej rany, jaką była złudna nadzieja. Fatalnie się czuł w tej całej sercowej ciuciubabce. Jakoś tak mało męsko. Marta była wspaniała, dowcipna, inteligentna i nieprzyzwoicie piękna. Jednak w tym wszystkim zabrakło tego małego liścia laurowego zamieniającego garnek bigosu w wykwinną potrawę. Nie była Świętą...

Odprowadził ją do samych drzwi. Weszła do domu, nie patrząc w jego stronę, co sprawiło, że poczuł się jeszcze gorzej. Nie potrafił wyzbyć się poczucia winy, co nie było czymś zupełnie nadzwyczajnym. Dla

zdecydowanej większości osobników płci męskiej umiejętność sprawiania na zimno bólu rozkochanej kobiecie stanowi nieprzekraczalną granicę. Nawet najtwardsi na widok kobiecych łez flaczejają jak dziurawa dętka. Piotra stać jednak było na nadludzki jak dla mężczyzny wysiłek, żeby nie przedłużać agonii tylko po to, żeby nie czuć się jak świnia. Dlatego, mimo ogromnej chęci, aby pójść za Martą i zrobić jakieś głupstwo, obrócił się na pięcie i odszedł w stronę sadu. Czuł, że jest jeszcze ktoś, kogo musiał powiadomić o tym, co się stało.

Kościelny wysłuchał opowieści Piotra w milczeniu. Nie mówiąc nic, naciągnął spodnie i wsunął bosc stopy w sfatygowane trzewiki. Machnął ręką na pomstującą na jego głupotę żonę, po czym rzucił krótkie:

– Idziemy.

Piotr nie pytał o nic. Nie miał pojęcia, dokąd zabiera go Witalij. Dopiero w połowie łąki stary odezwał się do niego.

– Tam, gdzie pójdziemy, będziesz milczał jak grób. Nie odezwiesz się nawet pytany – w głosie Witalija wyczuć można było zmęczenie. – Ja będę tym od otwierania gęby. Jasne?

Piotr potaknął skinieniem głowy. Postawa Witalija lekko go onieśmiałą, ale w końcu się przemógł.

– Dokąd idziemy?

– Złożyć pokłon panu twojego życia i śmierci – mruknął kościelny, patrząc pod nogi. Pokiwał głową, jakby niedowierzając swoim myślom. – Albo przynosisz pecha wszystkim dookoła, samemu sobie też przy okazji, albo jesteś jeźdźcem apokalipsy, zwiastującym koniec świata pasmem nieszczęść. I jedno, i drugie jest tak samo złe i do dupy. Kiedy wyjeżdżasz do domu?

– W czwartek.

– I bardzo dobrze. Może nie zdążysz sprowadzić na nas wszystkich głodu i zarazy.

Sytuacja zabawna nie była, ale Piotr nie mógł powstrzymać się od parsknięcia śmiechem. Nie pomogło srogie spojrzenie Witalija. Chłopak śmiał się w najlepsze, jakby słuchał wieczornej audycji Szczepcia i Tońcia ze Lwowa. Gdy już się uspokoił, kościelny wreszcie wyjawiał mu cel wędrówki.

– Idziemy do Danyły Horodyły. Wiesz, kto to? To ojciec Swiety – sam odpowiedział na swoje pytanie i nie zwracając uwagi na rozdziawione usta chłopaka, kontynuował: – Jeśli się na ciebie szykują, to on będzie wiedział. Bez jego zgody nic się nie może wydarzyć.

– Wskórasz coś? – zapytał Piotr nieśmiałym głosem.

– Jeśli nie będziesz się do tego mieszał, to kto wie.

Dotarli wreszcie na miejsce. Mrok zgęstniał już na tyle mocno, że tylko dzięki światłu padającemu z okien mogli widzieć co nieco. Przy furtce przywitało ich ujadanie psa. Po chwili w otwartych drzwiach pojawiła się kobieta.

– To ja, Witalij. Zabierz psa, Halu. – Kościelny oparł się dłońmi o furtkę, ale zaraz je cofnął, gdy ujadający kundel skoczył w górę, starając się chwycić rękę intruza swoimi kłami.

Kobieta poruszyła się. Gwizdnęła na psa. Przyniosło to rezultat, który można określić słowem: żaden. Zamachnęła się więc ścierką i zdzieliła nią zwierzę po łbie. Zwierzak zaskowyczał i uciekł, podkulając ogon.

– A czego ty tu szukasz po nocy? – odezwała się z nieukrywaną niechęcią w głosie.

– Cep mi się zepsuł – Witalij nie pozostał jej dłużny. – Nie pożyczycie swojego... STAREGO? – Ostatnie słowo zaakcentował specjalnie mocno. Kobieta zwolniła skobel zamykający furtkę i bez słowa, z zadartym nosem

mającym podkreślić jej oburzenie na słowa Witalija, weszła do sieni.

Piotr czuł się tak, jakby wkraczał do jaskini lwa. Długi korytarz, z którego wchodziło się do pozostałych pomieszczeń, rozświetlony był na samym środku małą lampą naftową. Kobieta zapukała do drzwi po lewej stronie. Usłyszeli głośnie:

– Wejść!

W środku, na niskim stołku, siedział mężczyzna. Piotr domyślił się, że ma przed sobą ojca Swiety. Spodziewał się potwora, żadnego krwi Kozaka z obłędem w oczach, tymczasem siedzący przed nim człowiek na pierwszy rzut oka zdawał się normalnym, lekko puciołowatym, wąsatym łagodnym sąsiadem, co to upija się zaledwie trzy razy w tygodniu, żonę leje tylko, jak sobie na to zasłuży, a w cerkwi stoi zawsze w pierwszym rzędzie. Cały ten idylliczny obraz psuły oczy, bezwzględnie zimne, pod których ciężarem Piotr przesunął wzrok z twarzy Danyły na jego ręce. Trzymał w nich buta z oderwaną podeszwą, w której dłubał szydłem. Piotr pomyślał, że człowiek o takich oczach mógłby ich wszystkich pozabijać nawet tym dziurawym butem, gdyby chciał.

– Witaj, Danyło – Witalij odezwał się pierwszy, po czym usiadł na krześle odsuniętym od stołu, nie czekając na zaproszenie.

– Witaj, Witalij. – Gospodarz zgrabnie ukrył zaskoczenie nagłą wizytą. – Zobacz, na co mi przyszło. Buty mi się rozlazły, psia ich mać! No i muszę za szewca robić.

– Poszyjesz sobie buty później. – Kościelny nie tracił czasu. – Przeprowadziłem gościa. – Wskazał dłonią na stojącego z boku Piotra. – Już pewnie o nim słyszałeś, a jak nie, to ci twoje sługi doniosą wkrótce. To ten warszawiak, który poturbował Olega jakiś czas temu.

Gospodarz wyraźnie się ożywił. Spojrzał na Piotra, przenikliwie lustrując go od stóp do głów.

– No proszę. Laszek do mnie przyjszow – łagodny ton głosu wcale nie czynił go przyjaznym. – A ty wiesz, ilu ludzi dałoby dużo, żeby cię spotkać? A tu proszę. Lach w moich skromnych progach. Mene też pobijesz?

– W soboty nie biję, tylko w poniedziałki i środy. Sobota to już prawie jak niedziela, a niedziela dzień Pański...

– Zamknij się! – Witalij był wściekły. – Mówiłem, że masz siedzieć cicho!

Danyło był jednak wyraźnie rozbawiony odpowiedzią Piotra.

– Podoba mi się! – Klasnął w dłonie. – Ma charakter. Takich lubię. – Popatrzył na chłopaka niezmiennie zimnym spojrzeniem. – Szkoda cię będzie.

Witalij sapnął.

– Ja właśnie w tej sprawie. Odwołasz swoje psy. Chłopakowi włos nie może spaść z głowy. Za kilka dni wraca do Warszawy. I wróci w jednym kawałku. Beż żadnej brzydkiej dziurki w ciele, bez siniaka – a najważniejsze – żywy.

Gospodarz oniemiał. Na jego twarzy pojawił się ten rodzaj miny, który klasyfikuje delikwenta jednoznacznie jako wioskowego głupka. Wsparł wielkie dłonie na udach i ochłonawszy po kilku zdaniach wypowiedzianych przez Witalija, odezwał się.

– Co ty...

– To nie wszystko – przerwał mu kościelny. – Żaden z twoich siepaczy nie podejdzie do domu Kosieckich. Im też się nic nie stanie. To tyle.

Danyło, kipiąc z wściekłości, lustrował go wzrokiem. Witalij upokorzył go we własnym domu i to w obecności niemile widzianego gościa.

– A co zrobisz, jak nie posłucham i znajdą go jutro z widłami w plecach? – Mówiąc „go”, kiwnął głową w kierunku Piotra. – Pogrozisz mi palcem? Co?!

Witalij wziął ze stołu jabłko, przetaił je o poię marynarki i wbił w nie zęby. Gryząc soczysty owoc, odpowiedział spokojnie.

– Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami mieszka sobie pewien człowiek. Ten człowiek ma pewną teczkę. W tej teczce są pewne papiery. Polacy duío by dali za te papiery. A jest w nich wiele ciekawych rzeczy. Między innymi teó dane całej siatki odpowiedzialnej za zamach na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego oraz to, kto wtedy był bezpośrednim dowódcą mordercy, Hryhorija Maciejki. – Witalij popatrzył wymownie w stronę gospodarza. – Wiesz, co się stanie, jeśli opiekun teczki dostanie ode mnie list? Albo co się stanie, gdy przeczyta w prasie mój nekrolog? Teczka w ciągu dwóch godzin wylądjuje na odpowiednim biurku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. A do ciebie i do twojej wesołej kompanii nad ranem zapukają smutni panowie w stalowych hełmach.

Danyło zbladł. Przez chwilę mierzył wzrokiem Witalija, a później spojrział na Piotra.

– Wyjdz! – powiedział zachrypniętym głosem zupełnie tak, jakby w ciągu minuty dopadło go zapalenie gardła.

Chłopak nie czekał na pozwolenie Witalija. Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

*P*iotr oparł się o ścianę w sieni. Mimo wyteózania słuchu nie był w stanie zrozumieć rozmowy toczącej się za zamkniętymi drzwiami. Nie bał się, ale jakiś dziwny niepokój nie pozwalał mu zebrać myśli. Oderwał się od ściany i zrobił kilka kroków. Minął kolejne drzwi i zatrzymał się obok duóej komody. Pogładził dłonią jej politurę. Juó miał sięgnąć do stojącego na niej koszyka z jabłkami, gdy usłyszał za sobą skrzypnięcie drzwi. Obrócił się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku, z rękami założonymi do tyłu. Przed nim stała Swieta.

Dziewczyna patrzyła na niego w milczeniu. Nawet jeśli była zaskoczona, nie dała tego po sobie poznać. Piotr gapił się na jej pełne usta, duże ciemne oczy i kosmyk, który wydostał się spod chustki przykrywającej lekko pofalowane włosy. Był prawie pewien, że słyszy delikatny głos szepczący mu do ucha: „Nie ma tutaj nikogo. Zerwij go...”. Podniósł dłoń. Swieta spojrzała na nią tak, jak patrzy dziki kot, gdy widzi zmierzającą w swoim kierunku rękę, która chce go pogłaskać. Odsunął kosmyk z jej czoła, a ona na sekundę spuściła wzrok, zarumieniona. Po chwili podniosła głowę, przekrzywiła ją lekko i uśmiechnęła się. Piotr miał wrażenie, że kula ognia, która zagnieździła się w jego piersiach, promieniuje na całe ciało. Płonął od środka, od czubków palców po koniec nosa.

– Co tu robisz? – zapytała cicho po polsku z tym śpiewnym ukraińskim akcentem.

– Ja z Witalijem... do Danyły... znaczy twojego ojca...

Kiwnęła głową. Nie musiała mu zdradzać, że przez okno widziała ich wchodzących do domu.

Gdzieś za nimi skrzypnęły drzwi. Piotr cofnął rękę i odsunął się na pół kroku, oglądając się za siebie. Swieta roześmiała się cicho, przysłaniając usta dłonią.

– Zuch chłopak, niczego się nie boi – wyraźnie się z nim droczyła.

Oparła się o ścianę i patrzyła na niego przymrużonymi, śmiejącymi się oczami.

– Tak bez mamy w obcym miejscu? Nie za młody jesteś na to? – To chyba jej głos sprawił, że policzki Piotra zmieniły kolor na pąsowy. – Ile masz lat, młokosie?

Trafiła jednak na warszawiaka. Riposta przyszła prawie natychmiast. Piotr zrobił krok w jej kierunku, odbierając jej uśmiech, za to sprawiając, że powietrze, którego nabierała do płuc, stało się wyjątkowo gorące i gęste.

Patrzyła na niego już bez kpiny, ciepło, ale z tym dystansem właściwym dzikim kotom.

– Wystarczająco dużo, żeby czuć, jak przyspiesza ci puls, kiedy stoję obok.

Trafił celnie. Jego słowa wywołały gęsią skórę na całym jej ciele. Poczwała gorąco i pragnienie, żeby dotknął jej policzka. Dotknął. Była bezbronna, tak jak wtedy w cerkwi. Patrzyła tylko na niego, pragnąc następnego kroku i jednocześnie bojąc się go. Podniosła dłoń, a Piotr przyłożył do niej swoją. Bawił się jej palcami, które oplatały jego rękę.

– Wyjeżdżam w czwartek... – Nie poznał swojego głosu, jakby ktoś inny poruszał jego ustami. Swieta zamarła. Ścisnęła mocno jego palce. Szeroko otworzyła oczy i uśmiechnęła się smutno.

– Wychodzę za mąż niedługo... – odpowiedziała cicho, patrząc mu w oczy. Pokiwał głową na boki w zaprzeczeniu. Poglądziła go po policzku.

– Tak, Piotrze, tak...

Stali tak chwilę w milczeniu, nie wiedząc nawet, że spoza lekko uchylonych drzwi kuchennych matka Swiety wyławia każdy dźwięk dochodzący z sieni. Kobieta przerażona tym, co widziała i słyszała, postanowiła przerwać to gruchanie, zanim Danyło albo Oleg przyłapią ich na gorącym uczynku. Otworzyła zamasyście drzwi, odczekała kilka sekund, po czym dziarskim krokiem przekroczyła próg. Kiedy weszła do korytarza, Swiety już w nim nie było. Oparty o ścianę Piotr przywitał ją ukłonem głowy.

– Pochwalony...

*P*rzez kilkanaście tyknień zegara w pokoju panowała cisza, przerywana tylko mlaskaniem Witalija. Po chwili Danyło wstał, zacisnął pięści, jakby szykował się do ataku, aż w końcu wypalił:

– Przychodzisz do mnie do domu! Przyrowadzasz jakiegoś obesrańca, który nie dość, że pobił mojego człowieka bez powodu, to jeszcze na dodatek jest szpiegiem nasłanym przez Warszawę!

Witalij parsknął śmiechem. Uderzył się dłońmi po udach, śmiejąc się głośno.

– Piotr szpiegiem? – rechotał rozbawiony. – Aleś ty głupi, Danyło, jak ten twój dziurawy but. Kto ci tych idiotyzmów nagadał?

– Już my wiemy o nim wszystko – syknął gospodarz, mrużąc oczy i wymachując pięścią w powietrzu. – Nie zamydlisz mi oczu! – rzucił podniesionym tonem, ciskając dziurawym butem o podłogę.

– Gównu wiecie. – Witalij uspokoił się już i teraz patrzył tylko na gospodarza kpiącym wzrokiem. – Ktoś ci bzdur naopowiadał, a ty wierzysz we wszystko. Znam jego rodzinę. Przyjechał kwiatki wachać i dziewczuchy podrywać, a nie was szpiegować. Nieważne. Ważne jest to, że odwołasz swoich ludzi.

– Skąd wiesz, że ich wysłałem? – zapytał Danyło, dysząc jeszcze z wściekłości.

– Bo cię znam na tyle. Biegają teraz pewnie po wsi z wywieszonymi jęzorami.

– Nie muszę ci ufać. Laszkę sobie wzięłeś i zdradziłeś nas.

Witalij spoważniał. Pochylił się w kierunku Danyły.

– Powiedziałem ci, że znam rodzinę Piotra. Ale nie tylko ja. Ty też ich znasz. – Popatrzył na gospodarza, jakby chciał zaserwować taką piłkę, której tamten nie będzie w stanie odebrać. I zaserwował. – Wiesz, jak on się nazywa? Ochocki. Ale to po ojcu, byłym żołnierzu. A wiesz, jak się jego matka pisała przed ślubem? Kowalewska.

Już drugi raz tego wieczoru Danyło pobladł jak ściana. Siedział z rozdziawionymi ustami i nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Tak, tak, Danyło. – Witalij wiedział, że uderzył w czuły punkt. – Judyta Kowalewska. I widzę, że nawet po tylu latach drżą ci kolana na dźwięk jej imienia. Ciekawe, co by ci powiedziała, gdyby wiedziała, że chcesz jej syna zaszlachtować.

Danyło został trafiony i zatopiony. Nawet nie próbował tego ukryć. Spodziewałby się wszystkiego, ale nie tego, że ten młokos był synem dziewczyny, za którą on dwadzieścia lat temu byłby gotów spalić pół Ukrainy. Dwadzieścia lat temu? Nawet teraz zrobiłby to pewnie bez większego namysłu, gdyby mógł w ten sposób wrócić jej życie. Kochał się w niej na zabój. Lubiła go, ale wybrała tego żołnierza. On został z gwoździem wbitym w duszę i kobietą, którą szanował, ale do której nigdy nie poczuł tego, co czuł do Polki.

Witalij nie chciał pastwić się nad przegranym. Wiedział, że Danyło go posłucha. Jednak wolał dać mu szansę, żeby mógł wyjść z tego bez upokorzenia.

– Pamiętasz kampanię pod Kijowem w dwudziestym roku? – zapytał go spokojnym głosem bez cienia ironii czy pogardy. Danyło pokiwał głową.

– Wiem, do czego zmierzasz. Każesz mi spłacić dług wobec ciebie – gospodarz mówił przyciszonym głosem.

– Nie. – Kościelny wstał od stołu i podszedł do okna. – Nie chcę kazać ci spłacać. Chcę cię o to prosić. Wtedy wyniosłem cię na pół żywego spod ostrzału. Obiecałeś spłacić dług. – Spojrzał na Danyłę. – Proszę cię o spłatę teraz. Twoje życie za życie tego chłopca. Będziemy kwita.

Gospodarz nie poruszył się. Milczał dłuższą chwilę. Zrozumiał, że Witalij nie chce go pognębić i rozmawia z nim jak równy z równym. Ze wzrokiem wbitym w podłogę wyszeptał:

– Dobrze, pułkowniku. Niech tak będzie. Życie za życie. – Podniósł głowę, popatrzył Witalijowi w oczy i powtórzył: – Życie za życie. Powiedz

temu młokosowi, że może odejść w spokoju. Włos mu z głowy nie spadnie.

Kościelny pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Dziękuję.

Gdy dochodził do drzwi, usłyszał głos Danyły.

– Czemu nie chcesz się do nas przyłączyć? Chodź z nami. Ukraina czeka na takich jak ty.

Witalij obrócił się w stronę gospodarza.

– Danyło, jeśli będę chciał zobaczyć tryskającą krew, to oberżnę kurczakowi łeb i puszczę po podwórku. Nie muszę się zapisywać do waszej bandy. Bywaj.

Nacisnął klamkę i wyszedł.

– *U*ważaj na siebie, chłopaku. – Witalij podał Piotrowi dłoń w geście pożegnania, gdy dotarli do łąki.

– Już się żegnamy? – Piotr rozejrzał się niespokojnie dookoła. Samotny powrót do domu wyraźnie nie przypadł mu do gustu. Witalij zaśmiał się cicho.

– Nie bój się, nic ci się nie stanie. Tylko prosto do domu idź. I nie wdępnij w żadne gównno. Ani dziś na łące, ani w życiu. – Stary mocno uścisnął dłoń chłopaka. – Ja jeszcze zajdę w jedno miejsce. Nie będę cię ciągał ze sobą. Bywaj, Lachu.

– Nie zadźgają mnie widłami? – zdążył zapytać Piotr znikającego w mroku Witalija, który roześmiał się głośno.

– Nie martw się. Najwyżej zatkasz dziury korkiem od wódki.

Lakoniczne pożegnanie w męskim stylu pozostawiło w Piotrze pewien niedosyt, którego nie potrafił sprecyzować. Człapał w ciemnościach w kierunku świateł jarzących się w chałupach po drugiej stronie łąki. Polubił

tego Rusina. Takie silne, prostolinijne charaktery są jak magnes przyciągający do siebie szczerych i otwartych ludzi z jednej strony, a odpychający wszelakiej maści kanalie z drugiej. Piotr czuł, że mógłby się zaprzyjaźnić z tym człowiekiem. Oczywiście pod warunkiem, że ten takową przyjaźń byłby gotów przyjąć. Witalij sprawiał wrażenie samotnika, wilka żyjącego z dala od watahy, która go odrzuciła. Przyjaźń z nim byłaby więzią silniejszą nawet niż śmierć. Przypomniawszy sobie o Swiecie i poczuł ulgę, wiedząc, że on się nią opiekuje. Była więc bezpieczna. Przynajmniej dopóki pozostaje w pobliżu Witalija. Przypomniawszy sobie nagle rozmowę podczas wieczoru przy wódce. „To nie wasze *Ogniem i mieczem*, a tyś nie Skrzetuski”. Słowa starego zadźwięczały mu w głowie. Skąd, u licha, Witalij znał Sienkiewicza? Jakoś nie chciało mu się wierzyć, że prosty Rusin mógł czytać Trylogię. „Może to nie jest taki prosty Ukrainiec, na jakiego wygląda” – wpadło mu do głowy, a jego podziw dla starego kościelnego zdecydowanie wzrósł.

Tej nocy nie zmrzążył oka prawie do rana. W głowie huczało mu od nadmiaru myśli. Gdy już zasnął, w jego śnie Skrzetuski ganiał się z Witalijem, a Jegor, stojąc z boku, rzucał w nich ostrymi nożami.



– **P**olej – głos Danyły wyrwał go z letargu – bo mnie gardło swędzi.

Szyjka butelki zadźwięczała o brzeg szklanki, napełniając ją mętным płynem.

– Musimy porozmawiać.

Jegor popatrzył na niego zdziwiony.

– O czym?

– Mam pewną propozycję. Pamiętasz naszą rozmowę o tym Lachu z Warszawy? – zapytał Danyło, patrząc przysłuszanemu zięciowi w oczy, a gdy tamten potwierdził skinieniem głowy, dodał:

– No właśnie...

Gdy już skończyli, Jegor wyszedł z pokoju, chwiejąc się na nogach. W drzwiach minął wchodzącą właśnie Halę. Popatrzyła na niego bez słowa, z politowaniem. Gdy mijał w sieni drzwi do pokoju Święty, przystanął i zamyślił się. Wahał się przez chwilę, po czym nacisnął klamkę.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi. Obróciła się na krześle, strącając dłonią leżący na blacie stolika grzebień.

– Ciiii – głos Jegora zdradzał, że trzeźwość nie była dzisiaj jego najmocniejszym atutem. Zresztą nie trzeba było być mistrzem dedukcji, żeby to dostrzec. Wystarczyło spojrzeć na jego zaczerwienione policzki, przymrużone oczy i chwiejącą się sylwetkę. – Bo jeszcze się dowiedzą, że tu jestem i Danyło przyjdzie robić za przyzwoitkę – roześmiał się ze swojego dowcipu.

Święta poczuła obrzydzenie. Jak zwykle zresztą, gdy widziała go w takim stanie.

– Wyjdź, Jegor. – Odwróciła się do niego tyłem, chcąc jak najszybciej zakończyć to spotkanie. – Wróć, jak wytrzeźwiejesz.

Wzięła grzebień do ręki, udając, że straciła zainteresowanie dalszą rozmową. W rzeczywistości spięła się w sobie, łowiąc każdy dźwięk docierający do jej uszu. Nie uszły zatem jej uwagi ciche kroki w jej kierunku.

Wstręt podszedł jej do gardła. Wiedziała, co się zaraz stanie. Nie pomyliła się. Dłonie Jegora spoczęły na jej ramionach, a jego palce rozpoczęły taniec na jej delikatnej szyi. Poczła się tak, jakby ktoś położył jej na karku wielkiego pajaka. Zerwała się z krzesła i stanęła przy oknie. Czła, jak mięśnie jej twarzy napinają się, tworząc grymas obrzydzenia.

– Nie waż się mnie dotykać! – jej głos z trudem wydobywał się z zaciśniętego gardła. Jegor oparł się dłońmi o stolik.

– A co, nie wolno mi? – Stał z przekrzywioną głową, patrząc się na nią wzrokiem pijanych żołdaków widzących kryjącą się w krzakach zdobycz odzianą w sukienkę. – Ja jestem twój narzeczony! – Przy „ja” uderzył się pięścią w pierś. – Masz robić, co ci każe! – Ruszył do niej z otwartymi ramionami. – No nie gniewaj się, daj pyska.

Swieta rozejrzała się dookoła z rozpaczą, ale jedyną drogę ucieczki zamykało poruszające się w jej kierunku pijane cielsko. Jegor objął ją ramionami i pocałował w policzek, na którym pozostawił mokry, lepki ślad. Wsunął jej pod bluzkę dłoń, zaciskając ją na piersi. Swieta ostatkiem sił zrzuciła jego ramię ze swojego. Odsunęła jego głowę śmierzącą niczym napełniony bimbrem słoje i pchnęła go na tyle mocno, że zatoczył się i upadł na podłogę.

– Poczekaj, suko – mamrotał, gramoląc się z podłogi – jeszcze będziesz tańczyć, jak ci zagram. Śmierdzi ci ukraiński chłop? A może Lacha ci się zachciewa? Ale zobaczysz. Po ślubie będę cię miał, kiedy będę chciał i jak będę chciał.

Nie chciała tego słuchać dalej. Przeskoczyła nad nim i otworzyła drzwi na oścież.

– Wynoś się stąd! – wycedziła przez zęby – albo zawołam ojca. Jak mu powiem, żeś się do mnie dobierał, to cię ze skóry obedrze. Rozumiesz, pijaku?!

Jegor wstał, zatoczył się, ale utrzymał równowagę. Popatrzył na nią mętным wzrokiem. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi. Gdy ją mijał, podniósł głowę z pogardą.

– Nie chcesz dać, pójdę gdzie indziej – wybełkotał. – Co ty myślisz, żeś jedyna na tym świecie? Jak palcem pokażę, to każda baba we wsi nogi przede mną rozłoży. Pies cię drapał. Ale żebyś nie żałowała.

Miała ochotę wymiotować. Przełknęła ślinę i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Idź, jak chcesz. Byle dziwka z tobą pójdzie. Na kobietę nie zasługujesz.

Wyciągnął palec w jej kierunku.

– Poczekaj aż wytrzeźwieję... pogadamy wtedy inaczej... – Uderzył pięścią we framugę i wyszedł. Świeta zamknęła za nim drzwi, oparła się o nie plecami i odetchnęła z ulgą.

Dłonie od kilkunastu minut powtarzały bezustannie tę samą czynność. Chwytała kosmyk włosów i rozczesywała go po tysiącokroć. Jej oczy spoglądały w stojące na komódce lusterko niewidzącym wzrokiem. Śpiewała. Delikatny, cichy głos wibrował w powietrzu, wypełniając przestrzeń pokoju ciepłą, kojącą melodią. Pomagało jej to uporządkować myśli, które teraz wirowały w jej umyśle z prędkością, od której bolała głowa.

Pijak może wiedzieć, że alkohol go zabija. Ale wiedza nie oznacza jeszcze świadomości. Ta przychodzi nagle, zwykle na skutek nagłego szoku albo zdarzenia losowego. Pijak może obudzić się nagle w rynsztoku, bez pieniędzy, bez dachu nad głową, a przede wszystkim bez kogokolwiek, dla kogo byłby ważny. Wtedy ma szansę zobaczyć i poczuć to, co wiedział od dawna – że to, czym żył do tej pory, zabiło wszystko, co najlepsze w jego życiu. Czasem nie trzeba czekać, aż człowiek stoczy się na samo dno. Czasem świadomość, jak dar, przychodzi nieoczekiwanie i na tyle wcześniej,

żeby zamienić „wiem” na „rozumiem”. Dziś Swieta zrozumiała. Do tej pory nie docierało to do niej jeszcze z wystarczającą siłą. Owszem, czuła opór i niechęć, ale było to związane raczej ze sposobem, w jaki oddano ją Jegorowi. Dziś uświadomiła sobie z całą mocą, jakie życie ją czeka u jego boku. Wystarczyło kilka słów, żeby obrzydliwe, odpychające obrazy napełniły jej myśli zgniłym odorem. Wiedziała, że miał wiele kobiet przed nią. Teraz uświadomiła sobie jeszcze, że to nie skończy się wraz ze ślubem i kiedy będzie nadarzać się okazja, on będzie z tej okazji korzystał. Wyobraziła sobie jego spocone pijane cielsko zwalające się w nocy na nią swym ciężarem i naszło ją obrzydzenie. Oderwała dłoń od włosów i dotknęła swoich piersi. Poczwała mięką krągłość. Wiedziała, że jest ładna, że chłopcy oglądają się za nią i wielu dałoby wszystko, żeby ich ręka była teraz na miejscu jej dłoni. A on? W noc poślubną przyjdzie do jej łóżka chwiejący się na nogach. Zedrze z niej koszulę i... odwróciła głowę od lusterka, poskramiając falę nudności wzbierającą w jej żołądku. Przecież on tylko zrobi swoje, a potem zaśnie, nawet nie pamiętając za dobrze o tym, co się stało. Cały dar w postaci jej osoby, jej młodego, czystego i pięknego ciała zostanie zachlapany ohydny szlamem z szamba jego pijanego oddechu. Wszystko, co miała najlepszego, zostanie po prostu rzucone w błoto. A najgorsze, że on nawet nie będzie w stanie zrozumieć, jak bardzo ją zrani. W uszach dźwięczało jej zdanie: „Nie chcesz dać, pójdę gdzie indziej, co ty myślisz, żeś jedyna na tym świecie?”.

Tak, tak właśnie myślała. Chciała wierzyć, że tak będzie też myślał o niej jej mąż. Jako o jednej jedynej na świecie. Teraz wiedziała już, że będzie inaczej. Poczwała wstręt do samej siebie, do brudu, w jakim się utapla już pierwszej nocy. Może i Jegor ją kochał, ale szacunku do niej nie miał na pewno. A teraz ona sama traciła ten szacunek. I pomyśleć, że wcześniej nawet nie zwróciłyby na to uwagi. Ot, zwykły los wiejskiej dziewczyny,

choćby była pielęgniarką po szkołach. Mąż może i dobry, ale pijak, do tego rozglądający się za łypiącymi za nim dziewczuchami. Ale kiedy poczuła na sobie spojrzenie Piotra, wyczytała z niego, co to znaczy być dla kogoś ważną. Czuła jego nabożny szacunek do swojej osoby. Szacunek i podziw. Tak właśnie chciała być kochana. Poczuła to i nigdy już nie zapomni tego uczucia. Uśmiechnęła się. W porównaniu do Jegora Piotr był jeszcze młokosem. Ale było w nim coś takiego, co pozwalało jej czuć się dobrze, bezpiecznie i... czysto. Uświadomiła sobie teraz, że gdyby tylko chciał, poszłaby za nim nawet na koniec świata. I gdyby chciał, poszłaby z nim... Nagle wyprostowała się na krześle. Myśl jak błyskawica przeszła ją na wylot. No tak! Jeśli ktokolwiek ma jej dotknąć po raz pierwszy, to nie będzie to Jegor, nawet jeśli będzie zmuszona za niego wyjść. Jeżeli znaczy cokolwiek dla tego Lacha, pozwoli mu na to, czego nie dostanie nawet jej mąż. Później niech się dzieje, co chce. Niech jej Jegor nawet używa. Jej zostanie wspomnienie o pierwszej nocy z mężczyzną, dla którego była piękna i niewinna.

Wstała z krzesła i przeszła kilka kroków w kierunku drzwi. Jeśli miało się to udać, musiała działać szybko. Jegor wczoraj wspominał coś o tym, że we wtorek wyjeżdża na kilka dni, do niedzieli. Ot, jakieś tam sprawy organizacyjne. Świetnie się składało. Nie będzie węszył. Piotr wyjeżdża w czwartek. Zatem najlepsza noc to ta w środę. Ostatnia noc warszawiaka w Bedryczanach. Uśmiechnęła się do siebie.



– Rusłana! Rusłaaaaana!

R

Drzwi otworzyły się gwałtownie, podrywając z łóżka Tarasa ucinającego sobie krótką drzemkę.

– Świeta, co się tak drzesz... – wymamrotał, ziewając. – Spać nie dajesz człowiekowi...

– Porządni ludzie nie mają czasu na spanie po śniadaniu, bo pracują – powiedziała Świeta ze śmiechem do trącego pięścią oczy kuzyna. – Gdzież żonę zgubił?

Mężczyzna ziewnął głęboko, ukazując cały garnitur swych zębów pomniejszony o kilka ubytków. Młasnął, drapiąc się po piersiach.

– A bo ja wiem? Pewnie w oborze. Pracować trzeba przecież. – Mrugnął do Świety, która machnęła na niego ręką i wybiegła z izby, rzucając na odchodnym: – Zaceruj dziurę w portkach!

Ruslanę rzeczywiście znalazła w oborze. Nie zwracając uwagi na zdziwioną jej wtargnięciem minę szwagierki, zapytała:

– Taras wyjeżdża w tym tygodniu, tak jak mówiłaś?

– Jutro, we wtorek. – Rusłana popatrzyła podejrzliwie, zastanawiając się, co Świecie strzeliło znów do głowy. – Na trzy dni jedzie.

– Świetnie! – Dziewczyna aż klasnęła w dłonie. – Musisz mi pomóc. – Chwyciła Ruslanę za rękę. – Przenocujesz mnie w środe!

Rusłana zamarła zaskoczona. Wyjazd Tarasa nie był przypadkowy. Jegor specjalnie wysyłał go jako kuriera na Słowację. Te kilka nocy mieli spędzić razem. Niespodziewana prośba Świetłany mogła popsuć wszystko. Jegor wyraźnie jej powiedział, że będzie musiał ukryć się u niej przez kilka dni. Szykują jakąś akcję.

– A po co? – zapytała chłodno, patrząc w bok. Świeta opuściła rękę, nie spodziewała się zupełnie takiej odpowiedzi.

– Jak to, po co... – Patrzyła na szwagierkę z wytrzeszczonymi oczami. –

Potrzebuję cię, Rusłano...

Rusłana chwyciła wiadro z resztkami jedzenia i wylała je do świńskiego koryta. Nie miała pojęcia, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

– Co to znowu za głupoty chodzą ci po głowie. – Rozpaczliwie szukała w myślach rozwiązania.

Swieta odsunęła się.

– Rusłano, do kogo mam pójść, jak nie do ciebie? – powiedziała cicho.

Najlepszą obroną jest atak. Szwagierka stanęła z nią twarzą w twarz, hardo patrząc jej w oczy.

– Może do tego Polaczka pójdziesz, co? A mi nie będziesz głowy zawracać.

Swieta nie wierzyła własnym uszom. Oschłość szwagierki zaskoczyła ją zupełnie, nie rozumiała, jaki był jej powód. Zdecydowała się na szczerość. W końcu Rusłana i tak wie o Piotrze. Nie chciała spać u niej. Potrzebowała jedynie przykrywki. Czegoś, co powie matce, gdy ta zapyta ją, dokąd wychodzi.

– Ja właśnie chcę do niego iść. – Opuściła głowę przygaszona. – Chcę się z nim spotkać, zanim wyjedzie do Warszawy.

– I co, może mu się jeszcze podłożysz na sianie? – głos Rusłany przeszywał lodem. Swieta nie odpowiedziała. Rusłana popatrzyła na nią zaskoczona.

– Ty to chcesz zrobić, prawda? – Próbowiła popatrzeć jej w oczy, ale dziewczyna odwróciła wzrok. – Hospody, pomyśluj! Ty durna dziewczko! Już ci się całkiem w głowie pomieszało!

Swieta spojrzała na nią mocnym wzrokiem.

– Tak, chcę! Ten pijak nie dotknie mnie pierwszy! Nie zasłużył sobie! – mówiła podniesionym głosem. Rusłanie kamień spadł z serca. „Głupia dziewczucha – pomyślała. A niech się idzie gzić z nim na sianie. Wydać jej nie

wydam. Za to teraz mogę jej odmówić schronienia”.

– Szukaj sobie w takim razie noclegu gdzie indziej – syknęła i odwróciła się plecami. – Ja do tego ręki nie przyłożę.

Swieta wiedziała, że powiedziała za dużo. Nie było jednak wyjścia. Wiedziała, że może liczyć tylko na siebie.

– Nie wydaj mnie... proszę. – Dotknęła ramienia stojącej do niej tyłem szwagierki. Ta westchnęła tylko.

– Głupia jesteś jak but. Rób, co chcesz, ja o niczym nie wiem.

– Dziękuję, Rusłano...



Chropowata powierzchnia ściany zakończona ostrą krawędzią pęknięcia odcisnęła brudne piętno na przesuwającej się po niej dłoni. Ręka chwyciła kruszący się w palcach odłamek, po czym powróciła tą samą drogą. Piotr powtórzył kilkakrotnie podróż opuszkami palców po tym, co zostało ze ściany małego domu. Delikatny dotyk wyłapie najdrobniejsze mikrogranulki wspomnień zmieszane z kurzem i resztkami tynku. Tym przewyższa wzrok. Widzi to, czego już nie ma, zapomniane chwile i emocje przenikające szkielet starego domu. Zawsze tak robił. Dotykał wszystkiego tak, jakby to były tajemne drzwi przenoszące do innego świata lub czasu. Nauczył go tego ojciec. Kiedyś, dawno temu, położył jego małą chłopcę dłoń na czerwonej ceglastej ścianie katedry św. Jana na Starówce. Piotr nie wiedział dlaczego. Na pytanie: „Czujesz?” odpowiedział przeczącym ruchem

głowy. Ojciec kazał mu zamknąć oczy i spróbować jeszcze raz.

– Pomyśl, że kładziesz rękę na tej samej cegle, którą kilka wieków temu układał jakiś stary murarz. Zapomnij o czasie. Pomyśl, że dotykasz tej starej ręki, że czujesz jej ciepło i trud, który wkłada w swą pracę. Pomyśl, że w ten sposób łączysz się nie tylko z tym, co było, ale także z tym, co nastąpi. Wyobraź sobie, że czas nie istnieje.

Pomyślał, że ojciec z niego żartuje. Już chciał cofnąć dłoń, kiedy poczuł delikatne mrowienie. Gdyby jego oczy były w tej chwili otwarte, to wytrzeszczałyby je właśnie w zdumieniu. Były jednak zamknięte. Wytrzeszczał je zatem pod zaciśniętymi powiekami, tak by nie uronić niczego z tych drobnych, ledwie wyczuwalnych impulsów. Dołożył drugą dłoń i przesuwiał nimi wzdłuż i wszerz. Zdawało mu się, że słyszy stukanie murarskiego młotka i ciche rozmowy pracujących tu ludzi. Chwilę później wyłowił jeszcze coś. Słowa wznoszonej ku niebu modlitwy przepływały przez jego palce przerwane wybuchem i uderzającą w mur serią pistoletu maszynowego. Otworzył oczy i cofnął ręce przerażony. Jego ojciec stał po przeciwnej stronie ulicy i przyglądał mu się spokojnie.

– Tato! Ktoś strzelał! – krzyknął do niego Piotr, biegnąc ile sił w nogach.

– Poczuleś – usłyszał spokojny głos ojca, gdy dotarł już na drugą stronę ulicy Świętojańskiej. – Zapamiętaj to. To twoja pierwsza lekcja żywej historii.

Od tamtej chwili minęło wiele lat, jednak zwyczaj „patrzenia dłońmi” stał się jego ulubionym sposobem przeżywania wspomnień. Wstał i rozejrzał się dookoła. Dawny dom jego matki zamienił się w kupę popiołów lata temu. Przypadkowo zaproszony ogień strawił go prawie doszczętnie, pozostawiając na pamiątkę kilka kikutów w miejscu dawnych ścian. Lubił tu czasami przychodzić. Siadał na samym środku tego, co wcześniej było podłogą, i obserwował. Starał się nie myśleć za dużo. Po prostu chłonał atmosferę. Nie

czuł się tu obco i to dziwiło go najbardziej. Wydawało mu się, że należy do tego miejsca, nie mniej niż leżący obok niego kamień. Delikatny podmuch wiatru napełniał jego nos zapachem spalenizny, ale mógłby przysiąc, że wyczuwa też świeżo pieczony chleb oraz zapach szczęścia rozsiewany przez śmiejącą się i ganiającą za miauczącym kotem kilkuletnią... mamę. Uśmiechnął się i ruszył w kierunku dworku Kosieckich, delektując się tym wszystkim, co odkrywał za każdym razem, gdy odwiedzał to miejsce.

– Piotrusiu – spokojny, łagodny głos pani Marii przywitał go na progu. – Listonosz przyniósł dziś polecony do ciebie. Zostawiłam w twoim pokoju na stoliku. Z Warszawy, pewnie od ojca.

Domyślał się, co list mógł zawierać.

– Ojciec pisze, że wojna wybuchnie prawie na pewno lada dzień i każe mi wracać do Warszawy – poinformował gospodynię, gdy już przeczytał list. – Wyjadę tak jak planowałem, w czwartek. Dwa dni nie zrobią już wielkiej różnicy.



Jegor usiadł na brzegu łóżka zupełnie nagi. Wyciągnął z ubrania woreczek z tytoniem, wydobyl z niego szczyptę i sprawnymi palcami skrecił papierosa. Zapalił go i zaciagnął się dymem. Wszystko szlo calkiem sprawnie. Zgodnie z sugestiami Danyly zamelinowal sie z dala od ludzi na kilka dni. Wyslal Tarasa na ten czas na Slowacje, samemu rozpuszczajac plotke, ze on tez znika do niedzieli. Lepiej niech nikt go nie laczy

z wydarzeniami, które mają się rozegrać dzisiejszej nocy. Siedział w tej chałupie już od wczoraj. Dziś zaś była środa, noc zasadzki. Zaciągnął się jeszcze raz. Leżąca obok niego Rusłana, naga i zmęczona, przeciągnęła się leniwie i pogładziła dłonią jego plecy.

– Dobrze ci było? – zamruczała, uśmiechając się przymilnie. Nie odpowiedział. Nie miał ochoty rozmawiać. Usiadła za nim, obejmując go ramionami. Jegor poczuł, jak jej jędrne, pełne piersi przylgnęły do jego pleców. Wyjęła mu papierosa z ust i zaciągnęła się nim. Chwilę biła się z myślami, po czym wyszeptała mu do ucha:

– Jegor... chciałam z tobą porozmawiać.

– No przecież rozmawiasz. – Klepnął ją po udzie.

Pocałowała go w szyję.

– Odejdę od Tarasa. – Miękki głos kontrastował z wagą wypowiedzianych słów. Jegor obrócił głowę.

– Co ty za głupoty gadasz? – rzucił przez ramię ostrym tonem.

– Zostawię go i będę twoja. – Wyprostowała się ośmielona swoimi własnym słowami. – Nie chciałbyś tego? Już nie musielibyśmy się kryć ani bać, że Taras odkryje naszą miłość...

Jegor zerwał się z łóżka.

– Rozum ci pomieszało, babo! – przerwał jej zdenerwowany. – Jaką miłość? Rozkładasz tylko nogi przede mną. I tyle!

– Jegor, ale... – Rusłana patrzyła na niego w osłupieniu zaskoczona jego wybuchem.

– Nie ma ale! – Jegor chodził po izbie szybkim krokiem. – Miłości, srości!

Rusłana zamknęła oczy. Spod powiek popłynęły łzy. Nie tak wyobrażała sobie tę rozmowę. Sięgnęła po argument ostateczny, skrywany od kilku tygodni.

– Jestem w ciąży...

Jegor przystanął na chwilę. Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Jestem z tobą w ciąży, Jegor... – Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. On jednak zaśmiał się szyderczo.

– A skąd wiesz, że to moje?! – wysyczał, pochylając się nad nią i patrząc jej prosto w oczy tak, że spuściła głowę.

– No jak to? A czyje ma być? – wyszeptała przestraszona.

Jegor wybuchnął ponownie.

– Nie wiem, czyje?! Jak mnie dawałaś, to i innym pewnie też! – Machał ze złością rękami.

– Jegor, ja nigdy...

Uderzył ją na odlew otwartą dłonią. Głowa Rusłany odskoczyła do tyłu, a z rozciętej wargi popłynęła krew.

– Zamknij się, kłamliwa suko! – jego lodowaty, pełen złości głos przebił się przez jej płacz. – Powiesz mi jeszcze, że swojemu chłopu też nie dawałaś? Może to jego bachor, co?

Rusłana łkała po cichu, wycierając krew dłonią. Naciągnęła prześcieradło na swoje nagie ciało. Patrzyła na Jegora, nie rozumiejąc, skąd się w nim wzięło tyle złości na nią. Przecież tak go kochała.

Jegor pozbierał swoje porzucane ubranie. Usiadł na krześle i zaczął się ubierać, nie przestając mówić podniesionym głosem.

– Głupia suka, myślała, że jak mi się da, to będę ją kochał aż po grób! – parsknął z ironią. Popatrzył na Rusłanę z pogardą i zaśmiał się jej w twarz. – Co ty sobie, durna, myślałaś? Że ja Swietkę zostawię dla takiej dziwki jak ty, co to z pierwszym lepszym pójdzie? Do pięt jej nie dorastasz. A bachora na mnie nie zrzucasz, bo gówno mnie obchodzi, co masz w brzuchu! Zrozumiałaś?!

Zazdrosna kobieta jest jak wulkan buzujący gorącą lawą pod twardą skorupą ziemi. Za to zazdrosna skrzywdzona kobieta to potężny tajfun, który w odwecie gotowy jest zmieść wszystko na swej drodze. Nie liczą się wtedy ofiary, jedynie zniszczenie i klęska tych, którzy ośmielili się stanąć mu na drodze. Rusłana spojrzała hardo na Jegora.

– A w czym twoja Swietunia lepsza ode mnie? – w jej głosie mieszały się determinacja, zawiść i złość. – Że uczona w szkołach? I co jej po tych szkołach, skoro siedzi w domu i nie robi nic?

Jegor dopadł jej jednym susem i chwycił za gardło.

– Zamilcz, suko! Ani słowa o Swiecie, bo ci nożem po gardle przejadę. Swieta nie daje dupy na prawo i lewo jak ty! – Dławił jej oddech zaciśniętą dłonią. Zacharczała, krztusząc się. Gdy ją puścił, opadła na pościel. Prześcieradło zsunęło się z niej, odsłaniając całą jej niemoc i upokorzenie. Jegor zapinał ostatnie guziki koszuli. Splunął na podłogę i już miał zamiar wyjść, kiedy dotarło do niego, że leżąca na łóżku Rusłana się śmieje. Popatrzył na nią zdziwiony.

– Oj, jakiś ty głupi! – Rusłana śmiała się przez łzy. – Ty tu ze mną się tarzasz w pościeli, sapiąc i dysząc, a ona się tam chędoży z Lachem. Co, zdziwiony? – Jej upiorny śmiech zmroził Jegora. Miał ją ochotę rozszarpać. Zawrócił.

– Co, będziesz bił?! – krzyczała teraz do niego. – A bij! A ona i tak robi z ciebie durnia. „Swieta, Swietoczka kochana”. Hahaha... Ty głupi! Zapatrzony jak w ikonę. A ona łązi tam do niego.

Chwycił ją za ramiona i szarpnął mocno.

– Co ty gadasz, głupia!?! – Wytrzeszczał na nią oczy. – Skąd to wiesz?

Rusłana śmiała się w głos.

– Nie bijesz, bo wiesz, że mam rację. – Patrzyła na niego z pogardą. – Mówili ci, że ją widzieli przecież. Jegor, dowódca! Jegor baran! Ot, co! Skąd

wiem? Bo mi wyjawiała. Jeszcze dzisiaj mi mówiła! I właśnie teraz pewnie idzie do niego!

Jegor zerwał się na równe nogi. Chwycił marynarkę i wybiegł z izby. Rusłana siedziała na łóżku. Nie śmiała się już. Z jej oczu znów płynęły łzy. Czuła się brudna i upokorzona. Nie zasłużyła na to, co ją spotkało. Dała Jegorowi to, co miała najlepszego, a on potraktował ją gorzej niż uwięzianego przy budzie psa. Za miłość, której była pełna. Uśmiechnęła się smutno, pełna gorzkości.

– Nie chcesz mnie? – wyszeptała. – A więc jej też mieć nie będziesz...

Jegor wybiegł na podwórze z rozpaloną od natłoku myśli głową. Wiedział, że Rusłana mówiła prawdę. Właśnie zdał sobie sprawę z tego, że rzucone już wcześniej ziarenko niepokoju kiełkowało w nim od kilku dni. Od kiedy usłyszał o Swiecie kłęczącej przy tym Lachu, obraz ten powracał do niego niczym uderzające o klif fale. W pierwszym odruchu miał ochotę biec do domu Horodyłów i zatłuc ją gołymi rękoma. Opanował się. Trzeba to rozegrać inaczej. Miał już plan. Najpierw jednak musiał się spotkać ze swoimi ludźmi. Zaplanowana na dzisiejszą noc wyprawa do kryjówki z nową partią karabinów musiała poczekać. Judasz spełnił swoje zadanie znakomicie. Informacja o czekających w lesie Polakach dotarła na czas.

Kilku chłopaków czekało na niego przy drodze wylotowej ze wsi. Przywitał się z nimi bez słowa. Zeszli z drogi i stanęli w cieniu rosnącego na poboczu drzewa. Parę krótkich zdań rzuconych do słuchających go w ciszy ludzi wprowadziło ich w zdumienie.

– Jak to sami? – odezwał się jeden z nich.

– A tak to. – Jegor nawet nie ukrywał zniecierpliwienia. – Dacie radę.

– A ty?

– Ja muszę posprzątać własne podwórko – mruknął.

Popatrzyli po sobie. Słowa Jegora musiały im posłużyć za całe wyjaśnienia. Nie mieli wszystkiego rozumieć. Ważne, żeby wykonywali rozkazy. Na odchodnym Jegor jeszcze obrócił się w ich kierunku.

– A ze szpiclem to wiecie, co zrobić.

Odpowiedziały mu tylko milczące skinienia głowami. Wolał się jednak upewnić, że został zrozumiany właściwie.

– Zlikwidujcie tak, żeby nie było śladu. Zakopcie go gdzieś w lesie. Za parę dni, kiedy wojna wybuchnie, nie będzie miało to już znaczenia, nawet jeśli ktokolwiek natknie się na trupa.

Odeszli w stronę lasu, a on obrócił się na pięcie i po chwili szedł już sprężystym krokiem w stronę wsi. Czuł, jak fale gorąca zalewają jego ciało. Płonął z wściekłości. Musi jednak ostudzić emocje. Zemsta zawsze najlepiej smakuje na zimno.

26



Świeta z trudem uspokoiła trzepoczące w piersiach serce. Jeszcze chwilę wahała się, ale wiedziała doskonale, że raz podjętej decyzji już nie zmieni. Choćby potem cały świat miał się dowiedzieć. Choćby Jegor miał ją ubić gołymi rękoma. Zamknęła cicho drzwi do pokoju i delikatnie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, wysunęła ciężką szufladę starej drewnianej komody. Popatrzyła na przygotowany wcześniej, złożony w kostkę odświętny strój i leżące obok niego czerwone buciki z paskiem i złotą klamrą. Zarumieniła się lekko na myśl, że już niedługo poczuje dotyk jego drżących, gorących

dłoni zsuwających nową bluzkę z jej ramion. Bała się, ale jednocześnie pragnęła tego jak niczego innego na świecie. Jeśli ktokolwiek ma ją kiedykolwiek dotknąć, to może to być tylko Piotr.

„Lach proklatyj, zacczarował mnie” – pomyślała i uśmiechnęła się do siebie. Zdecydowanym ruchem wyjęła rzeczy z szuflady i wsunęła ją na miejsce. Przebrała się szybko jak nigdy. Włosy związała czerwoną wstążką. Wprawdzie Rusłana odmówiła jej pomocy, ale to nie zmieniło jej planów. Wcześniej przy wieczerzy ponarzekła trochę na ból głowy i matka sama zaczęła nalegać, żeby poszła już do siebie. Teraz, gdy już miała zamiar otworzyć okno i wymknąć się przez nie niepostrzeżenie, usłyszała ciche pukanie.

– Swieta, jesteś tam? – Na głos matki serce zaczęło walić jej ze zdwojoną siłą. – Wyłaż szybko. Gościa masz!

„Boh mij, tylko nie to!” – przemknęło jej przez głowę. Domyśliła się, kto ich odwiedził, ale jeszcze łudziła się przez moment, że to nieprawda.

– Swieta, co ty tam robisz? Jegor czeka na ciebie. – Głos matki zdradzał zdenerwowanie. – Taki szmat drogi przebył, żeby się z tobą zobaczyć.

Oczy Swiety śledziły kłamkę, która niczym na zwolnionym filmie wędrowała w dół. Po chwili matka stała już w otwartych drzwiach, patrząc szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami na córkę.

– A ty coś się tak wystroiła? Przecież nie wiedziałaś, że dziś Jegor... – nie dokończyła. Nagle dotarło do niej, w czym tak naprawdę nieświadomie przeszkodziła. – Boże, ty dla tego Polaka... – szepnęła, oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt inny ich nie widzi, po czym obróciła wolno głowę w kierunku dziewczyny. Jej wzrok niczym ostry bagnet wbił się w córkę tak mocno, że ta poczuła w brzuchu fizyczny, namacalny ból. Gdyby wściekłość mogła się materializować, to przybrałaby teraz formę nagiego stalowego ostrza. – Zwariowałaś, dziewucho! – matka syknęła ostro. – Wybij

go sobie z głowy! W tej chwili pójdiesz do izby i przywitasz się grzecznie z Jegorem.

– Ale maty...

– Nie chcę tego słuchać! Zrobisz, co ci każę! Natychmiast! – Matka drżącą ręką odgarnęła siwiejący kosmyk włosów z czoła, głośno łapiąc oddech.

Swieta czuła, jak ciężki zimny głaz przygniata jej żołądek. Była przerażona. Jeśli Jegor domyśli się, o co chodzi, to rzeczywiście ją zabije. Dotarło do niej, jak niebezpieczną prowadziła grę, i krew zastygła jej w żyłach ze strachu. W sumie tak niewiele brakowało, a wszystko poszłoby według planu. Niestety, życie niekoniecznie musi podążać śladem ludzkich pragnień. Przekonywała się teraz o tym boleśnie. Miała tylko nadzieję, że Jegor nie zostanie długo i że uda się jej jeszcze dzisiaj wymknąć. Niestety, nie niepostrzeżenie. Matka już wiedziała.

Poczuła nagle jej uścisk na ramieniu i mocne szarpnięcie w kierunku drzwi.

– Uśmiechaj się tylko tak, żeby się nie domyślił! – szeptała matka ostro. – Lacha się jej zachciało, dziwce!

Matka wepchnęła ją do izby. W głębi przy stole z wzrokiem wbitym w blat siedział jej narzeczony. Na widok Swiety podniósł głowę i zrobił grymas wymuszonego uśmiechu. Zauważył nową bluzkę, drobne korale i czyściutką ciemną spódnicę. Zauważyła, jak nerwowo drgają kąciki jego ust. W głowie kołatało jej teraz milion myśli. „Skąd on tutaj? Domyśla się? Co on wie?” Nerwowo miętosiła w dłoni brzeg bluzki.

– Witaj, Swieto. – Głos Jegora był ciężki i smutny. – Czekając na mnie, że się tak wystroiłaś, czy do cerkwi idziesz? – Jego ciemne, głębokie oczy przewiercały ją na wylot. Czuła, jak gdyby wzrokiem odzierał ją z najbardziej skrywanych tajemnic, jakby był zdolny zajrzeć w najgłębszy

zakamarek jej duszy.

„Jezu, on wie, on się domyśla...” – przemknęło jej przez głowę. A przecież tak się starała ukryć to, że pozwoliła sobie na nierozwagę zakochania się w Piotrze. Wiedziała, że to związek niemożliwy, a jednak dopuściła do tego, żeby kawałek po kawałku jej serce zapłonęło szczerą dziewczęcą miłością. Chociaż nie była do końca pewna jego uczuć... Przecież tak naprawdę nie rozmawiali ze sobą tylko raz. Te zdawkowe zdania wymieniane w przelocie trudno było nazwać rozmową. I tylko ten dotyk, uścisk dłoni, kiedy przytrzymał jej drżącą rękę dłużej niż powinien. I tylko te oczy wpatrujące się wtedy w nią. Oczy, w których utonęła prawie natychmiast. Jutro Piotr wyjedzie i już nigdy go nie spotka. Chciała zakończyć tę miłość, dając mu siebie całą. Do końca. Teraz jednak stała przed Jegorem i drżała cała w środku na samą myśl, że mógłby odkryć jej sekret. Bała się nawet pomyśleć, co by się wtedy stało. A przecież Piotra też musiała chronić. Doskonale wiedziała, że dla niej, córki OUN-owca, taka zakazana miłość to wyrok śmierci. Być może na nią, z pewnością na niego.

– Czemu milczysz, Swieta? – głos Jegora wyrwał ją z odrętwienia. – Nie przywitasz się ze mną? Tak spieszyłem się, żeby cię jeszcze dzisiaj zobaczyć. – Ukraińiec wyprostował się na krześle.

Miała wrażenie, że słowo „dzisiaj” zaakcentował szczególnie.

– Witaj, Jegorze – odpowiedziała matowym głosem. – A co to – nie mogłeś poczekać do niedzieli? Coś taki niecierpliwy? – starała się odzyskać rezon.

– Do niedzieli dużo może się jeszcze wydarzyć – odpowiedział chłodno, ponownie wbijając w nią swój przenikliwy wzrok. – A dzisiaj to dzisiaj. Dla mnie się tak ładnie ubrałaś? – powiódł pytanie.

Dziewczyna poczuła, jak strach ściska jej gardło aż do utraty tchu.



– **N**o to opowiadaj, jak to ze Inem było – przerwał ciszę Michał. Piotr spojrział na niego zdziwiony.

– Jakim Inem?

Michał pokiwał głową z udawanym politowaniem.

– Jako to z jakim? Jasne włosy niczym len na głowie panny Marty... Już narzeczona, czy jeszcze się grzebiesz z oświadczynami?

Piotr wzruszył ramionami. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie chciał się tłumaczyć ze szczegółów swojego prywatnego życia. Jednak uniesione niczym dwa pytajniki brwi Michała nie pozostawiały złudzeń co do tego, iż nie wywinie się od odpowiedzi.

– Nie jest moją narzeczoną – rzucił, wpatrując się w ścieżkę, którą mieli nadejść Józek i Edek. – Nie spotykam się z nią.

Michał popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Alboś ty chory jest – Michał zawiesił na chwilę głos – albo głupi.

Piotr westchnął.

– Marta to wspaniała dziewczyna, ale...

– Tak, tak – przerwał mu Michał, machając ręką niczym łopata sporego wiatraka – zawsze się jakieś „ale” znajdzie.

Piotr nie odpowiedział. Nie musiał. Michał doskonale go w tym wyręczał. Najwyraźniej rozmowa o Marcie miała dla niego jakiś głębszy podtekst.

– A powiesz mi – olbrzym powoli i nieubłaganie niczym czołg parł do siebie tylko znanego celu – co z tą dziewczyną od Horodyłów?

Fala gorąca przetoczyła się po plecach Piotra. Poczł się jak uczeń

złapany na ściąganiu podczas klasówki Odpowiedział więc tak, jakby pytanie brzmiało: „Co tam chowasz w piórniku?”.

– Nic.

Wbił wzrok w pień drzewa, przy którym stanęli. Od skraju lasu dzieliło ich kilkaset metrów. Dotarli tutaj przed chwilą, omijając główne drogi. Michał prowadził takimi ścieżkami, że Piotr zgubił się po kilku minutach, choć jeszcze rano mógłby przysiąc, że zna Bedryczany tak dobrze, jakby spędził w nich całe życie. Omijali zagrody i przylepione do drogi domy, tak żeby nikt ich nie zauważył. Czasem tylko doganiało ich szczekanie podwórkowych psów. Kiedy dotarli na skraj wioski, było już całkiem ciemno. Nie musieli się spieszyć. Według Michała Ukraińcy nie pojawią się wcześniej niż przed północą. O tak późnej porze tylko przypadek mógł sprawić, że natkną się na kogokolwiek w lesie. Chyba że ten „ktokolwiek” będzie na nich czekał specjalnie.

– „Nic” to chyba nie jest właściwe określenie – Michał nie dawał za wygraną. – Tak się nie patrzy na kogoś, jeśli ten ktoś nic nie znaczy.

– Nic to nic, tyle. – Gdyby nie ciemności, Piotr musiałby się jeszcze wytłumaczyć z policzków czerwonych niczym rozgniecione świeże maliny. – Po prostu dziewczyna. A tobie co do tego? – zapytał hardo.

Michał nie dał się zaskoczyć tonem głosu Piotra.

– Ooo, jaki pan drażliwy – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nadepniętem na odcisk?

Piotr z trudem ukrywał zdenerwowanie. Cały czas kołatały mu w głowie słowa Witalija o tym, żeby chronić dziewczynę za wszelką cenę. Lubił Michała. Ufał mu nawet. Siła i pewność bijące od niego dawały poczucie bezpieczeństwa i otwartości. Olbrzym mógł sobie pozwolić na szczerość wobec każdego bez obawy, że ktokolwiek odważy się na konfrontację. Fizyczna przewaga to klucz, który od razu ustawia wszystkich

w odpowiedniej hierarchii. Jednak Piotr nie chciał narażać Swiety na żadne nieprzyjemności paplaniem o niej komukolwiek, nawet Michałowi.

– Nie nadepnałeś – powiedział nieco spokojniejszym głosem. – Czepiasz się po prostu, a nie ma czego.

Michał wzruszył ramionami i westchnął:

– To dobrze, że nic. – Powiedział z lekką ironią. – Bo gdyby was cokolwiek łączyło, to musiałbym ci przypomnieć, żeś ty Polak, a ona Ukrainka...

– A to coś złego? – przerwał mu wzburzony Piotr i natychmiast ugryzł się w język. Zdradzając emocje, odsłonił się tylko niepotrzebnie. Michał uśmiechnął się i mówił dalej:

– To nie jest złe, to po prostu błąd. Taki błąd może kosztować życie. – Oparł się o drzewo, wciągnął haust powietrza przez nos i powrócił do swojego lekko kpiarskiego tonu. – Na całe szczęście przecież nic nie nabroiłeś z tą panną, więc nic wam nie grozi.

Piotr na jakąkolwiek wzmiankę o zagrożeniu wpadał w niepokój.

– A co mogłoby nam grozić? – Jego głos nie był już tak zadziorny.

– Piotr, czy ty jesteś głupi, czy tylko udajesz? – Michał powoli tracił cierpliwość. – Przecież to córka OUN-owca, i to nie byle jakiego. To ichni szef na cały powiat drohobycki. Dla niego taki mezalians to obraza osobista. Jeszcze gotów by własną córkę powlec za koniem. O Marcie i jej matce nie wspomnę. Zemściłby się na nich za sam fakt, że byłeś ich gościem. – Popatrzył na Piotra. – O tobie wiem, że sobie poradzisz. Wyjedziesz i tyle. A one? Przez twoje szczeniackie zauroczenie mogłyby mieć tutaj piekło. Jak zacznie się wojna, to Ukraińcy ruszą. Wtedy na pewno zapukaliby do dworku Kosieckich. I nie byłaby to przyjacielska wizyta. – Splunął pod nogi. – A Swieta? Ojciec pewnie od małego karmi ją tymi nacjonalistycznymi bzdurami. To Ukrainka, oddana sprawie. Jeśli ją ojciec poprosi, to przyniesie

mu twoją głowę na złotej tacy.

Ech, jak bardzo boli ciągle gryzienie się w język. Święta nie jest taka, Piotr wiedział o tym doskonale i wrzał w środku. Wiedział jednak, że lepiej nie mówić nic. Michała nie przekona, a jeszcze straci jego zaufanie.

„Milczę dla ciebie, dziewczyno, nie ze strachu. Wiesz o tym” – pomyślał w duchu. Głośno jednak szedł w zaparte. – Czemu mi to mówisz? Przecież mówiłem, że nic nas nie łączy.

Michał opuścił wzrok.

– I niech tak zostanie. Nikt nie może się dowiedzieć o tym „nicniełączeniu”. – Jego głos stwardniał momentalnie niczym stal. – Zrozumiałaś?

– Tajest, panie komendancie! – Piotr zasalutował do niewidzialnego daszka, próbując rozładować sytuację.

– A Marta ci się nie podoba? Piękna, mądra dziewczyna. Sam bym się za nią brał, gdybym mógł. – Michał oderwał się od drzewa i wyszedł na drogę. Od strony ostatnich zabudowań zmierzała w ich kierunku jakaś postać.

– A nie możesz? – zapytał cicho Piotr, chowając się za pień akacji.

– Nie mogę, jestem księdzem i ślubowałem czystość – burknął Michał i gwizdnął cichutko. Odpowiedziało mu takie samo gwizdnięcie. – To Józek. Jeszcze tylko Edek się zjawi i będziemy w komplecie.

– Mogę się wypowiedzieć? – Piotr odzyskał rezon.

– Nie możesz – mruknął Michał. – Za to ja mogę zaraz zebrać tacę.

Józek nie był zachwycony widokiem Piotra. Zignorował rękę wyciągniętą do powitania, włożył dłonie do kieszeni i splunął na ziemię.

– A ten tu czego? – W tonie jego głosu było jeszcze więcej niechęci, niż wyrażała to jego postawa. – Dalibymy radę same.

Michał jednak nie pozostawiał miejsca na dyskusje z podwładnymi.

Szorstkim głosem oznajmił:

– Piotr idzie z nami i tyle. Jest mi potrzebny.

Józek ostentacyjnie stanął bokiem do Piotra. Cmokał głośno i dłubał językiem w zębie, nie zwracając większej uwagi na gościa. Michał zniknął w krzakach po drugiej stronie drogi, by po chwili wyłonić się z nich z Edkiem u boku.

– Serwus, warszawiak. – Edek poczęstował Piotra szerokim uśmiechem i uściskiem pulchnej dłoni. – Gotowy na rybobranie? – zarechotał ubawiony własnym dowcipem. Zanim jednak Piotr zdołał odpowiedzieć cokolwiek, Michał przeszedł do rzeczy.

– Rozdzielamy się. Zabieram Piotra i wchodzę bezpośrednio do lasu. Zaczaimy się przy rozstajach od strony wsi. Wy dwaj idziecie dłuższą drogą. – Jego dłoń zakreśliła w powietrzu łuk wskazujący kierunek marszu. – Wejdźcie do lasu od strony Wacowic. Obserwujcie dokładnie każdy ruch. Wiecie, kogo szukać. Jeśli nie przyjdą, dajcie znać. Jeśli przyjdą, śledźcie ich. Tylko ostrożnie. Jeśli was usłyszą lub zobaczą, to już po was. Rozstawcie się tylko, żeby was dwóch nie nakryli za jednym zamachem jakby co. Potem meldować o wszystkim. Zrozumieliście?

Pokiwali głowami.

– Powodzenia, chłopaki, i nie dajcie się złapać. – Michał poklepał Edka po ramieniu. Ten uśmiechnął się tylko i odparł wesołym tonem:

– Będzie dobrze, szefie.

„Flip i Flap” – pomyślał Piotr, patrząc w stronę odchodzących chłopaków. Ruszył za Michałem pod górkę.

Las pachniał ściółką leśną. Piotr nie widział prawie nic. Trzymał się jak najbliżej Michała, starając się bardzo dotrzymać mu kroku. Nie miał wprawy w poruszaniu się w ciemności pośród drzew posiadających tę właściwość, że wszystkie pchały się na niego, nie dając mu przejść. Co rusz wpadał na

jakieś. Michał za to radził sobie świetnie. Widać było, że zna to miejsce bardzo dobrze. Poruszał się prawie bezszelestnie. Nie zwracał uwagi na niezdarność Piotra. Właśnie dlatego rozpoczęli marsz dużo wcześniej, niż to było konieczne. Michał chciał uniknąć zdemaskowania, a tym by się skończyła cała wyprawa, gdyby Ukraińcy już byli w lesie. Usłyszeliby nieporadnie maszerującego Piotra chyba z odległości kilometra, nawet gdyby byli głusi.

Marsz zajął im nieco ponad pół godziny. Gdy dotarli do rozstajów, schowali się w krzakach gęsto ścielących się wzdłuż drogi. Na pytanie Piotra, czy nie lepiej będzie, jak się rozdziela, a on schowa się po drugiej stronie ścieżki, Michał odpowiedział krótko: „Nie”, przeładowując jednocześnie wyciągnięty z kieszeni pistolet. Piotr zrozumiał. W razie kłopotów jego strzelający towarzysz mógłby przez przypadek posłać kulę tam, gdzie nie trzeba, dziurawiąc mu na przykład czoło. Gdy tylko kucnęli. Piotr poczuł lekkie uderzenie w policzek. Potem następne i jeszcze jedno. Deszcz. Po chwili spadające krople bębniły na jego odkrytych rękach jakiś połamany rytm.

– Dobrze, że pada – usłyszał szept Michała. – Te psiekrwie nie będą nas słyszeć.

– Michał – Piotr przysunął się bliżej – skoro wiecie, że z Danyły taki kozak, to czemu go nie aresztujecie?

– O tym, że to prowidyk OUN, wiemy od informatora – ton głosu olbrzyma zdradzał, że nie był zachwycony tym, iż musi przerywać ciszę. Deszcz jednak tłumiał wszelkie odgłosy, więc po chwili zaczął mówić dalej. – Jeśli go aresztujemy, to oni za chwilę podstawią nowego, a nam znów zajmie pół roku, żeby go rozpracować. A tak mamy go na oku i możemy obserwować. Zwinąć go możemy zawsze.

– Pojawi się dzisiaj?

Michał wzruszył ramionami.

– Nie sądzę. Ma od tego ludzi. Prędzej zobaczymy Jegora i kilku jego kompanów. – Położył dłoń na ramieniu Piotra. – Pamiętaj, dziś nie bawimy się w bohaterów, husarię ani „warsiaskich” cwaniaków. Obserwujemy ich tylko. Gdy się pojawią, ruszę za nimi. Co masz wtedy zrobić?

– Siedzieć cicho i czekać, aż wrócisz po mnie – Piotr wypowiedział formułkę mechanicznie, ze znudzeniem w głosie.

– Co gdy nie wrócę?

Piotr wziął głęboki oddech.

– Czekać godzinę, a potem wycofać się z lasu. Obudzić wójta i opowiedzieć mu, co się stało.

– Zuch chłopak – Michał klepnął go po ramieniu – a teraz cisza. Zaczynamy czuwanie.

Piotrowi było bardzo niewygodnie. Nie był przyzwyczajony do długiego kucania. Na dodatek ten deszcz. Koszulę już miał moką. Jeszcze się przeziębii i tyle z tego będzie. Nie narzekał jednak głośno. Fakt, że Michał poprosił go o pomoc, napawał go dumą. Brał udział w prawdziwej akcji, mimo że polegała ona głównie na cichym siedzeniu w krzakach z trawą przyklejoną do mokrego od deszczu tyłka.

Michał opowiedział mu dokładnie tyle, ile było trzeba na temat dzisiejszego wypadu do lasu. Mieli rozpoznać miejsce, w którym miejscowi Ukraińcy mogli ukrywać broń. Dlaczego on był potrzebny? Zadał to pytanie. W odpowiedzi usłyszał kilka zdań, które zmąciły nieco jego entuzjazm.

– Mam kreta w oddziale. Muszę wiedzieć, kto to jest. Jeśli on się domyślił, że próbuję go namierzyć, to bardzo możliwe, że będą chcieli mnie dziś zdjąć. Nie mogę ufać nikomu z wewnątrz, więc będziesz moim zabezpieczeniem. Doniesiesz komu trzeba, gdybym dzisiaj nie wyszedł z tego lasu.

Teraz Piotr przypomniał sobie słowa Michała. Rzuciły się cieniem na początkową naiwną ekscytację nocną przygodą. On przecież nawet nie wiedział, w którą stronę ma iść, gdyby musiał. Michał widocznie nie przemyślał swojego pomysłu do końca. A może liczył na to, że szpicel sprowokowany obecnością kogoś nowego popełni jakiś błąd? Nagle poczuł, że wszystkie wydarzenia ostatniego tygodnia zaczęły go najnormalniej w świecie przerastać. Dopiero teraz, w mroku nocy, przemoczony do suchej nitki, czekający na ludzi gotowych do walki na śmierć i życie z Polakami o sprawy, które nawet nie do końca rozumiał, poczuł strach. Nie taki irracjonalny stres jak przed klasówką, ale normalny strach o swoje życie. A co będzie, jeśli wywiąże się walka? Nie bał się bójek, całkiem nieźle sobie w nich radził. Ale kula z pistoletu to już inna sprawa. Jeśli zostaną zabici, nikt nawet się o tym nie dowie. Już Ukraińcy postarają się zatrzeć za sobą ślady.

„Zabici?!” Dotarło do niego to, czym cała ta wyprawa mogła się skończyć. „Boże, co ja tu robię?!” – pomyślał i poczuł, jak serce wali mu jak szalone. Nie tak to wszystko miało wyglądać. Chciał tylko spędzić kilka tygodni w krainie, z której pochodziła jego matka. Zamiast tego wpadł po uszy w sam środek waśni pomiędzy dwoma narodami, zdążył ściągnąć na siebie uwagę wrogiej Polakom nacjonalistycznej nielegalnej ukraińskiej organizacji szykującej się do krwawej rozprawy z nimi oraz zakochał się w córce jej prominentnego członka. Trochę za dużo jak na jedne wakacje. Jeśli dożyje jutra, wyjedzie. Pociąg do Lwowa odjeżdża koło południa. Powinien zdążyć bez przeszkód. Pomyślał o Swiecie i coś ścisnęło jego serce. Nie zapomni jej nigdy. Chciał bardzo mocno wierzyć w to, że dostanie od losu szansę, jakiś szczęśliwy traf, który sprawi, że jeszcze ją spotka, jeszcze ją przytuli i jeszcze poczuje, że ona tego chce. Wiedział, że się jej podoba, ale czy to wystarczy, żeby starsza bądź co bądź dziewczyna, która

niedługo ma wyjść za mąż, chciała na niego czekać? No i jak długo? Obiecał sobie, że jeśli nic złego się nie wydarzy, to wróci do Bedryczan jesienią, może wiosną, żeby ją odnaleźć i sprawdzić, czy jego warszawski urok był na tyle silny, że przywita go uśmiech ukochanej, a nie ujadanie psa spuszczonego przez jej zazdrosnego męża.

Myśli krążące wokół Swiety odwróciły jego uwagę od strachu, który jeszcze chwilę wcześniej paraliżował go zupełnie. Rozejrzał się wokół, ale jego wzrok z ledwością mógł się przebić przez panujące dookoła ciemności. Za to ucho wyłowiło jakiś dziwny, niepasujący do dźwięków leśnej nocy trzask.

– Michał...

– Ciii! – przerwał mu olbrzym, dając do zrozumienia, że usłyszał to samo. Kucali w bezruchu, nasłuchując. Piotrowi wydawało się, że przyspieszone bicie jego serca słychać w całym lesie. Nagle poczuł się totalnie bezbronny. Strach zyskiwał powoli władzę nad jego umysłem. Kiedy kolejny trzask, tuż przed jego nosem, podniósł poziom adrenaliny w jego krwi do stanu gwarantującego zawał serca, usłyszał cichutki gwizd. Michał natychmiast zagwizdał sygnał i podniósł się gwałtownie.

– To Edek. Wychodzimy!

Piotr z ulgą wyprostował obolałe kości. Wygramolił się z krzaków. Tutaj było odrobinę jaśniej, więc Piotr dostrzegł przed sobą sylwetki Edka i Michała.

– Nie przyjdą już dzisiaj. – Głos Edka w żaden sposób nie pasował do zasad konspiracji. Chłopak nawet nie próbował się kryć. Pociągnął głośno nosem. – Chyba przełożyli ten cały przerzut broni. Deszcz ich wygonił.

– Spodziewałem się, że właśnie dlatego przyjdą, bo deszcz będzie dobrą zasłoną. – Michał był wyraźnie zawiedziony niepowodzeniem całej akcji.

Edek kopnął jakiś leżący na ziemi patyk.

– Może tak, może nie. Siedzieliśmy przy wejściu do lasu jak te kołki. Ale ani widu, ani słyhu.

– A gdzie Józek? – zapytał nagle Michał. – Mieliście przyjść obaj?

– A po jaką cholere? – Edek nie przejął się zupełnie ostrym tonem głosu Michała. – Chciał, ale wybiłem mu to z głowy. I tak nic z tego nie będzie. Powiedziałem mu, że sam dam radę. Poszedł do domu. Ja też wracam. Rano znów trza wstać do roboty.

Michał stał jeszcze chwilę w bezruchu. Widać było, że bił się z myślami. W końcu westchnął i obrócił się w stronę Piotra.

– Wracamy – rozkazał.

Ruszyli przed siebie w milczeniu. Droga z powrotem okazała się dużo trudniejsza. Rozmokła ścieżka utrudniała marsz. Piotr co rusz trafiał stopą w ścielące się gęsto kałuże. W końcu dotarli do skraju lasu. Widoczność poprawiła się natychmiast. Mimo chmur dość szczelnie zasłaniających niebo można było dostrzec otaczające ich kształty. Niespodziewanie Edek przystanął i podrapał się po głowie.

– Eeee, ja pójdę skrótem od strony kolei. Nie chcę wracać przez wieś.

– Ale będziesz się szwendał obok ukraińskich chałup. – Michał był wyraźnie zaskoczony.

– To nic, poradzę sobie. Zresztą pewnie i tak wszyscy śpią – Edek machnął im ręką na pożegnanie. – Do zobaczenia jutro.



dek szedł szybko w stronę leżących przed nim domostw. Wybrał krótszą drogę, bo zależało mu, żeby jak najprędzej znaleźć się w domu. Gdy dotarł do pierwszych zabudowań, dyszał już ze zmęczenia. Nie był gruby, ale daleko mu było do biegacza długodystansowego. Skręcił w prawo za płotem okalającym chałupę, którą właśnie minął.

– A coś się tak zmachał, tłusta świnio – usłyszał nagle tuż za sobą głos z ukraińskim akcentem. Odwrócił się gwałtownie zaskoczony. Przed nim stało trzech mężczyzn, którzy rechotali rozbawieni „świńskim” porównaniem. Czuł, jak serce skacze mu do gardła. Nagle odetchnął z ulgą.

– Wasyl, to ty! Ale mnie przestraszyliście.

– Ty się nie bój, tylko gadaj – powiedział ten nazwany Wasylem. Śmiech zniknął tak nagle, jak się pojawił. Teraz czekali na to, co ma im do powiedzenia. Edek otarł pot z czoła.

– No nic. Odesłałem Józka do domu, tak jak mówiliście, a sam polazłem do tego przeklętego lasu. Powiedziałem im, że nie przyjdziecie.

Wasyl przeklął po cichu.

– Lach proklatyj! Ten sukinsyn nawet nie wie, jakie ma szczęście, że zabrał tego gówniarza ze sobą – westchnął. – Trudno, załatwimy go następnym razem.

Edek kręcił się niespokojnie.

– Wasyl – zaczął niepewnie – wiesz, bo jutro muszę zapłacić temu Żydowi ze sklepu. Winien mu jestem trochę pieniędzy...

Ukrainiec westchnął zniesmaczony.

– Hroszi tobi potribni, tak?

– No tak. – Edek spuścił głowę zażenowany.

– Stepan – Wasyl zwrócił się do stojącego obok niego mężczyzny – zapłać tej małej gnidzie.

Edkowi nie podobało się to, jak traktował go Wasyl, ale pieniądze były mu bardzo potrzebne. Stepan podszedł do niego, wkładając dłoń za pazuchę.

– Wasyl, nie nazywaj mnie tak, dobrze? – Edek zebrał się na odwagę, żeby wreszcie sprzeciwić się Ukraińcowi. Nie usłyszał odpowiedzi. Zamiast tego długie zimne ostrze pchnięte dłonią Stepana wbiło się w jego brzuch i z chrzęstem utkwiło pomiędzy żebrami. Edek wytrzeszczył oczy w zdumieniu.

– Za...co...? – Ból odbierał mu zmysły. Chwycił obiema rękami dłoń mordercy, trzymającą rękojeść tkwiącego w nim bagnetu. – Za...co...?

Wasyl podszedł do złączonych kawałkiem stali postaci.

– Nie lubię cię. Za pieniądze sprzedajesz swoich. – Splunął Edkowi pod nogi. – Menda jesteś i nic więcej. Nie potrzebujemy cię już. Michała dostaniemy wcześniej czy później. Za parę dni wybuchnie wojna i nasze powstanie. Ty spełniłeś swoje zadanie. Możesz teraz zdechnąć.

– Psia mać! – zaklął Stepan. – Bagnet mu utkwiał między żebrami. Ząbkowany jest. Nie wyciągnę.

Przytrzymał Edka i położył na ziemi. Chłopak dyszał ciężko i choć dalej trzymał dłonie na ręce Ukraińca, siły uciekały z niego bardzo szybko. Stepan stanął butem na jego brzuchu, zaparł się i pociągnął. Ząbkowane ostrze z chrobotem wysunęło się z rany, a dłonie Edka zsunęły się bezwładnie.

– Zdechł? – głos Wasyla zdradzał zniecierpliwienie.

– Dycha jeszcze – odparł Stepan. Przyłożył z uśmiechem ostrze do oka leżącego przed nim Edka. – Słodkich snów – powiedział cicho i pchnął. Bagnet przebił gałkę oczną i utkwiał wewnątrz czaszki, kończąc definitywnie męczarnie chłopaka.

– Gotowe! – rzucił do Wasyla, który cmoknął tylko i rzucił krótko:

– Zatargajcie go do jaru w lesie. Zakopcie i zatrzyjcie ślady.

Kiwnęli głowami. Po chwili na drodze do wsi nie było już nikogo. Tylko

plama krwi w kałuży przy płocie zdradzała to, co przed chwilą się tu stało.

– Co go tak nagle ugryzło? – zapytał Piotr Michała, gdy zostali sami. Przez dłuższą chwilę stali w ciszy, aż w końcu olbrzym odpowiedział.

– Nie wiem, ale zastanawia mnie jedno – zawiesił na chwilę głos. Obrócił się w stronę, gdzie przed chwilą zniknął puciołowaty Edek. – Pamiętasz, co powiedział tam w lesie na samym początku?

Piotr zastanowił się chwilę.

– Noo, że nie przyjdą... – Nie był pewien, czy to właśnie o taką odpowiedź chodziło Michałowi, który prawie natychmiast potwierdził wątpliwość.

– Tak, ale dalej! Co powiedział później! – jego głos zdradzał jakąś dziwną ekscytację.

– Że deszcz im przeszkodził i nie będzie przerwotu broni.

– Właśnie... – odpowiedział zamyślony Michał. – Problem w tym, że deszcz zawsze jest sojusznikiem konspiracji. To nam nie powinno się chcieć siedzieć w tych cholernych krzaczorach. Oni powinni ciągnąć do tego lasu tabunami.

Piotr pokiwał głową, przytakując.

– W sumie tak. Ale czego to dowodzi?

Michał położył mu dłoń na ramieniu i jak gdyby ignorując pytanie Piotra, kontynuował swój wywód.

– Informator zdradził, że będzie przerzut broni. To prawda, ale o tym wiedziałem tylko ja i ty.

– Jak to?! – Piotr był wyraźnie zaskoczony. – To o czym wiedział Edek?

– Edek i Józek wiedzieli o przerzucie bibuły. Wiesz, ulotki, pieniądze.

Ani słowa o broni.

– To skąd Edek... – Piotrowi nagle zjeżyły się włosy na rękach, gdy uświadomił sobie prawdę.

– No właśnie – przerwał mu Michał. – Widać znał sprawę z innej strony. Piotr zawahał się.

– Ale przecież mógł to usłyszeć od Józka, prawda?

Michał zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, raczej nie. Gdyby tak było, to byłby zaskoczony i wspomniałby o tym, a on nawet nie zauważył, że się wygadał. Poza tym poszedł do domu krótszą drogą. Taką, która poprowadzi go blisko domostw ukraińskich. Poszedł zameldować komu trzeba. – Michał położył dłoń na ramieniu Piotra. – Mamy naszego małego szpiega. A skoro tak, to bardzo prawdopodobne, że nas też ktoś teraz obserwuje. Odprowadzę cię do domu. Na szczęście dla ciebie jutro wyjedziesz. Nie będą się tobą interesować. A ja już sobie z nimi zagram za parę dni.

Ruszyli w stronę wsi. Piotrowi kotłowało się w głowie wszystko, co wydarzyło się dzisiejszej nocy. Jedna myśl nie dawała mu spokoju.

– Michał – zaczepił idącego obok olbrzyma – przecież Edek jest Polakiem. Dlaczego miałyby to zrobić?

Michał wzruszył ramionami.

– Powód do zdrady jest prawie zawsze taki sam, choć występuje pod różnymi postaciami. Czasem ma żółty kolor i brzęczy, a czasem jest zwitkiem szeleszczących banknotów.

Piotr otrząsnął się z obrzydzeniem.

– Za pieniądze? A to szuja!

– Kupili go pewnie jak sprzedają dziwkę. Myśli, że zrobił interes życia, a oni pozbawią go złudzeń, wypruwając mu flaki.

– Skąd wiesz, że go zabijają?

Michał zaśmiał się cicho.

– Oni go nie zabijają. Oni go zamordują. Nikt nie lubi zdrajców i wszyscy nimi gardzimy. Oni też. Mimo że im służy, to pozbędą się go jak wrzodu na dupie, kiedy przestanie być dla nich użyteczny. Brzydzą się nim pewnie jak oślizłym węzem. Rozdepczą więc mu głowę.

Piotr wolał już o nic nie pytać. Rozstał się z Michałem, po czym odszedł w kierunku dworku. Gdy otwierał furtkę dzielącą go od ogródka przed domem, poczuł ulgę. Udało się dotrzeć do domu bez uszczerbku. Przeklinał w duchu swoją lekkomyślność i żądzę przygód.

„Trzeba było pobawić się w Indian w ogrodzie, a nie wałęsać się po lasach nocą” – pomyślał, czując jednocześnie dumę z tego, że nie stchórzył. Przecież nie miał pojęcia, o czym rozmawiał kilka dni temu Witalij z Danyłem za zamkniętymi drzwiami.



Piotr potknął się o stojące w sieni wiadro. Było już prawie nad ranem, więc hałas, którego narobił przez nieuwagę, zabrzmiał w nocnej ciszy niczym piorun zamieniający dom w kupkę popiołu. Chyba tylko dzięki ulewie tłumiącej wszelkie odgłosy nie obudził nikogo. Stał chwilę w bezruchu. Ostatnią rzeczą, której chciał, było spotkanie z panią Marią i jej pytającym wzrokiem. W domu panowała jednak dalej niezmacona jego niezdarnością cisza. Powoli, krok za krokiem, przemierzył długi korytarz.

Z wiszących na jego ścianach portretów patrzyli na niego chmurnym wzrokiem dziadkowie i pradiadkowie, i Bóg wie kto jeszcze. Kłaniał się każdemu z osobna, szepcząc do obramowanych płócien:

– Dobry wieczór, panie Walerianie. Jak się dzisiaj spało? Ooo, a pan, panie Kosiecki, co dziś taki pochmurny? Tytoniu w fajeczce nie stało? Jaka szkoda. To nic, zrobimy skręta ze słomy.

Po chwili był już przy drzwiach swojego pokoju. Otworzył je delikatnie. Drzwi zaskrzypiały jak stawy sąsiada Malińskiego po całym dniu pracy w polu. Przeklął w duchu wszystkie przedmioty wydające dźwięki. Po chwili, odizolowany od reszty domu zamkniętymi drzwiami, mógł spokojnie odetchnąć. Nie zapalał światła. Prawie po omacku dotarł do łóżka i usiadł na nim całym ciężarem. Spojrzał w bok i nagle zerwał się przerażony z krzykiem. Na łóżku obok niego przycupnęła jakaś ciemna postać.

– Ktoś ty! – krzyknął, łapiąc za oparcie krzesła odgradzającego go od łóżka niczym barykada. – Ktoś ty! – powtórzył pytanie, tym razem już nieco spokojniej.

Postać nie odpowiedziała. Usłyszał jednak łkanie.

– Marta, to ty? – zapytał zdziwiony. Nie usłyszał odpowiedzi, ale teraz, gdy nieco się uspokoił, był prawie pewien, że nie mógł to być nikt inny niż córka gospodyni. – Co ty tu robisz, dziewczyno?

– Czekam na ciebie, Piotrusiu. Całą noc – odpowiedziała postać zniekształconym od płaczu głosem.

Piotr opadł z westchnieniem ulgi na krzesło. Serce jeszcze mu kołatało w piersi, ale dochodził już do siebie. Wyteńczył wzrok i popatrzył na skuloną w rogu łóżka Martę.

– Wystraszyłaś mnie ogromnie – powiedział pogodnym już głosem. – Czemu nie śpisz? Dzieci w twoim wieku dawno powinny...

– Nie jestem dzieckiem! – Marta zerwała się z wściekłością. – Mam

prawie siedemnaście lat i już dawno przestałam być dzieckiem! Nie cierpię, kiedy tak do mnie mówisz! – wyrzucała z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

Piotr wyciągnął przed siebie ręce w obronnym geście.

– Dobrze już, dobrze. Ale po prawdzie to mleko jeszcze z butli doisz, prawda? – dorzucił kpiąco. Równie dobrze mógłby cisnąć granat do ogniska. Płomień gniewu na nowo wybuchnął w stojącej przed nim Marcie.

– Taką właśnie chcesz mnie widzieć, prawda, Piotrze?! Dziecko uczepione maminej spódnicy jak rzep psiego ogona! Mała zasmarkana dziewczynka bawiąca się lalkami. Boże, jaki z ciebie tępy tłuczek! Jak ja cię nie cierpię, chłopaku! Jesteś ślepy jak kura! Czekałam tu na ciebie, bo chciałam się pożegnać. Bo, bo cię... – urwała w pół słowa i odwróciła głowę zrezygnowana. – Ale wiem, że ty inną wolisz.

– Co ty bredzisz, Marta – spoważniał Piotr. Wiedział o kobietach jedno. Jeśli nie chciał być teraz rozerwany na strzępy, musiał porzucić kpiarski ton. – O czym ty opowiadasz?

– Już ty dobrze wiesz, o czym – głos Marty był zimny jak stopy nieboszczyka. – Polka nie jest wystarczająco dobra dla ciebie. Ty musisz dolewać mleka do kawy. Tak, tak, Piotrusiu, nie zaprzeczaj. Zakochałeś się w Swiecie jak młokos jakiś. Zakochałeś się tak, że mowę ci odbiera, kiedy jesteś obok niej. Biedny głupiec...

Dziewczyna ruszyła w kierunku drzwi.

– Żałuj w takim razie, że nie było cię całą noc – dodała i spojrzała wymownie na łóżko.

– No coś ty, Marta – zachnął się zawstydzony. – Jak to? Noc? Ja i ty? W jednym łóżku?

Obróciła się i spojrzała na niego z politowaniem.

– Uspokój wyobraźnię, harcerzyku – rzuciła. – Aż taka zdesperowana nie

jestem. Za to ona pewnie tak. Czekala całą noc w deszczu pod stodołą.

Piotr zerwał się z krzesła. Krew uderzyła mu do głowy, a serce zaczęło walić jak oszalałe.

– Swieta? Gdzie? Mów szybko!

Marta westchnęła zrezygnowana. Wiedziała, że przegrała. Popatrzyła na Piotra z bólem, od którego cały dom mógłby zapłonąć jak pochodnia. Skinęła głową w stronę obejścia.

– Idź tam. Może jeszcze zdążysz. – Ciemności skryły wypływające z jej oczu strumyczki łez. – Może jeszcze czeka... – Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Piotra jednak nie było już w pokoju. Tylko wiatr wpadający przez otwarte okno szarpał firanką.

30



Pędził przez podwórze, jakby od tego zależało jego życie. I zależało. W myślach przeklinał swoją opieszałość i ten niezrozumiały obecnie strach przed zrobieniem jakiegokolwiek kroku. Nie czuł, jak jego stopy zapadają się w błotnistą maź pokrywającą obejście. Ciemny obrys stodoły wyłonił się tuż przed nim oświetlony poranną zorzą.

„Boże, daj nam choćby minutę! Spraw, proszę, żeby jeszcze tam była...” – modlił się w duchu.

I była. Na początku zobaczył tylko jasną plamę jej bluzki. Jeszcze tylko kilka susów i rozpoznał ją. Stała zziębnięta i przemoczona do suchej nitki.

Materiał przylepił się jej do ciała, a buty zamieniły się w bezkształtne czerwone szmatki. Odgarnęła z czoła swoje długie, mokre od deszczu włosy. Płakała. Piotr nie rozróżniał łez od kropel deszczu spływających jej po twarzy. Widział tylko, jak spazmy szlochu trzęsły jej ramionami. Ręce nerwowo zaciskała na brzegu bluzki. Najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał w swoim dziewiętnastoletnim życiu. Podszedł do niej wolnym krokiem. Stał na tyle blisko, żeby dostrzec w lekkiej poświacie budzącego się dnia jej wielkie, mokre oczy. I wszystko stało się jasne. Wszelkie pytania i wątpliwości wyparowały w jednej chwili niczym rosa w porannym słońcu. Patrzył na Swietę, uśmiechając się do niej, i wiedział, że dotarł do celu, że znalazł to coś, zanim jeszcze na dobre zaczął szukać. Jeszcze nigdy nie czuł się tak dobrze. Objęła go mocno za szyję i rozplakała się głośno. Emocje dziewczyny napięte jak postronki do granic możliwości znalazły wreszcie ujście. Piotr przyciskał jej głowę do swojej piersi, gładząc mokre włosy.

– Swietoczka... – szepnął jej do ucha. – Moja Swieta... gdybym wiedział tylko, że czekasz...

– Piotr, ja czekała na ciebie cały miesiąc, od pierwszego dnia... – powiedziała już spokojnie. Podniosła głowę. – Te kilka godzin to żadna różnica. Piotr, coś ty mi zrobił? Nie umiem dumat' o niczem innym. No tylko pro tebe. – Patrzyła mu prosto w oczy. Piotr dostrzegł w nich ciepło tak ogromne, że serce zapłonęło mu w piersiach żywym ogniem.

– Piotr, ja nikoho inszoho tak nie kochała – dziewczyna mówiła dalej. – Ja bym za tebe życie...

– Swieta, będziemy się za to smażyć w piekle. – Piotr uśmiechnął się, choć miał ściśnięte gardło. – Oni nam tego nie wybaczą. Twój nie wybaczą – poprawił się.

– Co mi po niebie bez ciebie – wyszeptała przez łyzy. – Żałuj tylko,

chłopaku, szczo nocy nie stało.

Pocałował ją w czoło. Trwali tak chwilę, delektując się każdą sekundą jak najlepszym winem. Nagle dziewczyna pociągnęła go za rękę w kierunku stodoły. Uchyliła małe drewniane drzwi i szepnęła:

– Chodź...

Po chwili opierała się już o skleconą z desek ścianę. Podeszedł do niej powoli i wsunął dłoń pod włosy, na szyję. Zadrżała. Przysunął się bliżej. Przez cieką koszulę czuł jej przyciśnięte do swojego torsu piersi unoszące się przy każdym oddechu. Ujęła jego dłoń i przesunęła ją ze swojego ramienia w dół. Poczłł miękkość pod palcami. Dziewczyna chwyciła jego głowę i przywarła do niego ustami. Świat zawirował mu przed oczami tak mocno, że zamknął powieki. Błądził dłonią po jej bluzce, po czym wsunął ją delikatnie pod nią. Człł słodycz jej ust, delikatny język i krągłość jej piersi. Swieta wzięła jego drugą dłoń i położyła ją na swoim udzie. Ścisnął je mocno. Oderwał się od jej ust i szepnął cicho:

– Swieta, ja jeszcze nigdy...

– Ciiiiii... – przerwała mu, kładąc palec na jego ustach. – Ja takż ne...

Pocałowała go znowu. Tym razem zsunął jej bluzkę z ramion. Chwilę później pieścił ustami jej krągłe, nabrzmiałe z podniecenia piersi. Dłonią podciągał spódnice, zwijając ją na udzie. Po chwili wsuwał już rękę pod fałdy materiału. Westchnął cicho i oderwał się od Swiety. Rozpięła mu spodnie i przyciągnęła go jeszcze bardziej do siebie. Uniósł ją lekko i położył na sianie. Pochylił się nad nią i podciągnął jej spódnice. Po chwili człł, jak drży przy każdym jego ruchu. Wbiła paznokcie w jego plecy, aż syknął. Nie zauważyła tego nawet. Otwierała usta w niemym krzyku, kiedy jego ruchy stawały się coraz gwałtowniejsze. Piotr nie widział już niczego. Jego ciałem targały skurcze. Po chwili znieruchomiał. Ścisnęła mocno udami jego biodra, patrząc mu prosto w oczy. Kiedy położył się na niej i przytulił do jej nagich

piersi, gładziła go po włosach, ciężko oddychając. Nie trwało to jednak długo. Swieta wiedziała, że musi wracać do domu, bo gdy odkryją jej nieobecność, wybuchnie awantura. Piotr wyprostował się i usiadł obok niej. Ona również się podniosła. Ujęła jego twarz w dłonie i patrząc mu w oczy, powiedziała:

– Piotr... to tak... żebyś pamiętał.

– Jak mógłbym zapomnieć – uśmiechnął się do niej. Otworzył dłoń i ze zdziwieniem zauważył małą czerwoną kokardkę wciśniętą pomiędzy palce. Swieta roześmiała się cicho, wskazując swoją bluzkę i puste miejsce po prawej stronie, tuż nad drobnym haftem. Chłopak wyciągnął rękę.

– Proszę – zarumienił się lekko – to twoje...

Zamknęła jego dłoń.

– Zatrzymaj ją. W końcu... – mrugnęła do niego – zdobyczna.

Teatralnie pocałował kokardę, po czym schował ją do kieszeni spodni.

– Wróć po ciebie. Już niedługo.

– Nie obiecuj – odpowiedziała cicho. – Nie znasz, co się może stać. Ty obiecasz, a ja będę czekała jak głupia.

Chwycił jej twarz w swoje dłonie.

– Swieta, obiecuję ci to teraz – mówił mocno i stanowczo – nie zostawię cię samej. Nie ma takiej możliwości.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno, jakby z niedowierzaniem. Pogłaskała Piotra po twarzy, dotknęła palcem jego ust, a potem pocałowała opuszek palca.

– Jegor był u nas dzisiaj. – Poczowała, jak na wspomnienie Ukraińca skóra jej cierpnie. – Myślałam, że się domyśla, bo tak pytał, co ja taka strojna. Ale potem zaczął śmiać się i mówić, że chyba mam coś na sumieniu, skoro się tak płaczę – mówiła, poprawiając bluzkę. – W końcu poszedł sobie. Myślałam, że nigdy się już nie najdziemy – popatrzyła na Piotra z poważną

miną.

– Nie martw się. – Chłopak przytulił ją mocno. – Uważaj tylko na niego. To kawał skurczybyka. Trzymaj się z dala od niego i unikaj go, jak tylko możesz.

– To mój narzeczony. – Wyczuł w jej głosie ból. – Nie mogę go cały czas unikać, domyśli się, a wtedy...

Piotr chwycił dziewczynę za ramiona i spojrzał na nią. – Święta, nie możesz za niego wyjść, rozumiesz?! Nie możesz! Poczekaj na mnie! – Czuł, jak stalowa obręcz ściska mu żołądek. Położyła mu palec na usta, uciszając go. Pocałowała go miękko, po czym pochyliła się i szepnęła:

– Spiesz się więc...

– Wiesz, co ci grozi, jeśli ktokolwiek dowie się o nas?

Dziewczyna, nie podnosząc głowy, przejechała palcem po gardle jak nożem.

– Ciii... Piotr, nie mów już nic...

Wtuliła się jeszcze na chwilę w niego. Zastygli w bezruchu, siedząc na sianie, jak gdyby czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jak gdyby nic nie mogło zmącić spokoju w ich świecie. Wszelkie troski, strach przed tym, co teraz ich czeka, i wyzwanie rzucone całemu światu odbijały się bezsilnie od nich, tak jak kawałek spróchniałego drewna odbija się od przęsła stalowego mostu. Byli bezpieczni.

Pierwsza podniosła się Święta. Piotr dopiął koszulę i wstał z klepiska. Objął dziewczynę ramieniem i pocałował jej włosy. Przymknął oczy i szepnął jej prosto do ucha: – Będę za tobą tęsknił, Swietoczka.

Uśmiechnęła się smutno i odpowiedziała:

– Boję się, Piotr. Boję się zostać tu sama. Boję się Jegora i tego, co może się stać, jeśli w nieskończoność będę odwlekać wesele.

– Wrócę niedługo. – Głaskał ją delikatnie po głowie. – Wojna szybko się

skończy, Hitler dostanie w dupę i przyjadę.

– Jeszcze ta wojna – dziewczyna westchnęła z rezygnacją. – OUN pójdzie za Niemcami. Szykują się na was, Polaków. Podśluchałam Jegora, jak rozmawiał z moim ojcem. Chcą Ukrainy dla samych Ukraińców. Was chcą wyrzucić tam – głową wskazała na czerniejące na horyzoncie Bieszczady – za San. A jak nie, to... mówią, że na Wielkanoc będą pisanki malować krwią Lachów...

– Niech spróbują! – Piotr zareagował ostro. – Wojsko zrobi z nimi porządek!

– Uważaj tylko na siebie...

– Ty też, Swietoczka...

Czas, niemy zabójca, beznamiętnie przesuwał sekundnik zegarka. Takie chwile tuż przed rozstaniem smakują jak ostatnie krople wody wsiąkające w piasek pustyni, nadając każdej sekundzie smak absolutny.

– Muszę już iść...

Nie odpowiedział. Odwrócił ją do siebie i pocałował na pożegnanie. Smakował jej słodkie pełne usta jakby na zapas. Popatrzył jej w oczy i odpiął zawieszony na łańcuszku na szyi mały srebrny krzyżyk. Wsunął go w dłoń dziewczyny.

– Idź już. I czekaj na mnie.

Odwróciła się i wyszła szybkim krokiem ze stodoły. Nie obejrzała się. Nie chciała, żeby widział, jak kolejny raz tej nocy płacze.



Szła polną drogą wzdłuż ogrodu Kosieckich. Pożegnała Piotra tuż przy wyjściu ze stodoły. Deszcz jakby ustał na chwilę, ale ona nawet tego nie zauważyła. Dotykała ust palcami, kładła dłonie na piersiach, przesuwała je w dół i uśmiechała się do siebie. Na samo wspomnienie tych kilku chwil spędzonych z Piotrem całe stada motyli kotłowały się jej w brzuchu. W dłoni, jak największy skarb, ścisnęła srebrny okruch. Minęła majestatycznie milczącą w blasku budzącego się nowego dnia cerkiew. Skręciła za róg świątyni i... poczuła, jak czyjeś dłonie chwytają ją mocno z tyłu, a obca dłoń zaciska się na jej ustach. Nagle usłyszała niski, ponury głos, od którego krew ścięła się w jej żyłach.

– A skąd tak wracasz po nocy, Swieto? – szeptał jej wprost do ucha Jegor. Nie mogła wydobyć głosu z zasłoniętych ust. Ukraińiec mówił dalej:

– Ja ci powiem, skąd wracasz. Od tego Lacha. – Jegor splunął na ziemię. – Taaak, widziałem was. Myślałaś, że ja do domu poszedł, a ja tuż za tobą. Hyc, hyc, hyc i już jestem za stodołą u Kosieckich. Nie powiem, masz cierpliwość, dziewczko. Całą noc warować tylko po to, żeby dać mu dupy na sianie. Polska suko!

Oswobodziła swą dłoń i odciągnęła nią jego rękę zasłaniającą jej usta.

– Wolę być jego suką niż twoją kniahinią! – rzuciła mu przez ramię.

– Tak? No to teraz dasz mi tak, jak dałaś jemu!

Jegor rzucił ją na trawę. Dygotał cały z wściekłości. Czuł, że przestaje panować nad tym, co robi. Swieta odwróciła się na plecy, unosząc ciało na rękach. Nie miała szansy ucieczki. Zaczęła głośno krzyczeć. Dopadł ją w sekundę i trzasnął w twarz na odlew tak, że głos uwiązł jej w gardle.

– Morda, dziwko! – syknął i obejrzał się za siebie, sprawdzając, czy jej krzyk nie zaalarmował nikogo. Wszędzie jednak panowała niczym niezmacona poranna cisza. Usłyszał, jak dziewczyna płacze. Popatrzył w jej stronę i opanował nerwy. Klęczał pomiędzy jej udami z rozpiętymi

spodniami. Dziewczyna leżała na ziemi, dygocząc. Z jej rozbitej wargi płynęła krew. Pochylił się nad nią tak, że czuła jego oddech.

– Teraz na mnie kolej. Będę drugi, ale co mi tam teraz za różnica. I tak będziesz moja.

Dziewczyna obróciła głowę z rezygnacją. Ścisnęła w dłoni mały nóż wyjęty z fałdy spódnicy.

32



Gwizdek oznajmił odjazd pociągu. Z hali poczekalni wciśniętej pomiędzy dwa budynki kolejowe wybiegł jeszcze starszy człowiek i w ostatniej chwili wskoczył do ruszającego już wagonu. Piotr beznamiętnie odczytał przesuwany się przed nim na białej tablicy na peronie napis: „Drohobycz”. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, a jego palce bez przerwy zwijały i rozwijały kawałek czerwonej wstążki. Pociąg powoli nabierał tempa, zmieniając obraz miasteczka na pokryty polami i lasami krajobraz, który nie zostawiał żadnego śladu w świadomości chłopaka. Jego myśli zajęte były odtwarzaniem bez końca sceny pożegnania ze Swietą. Dyskretnie, by nie rzucić się w oczy współpasażerom, dotykał palcami swoich policzków i ust tak, żeby poczuć muśnięcie jej dłoni w tych miejscach. Kamień, który przytłaczał jego piersi, nie pozwalał mu myśleć o niczym innym, jak o delikatnym uśmiechu, miękkim dotyku i anielskim głosie. Nic nie miało w tej chwili znaczenia. Ani nieprzespana noc, ani cała seria wakacyjnych wspomnień. Ani ciepłe pożegnanie z panią Marią

okraszone kilkoma łzami i zapewnieniem, że zawsze będzie mile widzianym gościem. Ani nawet drobna sylwetka pięknej Marty wtulająca się w niego na ganku. Dziewczyna na pożegnanie pocałowała go czule w oba policzki, trzymając jego twarz w swych drobnych dłoniach. Kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, położyła mu na nich palec, kręcąc śliczną główką na boki i dając mu do zrozumienia, że nic nie trzeba mówić.

Do jego świadomości nie docierał nawet nagłówek w gazecie, informujący tłustą czcionką na pierwszej stronie o podpisanym wczoraj pakcie pomiędzy Niemcami i Związkiem Sowieckim. Nic w tej chwili nie było ważne. Ważne były tylko czerwone buciki, haftowana bluzka, wstążka i ogromna, pożerająca go od środka miłość do ich właścicielki. Gdyby mógł, wyskoczyłby teraz z wagonu i na piechotę, biegiem, ruszyłby z powrotem do Bedryczan. Porwałby ją najchętniej na ręce i zaniósł tam, gdzie nikt nie byłby w stanie ich znaleźć. Do jakichś Chin albo na Księżyc. Obojętnie. Byleby razem.

Westchnął ciężko i przykleił policzek do szyby. Zamknął oczy. Gdy już przesiądzie się we Lwowie na pociąg do Warszawy, będzie miał jeszcze cztery godziny, żeby się wyspać. Jeśli zdoła zmrużyć oko. Hałas zupełnie mu nie przeszkadzał. Podobnie jak podniesione głosy współpasażerów gorąco komentujące toczące się właśnie rozmowy pomiędzy polskimi władzami a rządem Jej Królewskiej Mości w Londynie w sprawie wzajemnej pomocy wojskowej. We śnie przeszkadzał mu jedynie dźwięczący w uszach śmiech pewnej dziewczyny, której udało się zaczarować go na dobre.



„Jezu słodki, wybacz mi...” – przemknęło jej przez głowę. Wyszarpnęła nóż z fałdy spódnicy, ale Jegor skutecznie blokował jej ruchy. Zawsze wydawało jej się, że potrafi stawić opór do końca. Szarpała się więc jak mogła, jednak Jegor szybko wyleczył ją ze złudzeń. Drugie uderzenie w twarz zmiażdżyło w ułamku sekundy jej wolę walki. Poddała się zrezygnowana. Stalowe ostrze osunęło się na trawę. Zamknęła oczy i odwróciła głowę. Czuła, jak dłoń Jegora wpycha się brutalnie pomiędzy jej uda, ale nie potrafiła dalej się opierać. Jej ciało zamieniło się w bezwolną kukłę, nad którą nie miała już władzy. W ustach czuła posmak krwi z rozciętej wargi. Przestała zupełnie zwracać uwagę na wdzierającego się w nią mężczyznę.

„Dlaczego właściwie krew jest taka... słona?” – pomyślała, dotykając językiem wnętrza wargi. Nagle jej słuch zarejestrował głucho tępięcie, a zaraz potem bezwładne ciało Jegora przygniotło ją swoim ciężarem. Gdzieś nad sobą usłyszała głos Witalija i rozpoznała swoje imię. Jednak wydawało jej się, że wszystko to dzieje się gdzieś daleko, jakby za gęstą jak mleko mgłą... Powoli zapadała się w ciemność...

Kobięcy krzyk wyrwał Witalija z łóżka. Zdążył tylko naciągnąć spodnie. Na buty nie było czasu. Wybiegł z za cerkwi tak szybko, jak tylko potrafił. Zobaczył Jegora leżącego w trawie. Zimny pot spłynął mu po karku.

– Sukin... – Niewiele myśląc, chwycił leżący na ścieżce duży kamień i dopadł szamoczącego się z kimś mężczyzny z opuszczonymi spodniami. Zanim tamten zauważył zagrożenie, ręka trzymająca kamień uderzyła go w potylicę. Jegor osunął się bezwładnie, zasłaniając swoim ciałem leżącą pod

nim kobietę. Witalij chwycił go, odsunął na bok i... zamarł z przerażenia. Pod Jegorem, z potarganą i podciągniętą spódnicą, leżała nieprzytomna Swieta.

– Swieta! Swietoczka! – Przyklęknął obok niej, zasłonił nagie uda resztkami spódnicy i chwycił dziewczynę w ramiona, unosząc ją lekko. – Swietoczka! Córcia! Obudź się! – Drżącymi dłońmi odgarniał jej włosy z twarzy. Klepnął ją lekko w policzek i odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie otworzyła oczy. Przez moment rozglądała się dookoła zamroczona, jakby zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co wydarzyło się wcześniej. Po chwili jednak jej źrenice rozszerzyły się w przerażeniu, a powracająca pamięć zbulgotała w jej gardle głośnym krzykiem.

– Ciiii... – Witalij przytulił ją mocno i położył dłoń na jej ustach. – Nie krzycz. Już wszystko w porządku. Jesteś bezpieczna.

Dziewczyna ucichła, lecz wciąż jeszcze całe jej ciało drżało w ramionach Rusina. Powoli, jakby ze strachem, odwróciła głowę i popatrzyła na Jegora i na krwawą plamę na jego głowie.

– Żyje?

– Nie wiem. Pies go jebał, sukinsyna! – Witalij dopiero teraz poczuł, jak narasta w nim wściekłość, od której drżą mu mięśnie na całym ciele. Odsunął od siebie wciąż jeszcze zamroczoną dziewczynę, trzymając ją za ramiona.

– Swieta – nie wiedział, jak zapytać – czy on... udało mu się?

Dotknęła dłonią uda i pokręciła przecząco głową.

– Nie zdążył.

Nagle wyrwała się z uścisku.

– Piotr! On widział mnie i Piotra!

Witalij popatrzył na nią zdziwionym wzrokiem.

– Co ty gadasz, córcia! Jak widział? Gdzie?

– W stodole... u Kosieckich – Swieta ścisnęła rękę kościelnego. – On

widział mnie i Piotra... tam, na sianie...

Zrozumiał. Pogłaskał ją po głowie.

– Musimy go ostrzec! – Próbowała zerwać się na nogi, ale te odmówiły jej posłuszeństwa. Gdyby nie Witalij, który chwycił ją wpół, upadłaby na ziemię.

– Nikogo nie będziemy ostrzegać. – Kościelny odzyskał spokój i jasność myślenia. – Piotr wyjeżdża dzisiaj, prawda?

– Tak, przedpołudniowym pociągami. – Swieta przymknęła oczy. Głowa bolała ją niemiłosiernie.

– I bardzo dobrze. Zrobimy tak: ja zwięzę tego gnojka i przetrzymam go do jutra, żeby Piotr mógł spokojnie wyjechać. Będzie wtedy bezpieczny. Jeśli mu cokolwiek powiemy, to będzie się o ciebie bał i jeszcze narobi jakichś głupstw. Braku Jegora nikt nawet pewnie nie zauważy. Ty pójdziesz do mnie. Poprosisz Annę, da ci coś do przebrania. Potem idź do domu i opowiedz ojcu o tym, co się stało.

– Nigdy w życiu! – Swieta pokręciła przecząco głową i odwróciła się od Witalija. Chwycił ją za rękę, obrócił i popatrzył prosto w oczy.

– Pójdziesz do domu i powiesz Danylo o wszystkim. O Piotrze też. Jeśli nie zrobisz tego ty, zrobi to Jegor. Wiecznie trzymać go nie mogę. Bądź pierwsza. Inaczej twój ojciec pozna jego wersję. A to nie będzie dla ciebie dobre. Wpadnie w szal i nawet nie będzie chciał słuchać tego, co masz do powiedzenia.

– Ojciec mnie zabije. – Dziewczyna rozplakała się, kryjąc twarz w dłoniach.

– Teraz trochę za późno, żeby o tym myśleć – Witalij powiedział to tak, że uspokoiła się na chwilę i zaczęła go słuchać. – Danyło potrafi być porywczy, ale kocha cię nad życie. Ten pies – wskazał głową na Jegora – chciał cię skrzywdzić. Tego nawet twój ojciec nie przełknie.

– Jak usłyszysz o Piotrze...

– Jeśli ty mu to powiesz, to nic ci nie zrobi – jego ciepły i spokojny głos działał na Swietę kojąco. – Jeśli się rozsierdzi, zapytaj go wtedy o to, dla kogo gotów był pół wsi puścić z dymem.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Tak, tak. – Witalij pokiwał głową. – Nie zapomnij. Zapytaj go. Wszystko będzie dobrze. Uwierz mi. Niech ojciec pomoże ci się ukryć.

Nie powiedziała już nic. Po chwili zniknęła za cerkwią pogrążona w myślach. Witalij podszedł do leżącego w trawie ciała. Pochylił się nad nim bez emocji. Nie był młokosem. Wyprawił na drugą stronę niejednego człowieka. Teraz zaś wiedział, że co jak co, ale Jegorowi należał się ten kamień w łeb. Nawet gdyby nie żył, to za to, co chciał zrobić Swiecie, i tak za mała kara. Jednak zabić kogoś w ferworze walki to jedno, a dobić leżącego to drugie. Nie zamierzał tego robić. Miał tylko cichą nadzieję, że cios był wystarczająco mocny.

Dotknął nieruchomego ciała. Przyłożył palec do tętnicy na szyi i pokiwał głową niezadowolony. Pod palcem wyczuł tętno.

– No to się teraz zabawimy, sukinsynu – wycedził przez zęby i splunął na ziemię.



szystko toczyło się tak szybko. Jeszcze miesiąc temu wydawało jej się, że widzi swoje życie jak prostą wstęgę, gładką i przewidywalną do samego

końca. Dzisiaj był to raczej kawałek sznurka skłębionego w dziurawej kieszeni. Swieta szła szybkim krokiem przez łąkę. Bała się. Potwornie się bała. Jegor jej nie podaruje tego, co się stało. Na razie, na szczęście, była bezpieczna. Witalij zadba o to, żeby miała czas na jakiś ruch. Znała jednak zawziętą naturę młodego Ukraińca. Nie odpuści.

Jednak to nie Jegora obawiała się w tej chwili. Zimna, oślizła dłoń zaciskała się na jej gardle z każdym krokiem przybliżającym ją do domu. Za chwilę stanie przed Danyłą i będzie musiała powiedzieć o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. Szalona miłość, upojna noc, polski chłopiec i to okropne poniżenie przez Jegora. Która z tych rzeczy zamieni jej ojca w dyszącego wściekłością potwora? Na co może liczyć? Czy jest tutaj ktokolwiek, kto zdoła ją zrozumieć?! Powoli, krok za krokiem, lodowata niewidzialna ręka coraz bardziej dławiała jej oddech. Kiedy usiłowała otworzyć skrzypiącą furtkę, jej ręce, niczym dwa niezdarne drewniane kołki, odmówiły posłuszeństwa. Przez próg przetoczyła się siłą rozpędu. I kiedy oparła się o ścianę w sieni i zamknęła na chwilę oczy, poczuła, jak nagle, zupełnie niespodziewanie, wszystko z niej spływa.

Człowiek zaszczuty strachem dochodzi w pewnym momencie do takiego punktu, kiedy jest mu już wszystko jedno. Gdy nie ma już nic do stracenia, znika także strach. Rozwiewa się jak poranna mgła, straciwszy rację bytu.

Swieta stała z zamkniętymi oczami, a w głowie kołatała się jej jedna myśl: „Niech się dzieje, co chce. Nie mam ochoty się już bać...”.

Oderwała się od ściany i stanęła przed drzwiami prowadzącymi do kuchni. Zupełnie obojętnym ruchem pchnęła je i weszła do środka.

– Matulu, zostaw nas samych! – głosem jakby zza grobu rzuciła w stronę matki, która popatrzyła córce w oczy i natychmiast odwróciła głowę. Bez słowa wstała od stołu i wyszła do sieni, nie pytając o nic. Siedzący na ławie Danyło patrzył na córkę rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

Swieta stanęła przed nim, uniosła do ust kubek napełniony wodą, wypijając jego zawartość jednym haustem. Postawiła go z głośnym stuknięciem na dębowym stole, otarła usta wierzchem dłoni i powiedziała:

– Musimy porozmawiać!

W kuchni zapadła cisza. Danyło patrzył na Swietę oniemiały. Dziewczyna usiadła ciężko na ławie i odetchnęła. Powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia. Teraz z niemą obojętnością czekała na to, jak na jej słowa zareaguje siedzący naprzeciw ojciec. Była gotowa na wybuch wulkanu.

Za to Danyło zupełnie nie był przygotowany na to, co usłyszał. Słowa córki dźwięczały mu w uszach jak rzucone na bruk miedziane monety, jednak sensu w tym brzęku nie był w stanie wyłapać. Myśli kłębiły mu się pod czaszką jak oszalałe. Sam nie wiedział, która z nich sprawia mu większy ból.

Jego córka i Lach?!

I to TEN Lach?!

Jak to, oddała mu się?!

A co z Jegorem?!

Co ze ślubem?!

Co z wiernością i patriotyzmem?!

Swieta patrzyła na niego spokojnie. Widziała, jak dłonie Danyły zaciskają się powoli niczym stalowe imadła na krawędzi blatu. Wbiła wzrok w podłogę.

– Tak, tak – pokiwała spuszczoną głową. – Twój święty Jegor mnie jak zwykłą dziwkę chciał wziąć. I to nie pierwszy raz.

Poruszył się na krześle. Popatrzył na nią jeszcze szerszymi oczyma.

– Jak to nie pierwszy raz? – wydusił z siebie z trudem. Oparł swoje wielkie dłonie na blacie i uniósł się powoli. – To kiedy był ten pierwszy raz?

Swieta kiwnęła głową w kierunku swojego pokoju.

– Tutaj – powiedziała cicho – kilka dni temu. Po którejś z waszych popijaw. Ledwie się wybroniłam. – Ucisk w dołku sygnalizował, iż pięć minut stoickiego spokoju dobiegało końca. Serce na powrót napełniło się bólem i strachem. Obróciła się gwałtownie w kierunku Danyły.

– Bat’ko! – Z trudem hamowała łzy. – Tyle dla ciebie jestem warta? Żeby mnie jakiś wioskowy ciura ciągał po trawie? Nic nie powiesz? Córka twoją jestem! – ostatnie słowa wypowiadała podniesionym głosem. – Nic to dla ciebie nie znaczy?!

Danyło przeszył ją wzrokiem ostrym niczym brzytwa. Córkę kochał nad życie, ale z ledwością powstrzymywał nerwy.

– Po trawie nie chcesz, ale na siano chętnie! Z Lachem się gziłaś? Jak mogłaś mi to zrobić? – Danyło wstał gwałtownie, odpychając ławę, na której siedział. Dyszał ciężko i widać było, że powoli zaczyna go to przerastać.

– Skoro zrobiłam, to znaczy, że mogłam! – Swieta nie pozostawała dłużna ojcu. – Tylko to dla ciebie jest ważne! Co ludzie powiedzą! Co Ukraina powie! – Wzięła głęboki oddech i podniosła wzrok. – Tak! Chciałam na siano. Bo to był mój wybór i mój chłopiec. Sama go wybrałam i pokochałam. Nikt mi go do łóża po pijaku nie wciskał. I wierz mi, bat’ko, że gdybym się ciebie nie bała, to sama bym ci powiedziała o tym, zanim ten pies się na mnie rzucił!

Danyło trzasnął pięścią w stół. Odwrócił się od córki i podszedł do okna. Zbierał w głowie te wszystkie okruchy, próbując złożyć je w jedną całość.

Głos uwiązł Swiecie w gardle. Zakryła usta i powstrzymała szloch. Wiedziała, że musi powrócić jeszcze do jednej sprawy, która od dawna nie dawała jej spokoju.

– Nie ciebie się nawet boję, tylko was! – wybuchnęła wreszcie. – Tego, na co się szykujecie! Tej waszej wojny i... – Wstała gwałtownie. – Wy chcecie mordować ich... naszych sąsiadów.

– Co ty... – Danyło oniemiał na chwilę. Po raz sto pierwszy. – Kogo mordować?

– Nie kłam teraz – dziewczyna strzelała słowami jak w amoku. – Wszystko słyszałam. Jak z Jegorem rozmawiałeś, jak go pytałeś, czy jest gotowy! Chcecie tej swojej Ukrainy na polskich trupach wyhodowanej!

– Ukraina jest najważniejsza! – Danyło uderzył dłonią o ramę okna tak, że szyba cudem tylko pozostała na miejscu. – I dobrze wiesz, że musimy o nią walczyć! Jak myślisz, dlaczego cię tu trzymam, zamiast posłać do jakiegoś szpitala we Lwowie jako pielęgniarkę? Niedługo się zacznie wojna. Będziesz mi tu potrzebna, żeby ukraińskie rany opatrywać!

– Ręki do tego nie przyłożę! – syknęła z zaciśniętymi zębami. – Nie chcę takiej Ukrainy, skąpanej we krwi zwykłych ludzi! Ja chcę żyć, a nie życie odbierać. Walczcie jak żołnierze, z wojskiem, a nie jak bandyci, z kobietami i dziećmi!

Danyło złapał się za głowę.

– Ty nic nie rozumiesz. Nas nie będzie, jeśli oni tu pozostaną, polskie pany...

– Więc nie będzie! – przerwała mu. – Wolę zostać czysta i żyć pośród Lachów, i rodzić jednemu z nich dzieci, niż patrzeć, jak ich głowy toczą się po drodze w imię przenaświętszej Ukrainy. Czy ty tego naprawdę dla mnie chcesz? Dla mamy i Olega? Jak chciałeś nam potem spojrzeć w oczy?

– A Ojczyzna?!

– Moja Ojczyzna jest tam, gdzie jest Piotr!

– Boh mij! – Danyło wznosił ręce do góry. – W życiu nie słyszałem większej bzdury! To tylko baba może tak wymyślić! A o polityce nie będę

z tobą gadał, bo się na niej gówno znasz!

Swieta spuściła głowę i zacięła usta. Na chwilę zapadła cisza. Dziewczyna nagle przypomniała sobie o słowach Witalija.

– Powiedz, bat’ko, kogoś ty tak kochał, że chciałeś wieść dla niej palić? Laszkę jakąś?

Nokaut. Jeden celny prawy prosty i stary opadł na ławę, dysząc ciężko. Ból, skrywany przez lata, już drugi raz w ciągu kilku dni zaatakował jego serce. Nie odpowiedział nic. Pochylił lekko głowę i oparł ją na rękach. Nie spodziewał się takiego obrotu dyskusji. Wszystkie inne ataki mógł odeprzeć, bo nie przywykł chować głowy w piasek. Skąd ona wiedziała? No tak, Witalij, zradnyk, zdradził sekret. I to komu? Jego córce. Cały problem polegał jednak na tym, że Swieta miała rację. Nie zrobiła nic, czego on nie zrobił lub zrobić nie chciał. Mógł teraz iść w zaparte, próbując przeforsować swoje racje. Ale wiedział już, że to najlepszy sposób, żeby córkę stracić. Widać, kto mieczem wojuje... Jego świat właśnie się rozpadał. Własna córka wbiła mu nóż w plecy, oddając się temu Lachowi. Czy mógł się jej jednak dziwić? Sam kochał Polkę, która już od wielu lat nie chodzi po tym świecie. Miała rację. Układane małżeństwo z Jegorem nie było najszcześniejszym pomysłem. Nie dla niej. Powinien wiedzieć, że jego dziecko nie jest byle dziewczuchą, której może planować życie bez pytania. Mało brakowało, a własną córkę poświęciłby, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. W końcu jego krew. I jeszcze zhańbiłby ją jego podwładny...

Ta myśl wbiła się w jego świadomość jasnym ostrzem. Dotarło do niego wreszcie to, o czym powiedziała mu Swieta. Jegor chciał ją zgwałcić, zhańbić. I to w jego domu. Skurwysyn jeden!

Popatrzył na dziewczynę. Siedziała teraz, oparta rękami o blat stołu tak jak on.

„Nawet teraz podobna do mnie” – pomyślał z dumą, a głośno powiedział:

– Idziemy do Witalija – i po chwili wahania dodał – i do Kosieckich.

Swieta otworzyła oczy ze zdumienia.

– Po co do Kosieckich?

– Naprawić pewną rzecz – odpowiedział bardziej sobie niż córce. – Może jeszcze się uda.

Kiedy pchnął drzwi, zobaczył Halę siedzącą pod ścianą i zanoszącą się płaczem. Przystanął na chwilę. Wiedział, że podsłuchiwała pod drzwiami, musiałby nie znać swojej żony. Nie powiedział ani słowa. Minął ją i wyszedł przed dom. Kiedy w kuchennych drzwiach stanęła Swieta, matka nie wytrzymała. Jej głośny szloch odbił się od ścian. Dziewczyna przykucnęła przy niej, tuląc ją w ramionach.

– Maty, nie płacz. – Obejmowała ją za szyję. – Wszystko będzie dobrze. Pójdziemy z bat’kom i naprawimy wszystko. Zobaczysz.

Kobieta gładziła jej włosy bez słowa. Po chwili Swieta podniosła się i zniknęła w drzwiach, goniąc oddalającego się ojca.



Witalij nawet się nie zdziwił, gdy przez okno zobaczył nadchodzących Danyłę z córką. Nie zaskoczyło go również to, że zamiast powitania usłyszał niskie, gardłowe „De win?”. Wszystko było jasne. Zostawili Swiętę w domu, a sami bez słowa ruszyli do małego chlewiku za domem. Danyło wszedł do środka, poszukał wzrokiem skrepowanego i zakneblowanego Jegora, cmoknął tak, jakby targował się o cenę kabana na targu i nim Witalij

otworzył usta, wyciągnął zza pazuchy pistolet i strzelił. Jedyna świnia w chlewiku zaczęła kwiczeć ze strachu, rzucając się na boki.

– Ta czyś ty zgłupiał, chłopie?! – Witalij doskoczył do Danyły, zasłaniając sobą leżącego z wytrzeszczonymi oczyma Jegora, któremu nad głową niecelna kula odłupała kawał ściany. – Pół wsi mi się tu zleci! Dzieci mi wystraszysz, durniu!

Danyło oglądał pistolet z zaciekawieniem zegarmistrza studiującego nowy mechanizm, nie zwracając uwagi na kościelnego.

– Ruska TT-ka – mamrotał pod nosem. – Niby nowa jak spod igły, a taki złom. Popatrzył ponad ramieniem Witalija wzrokiem zimnym jak ciało nieboszczyka. – Nawet takiego skurwysyna ciężko z niej trafić.

Podniósł pistolet znowu, ale silna dłoń kościelnego ściągnęła jego rękę w dół.

– Nie tutaj, Danyło. – Witalij pochylił się i zniżył głos. – Chcesz go ubić, zabierz na wózek i wywieź gdzieś do lasu. Tak, żeby nikt nie widział. W dzień, w środku wsi? Napytasz sobie biedy. Zabierz go w nocy, ubij i zakop ciało tak, żeby nikt nie znalazł. Na co nam kłopoty?

Danyło przez cały czas zachowywał stoicki spokój. Uśmiechał się nawet, drapiąc się po głowie. Jednak pod powłoką poczciwości krył się bezwzględny, kalkulujący chłodno umysł, który wydał już wyrok na leżącego w chlewie człowieka.

– Masz rację – klepnął Witalija w ramię – zostaw nas tylko samych na chwilę. Chcę mu się przyjrzeć, jak tak leży.

Kościelny sapnął, kiwając głową.

– No dobre. – Ruszył w kierunku drewnianych drzwi. Zanim jednak wyszedł, uniósł palec do góry: – Tylko Danyło! Pamiętaj, że...

– Dobre, dobre. – Danyło machnął ręką. – Nie ubiję go teraz. Przecież powiedziałem. – Popatrzył na wyciągniętą w swoim kierunku dłoń.

Westchnął, położył na niej pistolet i mruknął pod nosem:

– Jak dziecko.

Gdy drzwi zamknęły się za Witalijem, podszedł do opartego o ścianę ciała. Jegor przez cały czas zachował spokój. Nawet pocisk, który minął jego głowę o centymetry, nie wydusił z niego dźwięku. Danyło kucnął przed nim i spojrzał mu prosto w oczy. Trwali tak w milczeniu zakłócanym kwikiem ciągle przestraszonej lochy. Jegor był mocny, ale stalowe spojrzenie starego zmieliło go na proch. Spuścił głowę.

– Harnyś, psi synu – wycedził Danyło grobowym głosem. – Ściągnę ci knebel. Piśniesz słówko to ci, suko, język gołą ręką wyrwę. Zrozumiałeś?

Jegor kiwnął głową. Po chwili łapał oddech pełną piersią. Górna warga drżała mu w grymasie pogardy.

– Ja widziałem ich... – zaczął, ale policzek wymierzony mu wierzchem dłoni uciął zdanie, zanim na dobre się zaczęło.

– Nie pozwoliłem ci mówić, psie! – Danyło chwycił go za szczękę stalowym uściskiem i patrząc w wyrażającą czystą nienawiść twarz chłopaka, cedził wolno słowa. – Myślisz, że jak sobie widziałeś cokolwiek, to możesz mnie traktować jak durnia? Kopiesz mi dołek pod dupą od dawna i czekasz, aż w niego wpadnę. Marzy ci się władza i najlepsza baba we wsi, moja córka? Nie doceniasz mnie, Jegor. Ja mam w dupie władzę, dlatego się tak o nią nie trzęsę. Za to córka – gwizdnął, kiwając głową – moja córka ważniejsza dla mnie jest niż moja baba. A tyś chciał ją wychędożyć jak wioskową kurwę.

– Gdybyś widział swoją córkę na sianie... – uderzenie pięścią w szczękę zamknęło Jegorowi usta.

– Nie mówię o dzisiejszym poranku, skurwysynu! – po raz pierwszy Danyło podniósł głos. – Choć za samo to powinienem drzeć z ciebie pasy! Chciałeś ją chędożyć u mnie w domu, kiedyśmy pili, prawda?

Jegor popatrzył na niego osłupiały.

– Nie pamiętasz – błysk noża dopełnił efektu zaskoczenia – to ci przypomnę, łachudro! W niedzielę, zanim poszedłeś do domu, odwiedziłeś Swietę. W moim domu, moją córkę chciałeś brać! Czy mój dom, kurwa, to burdel jakiś jest?! A moja córka to dziwka?! Wtedy też ją widziałeś na sianie, żebyś mi się teraz tłumaczył jak ostatnia szmata?! – Danyło chwycił Jegora za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu, odsłaniając szyję, do której przyłożył ostrze. – Gdybym przyjacielowi nie obiecał, to oddychałbyś teraz przez rozrzucone gardło.

– Teraz Witalij to twój przyjaciel, tak? – Zimne spojrzenie zaciśniętych w szparki oczu omiotło Danyłę. – A tak na niego psioczyłeś całkiem niedawno. I tego Lacha z Warszawy też mi nie pozwoliłeś tknąć. Przez to wymknął się nam Michał, bo wziął młokosa ze sobą. Nie mogłem go ubić, a teraz jeszcze biedy nam napyta. Zdradziłeś wtedy, zdradzasz teraz...

– Córkę mi Witalij uratował przed tobą, dziadu. Jest bardziej lojalny od ciebie. A co myślisz o mnie, to twoja rzecz.

Jegor roześmiał się w głos.

– W dupie mam lojalność wobec ciebie, stary capie! – zawołał. – Dla mnie liczy się Ukraina i zwycięstwo!

– Głupis jak but z lewej nogi – roześmiał się Danyło. – I będziesz miał zwycięstwo, jak cię dziś wywiozę do lasu. – Pochylił się w jego kierunku. – Nie zabiję cię od razu. Pobawię się z tobą trochę, gnido.

Przyłożył czubek noża do policzka Jegora i błyskawicznym ruchem przeciągnął stalowym ostrzem w poprzek twarzy. Z płytkiego rozcięcia popłynęła krew.

– To tak na dobry początek.

Jegor zmrużył oczy.

– Jeszcze zobaczymy – syknął.

Danyło zakneblował go, wstał i na odchodnym rzucił przez ramię:

– Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz.

36



- **U**kraina to wielka sprawa. Zasiana w sercach jak ziarno na polu musi wzejść, przebić się przez zasklepioną skorupę ziemi i wystrzelić w górę jak młode zboże. To naturalna kolej rzeczy. Jednak, żeby mogło się tak stać, musi zostać spełnionych kilka warunków. Pierwszy z nich to świadomość. Ten lud musi wyhodować w sobie potrzebę posiadania państwa. Dopiero wtedy stanie się narodem. Kiedy do tego dojdzie, musi wydarzyć się kolejna rzecz. Polska musi upaść. To jest konieczność. Polska jako państwo jest skazana na klęskę. Usadowiona pomiędzy dwoma potężnymi sąsiadami niczym orzech w kleszczach nie ma żadnych szans. Oczywiście, Warszawa wierzy w sojusze. Ale zawiedzie się. Francuzi i Angole nie pójną na wojnę w obronie swojego sojusznika. To, co zrobili, podpisując traktat w Locarno, czyli zapewniając sobie nienaruszalność granic z pominięciem Polski, pokazuje, że w ich umysłach, jak gangrena, panoszy się egoizm. O ile egoizm w polityce jest dobrą rzeczą, o tyle egoizm tak zwanych aliantów przywiedzie ich do grobu, bo bez Polski zabezpieczającej ich z drugiej strony padną przed Niemcami jak muchy. Hitler wie, co robi. Gdyby zaatakował Francję jako pierwszą, to Polska z drugiej strony przetrząłaby mu kręgosłup. Polacy są honorowi i dotrzymają sojuszu. Jeśli jednak Niemcy uderzą na Polskę, to Francja nie ruszy się z okopów. Anglia

zresztą też. Będą woleli poświęcić Polskę niż wyleźć zza Linii Maginota, która oddziela ich od Niemiec jak mur. Lachy zostaną same. A kto wie, może jeszcze Sowietci pospołu z Niemcami rozplatają ten kraj na dwoje. Dużo się ostatnio toczy rozmów między Ruskimi i Niemcami.

To będzie sygnał. Wojna to nasza szansa. Skupiona na obronie swoich granic Rzeczpospolita nie będzie w stanie przeciwstawić się ukraińskiemu powstaniu. Kozacy chwycą za broń i dzięki przychylności Niemców zabezpieczą swoje ziemie. Od Chełma i Przemyśla, zgodnie z Linją Curzona, po granice Ukraińskiej Republiki Związku Sowieckiego. A w przyszłości do Zachodniej Ukrainy dołączy także i ona. Ustrój w tej chwili nie jest ważny. Ważna jest wolność. To, jak się ją zagospodaruje, przyjdzie później. A kiedy już Ukraińcy przejmą we władanie swoją ziemię, musi dojść do spełnienia trzeciego warunku. Lachy muszą odejść. Nie ma znaczenia, czy ich lubimy, czy nie. Nie liczy się to, czy żenimy się z nimi, czy nie. Tu idzie o tożsamość. Faktem jest, że oni górują nad nami kulturą i zamożnością. To oni są panami na dworach, a my najwyżej u nich pracujemy. Czy widziałas kiedykolwiek Lacha harującego u Ukraińca? Nie. No właśnie. To nasze zagrody wyglądają przy ich gospodarstwach jak portki postrzelane na tyłku. Żeby wybić się na niepodległość, potrzebujemy miejsca. A to miejsce na razie zajmują oni. Musimy wykształcić swoje własne elity, a nie polegać na elitach polskich. Ale my nie czujemy takiej potrzeby. Przyzwyczajeni do takiego porządku rzeczy akceptujemy go i odnajdujemy się w nim. Dlatego trzeba, aby wolna Ukraina była też wolna od Polaków. Kiedy powstanie pustka, będzie można ją zapełnić żywiołem ukraińskim. Ja ich nie chcę mordować. Ja chcę tylko, żeby odeszli za San i Bug. Tam, gdzie ich miejsce. Jeśli trzeba, postraszymy ich. Jeśli zostaniemy zaatakowani, to będziemy się bronić. Racja jest po naszej stronie. To daje nam prawo do tego, żeby działać tak, jak będzie trzeba. Nie liczą się sentymenty, Ukraina się liczy. Jednak teraz

najważniejsze dla mnie jest to, żebyś była bezpieczna. Dlatego musisz na jakiś czas odejść. Dopóki nie poukładam spraw z Jegorem i jego stronnikami.

Swieta nie przerywała ojcu. Słowa przesuwały się przez jej głowę niczym chmury przepływające przez błękitne niebo. Milczała, patrząc gdzieś w bok. Gdy skończył, poruszyła się tylko na krześle. Siedzieli w milczeniu. Czas zawisł na chwilę niczym płaszcz powieszony na kołku w drzwiach. Najmniejszy powiew powietrza nie poruszał firankami. Ze starej ikony zawieszonej nad łóżkiem siedzący na matczyńskich kolanach mały Chrystus przyglądał się swojej Rodzicielce poważnym, dojrzałym wzrokiem. Leniwe gorąco niczym płynny wosk szczelnie wypełniało całą przestrzeń.

– To nie ma już znaczenia – dźwięczny głos Swiety przeciął powietrze jak ostry miecz, burząc ciężką, leniwą harmonię. – Nie obchodzi mnie to, czego chcesz ty i ludzie, z którymi się związałeś. Ja widzę zamiast tego choćby Annę, tu, za ścianą, która za Witalija poszłaby w ogień. Widzę wszystkich tych, którzy mimo tego waszego obłąkańczego pomysłu żyją razem i nie chcą tego zmieniać. Co zrobicie z dziećmi tych ludzi? To są mali Polacy czy Ukraińcy? Wyjadą za San czy w samoobronie pogrzebicie je w ogródku? – mówiła cicho, spokojnie, patrząc w okno. – Nie, bat’ko, ja już nie dbam o to. Jeszcze wczoraj myślałam, że wepchniesz mnie na siłę w łapy Jegora. I tak by się pewnie stało. Ale dziś – popatrzyła na ojca – dziś zobaczyłeś we mnie wolnego człowieka – uśmiechnęła się do niego. – W ostatniej chwili.

Wzięła jego spracowaną ciężką dłoń i pocałowała ją.

– Dziś, bat’ko, mówię ci, że zrobię wszystko, żeby stanąć u boku Polaka. Nie Lacha, tylko Polaka. Obojętne czy z twoim błogosławieństwem, czy bez niego. Lepiej więc, żebyś mi je dał, bo w przeciwnym razie żyć w przekleństwie nie będę ja, tylko ty.

Drzwi do izby skrzypnęły. Stojący w nich Witalij pociągnął głośno nosem.

– Już? Pogadaliście? Musimy jeszcze zejść do Kosieckich – powiedział.

Danyło pokiwał głową, zaciskając usta. Wyciągnął rękę z dłoni córki i poprawił szerokim gestem koszulę, która leżała na nim bez zarzutu. Mruknął coś pod nosem, po czym podniósł się z ławy. Swieta również wstała z krzesła. Po chwili, oprócz nieprzerwanie wpatzonego w Matkę Chrystusa, w izbie nie było nikogo.

37



– *P*ojedziecie na północ, do Małyk – głos Danyły odbił się głuchym echem w pomieszczeniu. Swieta nie mogła wciąż odnaleźć się w tym całym zamieszaniu. Jeszcze wczoraj miała dom i miejsce na ziemi. Jedna noc wywróciła wszystko do góry nogami. Nawet to, że siedziała teraz z ojcem i Witalijem w kuchni u Kosieckich, wydawało się jej jakimś sennym majakiem. Pani Kosiecka czuła się chyba podobnie, bo patrzyła nieprzytomnym wzrokiem dookoła. Robiła wrażenie, jakby nie wszystko jeszcze do niej docierało. Gdy otworzyła im drzwi pół godziny temu, wyglądała tak, jakby sama śmierć w powłóczystej szacie stanęła na progu jej domu. Dopiero „Wpuść nas” z ust Witalija sprawiło, że odsunęła się w głąb korytarza, robiąc im miejsce. Podobnie na ich widok zareagowała Marta. Wzrok, jakim ich obrzuciła, z łatwością przepaliłby pancerz niemieckiego czołgu.

Opowiedzieli wszystko po kolei. Zaskoczone domownicy nie odzywały się ani słowem. Jedynie gdy Swieta, z trudem ukrywając wstyd, opowiedziała o ostatniej nocy spędzonej z Piotrem w stodole, z oczu Marty popłynęły łzy. Pozwalając im płynąć po swoich policzkach, popatrzyła na Swietę, a ta w ułamku sekundy zrozumiała to, co działo się teraz w sercu młodej Polki. Do wszystkich możliwych problemów i komplikacji doszedł jeszcze jeden. Zazdrość przegranej kobiety w rywalizacji, której jej rywalka nie była nawet świadoma, jest niszcząca podwójnie. Gorzej już chyba nie mogło być.

Niestety, myliła się.

Żadne słowa nie mogły skłonić Kosieckich do pomysłu wyjazdu na jakiś czas. Nie były w stanie albo nie chciały zrozumieć, że jeśli Jegor w jakikolwiek sposób się zabezpieczył lub poinformował kogokolwiek ze swych ludzi o swoich zamiarach, to groziło im teraz takie samo niebezpieczeństwo jak Swiecie.

– A coś ty się nagle taki o Polki strachliwy zrobił, Danyło, ha? – Pani Marii w końcu puściły nerwy. – Mam wierzyć, żeś ty teraz nasz przyjaciel?

Danyło westchnął głośno.

– Marusia, nie jestem przyjacielem, ale krzywdy ani twojej, ani twojego dziecka nie chcę. A przez to, że mi się córka w waszym chłopaku zakochała na zabój i nie chce mnie słuchać, jakieś większe nieszczęście może na was przyjść...

Pani Maria przerwała mu, pochylając się w jego kierunku:

– Widocznie ma więcej odwagi niż ty – jej cichy głos poderwał Danyłę z krzesła. Widać, że mocny chłop słabo radził sobie z emocjami.

– Tak! Wiem! Źle zrobiłem! – wypluwał słowa jak automat. – I gdybym mógł cofnąć czas... – Obrócił się w kierunku gospodyni. – Marusia! Ja każdego dnia biję się z myślami! Mam takie dobre dzieci! Ale nie potrafię przestać myśleć o niej! I wiesz, co mi sprawia największy ból? To, że nie

mogę jej za to przeprosić. To mnie uwiązało do niej na amen! Jak upiór jakiś siada mi na piersiach i dusi w nocy! Gdybym mógł tylko cofnąć czas! Ale nie mogę!

Pani Maria spuściła głowę. Widać było, że słowa Danyły zrobiły na niej wrażenie. Popatrzyła na Swietę, która siedziała z szeroko otwartymi oczyma. Wyglądała jak zbity pies. Wydarzenia ostatniej nocy i cały dzisiejszy poranek musiały być dla niej jak najgorszy koszmar. Zauważyła, że gospodyni się jej przygląda. Nie odwróciła głowy, jakby szukała w twarzy Kosieckiej punktu, na którym mogłaby oprzeć stopę. Bo do tej pory nieustannie leciała w przepaść.

– Swietłana, dziecko, jadłaś cokolwiek dzisiaj? – Gościenna natura pani Marii wzięła górę. Wstała od stołu i podeszła do kredensu. Po chwili na blacie pojawił się chleb, masło i ser. Obok nich wyrósł dzbanek pełen mleka. – Jedz, dziewczyno. Jestem pewna, że nikt nawet nie pomyślał o tym, że jesteś głodna.

Swieta ukryła twarz w dłoniach. Rozpłakała się. Po drugiej stronie stołu Danyło siedział z głową opartą na dłoniach. Jedynie trzeźwo myślący Witalij odkroił pajdę chleba i posmarował ją masłem. Przegryzł kromkę kawałkiem sera.

– Marta i ty, Marusia, musicie zniknąć. To konieczne. Nie jesteśmy w stanie zagwarantować wam nietykalności. Wojsko nie będzie was pilnować. Na policję też nie możecie liczyć. Musicie wyjechać.

– Marta ma szkołę. – Pani Maria machnęła ręką. – Jak wy sobie to wszystko wyobrażacie?

Danyło podniósł głowę.

– Nie będzie żadnej szkoły – oznajmił matowym głosem. – Lada dzień wybuchnie wojna. A wtedy będzie za późno. Nasi nie będą stali bezczynnie. Wtedy z pewnością przyjdą do was. Musicie mieć jakąś rodzinę. Nie możecie

do nich pojechać?

Pani Maria usiadła ciężko na krześle. To, co usłyszała, nie mieściło jej się w głowie.

– Jak to, wojna? Jacy nasi? Co wy szykujecie?

Danyło wzruszył ramionami.

– Nie czas teraz, żeby wyjaśniać. Musicie się pakować.

– Marusia. – Witalij podszedł do siedzącej na krześle Kosieckiej. Kucnął przed nią i położył jej rękę na ramieniu. – Znasz mnie, wiesz, że nie kłamię i że nie życzę wam źle. Jeśli nie wyjedziecie, grozi wam niebezpieczeństwo. Przecież to tylko na jakiś czas. Pomyśl. Przez swój upór narażasz swoje jedyne dziecko. Musisz mnie posłuchać.

Kosiecka spojrzała na siedzącą nieruchomo jak spiżowy pomnik Martę. Łzy obeschły jej na policzkach, ale oczy nadal patrzyły niewidząco w ścianę.

– Ale ja nie mam dokąd pojechać – po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy w głosie pani Marii można było wyczuć bezradność i niemoc.

„To dobrze” – pomyślał Danyło. „Znaczący, że zastanawia się nad wyjazdem”.

– Moi rodzice nie żyją, nie mamy bliskiej rodziny. Może chociaż Marta sama pojedzie. Kuzyn od strony męża mieszka w Wielkopolsce. Może by tam?

– Sama nigdzie się nie ruszę – głos Marty dobiegł ich jakby zza grobu. – Nie ma mowy.

Danyło załamał rękę.

– A teraz ta zaczyna.

– Nie pojedę sama. Boję się. Nie mam na to siły – Marta nie dawała za wygraną.

I wtedy odezwała się Swieta.

– Martoczka, nie pojedziesz sama. – Patrzyła na nią ciepło. Było jej żal Polki. Zupełnie niewinnie została wplątana w całą historię. Nagle jej życie zostało wywrócone do góry nogami. Dokładnie tak jak życie Swiety. Tyle że ona była główną przyczyną wszystkich tych kłopotów. Musiała pomóc dziewczynie. – Pojedziemy do Warszawy. Tam nie będziemy same.

Marcie opadły ręce. Propozycja Swiety, gdyby nie była poparta szczerym wyrazem twarzy i przekonującym tonem, mogłaby zostać uznana co najmniej za kiepski żart, jeśli nie za czystą złośliwość.

– Marta będzie ze mną bezpieczna – przekonywała Swieta. – Zaopiekuję się nią.

– Warszawa to zły pomysł – Danyło natychmiast zgasił entuzjazm córki. – Jegor to mściwa świnia. Nie mogę zagwarantować, że nie zostawił wytycznych swoim podwładnym. Warszawa będzie jednym z pierwszych miejsc, w którym będą was szukać. Ale mam inny pomysł. Mam na Wołyniu rodzinę. Swieta ich zna. To niedaleko Łucka. Była tam ze dwa razy ze mną. Tam dziewczyny będą bezpieczne. Dam im glejt. Na wypadek, gdyby zawierucha wybuchła i Ukraińcy je zatrzymali. To się może udać.

Popatrzył na Swietę i Martę.

– Pojedziecie na północ, do Małyk!



Jegor uciekł jeszcze przed wieczorem. Pomogli mu „dobrzy ludzie”. Poranna rozmowa Swiety z ojcem nie uszła ich uwagi. Puszczanie płazem romansu

córki z Lachem w ich młodych oczach stanowiło zdradę ideałów. Trzeba było skorygować ją ręką człowieka będącego od jakiegoś czasu przedmiotem ich uwielbienia.

Danyło nawet nie przypuszczał, że w jego własnym domu zagnieździł się kret. Gdy się o tym dowiedział, było już za późno. Piętnaście centymetrów stali pozbawiło jego serce złudzeń, iż może bić wiecznie. Sukces Jegora okazał się połowiczny. Stary przed śmiercią nie zdążył mu wyjawić, gdzie ukrył córkę. Zresztą, nie było czasu na przesłuchanie. Jegor musiał działać szybko i z ukrycia. Konfrontację twarzą w twarz Danyło najprawdopodobniej rozstrzygnąłby na swoją korzyść. Dlatego Jegor zaczął się na niego w pobliżu chlewika. Zaatakowany od tyłu zza węgła stary nie miał szans.

Ukryty w bezpiecznej odległości „dobry człowiek” obserwował śmierć ojca z przerażeniem. Młody Oleg nie przypuszczał, że sprawa przybierze tak radykalny obrót. Zresztą Jegor nie miał w zwyczaju wtajemniczać podwładnych w swoje plany. Siedemnastoletni chłopiec siedział teraz zdruzgotany w krzakach, płacząc. Jegor na ten widok tylko splunął mu pod nogi.

– Piśniesz słowo, to wyślę cię za ojcem do piekła – powiedział spokojnym głosem, ocierając nóż o kępę trawy.

To jedno zdanie pozwoliło Olegowi zrozumieć, ile był wart dla swojego mentora. Tyle, co pionek na szachownicy, którego można użyć i stracić bez żalu.

Nie tylko Danyło poniósł dzisiaj klęskę z ręki najbliższej osoby. Stojąca przed Rusłaną Swieta zamiast słów pożegnania usłyszała z ust szwagierki „całą prawdę i tylko prawdę”. Rację mają ci, którzy mówią, że słowa mogą sprawić ból większy niż pięści. Swieta stała w milczeniu, pozwalając, by złość i rozpacz smagały ją po zapłakanej twarzy. Rusłana nie oszczędziła jej nawet szczegółów upojnych nocy spędzonych z Jegorem. Dziewczyna

wytrzymała do momentu, w którym rozdrażniona jej milczeniem Rusłana zadała ostateczny cios:

– A skąd, myślisz, Jegor wiedział, gdzie cię szukać? – wysyczała jej w twarz. – Powiedziałam mu! Ja go nie mogłam mieć, to i ty nie będziesz miała!

Powiedzenie „wbić komuś nóż w plecy” przybrało nagle realny kształt.

– Coś ty narobiła, Rusłano...? – wydusiła zdławionym głosem Swieta. – Coś narobiła?

– Zrobiłam to, co trzeba było! – drgające usta szwagierki wyrzucały słowa seriami. – A tobie nic do tego. Jestem z nim w ciąży – dorzuciła ze złośliwą satysfakcją.

Swieta obróciła się na pięcie. W drodze do drzwi ścigał ją śmiech Rusłany, który po chwili zamienił się w płacz.

– Swieta, poczekaj – głos kobiety dosięgnął ją w progu. – Poczekaj! Przepraszam!

Rusłana rzuciła się za wychodzącą Swietą, ocierając łzy. Za progiem czekała na nią niespodzianka. Oparty o framugę drzwi, blady jak pokryta wapnem ściana, stał Taras, jej mąż. Rusłana nawet nie łudziła się, że nie słyszał rozmowy. Mijając go Swieta spojrzała na niego ciepło, poklepała po ramieniu, jakby chciała dodać mu otuchy, i wyszła.

– Witaj, Rusłano. – Jego cichy, mocny głos sprawił, że strach przeszły zapłakaną kobietę do szpiku kości. – Okrągłe czapki, pograniczniki, rozbiły naszą grupę pod słowacką granicą. Musiałem wrócić wcześniej. – Wszedł do kuchni i stanął przy oknie.

– Taras, ja ci wszystko wytłumaczę. – Rusłana czuła, jak potężny kamień rzucony na piersi odbiera jej oddech. – Taras, kochany...

– Nie musisz tłumaczyć – przerwał jej, wodząc niewidzącym wzrokiem po cieniach układających się na pokrytym kałużami podwórku w dziwne

wzory. – Ja wszystko wiem.

Zapadła cisza przerywana płaczem kobiety. Przerwał ją Taras.

– Byłaś dla mnie jak caryca. Nosiłbym cię na rękach. Mógłbym kwiatami wysypywać drogę, po której chodzisz. A gdybyś mi powiedziała, żebym sobie obciął nogę, to chodziłbym o kulach, miłując cię jeszcze bardziej. – Obrócił się w jej kierunku, gdy padła mu do stóp, zanosząc się od płaczu. Poglądził ją po głowie. – Ale tobie mało było. Nie uszanowałaś tego. Nie zmuszę cię do kochania. Teraz już nawet nie chcę. Żegnaj, Rusłano.

Musiał się wyrwać z jej uścisku. Gdy wyszedł z domu, leżała jeszcze przez jakiś czas na podłodze. Jednak po chwili zerwała się na nogi i pobiegła za nim. Gdy wpadła do małej stodółki za domem, Taras właśnie wykopywał stołek spod stóp. Wyła jak zarzynane zwierzę, próbując podtrzymać jego bezwładne ciało wiszące na sznurze przerzuconym przez belkę. Na próżno.



Witalij znalazł ciało Danyły w chlewiku, związane i leżące pod ścianą. Wiedział, co to oznacza. To tylko kwestia czasu, aż i jego odwiedzi Jegor. Musiał się na to przygotować. Mieli nosa, wyprawiając Swietę i Martę ze wsi. Oprócz Witalija i jego rodziny jeszcze Marusia Kosiecka, która odmówiła kategorycznie wyjazdu, wymagała ochrony. Wieczorem wysłał najstarszego syna do tego polskiego żołnierza, Michała, z prośbą o spotkanie. Nadchodziły bardzo niebezpieczne czasy. Witalij czuł przez skórę, że już nic nigdy nie będzie tak samo.

Na kolebiącym się na boki wozie jadącym w kierunku Lwowa oprócz woźnicy wynajętego przez Danyłę siedziały Marta i Swieta. Nie odzywały się do siebie. Patrzyły na oddalające się Bedryczany. Małe domki skąpane w sierpniowym słońcu znikwały jeden po drugim za zasłaniającymi je pagórkami. Obie zostawiły tutaj wszystko, co miały. Jediną pewną w tej chwili rzeczą było to, że teraz miały już tylko siebie nawzajem. W ich życiu rozpoczął się dziwny czas jeszcze dziwniejszego, polsko-ukraińskiego sojuszu.

Swieta, niczym najcenniejszą relikwię, ścisnęła w dłoni malutki krzyżyk.

1 Piewczy – w prawosławiu prowadzący śpiew podczas nabożeństw.

2 „Jichaly Kozaki...” (ukr.) – popularna ukraińska piosenka ludowa.

Część druga



Rozdroża



To od samego początku nie była łatwa znajomość. Przez całą drogę do Lwowa nie odzywały się do siebie prawie w ogóle, a jeśli musiały, ograniczały rozmowy do zdawkowych warknięć i złośliwości. W zasadzie to Marta reagowała agresywnie na każde słowo wypowiedziane przez swoją nową towarzyszkę. Swieta, po kilku próbach nawiązania kontaktu, zrezygnowała. Nie musiała się nawet domyślać powodu, dla którego Polka traktuje ją jak zarażoną tyfusem. Wiedziała doskonale, że chodzi o zazdrość o Piotra. Zaczynała się czuć winna z tego powodu, że warszawiak wybrał właśnie ją. Starła się więc nie reagować na zachowanie rozgniewanej jak osa, przerażonej niespodziewaną podróżą i okolicznościami, w jakich do niej doszło, Marty. Miała na głowie dość swoich problemów. Strach przed Jegorem i ewentualnym pościgiem jego ludzi paraliżował jej myśli. Właśnie dlatego podróżowały do Lwowa wozem, bocznymi drogami. Danyło zakazał im korzystania z pociągów i dworców, gdzie łatwo można by je odnaleźć.

Przez Dniestr przejechały mostem pod Kalinowem, omijając Sambor z lewej strony. Po kilku kilometrach dotarły do Rudek, małego powiatowego miasteczka. Woźnica nie zatrzymał się, dopóki nie minęli ostatnich zabudowań. Po kilkudziesięciu metrach skręcił w wąską polną dróżkę, aby po

chwili zatrzymać się obok starej drewnianej chaty. Na pytanie Swiety, co to za miejsce, woźnica wzruszył tylko ramionami i odpowiedział po ukraińsku.

– Danyło kazał tutaj, zna gospodarza. W Rudkach mogą szukać.

Zsiadł z kozła, zaklął siarczyście, gdy jego zużyte trzewiki wbiły się w kałużę błota, której nie zauważył w ciemności, i po kilku krokach stanął przed zniszczonymi drzwiami. Zastukał w nie kilka razy, po czym odsunął się, gdy uchyliły się ze skrzypnięciem. Zza drzwi wychyliła się zarośnięta głowa. Woźnica porozmawiał chwilę z głową, po czym wrócił do dziewcząt.

– Hryhorij przyjmie nas na noc. Chata ma tylko jedną izbę. Możecie spać w niej z nami, albo pójdziecie do szopy z sianem za domem.

– My wolimy do szopy! – wyrwało się Marcie, zanim Swieta zdołała otworzyć usta.

Woźnica krzyknął coś do głowy, która zniknęła w czeluściach budzącego grozę domu, by po chwili wynurzyć się z niego, tym razem przytwierdzona do krępego, zgarbionego tułowia.

– A skąd wiesz, co ja wolę? – syczący głos Swiety przeciął powietrze. – Może chciałabym w izbie...

– Ja się domyślam, że chciałabyś. Ciągnie cię do cudzych chłopów, co? – Marta natychmiast ukąsiła, niczym mała zmijska.

Oczy Swiety zwęziły się w szparki, ale nim zdążyła odpowiedzieć, usłyszały za sobą sapiący po ukraińsku głos głowotułowia.

– Chodźcie za mną, zaprowadzę.

Zabrały swoje tobołki z wozu i powlekły się za odczłapującym w ciemność gospodarzem. Jak można było się spodziewać, szopa przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Na pół zwalona ściana, do której przytwierdzone były trzy deski połączone jedną poprzeczną, stanowiły tylko wstęp do tego, co zobaczyły w środku, gdy głowotułów zapalił małą lampkę naftową wiszącą na gwoździu wbitym obok drzwi w drewnianą ścianę.

W rogach pomieszczenia, niczym girlandy, zwisały dorodne, tłuste pajęczyny, których widok sprawił, że Marta otrząsnęła się z obrzydzeniem. Na środku pokrytego lepkiem błotem podłoga stał pieniek, na którego szczycie lśniła wbita weń siekiera. Zacieki z krwi na jego bokach świadczyły dobitnie, że służył nie tylko do rąbania leżącego wokół drewna, a Swieta nawet nie chciała domyślać się, czego jeszcze. Wyobraźnia podsuwała jej w tej chwili najkoszmarniejsze myśli. W rogu leżała mała kupka słomy, która miała być ich dzisiejszym posłaniem. Hryhorij wydobył zza opartej o ścianę łopaty dwa koce, które lata świetności z pewnością miały już dawno za sobą, a dziewczyna spojrzała na łopatę, odruchowo szukając na niej śladów krwi podobnych do tych, które przyozdabiały pieniek.

– Możemy dostać miskę i dzbanek z wodą? – głos Marty otrząsnął Swietę z obrzydliwych skojarzeń, które zawładnęły jej myślami. Głowotułów popatrzył na Martę z otwartymi ustami.

– No... wody. Do umycia się – dziewczyna nie dawała za wygraną. Ale widząc, jak twarz gospodarza wykrzywia się w jeszcze większym zdziwieniu, machnęła tylko ręką, mówiąc:

– Nieważne...

Hryhorij burknął coś na pożegnanie i zasunął za sobą trzy nieszczęsne deski. Dziewczęta zostały same, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Szopa, nawet przy dobrych chęciach, nie dawała się zakwalifikować jako miejsce przyjazne. Jednak musiały gdzieś spędzić nadchodzącą noc.

Swieta ułożyła na ziemi porąbane kawałki drewna tak, żeby można było na nich usiąść. Z pozostałych kawałków ułożyła grubą platformę, na którą wrzuciła całą słomę. Narzucone na wierzch koce sprawiły, że od biedy można byłoby się położyć. W tym czasie Marta stała z opuszczonymi rękami, zrezygnowana i trzęsąca się, nie wiadomo, czy z zimna, czy z powodu nagromadzonych emocji, które zaczynały w końcu dochodzić do głosu. Po

chwili jednak usiadła na prowizorycznym siedzeniu. Rozpięła plecak, w którym trzymała cały swój dobytek, i wyciągnęła z niego owinięty w białe płótno chleb. Przeżegnała się i odłamała kawałek. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo była głodna. Spojrzała na Swietę, która odwróciła głowę, miętosząc w dłoni róg chusty.

– Pójdiesz spać bez jedzenia? – zapytała ją, ale nie dostała odpowiedzi.

Swieta poczuła, jak skurcz chwyta ją za gardło. Była głodna, przeraźliwie. Jednak w ferworze błyskawicznych przygotowań do wyjazdu zapomniała zabrać ze sobą zawiniątko z jedzeniem na drogę. Chciało jej się płakać, ale zacisnęła zęby, żeby nie dać satysfakcji młodszej towarzysze. Nie chciała jej prosić. Już i tak czuła się upokorzona całą sytuacją.

Delikatne szturchnięcie wyrwało ją z zamyślenia. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła na posłaniu obok siebie kawałek chleba. Marta odwrócona do niej plecami jadła dalej.

– Dziękuję – powiedziała Swieta cicho, zanim odgryzła pierwszy kęs.

– Nie ma za co. Nie myśl, że ci odpuściłam... tylko teraz... wiesz... Jedz. Smacznego.

Swieta wyprostowała się i wzięła gwałtowny oddech.

– Martoczka, posłuchaj. Ja... Jesteśmy na siebie teraz skaza...

– Daj spokój! – Polka przerwała jej oschle. – Po prostu dojedźmy tam, gdzie mamy dojechać, i wrócmy potem do domu. Nie mam ochoty na bratanie się z tobą.

W szopie zapadła cisza. Swieta położyła się na posłaniu twarzą do ściany. Gdy Marta odwróciła się wreszcie, zobaczyła obok siebie niedojedzoną kromkę, którą się podzieliła.

– Swieta... ja ci nie żałuję...

– Daj spokój, masz rację. Po prostu tam dojedźmy.

Marcie zrobiło się wstyd. Popatrzyła na chleb i poczuła, że odechciało jej

się dalej jeść. Położyła się na wolnej części posłania.

– Dobranoc – powiedziała.

Odpowiedziała jej cisza.

Podniosły się, gdy tylko usłyszały kroki na zewnątrz. Tak naprawdę to chyba nie spały w ogóle. Władająca nocą cisza sprawiła, że ich głowy natychmiast zapełniły się rojem myśli, obaw i wątpliwości, które, nic sobie nie robiąc z potrzeby snu, zamieniały żołądki dziewcząt w zasupłane na amen kawałki kolczastego drutu, bolące przy każdym oddechu.

Swieta nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, że w tak krótkim czasie jej życie wywróciło się do góry nogami. Jeszcze miesiąc temu widziała swoją przyszłość jak na dłoni. Niezbyt może urokliwą, na pewno pozbawioną szaleństwa i szczęścia, ale taką, którą potrafiła ogarnąć rozumem. Tymczasem jedno spotkanie w cerkwi, które nie trwało nawet pięciu minut, przeorało te wyobrażenia na wskroś. Była uciekinierką z własnego domu, gdzie nawet jej ojciec nie był w stanie zagwarantować jej bezpieczeństwa, a największe zagrożenie stanowił jej kochający ją na swój pokraczny sposób narzeczony. No i chłopak z wielkiego świata, który tak zawrócił jej w głowie. Młokos nieopierzony, szczeniak, przy którym czuła, że serce robi jej psikusa, zamieniając krew w gorącą lawę; jej Piotr. Ale nie ona jedna przecież wdychała do niego. Leżąca obok niej, pochlipująca od czasu do czasu młodziutka Marta również pewnie szepcze teraz jego imię. Na dodatek jest pod jej opieką. „To jakiś obłąd” – pomyślała. „No to sobie teraz obie powzdychamy”.

A Marta płakała całą noc, ze ściśniętymi powiekami i prawie bezgłośnie, czując, jak każda łza wymywa z niej kawałek duszy. Ostatnie dni zamieniły jej radosne i beztroskie dotąd życie w piekło. Tęskniła za mamą, za swoim łóżkiem i pokojem, a najbardziej tęskniła za Piotrem, którego mieć nie

mogła. Leżąc obok Ukrainka okazała się po prostu lepsza dla niego. A teraz była na jej łasce, jechała, aby schronić się u jej ziomków przed jej narzeczonym i spała w walącej się szopie jej pobratymca. Czuła się upokorzona i bezsilna. Nad ranem koc w miejscu, gdzie trzymała głowę, zrobił się mokry, a z niej wypłynęła ostatnia kropla duszy.

– **C** hleb i mleko. – Stojący w progu szopy woźnica podał Swiecie dzbanek i spory kawałek, o dziwo, świeżego chleba. Dziewczyna była tak głodna, że gdyby nie siedząca na posłaniu Marta wchłonęłaby wszystko, zanim zdążyłaby z powrotem usiąść. Jednak opanowała się i podeszła do skulonej jak zbity pies Polki, wyciągając rękę z dzbankiem ciepłego jeszcze mleka.

– Pij. To cię wzmocni.

Dziewczyna przytknęła naczynie do ust, choć z powodu stresu zupełnie nie czuła się głodna. Nie chciała jednak, aby Ukrainka myślała, że boczy się za ten zwrócony chleb. Nie miała już siły walczyć.

D o Lwowa zajechały wieczorem. Miasto, jak zawsze, tętniło życiem, ale zmęczone podróżą dziewczęta nie miały ochoty zachwycać się jego urokami. Woźnica wjechał w ulicę Smoczą od strony Starego Rynku. Dwupiętrowa, masywna kamienica, własność pana Józefa Łęczkowskiego, stanowiła cel ich podróży. Sam właściciel, dawny partner w interesach Michała Kosieckiego, zawsze zapewniał panią Marię, że służy pomocą, jeśli kiedykolwiek będzie jej potrzebowała. Właśnie teraz, wręczając córce list do Łęczkowskiego, po raz pierwszy z niej skorzystała.

Dziewczęta zostały przyjęte z całą serdecznością, jaką tylko mogli im okazać zaprzyjaźnieni z Kosieckimi od lat gospodarze. Marta była w swoim

żywiolenie, odzyskała apetyt i pewność siebie. W końcu Łęczkowscy byli dla niej prawie jak rodzina. Od lat mówiła o nich „wujostwo”, a ich nastoletnie córki traktowała jak kuzynki.

Swieta tymczasem gasła. Krępowano ją wszystko, od zastawy, na której podano kolację, po wygodne łóżko, w jakim jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej spać. Denerwowało ją to ciągle szczebiotanie towarzyszek o tym, jak bardzo wujek ją lubi i traktuje jak córkę. Dopiero naszykowana przez służącą Mele kąpiel podziałała kojąco. Jednak gdy wróciła do pokoju, w którym miały spędzić noc i zobaczyła, jak Marta bawi się krzyżykiem od Piotra, który zostawiła na stoliku, nie wytrzymała. Skoczyła w jej kierunku, zwinna jak żbik i złapała dziewczynę za rękę, wykręcając ją i przyciągając do siebie. Wyciągnęła z luzującej chwyt dłoni kawałek srebra i nie zwalniając uścisku, szepnęła Marcie do ucha:

– Nie waż się go dotknąć więcej, bo uduszę!

Kosiecka zacisnęła usta. Poczekała, aż Swieta puści jej rękę, po czym usiadła tyłem do niej, rozcierając obolały nadgarstek.

– Zabrałaś mi go... – powiedziała po chwili cicho.

– Co?

– Zabrałaś mi Piotra – powtórzyła Marta głośniej.

Swieta podeszła wolno do łóżka i stanęła za nią.

– Odwróć się i popatrz na mnie! – Zdenerwowanie ścisnęło jej gardło, ale gdy dziewczyna wykonała polecenie, Swieta poczuła, że złość jej mija. Zostało tylko chłodne opanowanie.

– Nie zabrałam ci go, Martoczka – jej głos był ostry jak miecz. – Nie zabrałam, bo on nigdy nie był twój. Rozumiesz? Nigdy! Pogódź się z tym.

–woja mama pisze – Łęczyński zwrócił się do Marty, smarując kromkę

Jchleba masłem – że grozi wam niebezpieczeństwo ze strony tego, jak
mu tam...

– Jegora! – natychmiast dopowiedziała dziewczyna. Siedzieli wszyscy razem w jadalni przy stole, na którym ułożono tak dużo przeróżnego jedzenia, że Swiecie od samego widoku zaburczało w brzuchu.

– Właśnie, Jegora. To poważna sprawa. Chciałbym wam jednak zaproponować, abyście zostały tutaj. – Skinął głową w kierunku siedzącej naprzeciw żony, która odpowiedziała podobnym skinieniem. – Marysia pisze, żeby nie lekceważyć tego człowieka i że on może was znaleźć wszędzie. Ale zapewniam was, dziewczęta, że tutaj nic wam nie grozi. Zapewnimy wam najlepszą opiekę. Oczywiście, jeśli będziecie się upierały, to mój kierowca zawiezie was do tych...

– Małyk. – Swieta obrała całe jajko ze skorupki i odgryzła połowę nad talerzykiem. Lejące się żółtko natychmiast popłynęło jej po palcach na talerzyk. Zaczerwieniła się i odruchowo, zamiast w leżącą obok talerzyka serwetkę, wytarła dłonie o spódnicę. To tylko pogorszyło sprawę. Siedząca naprzeciw Marta uniosła lekko nos i włożyła swoje jajko do specjalnego kieliszka, stłukła skorupkę łyżeczką i delikatnie nabrała na nią kawałek jajka.

– To jajko na miękko – powiedziała z wyższością tak, żeby wszyscy siedzący przy stole usłyszeli. – Powinnaś być bardziej uważna.

Przy stole zapadła niezręczna cisza. Swieta zerwała się z miejsca i ruszyła w kierunku pokoju. Po chwili jednak odwróciła się, nawet nie próbując zakryć żółtych plam po jajku na ciemnej spódnicy.

– Dziękuję za nocleg. I za śniadanie – powiedziała po ukraińsku. – I również za dalszą gościnę, z której nie skorzystam. Nie zapewni pan bezpieczeństwa ani nam, ani sobie. Jeśli Jegor dopadnie panią Kosiecką, to wydusi z niej nawet kolor ścian w waszym salonie. On potrafi. Uwierzcie. A wtedy będzie pan musiał zamienić się w anioła stróża, tak żeby pilnować

żony i obu córek naraz, jeśli nie chce pan znaleźć ich odciętych głów w ogrodzie. Bo jeśli on zdecyduje się na zemstę, to pójdziecie do piachu wszyscy. Nie mogłabym żyć z takim brzemieniem. Więc jeśli Marta chce, niech zostaje. Mam już jej tak serdecznie dość po zaledwie dwóch dniach, że nie obchodzi mnie, czy pojedzie ze mną, czy nie. I proszę się o mnie nie martwić, sama dotrę tam, gdzie mnie tatko posłał.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z salonu, zostawiając za sobą grobową ciszę.

Płakała. Nie mogła już dłużej wytrzymać. Zaciśnięte mocno dłonie wbijała w uda, nawet nie próbując ocierać łez płynących jej po policzkach. Bała się okropnie tego wyjazdu, Jegora, przyszłości. Do tej pory trzymała się jakoś. Jednak ta gówniara wyprowadziła ją z równowagi na dobre. Miała ochotę wytargać ją za te blond włosidła. A ponad wszystko miała ochotę zniknąć, zapaść się pod ziemię. Nie zwróciła nawet uwagi na to, że drzwi od pokoju uchyliły się.

– Swietłano – głos pani Łęczyńskiej poderwał ją z miejsca. Gospodyni podeszła do niej i usiadła obok niej. – Usiądź, proszę.

Dziewczyna nie drgnęła, zakryła tylko dłońmi żółte plamy na spódnicy. Łęczyńska nie nalegała.

– Wiem, że jest ci trudno. To musi być naprawdę ciężkie, radzić sobie teraz z całą tą sytuacją. – Jej spokojny głos wzbudzał zaufanie. – Podziwiam cię. I boję się, że ten straszny człowiek może wam zrobić krzywdę. Marta pewnie też daje ci się we znaki.

Na dźwięk tego imienia Swieta zacisnęła usta, co nie uszło uwagi gospodyni. Dotknęła brudnej od jajka dłoni dziewczyny i pociągnęła za nią lekko.

– Usiądź, nie ugryzę, obiecuję.

Ukrainka uśmiechnęła się przez łzy i opadła na łóżko.

– Ja po prostu nie wiem, co mam robić. Czuję się, jakby goniła mnie sfora psów – Swieta chciała wytrzeć oczy wierzchem dłoni, ale przypomniała sobie o jajku. Łęczyńska wyjęła chusteczkę i otarła jej twarz. Krępowało ją to, ale nie oponowała. – Marta mi tego nie ułatwia. Jest zazdrosna o Piotra... Ale to nie moja wina, że zakochała się w chłopaku, który wybrał mnie...

Łzy znów popłynęły strumieniem, a chusteczka w ręku siedzącej obok kobiety ponownie wytarła jej twarz.

– Kochasz go?

Swieta potakująco pokiwała głową.

– Jak nikogo na świecie. Kocham go tak, że dałam mu wszystko... całą siebie...

Łęczyńska zrozumiała. Poglądziła trzęsącą się od płaczu dziewczynę, a kiedy ta nie zaprotestowała, przytuliła ją. Dopiero teraz, czując mocny uścisk, Swieta przełamała się na dobre. Zarzuciła ręce na szyję kobiety i po raz kolejny w ciągu ostatnich pięciu minut rozplakała się. Zreflektowała się po chwili.

– Jestem... bru... brudna... – wydukała ze wstydem.

Pani Łęczyńska pocałowała ją w czoło.

– Wszyscy jesteśmy brudni, czysty jest tylko sam Pan Bóg. Przebierz się i wróć do stołu, dobrze?

– Ale ja nie mam w co...

Gospodyni mrugnęła do niej z uśmiechem.

– Jestem stara, mam z... czterdzieści pięć lat. – Roześmiały się obie z tego stwierdzenia. – Ale choć ty masz figurę jak marzenie, to jestem trochę do ciebie podobna budową – wyprężyła się, eksponując okazały biust – i wzrostem. No i szafę mam pełną. Jeśli chcesz, dam ci kilka rzeczy na przebranie. Będziesz miała również na potem.

Swieta zarzuciła jej ręce na szyję, całując w policzek.

– I pamiętaj, córcia, zawsze znajdziesz tu schronienie, jeśli będziesz chciała.

Dziewczyny, zostawcie nas samych – stanowczy głos pana Józefa sprawił, że córki wstały od stołu bez słowa i wyszły, pozostawiając ojca sam na sam z Martą. Dziewczyna, od kiedy Swieta, a potem ciocia wyszły z salonu, siedziała ze spuszczoną głową. Wiedziała, że przesadziła, i zrobiło się jej głupio.

– Posłuchaj, Martusiu...

– Przepraszam – przerwała mu w pół słowa. – Wiem, źle zrobiłam. Powinnam dać jej spokój...

Łęczyński chrząknął.

– List od twojej mamy nie był długi, ale zawierał coś jeszcze oprócz prośby o pomoc w przewiezieniu was do tej wioski. – Marta ze zdziwieniem podniosła głowę, słysząc słowa gospodarza. – Otóż Marysia zaklina mnie, żebym, broń Boże, was nie rozdzielał. Wiesz, dlaczego?

Marta pokręciła głową.

– No to ci powiem. Uważa, że Swieta jest dla ciebie nie tylko najlepszą obecnie opiekunką, ale też gwarancją przeżycia. Jest Ukrainką, tak jak Jegor i ludzie, do których się udajecie. Jeśli rzeczywiście doszłoby do wojny, o czym cały czas się obecnie trąbi, to nie wiemy, jak zachowają się Ukraińcy. Ale Marysia jest przekonana, że wie, jak zachowa się Swieta. Ona robi wszystko, żeby cię chronić. Jeśli tylko dasz jej szansę. Z pewnością nic złego wam się nie stanie i za dwa tygodnie wrócicie do Bedryczan. Oczywiście, zatrzymując się po drodze w naszym domu. – Łęczyński uśmiechnął się do dziewczyny. – Ale jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, to masz teraz tylko ją. Nie

zepsuj tego.

2



– *T*o twoja szansa, Piotrze – stanowczy głos Ochockiego przerwał dramatyczny monolog syna. – Misja wyrusza jutro, nie ma się nad czym zastanawiać. Rok akademicki rozpoczynasz dopiero w październiku. Do tego czasu zdążysz wrócić z Paryża. Zresztą podjąłem już decyzję.

Piotr zacisnął pięści. Wiedział, że ojciec ukartował to specjalnie. Załatwił mu wyjazd z misją wojskową do Paryża, aby odciągnąć go od próby powrotu do Bedryczan. Od pierwszej chwili, kiedy usłyszał historię o nocnych wypadach do lasu, porachunkach z Ukraińcami i przede wszystkim o Swiecie, robił wszystko, byle tylko „ukraiński amok”, jak go nazywał, wyparował z głowy syna.

– Córka OUN-owca! Przecież oni znajdą cię nawet w Warszawie! Ministra Pierackiego usiekli w biały dzień, to cóż dla nich taki chłopak jak ty? Poza tym studia skończ, a nie uganiaj się za spódnicą!

– Jakie studia?! – Piotr chyba po raz pierwszy w życiu podniósł głos w rozmowie z ojcem. – Przecież sam mówiłeś, że wojna wybuchnie! Myślisz, że ktoś się będzie wtedy studiami przejmował? A jeśli ją zabiją? A jeśli przyjdą po Martę i po panią Marię? Michał i Witalij mówili wyraźnie, że gdy wojna się zacznie, to Ukraińcy ruszą...

Wiktor Ochocki trzasnął dłonią w stół. Zaciskał wargi, żeby pohamować kulę złości przepychającą się bezceremonialnie przez jego gardło.

– Jedziesz z misją do Paryża i koniec – wymuszony spokój jego głosu z ledwością maskował jego zdenerwowanie. – Pomysł, abyś teraz błąkał się po Małopolsce w poszukiwaniu jakiejś OUN-owskiej dziewczki, która pewnie i tak wyśmiałaby twoje zabiegi, jest zupełnie absurdalny. Zwłaszcza że, jak sam twierdzisz, lada dzień może tam być naprawdę gorąco. Jeszcze durniejszy pomysł, abyś ją tu ze sobą przywiózł, mogę skwitować jednym zdaniem: nie zgadzam się!

Piotr nie powiedział już nic. Napisał za to list z przeprosinami, który zostawił na biurku ojca, gdy o drugiej w nocy z plecakiem wypełnionym jedzeniem, ubraniami i szkicownikiem wymykał się z domu. Paryż musiał poczekać.

Jeszcze wczoraj gryzło go poczucie winy, że w taki sposób pożegnał się z ojcem. Jednak dzisiaj, 1 września 1939 roku, jego głowę zaprzętały zupełnie inne zmartwienia. Kierowca wiozącej go do Drohobycza wojskowej ciężarówki modlił się na głos od dwóch godzin, aby dobry Bóg poraził ślepotą niemieckich pilotów prowadzących swe śmiercionośne maszyny nad szyby naftowe w pobliskim Borysławiu. Kiwający się na wybojach pojazd był według niego łakomym kąskiem dla tych bandytów. Po krótkim czasie Piotrowi również udzieliła się panika. Gdy więc auto zatrzymało się przy stacji kolejowej ozdobionej napisem „Drohobycz”, odetchnął z ulgą.



Pierwszego września nad ranem drzwi w domu Horodyłów w Bedrycza wyleciały z hukiem kopnięte podkutym butem. Żołnierze, którzy wdarli się do środka, trzymając w rękach odbezpieczone karabiny, rozbiegli się we wszystkich kierunkach i przeszukiwali kolejne pomieszczenia. Ich czujne oczy schowane pod obłymi kształtami stalowych hełmów natychmiast wyłapały ruch w małej sionce prowadzącej na podwórze. Wchodząca przez niewielkie drzwi kobieta w pierwszej chwili nie zauważyła niczego. Gdy już jej oczy przyzwyczyły się do półmroku panującego w pomieszczeniu, zbladła i wypuściła z rąk wiadro, zalewając zimną studzienną wodą buty intruzów. Jednak żołnierze nawet nie drgnęli. Przyklepione do ich policzków mausery mierzyły prosto w pierś gospodyni, która zakryła usta dłonią.

– Hospody, pomyłuj!

– Boga, pani Horodyło, lepiej w to nie mieszać. – Potężny niczym golem Michał zasłonił swoją zwalistą sylwetką wejście do sionki. – Trzeba było nie pchać się mężowi w politykę.

– Pane oficer. – Hala Horodyło podniosła głowę i spojrzała na niego. W jej oczach, prócz pustki, nie dostrzegł niczego, żadnych uczuć ani emocji. Było jej wszystko jedno. – Mój chłop nie żyje. Wiecie o tym, temu szczo cała wieś trąbiła o tym. Tak niech mi teraz o mężu nie gada...

– My nie po męża tutaj, pani Horodyło – niski głos Michała przypominał raczej pomruk niedźwiedzia niż ludzką mowę. – Wojna jest. Szukamy wszystkich wywrotowców. A przecież nie tylko Danyło modlił się do Bandery. – Przesunął hełm, odsłaniając czoło. – Gdzie Oleg? Gdzie pani syn?

Gospodyni oparła się o ścianę. Po jej policzku spłynęła łza. Otarła ją wierzchem dłoni, jakby lekko speszona okazaną słabością.

– Nie ma nikogo. Ani Swiety, ani Olega. – Odwróciła głowę i spojrzała w bok. – Zniknął razem z ojcem i nie wrócił do dzisiaj. Pewnie gania teraz po

lesie i w wojnę się bawi. A tu krowa niewydojona... – Osunęła się po ścianie i zakryła usta dłonią. Jej ciałem targnął bezgłośny szloch. Dopiero teraz pękła w niej tama, którą odgrodziła się od całego świata.

Michał klepnął w ramię najbliższego stojącego żołnierza.

– Przeszukać dom! Meldować natychmiast, jeśli znajdziecie cokolwiek!

– Rozkaz, panie sierżancie!

Żołnierze rozbiegli się, zaglądając w najdrobniejsze zakamarki, a Michał wyszedł przed dom. Otworzył małą papierośnicę, z której wyciągnął grubego skręta. Włożył go do ust, osłaniając zapalniczkę od wiatru. Po chwili zaciągnął się głęboko. Wiedział, że śmierć Danyły i wybuch wojny rozłożyły na łopatki całą półtoraroczną obserwację siatki podległych Ukraińcowi ludzi. Wszyscy rozbiegli się po lesie albo pochowali w chałupach i czekają. Czuł przez skórę, że to dopiero początek kłopotów z OUN-owcami. Jegor też gdzieś zniknął. Sukinsyn! Ten gotów jest napytać naprawdę dużej biedy. Trzeba zawiadomić panią Kosiecką, żeby uważała na siebie. Marty na szczęście już we wsi nie ma. Swoją drogą, ten Witalij to swój chłop...

Jego rozmyślenia przerwało chrząknięcie strzelca czekającego, aby złożyć mu meldunek o przeszukaniu.

– Co tam?

– Nie ma nic, czysty jak łza, panie sierżancie. Stary wiedział, co robi. Pewnie cały majdan, ulotki i broń schował poza domem, właśnie na taką okoliczność jak dzisiejsza.

Michał westchnął. To już i tak w zasadzie nie miało żadnego znaczenia, czy znajdą bibułę czy nie. Miał jedynie nadzieję, że ten gówniarz od Horodyłów poprowadzi go do swoich OUN-owskich kamratów.

– Dobra, wołaj wszystkich. Zwijamy się!



Świety nie było w domu. Marty zresztą też. W ogóle Bedryczany wywarły na Piotrze przygnębiające wrażenie. To już nie była ta sama wioska, którą opuścił kilka dni temu. Ludzie jakby przyczaili się w oczekiwaniu na to, co przyniesie im rozkręcająca się właśnie zawierucha.

Siedząc na ganku domu Kosieckich, Piotr męczył się nieznośną ciszą, której ani on, ani przygarbiona pani Maria nie mieli siły przerwać. Dowiedział się od niej wszystkiego. Teraz ze wzrokiem wbitym w niebo przeżuwał w milczeniu to, co usłyszał. Myśli w jego głowie przypominały tłuste, czarne kłęby dymu ze zbombardowanych rafinerii w Borysławiu kotłujące się na południowym horyzoncie. Pomyślał o ojcu, który na pewno umierał ze strachu o niego. Zrobiło mu się wstyd, że swoją nocną ucieczką dorzucił na jego barki zmartwienia, które z pewnością trapiły go w tej chwili bardziej niż krążące nad Warszawą czarne stalowe demony z krzyżami na skrzydłach. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że w obecnej sytuacji nie ma nawet możliwości, żeby zawiadomić ojca o tym, iż jest cały i zdrowy. Zasepił się jeszcze bardziej. Dopiero nadchodzący na czele patrolu Michał wyrwał go z odrętwienia.

– A tobie to się kierunki nie pomerdały? – W jego głosie mimo okoliczności można było wyczuć nutkę humoru. – Co ty tu robisz, chłopie?

Poczęstował Piotra niedźwiedzim uściskiem dłoni, nie spuszczając z niego pytającego wzroku. Spojrzenie zamieniło się w pełne politowania i niedowierzania kiwanie głową, gdy chłopak wyłuskał wreszcie powód, dla którego pojawił się ponownie w Bedryczanach.

– Wiedziałem, że to się tak skończy – parsknął, ściągając z głowy stalowy hełm. – Historia miłosna, psia jego mać! No i co zamierzasz teraz zrobić?

Piotr obruszył się w pierwszej chwili. Jednak, mimo iż czuł, że Michał potraktował go jak szczeniaka, nie powiedział ani słowa. Miał rację. W ferworze, który udzielił mu się podczas podróży, nie przewidział kilku rzeczy. Pierwszą z nich było to, że nie zastanie Swiety w Bedryczanach, a drugą, iż Hitler osobiście skomplikuje jego położenie, napadając na Polskę. Planu awaryjnego nie miał. W warunkach wojennych jego powrót do Warszawy mógł okazać się karkołomnym wyczynem. Westchnął więc tylko i wymamrotał:

– Na całe szczęście jutro albo pojutrze pogonimy fryców aż do Berlina.

Żołnierze spojrzeli na Piotra rozbawieni jego uwagą.

– Patrzcie go. – Jeden z nich wyszczerzył białe zęby w uśmiechu. – Zaraz będzie Niemców gonił. Muszę zająć dogodny punkt obserwacyjny, żeby nie przegapić tego widowiska.

Piotr spuścił głowę i zamilkł. Michał w tym czasie bezskutecznie przekonywał panią Kosiecką do tego, że w tej chwili najlepszą opcją jest opuszczenie Bedryczan.

– Wiem, że te psiekrwie mają pochowaną po lesie broń. Szukaliśmy jej razem z Piotrem. – Skinął w jego kierunku głową. – Jak nic wyciągną ją z jakiegoś zapyziałego kąta. A wtedy może okazać się, że zapukają do pani. Jegor uciekł, ten gówniarz od Horodyłów też się gdzieś zawieruszył. Możemy ich nie upilnować.

Łatwiej byłoby jednak Hitlera namówić do kapitulacji niż Marię Kosiecką do opuszczenia dworku.

– Michałku, ja już nigdzie nie będę uciekać. Horodyło z Witalijem próbowali mnie zaczarować, ale powiedziałam im i teraz powiem tobie –

gospodyni wzięła głęboki oddech – nie mam dokąd i nie mam nawet chęci do tego, żeby jechać. Marta musi mieć miejsce, do którego powróci. Zaczekam tu na nią. Róbcie, co chcecie, a ja i tak nie pójdę. Tu jest mój dom.

Michał westchnął tylko głośno i otarł spocone czoło. Mrużył oczy, obserwując chmurę czarnego dymu na horyzoncie.

– A ty szkolenie wojskowe w czasie szkoły przeszedłeś? – zapytał Piotra, który pokiwał głową twierdząco.

– Tak, zeszłego lata.

– No to pójdziesz z nami.

Piotr wyprostował się zaskoczony.

– Jak to, z wami...? Z wami, znaczy gdzie?

Michał odwrócił głowę i popatrzył na niego.

– Chcesz walczyć?

Pytanie Michała zaskoczyło go, jednak nie myśląc długo, zerwał się z miejsca.

– Chcę!

– W tej chwili nie mobilizuje się młokosów, którzy nie byli w wojsku. Jednak szepnę dowódcy słowo, to pozwoli ci zostać. Masz trzymać się mnie przez cały czas. Jedziemy do Stryja. Zrozumiałeś?

Piotr nie rozumiał nic. Jednak radość z tego, że przywdzieje mundur, była tak wielka, iż na wszelki wypadek przytaknął:

– Tak jest!



Do Drohobycza dotarli późnym popołudniem. Transport do Stryja, w postaci zdezelowanej wojskowej ciężarówki, utknął przy dworcu kolejowym. W małym budynku stacji zgromadziła się dość pokaźna liczba przerażonych mieszkańców miasteczka usiłujących przedostać się na wschód kraju. Kierowca, widząc Michała w asyście żołnierzy, odetchnął z ulgą.

– Panie sierżancie, dzięki Bogu – jęknął, ocierając z czoła duże krople potu. – Już myślałem, że mi koła przyrosną do ziemi. A jeszcze te tam, ludzie, żyć nie dają, jeno ciągle pytają, czy na Tarnopol jadę i ile taka wyprawa kosztować może.

– Wskakiwać na pakę! – Ostry ton głosu Michała poderwał jego żołnierzy, którzy natychmiast ulokowali się na platformie ciężarówki. Piotr popatrzył na barczystego towarzysza, który, znikając w szoferce, skinieniem głowy wskazał mu miejsce obok pozostałych na górze. Chłopak chwycił za burtę, dwoma szybkimi ruchami podciągnął się i po chwili siedział już na drewnianej ławce. Chciał popisać się swoją sprawnością przed żołnierzami. Przez chwilę miał cichą nadzieję, że widzieli jego karkołomny wyczyn. Ci jednak zupełnie nie zwracali na niego uwagi. Zawzięcie dyskutowali o tym, co pochłaniało uwagę każdego Polaka od samego rana.

– Anglia i Francja kopną Hitlerka w zadek fest!

– Ta prawda, żebyśmy tylko powojować zdążyli!

– A potem na Berlin!

Podnieceni swoją wyobraźnią i słowami kolegów żołnierze byli dla Piotra niczym antyczni herosi, gotowi sami wygrać tę wojnę. Zazdrościł im ich błyszczących karabinów, stalowych hełmów i dopasowanych mundurów, myśląc intensywnie o tym, jak dobrze on sam będzie wyglądał, gdy

przywdzieje żołnierski uniform. Do tego jeszcze jakiś medal by się przydał...

– Cisza! – głos najstarszego z nich, kaprała Brzóska, wyrwał Piotra ze snu na jawie, w którym pędząc przez pole bitwy z ociekającym od krwi bagnetem nasadzonym na nowiutki karabin, nadziewał na niego sześćdziesiątego Niemca.

Żołnierze spojrzeli na kaprała ze zdziwieniem. Widać jednak było, że mają dla niego duży szacunek, bo zamilkli, czekając na to, co im powie. Brzóska wbił wzrok w drewnianą podłogę platformy, zbierając myśli. Na jego niemłodej już, pooranej bruzdami i ogorzałej od słońca twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. Po prostu podniósł w górę stalowe oczy i spojrzął na swych towarzyszy:

– Co myślicie, że wojna to jakaś zabawa? – Cichy, ale mocny głos sprawił, że pospuszczali głowy. – Myślicie, że to jarmark odpustowy? Że Niemcy strzelają małymi kulkami z czerwoną farbą? Do końca wojny większość z was może już nie żyć. Myślicie o tym, co wasze matki wtedy powiedzą? Wasze kobiety? Chcecie zobaczyć, co to wojna, szczyłe? No to popatrzcie tam, na drogę.

Spojrzeli w kierunku, który im wskazał. Piotr poczuł, jak żołądek i serce podchodzą mu do gardła. Na poboczu, powalony wybuchem bomby, leżał zdemolowany wóz. Obok niego w trawie skręcały się szczątki konia z rozszarpanym brzuchem i wnętrznościami wylewającymi się na ziemię. Ciężarówka przystanęła, a Michał wyskoczył z szoferki i podszedł do małej, może pięcioletniej dziewczynki klęczącej przy poszarpanej odłamkami kobiecie. Dziecko płakało, szarpiąc za róg brudnej od ziemi sukienki matki, i próbowało ją obudzić. Nieco dalej na drodze, z rękami rozrzuconymi na wznak, leżał mężczyzna, a w zasadzie tylko jego połowa. Obok niego walające się wszędzie przedmioty i ubrania z rozprutych pakunków przykrywały dwa dziecięce ciała. Nierozumiejący niczego pies biegał wokół,

piszcząc i szcękając na Michała, który wziął dziewczynkę na ręce i posadził obok siebie w szoferce. Piotr patrzył na całą scenę jak na jakiś nowy makabryczny obraz tego hiszpańskiego komunisty, Picassa. Powietrze stężało tak, że gdyby nie wiatr poruszający rozrzuconym dobytkiem, mógłby przysiąc, iż wszystko zostało jakby zatopione w przezroczystym szkłe. Wyglądało to tak, jakby sam Pan Bóg cisnął w kąt niepotrzebne mu już walające się wszędzie ubrania, pościel i martwe ciała.

– Pochować ich! Migiem!

Głos Michała podziałał na nich jak kubeł zimnej wody. Zeskoczyli z platformy w milczeniu. Po dwóch godzinach złożyli szczątki rodziny w grobie wykopanym na poboczu i zatknęli na nim zrobiony naprędce krzyż. Przez całą dalszą drogę nie odezwali się do siebie ani słowem.

6



Zdmuchnął wąty płomień świecy i zdusił dłonią męczący go od kilku godzin kaszel. Zastygł w bezruchu, przyzwyczajając oczy do ciemności i nasłuchując uważnie. Ktoś po drugiej stronie małego wejścia nieudolnie maskował swoją obecność. Trzask nadepniętego suchego patyka gdzieś tam, w górze, dobitnie świadczył o tym, że intruz albo nie zamierzał się specjalnie kryć, albo był kompletnym amatorem. Stawiał na to pierwsze. To z pewnością ktoś z jego podwładnych. Kto inny byłby w stanie znaleźć to miejsce? Ostrożności jednak nigdy za wiele, dlatego przyczaił się i czekał. Chrobot z drugiej strony oznajmiał, że ktoś majstrował przy wejściu. Spiał

mięśnie w oczekiwaniu na hasło. Na próżno. Zacisnął palce na rękojeści noża.

Kłapa podniosła się nagle i do ziemianki wpadł wątki promień zachodzącego słońca. Wystrzelona z wnętrza dłoni chwyciła stojącego nad wejściem mężczyznę za połą koszuli i wciągnęła do środka. Nim ten zdążył cokolwiek powiedzieć, poczuł na swej szyi zimne ostrze noża.

– Jegor... to ja, Wasyl – wykrztusił przez ściśnięte gardło. – Nie ubijaj...

Jegor dyszał z wściekłości. Domyślał się od samego początku, kto złożył mu wizytę, jednak ten brak środków ostrożności oraz długie godziny samotności spędzane beczynnie w leśnej kryjówce od kilku dni mocno nadwyrężyły jego cierpliwość. Wprawdzie wpadające do środka światło oślepiło go na tyle, że musiał zamknąć powieki, ale gdy przykładął nóż do szyi klęczącego przed nim człowieka, wiedział doskonale, że to jego podwładny. Mimo to zacisnął swoje dłonie na szyi Wasyla, napawając się jego strachem. Nie był w stanie pohamować kotłującej się w nim złości. Czuł, jak tamten traci oddech i dopiero gdy usłyszał rżenie, rozluźnił uchwyt. Do ziemianki właśnie wchodził kolejny człowiek.

– Jegor! Na miły Bóg! Przecież to Wasyl! Co ty robisz?

Odepchnął na pół żywego mężczyznę, który głośno wciągnął do płuc potężny haust powietrza.

– A gdzie hasło, psubraty? – wycedził Jegor przez zęby. – Mogłem was wszystkich podusić jak koty.

– Hasło? – Ukrainiec spuścił nieco z tonu. – Przecież i tak nikt inny nie zna tego miejsca...

Jegor odkaszlnął głośno i splunął na ziemię. Wilgoć, obniżająca temperaturę w małej leśnej kryjówce, dawała mu się we znaki. Trząśnięcie z zimna mimo ciepłego swetra i marynarki.

– Młody Horodyło zna. Cholera wie, co robi. – Pociągnął głośno

nosem. – W końcu Danyłę, zdrajcę, ukatrupiłem.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Oleg jest z nami, czeka na zewnątrz. Nie zdradził.

Jegor popatrzył zdziwiony na towarzysza. Ledwie rozróżniał jego rysy w półmroku panującym w ziemiance.

– Tak? No to chodźmy do niego.

Po chwili cała grupa znalazła się na górze. Jegor rozcierał ręce, patrząc na stojącego przed nim Olega. Chłopak spuścił wzrok i zacisnął usta. Widać było, że nie czuje się zbyt dobrze ani w tym miejscu, ani z otaczającymi go ludźmi. Jegor jednak nie dbał o to. Nie zamierzał ułatwiać życia synowi zdrajcy.

– Ponad tydzień siedziałem w tej norze jak szczur – wychrypiał, wciągając nosem leśne powietrze – więc niech którykolwiek z was, psubraty, powie mi, co to za dziwny zapach i czemu ziemia od kilku dni trzęsie się od wybuchów?

Trzymający się wciąż za gardło Wasyl wychrypiał:

– Palą się rafinerie w Borysławiu.

Jegor popatrzył na niego zaskoczony.

– Palą się? Czyżby...?

Stojący naprzeciw niego Oleg podniósł głowę.

– No właśnie, o tym przyszedliśmy ci powiedzieć. Wybuchła wojna. Niemcy i Słowacy napadli na Polskę.

Gdyby nie zapadający zmrok, w oczach dowódcy otaczający go podwładni dostrzegliby błysk. Za to wyraźnie widzieli, jak kąciki jego ust podnoszą się do góry w szerokim uśmiechu.

– Wreszcie. No to pohulamy...

ozdzielili się na skraju lasu. Jegor pod osłoną nocy zniknął pomiędzy wiejskimi zabudowaniami, pozostawiając swoich uzbrojonych towarzyszy ukrytych za pierwszą linią drzew. Miał tu jeszcze niezłatwioną sprawę sprzed kilku dni. Pozbył się Danyły, ale Swieta mu się wymknęła. Początkowo chciał od razu jej szukać, jednak Wasyl skutecznie wybił mu to z głowy. Witalij z pewnością zawiadomił tego żołnierza, Michała. Rozesłał więc chłopaków po okolicy, aby rozejrzeli się w poszukiwaniu tej niewiernej suki. Ale dziewczyna przepadła jak kamień w wodę. Sprawdzili nawet dworce w Stryju, Drohobyczu i dalekim Lwowie. Jegor nie miał jednak żadnych wątpliwości. Danyło nie był taki głupi, żeby pozwolić jej wałęsać się w miejscach, w których on mógł ją łatwo odszukać. Prędzej przemycił ją bocznymi drogami do... gdzieś tam.

Poza tym powiadomiona o zamordowaniu Danyły policja zaczęła węszyć jak wściekła. Musiał odpuścić, żeby nie wpaść głupio. Przecież czekało ich powstanie, walka z tymi śmierdzącymi Lachami. A Swieta? Jeszcze ją kiedyś odnajdzie. Przez cały czas kiedy siedział zamknięty w tej wilgotnej norze, myślał o dziewczynie. Gdyby mógł, to skórę kazałby z niej drzeć pasami albo zerwałby ubranie i chędożył całą noc. Albo jedno i drugie. Nienawidził jej i kochał ją zarazem. Na zabój.

Przez całą drogę próbował poskładać w jakąś logiczną całość to, o czym opowiedzieli mu jego podwładni. Wiedział już, że wojsko odwiedziło dom Horodyłów. Nie znaleźli niczego, więc pokręcili się po okolicy i odeszli w kierunku Drohobycza. W domu Kosieckich dołączył do nich jakiś cywil. Oleg zarzekał się, że widział warszawiaka we wsi. Co ten psi pomiot mógł robić w Bedryczanach? Tego mógł się dowiedzieć tylko w jednym miejscu. Zatrzymał się przed dworkiem Kosieckich. Straszący ciemnymi oczodołami okien dom sprawiał ponure wrażenie. Jegor przeskoczył przez płot oddzielający podwórze od drogi. W jednym z okien dostrzegł wątył blask

świecy. Zakradł się pod ścianę i spojrzął do środka. W kuchni przy stole siedziała pani Maria. Oglądała zdjęcia rozrzucone na blacie stołu. Była sama. Uśmiechnął się do siebie i zeskoczył na ziemię. Wszedł na ganek i nacisnął klamkę. Niestety, drzwi zamknięto z drugiej strony na zasuwę. Nacisnął je delikatnie, a gdy upewnił się, że nie są zbyt solidne, kopnął z całej siły. Zasuwa puściła, a dom stanął przed nim otworem. W ciemnym korytarzu na lewo dostrzegł, przy blasku palącej się po drugiej stronie świecy, drzwi do kuchni. Nie myśląc długo, ruszył w ich kierunku.

Pani Maria zerwała się z krzesła jak oparzona, gdy tylko usłyszała trzask wyłamywanej kopnięciem zasuwy. Teraz Ukrainiec nawet w panującym półmroku dostrzegł na jej twarzy przerażenie. Stał tak chwilę bez słowa, napawając się jej strachem. Jednak to gospodyni przerwała panującą w kuchni ciszę.

– Za późno, Jegor – jej łamiący się głos również zdradzał ogarniający ją strach. – Nie ma już nikogo. Ani Marty, ani Swiety. Nawet Piotr ci się wymknął... Nie ma już nikogo... przegrałeś...

Uśmiechnął się tym rodzajem uśmiechu, za którym kryje się bulgocząca niczym wrzątek wściekłość. Zrobił krok do przodu.

– Tak? – Jego spokojny głos sprawił, że ciało pani Marii pokryło się gęsią skórką. – Zaraz mi wszystko opowiesz, Laszko. Ze szczegółami.

W jego dłoni pojawił się sprężynowy nóż. Nie spieszył się. Miał czas. To właśnie go uratowało. Zdołał usłyszeć za sobą szmer. Odwrócił się błyskawicznie, robiąc unik. Obuch siekiery minął jego twarz o centymetr. Witalij nie tracił czasu. Rzucił się w jego kierunku, wyprowadzając cios trzymany w drugiej ręce nożem. Jegor zbił uderzenie dłonią i już po chwili trzymał Witalija za ręce, próbując odciągnąć ostrze, które coraz bardziej zbliżało się do jego piersi. Uderzył kolanem. Witalij zgiął się wół, luzując lekko uścisk. To wystarczyło. Przekręcił kościelny i oparł o ścianę, czując,

jak jego chwyt powoli się rozluźnia. I wtedy poczuł uderzenie w głowę. Pani Maria doskoczyła do walczących i uderzyła trzymanym w rękę rondlem. Nie zrobiło to Jegorowi większej szkody, jednak słabnący Witalij wykorzystał swoją szansę. Podbił ręce przeciwnika i ciął zamasyście. Skóra na policzku Jegora pękła muśnięta stalowym ostrzem. Odskoczył od kościelnego, który odzyskiwał równowagę.

– Dwa razy się spotkaliśmy, staruchu. Za trzecim razem cię zabiję! – Obnażone we wściekłym uśmiechu zęby błysnęły złowrogo. Wiedział, że nie zakończy tego dzisiaj. Trudno. Przyjdzie na to jeszcze czas. Wybiegł przez kuchenne drzwi i zniknął w mroku. Witalij odetchnął z ulgą.

Po tym, jak odesłali go z kwitkiem z punktu werbunkowego w Stryju, przyjął zaproszenie pani Marii do wspólnego zamieszkania. W ten sposób mógł chronić zarówno swoją rodzinę, jak i ją. Jego żona i dzieci siedziały w ciszy w pokoju na końcu sieni i czekały przerażone na rozwój wypadków. Na całe szczęście dzisiaj Jegor przyszedł sam.

7



Dotykał dłonią lśniącej politory z nabożnością podobną tej, z jaką ksiądz celebryje sprawowaną na ołtarzu Eucharystię. Gładził naoliwiony metal, czując pod opuszkami palców gładkość równą gładkości skóry jego ukochanej. Delikatnym ruchem zamka wprowadził pocisk kalibru 7,92 mm do komory.

– To nie jest kij od miotły, żołnierzu – słyszał za uchem głos Michała. –

To twój najwierniejszy przyjaciel od dzisiaj. Naucz się go. Traktuj go jak przyjaciela, dotykaj go i rozmawiaj z nim. Od tego, czy dobrze się poznacie, może zależeć twoje życie.

Piotr nigdy nie przypuszczał, że spojrzy na broń w taki sposób. Do tej pory kulomioty były dla niego tylko ciekawym, jednak dość obcym urządzeniem. Strzelał wprawdzie już wcześniej podczas przeszkolenia w ramach przysposobienia obronnego, jednak wtedy traktował to bardziej jako zabawę. Od zapachu prochu wolał wówczas zapach węgla do szkicowania. Teraz trzymał w dłoniach karabin, który należał tylko do niego. To zmieniało postać rzeczy. Nie mógł oderwać od niego wzroku. Czuł ciężar obowiązku, który niesie ze sobą posiadanie tego niebezpiecznego połączenia metalu z drewnem. Od tej chwili stawał się panem życia i śmierci każdego, kto pojawi się po drugiej stronie przyrządów celowniczych. To ważne i odpowiedzialne zadanie. Rozumiał teraz, dlaczego żołnierz musi cechować się wysoką moralnością. W przeciwnym bowiem razie ta czarodziejska różdżka zmieni człowieka nie w szlachetnego wojownika, ale w bezlitosnego sadystę i mordercę. Zaczynał rozumieć już wszystko.

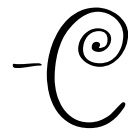
Dzisiaj jeszcze w miejscu, w którym zgrywała się muszka i szczerbinka, nie zobaczył żywego człowieka. Zamiast niego w oddali majaczyła biała tarcza z czarnymi kręgami. Uspokoił oddech i w chwili, gdy na końcu lufy ujrział czarne kółko, lekko ściągnął spust. Poczł uderzenie kolby w ramię, a huk wystrzału przytkł na chwilę jego ucho.

– Musisz silniej przycisnąć kolbę do ramienia. – Michał patrzył na tarczę przez szkła lornetki. – Inaczej znów pošlesz kulę obok tarczy. Spróbuj jeszcze raz.

Chwilę potem powietrzem targnął kolejny strzał. Michał ponownie przyłożył lornetkę do oczu. Tym razem uśmiechnął się z zadowoleniem.

– O to właśnie chodzi. Brawo!



–  holera, noc nadciąga, a Kowala jak nie było, tak nie ma. – Przodownik Chmielec potarł palcami brodę, czując, jak ogolony rano zarost ponownie zamienia jego skórę w papier ścierny. – Ile czasu można leżć te sześć kilomentrów?

– Kilometrów – poprawił dowódcę starszy posterunkowy Maszyniak, robiąc jednocześnie unik, gdy twarda ręka przodownika świsnęła mu obok ucha.

– Eż, bo cię... – Chmielec zacisnął zęby. – Nie masz nic lepszego do roboty? Na łobchód leż!

Maszyniak parsknął pod nosem, upewniwszy się wpierw, że znalazł się poza zasięgiem rąk szefa. Poprawił służbowy policyjny kulomiot Suomi zwisający mu z ramienia. Pogładził drewnianą kolbę fińskiej maszynówki. Dumny był, że to właśnie jemu Chmielec powierzył to cudencko. Magazynek, okrągły jak racuch, mógł pomieścić do siedemdziesięciu pocisków. To prawie trzykrotnie więcej niż jakikolwiek inny pistolet maszynowy używany zarówno przez swoich, jak i tych przybłędów z hakenkreutzami. Problem leżał gdzie indziej. Mimo toczącej się od tygodnia wojny Niemców jeszcze nie widział. Wprawdzie Policja Państwowa to nie wojsko, jednak w razie kontaktu z wrogiem wiadomo było, że bronić się będą. Wojna toczyła się na zachodzie. Tutaj docierały tylko te diabły w samolotach, bombardując i strzelając do ludzi. Wszyscy słyszeli komunikaty, wiedzieli, że walka nie do końca układa się tak, jak chcieli. Jednak regularne działania wojenne toczyły się dziesiątki kilometrów stąd i poza uciekinierami z zachodu kraju nikt inny jeszcze do nich nie zawitał. Suomi zwisał więc z ramienia

posterunkowego nieużywany zupełnie, a ten, pogwizdując pod nosem, ruszył spokojnym krokiem w kierunku pagórka, za którym widać już było Stryj, cel ich podróży.

Wyruszyli późnym popołudniem z oddalonego o trzydzieści pięć kilometrów Mikołajowa. Przysłany na tę okoliczność policyjny szofer ze Stryja prowadził swojego chevroleta z typową dla młodych kierowców nonszalancją, która sprawiała, że jego towarzyszom podróży ze strachu włosy jeżyły się na głowie. Gdy jednak obwieścił, że pojedą świetnym skrótem, usłyszał za sobą cichy szept:

– Matko Boska...!

Dlatego też, gdy do ich uszu dotarł głośny huk, po którym samochodem szarpnęło w stronę pobocza, przodownik Chmielec zaklął tylko siarczyście pod nosem i szepnął do siedzącego obok Maszyniaka:

– Wiedziałem, cholera, że tak będzie!

Na pytanie o zapasowe koło posterunkowy Kowal skulił się w sobie i wybąkał, że wczoraj również złapał gumę i musiał zostawić koło w naprawie. Towarzyszący dowódcy starszy posterunkowy z trudem tłumił wybuchy śmiechu. Jednak Chmielec nie podzielał jego wesołości.

– Z czego się tak, cholera, cieszyacie, Maszyniak! Dupy nie ruszymy z miejsca. Cały automobil załadowany papierami. Nie można ich tak, cholera, zostawić. – Obrócił się w kierunku czerwonego jak burak Kowala. – Posterunkowy! Pójdziecie do Stryja po pomoc. Niech przyślą tu kogoś migiem.

– Melduję, panie przodowniku – młody kierowca nabrał powietrza w płuca i jednym tchem wyrzucił z siebie – w Stryju nie ma drugiego samochodu i nikt z pomocą nie przyjedzie, ewentualnie przyślą kogoś na rowerze. – Policzki Kowala z balonów zmieniły się w dwa sflaczałe worki.

Przodownik zaciął usta, a jego oczy, wąskie niczym dwie poziome kreski,

rzuciły gromy w kierunku stojącego przed nim podwładnego.

– Przypominam wam, posterunkowy, że celem naszej misji jest przewiezienie akt i papierów z małego posterunku w Mikołajowie do większego w Stryju, gdyż z powodu spodziewanych ukraińskich ruchawek nie chcemy, żeby jakimś cudem wpadły w ręce OUN-owców. Takie dokumenty to dla nich skarb. Będą wiedzieć o nas zdecydowanie za dużo. Więc nie pieprzcie mi tutaj, że nikt nie przyjdzie. Pobiegniecie teraz do Stryja na czterech łapach, jeśli będzie trzeba, i sprowadzicie kogo się da. Księdza, aptekarza, woźną szkolną, byle szybko. Zrozumiano?!

Kowal wymamrotał pod nosem „tajestpanieprzodownik”, po czym obrócił się na pięcie, poprawił zwisający mu z ramienia karabin i odszedł szybkim krokiem w kierunku miasteczka. Czekali więc na pomoc, robiąc od czasu do czasu obchód terenu. To znaczy starszy posterunkowy Maszyniak robił. Przodownik siedział na siedzeniu samochodu i wypatrywał nadchodzącej ze Stryja pomocy. Nie czuł się pewnie na skraju małego zagajnika, wiedząc, że dwóch policjantów to dla tych wichrzycieli z OUN łąkomy kąsek. Ściemniało się, a Kowal jakby się pod ziemię zapadł. Oby tylko nie przyszło im nocować w samochodzie. Tutaj nawet pies z kulawą nogą ich nie znajdzie. Patrzył na wyłaniającego się z mroku Maszyniaka. Chłopak szedł dziarskim krokiem i gdy już zamierzał się usadowić obok dowódcy, usłyszał:

– Tera w drugie strone, marsz!

Wzruszył ramionami i zniknął z tyłu samochodu. Przeszedł kilkanaście kroków, pogwizdując. Czego tu się bać? Ukraińcy pochowani w chałupach sami trzęsą portkami. Szykowali się tak na to powstanie, a teraz ich nigdzie nie widać. Gadają tylko wszyscy o tym, a przecież on sam słyszał, że ichnie kierownictwo wydało dekret zakazujący sabotowania Wojska Polskiego i występowania przeciw Polakom. Wprawdzie to ci legalni, ale zawsze.

A zresztą, jakby się tylko pojawili, to rozniesie ich ze swojego Suomi. Uśmiechnął się szeroko do swoich myśli i umarł, gdy mocna ręka chwyciła go od tyłu za usta, dławiąc krzyk, a druga wbiła mu nóż w serce aż po rękojeść.



– Jest rozkaz, żeby dywersji przeciw Lachom nie robić. – Wasyl każde wypowiedziane słowo akcentował krótkim machnięciem ręką. Nie patrzył w stronę Jegora, który, wściekły, dźgał nożem kępę trawy. Zaciśnięte mocno usta świadczyły o tym, że zмага się z niezrozumiałą dla siebie decyzją Krajowego Prowidu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Kręcił w milczeniu głową, jakby nie docierały do niego słowa podwładnego. A informacja brzmiała jasno i klarownie. Niemcy i Sowiety zawarły pakt o współpracy i wspólnym ataku na Polskę. W związku z tym Hitler wycofuje swoje poparcie dla sprawy ukraińskiej, nie chcąc drażnić tym nowego sojusznika, dla którego mająca się odrodzić niepodległa Ukraina byłaby cierniem w oku. Stalin w życiu nie zaakceptowałby żadnego niepodległego tworu na ziemiach, które po upadku Polski miały znaleźć się w sferze jego wpływów. Zwłaszcza że OUN planował wydarć Sowiecom wschodniej Ukrainy, która jako jedna z republik pozostawała wciąż pod kontrolą Kraju Rad. Wobec tego nie należy wszczynać dywersji ani powstania przeciw państwu polskiemu, bo będzie to działanie tylko i wyłącznie na rzecz Sowieców, którzy, oficjalnie, wciąż pozostawali głównym wrogiem

Ukraińców. Trzeba czekać. Jegor jednak czekać nie chciał. Cała ta polityka i rozkaz Lwa Rebeta, szefa Krajowego Prowidu, podziałała na niego jak płachta na byka.

– W dupie mam takie rozkazy! – Zerwał się nagle na równe nogi. Z trudem opanował wybuch złości i tylko drgająca górna warga wskazywała, jaki wysiłek musiał w to włożyć. Szerokim gestem przecesał palcami włosy i cisnął nożem tak, że ostrze do połowy wbiło się w pień rosnącego obok drzewa. – Nie po to zbieraliśmy ten cały złom, żeby teraz odpuścić! A poza tym gdzie są ci Soweciarze?! Ha? Siedzą w tej swojej... Soweciarni i gniją. Do walki im niespieszno! Tylko ta hołota komunistyczna po wsiach agituje. I Żydy razem z nimi. Jeszcze Niemcy sobie o nas przypomną, psiekrwie!

Złom, o którym mówił, wypolerowany i wyczyszczony, leżał teraz na trawie. Pięć karabinków Mauser, granaty, kilka pistoletów, ładownice i bagnety. Stanowili najlepiej uzbrojony oddział ukraiński w powiecie drohobyckim. Kto wie, może nawet w całym województwie.

– Zrobimy tak. – Przywołał gestem ręki wszystkich swoich ludzi. – Pójdziemy pod Stryj. Tu, w okolicy, znają nas, a tam łatwiej będzie mówić, żeśmy uciekli z zachodu. Będziemy gromadzić broń. Rozbrajamy tylko pojedynczych żołnierzy i policjantów. Bez żadnych potyczek, tylko czysta robota. Rozkazu nie złamiemy, a przy okazji rozlokujemy się w terenie.

– Ale w Stryju wojsko... – przerwał mu Hryhorij, jednak przeszyty gromami, które dowódca rzucił wzrokiem, umilkł.

– Wojsko, srojsko – Jegor zachnął się, machając ręką. – Wojsko już niedługo będzie zajęte walką z Wehrmachtem. To będzie nasz moment. A teraz idziemy. Rozproszyć się w lesie, nie iść kupą. I nie gadać przede wszystkim!

Po chwili na skraju polany nie było już nikogo.

Do szosy łączącej Stryj z Michałowem oddział Jegora dotarł po południu. Kilkakrotnie musieli się chować w leśnych zaroślach, żeby nie nadziać się na wojskowe patrole. Wolny, ubezpieczony marsz męczył bardziej niż odległość, którą przebyli. Jegor jednak nie pozwolił im na odpoczynek. Drogę przekroczyli na styku dwóch zagajników. Mimo dość dużego ruchu udało im się niezauważenie przeskoczyć na drugą stronę. Jediną napotkaną osobą była stara Ukrainka, która wyszła na nich wprost z zagajnika. Pokłonili się jej tylko i zniknęli w krzakach niczym duchy. Po pół godzinie Jegor sam poczuł, że zmęczenie daje się mu we znaki. Bolały go już nogi i robił się głodny. Otarł pot z czoła, mrużąc oczy. Czas na postój. Nie zdążył jednak zatrzymać grupy. Głośne „Ciiiiiii” i palec na ustach Wasyla wpompowały w jego żyły porcję adrenaliny. Przesunął się do niego, a reszta kucnęła, czekając na rozkazy.

– Słyszę głosy z prawej strony – zameldował Wasyl.

– Lachy?

Idący na czele grupy jako przednia szpica mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem, może, za daleko, żebyśmy zrozumieli.

Jegor pokiwał głową.

– Psst! – zasyczał, żeby zwrócić uwagę wszystkich. Gestem ręki pokazał im, żeby czekali i nie ruszali się, dopóki nie wróci. Sam, ostrożnym krokiem, mając przy sobie Wasyla, poszedł w kierunku, skąd zwiadowca usłyszał głosy. Nie przeszli trzydziestu metrów, kiedy do jego uszu dotarły strzępy rozmowy prowadzone po polsku za dużą kępą krzaków. Lachy! Podszedł ostrożnie i rozchylił gałęzie. Wzdłuż obrzeża lasu biegła dość dobrze utwardzona droga oddzielająca go od pola, na którym po świeżo skoszonym zbożu pozostało tylko ściernisko. Nie była to prawdziwa szosa, ale wystarczyła, żeby skusić durnego kierowcę. Szofer prężył się teraz przed

swoim dowódcą, który beształ go jak uczniaka. Pucłowaty policjant mamrotał tylko coś pod nosem, ale odległość była zbyt duża, aby można było cokolwiek zrozumieć. Jednak po chwili okrągły mundurowy trzasnął obcasami i odszedł na południe.

– Po jakiego czorta oni tu stoją? I tylko dwóch ich teraz jest – szepnął Wasyl.

– Chyba im się auto zepsuło. – Jegor wpatrywał się w sylwetki Polaków, od których oddzielała ich bryła samochodu. – Gruby idzie do Stryja chyba. Innego wyjścia nie ma. Słyszałem tylko, że coś ważnego wiozą.

Wasyl uśmiechnął się szeroko.

– Łakomy kąsek...

Jegor zdjął rękę z gałązki, i odwrócił się w stronę towarzysza.

– Idź i weź dwóch chłopaków. Śledźcie tego spaślaka. Zdejmijcie go za piętnaście minut. Nie zabijajcie. Chcę go żywego. Reszta niech przyjdzie tutaj.

Wasyl kiwnął głową, potwierdzając rozkaz, po czym ruszył w głąb lasu. Po chwili obok Jegora wyrosło pięć postaci.

– Co robimy?

Posadził ich gestem dłoni na ziemi.

– Czekamy.

Rozlokował posterunki tak, żeby w wypadku, gdyby któryś z Polaków postanowił się oddalić, nie stracić ich z oczu. Czekali w ciszy, obserwując, jak młodszy policjant od czasu do czasu przechadza się drogą w jedną i drugą stronę. Był uzbrojony. Jegor wiedział, że musi poczekać do zmroku. Samochód stał zbyt daleko, żeby można było się do niego podkraść niezauważenie. Zwisający z ramienia Polaka pistolet

maszynowy świadczył dobitnie o tym, że strzelanina była bardzo prawdopodobnym scenariuszem. Jegor nie chciał zwracać na siebie uwagi wojska. Wolał załatwić sprawę po cichu.

Po czterdziestu minutach powrócił Wasyl. Przeprowadził przerażonego policjanta, prowadząc go na sznurku, którego pętla zaciskała się na szyi więźnia. Sińce pod oczami oraz krew na szmacie, której Ukraińcy użyli jako knebla, mówiły aż nadto wyraźnie o tym, że nie obeszl się z nim łagodnie. Patrzył teraz na nich oczami, z których strach wyciskał strumyki łez.

– Porozmawiamy sobie teraz, dobrze? – łagodny głos Jegora zdziwił nawet jego podkomendnych. – Nie krzycz, bo chłopaki poderzną ci gardło. Zrozumiałeś?

Więzień pokiwał głową. Zdjęto mu knebel.

– Jak wam powiem wszystko, to mnie puście? – Jegor z trudem zrozumiał słowa wychodzące z ust pozbawionych zębów uderzeniem kolby karabinu.

– Pozwolimy ci... odejść.

Tamten popatrzył w ziemię, na którą z jego rozbitego nosa i ust pociekła strużka krwi.

Jegor kucnął przy policjancie.

– No to co robicie tutaj, na tym zadupiu?


*P*o kilku minutach Jegor wiedział już wszystko. Odarte z munduru zwłoki posterunkowego Kowala spoczęły w krzakach, a oddział wzbogacił się o kolejnego mausera. Policjant, gdy już odpowiedział na wszystkie pytania, stał się tylko zbędnym balastem. Kazano mu ściągnąć ubranie, po czym Wasyl szepnął mu do ucha „Możesz odejść... do piekła” i poderznął mu gardło od ucha do ucha.

Słońce powoli chowało się za horyzontem. Wprawdzie Polacy próżno czekali na powrót posterunkowego, jednak nie można było wykluczyć, że ktoś się nagle napatoczy i udzieli im pomocy. Czekali zbyt długo. Nadszedł czas działania. Gdy młodszy mundurowy po raz kolejny ruszył na obchód, jeden z Ukraińców przesunął się na skraj zarośli. Po chwili ciało młodego Polaka leżało na poboczu z wystającym z piersi nożem. Już teraz nic nie stało na przeszkodzie, aby zdjąć starego przodownika. Od skraju zagajnika oderwało się pięć postaci i ruszyło w kierunku samochodu.


– Łapy do góry! – Głos Olega Horodyły zagrział niczym odgłos wystrzału. Przerażony przodownik Chmielec podniósł drżące ręce nad głowę, patrząc na stojącego przed nim równie przerażonego chłopaka z karabinem.

10



ko znalazło się w jednej linii z muszką, szczerbinką i głową człowieka stojącego przed nim. Suchość w gardle i przyspieszone tętno nie pomagały ani trochę. Czym innym jest strzelać na strzelnicy, a czym innym pociągnąć za spust, wiedząc, że ten drobny gest niemal w tej samej chwili nieodwracalnie zmieni rzeczywistość. Czyjś oddech ustanie na zawsze, czyjeś marzenia odejdą w niebyt na zawsze, czyjeś troski, kłopoty, miłość i tęsknoty w tym jednym momencie rozsypią się w pył. Czyjaś matka, a być może żona i dzieci tym jednym delikatnym ruchem palca zostaną zmienione w rozerwane cierpieniem ludzkie wraki. Jeśli nie na zawsze to z pewnością na długo. Pytanie nie brzmiało więc, czy będzie zdolny pociągnąć za spust,

ale czy będzie umiał żyć z konsekwencjami tego czynu. Jeszcze kilka sekund i wszystkiego się dowie. Przełknął ślinę, opanował strach przed tym, co się za chwilę stanie, usłyszał nad swoją głową: „Teraz!”, po czym odebrał życie człowiekowi po raz pierwszy.

 leg Horodyło zdążył tylko podejść do samochodu. Nadlatująca z zarośli kula roztrzaskała mu głowę, posyłając jego bezwładne ciało na drogę. Dalej wypadki potoczyły się szybko. Zanim Ukraińcy zorientowali się, co się dzieje, w ich kierunku posypał się grad pocisków. Nie wiedzieli zupełnie, kto i z której strony ich zaskoczył. Po kilku chwilach pięciu z nich leżało na ziemi, drgając w konwulsjach, a reszta rzuciła się przez pole w panicznej ucieczce. Patrol Michała wyskoczył na drogę gotowy do pościgu, ale dowódca powstrzymał ich. Nie było sensu uganiać się za tamtymi. Do lasu pozostało im nie więcej jak pięćdziesiąt metrów, a gdy osiągną jego linię, rozpląną się jak duchy. Żołnierze uklękli w pozycji strzeleckiej i po chwili jeden z trójki biegnących przez ściernisko bandytów zarył nosem w ziemię. Dwóm udało się zbiec.

Michał dopadł do samochodu.

– Nic panu nie jest... przodowniku? – Szybki rzut oka na szarżę siedzącego w aucie policjanta pozwolił mu się zorientować, z kim ma do czynienia.

Oszołomiony Chmielec zaprzeczył gestem głowy.

– Maszyniak... gdzie jest Maszyniak? – Z jego ust zamiast słów wypłynęło ledwie zrozumiałe rżenie.

– Ten drugi policjant? – Michał pokręcił głową. – Obawiam się, że go dorwali. Leży na lewo, z nożem w piersiach. Został tylko pan.

Do rozmawiających podszedł jeden z żołnierzy.

– Panie sierżancie, melduję, że jeden przeżył. Jest tylko ranny w ramię.

Wystraszony jak diabli. Pokazuje na jakieś krzaczory i mówi, że on nie winien, tylko mu kazali.

Michał poprawił hełm na głowie.

– No to bierz dwóch ludzi i idźcie to sprawdzić.

Po chwili żołnierze wrócili z meldunkiem. W krzakach znaleźli ciało człowieka, odarte z ubrania i zmasakrowane. Mundur leżący obok niego świadczył o tym, że to policjant.

– Posterunkowy Kowal – jęknął przodownik – dlatego nie było pomocy...

Michał poklepał go po ramieniu.

– Macie szczęście. Gdyby nie napotkana w lesie baba, która nam o nich powiedziała, nie wiedzielibyśmy nawet, że te łachudry się włóczą w okolicy. – Popatrzył na nadchodzącego w ich kierunku Piotra. Chłopak nie wyglądał dobrze. Zapadnięty w sobie, jakby na jego ramiona ktoś wrzucił worek z ziemniakami.

– Wszystko gra? – zapytał Michał jakby od niechcienia. Piotr popatrzył na niego bez uśmiechu. Zapadająca ciemność sprawiała, że kolory zlewały się w jedno, ale Michał mógłby przysiąc, że twarz chłopca była blada jak odlana z wosku. Nie odpowiedział na pytanie. Przeszedł obok i stanął nad ciałem człowieka, którego przed chwilą pozbawił życia. Michał nie przeszkadzał mu. Nie chciał. Wiedział, że z tym, przez co przechodził teraz Piotr, trzeba się oswoić, przetrwać to i nauczyć się z tym żyć.

– Kapralu Brzóska, bierzcie czterech ludzi i ruszajcie do Stryja. Niech przyślą po nas ciężarówkę. Zrozumiano?

– Tak jest, panie sierżancie! – Stuknięcie obcasami potwierdziło, że kapral doskonale zrozumiał polecenie.

Po chwili reszta oddziału krzątała się wokół samochodu, znosząc ciała zabitych.

Piotr stał na poboczu wyboistej drogi, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nie czuł nic, ani żalu, ani strachu, tylko ten ciężar, który wgniatał jego ramiona w dół. Przekroczył granicę, do której normalny człowiek, w normalnych warunkach, nawet się nie zbliża. Niestety, wojna to nie jest czas, w którym żołnierz powinien się wahać. Wiedział o tym, jednak przed oczami przesunął mu się ciągle obraz padającego bezwładnie na ziemię ciała.

– Oleg Horodyło – usłyszał tuż za sobą. Rozszerzył oczy ze zdziwienia.

– Co...?

Michał położył mu dłoń na ramieniu i westchnął.

– Położyłeś Olega, brata Swiety.

Piotr odwrócił się, gwałtownie zrzucając rękę Michała.

– Jak to..?! Skąd wiesz?!

– Ano tak to, że go poznaję. Kula przeszła przez oko, ale Olega poznałbym na końcu świata. – Zauważył wzburzenie chłopaka, lecz starał się nie zwracać na to uwagi. – Oleg trzymał się z Jegorem, jednak jego nie znaleźliśmy wśród zabitych. Bardzo więc prawdopodobne, że był jednym z tych, którym udało się zbiec.

Piotr złapał się za głowę.

– Zabiłem brata Swiety! Co ja narobiłem?!

Michał nie wytrzymał. Chwycił go za ramię i pociągnął w kierunku leżących wzdłuż drogi ciał. Przystanęli przy zwłokach Kowala. Michał wyjął małą płaską latarkę i przesunął włącznik. Żółty snop światła wyłuskał z ciemności głowę ze zmiażdżonymi kolbą karabinu ustami, po czym przesunął się na rozciętą szeroko szyję.

– Zobacz! Patrz! – powiedział spokojnie, ale stanowczo, gdy Piotr usiłował odwrócić głowę. – Nie uciekaj! Patrz! To właśnie robią bracia twojej Swiety! Mają nas za świnie, które nie zasługują nawet, aby je


zastrzelić! Tyle jesteśmy dla nich warci, że nam zamiast tego gardła podrzynają! Oleg nie zawahałby się, gdyby trzymał na muszce ciebie. Kto wie, może to on ciągnął nożem po szyi tamtego. – Michał uspokoił nieco głos. – Musisz zrozumieć, Piotrze, że to jest wojna. Ale nie myśmy ją zaczynali. Czy to ty napadałeś? Mordowałeś? Bombardowałeś? Nie! Ty jesteś tutaj od tego, żeby chronić tych, którzy tego potrzebują. Chronisz polskie matki, polskie dziewczęta, polskie dzieci. I ukraińskie też. Pamiętasz tę starą Rusinkę na drodze, która powiedziała nam o tych psubratach? To ją i jej podobnych ludzi zdecydowałeś się chronić, zakładając ten mundur. Zobacz na przodownika. Wrak człowieka. Twoja kula wystrzelona w pusty łeb tego małego sukinsyna ocaliła mu życie. Ocaliłeś życie, Piotr. Pomyśl o tym.

– Ocaliłem, odbierając inne... – Piotr pochylił głowę.

Michał machnął ręką zniecierpliwiony.

– I pewnie jeszcze nie raz odbierzesz w czasie tej wojny. Im szybciej, tym lepiej, żołnierzu. Wtedy się wyleczysz ze skrupułów. Masz prawie dwadzieścia lat. Przyjmij to jak mężczyzna, jak Polak. Jak tysiące Polaków przed tobą, którzy stanęli, żeby bronić tego kraju przed taką hołotą jak ci, co tam leżą.



ebrał się w sobie. Ruszył do pomocy pozostałym żołnierzom. Po chwili poczuł klepnięcie w ramię.

– Dobry strzał.

– Staralem się – uśmiechnął się w ciemności. I nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie on jeden zabił dziś człowieka po raz pierwszy. Pośród krzątających się żołnierzy byli również tacy, którzy nadal pozostawali po drugiej stronie tej niewidzialnej granicy, choć każdy z nich miał nadzieję, że to właśnie jego kula położyła któregoś z leżących na ziemi Ukraińców.

Przypomniał sobie babcię, która kilka godzin temu nakierowała jego oddział na uzbrojonych OUN-owców. Patrowali szosę w kierunku Michałowa, kiedy nagle napotkana po drodze Ukrainka złapała Michała za rękaw munduru i zamiast odpowiedzieć na jego pozdrowienie „Pochwalony”, powiedziała cicho:

– W lisi dziewiat’ uzbrojonych Ukraińców. – Staruszka popatrzyła Michałowi głęboko w oczy i pokiwała głową, potakując, jakby chciała przekonać żołnierza o tym, że nie kłamie. – Będą mordować. Pospieszcie się.

Michał spojrział na nią, chwytając jej wychudzoną, żyłastą dłoń obciągniętą cienką jak pergamin skórą.

– Gdzie?

Pokazała gestem dłoni kierunek.

– Ja wiem wszystko, kto po lesie chodzi. Ja tu mieszkam, w chacie za lasem. – Kiwnęła ręką w kierunku drzew.

Opowiedziała wszystko, co widziała, Michałowi, który na pożegnanie ucałował jej rękę.

– Dziękuję, matko.

Nakreśliła mu kciukiem na czole znak krzyża.

– Z Bohom, soldaty.

Przed oczami Piotra stanęła jeszcze raz ta scena. Zrozumiał. Wreszcie udało mu się w głowie wsunąć ten klocek, na którym było napisane: „Co ja tutaj robię?”, na swoje miejsce. W duchu wyszeptał do napotkanej dziś

staruszki: „Z Bogiem, matko”. Podszedł do leżącego na ziemi Olega. Dotknął jego martwego ciała i natychmiast odsunął rękę. Było jakby ulepione z ciężkiego wosku. Śmierć rozpanoszyła się na dobre, rozpoczynając nieodwracalny proces zamieniania tego, co z prochu powstało, z powrotem w proch. Podniósł się i wyszeptał pod nosem:

– Przepraszam, Swieta...

12



W tym samym czasie kilka kilometrów dalej Jegor, klnąc na czym świat stoi, oparł zmęczone ciało o pień drzewa. Obok niego przystanął Wasyl.

– Jezu, Jegor, wystrzelali nas jak kaczki. – Oddechowi Rusina daleko było do spokojnego. – Skąd oni się tam wzięli?

Jegor pokręcił przecząco głową, dłonią przyciskając ranę na przedramieniu. Była powierzchowna, kula zaledwie drasnęła skórę.

– Nie wiem. Ale cały plan, sprzęt i ludzi szlag trafił!

Wasyl, dysząc, oparł dłonie o uda i pochylił się lekko.

– Gdyby Danyło był z nami, toby nie pozwolił na działanie. Uszanowałby rozkaz Lwa Rebeta...

Nie dokończył. Stalowy uścisk Jegora zdławił jego oddech.

– Posłuchaj, skurwysynu – jego spokojny głos kontrastował z tym, co mówił – raz już o mało co nie udusiłem cię jak pisklaka. Jeśli jeszcze raz powiesz coś takiego w mojej obecności, to poderżnę ci gardło. Do trzech razy

sztuka. Rozumiesz, psie?

Wasył mrugnął na znak, że zrozumiał. Złapał potężny haust powietrza, kiedy Jegor poluzował uścisk.

– A teraz idziemy do Stryja. Czas wreszcie wyjść z nory.

Jakby wyczuł dokładnie, co się wydarzy.

Dwunastego września w Małopolsce Wschodniej cisza przed burzą dobiegła końca. Okres, w którym reszta napadniętego kraju wykrwawiała się wraz z hitlerowską nawałnicą, na jego wschodzie do tej pory upływał we względnym spokoju, jeśli nie liczyć niemieckich bombardowań. Teraz jednak oddziały Wehrmachtu przedarły się przez Sambor i dotarły pod Lwów, rozpoczynając oblężenie miasta. Ukraińcy odczytali to jako znak z nieba, sygnał do rozpoczęcia powstania. Tego samego dnia deszcz bomb przeorał na wskroś Stryj, piękne miasteczko na południe od Drohobycza. Dowódca batalionu wartowniczego nakazał wycofanie go z miasteczka. Pozostawieni w koszarach żołnierze mieli za zadanie tylko pełnić wartę przed koszarami. Rozlokowani przez Michała ludzie przez cały wieczór trwali przy koszarowych umocnieniach, czekając na to, co przyniesie noc.

A noc przyniosła wycie, krzyki i krew, kiedy uwolnieni z miejscowego więzienia ukraińscy kryminaliści przyłączyli się do OUN-owskich bojówek, rozpoczynając swoje rządy w Stryju.

Piotr bezsilnie zagryzał wargi, nie mogąc znieść odgłosów szalejącego na ulicach inferna.

– Nie będzie żadnego wyłączenia z koszar! – Michał spokojnie, ale stanowczo studził jego rozpaloną głowę. – Jest nas garstka i oprócz tego, że damy się zabić, to żadnego innego dobra ludziom nie wyświadczymy! Trwać na stanowiskach i meldować, jeśli ta hołota podejdzie pod bramę.

Podchodziła. I to nie raz. Na całe szczęście Ukraińcy po kilku próbach przejścia koszar odpuścili. Wywlekli spod obstrzału swoich zabitych i ograniczyli się do obserwacji wojskowej stancy. Wiedzieli, że z tej strony nic im nie zagrozi. W pewnym momencie Piotr dałby sobie nawet głowę uciąć, że wśród kręcących się niedaleko bramy koszar ludzi dostrzegł Jegora w tych jego oficerkach. Przyłożył karabin do ramienia, ale mężczyzna zniknął z pola widzenia.

„Szkoda – pomyślał – mógłbym załatwić sprawę tu i teraz”. Przez całą noc wypatrywał oficerek. Te jednak nie pojawiły się już więcej.

Nad ranem Ukraińcy spróbowali jeszcze raz. Piotr, mrużąc oczy z niewyspania, celował krótko, spokojnie. Przeładowywał mausera bez nerwowego napięcia. Tylko raz, kiedy z za rogu pobliskiego domu wybiegło kilku mężczyzn uzbrojonych w pistolety, zadrżała mu ręka. Jednak nacierający byli na tyle blisko, iż nie było mowy o tym, żeby chybić. Lekkie ściągnięcie spustu, huk, szarpnięcie i wąsacz w białej koszuli leży na ziemi bez ruchu.

Wtedy zabił po raz drugi. I trzeci.

– **P**anie sierżancie! Wojsko! Wojsko nadchodzi!
Michał poderwał się na równe nogi.

– Nasi?!

– Pewnie, że nasi! A kto ma być?

– Otwierać bramę!

Po chwili koszary zaroily się żołnierzami przybyłymi na odsiecz Stryjowi. Michał zameldował się u dowódcy marszowego batalionu.

– Dziękuję, sierżancie, za utrzymanie stancy. Wypełniliście znakomicie swój obowiązek!

– Gdy odchodzi drapieżnik, zjawiają się hieny, panie majorze.

– To prawda – oficer oparł się dłońmi o stół i westchnął. – Coraz częściej zorganizowane grupy takich hien rozbijają pojedynczych żołnierzy i policjantów, nierzadko mordując ich potem bezwzględnie. Nawet zwykli mieszkańcy przestali się czuć bezpiecznie, grasujące ukraińskie bandy napadają na polskie domostwa, rabując i zabijając. OUN-owcy ochoczo zabierają się do pisania nowego rozdziału stosunków ukraińsko-polskich.

– Niedoczekanie ich – Michał warknął ze złością – przynajmniej dopóki tu jesteście. Już dopadliśmy raz takich bandytów, niedaleko stąd.

Dowódca batalionu kiwnął głową, po czym wyprostował się.

– W każdym razie dziękuję jeszcze raz. Dobra robota.

– Tak jest, panie majorze!

Strzelenie obcasami oraz męski, silny uścisk dłoni zakończyły formalności przejęcia koszar przez żołnierzy 49. Huculskiego Pułku Strzelców. Rozpoczęło się kilkudniowe odbijanie miasta z rąk sześciuset ukraińskich bojówkarzy.



Do Małyk zbliżali się Sowieci. Nóż wbity Polsce w plecy przez Stalina rozplątał broniący się przed dwoma agresorami kraj na dwie części. Rozbijane przez krasnoarmiejców polskie oddziały znalazły się w potrzasku.

Część z nich przebijała się w kierunku Warszawy, inne próbowały przedostać się do granicy z Rumunią i Węgrami. Piotr, przekraczając wraz ze

swoimi towarzyszami broni granicę z krajem Madziarów, patrzył za siebie ze ściśniętym gardłem. Zostawiał za sobą wszystko, co znał. Swoją ukochaną Warszawę, umierającego ze strachu o niego ojca, Michała, który zdecydował się pozostać w kraju, oraz Bedryczany, które odmieniły jego życie i dały mu małą czerwoną kokardkę. Ścisnął ją w dłoni, kiedy jego stopy minęły graniczny słup. Zagryzł wargi i poprawił mundur, a deszcz idealnie maskował łzy płynące po jego policzkach. Nie chciał wpaść w sowieckie łapy. Wolał wybrać tułaczkę. Ci, którzy szli razem z nim, wierzyli zresztą, że niebawem powrócą do kraju u boku sojuszników, aby odbić Polskę z rąk obydwu agresorów. Na razie jednak cała Europa przyczaiła się w nadziei, że zajęcie Polski przez bandę dwojga zakończy ten wojenny koszmar. Naiwni Francuzi i Anglicy czekali, nie czując nawet, że likwidacja ich najwierniejszej sojuszniczki to nie przypadkowy gangsterski napad w bramie, po którym nastąpi pokój. To było jak wykopanie taboretu spod nóg skazańca. Cały świat zastygł w pozornej ciszy będącej jedynie fazą lotu, po którym mordercze szarpnięcie sznura zakończy jego żywot.

Niestety, Małyki leżały daleko od granicy węgierskiej. Na dodatek Swieta i Marta ani myślały dokądkolwiek uciekać. Dopiero co dotarły do swojego nowego miejsca pobytu. Wojna zaskoczyła wszystkich, choć ludzie w wiosce zareagowali raczej spokojnie. Kto miał pójść do wojska, już poszedł. Reszta wróciła do swoich codziennych zajęć.

– Wojna nie wojna, zwierzęta trzeba nakarmić jak co dzień – mówili wszyscy. – A i w polu samo się nie robi.

Marta chciała wracać. Z trudem udało się Swiecie ją przekonać do tego, żeby choć posłuchała, co mają jej do powiedzenia ludzie, u których się zatrzymały.

– Ładna jesteś. – Łuczenkowa pogłaskała ją po policzku. – Wiesz, co ci

sołdаты zrobią, jak cię dopadną gdzieś na drodze? Nie nasze, polskie, ale te inne. Będiesz leżeć w rowie z podwiniętą spódnicą przez cały dzień, tylko one będą się zmieniać. Chcesz tego? Wrócisz, jak się zawierucha skończy.

Poddała się.

A jednak bezpieczna do końca nie była. Pokłóciły się ze Swietą o śpiew. Swieta nuciła swoje melodie, przygotowując posiłek dla pracujących w polu gospodarzy, podczas gdy Marta zamiatała izbę. Źle jej się kojarzyła ta melodia. Pamiętała dobrze, co tak urzekło Piotra pod bedryczańską cerkwią. Może w innych okolicznościach nie zwróciłaby nawet na to uwagi, puściła mimo uszu. Ale w chwili, gdy przytłaczał ją strach o matkę i niepewność co do własnego losu, gdy targały nią emocje, z którymi nie potrafiła sobie poradzić, pękła.

– Przestań śpiewać, do cholery! – Trzasnęła miotłą o podłogę i stanęła w rozkroku z zaciśniętymi pięściami. – Nie wytrzymam dłużej tego cerkiewnego zawodzenia!

Swieta zamilkła, zaskoczona. Rozszerzyła oczy ze zdziwienia i patrzyła na twarz Marty wykrzywioną grymasem bólu.

– Martoczka, coś ty...

– Martoczka, sroczka! – dziewczyna zatkała uczy dłońmi, przygniatając włosy, które wymknęły się z upięcia. Ruszyła szybkim krokiem w kierunku drzwi. Swieta chwyciła ją za rękę, ale Marta wyrwała się, sycząc:

– Puszczaj!

Wybiegła z domu. Nie wiedziała, dokąd iść, po prostu czuła, jak nogi same ją niosą w kierunku zakurzonej drogi. Odgarnęła przyklepione do czoła włosy i poprawiła koński ogon. Tysiące myśli urządziło sobie w jej głowie wyścig, a ona zupełnie nie wiedziała, jak nad nim zapanować. Zatrzymała się dopiero, gdy czyjaś ręka chwyciła ją za ramię.

– Gdzie tak spieszno, a? – Wysoki mężczyzna z czerwoną opaską na rękawie wysłużonej marynarki mówił po polsku z wyraźnym wschodnim akcentem. – Paniusia taka ładna, poznajomymos', a?

– Puszczaj, chamie! – Wyrwała mu się, nie bardzo rozumiejąc, czego ten człowiek od niej chce. Rozejrzała się dookoła. Zaczepiający ją chłop nie był sam. Razem z nim na drodze stało kilku innych noszących czerwone opaski ludzi. Nie знаła ich, nie potrafiła określić, czy byli mieszkańcami wioski. Jednak z pewnością nie byli Polakami. Ukraińcy, kilku Żydów, może jakiś Białorusin. Spojrzała na przydrożne domy w poszukiwaniu pomocy. Widziała sąsiadów obserwujących grupę zza półotwartych drzwi, ale żaden nie kwapił się, aby stanąć w jej obronie.

– Laszka, i to harda! – Mężczyzna wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. – A my tu właśnie po to, coby już waszych rządów nie było. Krasnaja Armia nadciąga. Skończy się wasze panowanie. A póki co, my porządzim. Komitet rewolucyjny!

– Zostaw!

Dźwięczny głos Swiety zaskoczył go. Zmarszczył brwi.

– Ukrainka? I stajesz w jej obronie? Przecież to paniusia jest, rączek nie ma pracą zbrukanych!

Swieta zasłoniła sobą przerażoną Martę.

– Nic ci do tego, idźcie swoją drogą! – W jej ręku pojawił się nóż wyciągnięty z fałdy spódnicy.

Ukraińiec roześmiał się i wskazał innym małe ostrze.

– Głupia, my po twojej stronie. Sowiety nas wyzwolą spod pańskiego panowania. Takie jak ona pójdą na materac. Robotniczo-włościańska armia nawróci je na komunizm, o tym! – Pokazał palcem na swoje krocze, wzbudzając śmiech towarzyszy.

– Po moim trupie, psie! – Swieta mocniej zacisnęła palce na rękojeści.

Mężczyzna przestał się uśmiechać i wyciągnął zza paska bagnet.

– A to da się zrobić – wycharczał ze złością. – Od ręki...

– Witia, wojsko idzie! – Zza zakrętu wybiegł kolejny czerwony.

Ukrainiec opuścił rękę trzymającą broń.

– Gdzie? Nasze?

Nadbiegający człowiek z opaską na ramieniu pokręcił przecząco głową.

– Nie nasze, polskie.

– A dużo ich?

– Tylko kilku.

Mężczyzna uśmiechnął się brzydko.

– No to im zgotuję powitanie. Rozstawić się i wziąć kije do ręki. Będziem witać pańskie wojsko. A ty – zwrócił się do stojącego obok dziewcząt młodego Żyda – pilnuj ich, żeby mi nie uciekły.

Żyd pokiwał głową i wyciągnął rękę, żeby przytrzymać Swietę.

– Flaki wypruję, Jewrej, jak mnie tkniesz – ton głosu Ukrainki sprawił, że mężczyzna natychmiast cofnął dłoń, jakby się sparzył.

Tymczasem na drodze pojawił się patrol złożony z ośmiu żołnierzy. Szli z bronią przygotowaną do strzału. Zmęczeni, zarośnięci, ale czujni. Już zobaczyli niecodzienne zgromadzenie złożone z przyozdobionych czerwonymi opaskami komunistów i dwóch przestraszonych dziewcząt. Czerwoni rozproszyli się wzdłuż drogi, trzymając w rękach pałki. Tylko jeden z nich uzbrojony był w pistolet.

– Co się tu dzieje? – Dowódca w randze sierżanta wyszedł przed swoich żołnierzy, którzy zatrzymali się, zdziwieni zbiegowiskiem.

– Nie wasza sprawa, pańskie wojaki. – Ten z pistoletem, najprawdopodobniej przywódca, przecisnął się przez swoich ludzi i stanął przed sierżantem. – Koniec waszych rządów i waszej wojny. Teraz rządzą

tu my, komuniści...

Nie dokończył. Kolba karabinu trafiła go w brzuch, a zaraz potem, gdy pochylił się, stękając z bólu, spadła na jego głowę. Ukraińiec padł na drogę.

Żołnierze odbezpieczyli karabiny i wycelowali w kierunku pozostałych niedoszłych rewolucjonistów, którzy z niepewnymi minami dalej dzierżyli w rękach kije.

– Rzucić te badyle na drogę i spieprzać, dziady kalwaryjskie! – Warknięcie sierżanta poparte strzałem z mausera prosto pod nogi tracących rezon czerwonych podziałało nadzwyczaj mobilizująco. – Ja wam, kurwa, dam komitety, sowieciarze!

Kije gruchnęły o ziemię i w chwilę potem na drodze, oprócz zdejmujących hełmy żołnierzy oraz dziewcząt, nie było nikogo.

– Nie bójcie się. – Sierżant podszedł do dziewcząt. – Nic wam już nie grozi. Przynajmniej na razie, bo Sowietci nadchodzą i będą tu niebawem. Rozbili nasz oddział wczoraj. Odkoczyliśmy i teraz próbujemy dołączyć do jakiejś większej jednostki na zachodzie.

– Dżakujemo. – Swieta schowała nóż i spuściła głowę.

– Ukrainka? – Żołnierz natychmiast obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

– A to jakiś problem, panie sierżancie? – Marta zrobiła krok w przód.

Dowódca pokręcił przecząco głową.

– Nie, po prostu zdziwiłem się, że Ukraińcy tak szczekali na swoją.

– Szczekali, psu braty jedne, bo Swieta stanęła w mojej obronie.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, a nadchodzący żołnierze uśmiechali się, widząc swojego dowódcę rozmawiającego z dwoma pięknymi dziewczętami.

– Pan sierżant to wszystko, co najlepsze, tylko dla siebie trzyma.

Gruchnął śmiech i atmosfera natychmiast się rozluźniła.

– A panie może znają się na opatrunkach? Bo u nas jeden w nogę ranny.

– Ja znam... – podniosła rękę Swieta. – Pokaż.

Podeszła do młodego blondyna, który już siadał na ziemi i zdejmował but, wpatrując się w śliczną twarz Ukrainki i czerwieniąc się jak burak. Między pozostałymi chłopcami rozszedł się głośny pomruk.

– Uuuuuuuu!

– Ja też jestem ranny, w serce! Pani opatrzy? – Następny z nich usiadł obok swojego kolegi. Swieta uśmiechnęła się zawstydzona. Reszta zgromadziła się wokół Marty i sierżanta.

– A pani też sanitariuszka?

– Niestety – Marta pokręciła głową przecząco – tylko Swieta jest pielęgniarką.

Sierżant podniósł brwi i machnął ręką.

– Nie tłoczyć się tutaj. Odpocznijcie, bo zaraz ruszamy dalej.

Zwrócił się do Marty, która cały czas zerknęła na opatrującą żołnierza Swietę. Tak jakby chciała czuwać nad jej bezpieczeństwem.

– A mogłaby się pani odwdzięczyć i przynieść nam trochę wody? – zapytał dowódca, uśmiechając się do niej.

– Tak, oczywiście. A w ogóle to zapraszam do nas. Damy wam coś do zjedzenia, chłopcy.

– Dziękujemy, będziemy zobowiązani.

– Jacy zobowiązani. Przecież wy to nasze wojsko – Marta odwzajemniła uśmiech.

Sierżant odwrócił się w kierunku swoich żołnierzy.

– Chłopcy, zbierać się. Idziemy z tą panną.

– Aaaaaaaa – kolejny pomruk oznaczał, że wszyscy są bardzo zadowoleni z zaproszenia. Zanim jednak podnieśli się z miejsca, padł jeszcze jeden rozkaz.

– Strzelec Maciejak, weźcie jeszcze dwóch i wyprowadźcie tego czerwonego sukinsyna za wioskę. I niech spieprza. Jak będzie się stawiał, to parę pał na dupę, rozumiano?

– Tajest, panie sierżancie!

Swieta szła obok Marty, trzymając ją pod rękę, tak jakby były najlepszymi przyjaciółkami, a nie nieznoszącymi się rywalkami.

– Oni są inni, ci żołdacy – bardzo starała się mówić po polsku, ale Marta i tak roześmiała się z tej nieporadnej składni. – Nie zrobią nam krzywdy.

Polka położyła swoją dłoń na jej ręce.

– Swieta, to nasi żołnierze. Nasi. Moi i twoi. Pamiętaj, dopóki tu są, nic nam nie grozi, najwyżej żarty i uśmiechy.

– Akurat ja temu nieprzeciwna – roześmiała się Ukrainka, spoglądając do tyłu na podążających za nią malowanych chłopców, którzy od razu pomachali jej, szczerząc zęby.

Po dwugodzinnym odpoczynku najedzeni żołnierze ucałowali dłonie goszczących ich Łuczenków, zaczerwienili się po tym, jak dziewczęta wycalowały w policzki każdego z nich, nie wyłączając sierżanta, po czym trzasnęli obcasami i odeszli na zachód. Wszystko wróciło do normy. Poza jednym. Swieta tuż przed położeniem się spać poprosiła Martę o rozmowę.

– Marta, posłuchaj... Wiem, że mnie nie lubisz, wiem, że masz mi za złe Piotra. Ale teraz wszystko wygląda inaczej niż dwa tygodnie temu. Jest wojna. Nie wiemy, co się dzieje w Bedryczanach. Nie wiemy, co uknuł Jegor. Nic nie wiemy. I dopóki się nie uspokoi w kraju, nie ruszymy się stąd. Łuczenkowie są gościnni, ale to tak naprawdę obcy ludzie. To mój ojciec ich znał, nie ja. Mamy teraz tylko siebie. Ja będę cię chronić na tyle, na ile mogę. Ale nie możemy się już kłócić. O nic, a zwłaszcza o Piotra.

Marta popatrzyła w oczy towarzyszcze. Ścisnęła usta. Po jej policzku popłynęła łza, ale nie powiedziała nic.

– Marta, Piotra tutaj nie ma. I tak naprawdę to Bóg wie, kiedy się z nim spotkam. Nie ma o co teraz strzepić języka. Na razie jesteś tylko ty i ja.

Polka przytuliła się do niej całym ciałem.

– Dobrze, Swietka. Tylko ty i ja.

Łuczenko miał nosa. Czerwonoarmiści głodni, brudni i obdarci byli jak szarańcza, wyżerając wszystko, co się da, dokonując samosądów i zamieniając polskie dziewczęta w wielokrotnie zgwałcone ludzkie wraki. Piękne Swieta i Marta z całą pewnością stałyby się łupem tej hołoty. Dziewczęta dały się namówić swoim ukraińskim gospodarzom na to, aby zawieruchę przeczekać w małej izdebce bez okien. Wejście do niej stary Łuczenko zasłonił ciężkim kocem i wysoką komodą. Jeśli ktoś nie wiedział o istnieniu schowka, raczej nie miał szans, by się tego domyślić, nawet stojąc naprzeciw wejścia. To, co miało być tymczasowym schronieniem, stało się dla dziewcząt mieszkaniem na długie miesiące, aż do wiosny.

Terror zafundowany Lachom przez nowych włodarzy nie ominął Małyk. Na początku grudnia żołdacy w czapkach z niebieskim otokiem zapukali do drzwi wójta oraz kilku przedwojennych działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Zafundowano im podróż bydłocymi wagonami do krainy wiecznych mrozów, podobnie jak dwu milionom innych Polaków. Do bramy mieszkającego w małym dworku szanowanego doktora ze szlacheckim rodowodem nie zapukano. Sowietci wywiercili kulą z pistoletu małą dziurkę w jego potylicy już we wrześniu. Jego żonę i dwie córki wyprowadzono za dom i rozstrzelano, upewniwszy się przedtem, że dziewczęta nie umrą dziewczicami.

Zima na przełomie trzydziestego dziewiątego i czterdziestego roku była

tak mroźna, że tylko to, iż mała izdebka przylepiona była do ściany, za którą stał kuchenny piec, uchroniło Świętę i Martę od zamrożenia. Łuczenko początkowo pozwalał im wychodzić na zewnątrz tylko wczesnym rankiem lub późnym wieczorem, tak aby nikt nie zwracał na nie uwagi. Troska o nowe lokatorki w jego skromnych progach była tylko częścią prawdy. W rzeczywistości bał się, iż sam napyta sobie kłopotów, gdy sekret zostanie odkryty przez jego współziomków. Jednak po miesiącu koczowania w małym pomieszczeniu dziewczęta zbuntowały się. Nie pomogły groźby i prośby. Odtąd wszyscy we wsi wiedzieli, że u Łuczenków mieszkają dwie siostry „spid Lwowa”.

Dziewczęta nudziły się bardzo. Aby zabić czas, Święta uczyła młodszą przyjaciółkę wszystkiego na temat pierwszej pomocy, opatrywania ran i zakładania opatrunków, czyli tego, co umiała robić najlepiej. Sama za to całe dni zamęczała Martę nauką języka polskiego. Do znudzenia powtarzała zwroty i uczyła się słówek. Szybko nabrała wprawy i płynności. Jedyne śpiewny akcent zdradzał jej pochodzenie. Na pytanie Marty o cel nauki odpowiedziała, uśmiechając się lekko:

– To dla Piotra. Niespodzianka...

Marta za to nie chciała uczyć się ukraińskiego. Coraz bardziej zamykała się w sobie. Nikła w oczach. Apatia zaczęła pożerać ją od środka. Tęsknota potrafi pochłonąć nawet najbardziej odpornego na stres człowieka. Marta była bardzo silna, jednak brak jakichkolwiek wiadomości od matki sprawiał, że potrafiła nie odzywać się całe dni. Miały przecież wyjechać tylko na jakiś czas, dwa tygodnie, może miesiąc. Kiedy jednak wybuchła wojna, stało się jasne, że powrót wiązał się z dużym ryzykiem. Zostały więc w Małykach.

Święta swą obsesją na punkcie nauki nowego języka zmuszała Martę do jakiegokolwiek aktywności. Sama zaś napisała list do domu z dyskretnym zapytaniem o los pani Marii, który Łuczenko posłał przez zaufanego sąsiada

jadącego do Drohobycza. Odpowiedź przyszła pod koniec listopada. Swieta przeczytała list i schowała go natychmiast. Nie chciała, aby Marta dowiedziała się o jego treści.

Matka krótko poinformowała ją o śmierci ojca. Brat poszedł we wrześniu do lasu rozbijać polskich żołnierzy powracających do domu i już nie wrócił. Pewnie został zastrzelony przez któregoś z nich. Została więc w domu sama. Panią Marię zaś zabrało NKWD. Jako wdowę po miejscowym „baronie naftowym” potraktowano ją jak wroga ludu. Odjechała na wschód jednym z pierwszych transportów na Syberię albo jeszcze dalej, na Kołymę. Pytano również o Martę, ale nikt nic nie wiedział, więc sprawa przycichła.

Po wejściu Sowietów dworek Kosieckich został zarekwirowany na potrzeby lokalnego komitetu partyjnego. Witalij wrócił do swojego domu obok cerkwi. Walczących z Bogiem czerwonych kłóła w oczy drewniana świątynia sąsiadująca z ich nowiutkim komitetem. Załatwili sprawę, zamieniając ją na magazyn.

List kończył się słowami: „Nie wracaj! Nie ma do czego. Ja sobie poradzę, a ty żyj”.

Swieta przepłakała całą noc.



*P*iotr poznał Kubę na skutek złamania starej zasady, że przy alkoholu o polityce się nie rozmawia, jeśli chce się uniknąć kłótni. To było jeszcze we Francji, wiosną 1940 roku. 4. Dywizja Piechoty, w której służył,

stacjonowała w Parthenay na wschodzie kraju. Dywizja, optymistycznie powiedziane. W rzeczywistości stanowili zbieraninę cywilów, emigrantów i uciekinierów z Polski, nierzadko bez mundurów. Francuzi, pomni na błyskawiczną i druzgocącą w ich mniemaniu klęskę armii polskiej, skąpili sprzętu, uniemożliwiając tym samym ćwiczenia. Wolnego czasu było zatem aż nadto. Od czasu do czasu zdarzały się więc wycieczki do pobliskiego baru, gdyż dyskusje przy piwie są dużo przyjemniejsze od tych w wojskowych namiotach.

Piotr nie pił piwa. Nie pił w ogóle żadnego alkoholu, odkąd poprzedniego lata zmasakrował swój organizm ukraińskim samogonem. Czuł wstręt do wszystkiego, co zawierało procenty. Nawet nasączone spirytusem ciasta przyprawiały go o tortury żołądka. Tego dnia sączył tylko wodę z sokiem, podczas gdy jego kompani, Mirek, Franek oraz ich gość, nieznany mu do tej pory Kuba, który przybył do Parthenay zaledwie kilka dni wcześniej, raczyli się złocistym trunkiem. Kolejna dyskusja na temat kampanii wrześniowej nie wzbudzała jego zainteresowania. Ból po klęsce odczuwali wszyscy. Upokarzające, okazywane na każdym kroku przez francuskich towarzyszy broni poczucie wyższości także. Widać było ich pogardę dla szeleszczących w dziwnym języku uchodźców z kraju, który – w ich mniemaniu – padł przed Hitlerem na kolana w ekspresowym tempie. Francuzi im nie ufali.

Za to dzisiaj Francuzki potrafiły przejść do porządku dziennego nad polityką po to, żeby z zainteresowaniem przyglądać się egzotycznym dla nich mężczyznom w mundurach. Dziewczyny były trzy, ale ich rodaków było znacznie więcej. Piotr i jego trzej koledzy stanowili zdecydowaną mniejszość w lokalu. Siedzieli przy stoliku, spoglądając w głąb sali, gdzie dziewczęta stojące przy barze w towarzystwie miejscowych chłopaków spoglądały przez ich ramię w stronę Polaków, chichocząc między sobą. To nie mogło trwać długo. Ich mężczyźni szybko połapali się, w którą stronę zerkają towarzyski.

Nastąpiła krótka, gwałtowna wymiana zdań między nimi. W momencie gdy siedzący obok Piotra Mirek mrugnął porozumiewawczo w stronę jednej z kobiet, Francuzi nie wytrzymali.

Piotr spoglądał w stronę Francuzek, ale nie skupiał się na ich twarzach. Przypomniały mu po prostu o innej dziewczynie, którą zostawił na drugim końcu Europy, jeszcze zanim wojenna zawierucha rozpętała się na dobre. Żadna ze stojących przy barze kobiet nie przypominała wyglądem Świety. Nie musiała. Pamięć o niej podsyciała w nim nieustannie ogromna, wypełniająca go tęsknota.

– Będą kłopoty – z zamyślenia wyrwał go głos Mirka. Dopiero teraz zauważył czterech mężczyzn nadchodzących w ich kierunku. Jeden z nich podniósł hardo głowę, po czym powiedział coś do nich w swoim języku.

– O czym on mówi? – zapytał Piotr Mirka. Jedyne język, który znał, to był angielski. No, może jeszcze odrobinę niemieckiego. Za to francuski to była totalna czarna magia.

– Mówi, że podrywamy ich dziewczyny, a to im się nie podoba. – Mirek podniósł kufel do ust. Nie zamierzał go pić, chciał go mieć po prostu pod ręką.

– A podrywamy? – zapytał go Piotr, nie patrząc w stronę stojących obok mężczyzn, którzy gestykulowali coraz głośniejsze.

– Oczywiście! – Mirek wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jesteśmy polskimi żołnierzami. To zobowiązuje. Szczególnie wobec płci pięknej.

Piotr parsknął śmiechem i spuścił głowę. Stojący obok stolika tubylcy nie pojęli ani słowa. Jednak to, że tych trzech włóczęgów się z nich się śmiało, zrozumieli doskonale. Jeden z nich pochylił się nad Polakami i rzucił w ich stronę niskim, gardłowym głosem:

– Comment se fait-il que Hitler n'a pas tous vous tue?³

Polityka i alkohol to jednak kiepskie połączenie. Gdyby Francuz nie

wychylił wcześniej kilku kufli, nie odważyłby się na taki zuchwały komentarz, a już na pewno nie straciłby czujności i nie podszedłby tak blisko do stolika. Wyrzucona w bok pięść siedzącego naprzeciw Piotra Kuby wbiła się w krocze zaskoczonego mężczyzny, który zgiął się wpół. Zanim jego osłupiali koledzy zdążyli zareagować, Kuba roztrzaskał szklanke z resztkami piwa na jego głowie. Potem wszystko potoczyło się szybko. Piotr nie zdążył jeszcze wstać, kiedy Kuba był już przy drugim Francuzie. Uderzył krótko, łokciem w twarz. Przytrzymał wiotczącego mężczyznę za kołnierz i zasłonił się nim jak tarczą przed szarżującym na niego następnym napastnikiem. Piotr nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego, nawet na Czerniakowie, gdy największe kozaki skakały sobie do oczu. Kuba był wszędzie, szybki jak myśl. Błyskawicznie rozglądał się na boki, szukając kolejnego celu do zaatakowania. Schodził z linii ciosów po to, żeby sekundę później, szarpiąc przeciwnika za koszulę od tyłu, powalać go pięścią spuszczoną na głowę jak młot. Unik, zejście bokiem, blok ciosu i wystrzelona do przodu otwarta dłoń powalała kolejnego delikwenta, dosięgając gardła.

Jednak sytuacja stawała się coraz mniej ciekawa. Mimo wyeliminowania krewkich konkurentów chłopcy znaleźli się w pułapce. Przed nimi wyrósł pierścień ludzi, odcinając im drogę ucieczki. I gdy na sekundę Kuba odwrócił się do nich plecami, w jego stronę rzucił się stojący dotąd z boku dryblas. Nie dosięgnął celu. Wyrzucona do przodu stopa Piotra trafiła go prosto w brzuch, osadzając na miejscu. Piotr szybko zajął pozycję za plecami Kuby i osłonił go od tyłu.

– Dzięki – usłyszał jego głos.

– Nie ma za co. – Uśmiechnął się do siebie. – My, rodacy, musimy sobie pomagać na obczyźnie. Gdzie się tak nauczyłeś bić?

Kuba nie odzywał się dłuższą chwilę, jakby mocował się z myślami.

– W piaskownicy.

Okoliczności jednak nie sprzyjały rozmowie. Mirek i Franek wstali od stolika, nie bardzo wiedząc, co mają zrobić, ale samą swoją obecnością odstraszaali stojących w półkolu Francuzów gotowych do walki. Gotowość a chęć to jednak dwie różne rzeczy. Krótki pokaz możliwości polskiego żołnierza ostudził wojownicze zapędy miejscowych. Nie schłodził jednak spojrzeń zapatrzonych w nich dziewcząt stojących przy barze. Te patrzyły na Polaków tak, jak dzieci na odpuście spoglądają na watę cukrową.

Byliby pewnie tak trwali w bezruchu do dnia ostatecznego, oddzieleni od stojących naprzeciw ludzi kilkoma wijącymi się na podłodze ciałami, gdyby nagle do knajpy nie wtoczyła się francuska żandarmeria wojskowa zaalarmowana przez właściciela. Przecinając powietrze dźwiękiem gwizdków, pięciu umundurowanych żandarmów wymierzyło karabiny najeżone bagnetami w stronę Polaków, którzy odetchnęli z ulgą. Byli uratowani.

Noc spędzili w celi francuskiego aresztu, umieszczonej w jednej z kilku wnęk w niskiej piwnicy o krzyżowym sklepieniu. Wnęki ulokowane były po dwu stronach korytarza, od którego oddzielały je zakratowane wejścia. Sojusznicy potraktowali ich szorstko, odebrali im wszystkie rzeczy osobiste łącznie z pasami wojskowymi. Mirek i Franek chrapali już od dawna na drewnianych pryczach. Piotr przyciskał policzek do krat, próbując wyłować jakiegokolwiek dźwięki zza drewnianych drzwi na końcu korytarza, które prowadziły na schody. Nic z tego. Za zamkniętymi na cztery spusty drzwiami panowała kompletna cisza.

– Pies z kulawą nogą się nami nie zainteresuje – powiedział do siedzącego na betonowej posadzce w rogu celi Kuby. Ten jednak nie podjął rozmowy. Piotr nie zamierzał dać za wygraną. Zbyt mocno intrygował

go ten krótko ostrzyżony, tajemniczo milczący chłopak.

– Czemu pograłeś z nimi tak ostro? – zapytał, patrząc niezmiennie w kierunku drzwi na schody. – Poszuraliby trochę i wszystko rozeszłoby się po kościach.

Kuba westchnął, oparłszy głowę o ścianę.

– Słyszałeś, co on powiedział?

Piotr pokręcił głową przecząco.

– Słyszałem, ale niewiele zrozumiałem. Nie mówię zbyt dobrze po żabojadzku.

– Powiedział, że nie wie, jak to się stało, że Hitler nas wszystkich nie wyrznął. – Głos Kuby odbił się beznamytnym echem od ścian celi.

– Sukinsyn! – Piotr zacisnął dłonie ze złości. – Więc należało im się!

Kuba uśmiechnął się beznamytnie do ściany. Widać było, że naprawdę nie ma ochoty na dłuższą rozmowę.

Nie miało to już jednak znaczenia. Drzwi do aresztu otworzyły się z trzaskiem, a przez nie wtoczył się tusty francuski wartownik. Tuż za nim wszedł postawny mężczyzna z wąsem w obstawie dwóch oficerów w polskich mundurach. Wąsacz również miał na sobie polski uniform, którego pagony zdobiły dystynkcje pułkownika. Cała świta zatrzymała się przy wejściu do celi, przy którym po drugiej stronie prężyły się w postawie na baczność sylwetki wszystkich aresztantów.

Pułkownik zrobił krok w przód. Piotr kątem oka rzucił na jego twarz. Ich spojrzenia skrzyżowały się na ułamek sekundy, po którym Piotr odwrócił wzrok. Oczy tamtego były oczami wilka. Zimne i nieznoszące sprzeciwu. Piotr znał tego człowieka i wiedział, że zamiast niego wolałby zobaczyć u wejścia kompanię Wehrmachtu. Podpadli i to bardzo, a teraz zostanie ogłoszony wyrok. Niski, mocny głos uderzył w nich jak fala tsunami.

– Nie ma we Francji tylu latryn, które musielibyście wyczyścić gołymi

rękami, żeby mnie udobruchać.

Piotr czuł, jak strużka zimnego potu spływa mu po karku.

Zgrzytnął zamek, pułkownik obrócił się na pięcie, a jeden z towarzyszących mu oficerów wydał komendę: „Spocznij!”.

Powlekli się korytarzem do wyjścia. Kuba przysunął się bliżej Piotra i zapytał szeptem:

– Kto to jest?

– Nie wiesz? – Piotr ściszył głos. – To zastępca Boga w tej jednostce. Pułkownik Sosabowski. A my właśnie trafiliśmy do jego czyścica.

15



– **S**kurczybyk! – Piotr otarł wierzchem dłoni spoczone czoło. – Nie żartował z tymi kiblami!

Kuba, który na czworakach szorował drucianą szczotką przeraźliwie brudną drewnianą podłogę, popatrzył na swojego nowego kolegę i wzruszył ramionami.

– I tak nie mamy nic innego do roboty. Wolę to niż ślęczenie w barze i żłopanie piwska.

Piotr wrócił do przerwanej czynności polegającej na zeszkrobywaniu brudu ze ścian za pomocą łyżki. Mimo całego wysiłku włożonego w wykonywaną pracę wieczorem ubikacje wyglądały dokładnie tak samo jak rano, obrzydliwie i obskurnie.

Po kolacji obaj żołnierze zostali wezwani do gabinetu dowódcy.

„Gabinet” był określeniem zdecydowanie na wyrost w odniesieniu do tego małego skromnego pokoiku. Niewielkie biurko, na którym oprócz lampki, kilku ołówków i dwóch dopiero co otwartych listów nie było nic, godło Polski zawieszona na ścianie i niewielka półka wypełniona woluminami stanowiły prawie całe jego wyposażenie. Prawie, bo oprócz krzesła, na którym siedział pułkownik Sosabowski, były jeszcze dwa ustawione naprzeciw niego.

Pułkownik studiował list w skupieniu, nie zwracając zupełnie uwagi na stojących przed nim na baczność wyprężonych jak struna żołnierzy. Nie pomagało to w opanowaniu zdenerwowania, które młody Ochocki czuł od chwili, kiedy zastukali do drzwi. Wolałby już chyba wrócić do czyszczenia tych cholernych ubikacji niż sterczeć tutaj w oczekiwaniu, aż Zeus podniesie swoje boskie czoło i rzuci gromem, od którego spłoną w ułamku sekundy.

Wreszcie Sosabowski odłożył kartkę papieru, spojrzał na dwa słupy soli przed nim i westchnął:

– Panowie – oparł ręce na łokciach i zaplótł dłonie – bijatyki w barze to nie jest coś, z czego polski żołnierz może być dumny. Pobicie goszczących nas u siebie obywateli zaprzyjaźnionego mocarstwa zasługuje na naganę.

Odpowiedziała mu tylko cisza. Chłopcy wpatrywali się w przeciwległą ścianę.

– Wiem, co było przyczyną waszego zachowania – kontynuował pułkownik. – I nie chodzi mi o ładne francuskie dziewczęta. – Kąciki ust Piotra podniosły się lekko ku górze. – Biorę to pod uwagę, mimo iż w pierwszej chwili miałem was ochotę rozszarpać własnymi rękami – westchnął ponownie. – No i co ja mam z wami teraz zrobić?

Jego pytający wzrok znów napotkał jedynie nieme, kamienne maski.

– Sierżant Jakub Błaszczuk. – Popatrzył na wyprężonego Kubę. – Służyliście we wrześniu w 11. Karpackiej Dywizji Piechoty, prawda?

– Tak jest, panie pułkowniku!

– Gdzie dokładnie?

– 49. Huculski Pułk Strzelców, panie pułkowniku!

Sosabowski zamilkł. Patrzył uważnie na kamienną twarz stojącego przed nim żołnierza, jakby chciał przeniknąć go wzrokiem na wylot, nie zauważając, jak oczy Piotra zamieniają się w dwa spodki.

– To dlatego wołają cię „Hucuł”?

– Tak jest, panie pułkowniku!

– Byłeś... – Sosabowski zawahał się – walczyłeś pod Jaworowem?

Kuba milczał przez chwilę, jakby ważył słowa, które chciał wypowiedzieć.

– Tak jest, panie pułkowniku!

– Ciężko było na te bagnety...? W nocy?

Zapadła krótka cisza, którą przerwał głos Kuby, cichy i spokojny.

– Bardzo... panie pułkowniku.

Sosabowski pokiwał z uznaniem głową.

– To wiele wyjaśnia, żołnierzu, jeśli chodzi o wasze umiejętności. Jestem pełen uznania dla formacji, w której służyliście, dla waszej odwagi i waleczności. W pół godziny wyciąć bagnietami cały doborowy pułk SS to wyczyn nie lada. Tam nauczyliście się tak walczyć?

– Nie, panie pułkowniku.

Zdziwiony oficer uniósł brwi i powiedział:

– No to opowiedzcie mi, żołnierzu, gdzie szkolą się tacy wojownicy.

– Melduję, że nauczyłem się wszystkiego w Preszburgu, znaczy... w Bratysławie – poprawił się Kuba od razu. – Mieszkałem tam z rodzicami przed wojną. Mój ojciec był dyplomatą. Przyjaźniłem się z Żydem, Imim Lichtenfeldem. On nauczył mnie wszystkiego.

Sosabowski nie krył zdziwienia.

– A skąd on znał takie rzeczy?

– Sam się nauczył. – Kuba jakby zapomniał, że nie padła jeszcze komenda „spocznij”, pochylił głowę i patrząc na pułkownika, kontynuował: – Żydzi nie mieli w Bratysławie lekko. Znałem kilku z nich. Hitlerjugend prześladowało ich cały czas. Imi szkolił ich tak, aby umieli się szybko obronić i uciec. Chodziłem na boks, gdzie był instruktorem. Po godzinach uczył mnie też innych rzeczy. Takich jak te w barze.

Sosabowski słuchał w skupieniu. Gdy Kuba skończył, przeniósł wzrok na Piotra.

– A ty, Ochocki? Gdzie walczyłeś we wrześniu?

Twarz Piotra przybrała kolor dojrzałego pomidora.

– Nigdzie, znaczy we Lwowskiem, panie pułkowniku!

Po raz drugi tego wieczoru Sosabowski podniósł brwi w zdziwieniu.

– Co to znaczy?

– Wrzesień spędziłem pod Drohobyczem. Brałem udział w patrolowaniu okolicy oraz tłumieniu rebelii w Stryju, jako żołnierz miejscowego batalionu wartowniczego. – Widząc pytający wzrok pułkownika, Piotr wyjaśnił:

– Ukraińcy chcieli przejąć miasteczko i rozpocząć swoje rządy. Przegoniliśmy ich. Potem, po wkroczeniu Sowietów, przedostałem się na Węgry, a stamtąd przez Jugosławię tutaj.

Sosabowski pokiwał głową.

– Dobrze, panowie. – Uniósł się z krzesła, oparł dłonie na biurku i po krótkim westchnięciu powiedział:

– Nie cierpię burd. Uważam, iż żołnierz powinien prezentować wysoką kulturę osobistą zarówno na służbie, jak i w czasie od niej wolnym. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że zostaliście sprowokowani w dość

niewybredny sposób. Czasem mężczyzna – tu pochylił się nieco i obniżył głos – musi się zachować jak mężczyzna i po męsku reagować na uwłaczające honorowi żołnierza polskiego... – zawahał się, jakby szukając odpowiedniego słowa – okoliczności.

Kuba i Piotr otworzyli usta ze zdziwienia.

Sosabowski kontynuował mocnym głosem:

– Jesteście waleczni. Wprawdzie porywczy, ale również karni i potraficie ponieść konsekwencje swoich czynów. – Aluzja do całodziennego czyszczenia latryn za pomocą niespecjalnie przystosowanych do tego narzędzi wywołała rumieńce na twarzach wyprężonych przed pułkownikiem żołnierzy. – Skończyłem z wami na dziś. Ale będę miał was na oku. Podobacie mi się. Nie dajecie sobie w kaszę dmuchać. To dobrze. Kto wie – dodał – może nadarzy się okazja do tego, byście mi się jeszcze kiedyś przydali. Tylko nie chcę już słyszeć o żadnych bijatykach.

– Tak jest, panie pułkowniku!

– Dlatego od dziś, do końca waszej służby pod moimi rozkazami, macie zakaz chodzenia do barów, rozumiano?

Szeroko otwarte ze zdziwienia oczy świadczyły dobitnie o tym, że ze zrozumieniem ostatniego rozkazu nie było za dobrze.



znów wszystko zaczęło się w świątyni. Mroźna okupacyjna zima nie odstraszyła ludzi od zgromadzenia się w kościele, mimo iż księży, z całą

pieczołowitością tropionych przez sowieckie służby, było już coraz mniej. Proboszcz małyckiej parafii nie przeląkł się szalejącego na wołyńskiej ziemi czerwonego terroru i w Wigilię Bożego Narodzenia w murowanym kościółku przy ołtarzu stanęła wysoka choinka. Na pasterkę przyszli ludzie z wiosek oddalonych nawet o kilka kilometrów. Janek Marciniszyn pokonał ich ośnieżoną leśną drogą sześć, aby przyprowadzić na mszę o północy matkę i ojca. Stał z boku nawy, śpiewając kolędy i rozglądając się dookoła. Większość ludzi zgromadzonych przy ołtarzu znał przynajmniej z widzenia. Jednak tych dwóch dziewcząt stojących po drugiej stronie nie kojarzył zupełnie. Przypatrywał się im więc z ciekawością. Mimo narzuconych na głowy chust nie dało się nie zauważyć ich urody. Były po prostu śliczne. Szczególnie ta blondynka. Janek gapił się w jej stronę, zapominając o całym świecie. Dopiero, gdy ryknął na cały głos kolejną zwrotkę kolędy, nie zauważywszy, że ludzie już przestali śpiewać, oprzytomniał. Pomógł mu w tym kuksaniec w zebra wymierzony przez ojca oraz chichot wszystkich dookoła, nie wyłączając pięknej nieznajomej. Mimo czerwonych ze wstydu policzków było mu wszystko jedno. Najważniejsze, że go zauważyła.

Po wyjściu z kościoła próbował zbliżyć się do dziewcząt, ale ostre spojrzenie towarzyszącego im mężczyzny ostudziło jego zamiary. Janek przypatrzył mu się uważnie.

– A ten tam to nie Ukrainiec? – zapytał stojącego obok niego miejscowego chłopca, gdy srogo patrzący na niego mężczyzna w towarzystwie żony i dwóch aniołów zniknął za kościołem.

– A Ukrainiec, Ukrainiec – ziewnął tamten przeciągle. – Ichniego popa Sowiety rozwalili, to i przyszli do nas na mszę. Przeca oni też katoliki, jeno że greckie, unickie – dorzucił tonem znawcy.

– A te dziewczyny to jego córki? – Janek kuł żelazo póki gorące.

– Chyba nie – wzruszył ramionami chłop – one tu od niedawna mieszkajo. Ludzie gadajo, że to jakaś ichnia familia spode Lwowa. Uciekinierki wojenne. Ale kto ich tam wi, tych Ukraińców. – Machnął ręką i wmieszał się w tłum, definitywnie kończąc rozmowę.

17



Wiosną, mimo prób przymusowej kolektywizacji chłopów, ruszyły prace w polu. Janek pod byle pretekstem próbował wyrwać się do Małyk. Nie zapomniał dziewczyny widzianej w kościele. Jej obraz spędzał mu sen z powiek. W swoim dwudziestoletnim życiu nie widział nigdy takiej piękności. Co niedzielę bywał w tamtejszym kościele i co niedzielę obiecywał sobie, że wreszcie się odważy. Próbował ściągnąć wzrokiem spojrzenie nieznanym, jednak ta była odporna na jego próby zwrócenia na siebie uwagi. Zupełnie nie patrzyła w jego stronę. Zaskoczyło go jednak bardzo to, iż siostry rozmawiają ze sobą po polsku.

– Martoczka, przecież on cię pożera oczami – Swieta śmiała się z przyjaciółki, która przecząco kręciła głową.


– A niech się gapi, co mnie to obchodzi – krótko ucięła Marta, przyspieszając kroku. – Niech się na inną gapi, bo tu nie znajdzie tego, czego szuka.

Swieta chwyciła ją za rękę, próbując zatrzymać.

– A może ty się boisz... – Spoważniała. Nie chciała sprawiać Marcie przykrości, jednak nie mogła patrzeć, jak dziewczyna zamęcza się każdego

dnia wspomnieniami o Bedryczanach. Nie miała serca powiedzieć jej prawdy o matce wywiezionej na wschód jak tysiące innych Polaków. Czekwała na dogodny moment. Janek zaś sprawiał wrażenie porządnego chłopca. Wysoki blondyn z gorącym spojrzeniem, zawsze prowadzący matkę pod rękę i oganiający się od uwielbiającego go rodzeństwa przypadł jej do gustu. Może byłaby szansa, aby się zbliżyli z Martą. Może wtedy dziewczyna odżyłaby. Na razie jednak broniła się przed światem zewnętrznym rękami i nogami.

– Nie boję się, Swietka, tylko nie chcę. – Marta popatrzyła na nią ze smutkiem, a po policzku popłynęła jej łza. – Ktokolwiek się do mnie zbliży, tego tracę. Poza tobą...

 kazja do spotkania nadarzyła się Jankowi niebawem. Wiosną jednemu z małych chłopów, głośno sprzeciwiającemu się powstaniu we wsi kołchozu, spłonęła stodoła. Przybyła na miejsce zdarzenia milicja orzekła, iż stało się to pewnie zupełnie przypadkowo. Ludzie jednak tak samo uwierzyli w przypadek, jak i wierzyli w nową reformę rolną, czyli wcale. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że było to ostrzeżenie, próba złamania opornych wobec zmian chłopów. Zwykle w takich wypadkach kto mógł, pomagał sąsiadowi w odbudowie. Janek mógł. Przyszedł przez las, niosąc ze sobą narzędzia. Nie minęło południe, kiedy do drzwi Łuczenków ktoś zapukał. Stary otworzył i przymrużył oczy.

– Pochwalony, gospodarzu! Wybaczcie najście, ale ten młokos, jak usłyszał, że tu siostry medyczne mieszkają, to uparł się jak osioł, że muszą mu ranę opatrzyć, choć moja baba chciała to zrobić sama. Pozwolicie?

– Na wiki wikiw. – Łuczenko cofnął się, wpuszczając gości do środka. Krzątające się przy obiedzie dziewczęta popatrzyły na przybyłych. Ten, który pukał, to stary Waniak mieszkający po drugiej stronie wsi. Drugi zaś...

Marta poczuła, jak tężeją jej wszystkie mięśnie. Odwróciła głowę, unikając wpatrujących się w nią przenikliwie oczu. Janek stał na środku, nie zważając na to, że z jego rozciętej dłoni na podłogę kapie krew.

– Ty go opatrz! – rzuciła ostro do Swiety, wracając do przygotowania posiłku. Swieta uśmiechnęła się szeroko i pokiwała głową.

– Jak wam na imię? – zwróciła się do blondyna.

– Janek...

– No dobrze, Janku. Usiądź na ławie i poczekaj. Ja przygotuję wszystko.

Gość usiadł i spuścił głowę. Nie wiedział za bardzo, co ma zrobić. Chciał jakoś zagadać, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Siedział więc speszony, czekając na opatrunek.

– Teraz zapieczę. – Swieta polała rozcięty palec spirytusem, uśmiechając się w duchu. Rana była bardzo powierzchowna. Widać było wyraźnie, że chłopak po prostu chciał tu przyjść.

– Gdzieś się tak okrutnie zaciął, co?

Chłopak popatrzył na Swietę i zaczerwienił się.

– Deskę siekierką obrabiałem i tak mi się omskło... – Nagle zebrał się na odwagę. – A może ona mnie opatrzy? – Wskazał skinieniem głowy Martę, która skuliła się w sobie nerwowo.

Swieta wybuchnęła śmiechem.

– Marta jest od poważniejszych ran. Muszę ci wystarczyć.

Janek podniósł głowę.

– Od jakich poważniejszych? Jaką ranę musiałbym mieć, żeby mnie opatrzyła?

Dziewczyna popatrzyła na niego, udając poważną, i pokiwała głową.

– Paluszek nie wystarczy, musiałbyś mieć rękę rozciętą do kości...

Janek tylko spojrział bystro i chwycił leżący na stole nóż. Swietą targnął

dreszcz, gdy stalowe ostrze wbiło się w jego lewą rękę, sunąc po kości ze zgrzytem, a na stół popłynęła krew.

– Czyś ty zgłupiał do reszty, durniu?! – Marta doskoczyła do stołu i wyrwała nóż z ręki chłopca. – Coś ty narobił najlepszego?! Cholera, będzie trzeba szyć! Już dobrze, będę z tobą rozmawiać, tylko się nie tnij więcej!

Janek nie czuł bólu. Uśmiechał się radośnie, pozwalając pięknej dziewczynie zająć się jego nowym nabytkiem, głęboką raną na przedramieniu. Swieta patrzyła na niego z uznaniem dla jego odwagi i desperacji. Uśmiechała się zadowolona, że wreszcie między blondynem i przyjaciółką coś zaiskrzyło. Marta za to, klnąc na czym świat stoi i krzątając się nad zakrwawioną ręką, promieniała od środka, szczęśliwa jak nigdy.

Janek nie wychodził więc sobie Marty. On ją zdobył szturmem.

18



– **Z**ebyśmy my mieli we wrześniu to, co Francuzi wciąż mają, to Hitler zbierałby zęby z podłogi – słowa Piotra przepełnione były goryczą. Kuba nie zwrócił na niego uwagi. Ze wzrokiem wlepionym w ziemię maszerował przed siebie, tak jak sześć tysięcy pozostałych żołnierzy 4. Dywizji Piechoty. Francja padała na kolana przed Niemcami, mimo że na zapleczu frontu pozostawało wciąż kilkadziesiąt zdolnych do walki dywizji. Niczym żart brzmiał teraz słynny francuski slogan „Nous vaincrons parce que nous sommes plus fortes!”⁴.

Docierali do La Rochelle, małej portowej miejscowości nad Atlantykiem.

Rozkaz dowódcy dywizji, generała brygady Rudolfa Dreszera, był jasny i klarowny. Należy ewakuować jak najwięcej polskich żołnierzy na Wyspy Brytyjskie. Francja sypała się jak domek z kart. Teraz całą nadzieję pokładano w drugim sojuszniku, Anglii. Trzeba było więc podjąć walkę z czasem i dotrzeć do portów, zanim posuwający się błyskawicznie Niemcy dopadną świeżo utworzone i niemal zupełnie nieuzbrojone polskie jednostki. Posuwali się więc najszybciej jak się dało, połykając kilometry z gorzką świadomością, że znów trzeba się wycofać, uciekać, ewakuować. A przecież miało być zupełnie inaczej. Wierzyli niezłomnie, że u boku wielkiej Francji przyjdzie im maszerować na Berlin. Niestety, w ciągu niespełna roku już drugi raz poznawali na własnej skórze, co znaczy klęska.

Jedyną pociechę stanowiło to, że nikt już nie wypominał Polakom tej błyskawicznie przegranej wojny we wrześniu. Potężna Francja poległa równie szybko, tyle że w porównaniu z Polską prawie bez walki. Niestety, Francuzi jakoś zupełnie nie zwracali na to uwagi. Dla nich wojna skończyła się raz na zawsze. Siedzieli teraz w nadmorskich kafejkach, popijając kawę albo wino, kąpiąc się w oceanie i niecierpliwie wypatrując nadciągających niemieckich zagonów. Zamiast nich zobaczyli tych awanturników z Polski. Piotr i jego towarzysze czuli niechęć miejscowych niemal w fizyczny sposób. Zdawało im się, że mijani przez nich Francuzi patrzą na nich ze złością, jakby chcieli powiedzieć swoim niedawnym sojusznikom: „To przez was całe to zamieszanie. Nie chcemy was tu. Idźcie tam, skąd przyszlście”.

– Trącał was pies, żabojady! – Kuba splunął pod nogi, patrząc w kierunku siedzących przy kawiarnianych stolikach par. Odwrócili głowy, ale nie przestali komentować pogardliwie przechodzących obok nich kolumn polskiego wojska.

– Paryż ogłoszono miastem otwartym... – obojętnym głosem obwieścił Hucuł. – Mówili dzisiaj w radio.

Piotr spojrział na niego zaskoczony.

– Otwartym? – Zmarszczył nos. – Co to oznacza?

– Oznacza to, że Francuzi nie będą go bronić.

Piotr omal nie przystanął, otwierając usta ze zdziwienia. – Jak to...? Znaczą co, nie będą walczyć?

– Nie. – Kuba pokręcił spuszczonej głową. – Chcą zakończyć wojnę w, jak to mówią, cywilizowany sposób.

Ta krótka informacja podziałała na Piotra jak uderzenie obuchem. Zamilkł, a jego nogi zdawały się teraz powłóczyć dużo bardziej niż przed chwilą. Przeżuwał w myślach słowa przyjaciela. Widział zdjęcia bombardowanej Warszawy, pożaru trawiącego Zamek Królewski, koni zjadanych z głodu podczas oblężenia i zatroskanych ludzi, którzy jednak do obiektywu uśmiechali się szczerze, dając jasny przekaz całemu światu, że tak właśnie trzeba. A tutaj?

– Kraj kelnerów. – Splunął pod nogi. – Założę się, że jak fryce podejną pod Paryż, to mer miasta wyjdzie im na spotkanie i zaproponuje stolik na sto tysięcy osób.

Zacisnął zęby i podniósł wzrok. Czerwcowe słońce paliło mimo popołudniowych godzin. Piękna Francja, z dnia na dzień przemieniona z sojusznika w niezbyt przyjazny ląd, żegnała ich bez żalu, pogrążona w obojętności i marazmie. Przed maszerującą kolumną rozpościerała się panorama portu La Pallice, a w nim wzrok przykuwały okręty, które miały zabrać ich tam, gdzie ludzie mają jeszcze wolę walki i zwycięstwa, na drugą stronę Kanału.

Francja właśnie przestawała się liczyć jako mocarstwo. Przestawała się liczyć jako jakakolwiek pomocna siła. Jedynie trzysta tysięcy brytyjskich żołnierzy i kilkadziesiąt tysięcy Polaków przepływających się do Wielkiej Brytanii ratowało honor wolnego świata.



Świeta wyznała Marcie prawdę, a gdy ta nie chciała uwierzyć, pokazała jej list, który dostała z Bedryczan jeszcze przed Nowym Rokiem. To wystarczyło. Świadomość, że może nie zobaczyć już matki, załamała dziewczynę jeszcze bardziej. Przestała wstawać z łóżka. Gdyby nie Janek, wyschłaby na wiór. Przychodził tak często, jak tylko mógł, i przesiadywał z nią, trzymając jej dłoń i mówiąc do niej godzinami. Za którymś razem po prostu wziął ją na ręce i zaniósł na podwórze. Siedzieli przytuleni pod drzewem do nocy. Wszystko jednak ma swój kres. Żałoba także. Marta powoli zaczęła odzyskiwać siły. Gdy pewnego dnia po przebudzeniu Swieta nie zastała przyjaciółki w łóżku, przestraszyła się. Narzuciła tylko chustę na ramiona i pędem przebiegła przez kuchnię, czując przez skórę, że coś złego mogło się wydarzyć. W drzwiach wejściowych wpadła na Martę wracającą z obory.

– Gdzie tak pędzisz, szalona? – Dziewczyna z trudem uniknęła zderzenia z pędzącą jak pistoletowa kula Swietą, która chwyciła ją za ramiona.

– Kudy ty piszła! – Ukrainka oddychała ciężko.

– A gdzie mogłam pójść? Krowę wydoiłam, mleko ci niosę, głupia. A ty po polsku mów! – Kilka prostych słów sprawiło, że ten uporczywy głaz przygniatający piersi Swiety od wielu dni spadł z łoskotem na podłogę.

To był przełom. Marta zwalczyła załamanie jak zakaźną chorobę. Potrafiła nawet mówić o matce bez popadania w melancholię. Pustkę po pani Marii wypełnił jej Janek. Chłopiec, zakochany po uszy, nosił swój skarb na rękach. Swieta cieszyła się ich gruchaniem. W czasach, w których nikt nie

był pewien, czy przeżyje w spokoju kolejny dzień, każda radosna chwila była na wagę złota. Jednak fakt, iż została odsunięta na bok, nie pomógł jej wcale. Nie była zazdrosna o Martę. Po prostu czuła się samotna. Brakowało jej Piotra. Tęskniła za nim. Najbardziej nie mogła przyzwyczaić się do tego, że jego obraz zacierał się w jej pamięci. Z upływem czasu po prostu nie mogła przypomnieć sobie jego twarzy. Gdzie był? Co robił? Czy w ogóle żyje? Codzienne zmaganie się z tymi pytaniami zaczęło jej sprawiać ból. Pracowała dużo, byle tylko nie myśleć. Pomoc Łuczenkom w gospodarstwie, opieka nad ich dziećmi oraz leczenie miejscowych zajmowały cały jej czas.

*L*atem okoliczne pola zazłociły się dojrzałym zbożem. Niestety, gdy tylko zebrano ziarno, natychmiast we wsi pojawiły się wojskowe ciężarówki, na które sowieccy żołnierze ładowali zrabowane ziarno. Łuczenko zdążył schować dwa worki w izdebce dziewcząt. Resztę wywleczono i wrzucono na samochody. Kara za sprzeciw wobec kolektywizacji dotknęła zarówno Polaków, jak i Rusinów. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że nie wystarczy zboża na wykarmienie zwierząt, mąkę i kaszę, o przyszłorocznym zasiewie nie wspominając.

Ludzie wzięli sprawy w swoje ręce. Gdy do Małyk po raz kolejny przyjechała ciężarówka wypełniona wojskiem, chłopci zebrani w centralnym punkcie wsi ruszyli na żołdatów z kosami i widłami. Sowietci, widząc, co się dzieje, otworzyli ogień. Na placu zostało sześciu ludzi wijących się w konwulsjach. Reszta uciekła. Żołnierze wskoczyli na samochód i odjechali, nie chcąc ryzykować starcia z liczną, choć prawie nie uzbrojoną tłuszcą. Na drugi dzień jednak do wioski z dwóch stron wjechała kompania NKWD. Niebieskie otoki wyciągnęły z chałup trzydziestu przypadkowych mieszkańców i rozstrzelały ich pod murem kościoła. Księdza, który próbował

udzielić im zbiorowej absencji, powiesili na sznurze kościelnego dzwonu. Zapowiedziano, że od tej pory świątynia staje się własnością państwa i zostanie wykorzystana jako magazyn oraz przedziałnia. Zatrudniono wioskowe kobiety do pracy przy krosnach. W rogach kościoła czerwoni ustawili konfesjonały, zamienione na latryny.

Dziewczęta spędziły ten czas w izdebce. Gdy patrole wysyłane do wioski stały się rzadsze, Janek zaproponował, aby przeniosły się na jakiś czas do jego domu. W położonym tuż za lasem Mierosławiu było znacznie spokojniej. Łuczenko poparł go i po żmudnych pertraktacjach z opornymi pannami udało się wreszcie przeforsować pomysł. Pewnego sierpniowego wieczoru, tuż po święcie Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, Janek i dziewczęta wyruszyli w stronę Mierosławia. Nie zaszli daleko. Dwa kilometry za wsią natknęli się na nadjeżdżający z naprzeciwka sowiecki patrol. Żołnierzy było kilku. Janek był tylko jeden. Uderzony kolbą karabinu padł na ziemię bez czucia. Teraz żołdaci zwrócili się w stronę przerażonych dziewcząt. Gdy jeden z nich chwycił Swietę za szyję, próbując zedrzeć z niej ubranie, Marta rzuciła się na niego z pięściami. Głuche uderzenie kolby mosina w głowę dziewczyny pozbawiło ją przytomności. Upadła na ziemię. Dwóch żołnierzy próbowało ją rozebrać, ale gdy tylko ściągnęli jej bieliznę, obrócili się z niesmakiem.

– Krwawi jak zarzynana świnia – zarechotał pucołowaty, śmierdzący potem i samogonem Rosjanin.

– Chuj tam z krwią – drugi odepchnął go na bok, rozpinając rozporek – przynajmniej porucham.

Swieta powstrzymała ich, próbując pohamować obrzydzenie.

– Zostawcie. To dziecko jeszcze. Ja pójdę zamiast niej. Poza tym u niej kiła jest – skłamała. – Nie wy pierwsi tu byliście.

Sowieci bali się kiły jak ognia. Ich lekarze nie chcieli leczyć zarażonych,

traktując chorobę jako karę za grzech. Zgodzili się więc. Poszła z nimi. Następną godzinę spędzona w krzakach z cuchnącymi wódką Kałmukami była najgorszym czasem w jej życiu. Po pierwszych minutach nie czuła już bólu. Była bólem. Leżała z głową obróconą na bok, próbując nie wymiotować, kiedy kolejny oberwanie śmierdzącym oddechem zionął jej prosto w twarz. Słyszała tylko głośny płacz przyjaciółki, skępowanej i położonej obok przywiązanego do drzewa Janka. Nie to było jednak ważne. Najważniejsze, iż Marta przeżyła. Nietknięta.

Gdy żołdaci odeszli, Swieta z trudem doczołgała się do związanego Janka. Poluzowała sznur na jego rękach i straciła przytomność. Ocknęła się, gdy położył ją na łóżku w izdebce. Marta, mimo łez płynących jej ciurkiem po policzkach, nie straciła zimnej krwi. Przyniosła miskę z wodą zagrzaną przez Łuczenkową i odprawiła Janka za drzwi. Rozebrała przyjaciółkę z podartej bielizny, popatrzyła na jej obolałe ciało i zagryzła wargi, żeby nie wybuchnąć ponownie płaczem. Swieta nie odzywała się ani słowem. Nie krzywiła się również z bólu ani nie płakała. Po prostu tępo patrzyła przed siebie. Pozwoliła się umyć i ubrać w czystą koszulę. Gdy zaniepokojony ciszą Janek otworzył małe drewniane drzwi prowadzące do izdebki, zobaczył dziewczęta leżące obok siebie. Marta tuliła patrzącą gdzieś w sufit Swietę i głaskała ją po włosach. Usiadł obok nich oparty o ścianę. Odchylił głowę do tyłu i zasnął, podobnie jak Marta. Jedynie Swieta patrzyła beznamiętnie w małą plamkę na suficie, dopóki wąty płomień świeczki nie zakończył żywota. Później patrzyła już tylko w ciemność.



Lato 1940 roku minęło tak szybko, jak szybko podwórkowy pies dopada do furtki na widok listonosza. Małyki przeistaczały się w bajecznie kolorową wioskę skąpaną w milionie odcieni złota. Wąska droga, wzdłuż której przycupnęły wiejskie chałupy, coraz częściej zamieniała się w grząską od deszczu, nieprzejezdną błotną kałużę, w której rozwrzeszczana dzieciarnia taplała się bez umiaru. Połacie czerniących się, świeżo zaoranych pól otaczały wieś, jakby była ona niewielkim kolorowym półwyspem przyklejonym do leśnego kontynentu, który wrzynał się w ciemny, groźny ocean czarnej ziemi. I gdyby nie pojawiające się od czasu do czasu patrole sowieckiego wojska, nic nie mąciłoby codziennego rytmu, który mieszkańcom wyznaczały pianie koguta, Anioł Pański i pory roku.

Janek oświadczył się Marcie w październiku. Zamiast kwiatów przyniósł jej bukiet pięknych, kolorowych liści. Osiemnastoletnia Kosiecka skakała do góry z radości, po czym rzuciła się chłopakowi na szyję. Jej głośno i gwałtownie wykrzyczane „tak” spłoszyło stadko wron, które w poszukiwaniu ziarna przysiadły na zabłoconym podwórku. Marta wpadła do izdebki niczym huragan.

– Swieta, Swieta! Musisz oświadczyzny odebrać! Janek mi się oświadczył! – Rzuciła się na łóżko obok leżącej nieruchomo na boku przyjaciółki i z ogromnym uśmiechem na rumianej buzi powtórzyła:

– Janek mi się oświadczył!

Swieta patrzyła na nią w milczeniu. Uniosła dłoń i pogładziła ją po jasnych włosach. Uśmiechnęła się lekko, ale nie powiedziała nic. Bo Swieta przestała mówić. Od pamiętnego zdarzenia w drodze do Mierosławia nie odzywała się w ogóle. Zupełnie zgasła. Podczas pierwszego tygodnia nie

wstawiała z łóżka. Marta nie odstępowała jej dzień i noc. Przynosiła jej jedzenie, myła ją i tuliła tak często, jak tylko mogła. Po tygodniu ubrała ją i prawie siłą zmusiła do wyjścia na ganek. Przesiedziały tak do wieczora. Powoli, dzień za dniem Swieta stawała się coraz bardziej aktywna. Pomagała Marcie w prowadzeniu domu. Najczęściej jednak siadała na ganku i w milczeniu wpatrywała się w jakiś punkt na horyzoncie. Coś w niej umarło. I choć Marta wychodziła ze skóry, aby wyrwać przyjaciółkę z marazmu, to jednak było widać, iż nic już nie będzie takie samo jak przedtem. Aż tu nagle...

– Cieszę się, Martoczka...

Marta aż przysiadła na łóżku z otwartą ze zdziwienia buzią.

– Swietka, powtórz jeszcze raz! – Pochyliła się nad Ukrainką z ciekawością dziecka wpatrującego się w rozdeptaną żabę.

Swieta uśmiechnęła się na ten widok i powtórzyła:

– Cieszę się.

– Boże, wiedziałam, że wrócisz – Marta rzuciła się jej na szyję. Łzy płynęły jej po policzkach. – Czekałam na ciebie.

Swieta pogładziła ją po głowie. Usiadła na łóżku i przytuliła Martę.

– Wszystko się ułoży, Martoczka, wszystko będzie dobrze...

Czasem mała iskra radości wystarcza, żeby odczarować rzeczywistość. Marta, mówiąc o oświadczeniach, nie przyniosła ze sobą iskry, ona była płonąca pochodnią. To musiało zadziałać. Teraz wzięła przyjaciółkę za rękę i poprowadziła do kuchni. Przy stole, obok Łuczenki i jego żony, siedział Janek. Gdy dziewczęta weszły, podniósł się i uklęknął na jedno kolano.

– Swietłano... – zaczął niepewnie, chrząkając – opiekujesz się Martą. Jej ojciec nie żyje, a matka... – przerwał na chwilę, próbując dobrać odpowiednie słowa – matki na razie nie ma. Więc skoro tyś opiekunka, to ciebie proszę. Dasz mi Martę za żonę?

Swietłana oparła się dłonią o stół, uśmiechając się na widok niezdarnie przemawiającego chłopca, i położyła drugą dłoń na jego głowie.

– A będziesz o nią dbał? – zapytała cichym głosem.

– Będę ją na rękach nosił, nawet jeśli nie będzie chciała – powiedział Janek z taką powagą w głosie, że Swieta się roześmiała.

– No to ją bierz, Janek. Dobry z ciebie chłopak, to i mężem będziesz dla niej dobrym.

Janek chwycił ją za rękę, żeby pocałować, ale wyrwała mu dłoń. Przygarnęła do siebie rozpromienioną Martę i pocałowała ją w czoło.

– Kiedy chcecie się pobrać?

Marta nie namyślała się nawet dwóch sekund. Odpowiedź była natychmiastowa:

– Dzisiaj!

„Dzisiaj” okazało się stanowczo za wcześnie. Rozmawiali długo. Marta tuliła się do narzeczonego, jakby chcąc się upewnić, że to wszystko nie sen i że nie zniknie wraz z pianem koguta.

– No to kiedy, kiedy? – Janek nie potrafił zetrzeć z twarzy szerokiego uśmiechu.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

– Jestem twoja, nie ucieknę ci. – Popatrzyła na niego i spochmurniała. – Tylko tak bym chciała, żeby mama mogła być na naszym ślubie...

Janek pogładził ją po włosach.

– Chcesz na nią poczekać?

Pokiwała potakująco głową i ponownie wtuliła się w ciepłe ramiona.

– Chciałabym pojechać do Bedryczan, może ona tam na mnie czeka?

Chłopiec zacisnął zęby. Nie chciał psuć chwili, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że w Bedryczanach, jeśli wierzyć listowi od pani Horodyło, nie

czekał na Martę nikt. Syberia to nie uzdrowisko i szanse na to, że pani Maria stamtąd wróci, były prawie równe zero. Chciał się poddać i ulec Marcie, ale w końcu powiedział głośno to, o czym myślał od dawna. Przyjęła to ze spokojem. Pokiwała głową.

– Wiem, wiem... Ja tylko mówię o tym, czego bym chciała – podniosła się na rękach i popatrzyła Jankowi w oczy. – Zróbmy tak. Wiosną napiszę do Ani, żony Witalija. Ona powinna wiedzieć, mieszka przecież za płotem. Jeśli mama wróciła, to wszystko samo się ułoży. Jeśli zaś nie... – przerwała na chwilę, a Janek pogładził ją po twarzy. – Jeśli nie, to nie będziemy czekać w nieskończoność. Weźmiemy ślub latem, w Matki Boskiej Zielnej.

Chłopak uśmiechnął się ciepło.

– Jesteś bardzo mądra, wiesz? – Pocałował ją w czoło. – Wiesz, że cię kocham?

Marta skrzywiła się lekko.

– Nieee... Skąd mam wiedzieć? W ogóle mi tego nie mówisz!

– Osz, ty!



– *J*ezu... lecę...

Koziółkował przez chwilę w powietrzu, nie bardzo wiedząc, czy leci w górę, czy w dół. Poczul szarpnięcie i nagle świat przestał mu wirować. Serce waliło jak oszalałe. Siedział w uprzęży, zwisając swobodnie. Podniósł wzrok do góry i zobaczył ją. Biała okrągła czasza spadochronu rozpostarta

nad jego głową uspokoiła go nieco. Spojrzał w kierunku ziemi i...

– O matko!

To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Już widziany przez dziurę w podłodze samolotu, wysłużonego whitleya, krajobraz na dole przesuwał się niczym zielony dywan upstrzony małymi klockami domków i kępami drzewek. Wpiął klamrę taśmy w stalową linkę rozciągniętą wewnątrz kadłuba. To właśnie ona wyciągnie spadochron, gdy jego ciało będzie bezwładnie koziołkować w powietrzu. Potem usłyszał angielską komendę: „Action Station”, usiadł na brzegu otworu i czekał cierpliwie. Jeszcze tylko jedna komenda...

– Go! – angielski sierżant zwany powszechnie wykidajką krzyknął mu tuż nad uchem.

Sekundę potem już tylko taśma łączyła go z brzuchatym stalowym wielorybem płynącym po niebie.

Kilkadziesiąt sekund później jego oczy pożerały zielony krajobraz. W życiu nie widział niczego piękniejszego. Błękitne niebo z nielicznymi białymi chmurami łączyło się gdzieś tam przed nim z poszarpaną szkocką ziemią, a on miał wrażenie, że odległość pięciuset metrów oddzielająca jego dyndające na linkach ciało od trawiastej łąki nie kurczy się prawie w ogóle. Tylko te białe kropki, czyli owce, małe domki i dymy z kominów powiększające się coraz bardziej przypominały mu, że czas przygotować się na lądowanie. To, co do tej pory wydawało mu się łagodnym opadaniem, wraz ze zbliżaniem się do trawiastego dywanu zmieniało się w spadanie z całkiem sporą prędkością. Ziemia wybiegająca mu na spotkanie przyspieszyła gwałtownie, a jego serce znów zaczęło wygrywać szybkie tremolo. Podciągnął nogi do siebie i...

Uderzył o ziemię. Przepisowy przewrót w bok złagodził skutki upadku. Po chwili Piotr stał już na nogach, próbując opanować nadęty przez wiatr

spadochron ciągnący go do przodu.

– Gaś czaszęęę!

Cienki głos instruktora podział na niego stymulująco. Po chwili ujarzmił biały jedwab spadochronu, po czym opadł na ziemię, śmiejąc się głośno.

– Ja chcę jeszcze raaaaaz!

A wszystko zaczęło się od uderzenia pięścią w stół latem czterdziestego roku, tuż po ewakuacji z rozbitej przez Niemców Francji. Stół zachwiał się na wątych drewnianych nogach, jednak nie uległ pięści człowieka, który wielu ludziom wydawał się uśmiechać chyba tylko przez sen. Pułkownik Sosabowski zacisnął palce tak mocno, że stojący obok niego adiutant, porucznik Jerzy Dyrda, zamknął oczy, gdy usłyszał chrzęst kości.

– Odbierają mi najlepszych żołnierzy! Po tym jak zmieniłem ich z bandy nieudaczników i defetystów w normalne wartościowe wojsko!

Cisnął kartką papieru z rozkazem, który nakazywał przejście najlepszych żołnierzy do innych formacji, tam gdzie wizytującemu oddział przed kilkoma dniami wiceministrowi obrony, generałowi Marianowi Kukielowi wydawało się, że będą bardziej przydatni.

2. Brygada Strzelców, formowana przez Sosabowskiego, odstawała znacznie od innych oddziałów, które po opuszczeniu Francji zostały zakwaterowane na gościnnej szkockiej ziemi w okolicy miasteczka Biggar. Pułkownik wyznawał żelazną zasadę, iż lepiej jest dać żołnierzom nawet najgorsze zajęcie, niż pozwolić im gnuśnieć w przeciekających namiotach. Skutkiem tego jego oddział lśnił na tle przesiąkniętych marazmem innych jednostek niczym diament wetknięty w koszyk z ziemniakami. Nie mogło to ujść uwagi dowództwa. Postawa żołnierzy Sosabowskiego tak bardzo spodobała się decydującym armijnym, że wykradli mu większość

szeregowych i najlepszych podoficerów. Zasilili oni 1. Brygadę Strzelców generała Paszkiewicza. Żołnierze wcześniej służący we Francji pod rozkazami generała Maczka wrócili do niego. 2. Brygada Strzelców została rozformowana. Wszyscy ci, których odrzucił Paszkiewicz, dostali polecenie opuszczenia stworzonego przez siebie obozu. Jediną rzeczą, której rozkaz nie precyzował, było to, dokąd mieli się udać pozostawieni Sosabowskiemu żołnierze.

Pułkownik długo pocierał dłonią twarz, jakby chciał ją rozmasować po wymierzonym mu przez dowództwo policzku. Z dnia na dzień jego ludzie stali się bezdomnymi włóczęgami. Okupowali pola otaczające obóz, który jeszcze do niedawna stanowił ich własność, i z nostalgią spoglądali na to, co zostało im odebrane. Sosabowski nie zamierzał jednak kapitulować. Niezwykle wymagający w stosunku do swoich ludzi, chyba tylko siebie samego traktował ostrzej. W jego żołnierskiej naturze nie było miejsca na uzalanie się ani nad sobą, ani nad losem swoich podopiecznych. Na jedynym sprawnym motocyklu pognał do Glasgow, przeprowadził jednoosobowo szturm na biuro dowódcy obozów w Szkocji generała Stanisława Burhardta-Bukackiego i wygrał. W myśl osiągniętego porozumienia jego ludzie mieli utworzyć 1. Kanadyjską Brygadę Strzelców, jednostkę złożoną prawie z samych oficerów, która po przetruceniu za ocean miała zostać uzupełniona ochotnikami wywodzącymi się z Polonii kanadyjskiej. Na dodatek znalazł dla swych ludzi nowy dom, zamek Elliock w hrabstwie Dumfries.

Pułkownik Sosabowski nie spoczął na laurach. Nigdy nie spoczywał. Wypełnił żołnierzom czas zajęciami i ćwiczeniami tak szczelnie, że wkrótce znów stali się wzorem dla innych oddziałów. Surowy szkocki klimat sprzyjał treningowi, który bardzo szybko sprawił, że „odpady drugiej kategorii”, jakimi w istocie byli pozostawieni przy pułkowniku żołnierze, stali się pełnowartościowymi wojownikami. Broni nie mieli, jednak ich zapał, aby

być najlepszymi, przyniósł znakomite efekty. Rok później, jako 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa, stali się bezapelacyjną elitą Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, inspirując aliantów do stworzenia własnych jednostek tego typu. Do tej bowiem pory uważali oni Sosabowskiego za nieszkodliwego dziwaka, który swoimi niestworzonymi pomysłami zatruchiwał niepotrzebnie życie alianckim dowódcom.

Piotr i Kuba nie mieli pojęcia, jakim cudem udało im się pozostać w jednostce. Pułkownik nie spowiadał się żołnierzom ze swoich decyzji. Nie wiedzieli więc, że tylko dzięki temu, iż polubił ich od czasu niefortunnego incydentu we francuskim barze, postanowił zatrzymać ich przy sobie. Zdobyli jego serce zadziornością i karnością. Pierwsza cecha gwarantowała, że bić się będą do ostatka, nawet wtedy, gdy znajdą się w beznadziejnej sytuacji. To odróżniało ich od Brytyjczyków, którzy składali broń, kiedy okazywało się, że nie mają szans na zwycięstwo, tak jak w Singapurze i pod Tobrukiem. Karność zaś dawała pewność, że po odpowiednim wyszkoleniu będą w stanie przyjąć i wykonać najtrudniejszy rozkaz i zadanie. O tym jednak ani Piotr, ani Kuba nie wiedzieli. Tłumaczyli więc sami sobie, że pewnie nawet pułkownik nie dostrzegł w nich nic na tyle wyjątkowego, żeby odesłać ich do „ważniejszych taktycznie oddziałów”. Świeżo upieczony sierżant Piotr Ochocki oraz podporucznik Jakub Błaszczak odetchnęli więc z ulgą, gdy dziesiątkowanie ich oddziału się zakończyło. Chcieli tu pozostać. Poznali pułkownika i jego metody na tyle, żeby wiedzieć, że jeśli ktokolwiek jest w stanie wyszkolić najlepszych żołnierzy na świecie, to właśnie on – surowy, ale sprawiedliwy jak ojciec. To z jego ust dowiedzieli się, że wyjazdu do Kanady nie będzie. Nie było tam wystarczającej ilości chętnych Polaków, żeby udało się stworzyć brygadę liczącą 4800 żołnierzy. Przemianowano więc 1. Kanadyjską Brygadę Strzelców na 4. Brygadę Kadrową Strzelców. Nie to jednak było najważniejsze dla Piotra.

Najważniejszy argument miał dziewiętnaście lat, blond loki, czerwone usta i nosił imię Margaret.

22



Na początku, bracie, wydaje ci się, że serce cię parzy tak, jakby kto do niego węgla nakładł. Myślisz sobie wtedy: dam radę, wytrzymam i poczekam. I umierasz powoli. Trwa to dzień, tydzień, rok. Ból mija, a zastępuje go tępa pustka, do której łatwiej się przyzwyczaić niż do tego cholernego kłucia w sercu. A kolejne lata uciekają bezpowrotnie.

Poza tym pomyśl, jeśli ciebie nie ma przy niej, to ona przechodzi przez to samo co ty. Różnica jest tylko taka, że ona jest piękna, a ty nie. – Kuba oparł się wygodnie o wezgielowie krzesła, słysząc śmiech przyjaciela. – No niestety, to ma znaczenie. Nie wiem, jakim cudem najpierw Swieta, a potem Margaret zwróciły na ciebie uwagę, ale na kolejny taki cud z twoją gębą już bym nie liczył.

– Mam dobre serce – Piotr szczyrzył zęby w uśmiechu. Kuba zignorował ten wybuch wesołości, doskonale zdając sobie sprawę, że to tylko maska przywdziana po to, żeby przykryć rozdarcie, które nie dawało żyć jego młodszemu koledze.

– Wokół takiej dziewczyny jak Swieta kręci się mnóstwo mężczyzn. Pewnie jeśli cię pokochała, to wytrzyma dzielnie. Ale kiedyś będzie wracać do domu, być może zmęczona i ktoś powie do niej tak, jak my mówimy tutejszym dziewczynom: Hi!, a ona wtedy odpowie: Hi! A tydzień później się

uśmiechnie i pozwoli, żeby ten ktoś pomógł jej nieść ciężki koszyk. I będzie gotowy robić dla niej rzeczy, których ty nie możesz zrobić, bo cię tam nie ma. Wtedy wcześniej czy później stanie przed takim dylematem, jaki masz ty. Kto wie, czy już nie stanęła? Wiesz, zdziwiłbym się, gdyby nie dała za wygraną. Bo pomyśl, chłopaku, o tym, że kobieta w takim zwariowanym, ogarniętym wojną świecie jak nasz musi czuć się bezpieczna. Powiedz, byłbyś na nią o to zły?

Piotr spał się w sobie, zaciskając usta.

– Nie, chyba nie... Byłoby mi cholernie smutno, ale nie miałbym do niej pretensji.

Kuba przytaknął głową w milczeniu.

– Piotrze, chcę ci po prostu powiedzieć, że może warto się zastanowić, czy to czekanie ma sens. Czy masz do kogo wracać? Spotkaliście się w innym świecie. Od tego czasu minęło półtora roku i tak naprawdę wszystko uległo zmianie. Nie wiesz nawet, czy ona jeszcze żyje. A Margaret da się za ciebie pokroić tępą łyżką.

Piotr zacisnął dłoń, pomiędzy palcami której leżała mała kokardka. Myśli kołowały mu w głowie jak oszalałe i za nic nie dawały się poukładać w jakąś logiczną całość. Myślał o Świecie każdego dnia. Rozmawiał z nią w głowie, opowiadał o każdej ważnej rzeczy, która go spotkała, i uśmiechał się, gdy wydawało mu się, że ona też się śmieje. Ze zdziwieniem jednak odkrył, że jej twarz wytarła się w jego pamięci na tyle, iż nie potrafił jej już odtworzyć. Gdyby nie mały rysunek, jej niewielki portret, który naszkicował jeszcze w Bedryczanach, zapomniałby do tej pory, jak wygląda. Bronił się przed tym, o czym mówił Kuba. Nie chciał przyznać mu racji, mimo że logika tego, co powiedział, była miazdząca. Tęsknił za swoją dziewczyną, pozostawioną gdzieś na wschodnich rubieżach Polski. Rzeczywiście, nie bolało już tak bardzo, jednak pustka wcale nie była łatwiejsza do zniesienia.

– Pododdziały w dwuszeregu na placu apelowym zbiórka!

Głośna komenda wyrwała go z zamyślenia. Kuba już zniknął u wyjścia z namiotu.

– Znów będę pierwszy, ofermo!

Zerwał się z pryczy i pobiegł za przyjacielem.

– Niedoczekanie twoje, przybłądo z Bratysławy!

23



Margaret White nudziła się przeokropnie. Podróż do Edynburga, nawet jeśli rozłożona na dwa dni, męczyła ją bardzo. Ojciec, Brian White, właściciel położonej w Cowes na wyspie Wight stoczni „J. Samuel White”, tej samej, która wybudowała dla polskiej Marynarki Wojennej dwa niszczyciele, „Błyskawicę” i „Grom”, transport kolejowy uważał za zupełnie pozbawiony uroku. Z tego właśnie powodu jego luksusowy bentley, napędzany sześciocylindrowym rzędowym silnikiem o pojemności 4,3 litra, połykał pewnego wrześniowego popołudnia szosę łączącą Manchester ze stolicą Szkocji, gdzie White prowadził rozległe interesy, łącząc obowiązki z wypoczynkiem w swoim domu z werandą i ogrodem.

Śliczna dziewiętnastoletnia Maggie, oczko w głowie taty, towarzyszyła mu w tych wyjazdach, choć sama podróż przyprawiała ją o mdłości. Z nosem przyklepionym do szyby rejestrowała przepiękne szkockie krajobrazy tonące w strugach deszczu. Blond lok, który oddzielił się od starannie ułożonej z rana fryzury, opadł jej na czoło, nadając jej twarzy lekko łobuzerski

charakter, mimo iż w rzeczywistości była łagodna i niezbyt śmiała. Z chęcią zakończyłaby już ten dzień w fotelu na werandzie ich przytulnego domu w Edynburgu, najlepiej z filiżanką dobrej herbaty z mlekiem. Zamiast tego w jej spokojnym życiu pojawiło się nagle tornado. Żywioł miał jasne włosy, połowy mundur, na którego ramieniu czerwieniła się naszywka z białym napisem POLAND, oraz but z oderwaną podeszwą. Stał na skraju szosy nieruchomo niczym strach na wróble. Musiał wyglądać naprawdę żałośnie, skoro stoczniowy magnat nakazał szoferowi zatrzymanie się i zaproponował podwiezienie do jednostki. Żywioł zgodził się, wyjaśniając, że niefortunny wypadek z butem zdarzył mu się podczas ćwiczeń terenowych i napomknął coś jeszcze o przybyciu do obozu na czas, drucianej szczotce i czyszczeniu ubikacji. Tego jednak ojciec Maggie nie zrozumiał dokładnie. Być może za sprawą dość silnego wschodnioeuropejskiego akcentu chłopaka. Maggie za to zupełnie nie skupiała się na tym, co mówił żywioł. Bo miał on jeszcze jedną cechę, która od pierwszej chwili sprawiła, że zmiękły jej kolana i gdyby nie siedziała, to z pewnością padłaby jak długa na ziemię. Żywioł miał oczy tego rodzaju, że można było w nich utonąć. I kiedy na nią spojrzał, to nie pozostało jej już nic innego, tylko błagać Boga o koło ratunkowe albo dać się wciągnąć w głąbię jego spojrzenia. Maggie postanowiła nie prosić o pomoc Pana Boga. Od tej chwili do momentu, w którym żołnierz wysiadł z samochodu, nie marzyła o niczym innym, jak tylko o tym, by nie przestawał na nią patrzeć. Nawet jeśli od tego spojrzenia gotowała się jej krew w żyłach. Żołnierzem był sierżant Piotr Ochocki, który nawet nie domyślił się, że dwudziestokilometrowa podróż przysporzyła mu nowej wielbicielki. Za to Maggie nie przestała wiercić ojcu dziury w brzuchu, aż dopięła swego.

Dwa dni później pod bramę obozu ponownie podjechał bentley. Margaret White uzbrojona w ojca i parę nowych fantastycznych wojskowych butów

poprosiła o spotkanie z tajemniczym żołnierzem. Zaskoczony Piotr odprowadzany śmiechem kolegów i ich kpinami czerwienił się na twarzy, jednak postanowił dać kompanom nauczkę. Ignorując zupełnie okrzyki w stylu: „Piotrusiu, niania przybyła na ratunek!”, „Przymierz trzewiczek, może zmienisz się z kopciucha w księżniczkę!” i tym podobne, podszedł do niczego nie rozumiejącej blond piękności, przyjął dar i zrobił coś, co sprawiło, że wszyscy zamilkli z rozdziawionymi ustami. Położył dłonie na talii dziewczyny i pocałował ją w oba policzki, po czym wziął ją pod rękę i poszedł na krótki spacer.

Stare angielskie powiedzenie mówi: „Touch the devil and you can't let go”⁵. Tym jednym dotknięciem Piotr rozpuścił serce młodej kobiety niczym kostkę masła na rozgrzanej patelni. Nie chciał tego, jednak czasem ludzie robią rzeczy, których skutki niekoniecznie są zgodne z ich zamiarami. Fakt pozostawał faktem. Margaret White, studentka Wydziału Literatury Staroangielskiej Uniwersytetu Cambridge, córka potentata stoczniowego, zakochała się w Piotrze tym rodzajem miłości, który pozwala na skoczenie w ogień z uśmiechem na twarzy. Odtąd jeśli nie mogła sama odwiedzać tego „niesamowitego Polaka”, jak o nim opowiadała zazdrosnym koleżankom, to pisała listy. Dużo listów...



iosna 1941 roku przyniosła ze sobą zupełnie inne problemy niż ślub Marty i Janka. W stronę granicy z okupowaną przez III Rzeszę częścią Polski

W zaczęły nadciągać oddziały Armii Czerwonej. Obok niezliczonych kolumn pancernych pojawiły się również doborowe szturmowe dywizje. Miały zdobywać mosty i ważne obiekty.

W maju było jasne, że Sowieci szykują się do nowej wojny ze starym sojusznikiem. Oficerowie polityczni głośno mówili o „wyzwalaniu” uciśnionych mas pracujących miast i wsi na zachodzie Europy, a potem na całym świecie. Czekano tylko na rozkaz Stalina, według którego należało pozwolić kapitalistom wziąć się za łby, a kiedy czas dojrzeje, uderzyć. Czas ten właśnie dojrzewał niczym rumieniące się na drzewach jabłka.

Zastępy Stalina w niczym nie przypominały obdartusów sprzed dwóch lat, którzy z Hitlerem napadli na Polskę. Nie widać już było karabinów na sznurkach ani dziurawych butów.

Przez Małyki przetaczały się kawalkady czołgów.

– BT-7, ludzi – mówił sowiecki tankista do stojących przy drodze chłopów z ciekawością przyglądających się obłym kształtom toczących się stalowych kolosów. – Zrzuci gąsienice na niemieckich drogach i pomknij jak auto na kołach! Do samego Paryża! Albo jeszcze dalej!

– Bez Boga daleko nie zajadło – siedzący przed domem Łuczenko zaczął rozmowę z sąsiadami, jak tylko czołgista zniknął we włązie maszyny.

– Noo, te drugie to Boga mają na kłamrach od pasów. Gott mit uns. Obaczmy kto wygra, bogobojne czy nie.

– A co tam bałakacie, Maśko – odezwał się ktoś obok. – Jakie one bogobojne, te Niemce? Ta nie mordowali naszych w trzydziestym dziewiątym?

Ten nazwany Maśkiem zachnął się.

– A może i mordowały, czort ich zna. Jedne warte drugich. Ale Niemce przynajmniej jedzenia nie będą może kradły jak te.

– Czy wyście zgłupieli do reszty?! – Stojąca za plecami mężczyzny Marta

popukała się w czoło. Była ciekawa tych maszyn sunących zakurzoną drogą. Swieta została w izdebce. Nauczona doświadczeniem, wolała trzymać się z daleka od sowieckich „dzentelmenów”. Pozwoliła jednak Marcie wyjść przed dom, ale tylko w obecności gospodarza. Teraz dziewczyna poprawiła chustkę na głowie i ruszyła w stronę drzwi. Napatrzyła się już dość. Dokończyła jeszcze tylko przez ramię:

– Trzymajcie jęzory za zębami, bo jak kto doniesie do Czeki, to pojedziecie wszyscy, na białe niedźwiedzie!

Groźba poskutkowała. Chłopi ucichli. Stali jednak nadal przy drodze, odprowadzając w milczeniu toczącą się na zachód kolumnę czołgów.

Okazało się jednak, że uciskane masy pracujące miast i wsi zachodniego świata musiały trochę poczekać na wyzwolenie. Sowiecka pięść uderzeniowa, pieczołowicie gromadzona od kilku tygodni na zachodniej granicy, rozsypywała się w pył, po tym jak 22 czerwca Niemcy, niczym pancerny walec, potoczyły się w głąb Kraju Rad. Całe dywizje składały broń, oddając się do niewoli, a mieszkańcy „wyzwalanych” z bolszewickiej zarazy miejscowości wydawali masowo swoich komisarzy ludowych. Potężna Armia Czerwona okazała się ulepiona z suchej gliny. Pod niemieckimi uderzeniami zamieniała się w garść popękanych skorup. Żołnierze z czerwonymi gwiazdami na czapkach mieli jedną wadę. Nikt nie nauczył ich się bronić. Mieli przecież iść w pieriod. Po co więc było tracić czas na doktrynę obronną? Teraz Związek Sowiecki płacił za to wysoką cenę w postaci utraty kilkudziesięciu kilometrów swojego terytorium dziennie.

A Niemcy byli zszokowani ilością nagromadzonego na granicy rosyjskiego sprzętu. Robiło im się gorąco na myśl o tym, że gdyby Sowietnicy ruszyli, to samą swoją masą przetoczyliby się po nich jak słoik po płaskiej podłodze. Zaś szeregowi żołnierze Wehrmachtu otwierali usta ze zdziwienia, widząc witającą ich jak wyzwolicieli miejscową ludność złożoną

z Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, która z ulgą pokazywała im dowody sowieckiego okrucieństwa i terroru. Jedyne Polacy byli sceptyczni, czując po prostu, że jedyne, co się od tej pory zmieni, to język urzędowy. Jeden kat zastąpił drugiego.

– **N**o i co? – odezwał się Łuczenko do stojących obok niego dziewcząt, gdy niemieckie pancerne kolosy toczyły się na wschód. – Te z Bogiem na kłamrach wygrali.

– Czy wygrają, czy nie, to jeszcze nie powiedziane. Ale zobaczycie, że wielkiej zmiany nie będzie. Ot, może zboża nie będą tak kradli. – Swieta obserwowała kolumnę przez małe okno, wychodzące na drogę.

– Jedni drugich warci. – Marta wciskająca głowę pod ramieniem przyjaciółki spoglądała ponuro na uśmiechniętych i zadowolonych żołnierzy. – Jeden okupant odszedł. Drugi przyszedł. Może nawet gorszy będzie. Ja tam Niemców ani nie lubię, ani im nie ufam.

– To nie Niemców musimy się obawiać – Swieta szepnęła jej do ucha.

– A kogo? – Zaskoczona Marta popatrzyła na Swietę, która odpowiedziała skinieniem głowy, wskazując grupę Ukraińców, którzy witali Niemców kwiatami i namalowanymi na transparentach swastykami.

– Ich, Martoczka. Ich bożek, Hitler, obiecał im Ukrainę niepodległą... – a w myślach, tak żeby nie przstraszyć dziewczyny, dodała – „po waszych polskich trupach”.

– Obaczymy, obaczymy... – wtrącił się Łuczenko, zapalając grubego skręta i zaciągnął się nim. Kłęby dymu przesłoniły mu na chwilę przetaczające się przez Małyki kolumny wojska i czołgi z czarnymi krzyżami na wieżach.



Piotr nigdy nie przypuszczał, że Londyn stanie dla niego otworem tak szybko. Kilkudniową przepustkę w zasadzie wybłagał u samego pułkownika. Ten, niechętnie wprawdzie, ale zgodził się, wykorzystując okazję, aby w zaklejonej starannie szarej kopercie przesłać do sztabu wojsk polskich kilka istotnych raportów.

Dwa tygodnie później miarowy stukot kół pociągu usypiał Piotra w drodze do stolicy Wielkiej Brytanii.

Londyn przywitał go tym, co miał do zaoferowania każdemu i prawie zawsze: deszczem oraz ranami zadanymi mu przez Luftwaffe rok wcześniej. Piotrowi nie przeszkadzało to jednak zupełnie. Szeroko otwartymi oczami chłonał architekturę tego miasta, która nawet w strugach deszczu nie traciła nic ze swojego majestatu. Już sam spacer ze stacji Charing Cross przez Trafalgar Square, którego północną stronę zamykał potężny gmach Galerii Narodowej, wywołał na jego twarzy uśmiech, który tylko pogłębiał się wraz z każdym kolejnym krokiem. Przeszedł wzdłuż St. James Park do samego królewskiego Pałacu Buckingham, przy którym ubrani w czerwone mundurowe kurtki wartownicy stali nieruchomo niczym posągi wykute z piaskowca, pozwalając kroplom deszczu spływać z wysokich, jakby futrzanych czap wprost na twarze. Minął okazały hotel Rubens, w którym siedzibę miał sztab i dowództwo wojsk polskich. Zameldował się w jednym z licznych pokoi jakiemś oficerowi, oddał kopertę i już po chwili ponownie kroczył dziarsko londyńskim chodnikiem. Zagłębił się w małym labiryncie uliczek, które dla nowo przybyłych podróżnych nie odróżniały się niczym od siebie, gdyż wypełniające je białe kilkupiętrowe domy wyglądały dokładnie

tak samo. Wszystko było tu inne i Piotr dopiero teraz zrozumiał, co miał na myśli jego profesor mówiący na wykładach o tym, że położenie wyspiarskie pozwoliło Anglikom stworzyć swój własny, wiktoriański styl, którego próżno szukać w innych krajach europejskich, a który stanowi o odrębności i specyfice Brytyjczyków pragnących się wyróżniać we wszystkim.

Po trzydziestu minutach marszu minął pełen ambasad Belgrave Square. Wszystko, co chłonał wygłodzonymi oczyma, przyprawiało go o szeroki uśmiech. W małym sklepiku przy Kings Road za kilkadziesiąt pensów kupił pudełko czekoladek i butelkę szkockiej whisky. Starszy sprzedawca na widok naszywki „POLAND” na jego ramieniu uśmiechnął się i wcisnął mu dodatkowo paczkę papierosów.

– Ale ja nie palę – próbował oponować onieśmielony gestem sklepikarza.

– To nic, nauczysz się, synu – stary poklepał go po ramieniu. – Dla walecznych Polaków taka paczka to najmniej, co mogę zrobić. Chwała waszym pilotom z Dywizjonu 303!

Piotr jeszcze długo po wyjściu ze sklepu uśmiechał się szeroko.

Według trzymanej w ręku mapy był już prawie na miejscu. Skręcił w Old Church Street i po chwili stanął przed jednym z prześlicznych domów przy małej, malowniczej uliczce Mulberry Walk. Zastukał mosiężną kołatką w kształcie lwiej głowy i odsunął się o kilka kroków. Drzwi uchyliły się, a po chwili trzymał już w ramionach promieniejącą ze szczęścia śliczną Maggie.

– *J*o Joseph Conrad – poinformował go niski głos Briana White’a siedzącego w skórzanym fotelu, gdy stał przed potężną biblioteczką pełną woluminów. – Znasz?

Pokręcił przecząco głową.

– Niestety. Znam jednak Konrada Korzeniowskiego. Też napisał *Lorda Jima*.

White parsknął śmiechem, krztusząc się dymem cygara.

– Typowy Polak, zawsze musi się upomnieć o swoje.

Piotr obrócił się w stronę gospodarza i zupełnie poważnie z kamienną twarzą powiedział:

– Musimy poważnie porozmawiać, panie White. Otóż Maria Curie, zanim wyszła za Piotra Curie, nazywała się Skłodowska.

Właściciel stoczni „J. Samuel White” rozkaszał się tak mocno, iż siwy kamerdyner musiał klepnąć go kilka razy w plecy.

– Za to Alan Milne, ten od Kubusia Puchatka, to mój przyjaciel i mieszka na sąsiedniej ulicy – odgryzł się po chwili gospodarz niepokornemu Polakowi.



biad podano w salonie, z którego duże oszklone drzwi prowadziły wprost do ogrodu z tyłu domu. Oświetlony dwoma kryształowymi żyrandolami pokój urządzony był w iście angielskim stylu. Upstrzone maleńkimi porcelanowymi figurkami kredensy oraz mnóstwo obrazków i fotografii przyklejonych do ścian nie burzyło poczucia dobrego smaku. Jednak majestat tego pomieszczenia nieco przytłaczał Piotra. Skupił się więc na jedzeniu. Nie przepadał za baraniną, lecz żeberka w sosie pieczeniowym przyprawiły jego kubki smakowe o szaleństwo. Zajadał się więc ze smakiem, co wywoływało szeroki uśmiech zadowolenia na twarzy córki gospodarza.

Przyjechał do Londynu na jej zaproszenie. Męczyła go o to listownie na tyle długo, że wreszcie któregoś dnia przełamał się i poprosił o urlop. Nie to, że nie chciał. Po prostu czerwona kokardka, która na stałe zagnieździła się w kieszeni mundurowej bluzy na jego sercu, przypominała mu niestrudzenie, że gdzieś tam, dwa tysiące kilometrów na wschód czeka na niego ta jedyna, Święta. Nie chciał przestać wierzyć, że mogło być inaczej. Włożył tak wiele wysiłku w to, żeby utrzymywać ten permanentny stan głodu serca, iż obecnie

nawet myśl o Maggie sprawiała, że czuł się, jakby popełniał zbrodnię. Jednak rozmowa przeprowadzona z Kubą uświadomiła mu, że być może traci czas. Nie miał żadnej gwarancji, że Swieta jeszcze na niego czeka. Być może więc okazja na wypełnienie pustki siedzi teraz naprzeciw niego i uśmiecha się tak, że topnieje mu serce. Jedno było pewne. Musi jej powiedzieć.

Na razie jednak White zabrał go do pokoju, w którym trzymał swoją kolekcję broni. Na ścianach wisiały różne rodzaje karabinów i strzelb, począwszy od tych najstarszych ze skałkowym zapłonem ładowanych od przodu, na nowoczesnym karabinie Lee-Enfield skończywszy. Jednak gospodarz zamierzał pokazać Piotrowi zupełnie inną rzecz. Otworzył dębową szafę, z której dna wydobył płócienny worek.

– Otwórz. – Podał pakunek zaskoczonemu gościowi, który z jego wnętrza wydobył białe zawiniątko. Rozłożył je na stole i...

– Kamizelka kuloodporna! – Piotrowi zaświeciły się oczy.

White pokraśniał z zadowolenia.

– Tak, kamizelka – uśmiechnął się. – Do tego wynaleziona też przez jednego z waszych, Ścepa..., Ściepa... – kręcił głową z niezadowoleniem, próbując wymówić trudne polskie nazwisko.

– Szczepanika, Jana Szczepanika!

– No właśnie! – White odetchnął z ulgą. – To nie jest oryginał. Te pierwsze wykonane były z kilku warstw jedwabiu, w których umieszczano metalowe płytki. Mogły wytrzymać nawet strzał karabinowy. Jedwab jest zaskakująco mocnym materiałem. Ale taka kamizelka nie ochroniłaby przed pociskami współczesnymi. Ja jednak zamówiłem wkłady ze specjalnego stopu metalu. Udało mi się osiągnąć cel. Kamizelka stała się odrobinę cięższa, lecz chroni dużo lepiej niż te starszego typu.



Maggie trzymała w ręku małą czerwoną kokardkę, patrząc na nią swoimi dużymi, mokrymi oczami. Skrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu i zapytała:

– Jaka ona jest?

Piotr zacisnął usta i popatrzył w głąb ogrodu. Na jego końcu rdzewiały mały dziecięcy rowerek oparty o płot. Niebieska rama opierała się dzielnie korozji, jednak obręcze i szprychy były grubo pokryte rudym nalotem.

– Ciepła, piękna i taka... dobra. I ma oczy takie, że można się w nich utopić. – Piotr poczuł ukłucie w okolicy mostka.

Po policzku Maggie popłynęła łza.

Piotr położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie porównuj się z nią, Sparkle⁶. To tak nie działa. Jesteś naprawdę wyjątkowa. I inna. To twój atut. Święta jest jedna i niepowtarzalna. Maggie White też jest jedna i niepowtarzalna. – Czuł się niezręcznie z tą pustką w głowie. Nie wiedział tak naprawdę, co ma powiedzieć.

Oddała mu kokardkę i przytuliła się do niego. Czuł wewnętrzny opór, gdy obejmował ją ramieniem, jednak przełamał się.

Maggie wciskała policzek w jego pierś. Wiedziała, że musi stoczyć o niego bitwę ze wszystkim, co zagnieździło się w jego myślach i sercu. Zmrużyła oczy. Zrobi to, będzie walczyć. Choćby miała polec, próbując.

– Co to za rowerek? Czemu tam stoi? – Po chwili Piotr zmienił temat. W uporządkowanym ogrodzie zardzewiały kawałek żelaza wyglądał jakoś nienaturalnie. Na dodatek smętnie zwisający z ramy łańcuch, który

przytwardzał ją do parkanu, sprawiał dość ponure wrażenie.

Maggie pociągnęła nosem, ocierając mokre policzki.

– To wyrzut sumienia – odpowiedziała. Jednak napotykając zdziwione spojrzenie Piotra, wyjaśniła:

– To rower mojego starszego brata...

– Nie wiedziałem, że masz brata – przerwał jej w pół zdania.

– Miałam. Poległ we Francji podczas niemieckiej inwazji...

Piotr pogładził jej policzek.


– Przepraszam, nie wiedziałem...

Maggie kontynuowała cicho i spokojnie.

– Bardzo chciał się zaciągnąć do wojska. Jednak ojciec był przeciwny. Powiedział mu podczas jednej z wieczornych sprzeczek, że użyje swoich koneksji, żeby go przed wojskiem uchronić. Bał się po prostu o niego. Nie umiał mu inaczej tego okazać. Jednak Larry, mój brat, po tej rozmowie zniknął. Rano znaleźliśmy tylko na jego łóżku list, w którym pożegnał się z nami jednym zdaniem – przerwała na chwilę, żeby wytrzeć nos. – Ojciec nie mógł sobie wybaczyć, że w taki sposób się rozstali. Pozwoliłby mu na to wojsko tak czy inaczej. Jednak Larry nie chciał czekać na pozwolenie taty. Po prostu wziął sprawy w swoje ręce. Ojciec któregoś dnia wyciągnął ten rowerek z szopy i wyczyścił go dokładnie. Właśnie na nim nauczył mojego brata jeździć. Przypiął go łańcuchem do ogrodzenia i oświadczył nam, że nie wolno go stamtąd ruszyć. Miał tam czekać na powrót Larry'ego z wojny. Kiedy przyszła wiadomość, że brat nie żyje, ojciec usiadł na krześle przed tym rowerkiem i upił się na amen. Od tamtej pory ilekroć patrzy na niego, przypomina mu się ta kłótnia. Ten rowerek nie pozwala mu sobie wybaczyć. Jest jak cień w stopie, którego mój tata nie chce wyjąć...

Piotr spochmurniał. Przypomniał mu się własny ojciec, do którego wysłał wiadomość jeszcze z Węgier. Odpowiedź dostał dopiero we Francji, po kilku

kolejnych wysłanych przez siebie. Zdawkową i lakoniczną, zupełnie taką jak jego pisane do ojca listy. Jednak najważniejsze było to, że odezwali się do siebie. Nie na długo. Jesienią czterdziestego roku dostał ostatni list od ojca, który dotarł do niego aż przez Lizbonę. Mimo kilku kolejnych wysłanych przez Piotra listów od tamtej pory wojskowy listonosz zawsze go pomijał. Oczywiście, jeśli nie liczyć licznej poczty, jaką regularnie otrzymywał od Maggie.

– krzywdzisz ją – potężna chmura dymu opuściła usta Briana White'a. – Widzę, jak na ciebie patrzy. Widzę też, jak ty na nią nie patrzysz.

Piotr doskonale pamiętał podobną rozmowę przeprowadzoną z matką Marty w Bedryczanach. Skrycie przewrócił oczami, przeklinając w duchu swojego pecha do ciągłych uwikłań w podobne sytuacje.

– Panie White, nie wiem, co powiedzieć, więc odpowiem szczerze. Zostawiłem w Polsce kobietę, za którą byłbym w stanie do niedawna skoczyć nawet w ogień. – Pochylił się w fotelu i położył splecione dłonie na kolanach. Opowiedział o Swiecie, Marcie i czasie, który spędził w Bedryczanach. Mówiąc to, trzymał na otwartej dłoni czerwoną kokardkę. Brian White patrzył na niego z uwagą.

– Jeśli Maggie będzie na tyle silna, żeby dać mi czas, abym się z tym uporał, to spotkam się z nią, gdy już uspokoi się ten kołowrót w mojej głowie. Jedno mogę obiecać. Nie zrobię świadomie nic, co mogłoby ją skrzywdzić.

– Już to robisz, pozwalając jej wierzyć. – White wstał z fotela i stanął tyłem do gościa przy oknie wychodzącym na ulicę.

– Co więc mam zrobić? – zapytał Piotr, rozkładając ręce.

Gospodarz odwrócił się do niego.

– Bądź ze sobą szczerzy... i módl się o światło – ugasił cygaro w stojącej na parapecie miedzianej popielniczce. – Jesteś wierzący?

– Jestem – odpowiedział Piotr. – Czasem tylko, gdy patrzę na to, co dzieje się teraz na świecie, wydaje mi się, że może Bóg opuścił nas, albo po prostu Go nie ma i nigdy nie było. Zresztą, który Bóg jest prawdziwy? A może wszyscy wierzymy w tego samego, tylko znamy Go pod innymi imionami...

– Bóg jest jeden, młody człowieku. – White oparł się o parapet i wpatrywał się w Piotra z uwagą. – I tylko my mamy rację.

– A żydzi? A hinduiści? A buddyści?

Gospodarz usiadł ponownie w fotelu.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Przyjmijmy na chwilę, że Bóg, w którego wierzymy, jest Oblubieńcem, o którym mowa w Ewangelii, czekającym na nas na szczycie góry. Jeśli różne religie oznaczają tylko różne ścieżki, jakimi można do Niego dotrzeć, to przyjrzyjmy się im. My, chrześcijanie, wspinaemy się po zboczach tej góry, pokonując przeciwności, staczając się czasem trochę, ale wierzymy, że jeśli dzięki Bożej łasce uda nam się dotrzeć na ten szczyt, to odnajdziemy tam naszego Oblubieńca.

Hinduiści mówią, że nasza dusza jest jak kropla odłączona od oceanu, którym jest Bóg. W takim razie jesteśmy jak mikroskopijny ocean, jakościowo tacy sami jak On. Nie potrzebujemy więc Oblubieńca, bo sami nim jesteśmy. Jako hinduiści nie będziemy się więc wspinać na górę. Nie ma tam niczego, czego nie moglibyśmy doświadczyć sami w sobie.

Buddyści twierdzą, że wszystko dookoła nas jest ułudą i że tak naprawdę to po drugiej stronie nie ma nic, jest pustka. Osiągnięcie stanu nirwany pozwoli nam się rozplątać w tej pustce. Podobnie jak wyzwolenie się z koła samsary, czyli kręgu kolejnych narodzin i umierania, reinkarnacji. Według buddystów Oblubieniec nie istnieje. Nie będą się wspinać na żadną górę.

Żydzi zaś, odrzucając Chrystusa, Oblubieńca, są jak ludzie czekający na kolejowym peronie na Mesjasza, Gościa, który przyjechał na ten peron już dwa tysiące lat temu. Stoją więc na tym peronie, nie przyjmując do wiadomości, że trzeba na górę wleźć...

– Po co mi pan to wszystko mówi? – przerwał gospodarzowi Piotr.

Oczy Briana White'a wwierciły się w Piotra z taką siłą, że zrobiło mu się gorąco.

– Chciałem jedynie, abyś sobie uzmysłowił, jak wielkie masz szczęście, że będąc chrześcijaninem, wierzysz w jedyne prawdziwego Boga. Módl się więc do Niego gorliwie, bo... – zawiesił na chwilę głos – jeśli skrzywdzisz moje dziecko, tylko On będzie cię w stanie przede mną uchronić.



9 października 1941 roku wszystko się zmieniło. Naczelnny Wódz generał Władysław Sikorski zdecydował, że 4. Brygada Kadrowa Strzelców stanie się 1. Samodzielną Brygadą Spadochronową. I stało się tak, jak sobie zażyczył. Od tej chwili Znaki Spadochronowe noszone na lewej piersi przez Piotra i tych jego towarzyszy, którzy przeszli pełne szkolenie przewidziane dla skoczków, zaczęły wyrażać esencję tego, do czego zostali powołani. Pikujący do walki orzeł przytwierdzony do munduru kojarzył się jednoznacznie – spaść z powietrza jak drapieżny ptak i wygrać.

Jednak to, co dla wszystkich było początkiem przygody w najlepszej polskiej jednostce na Zachodzie, dla Piotra okazało się jej końcem.

– To żart, prawda? – wyrwało mu się, kiedy tuż po przekształceniu brygady na spadochronową, wyprężony niczym struna, usłyszał z ust samego pułkownika Sosabowskiego: „Zostajecie oddelegowani na kurs strzelecki, z którego już do jednostki nie wrócicie”. Pułkownika tak zamurowała beczelna uwaga podwładnego, że patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Słucham, synu...? – jego pozornie łagodny szept zapowiadał wybuch o sile równej co najmniej eksplozji wulkanu. Nawet stojący obok Kuba, który również otrzymał polecenie wyjazdu, popatrzył na Piotra tak, jakby chciał powiedzieć: „Zamknij się i nie mów już nic więcej!”.

– Panie pułkowniku, przecież ja i Hucuł..., pan nie może nas tak po prostu z jednostki... – Piotr szukał w głowie odpowiedniego słowa, ale z powodu przerażającej pustki w samym jej środku poszukiwanie szło dość opornie. – Pan pułkownik nie może nas odesłać!

Siedzący w rogu pokoju siwy pułkownik chrząknął znacząco. Sosabowski gestem dłoni udzielił mu głosu.

– Panowie, nie przywiązywałbym zbyt wielkiej wagi do tego, czy chcecie odejść, czy nie. – Popatrzył na zupełnie zaskoczonych żołnierzy. – Pytanie nie brzmi nawet, czy chcecie osiąść tajniki strzelania ze wszystkiego, co wyrzuca z siebie kule, ale czy gotowi bylibyście polecieć do Polski.

Nic już nie byłoby chyba w stanie sprawić, żeby szczęki obydwu zaskoczonych chłopców opadły niżej.

– Widzę wewnątrz twojego żołądka, podporuczniku Błaszczyk! Zamknijcie gębę! – ostry ton głosu dowódcy przywołał ich do porządku.

Stary pułkownik chrząknął ponownie, po czym uśmiechnął się ciepło, jakby zaskoczenie Piotra i Kuby nie było dla niego nowością. Nie mogli wiedzieć, że takich rozmów jak ta odbył już w ostatnim czasie dość dużo. Za każdym razem, gdy padało pytanie o chęć powrotu do kraju, reakcja

żołnierza była dokładnie taka sama jak Kuby – otwarta na oścież gęba.

– Kurs strzelecki rzeczywiście jest przewidziany w ramach szkolenia. Jednak to tylko jedna z jego części. To tylko przykrywka, dzięki której wasi bezpośredni dowódcy, jak również i wasi koledzy żołnierze nie będą zadawali niepotrzebnych pytań. Nie muszę dodawać, że wszystko, co tu usłyszycie, pozostanie tajemnicą – zawiesił głos, a gdy zobaczył potakujące głowy, uśmiechnął się z zadowoleniem i powrócił do monologu. – Panowie, nasz kraj desperacko potrzebuje pomocy w postaci wyszkolonych kadr dowódczych. Od specjalistów w zakresie dywersji, wywiadu i kontrwywiadu, po szyfrantów i łącznościowców, a nawet dowódców oddziałów szturmowych. Jediną drogą do tego, żeby odpowiedzieć na to zapotrzebowanie, jest przygotowanie takich żołnierzy tutaj, w Wielkiej Brytanii. Wybrani kandydaci zostaną poddani specjalistycznemu szkoleniu, a potem przetrzucimy ich do kraju, by tam pełnili swoją służbę. Pytam się więc was, panowie, czy jesteście gotowi powiedzieć Polsce „Tak!”? Nie musicie się spieszyć. Macie dwa dni na odpowiedź.

W pokoju zapadła cisza przerywana jedynie świszczącym oddechem starego pułkownika. Oszołomiony Piotr próbował pozbierać myśli, które krążyły z zawrotną prędkością, nijak nie dając się ujarzmić. Tyle razy rozmawiali na temat powrotu do kraju. Dyskusjom o tym, jak to będą się przechadzać dumnie ulicami swoich miast, albo z bronią w ręku walczyć z Niemcami, nie było nigdy końca. Żaden z nich nie miał wątpliwości, że powrót do Polski powinien odbyć się już, teraz, natychmiast. Czuli nawet wstyd z tego powodu, że siedzą sobie spokojnie w zacisznej Szkocji, a tam w Polsce terror i śmierć codziennie zbierają swoje krwawe żniwo. Czuli, że nie mają prawa do tego spokoju. Miliony ludzi w kraju czekały na ich powrót, na polskich żołnierzy. Czy można w takim momencie powiedzieć „Nie”? Czy można...

– Tak! Zgadzam się! – zdecydowany głos Kuby wyrwał Piotra z zamyślenia. Zacisnął zęby, zły, że przyjacielowi znów udało się go wyprzedzić. Przecież odpowiedź może być tylko jedna...

– Ja też się zgadzam, panie pułkowniku.

Sosabowski uśmiechnął się zadowolony.

– Mówiłem panu, pułkowniku Mayer, że na moich żołnierzy zawsze można liczyć. Najlepsi z najlepszych.

Chłopcy poczuli dziwne ciepło w okolicach serca. Pierwszy raz słyszeli taką pochwałę z ust powściągliwego w pochwałach Sosabowskiego. Najlepsza nagroda za ich dobrą decyzję.

– A jak dostaniemy się do kraju? – Piotr przerwał nasiąkniętą patosem niczym gąbka wodą ciszę.

– Jak to jak? Spadniecie z nieba jak orły gotowe do walki! – pułkownik Mayer uśmiechnął się szeroko.

– Słucham? – Kuba wyglądał, jakby właśnie usłyszał, że będą ich wystrzeliwać w kierunku Polski za pomocą gigantycznej katapulty.

Sosabowski klepnął się w czoło otwartą dłonią, klnąc przy tym pod nosem.

– Skoczycie ze spadochronami, durnie! A teraz odmaszerować!

– Tajest, panie pułkowniku!



ołnierze, którzy zgodzili się na skok do Polski, znikali ze swoich jednostek

cichociemni po ciemku. Nauczono ich, jak walczyć w ukryciu i bez zdradzania swojej tożsamości. Do kraju również mieli dostać się bez wzbudzania hałasu, pod osłoną nocy. Właśnie dlatego ochrzczono ich „cichociemnymi”. Dokładnie w taki sposób, po cichu i po ciemku, Piotr i Kuba opuścili 1. Samodzielną Brygadę Spadochronową. Następne kilka miesięcy miało im upłynąć na cyklu specjalistycznych szkoleń, które opracowano z myślą o przygotowaniu cichociemnych do walki na terenie okupowanego kraju. Zorganizowano je nieopodal zamku Inverlochy w Szkocji. Mieścił się tu obóz szkoleniowy Special Operations Executive⁷, komórki koordynujące działania specjalne na pogrążonym w brunatnym śnie kontynencie. To właśnie jej Churchill wydał krótki rozkaz: „Podpalić Europę!”. Tutaj kandydaci na cichociemnych mieli nabyć umiejętności, które pozwolą im dopilnować, by ów płomień był jasny i gorący.

Mroźne szkockie powietrze wypełnione deszczem jak dobra kasza skwarkami idealnie pasowało do charakteru kursu dywersyjnego dla skoczków do Polski. Przenikające wszystko zimno stało się takim samym składnikiem dnia codziennego jak posiłki i sen. Jednak dla Piotra i Kuby nie był to powód do narzekań. Perspektywa powrotu do Polski jawiła im się jako najlepsza nagroda za cały ten trud. Przydała im się tu zaprawa z Małpiego Gaju w Lundin Links, miejsca nowego rozlokowania brygady. Był to specjalnie przygotowany na potrzeby żołnierzy pułkownika Sosabowskiego ośrodek z torami przeszkód i ćwiczeniami siłowymi, które wyciskały z nich siódme poty podczas treningu. Jednak jak mówi stare żołnierskie przysłowie: „Im więcej potu podczas ćwiczeń, tym mniej krwi na polu walki”.

Chłopcy bardzo szybko wpadli w oko angielskiemu komendantowi obozu, majorowi Staceyowi. Właśnie przygotowanie fizyczne wyróżniało ich spośród innych Polaków obecnych na kursie, którzy odbiegali kondycją od swych brytyjskich młodszych kolegów. Piotr i Kuba byli chlubnymi

wyjątkami. Nawet komendant polskiej sekcji, kapitan Antoni Strawiński, zwykle oszczędny w słowach, stawiał obydwu spadochroniarzy za wzór. Do czasu.

Jednym z elementów kursu była nauka walki wręcz. Prowadził ją brytyjski instruktor z mistrzowskimi pasami w judo i jiu-jitsu. Na dzień dobry poprosił zgromadzonych przed nim żołnierzy, aby któryś z nich zaatakował go w jakikolwiek sposób. Chętnych nie było. Wybrał więc sobie ochotnika sam. Żołnierz zamachnął się, ale zanim pięść dotarła do celu, leżał już na ziemi z wykręconą ręką, krzycząc z bólu. Instruktor rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnego ochotnika. Nie było potrzeby. Przed szereg wystąpił podporucznik Jakub Błaszczak „Hucuł” we własnej osobie. Podszedł do Brytyjczyka boksem krokiem z uniesioną gardą. Tamten chwycił go za nadgarstek, ale Hucuł właśnie na to liczył. Jednym ruchem ręki wyzwolił się z chwytu, i przytrzymując dłoń instruktora, uderzył nisko kolanem. Mistrz judo nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Zanim się zorientował, Kuba był już za nim, uderzając go w tył głowy pięścią niczym młotem. Kopnięcie pod kolano i cios w ucho otwartą dłonią zakończyły pokaz. Instruktor wylądował na ziemi, a Kuba w kuchni, obierając ziemniaki i pucując garnki przez dwa dni.

Ujął się za nim rzucony przez niego na deski instruktor. Pogratulował mu techniki i szybkości, i zaproponował dodatkowe pozaregulaminowe spotkania w celu wymiany doświadczeń. Kuba zgodził się pod jednym warunkiem. W dodatkowych treningach musiał uczestniczyć również Piotr. Hucuł za wszelką cenę chciał uczynić z przyjaciela prawdziwego wojownika, który w walce bezpośredniej wyciąga pistolet tylko w razie ostateczności. Brytyjczyk zgodził się. Od tej chwili kapitan Strawiński przestał chwalić „narzeczoną parę”, jak nazywali Piotra i Kubę koledzy z kursu. Zaczął ich uwielbiać.

Strzelali z każdej dostępnej Brytyjczykom broni, która została wyprodukowana w Europie i w USA. Nacisk położono na zapoznanie się z kulomiotami niemieckimi. W końcu na terenie okupowanej Polski były one najbardziej rozpowszechnione. Uczono ich głównie umiejętności oddawania strzału bez celowania, z biodra, do celów pojawiających się zarówno z przodu, z boku, jak i z tyłu.

Nauczono ich posługiwać się materiałami wybuchowymi. Po przejściu szkolenia umieli zakładać ładunki, planować akcje dywersyjne i organizować odwrót i ucieczkę z miejsca akcji.

Kurs badań psychotechnicznych, walki konspiracyjnej i odprawowo-konspiracyjny trwały do wiosny 1942 roku w londyńskim ośrodku w dzielnicy Bayswater. Powoli ze zwykłego sierżanta wojsk spadochronowych Piotr przeistaczał się w perfekcyjnie wyszkolonego dywersanta. Nie był już tym samym nieopierzonym młokosem, który trzy lata wcześniej wyruszał z Warszawy, żeby odnaleźć zagubioną w Bedryczanach miłość. Zamiast niej znalazł wojnę, żołnierski mundur, pierwsze potyczki z bronią w ręku, gorycz przegranej i przyjaźń człowieka niedopuszczającego nikogo poza nim do siebie, Kuby Błaszczyka. Zdążył również rozkochać w sobie młodą Angielkę. Znosił ze stoickim spokojem docinki Hucuła, że gdy już ożeni się z Maggie, to od Mr White'a dostanie w podarku lotniskowiec.

Najbardziej z jego przyjazdu do Londynu cieszyła się Miss White. Odwiedzała Piotra na tyle regularnie, na ile pozwalały jej na to zajęcia. Zawiesiła studia ku niezadowoleniu ojca. Wstąpiła do First Aid Nursing Yeomanry, czyli brytyjskiego Pomocniczego Korpusu Sanitarnego. Chciała robić coś ważnego, być częścią tego wysiłku, który jej naród wkładał w walkę z Niemcami. Piotr zaś lubił jej towarzystwo i doceniał to, że włożyła

mundur. Nie była typem krzykliwej panny, rozszczebiotanej i zasypującej towarzysza szczegółami dotyczącymi garderoby i nowych fryzur jej koleżanek. Za to za punkt honoru postawiła sobie wyrugowanie u niego silnego polskiego akcentu. Poprawiała go na każdym kroku, od czasu do czasu kładąc na jego usta palec, by stłumić wybuchy złości, gdy nie mógł w spokoju dokończyć zdania po swojemu.

Piotr, gdy nie brał udziału w zajęciach i nie włączył się z Kubą wieczorami, czytał. Maggie podrzucała mu od czasu do czasu perełki literatury angielskiej. Jednak na prawdziwy klejnot trafił w antykwariacie Petera Harringtona na Fulham Road. Pomiędzy oprawionymi w skórę woluminami zauważył znajomo brzmiące nazwisko. Na białym grzbiecie wydanej przez londyńskie wydawnictwo George Allen & Unwin Ltd. w 1927 roku książki czerwieniły się litery: Sophia Kossak, *The Blaze*.

Przecież to *Požoga*! – rozpromienił się, obdarzając stojącego przy nim sprzedawcę szerokim uśmiechem. Uwielbiał jej książki. Jeszcze nie tak dawno, tuż przed wybuchem wojny, dosłownie połknął w kilka dni jej czterotomową sagę o wyprawach krzyżowych. Odtąd *Krzyżowcy* na dobre zagościli na jego półce, a Zofia Kossak stała się jedną z ulubionych autorek. Znał też jej *Požogę*, opowieść o Kresach podczas przewalania się przez nie rewolucji październikowej, niemieckich taborów oraz konfliktu polsko-ukraińskiego. Pomyślał o Maggie. Książka byłaby idealnym prezentem dla niej. Zapytał o cenę i pobierał na twarzy. Po chwili wyłuskał z kieszeni dwa funty i położył na ladzie. Przemiły młody antykwariusz z twarzą ozdobioną krótkim rudym zarostem zwinął wolumin w szary papier i przewiązał go sznurkiem. *Požoga* zmieniła właściciela.

rozumieli się bez słów. Maggie z rumieńcem na twarzy odwijając zawinięty w szary papier prezent od Piotra, a on otwierał otrzymane od niej *Sonety*

Wiliama Szekspira. Czytał je potem w nocy na wrywki, próbując rozszyfrować trudną treść zaklętą w staroangielski język. Ukłucie w sercu poczuł koło północy, gdy natrafił na Sonet 56. Jakoś dziwnym trafem poradził sobie z nim bardzo sprawnie, za to strzała wypuszczona przez Szekspira kilka stuleci wcześniej ugodziła go na tyle skutecznie, że nie zmrużył już oka do rana, próbując ujarzmić huczące mu w głowie słowa wiersza.

Sonet LVI

Słodka miłości, wróć, by nie mówiono,
Że siły twoje od twych pragnień słabsze,
Pragnienia, choć je dzisiaj nakarmiono,
Jutro powrócą, tak ostre jak zawsze.
Więc wróć! Choć dzisiaj twoje głodne oczy
Mrużą się, ciężkie sennym nasyceniem,
Jutro spójrz znowu i ducha miłości
Nie chciej zabijać zbyt długim znużeniem.
Niech odpoczynek będzie oceanem
Dzielącym brzegi, na które przybyło
Dwoje kochanków młodych, by nad ranem
Pobłogosławić wracającą miłość.
Lub zwij to zimą, której mroźna szata
Po trzykroć każe oczekiwać lata⁸.

„Dwoje kochanków nad ranem...” – powtarzał w myślach nieskończoną ilość razy. Po raz pierwszy od tygodni wyciągnął z szuflady stolika nocnego małą kartkę, z której dużymi ciepłymi oczami spoglądała na niego Swieta. Dotknął rysunku opuszkami palców. Bolało. Zakopane skrzętnie uczucia odezwały się ponownie. Leżał na plecach i wpatrywał się w twarz, która wywróciła jego życie do góry nogami, nawet wtedy, gdy leżący na sąsiednim łóżku Hucuł, chcąc zakończyć katusze przyjaciela, wyłączył lampkę nocną.



W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia, i przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił – aż do ofiary życia mego. Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało. Tak mi dopomóż Bóg!

– Przyjmuję cię w szeregi Armii Polskiej, walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią – odparł odbierający przysięgę pułkownik z Oddziału VI Sztabu.

Słowa przysięgi wybrzmiały, pozostawiając za sobą ściśnięte gardła stojących w półokręgu cichociemnych. Piotr z trudem opanowywał wzruszenie. Stawał się od tej chwili żołnierzem legendarnej już podziemnej armii. Bo w okupowanej Polsce nie było ruchu oporu, tak jak we Francji czy w Norwegii. W Polsce istniało całe Państwo Podziemne, ze wszystkimi jego strukturami, sądami, uczelniami wyższymi i szkołami, które po ich rozwiązaniu przez okupanta działały w ukryciu, w formie tajnych kompletów; a przede wszystkim z siłami zbrojnymi podległymi Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie. Armia Krajowa, najliczniejsza z wojskowych organizacji, stanowiła siłę około trzystu tysięcy żołnierzy. Podzielona na obwody działała w każdym zakątku zniewolonego kraju, dając

się niemieckiemu okupantowi tak bardzo we znaki, że ten musiał utrzymywać w Polsce trzystutysięczny garnizon w celu zachowania kontroli nad krajem. Na jej czele stał dobrze Piotrowi znany przyjaciel jego ojca, generał Stefan Rowecki.

A teraz on, Piotr Ochocki „Tom”, stał się jednym z podziemnych żołnierzy. Dystans dzielący go od Polski malał w jego sercu z każdym dniem. Przed kilkoma dniami odbył rozmowę z jednym z oficerów prowadzących, który ponownie zapytał go, czy jest gotowy udać się do kraju. Mógł odmówić bez żadnych konsekwencji. Jednak takiej opcji nawet nie brał pod uwagę. Jego krótkie „Jestem gotowy!” oraz mocny, męski uścisk dłoni przypieczętowały jego los. Za dwa tygodnie leci do Polski. Oczywiście razem z Huculem.

Jego pseudonim „Tom” nie wziął się znikąd. Jeszcze w Inverlochach podczas treningu w posługiwaniu się nożem ktoś przyniósł ze sobą małą siekierę, która miała posłużyć do narąbania drewna na ognisko.

Część treningu była poświęcona rzucaniu nożem. Piotr jednak, gdy przyszła jego kolej, wyciągnął z za siebie siekierkę. Instruktor kiwnął głową na zgodę i wytrzeszczył oczy ze zdumienia, gdy ostrze wbiło się w stojący sześć metrów dalej gruby dąb.

– Jak Indianin prawdziwym tomahawkiem! – wykrzyknął ktoś z tyłu. – Piotrek „Tomahawk”!

Przydługi przydomek został szybko skrócony i odtąd wszyscy nazywali Piotra „Tom”. Spodobał mu się on na tyle, że obrał go jako swój konspiracyjny pseudonim.

Podczas kursu odprawowo-konspiracyjnego musiał opracować sobie fikcyjny życiorys. Wkuwał go od rana do wieczora, tak że nawet wyrwany z najgłębszego snu recytował bez zastanowienia.

– Tadeusz Ciesielski, zatrudniony w warsztacie ślusarskim na ulicy



– Kiedy się zobaczymy? – Maggie blada jak ściana ścisnęła dłoń Piotra, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami – Zobaczymy się, prawda, Piotrze?

Zacisnął zęby. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie mógł obiecać jej przecież, że wszystko się ułoży tak, jak sobie to wymarzyła. Choć działała nad wyraz skutecznie. Już po dwóch dniach, od momentu kiedy przeniósł się na stację wyczekiwania zwaną „Siedemnastką”, tylko sobie znanym sposobem zameldowała się u pani porucznik, dowódcy wszystkich „fanek” w małym hrabiowskim dworcu pod Londynem. „Fanki”, czyli dziewczęta z First Aid Nursing Yeomanry, miały za zadanie pomagać żołnierzom, którzy czekali w „Siedemnastce” na odlot do kraju.

– Margaret, ja... – Popatrzył na nią. – Jeśli przeżyję, to...

– Co to znaczy: jeśli przeżyjesz. – Po jej policzku pociekły łzy. – Musisz przeżyć! Czekam tu na ciebie, więc nie zrób mi nieprzyjemnej niespodzianki i nie daj się zabić. Nie możesz...

Przytulił ją. Nie cierpiał pożegnań. Jednak jeszcze bardziej nie znośił obiecywać czegoś, czego nie będzie mógł spełnić. Raz już obiecał kobiecie, że do niej wróci. Nie wrócił.

– Nie wiem, co będzie później. Może będzie lepiej, jeśli nie będziesz na mnie czekać.

Spojrzała na niego i pobrała jeszcze bardziej.

– Piotr, co ty...

Ale on już nie słuchał. Pocałował ją w oba policzki i wyszedł z pokoju. Wieczorem leciał do kraju.

Wszedł do pokoju, który dzielił z innymi oczekującymi na skok. Noc 25 marca 1942 roku wydawała się idealna do tego, żeby udać się do Polski. Gdzieś tam, niedaleko Warszawy, będą czekać na niego żołnierze „Syreny”, komórki Armii Krajowej odpowiedzialnej za przejmowanie zrzutów. Jednak w jego głowie panował chaos, którego w tej chwili nie powinno być. Nie czuł się dobrze z tym, jak rozwiązał sprawę z dziewczyną. Może nie powinien był tego robić w ten sposób? Może jednak wreszcie się przełamie i postanowi coś, dzięki czemu będzie miał po co żyć i gdzie wrócić? Jedno jego słowo i Margaret czekałaby aż po grób. Bił się z myślami, a czas uciekał. Zapowiedziany na godzinę siedemnastą wylot zbliżał się nieubłagalnie.

Nagle otworzył oczy i zerwał się z krzesła. Zdecydował. Wybiegł do holu, mijając w biegu dwóch żołnierzy, którzy odskoczyli na bok i przepuścili pędzącego na złamanie karku wariata. Wpadł do pokoju „fanek”, otwierając z hukiem drzwi.

– Muszę porozmawiać z Margaret! – wyrzucił z siebie zdyszany. Siedzące na łóżku dwie dziewczyny spojrzały na niego zdziwione.

– Maggie tutaj nie ma...

– Gdzie ją znaję?!

– Myślałam, że wiesz... Maggie wyjechała do Londynu. Godzinę temu... Dostała urlop na żądanie od pani porucznik...

Piotrowi pociemniało w oczach. Zamknął za sobą drzwi, nie odzywając się więcej do zdumionych „fanek”. Za późno. Przeklął w duchu swoją opieszałość, która pozwoliła losowi wybrać za niego. Teraz jedynie mógł mieć nadzieję, że było to najlepsze rozwiązanie, choć ucisk w żołądku

świadczył o czymś zupełnie innym.

– Tom, gdzie się podziewasz?! – głos Hucuła wyrwał go z odrętwienia. – Dawaj do samochodu! Jedziemy na lotnisko!

31




Piotr złapał się za poręcz, gdy sunącym równo po niebie samolotem zatrzęsło gwałtownie. Pilotowany przez angielską załogę halifax zbliżał się do Danii. Odzywała się właśnie niemiecka artyleria przeciwlotnicza. Obok jasnych smug reflektorów przeszukujących niebo dostrzegł wybuchające niczym girlandy kwiatów pociski wystrzeliwane z dział, tam na ziemi. Nagle kadłub samolotu rozświetlił się, gdy jeden ze szperaczy wyłowił na czarnym niebie obły kształt maszyny. Natychmiast w ich kierunku przybliżyły się kolejne snopy światła. Pilot raptownie skierował maszynę w dół. Pikowali z coraz większą prędkością i siedzący obok Piotra drugi cichociemny zaczął modlić się po cichu. Zdenerwowanie udzieliło się nawet Hucułowi. Jednak po chwili samolot prowadzony pewną ręką wyrównał lot, wymykając się niemieckiemu operatorowi szperacza. Po kilku minutach odetchnęli z ulgą. Siedzący razem z nimi „wykidajło”, brytyjski sierżant, który miał za zadanie nadzorować ich skok nad Polską, uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Almost! But not this time!⁹

A więc jeszcze tej nocy, po dwóch i pół roku, po raz pierwszy odkąd jako żołnierz przekraczał granicę z Węgrami, postawi stopę na polskiej ziemi.

Każdego dnia, który spędził poza krajem, wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy ta chwila nadejdzie, i za każdym razem był przekonany, że wzruszenie będzie ścisnąć jego gardło. Nie zawiódł się. Każdy z czterech skoczków z pewnością czuł podobnie. Hucuł siedział ze spuszczoną głową, patrząc się w podłogę. Pozostali dwaj bładzili oczami po ścianach samolotu, ale Piotr był pewien, że zamiast metalu widzą pola, mury miast i lasy, które zostawili za sobą po przegranej przez Polskę wojnie w trzydziestym dziewiątym.

Opuszczał kraj jako strzelec Piotr Ochocki. Powracał do niego jako podporucznik „Tom”. Nie przypominał już tego beztroskiego młokosa, który przed wojną odkrywał świat za pomocą ołówka i kartki. Ostatni rok, który spędził w elitarniej 1. Samodzielnej Jednostce Spadochronowej znakomicie dowodzonej przez pułkownika Stanisława Sosabowskiego, zmienił go w wytrawnego, dobrze przeszkolonego żołnierza. Czuł podniecenie, jak przed najważniejszym w życiu egzaminem. Pomyślał o gościnnej brytyjskiej ziemi, którą zostawił kilka godzin wcześniej za sobą, i natychmiast przed oczami stanęła mu śliczna zapłakana twarz Margaret. Tak ją zapamiętał. Zagryzł usta i popatrzył przez okno, żeby odpędzić nieprzyjemne myśli krążące mu nad głową.

 budziło go szarpnięcie za ramię. Otworzył oczy i zobaczył przed sobą wykidajkę.

– Za piętnaście minut skaczecie!

Roztarł dłonią zaspane powieki i rozejrzał się dookoła. Dopiero gdy zobaczył podniecenie na twarzach swych towarzyszy, dotarło do niego to, co powiedział sierżant. Polska! A więc dotarli! Pozostałe do skoku minuty dłużyły się niemiłosiernie. Koledzy nerwowo sprawdzali oporządzenie, nawet nie próbując ukryć szerokich uśmiechów na twarzach. Tylko Kuba siedział spokojnie niczym posąg wyciosany z marmuru. Ale to akurat było

zupełnie zrozumiałe. Porucznik Jakub Błaszczuk „Hucul” ostatnio okazywał emocje tylko wtedy, kiedy widział na talerzu soczysty stek. W każdym innym przypadku jego twarz pozostawała dokładnie taka sama. Niewzruszona.

Wpięli taśmy spadochronów do stalowej linki biegnącej wzdłuż kadłuba. Kiedy wyskoczą z samolotu, to właśnie one wyciągną spadochron z pokrowców umieszczonych na plecach. Drzwi do kabiny pilotów uchyliły się, po czym usłyszeli głos drugiego pilota.

– Chłopaki, trzymajcie się! Powodzenia w Polsce!

Odpowiedzieli na pozdrowienie i ustawili się w szeregu.

– Action! Station!

Wykidajło wykrzyczał komendy i klepnął każdego z nich po plecach na pożegnanie.

Drzwi boczne otworzyły się, po czym nad ich głową rozbłysło zielone światło.

– Go!

Wyskoczył. Przykryta białym puchem śniegu Polska przywitała go uderzeniem mroźnego powietrza.

Stało się. Tej nocy Piotr dołączył do grona ponad trzystu skoczków – cichociemnych, którzy w czasie wojny wyruszyli do Polski, aby wzmocnić swoją wiedzą i umiejętnościami bohatersko walczącą z Niemcami Armię Krajową. Stu dwunastu z nich poległo w walce z obydwojma najeźdźcami. Absolutna elita elit, którą Niemcy i Rosjanie tropili szczególnie zaciekle. Major Jan Piwnik „Ponury”, podpułkownik Adam Borys „Pług”, generał Elżbieta Zawacka „Zo” czy generał Leopold Okulicki „Niedźwiadek” to tylko część z długiej listy ludzi, którzy do Kraju udali się cicho i po ciemku.



Warszawa, 31 marca 1942 roku

Mimo kalendarzowej wiosny jeszcze gdzieś leżał śnieg, a błotniste kałuże stanowiły dodatkowe wyzwanie dla idącego szybko Piotra. Od kilku dni cierpiał na nieustanne kołatanie serca. Był w domu! Po dość sprawnie przeprowadzonym skoku został odebrany przez czekających na zrzut żołnierzy. Gdy tylko dotknął stopami ziemi, zobaczył biegnące w jego kierunku postaci. Wiedział, że byli to Polacy, jednak odruchowo sięgnął za poję kurtki, dobywając rewolweru. Tamci jednak nie zwrócili na to uwagi, próbując chwycić go w ramiona z radości. Nie wiedział, że czekali w lesie od tygodnia i wypatrywali upragnionego samolotu. Wzruszył się razem z nimi. Wszyscy czterej skoczkowie wylądowali bezpiecznie. Chwilę później szli już w szeregu do oddalonej o kilka kilometrów kwatery. Tam, po przywitaniu się z dowódcą, zdał na jego ręce pas wypełniony złotymi dolarami oraz puszkę z pieniędzmi i dokumentami.

Najtrudniej było mu pożegnać się z Huculem. Kuba jak zwykle nie okazywał zbytniego wzruszenia, ale mimo to Piotr czuł, że jego również ściskają za gardło niewidzialne kleszcze. Jakub udawał się na wschód, aby zasilić szeregi „Wachlarza”, wydzielonej z Armii Krajowej organizacji dywersyjnej, która na tyłach frontu, na terenach leżących poza granicami przedwojennej Polski, miała za zadanie sabotować dostawy dla armii niemieckiej oraz wprowadzać chaos na tyłach jej działań. Piotr zaś czekał na przerzucenie do Warszawy i przydział do „Osy”, Organizacji Specjalnych Akcji Bojowych.

Teraz zaś szedł ulicą Chmielną, starając się nie rzucać w oczy niemieckim patrolom. Na kursie odprawowym wpajano cichociemnym konieczność pozbycia się odruchów typowych dla żołnierzy, czyli sprężystego kroku, wyprostowanej sylwetki i wszystkich innych drobnych szczegółów, które mogłyby wyróżniać konspiratora spośród zwykłych mieszkańców miasta. Musieli się też pozbyć notorycznego mówienia „Sorry”. „Sorrowanie”, zhora kulturowa, z którą Piotr zetknął się na Wyspach, polegała na tym, że czy było się winnym, czy nie, zawsze na wszelki wypadek należało przeprosić. Nie trzeba było geniusza, żeby się zorientować, że „sorrujący” młody człowiek odstaje od normy.

Piotr nie poznawał miasta. Wiedział, jak się poruszać, znał ulice i zaułki, jednak to nie była ta sama Warszawa, jaką zapamiętał sprzed dwóch i pół roku. Brakowało kolorów, samochodów i radości na twarzach spieszących się gdzieś ludzi. Zamiast tego bure, smutne ulice wypełnione jakimś nieokreślonym napięciem, jakby powietrze zamieniło się w gęstą maź. Zobaczył też riksze, pojazdy na bazie rowerów z zamontowanym z przodu koszem do przewożenia ludzi, które zastępowały taksówki. Do tego wszystkiego dochodziły jeszcze rany i blizny. Wszędzie można było dostrzec skutki bombardowania z września 1939 roku. Z nowoczesnego dworca Warszawa Główna pozostały już tylko ruiny. Podobnie jak z Zamku Królewskiego i setek kamienic. Jednak było to jego Miasto, niezłomne i nieugięte, z którym okupant miał najwięcej problemów. I zadanie Piotra miało polegać właśnie na tym, aby takich problemów dostarczać Niemcom jeszcze więcej.

Szedł szybkim krokiem, czując, jak udziela mu się podenerwowanie. Adres, pod który go skierowano, znał bardzo dobrze. Najprawdopodobniej był to czysty przypadek i gdyby „góra” się zorientowała w sytuacji, nie zezwoliłaby na to. Jednak Piotr, kiedy kazano mu się zapoznać z napisanymi

na małej karteczce ulicą i numerem domu, rozszerzył oczy ze zdumienia i nie powiedział nic. Potraktował to jako nagrodę za dwa lata tułaczki.

Skręcił w ulicę Tamka i po chwili znalazł się przed dość sporą kamienicą. Dozorca kręcący się przy bramie na jego widok otworzył szeroko oczy.

– Panie...

Piotr przerwał mu, kładąc palec na ustach. Starszemu człowiekowi łyzy zakręciły się w oczach. Odwrócił się i z jeszcze większym zapalem zabrał się do zamykania. Piotr wchodził po drewnianych schodach, ciesząc się każdym skrzypnięciem i nierównością. Na pierwszym piętrze zapukał do ciężkich drewnianych drzwi. Wystukał sekwencję, jakiej go nauczono. Zamek zaskrzypiał i...

Starsza kobieta stojąca w progu zakryła dłonią usta, a z jej oczu popłynęły dwa strumienie. Nie wydobyła z siebie głosu, tylko wpuściła Toma do środka. Piotr poczuł, jak jego podbródek zaczyna drżeć i... rozkleił się.

– Ciociu...

Siedział przy kuchennym stole, tym samym, na którym zostawił ojcu wiadomość na dzień przed wybuchem wojny. W mieszkaniu panowała cisza, zmacona jedynie tykaniem zegara i krzykami dzieciarni bawiącej się na podwórku. Nalana mu przez ciotkę zupa wystygła zupełnie. Nie zwracał na to uwagi.

– Przeprowadziłam się tu podczas oblężenia Warszawy – ciocia pierwsza przerwała milczenie. – Nasza kamienica na Okopowej została zbombardowana. Witek, znaczy twój ojciec, prawie od razu rozpoczął działalność w podziemiu. Wciągnął go ten jego znajomy oficer, Rowecki czy jakoś tak... Nie wiem dokładnie, czym się zajmował, ale bałam się strasznie o niego. Nie złapali go, nie zastrzelili. Po prostu przewrócił się na schodach i już się nie podniósł. Lekarz stwierdził zgon na miejscu. Podobno pękła mu

jakaś żyła w głowie, krwiak. A ja przejęłam mieszkanie do twojego powrotu i pozwoliłam na zorganizowanie tutaj bezpiecznego lokalu dla organizacji, tak jak sobie życzył.

Pustka w głowie i potężny kołtun bólu w sercu – to wszystko, co teraz czuł. Od chwili, gdy zobaczył adres swojego mieszkania jako miejsca, w którym spotka się z „ciotką”, osobą odpowiedzialną za okres kwarantanny, czyli dostosowywania się do realiów życia w mieście, czuł podekscytowanie. Wyobrażał sobie minę ojca, gdy go zobaczy w drzwiach. Oczami wyobraźni widział już nawet jego dumne spojrzenie, kiedy opowie mu swoje wojenne przygody. „Ciotką” okazała się jego prawdziwa ciotka, siostra ojca, a pragnienie spotkania z nim młotem kruszącym jego własne serce. Spóźnił się. Który to już raz w życiu?

– I tylko ten koń na biegunach w twoim pokoju. Nie pozwolił go odpiąć.

Piotr poczuł, jak wszystkie włosy na ciele stają mu dęba, a oczy rozszerzają się ze zdumienia.

– Jaki koń? Po co?

Zerwał się z krzesła i pobiegł do swojego pokoju. Otworzył z hukiem drzwi. Zobaczył go. Stary wyleniały konik na biegunach, jego ulubiona zabawka z dzieciństwa, stał przywiązany do metalowej ramy łóżka.

– Powiedział, że ta zabawka przypomina mu ciebie – doszedł go zza pleców głos cioci. – Czuł straszny żal do siebie, że tak się rozstaliście, że nie potraktował cię poważnie. Powiedział, że koń będzie jak wyrzut sumienia i przestroga, żeby już więcej tego błędu nie popełnić...

Płakał głośno. Oparł się o ścianę i trząsł się cały, kiedy szloch przeciskał się przez jego ściśnięte gardło.



Janek gładził dłonią szorstki grzbiet krowy. Słyszał jej sapanie. Przed chwilą przygnał zwierzę z łąki. Poklepał ją po zadzie i usiadł na małym zydłu. Chwilę później o ścianki metalowego wiaderka zadzwoniły strużki ciepłego mleka. Gdy skończył, ponownie poklepał zwierzę pieśczośliwie, uniósł wiaderko i przelał białą zawartość do kanki, na której wlot nałożył uprzednio czystą ściereczkę. Chwycił kankę z tak przefiltrowanym mlekiem i wyszedł z obory. Naczynie nie było ciężkie. Bez trudu pokonał dystans dzielący go od ganku domu. W kuchni przywitał go płacz młodszej siostry, wtulonej w matkę. Postawił kankę na stole i nalał świeżego mleka do kubka.

– Czego ryczysz, Anielka? – zapytał, maczając usta w wybornym ciepłym płynie.

– Ta łąziła gdzieś po lesie z Antosiem – łagodny głos matki, zamiast uspokoić małą, wywołał kolejną falę łez.

Janek popatrzył na nie zdziwiony, odstawiając kubek.

– I lasu się tak przestraszyła?

– Chłopi nas wystraszyli – odezwał się zza stołu milczący dotąd Antek. – Byliśmy na polanie za górką. Jak wracaliśmy, to weszli na nas chłopi. Od nas ze wsi i nie tylko. No i kiedy nas mijali, to jeden powiedział, żebyśmy cicho byli i nikomu nie mówili, że ich spotkaliśmy.

– No i dlatego ryczy? – w głosie Janka można było wyczuć nutkę niepokoju.

Antek spuścił głowę i pokręcił nią przecząco.

– Jeden z nich powiedział, że jak komu powiedzą, to zrobią im to, wyciągnął nóż zza pazuchy i przeciągnął nim po swoim gardle – dokończyła

opowieść matka.

– Polacy wam grozili? – zapytał Janek z niedowierzaniem.

Antoś podniósł głowę, a jego cichy głos zmroził krew w żyłach Janka.

– Nie Polacy, Ukraińcy. Mieli widły i sierpy.

Janek stanął wyprostowany. Jeszcze przez chwilę łudził się, że podejrzenia, które cisną mu się do głowy, to tylko wytwór jego wyobraźni.

– Nieśli trawę?! Kosili coś?!

Antek znów pokręcił głową.

– Nie mieli nic, tylko sierpy i widły. Szli od wsi tą ścieżką na Małyki.

– Dawno?!

Chłopiec potrząsnął głową.

– Ze trzy godziny temu.

Janek poczuł, jak oblewa go zimny pot. Pogłoski potwierdziły się. Ukraińcy ruszają na swoich sąsiadów.

„Marta! – przebiegło mu przez myśl. – Co z Martą?!”

Musiał wyglądać przerażająco, bo na jego widok Antoś skulił się w sobie przestraszony. Janek chwycił go za ramiona.

– Antek, leć do Wiśniewskiego i powiedz mu o wszystkim – potrząsał wystraszonym chłopcem – powiedz, że Małyki zapłoną dzisiaj.

Odwrócił się i podszedł w stronę siedzącej na łóżku matki, której szeroko otwarte oczy i blada twarz zdradzały przerażenie. Dopadł jej kolan.

– Matula, leczę do lasu. – Pocałował pospiesznie jej dłonie. – Tu wam nic nie grozi. Leśni i samoobrona z Jabłonnej mają baczenie. Nie wiem, kiedy wrócę, muszę pomóc Marcie.

Czuł, że matka wie, iż pociesza ją, mijając się z prawdą. Jabłonna była za daleko, a nękani przez UPA i Niemców partyzanci byli za słabi, żeby strzec każdej wsi w okolicy.

Próbował zerwać się z kolan, ale matka przytrzymała go na miejscu.

– Janek! Chłopaku! – głos drżał jej tak samo, jak dłonie, którymi gładziła jego włosy. – Synku, gdzie ty idziesz? Przecież oni cię zabijają, tak jak tamtych! Poczekaj na ojca, wróci zaraz.

Janek ściągnął dłonie matki ze swoich włosów i ucałował je raz jeszcze.

– Tam jest Marta, matuś. – Popatrzył jej w oczy. – Muszę ją ochronić.

Dwie duże łzy spłynęły na policzek pani Marciniszyn. Wiedziała, że nie jest w stanie zatrzymać syna, i ta niemoc jeszcze gwałtowniej rozdzierała jej serce. Janek otarł jej policzek, delikatnie pochylając głowę, na której czole kciuk matki nakreślił znak krzyża.

– Idź z Bogiem, synku. – Drżąca dłoń opadła na kolano.

Janek pogłaskał siedzącego obok matki dwuletniego Maciusia, najmłodszego brata, i przytulił ciągle chlipiącą Anielkę. Pocałował ją w czoło i wyszeptał do ucha:

– Trzymaj się rodziców i Antosia, zajączku.

Siostra, wybuchając gwałtownym płaczem, znów wtuliła się w matkę. Zerwał się i chwyciwszy w locie kubek z niedopitym mlekiem oraz leżący na stole duży kuchenny nóż, wybiegł na podwórze. Chwilę rozglądał się, zbierając myśli. Przydałaby się teraz broń, ale do Wiśniewskiego było zbyt daleko. Poza tym nie miał pewności, czy ten trzyma pistolet w domu, czy też dla bezpieczeństwa nie wyniósł go do lasu. Najważniejszym czynnikiem jednak pozostawał czas. Słońce już prawie skryło się za lasem, a zapadający w szybkim tempie półmrok oznaczał tylko jedno. Stanie się cud, jeśli zdąży, zanim to piekło się rozpęta. Podbiegł do stojącej w rogu podwórza szopy. Powiesił kubek na kołku i wszedł do środka. Po chwili zastanowienia ściągnął z gwoźdźcia ostry jak brzytwa sierp. Wybiegł z komórki i ruszył w stronę lasu. Trącony ramieniem kubek spadł z kołka na ziemię. Czyste, śnieżnobiałe mleko rozlało się małą kałużą, mieszając się z brudem

udeptanego piasku.

Biegł w stronę Małyk, starając się nie ulec panice. Jednak za każdym razem, gdy uzmysławiał sobie, jak okrutna śmierć może czekać Martę, jeśli się nie pospieszy, miękły mu kolana. Odganiał te myśli i skupiał się jedynie na tym, by nie opaść z sił. Dopiero co wzięli ślub. Pierwotnie zamierzali pobrać się latem czterdziestego pierwszego roku, jednak ostatecznie odwlekli go o dwa lata. Na początku Marta chciała koniecznie poczekać na powrót matki. Na próżno. Nie było żadnych wieści o jej losie. Potem ich plany pokrzyżował Hitler, napadając na Związek Radziecki. Rok później, gdy już wydawało się, że nic nie stanie na przeszkodzie, Jankowi zmarła babcia. Mieszkająca z nimi matka jego ojca była osobą, która do domu Marciniuszynów wprowadzała najwięcej ciepła. Uwielbiała Martę, a ta potrafiła godzinami przesiadywać w jej towarzystwie, plotkując i śmiejąc się za plecami Janka. Żałoba po jej śmierci odsunęła ich ślub o kolejny rok. Wreszcie w maju 1943 roku Marta stała się panią Marciniuszyn. W małym kościółku w Małykach ślubu udzielił im kapelan leśnego oddziału Armii Krajowej. Święta nigdy nie widziała swojej przyjaciółki równie szczęśliwej.

Marta jeszcze nie zdążyła przenieść się do domu Janka w Mierosławiu. Postanowili, że zamieszka z nim jesienią. Łuczenkom potrzeba było rąk do pomocy w gospodarstwie i przy nadchodzących żniwach. Jednak czasy stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Prawie każdej nocy na Wołyniu płonęły polskie domy podpalane rękami ukraińskich sąsiadów. Wielkie czyszczenie Wołynia z Polaków rozpoczęło się. Roman Szuchewycz, znany jako Taras Czuprynka, komandyr¹⁰ UPA, wydał właśnie rozporządzenie rojące się od mrozących krew w żyłach idei: „Śmierć jednego Lacha to metr wolnej Ukrainy”, „Albo będzie Ukraina, albo lechicka krew po kolana”, „Polaków w pień wyciąć”.

Zbliżał się do Małyk. Ciemność sprawiała, że musiał zwolnić. Drogę znał na pamięć. Wydeptał ją przez ostatnie lata dokładnie. Nie mógł zebrać myśli. Strach o Martę odbierał mu zmysły. Bał się tego, co zobaczy. Wiedział dobrze, do czego zdolni są Ukraińcy. Dotąd myśleli, że wioska jest bezpieczna, mimo iż samoobrona nie stanowiła żadnej przeciwwagi dla świetnie zorganizowanej i wspomaganej przez ukraińską policję bandy tego rzeźnika „Eneja”, która grasowała niepokojąco blisko. Jednak ostatnio w ich rejon przeniósł się duży oddział leśnych z Armii Krajowej nękany przez Niemców od dłuższego czasu. Uderzenie na Małyki mogło być próbą złamania w mieszkańcach okolicznych wsi woli pomocy leśnym oddziałom polskim.

Zapadła noc. Przystanął na chwilę. Musiał zaczerpnąć tchu. Oparty o pień drzewa słyszał strzały od strony wsi. Do przebycia pozostało mu już nie więcej niż dwa kilometry. Z tej odległości dochodziły go również niosące się po lesie krzyki. Nie chciał myśleć o tym, co może zobaczyć. Widział ostatnio już nadto. Próbował podporządkować umysł jednemu celowi. Wydostać z piekła Martę. Nie dopuszczał nawet myśli, że mogłoby się jej coś stać. Mieszkała w końcu u ukraińskiej rodziny razem ze Swietą. Jednak jeśli bandyci wtargną do domu, to Swiety może nie ruszą, ale Marcie już nic nie pomoże.

Ta myśl dodała mu siły. Ruszył pędem w kierunku wsi. Nie bał się o siebie. Wychowany pomiędzy Ukraińcami znał ich język doskonale. W ciemności nikt z miejscowych raczej go nie rozpozna, a policja albo upowcy raczej wezmą go za ukraińskiego marudera, który spóźnił się na ten „bal”, niż za Polaka. W odległości mniej więcej kilometra od wsi zwolnił. W lesie mogły być wystawione czujki. Nie trzymał się głównej ścieżki. Kluczył pomiędzy drzewami, starając się ignorować przeraźliwe krzyki i strzały karabinowe. Czujek nie było. Za to na skraju lasu, w blasku płonącej

chałupy, zobaczył kordon uzbrojonej ukraińskiej policji. Nie myśląc wiele, wszedł prosto na nich.

Usłyszeli za sobą trzask gałęzi. Odwrócili się gwałtownie.

– Stij! Chto ide?! – Zobaczył lufy karabinów wycelowane w siebie. – Budemo striliaty!

Światło padało od tyłu, więc nie widział ich twarzy. Miał tylko nadzieję, że wśród policjantów nie ma nikogo, kto mógłby go rozpoznać. W sumie i tak nie miało to teraz większego znaczenia. Zasłonił jednak oczy dłonią jak daszkiem, żeby lepiej widzieć.

– Ne striliajtie! Ja ukrainskij! – Janek poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Czas największej próby właśnie się rozpoczynał. – Srać mi się zachciało, to poszedłem w las – powiedział w kierunku policjanta stojącego najbliżej. Tamten mierzył do niego z karabinu nieufnie.

– Nie mogłeś srać koło chałupy?

Janek popatrzył na niego i udał mało rozgarniętego.

– Koło chałupy? Koło chałupy to strzelacie i strzelacie. Nie mogłem tam. Jeszcze by mi który z waszych kulkę w dupę wsadził.

Ukraińcy zarechotali rozbawieni odpowiedzią. Opuścili broń i przepuścili go w kierunku wsi, śmiejąc się głośno. Kiedy ich mijał, jeden z nich kopnął go w pośladek.

– To na rozpęd! Żebyś się do roboty nie spóźnił.

Janek minął płonąca chałupę. Kiedy wyszedł na otwartą przestrzeń, poczuł, jak jego serce ścina lód, a nogi uginają mu się w kolanach.

Wkroczył w najgłębszą czeluść piekła.



Przekroczył bramę, na której pokrwawionych sztachetach zamiast suszących się garnków wisiały powbijane okrakiem malutkie dzieci... Chciał odwrócić głowę, ale jakaś siła przemożna pchała jego wzrok w kierunku małych główek zwisających bezwładnie. Minał je szybkim krokiem. I ich rodziców też minął... leżących pod płotem... z wybitymi oczami i obciętymi kończynami. Wrzask płonących w pobliskiej stodole ludzi brzmiał tak upiornie, że zakrył uszy. Wszędzie mijał Ukraińców, którzy z zaciętością na twarzach szli od chałupy do chałupy, a gdziekolwiek weszli, znaczyli swój marsz śmiercią i zniszczeniem. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Rozzuchwalone zapachem krwi i mordu zastępy śmierci wywlekały z chałup przerażonych mieszkańców. Nie oszczędzano nikogo. Ci, którzy zostali zastrzeleni, mogli mówić o szczęściu. Uniknęli potwornych tortur z rąk rzeźników z UPA i prostych ukraińskich chłopów. Janek patrzył, ale całą siłą woli starał się nie widzieć. Zarejestrowane niczym na celuloidowej taśmie filmowej obrazy przesuwwały się przed jego oczami. Nie odwracał wzroku, ale też nie angażował umysłu. Nie miał wyboru. Wszystkim nie mógł pomóc. Wiedział, że jeśli się zatrzyma, to albo popadnie w szaleństwo, albo z wściekłości zacznie zabijać te zwierzęta. Miał świadomość, po co tu przybył. Musiał ocalić Martę. Mijał więc rozstrzeliwanych pod ścianami ludzi. Przebiegał obok wielokrotnie gwałconych córek i żon, których ojcowie i mężowie ukrzyżowani na drzwiach błagali o litość dla nich. Przesuwał wzrok po dzieciach zakłuwanych widłami w krzakach przez ukraińskich sąsiadów, przed którymi się ukryły. Nie myślał, po prostu patrzył. Krzyk mordowanych mieszał się z gryzącym dymem z palonych domów.

Wpadł przez furtkę na jakieś podwórze. Za pogrążonym w ciemności domem płonęło ognisko. Kilku mężczyzn w mundurach paliło papierosy

i grzało się w jego ogniu pośród leżących dookoła zmasakrowanych ciał. Ukraińcy popatrzeli na niego.

– Przyszedłeś poruchać? – usłyszał pytanie. Oszołomiony widokiem popatrzył tępo na pytającego, który dołączył się do rehotu pozostałych. Dopiero teraz zobaczył... martwą kobietę w ciąży, leżącą przy ognisku. Odwrócił głowę. Ukrainiec dopadł go i chwycił za kark.

– Spierdalaj do swoich cywilów, kmiecie! – syknął przez zaciśnięte zęby. – Tutaj bawi się UPA!

Zatoczył się i wybiegł z podwórza. Zebrał się w sobie i pobiegł w kierunku chaty, gdzie, ciągle miał nadzieję, nie dotarł szatan ze swoimi sługami. Wiedział, że były wsie, gdzie Ukraińcy urządzali masowe rzezie. Jednak teraz po raz pierwszy zobaczył to na własne oczy. Ostatni widok przebrał w nim miarę goryczy. Skala okrucieństwa przewyższała wszystko, z czym do tej pory się spotkał. Każdy obraz wpadał w jego pustą duszę i dźwięcząc o jej ścianki, napełniał ją gniewem i nienawiścią zaczynając kipieć w jego sercu. Poczuł chęć mordy. Wściekłą żądzą zemsty. Biegł nie zatrzymywany przez nikogo, trzymając sierp w jednej ręce, a nóż w drugiej, mijając leżące przy chatach zbezczeszczone zwłoki polskich mieszkańców wsi. Nie mógł im pomóc. Nie miał czasu. Kilka domów przed celem skrzył w bok. Nie chciał podchodzić od frontu. W końcu w domu mieszkali Ukraińcy. Nie wiedział, czego może się spodziewać. W pełnym pędzie minął kolejne ciała rozstrzelanych ludzi. Kiedy wypadł za róg, zobaczył dwóch Ukraińców z okrwawionymi widłami w rękach dzielącymi zrabowane łupy. Na jego widok podnieśli się, ale przekonani, że Janek jest jednym z nich, opuścili widły.

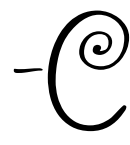
To był błąd.

Janek nie zwolnił kroku. Jakby trenował to całe życie, skoczył w biegu, wyrzucając nogę do przodu. Siła kopnięcia odrzuciła stojącego bliżej chłopca

na kilka metrów do przodu. Nie zatrzymując się i nie patrząc w bok, Janek zrobił zamach i tak jak rżnie się dojrzałe zboże, ciął w pełnym pędzie. Sierp wbił się w szyję drugiego Ukraińca i przeciął ją do połowy, zatrzymując się na kręgosłupie. Widły opadły na ziemię, a tamten zwałił się bezwładnie z nóg. Kiedy dopadł do tego, który przekoziółkował po silnym kopnięciu, przygniótł go kolaniem i z całej siły wbił nóż w zdziwioną i przerażoną twarz. Gruchnęła kość. Janek wytrzymał kilka sekund, podczas których ciało Ukraińca drgało w konwulsjach. Wstał, wytarł nóż w ubranie leżącego i zupełnie bez emocji, z zimnym sercem, splunął na leżące zwłoki. Podszedł do rogu chałupy.

Przez drzwi domu, w którym mieszkały Marta i Swieta, wchodził właśnie oddział pięciu uzbrojonych upowców. Poczł, jak traci wszystkie siły.

Spóźnił się.

—  zego sami nie pójdziecie? – zapytał chłopów upowiec z chustą na twarzy. – Boicie się, trzęsiportki jedne?

Jego towarzysz splunął pod nogi. Akcja trwała w najlepsze, a tych tu dwóch zawracało im głowę jakąś historią.

– Panie – jeden z chłopów ściągnął czapkę – my się nie boimy. Już dwa domy oczyściliśmy – kiwnął głową w stronę drugiego – prawda, Mykyta?

Tamten odkiwał potwierdzająco.

– Tylko, panie, tam nasi mieszkają. Nas znają, bo my tutejsi. Będą się później mścić, jak nas zobaczą. A Laszka u nich jest. Dwie są znaczy, ale jedna to Laszka... a druga Laszka to nie Laszka, tylko Ukrainka.

Upowiec zniecierpliwiony pokrętnym tłumaczeniem przerwał ten monolog, który wystraszonemu chłopu sprawiał wyraźną trudność.

– Dobra, zamknij się już – a zwracając się do swoich czterech

towarzyszy, skinął w kierunku domu. – Idziemy, sprawdzimy te pierdoły, które wygadują.

Na odchodnym obrócił się w stronę obydwu chłopów.

– Jak nam dupę zawracacie, to z was osobiście flaki wypruję.

Gdy zniknęli za rogiem chałupy, jeden z chłopów ściągnął tobolek z ramion i wysypał jego zawartość na ziemię.

– Mykyta, podzielmy łupy.

Gdy już mieli odstawiać widły, usłyszeli kroki. Nagle zza węgła wypadła jakaś postać. Jednak gdy zobaczyli nóż i sierp w rękach tamtego, opuścili widły. Musiał być od nich. Mylili się. Bardzo się mylili. Nieznajomy, nie zwalniając biegu, wyskoczył do przodu i powalił Mykytę potężnym kopniakiem.

Marta śmiała się cicho przez sen. Powieki poruszały się, gdy wodziła pod nimi oczami obserwującymi senne majaki buszujące wewnątrz głowy. Swieta potrząsnęła ją za ramię. Gdy gwałtownie wybudzona Marta jęknęła w proteście, ręka przyjaciółki zakryła jej usta, dławiąc wszelkie dźwięki.

– Ciiii... – syknęła Swieta i położyła palec na ustach. W izdebce panowały prawie idealne ciemności. Przez pewien czas trwały obydwie w bezruchu. Dopiero po chwili usłyszała to znowu. Głośny karabinowy strzał. Huk postawił Martę na równe nogi. Ściągnęła dłoń Swiety ze swoich ust.

– Co to? Co się dzieje? – wyszeptała dziewczynie wprost do ucha.

Swieta pokręciła w ciemnościach głową na boki.

– Nie mam pojęcia. Albo Niemcy, albo Ukraińcy. Jeśli Niemcy, to pół biedy. „Jeśli Ukraińcy, to broń nas, Panie Boże” – dopowiedziała w myślach,

nie chcąc przstraszyć Marty.

Z bezruchu wyrwało je łomotanie do drzwi.

– Dziewczyny, wstawajcie! – Głos gospodarza wyrwał je z odrętwienia. – Ukraińcy we wsi! Mordują i palą! – Łuczenko nie próbował nawet ukryć strachu w głosie. – Musicie uciekać!

Zerwały się z łóżka. Swieta zapaliła lampę. W izbie nie było okien, więc światło nie mogło ich zdradzić. Marta skoczyła do kuferka pod ścianą. Niezdarnie, w pośpiechu nakładała na siebie ubranie. Swieta złapała ją za rękę.

– Martoczka, zdejmuj sukienkę. Spodnie – podała jej parę zwiniętą w rulon – zakładaj spodnie. Jak rozpoznają, że my dziewczyny, to Boże mij!

Skołowana Marta ściągnęła sukienkę, rozrywając jej brzeg. Nie zdążyła wciągnąć spodni. Potężny hałas otwieranych kopnięciem drzwi osadził ją na miejscu. Ponownie zamarły. Po drugiej stronie, w głównej izbie, gwałtownie wystrzeliwane zdania nie zapowiadały niczego dobrego.

– Pane, żadnych Lachów tutaj nie ma – błagalny ton Łuczenki niezbyt skutecznie przekonywał nocnych gości. – Przecież my jesteśmy Ukraińcy!

– Gadaj stary, gdzie Laszka! – Zachrypnięty, gardłowy głos zmroził dziewczynom krew w żyłach.

Marta, wiedząc, co ją czeka, jeśli drzwi do ich izdebki się otworzą, siedziała na krześle jak sparaliżowana i wpatrywała się w deski oddzielające ją od śmierci kotłującej się po drugiej stronie. Swieta przytuliła ją mocno. Czuła, jak ciało dziewczyny targają bezgłośnie spazmy. Gładziła jej jasne włosy, przyciskając ją do swojej piersi.

– Martoczka, coś się tak śmiała przez sen? – zapytała ją cicho, próbując odwrócić jej uwagę od coraz gwałtowniejszej awantury za ścianą.

– Ja? – Marta wyrwała się na chwilę z odrętwienia. – Sen miałam... – cedziła wyrazy jak zamroczona. – Mnie się śniło, że przyszedł kowal

Kurkowski i chciał Łuczenkową kozę podkuć – patrzyła niewidzącymi oczami i mówiła dalej – a ta koza uciekała po całym podwórku, drąc się wniebogłosy, że Kurkowski to dureń i żeby do domu gnał, bo mu żona z listonoszem rogi przyprawia.

– Po ludzku się darła?

– Po ludzku chyba... – Marta zastanowiła się chwilę, a potem popatrzyła na Swietę z rozbijającą szczerością – bo po koziem to bym przecież nie zrozumiała.

Swieta otworzyła szeroko usta ze zdziwienia i... parsknęła głośnym śmiechem. Marta uśmiechnęła się ze wzrokiem ponownie wbitym w ścianę i po chwili dołączyła do Swiety, trzęsąc się ze śmiechu. Teraz obie zanosły się tak głośno, że po drugiej stronie zapadła cisza. A one, mimo świadomości, że właśnie się zdradziły, zanosły się, nie próbując nawet się opanować. Nerwy trzymane na wodzy puściły i teraz nic nie mogło ich powstrzymać.

Po chwili drzwi wyważone kopniakiem stały otworem, a do izdebki weszło dwóch uzbrojonych ludzi. Popatrzyli na dziewczęta zdziwieni absurdalnością sytuacji, ale po chwili jeden z nich, z chustą na twarzy, odezwał się, dźgając Swietę pod bok lufą karabinu.

– Czego rżycie, głupie?! – zapytał. – Wy Laszki?

Dziewczyny wybuchły kolejną salwą śmiechu. Swieta, zasłaniając sobą Martę, jakby czyniła ją w ten sposób niewidoczną dla świata, odpowiedziała najbardziej naturalnie i hardo jak mogła:

– Jakie Laszki, głupi! My Ukrainki! Budzicie ludzi po nocy, nie macie lepszych rzeczy do roboty? – Podparła boki rękami. – A śmiejemy się, bo ta tutaj – kiwnęła głową do tyłu w kierunku Marty – tak się myszy wystraszyła, że na stołek wskoczyła.

Mężczyzna zrobił krok do przodu, a drugi starał się zaglądnąć Swiecie

przez ramię.

– Ty Ukrainka, to słyszymy – powiedział ten z chustą. – A ta niech coś powie, durna. Sprawdzimy, czy Ukrainka, czy Laszka.

Marta jednak, mimo ciągłego śmiechu, nie reagowała. Nie docierało do niej nic. Nie było już domu w środku szalejącego piekła, nie było wojny ani ciągłego strachu o przetrwanie. Było lato gorące i matka wołająca ją gestem ręki. Był ogród i sad. I ścieżka była, po której biegła w kierunku matki. Ale ta, jakby przesuwana niewidzialną ręką, oddalała się od Marty coraz bardziej.

Swieta odwróciła się do dziewczyny. Tłumiąc bulgoczący jej w gardle strach i siląc się na wesołość, zwróciła się do niej:

– Anastazja, ta powiedz coś, bo pomyślą, żeś całkiem zgłupiała. – Z trudem przyklepiła do twarzy wymuszony uśmiech.

I spadające płatki z wiśniowych drzewek były. I cerkiew malutka hen, za ostatnimi drzewami. I Piotr był też. Tuż obok niej. Dlaczego Piotr, a nie Janek, jej skarb? Serce zabiło jej mocniej, a on wziął ją pod rękę i poprowadził w kierunku tej cerkwi.

Upowiec z chustą odtrącił Swietę i odbezpieczył karabin. Szczęk zamka wyzwolił w dziewczynie nadludzką siłę. Doskoczyła do niego i chwyciła go za broń.

– Zostawcie ją, to Ukrainka! Wystraszyliście ją, to i zgłupiała... – Odepchnęła upowca i ponownie zasłoniła sobą Martę. – Czego chcecie?!

– Niech powie *Otcze nasz* po naszymu – odezwał się ten drugi. – Jak powie, to damy jej spokój.

Swieta obróciła się do wciąż zanoszącej się ze śmiechu Marty. Chwyciła ją za ramiona i patrząc w niewidzące oczy, powiedziała do niej błagalnym tonem, z trudem powstrzymując łzy.

– Proszę cię, kochana, *Otcze nasz* powiedz, tylko tyle...

Ten stojący bliżej drzwi strzelił w podłogę.

– Mów, bo ci bagnetem zaświecę w oczy!

Doszli pod samą cerkiew. Piotr odwrócił się i patrząc na nią, zwinął język w rulonik.

– *Umiesz tak?*

Pokręciła przecząco głową.

– *Nie, ale umiem się modlić trochę. Po ukraińsku.*

Piotr popatrzył na nią jakoś tak mocno, głęboko...

– *Proszę cię, kochana, powiedz...*

Czy mogła odmówić?

Gdy Swieta zrezygnowana sięgnęła po malutki nóż schowany pod bluzką w postanowieniu, że żywcem Marty nie dostaną, nagle w pokoiku rozległ się głos:

– *Otcze nasz, Ty szczo jesy na nebesach, nechaj swiatyt'sia imia Twoje, nechaj pryjde carstwo Twoje, nechaj bude wola Twoja jak na nebi, tak i na zemli, chlib nasz nasuszcznyj daj nam sio...*

Swieta stała z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Marta zbliżała się do tego słowa, które sprawiało jej zawsze trudność. I kiedy pierwsze litery „siohodni” popłynęły z jej ust, zamilkła.

Zacięła się. Stała w połowie modlitwy. Swieta poczuła, jak jej krew zamienia się w lód. Prawie się udało.

– *Starczy – usłyszała za sobą głos upowca w chuście.*

– *Starczy, kochana – powiedział Piotr – już starczy. A teraz WRACAJ!*

Ocknęła się z letargu. Obok niej, uwieszona jej ramienia siedziała Swieta. Płakała, zasłaniając usta dłonią. Marta nie wiedziała zupełnie, co się dzieje. Miały przecież uciekać. Spodnie, powinna założyć spodnie! Zerwała się z krzesła, odtrącając Swietę. Nagle poczuła dziwne zimno na wysokości

siedzenia i na nogach. Popatrzyła w dół. Na długiej do kolan koszuli od pośladków w dół ciemniała mokra plama. W pokoju oprócz nich nie było nikogo.

Janek dopadł do chałupy. Schował się w najgłębszym mroku, w rogu, który schody prowadzące na ganek tworzyły ze ścianą drewnianego domu. Chałupa stała na zboczu lekkiego wzniesienia, więc wysokie na dobre dwa metry schody idealnie nadawały się na kryjówkę. Janek działał jak automat. Nie potrafił myśleć, emocje trzymane na wodzy, odkąd wyruszył z domu, dawały się teraz we znaki. Czuł, jak łzy napływają mu do oczu. Dopiero teraz docierała do niego groza sytuacji, w jakiej się znalazł. Prawdę mówiąc, dziwił się sobie, że udało mu się dotrzeć tak daleko. O dwóch zabitych zwyrodnialcach nawet nie pamiętał. Zaciągnął ich ciała w pobliskie krzaki, tak żeby nie odkryto ich za wcześnie. Przed oczami stawały mu jedynie obrazy mordowanych mieszkańców wsi. Zwymiotował. Opanował oddech. Ścisnął trzymane w dłoniach sierp i nóż. Skupił całą uwagę na tym, co zdołał wyłowić z otaczających go dźwięków. Wydawało mu się albo słyszał śmiech. Śmiech? Zmarszczył brew zdziwiony. Wydawało mu się. I wtedy z wnętrza domu padł strzał.

Janek oparł się o ścianę domu i zsunął się po niej aż do ziemi. Łzy pociekły mu po policzkach.

– Zabili ją. – Myśli w jego głowie zwolniły gwałtownie – Zabili Martunię, moją kochaną Martunię. Zawiodłem ją...

Podniósł się z ziemi. Było mu wszystko jedno. Nie dbał już o swoje życie ani w ogóle o to, co mogłoby mu się stać, gdyby ktokolwiek odkrył jego obecność. Wieś topiła się we krwi. Jedna kropla więcej nie robiła różnicy. Oderwał się od ściany.

„Zabiorę ze sobą tylu, ilu się da” – przemknęło mu przez głowę. Gdy już

miał ruszać schodami do góry, drzwi na ganek otworzyły się i ten sam oddział UPA uzbrojony po zęby opuścił dom i zszedł schodami w dół.

– Jak ich złapię, to im nogi z dupy powyrywam – gardłowym głosem odezwał się jeden z nich. – Laszka sraszka. Gdzie oni tę Laszkę widzieli, ochlejmordy jedne?

Janek otrząsnął się natychmiast. „To oznaczało, że nie znaleźli Marty! To niemożliwe!” – myśli natychmiast nabrały szybkości. „Musiałoby jej nie być w domu! Ale gdzie w takim razie mogła pójść?!”

Począł, aż tamci oddalą się na bezpieczną odległość, i wskoczył na ganek. Gdy wpadł do izby, zobaczył tylko Łuczenkę, jego żonę i dwójkę dzieci siedzących na łóżku i płaczących ze strachu. Dopadł gospodarza jednym susem, przykładając mu nóż do gardła.

– Gdzie Marta?! – wrzasnął do niego po ukraińsku. – Gadaj stary! Gdzie moja Marta?!

Łuczenko chwycił go za rękę, próbując odciągnąć nóż. Jego żona rzuciła się na Janka z pięściami.

– Zostaw go! Zabieraj je i zostaw mi męża w spokoju!

Janek cofnął się kilka kroków pod naporem nagłego ataku Łuczenkowej.

– Zabieraj Laszkę i wynocha! Ale już! – Kobieta machnęła ręką, tak jakby chciała wydrapać mu oczy. Łuczenko, który podniósł się w międzyczasie z łóżka, przytrzymał żonę i odciągnął ją na bok.

– Tam są... w izdebce.

Nie minęło kilka chwil, kiedy za drzwiami znów rozpętała się burza. Ktoś krzychał wysokim głosem. Łuczenkowa darła się wniebogłosy.

– Zostaw go! Zabieraj je i zostaw mi męża w spokoju!

Świeta poczuła, jak jej serce zamiera. Szybkim ruchem wyciągnęła nóż.

„A było tak blisko” – pomyślała z potwornym żalem.

Dopadła do Marty jednym skokiem. Złapała ją za ramiona.

– Martoczka, Martuś kochana – popatrzyła jej w oczy – wrócili.

Marta stała z otwartymi szeroko oczami.

– Święta, obiecałaś mi. – Spojrzała na nią błagalnym wzrokiem. – Obiecałaś, że nie dasz mnie zamęczyć, pamiętasz?

Serce Święty pękło na pół. Podniosła nóż do piersi patrzącej na nią dużymi, pięknymi oczyma dziewczyny.

– Powiedz Jankowi, że kocham go nad życie – wyszeptała Marta, uśmiechając się. Chwyliła dłonie Święty i przyciągnęła je do siebie. Ostrze oparło się o falującą pierś.

Drzwi ponownie odskoczyły kopnięte mocno z drugiej strony. Ktoś wpadł do pokoju.

– Teraz! – przemknęło przez głowę Święcie. Pchnęła nóż z całej siły...

... ale coś go zablokowało.

– ... wieta! Święta! – Marta krzyczała do niej z całych sił, odciągając ręce trzymające nóż gotowy do pchnięcia. – To nie UPA! To Janek!

Święta poluzowała nacisk, obracając głowę. W tej chwili Janek dopadł do nich, wyrywając Święcie ostrze z ręki. Marta rzuciła mu się na szyję. Płakała, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, a chłopak tulił ją z całych sił.

Święta opadła na krzesło. Ukryła twarz w dłoniach. To wszystko ją przerastało. Zwymiotowała na podłogę. Gdy otarła twarz i podniosła głowę, poczuła, jak silne dłonie Janka podnoszą ją do góry i przyciągają do siebie.

– Święta, dziękuję – jego głos łamał się przy każdym słowie. Przytulił dziewczynę, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Płakała. Jak wszyscy dookoła niej.



Iwan nie był odludkiem ani samotnikiem, mimo iż większość czasu spędzał z dala od wszystkich. Iwan po prostu był zbiegłym czerwonoarmistą. Pomimo prób pełnego zaangażowania w życie oddziału czuł, że minie jeszcze bardzo dużo czasu, zanim Polacy mu zaufają. Nie spieszył się. Wiedział, że kropla drąży skałę. Z pewnością przyjdzie taki dzień, że będzie mógł się wykazać i zaskarbi sobie przychyłność partyzantów.

Leśni znaleźli go zupełnie przypadkiem jesienią 1943 roku. W zasadzie to on ich znalazł. Nadział się po prostu na strzegących obozu partyzantów. Niepokojące było tylko to, że przeszedł przez najdalej wysunięte czujki. Wartownicy w drugim rzędzie posterunków zauważyli go dopiero, gdy sam zdecydował, że się im pokaże. Po prostu w środku dnia wyszedł z za drzewa tak niespodziewanie, iż zajęci rozmową żołnierze nawet nie zdążyli podnieść do góry broni. Z wysoko podniesionymi rękoma krzyknął tylko w ich stronę: „Nie strieliaj, ja russkij!”. Pozwolił rzucić się na ziemię i związać. Nie potraktowali go ulgowo. Agresją próbowali zamaskować zażenowanie łatwością, z jaką dali się zaskoczyć. Poszturchiwany lufami mauserów Iwan dał się zaprowadzić do obozu. Tam natychmiast trafił przed oblicze majora Dobrowolskiego, dowódcy zgrupowania. Jemu powiedział wszystko. Okazało się, że zbiegł z niemieckiego transportu jenieckiego. Kilka dni błąkał się po lasach. Omijał wsie i miasteczka. Nie chciał natknąć się ani na Niemców, ani na Ukraińców. Do swoich też mu się nie spieszyło. Wiedział, co czeka tych, którzy zostali wzięci do niewoli. NKWD wybijało im z głowy poddawanie się za pomocą kuli kalibru 7,65 mm wystrzelonej

z pistoletu walther w potylicę. Zresztą wychowany na poduralskiej wsi w prawosławnym domu komunistów nie lubił. Tak przynajmniej twierdził. Nie chciał wracać. Poprosił o karabin i zadeklarował gotowość walki ze wspólnym wrogiem, niemieckim i ukraińskim. Zamiast tego dostał łopatę i siekiere, i zagoniono go do pracy pod czujnym okiem pilnujących go dzień i noc partyzantów. Wiedział, że to okres próby. Wykonywał więc wszystkie polecenia, tak żeby pokazać Polakom, iż rzeczywiście chce walczyć w ich szeregach. Nie był rozmowny. Starał się schodzić wszystkim z oczu i robić swoje. Śmiali się z niego czasem i próbowali dokuczać, jednak gdy z cierpliwością szwajcarskiego bernardyna znosił ich docinki, nie reagując na nie, przestali. Pilnowano go tylko, by nie zbliżał się do broni. Nie prosił zresztą już o to. Do czasu, aż sami włożyli mu ją do ręki.

Siedział na zwalonym pniu wiekowego buka. Pożółkłymi od machorki palcami skręcał grubego papierosa. Po chwili zaciągnął się nim głęboko, patrząc na wyczyny trzech młodych rekrutów, którzy właśnie przechodzili szkolenie strzeleckie. Pełniący rolę instruktora niemłody sierżant cierpliwie wyjaśniał im, w jaki sposób przyjąć właściwą postawę. Na niewiele się to zdało. Młodzi żołnierze, zamiast w ustawione w odległości pięćdziesięciu metrów butelki, ślali kule w okoliczne krzaki. I tylko cud sprawiał, że nikogo jeszcze nie zabili. Pokręcił głową z dezaprobatą, gasząc niedopałek na pniu.

– Potrafisz lepiej? – Major Dobrowolski stał tuż obok niego, przypatrując się wyczynom młodych strzelców.

Iwan rzucił na niego okiem, po czym popatrzył w ziemię i wzruszył ramionami. Nie odpowiedział. Jednak dowódca nie zamierzał odpuścić.

– To młodzi chłopcy. Przyszli do nas, bo tam, gdzie mieszkali, miejscowi Ukraińcy chcieli przeżegnać ich nożami. – Dobrowolski nie patrzył na Iwana. Nie musiał. Mocny, żołnierski ton jego głosu sprawiał, że rozmówca po prostu nie mógł nie słuchać. – Nigdy w życiu nie strzelali. Mają ręce nawykłe

do pług, nie do kolby karabinu.

Major przeniósł wzrok na Iwana.

– No to co, pokażesz, co potrafisz? Tyś przecież żołdat. Znasz się na broni.

Iwan patrzył przed siebie bez słowa.

– Sierzancie! – głos Dobrowolskiego postawił instruktora na baczność. – Przynieście mi tu mausera i dajcie Iwanowi.

Sierzant Halicz rozdziawił usta ze zdziwienia.

– No co się tak gapicie jak student na dziwkę w bramie! Dawać mi tu mausera!

Po chwili sierżant wyciągał w stronę Iwana rękę, w której trzymał karabin mauser wzór 1929.

– Piękna broń. – Halicz uśmiechnął się do Rosjanina. – Pokaż, co potrafisz.

Pokazał. Ujął karabin w dłonie delikatnie. Pogładził drewnianą politurę, tak jakby chciał się przywitać. Dotykał opuszkami palców zamka i ważył karabin w dłoni. Był nabity. Czuźne oczy pilnujących go wartowników śledziły każdy jego ruch, a ich palce gotowe były nacisnąć spust kulomiotów, gdyby tylko przyszło mu do głowy wycelować w kogokolwiek.

– Iwan, dawaj! – głos Dobrowolskiego wyrwał go z uśpienia.

– Tak toczno, towarzyszc major...

Błyskawicznie podniósł broń do oka, wprowadzając nabój do komory, zanim jeszcze oparł kolbę o ramię. Huk, zlewający się z odgłosem tłuczonego szkła, przeładowanie, huk, przeładowanie i huk. Trwało to wszystko nie dłużej niż dwanaście sekund. Z pewnością zaś krócej, niż zajęło sierżantowi przepchnięcie przez otwarte ze zdziwienia usta słów: „O, ja pierdo...”.

Wszyscy patrzyli w osłupieniu. Iwan opuścił mausera do nogi i przysiadł

ponownie na pniu. Jedyne major Dobrowolski nie wyglądał na zaskoczonego.

– Ustawić nowe butelki! Jeszcze dalej! – rozkazał.

– Jak daleko?

– Kolejne trzydzieści kroków.

Kolejne trzy butelki pojawiły się w oddali. Huk, przeładowanie, huk, przeładowanie, huk. Po chwili nie zostało z nich ani śladu.

Dopiero teraz major pokiwał głową z uznaniem.

– Oddaj broń, Iwan – powiedział sucho. – I wracaj do roboty.

Mauser trafił z powrotem w ręce sierżanta Halicza, a palce strażników dopiero teraz zsunęły się ze spustów pistoletów maszynowych.

Był dobry, zbyt dobry. Dlatego mu nie ufali.



*P*rzybycie Janka w towarzystwie dwóch dziewczyn wywołało spore zamieszanie w leśnym oddziale. Oddziałowy sanitariusz z ulgą oddał torbę z opatrunkami świeżo upieczonym sanitariuszkom. Rannych, na szczęście, jeszcze w obozie nie było. Do czasu. Pewnej nocy grupa aprowizacyjna wysłana do oddalonej o kilka kilometrów wsi po prowiant natknęła się na niemiecki patrol. Niemcy prawie nigdy nie opuszczali swoich posterunków w nocy. Ci po prostu zbłądzili w drodze powrotnej do oddalonego o trzydzieści kilometrów miasteczka. Leśni weszli do wsi od strony lasu w nieubezpieczonym szyku, zupełnie nie spodziewając się wroga.

Gdy wsiadający na tył odkrytej ciężarówki żołnierze zobaczyli karabiny w rękach nadchodzących ludzi, otworzyli do nich ogień. Partyzanci, mimo że zaskoczeni, nie dali się zepchnąć z powrotem do lasu. Zajęli pozycje i zaczęli szybko wstrzeliwać się w stojących za samochodem żołnierzy. Niemcy jednak nie zamierzali przedłużyć walki. Po chwili dwa motocykle i ciężarówka odjechały w kierunku miasteczka, wioząc ze sobą dwóch rannych i jednego zabitego.

Niestety, zamiast dziesięciu partyzantów, do obozu o własnych siłach wróciło ośmiu. Jednego pochowali tuż na skraju lasu. Drugi, strzelec „Twardy”, słał się na nogach podtrzymywany przez kolegów. Kula utkwiała w barku, a upływ krwi pozbawiał żołnierza sił. Wezwane dziewczyny przybiegły natychmiast. Jednak gdy Swieta pochyliła się nad ułożonym na kocu Twardym, ten gestem ręki odsunął ją od siebie.

– Nnnie ty... – Spuścił wzrok, nie patrząc jej w oczy. Wskazał ręką na stojącą z boku Martę. – Ona...

Swieta otworzyła szeroko oczy. W pierwszej chwili pomyślała, że ranny może majaczy. Jednak, gdy wreszcie popatrzył na nią, zrozumiała. On po prostu nie chciał jej pomocy. Dopiero teraz dotarło do niej to, czego nie zauważała do tej pory. Przecież oprócz Janka, Marty i majora Dobrowolskiego, który zgodził się na ich pobyt w obozie, nikt z nią nie rozmawiał. Sporadyczne zdania zamieniane z żołnierzami do tej pory nie wzbudziły w niej podejrzeń, ale teraz zrozumiała. To z Martą wszyscy chętnie rozmawiali. To do niej mówili: „Dzień dobry, siostró”. Swietę trzymano na dystans. Była Ukrainką, a większość leśnego oddziału stanowili ludzie z Wołynia i Galicji Wschodniej. Oni widzieli, jak Ukraińcy traktowali swoich polskich sąsiadów. Spora część z nich sama straciła swoich bliskich w rzeziach zafundowanych im przez banderowców. Nie ufali tej nowej dziewczynie. Nie potrafili zaufać.

Swieta odsunęła się od rannego, przepuszczając młodszą Martę i odeszła. Poczwała się... odrzucona. To nawet nie bolało tak bardzo. Po prostu świadomość, że łączy jej osobę z tym, co właśnie przetaczało się przez Wołyń, sprawiła, iż łzy same spłynęły jej po policzkach. Nie widział tego nikt. Nikt oprócz Iwana. On rozumiał ją doskonale.

37



- *A*ntoś! Zamknąłeś kury? – głos matki dotarł do uszu chłopca w momencie, kiedy siłował się ze skoblem w małych drewnianych drzwiczkach kurnika.

- Zamknąłem, matuś!

- To wracaj do domu, ciemno już.

Antoś wytarł dłonie w materiał spodni i rozejrzał się po podwórku. Po kolei wymieniał w myślach czynności, które powinien wykonać na koniec dnia, żeby o żadnej nie zapomnieć. Po tym jak Janek odszedł do leśnych, a ojciec skręcił nogę, na nim spoczął obowiązek doglądania skromnego inwentarza. I choć miał zaledwie dziewięć lat, radził sobie z tym doskonale.

- Już idę, matuś, tylko jeszcze z tyłu kurnika sprawdzę, bo chyba się deska oblużowała.

Ruszył wzdłuż drewnianego, jeżącego się sztachetami płotu, który ciągnął się od kurnika do małej obórki. Obiegł ją dookoła i przez niewielką furtkę przeszedł na drugą stronę, do ogrodu. Po chwili dotarł do kurnika. Kucnął przy ścianie przylegającej do ogródka i sprawdził ręką. Luźny,

szeroki na dwie, trzy dłonie kawałek drewna odchyłał się dość mocno. Rozejrzał się dookoła. Podniósł z ziemi krótki kij i podparł nim solidnie odstającą deskę.

„Najważniejsze, żeby żaden lis ani łasica nie weszły do środka, bo narobią nieszczęścia” – pomyślał i upewnił się, że kij spełnia swoje zadanie. „Jutro przybiję ją gwoździem”.

Wrócił tą samą trasą. Po chwili drzwi chałupy zamknęły się za nim i na podwórku zapanowała cisza.

Nagle szarpnięcie wyrwało go ze snu. Poczuł, że czyjaś dłoń zakrywa mu usta. Szarpnął się przerażony, próbując krzyknąć, ale silne ręce przytrzymały go w miejscu, a przez zaciśnięte usta przebił się jedynie niewyraźny jęk.

– Ciiiiiii... – głos ojca sprawił, że przestał się szarpać. – Cicho, Antoś, cicho.

Zastygł nieruchomo i zaczął nasłuchiwać. Dopiero teraz dotarły do jego uszu krzyki za oknem. Jakieś męskie, mocne głosy przeplatały się z krzykiem kobiety i płaczem dzieci. Odruchowo wyteżył wzrok, chcąc przebić nim ciemność i przeniknąć przez ścianę, tak żeby zobaczyć, skąd dochodzą krzyki. Powoli zaczął dostrzegać zarysy przedmiotów, jakby jego oczy przyzwyczyły się do panującego w izbie mroku. Jednak kiedy zaczęło robić się coraz jaśniej, zrozumiał. Coś paliło się tam, za oknem, a rzucany przez ogień blask rozświetlał pomieszczenie przez zakurzone szybki. Rozejrzał się po pokoju. Na drugim łóżku matka trzymała na kolanach małego Maciusia, tuląc go do piersi. Obok niej, chwytając się jej koszuli, siedziała przerażona Anielka. Poczuł strach, bulgoczące w gardle przerażenie, które podniosło mu każdy włoszek na ciele i oblało zimnym potem. Ojciec, czując dygotanie Antosia, przytulił go mocno.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie, synek – jego spokojny głos kontrastował z grozą sytuacji. – We wsi Ukraińcy... Ciiiiii, nie płacz, tylko słuchaj. – Ukraińcy palą sąsiadów. Zaraz przyjdą do nas...

To, co usłyszał chłopiec, nie mieściło się w jego małej główce. Patrzył wielkimi przerażonymi oczami na ojca, który cierpliwie tłumaczył mu, co ma zrobić, kiedy on z matką wyjdą do kuchni.

– Nie zdążymy uciec wszyscy. Już tu są – skinął głową w kierunku okna, za którym od czasu do czasu pojawiał się cień skradającego się pod nim człowieka. – Pomogę wam wyjść przez okno. Weźmiesz Maciusia i Anielkę i uciekniecie do ogrodu, a potem dalej, do lasu. Uciekajcie jak najdalej. Las znasz, schowajcie się gdzieś i przeczekajcie do rana...

Gwałtowne kopnięcie w drzwi przerwało ich rozmowę.

– Otwierać, Lachy, bo spalimy chałupę! – czyjś głos zza drzwi poderwał ich na nogi. Ojciec chwycił Antosia za ramiona i popatrzył mu w oczy.

– Za późno! Schowajcie się pod łóżko i kiedy tylko będzie można, uciekajcie przez okno. Antoś – ścisnął ramiona przerażonego chłopca – za nic w świecie nie wchodźcie do kuchni! Rozumiesz?!

Mały skinął głową twierdząco. Ojciec wepchnął go pod łóżko. Po chwili obok niego położyła się Anielka, tuląc chlapiącego Maciusia do siebie. Ojciec doskoczył do okna i otworzył je na oścież, po czym razem z matką wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Ukraińcy już tam byli. Anielka zakryła uszy Maciusiowi, a Antoś wyteżył słuch.

Do kuchni wtargnęli jacyś ludzie. Chłopiec ze strachu nie rozróżniał słów. Usłyszał jedynie, jak ojciec mówi podniesionym głosem.

– ... nie ma dzieci... przez okno uciekły...

Szuranie kilku par butów przerwane zostało przez krzyk matki.

– Ostawcie go w spokoju! Mordercy... – Uderzenie w twarz zamknęło jej usta. Coś ciężkiego padło na podłogę. Drzwi do kuchni otworzyły się.

W świetle palącej się przy piecu lampy naftowej zobaczył, że tym czymś było ciało mamy. Ruszała się, żyła, ale ktoś właśnie zdierał jej ubranie.

Do pokoju weszło dwóch Ukraińców.

– Stary mówił prawdę. Dzieci pouciekały tędy. – Stanęli przy otwartym oknie, a Antoś zrozumiał, że ojciec, otwierając je, kupił im od losu trochę czasu.

Matka krzyczała tylko na początku. Zamilkła, kiedy kolejny mężczyzna położył się na niej. Chłopiec widział wszystko zupełnie wyraźnie.

– No, Laszka – chrapliwy głos przy akompaniamencie brzęku tłuczonej butelki dobiegł do jego uszu – chuja pokosztowała, to teraz pokosztuj tego.

Nieludzki śmiech nie zagłuszył przeraźliwego krzyku matki.

– Panie Sidoruk, pan sąsiad nasz przecież... co pan robisz najlepszego... Na rany Chrystusa... – słabnący głos ojca sprawił, że Antoś jeszcze bardziej skulił się pod łóżkiem.

– Wykłuj mu oczy, niech nie patrzy, jak nie chce – rozkazał jeden z Ukraińców. Po chwili krzyk bólu z ust ojca potwierdził wykonanie polecenia.

Antoś zacisnął mocno powieki, spod których płynęły łzy. Ciche szuranie przypomniało mu, że nie jest tu sam. Popatrzył na rodzeństwo. W ciemnym kącie pod łóżkiem z ledwością mógł dostrzec skulone i przestraszone małe postaci. Mała Anielka i Maciuś nie wiedzieli do końca, co się dzieje, ale za to doskonale rozumieli, że jeśli chcą pozostać bezpieczni, muszą być cicho. Nie reagowali więc ani na krzyki ojca, które zamieniły się po chwili w jęki bólu, ani na płacz matki, zgaszony wbitym po rękojęść nożem wystającym z jej piersi.

Pierwszy spod łóżka wyszedł Antoś. Gdy wszystko ucichło stwierdził, że przyszedł czas na ucieczkę. Żli ludzie mogli w każdej chwili znów się pojawić. Szepnął tylko do ucha Anielce, żeby czekała z braciszkiem, dopóki

nie wróci. Z ledwością utrzymywał się na nogach. Strach paraliżował go od stóp do głów, ale jakaś przemożna siła pchała go w kierunku kuchni. Z każdym krokiem czuł, jak przerażenie zaciska swoje kosmate palce na jego gardle. Widział ciało matki, ale dopiero gdy podszedł bliżej, zauważył to, czego nie zdołał wcześniej. Poczł, jak zalewa go zimny pot. Wcisnął do ust zaciśniętą w pięść dłoń, dusząc płacz, i ślizgał się wzrokiem po tym, co zostawili po sobie Ukraińcy. Patrzył tak, żeby nie widzieć. Udawał, że tego wszystkiego tam nie ma. Chciał tylko wiedzieć, czy mogą już bezpiecznie uciec.

– Co się stało mamie? – głos siostry, który zabrzmiał za jego plecami tak nagle, wystraszył go, że aż podskoczył. Obrócił się szybko i złapał ją za ramiona, zanim zdołała wejść do kuchni.

– Nic się nie stało – z trudem powstrzymał łkanie. – Musimy iść... Przez okno...

Pchnął trzymającą Maciusia na rękach Anielkę w kierunku okna.

– Poczekajcie tu – wyszeptał do ucha siostrze. – Wyjrzę przez okno i sprawdzę, czy da się wyjść.

Skinęła głową na znak, że rozumie. Antoś wychylił się, ale nie zauważył nikogo. Krzyki z sąsiednich domów i łuny pożarów świadczyły o tym, że bandyci zajęci byli gdzie indziej.

– Idziemy! Ja zejdem pierwszy, a ty podasz mi Maciusia – tłumaczył otepiałej siostrze. – Potem zejdziesz ty, rozumiesz?

Jeszcze raz skinęła głową twierdząco. Nie czekał dłużej. W każdej chwili ktoś mógł się napatoczyć i wtedy na pewno się nie uda. Zsunął się na rękach i po chwili stał już pod oknem.

– Anielka, daj mi Maciusia – powiedział prawie szeptem. Był pewien, że dziewczynka nie usłyszała, ale już po chwili zobaczył jasną główkę brata. Jeszcze kilka sekund i trzymał go na rękach. Rozglądał się niespokojnie

dookoła, kiedy siostrzyczka zeskakiwała na ziemię.

– Gdzie teraz? – zapytała go, biorąc Maciusia z jego rąk. Nie wiedział, rozejrzał się niespokojnie. Najprościej byłoby do ogródka i potem do lasu. Pociągnął siostrę za sobą. Doszli do skraju chałupy. Furtka do ogródka była po drugiej stronie podwórka. Antoś wychylił się, żeby sprawdzić, czy przejście jest wolne, i zamarł ze strachu. Na środku podwórza stało kilku Ukraińców. Rozmawiali szeptem i palili papierosy. Ogródek zatem odpada. Poszli więc w drugą stronę. Kiedy jednak wrócili pod okno, zza drugiego rogu domu wyszedł jakiś człowiek. Antoś poznał go.

„Syn sąsiada, Sidoruka, tego, który matkę...” – chłopiec poczuł, jak kolejny raz tej nocy wszystkie włosy stają mu dęba ze strachu. Tamten też ich zauważył. Zatrzymał się i spojrzał na stojące przed nim dzieci. Kiedy Antoś był pewien, że to już koniec ich ucieczki, ten nagle odwrócił się do nich tyłem i poszedł z powrotem bez słowa. Chłopiec otworzył usta ze zdziwienia. Był pewien, że sąsiad zawoła zaraz kogoś do pomocy i rozprawi się z nimi tu, pod tym oknem. Jednak Ukrainiec, gdy już zniknął prawie za rogiem, odwrócił się i gestem dłoni pokazał im, żeby uciekali. Po chwili przed nimi nie było już nikogo.

Antoś nie zastanawiał się długo. Złapał Anielkę za rękę i ruszył z powrotem w kierunku podwórza. Zatrzymał się przy końcu ściany osłonięty przez nią od palących Ukraińców. Od furtki dzieliło ich dobre dziesięć metrów. Nie przejdą niezauważeni. Antoś zacisnął zęby.

I wtedy spojrzał na kurnik. No jasne! Obluzowana deska! Będą uratowani! Musieli przejść tylko kilka metrów, aby znaleźć się po drugiej stronie małych drzwiczek zamkniętych na skobel. Nie myśląc długo, szarpnął siostrę za rękę i po prostu ruszył w kierunku kurnika. Szybki ruch ręką i po chwili cała trójka znalazła się w jego wnętrzu. Nikt ich nie zauważył. Antoś przecisnął się do tylnej ściany. Pchnął deskę. Nie ruszyła się, podparta kijem

z drugiej strony. Kopnął ją lekko, bez efektu. Musi to zrobić mocniej. Odchylił nogę i niczym rasowy piłkarz wyrzucił ją do przodu. Deska odskoczyła. Ale hałas wystraszył śpiące na grzędzie kury, które zaczęły głośno gdakać i machać skrzydłami.

Maciuś był dzielny, czuł, że nie może płakać. Jednak te gdaczące i bijące w ciemności skrzydłami stworzenia, to było dla niego zbyt wiele. Nim Anielka zdążyła zakryć mu usta, krzyknął przerażony na całe gardło. Płakał teraz wniebogłosy, a Antoś usłyszał wyraźnie, jak ludzie palący do tej chwili w spokoju papierosy, nawołują się i biegną w kierunku kurnika. Zamknął za sobą drzwiczki, ale wiedział, że ta ochrona nie starczy na długo. Przepchnął się z trudem przez wąską dziurę. Po chwili trzymał już na rękach płaczącego głośno brata. Teraz Anielka. Gdy przepchnęła głowę i rękę, postawił braciszka na ziemi i chwycił ją za dłoń. Ciągnął z całej siły. Już tylko nogi i dziewczynka będzie bezpieczna. I wtedy usłyszał trzask wyłamanych kopniakiem drzwi. Sekundę później czyjeś ręce wciągały siostrę do środka. Zaparł się z całej siły, ale czuł, że przegrywa.

– Maciuś! Biegnij do lasu, szybko! – krzyknął w kierunku brata, który pobiegł w głąb ogródka.

Trzymał rękę Anielki, ale wiedział, że nie da rady. Dziewczynka krzyczała przeraźliwie, płacząc i wijąc się na wszystkie strony.

– Moja nóżka! Obcinają mi nóżkę! – Jej twarz zalana łzami, wykrzywiona w grymasie bólu, zniknęła w otworze. Krzyknęła jeszcze kilka razy i po chwili w kurniku zapadła cisza.

– Do ogrodu! Przez płot! – usłyszał z drugiej strony. Zerwał się na równe nogi i rozejrzał w poszukiwaniu brata. Niestety, było zbyt ciemno. Hałas od strony furtki oznaczał, że Ukraińcy są tuż za nim. Rzucił się w kierunku płotu oddzielającego ogródek od pola, za którym był już tylko las. Jednak gdy dobiegał do drewnianych sztachet, usłyszał słaby głosik wołający go

po imieniu. Maciuś!

– Aaaantóś! Aaaantóś!

Obrócił się, szukając wzrokiem szlochającego brata. Jest! Pośrodku ogródka zauważył jasną plamę koszuli. Niestety, Ukraińcy też go zauważyli. Po chwili otoczyli malca, który przerażony dalej wołał głośno jego imię. Antoś zacisnął zęby, dusząc płacz. Nie mógł nic zrobić. Zobaczył podniesione w górę widły. Gdy opadły, braciszek przestał wołać.

– Maciuś! – krzyk z jego gardła zaskoczył go samego. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co właśnie zrobił, zauważył, jak w jego stronę biegną uzbrojeni w widły oprawcy.

38



Wiadomość przyniesiona przez posłańca nad ranem zmroziła wszystkim krew w żyłach. Ukraińcy spalili Roztoki, małą polską wieś na wschód od Małyk. Mieszkańcy, którzy podczas próby ucieczki zostali zastrzeleni, mieli szczęście w nieszczęściu. Resztę bandyci spędzili do największej stodoły, którą po zabarykadowaniu wrót obrzucili granatami i podpaliłi. Ustawiony na dwójnogu karabin maszynowy MG 42 długimi seriami ślanymi w kierunku drewnianych ścian uciszał przeraźliwe krzyki palących się żywcem Polaków. Kilka rozplątanych siekierami ciał znaczyło szlak, którym upowcy pędzili przerażonych ludzi w kierunku otwartych drzwi stodoły. Tylko pięciu mieszkańcom udało się uciec w stronę lasu. Ukraińcy nawet ich nie ścigali. Otworzyli wprawdzie ogień za nimi,

ale zrobili to raczej dla zasady. Cel został osiągnięty. Pierścień małych osad otaczających Jabłonną, dużą polską wieś bronioną przez formację samoobrony złożoną z okolicznych chłopów, których wspomagało kilku weteranów września, przestał istnieć. Droga do zniszczenia oddziału Lachów stawała otworem.

Rannego w rękę posłańca przyprowadzono do małej leśnej chaty, którą major Dobrowolski dzielił z obydwoma sanitariuszkami. Swieta bez słowa zajął się głębokim cięciem od noża na jego przedramieniu. Oddychający ciężko chłop nie zareagował najmniejszym gestem, nawet w momencie, gdy otwartą ranę polała spirytusem. Dopiero kiedy nieuważnie poprosiła Martę po ukraińsku o założenie opatrunku, przerażony zerwał się z ławki, na której siedział. Patrzył na Swietę szeroko otwartymi oczami, podczas gdy z jego przemytej alkoholem rany obficie płynęła krew. Wyglądał na tyle makabrycznie, iż Marta zrobiła krok w jego kierunku, próbując go uspokoić.

– Jezus Maria! Nie rzucajcie się tak! Nic wam nie grozi! Dajcie się opatrzyć! – wskazując zaś ruchem głowy w stronę przyjaciółki, dodała:

– Nie bójcie się, Swieta to nasza dziewczyna. Ukrainka, ale po naszej stronie. Nie zrobi wam krzywdy.

Chłop jeszcze długo nie pozwalał zbliżyć się nikomu do siebie. Dopiero stanowcze ponaglenie majora Dobrowolskiego sprawiło, że ponownie dał się posadzić na ławie i opatrzyć.

Major zaciągnął się papierosem, nie przestając wpatrywać się w ścianę.

– Co robimy, panie majorze?

Pytanie młodego porucznika czekającego na rozkazy pozostało bez odpowiedzi. Dobrowolski w milczeniu układał wszystkie klocki układanki w głowie. To, czego obawiał się od dawna, właśnie stawało się ciałem. Od

jakiegoś czasu aktywność szybko zmieniających pozycję sotni UPA bardzo wzrosła. Co rusz dochodziły go słuchy o kolejnych napadach na polskie osady. Do tej pory uważano, że są to jedynie przejawy zwykłego bandytyzmu. Niestety, obecnie nikt już nie miał złudzeń. Ukraińcy za pomocą ognia i siekiery chcą oczyścić z Lachów Wołyń i Małopolskę Wschodnią, zanim stworzą tu swoje państwo.

Romans z Niemcami skończył się w momencie, kiedy Rzesza alergicznie zareagowała na próbę ogłoszenia przez OUN niepodległości. Hitlerowcy aresztowali wielu prominentnych ukraińskich działaczy. Nastąpiło brutalne przebudzenie się ze snu o sojuszu z Tysiącletnią Rzeszą. Ukraińcy, stroniący do tej pory od walki partyzanckiej, postanowili stworzyć własną armię, niezależną od swych dotychczasowych sojuszników i potrafiącą stawić im czoła. W marcu w odpowiedzi na odezwę OUN do Wojskowych Oddziałów Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, Samostijnykiw Derżawnykiw, która następnie przekształciła się w Ukraińską Powstańczą Armię, przeszły załogi posterunków Ukraińskiej Policji Pomocniczej. Kilka tysięcy wyszkolonych policjantów znacząco wzmocniło siły banderowców. Poczuli się pewnie. Zaatakowali. W lutym 1943 roku UPA zdobyła niemieckie baraki we Włodzimiercu. Banderowcy poszli za ciosem. Prawie natychmiast pomachali tryzubem w kierunku swych polskich sąsiadów. Ta sama sotnia dowodzona przez Hryhorija Perehijniaka, udająca radziecką partyzantkę, wkroczyła do Parośli. Licząca dwadzieścia sześć gospodarstw osada zniknęła z powierzchni ziemi. Zakneblowanych i związanych stu pięćdziesięciu mieszkańców Ukraińcy wysłali do katolickiego Boga za pomocą siekier i noży. Prawie wszyscy oprawcy byli mieszkańcami pobliskich miejscowości. Znali swych polskich sąsiadów. Okrucieństwo, z jakim przeprowadzili swój „bojowy chrzest”, nakreśliło nową jakość w relacjach między współmieszkańcami tych ziem. Odtąd jedynymi więzami pomiędzy

nimi były te, na których banderowcy wieszali mordowanych Lachów.

Zdobycie Parośli przez nowo utworzoną Ukraińską Powstańczą Armię i wymordowanie żyjących tam Polaków, mimo zdarzających się już wcześniej aktów barbarzyństwa, było jak pierwszy klaps wymierzony noworodkowi po porodzie. Ryknięcie obudzonej do życia bestii oszołomionej pierwszym haustem mroźnego powietrza miało od tej chwili spędzać sen z oczu mieszkańcom Kresów. Odtąd akcje jak te w Parośli czy w Małykach stały się chlebem powszednim kresowej rzeczywistości.

Nad Wołyniem budził się nowy, czerwony od krwi świt.

39



Mierosław jest ostatnią osadą leżącą w okolicy Jabłonnej, w której Polacy nie byli jeszcze nękanymi przez Ukraińców. Banderowcy wyraźnie oczyszczają przedpole, więc to prawie pewne, że uderzą na wieś. Wysłałem wiadomość do dowódcy samoobrony w Jabłonnej z zapytaniem, czy mogą wystawić posterunki w Mierosławiu. Odpowiedzi jeszcze nie dostałem, ale bardzo wątpię, czy się zgodzą. Siły mają szczupłe i raczej na pokaz. Przy próbie zdobycia wsi przez UPA nie będą mieli żadnych szans. Samoobrona to siła wyłącznie propagandowa, uzbrojona w kije i widły. Karabinów mają mało. Prawie nigdy jeszcze na Wołyniu nie udało się jej oddziałom utrzymać Ukraińców z dala. Gdy UPA zaatakuje, utrzymają się zaledwie kilka godzin, jeśli w ogóle. Nie ma czasu ani tym bardziej sensu czekanie na powrót posłańca. Trzeba zabezpieczyć wieś, ewakuować

mieszkańców, odizolować ludność niepolską, tak aby wiadomość o ewakuacji nie dotarła do banderowców. Dwie sekcje pierwszej drużyny plutonu porucznika Jurkiewicza zabezpieczą wylot drogi w kierunku na Roztoki. – Na kawałku papieru major szybko naszkicował prostą mapkę, zaznaczając na niej pozycje pododdziałów. – Trzecia sekcja będzie obserwować drogę w kierunku na Jabłonną. Poruczniku Szawliński – zwrócił się do stojącego po prawej stronie stołu drobnej postury człowieka – proszę wyznaczyć ludzi do obserwacji podejścia od strony lasu. Ponadto pańscy podkomendni odpowiedzialni są za odizolowanie Ukraińców mieszkających we wsi. Zabarykadujcie ich w stodole. Zostawcie tam tylko ubezpieczenie, a reszta niech dołączy do pozostałych organizujących ewakuację. – Dobrowolski wyprostował się nad stołem.

– Są pytania?

Szawliński chrząknął, po czym zapytał niepewnie:

– A co mamy zrobić, jeśli Ukraińcy będą stawiać opór?

Major podniósł wzrok i odpowiedział chłodno:

– Jeśli będą stawiać opór, to najbardziej krewkich chłopów kolbami po dupach, a baby, dzieci i całą resztę przepędzić do stodoły. Zabarykadować i pilnować. Nie mamy czasu, żeby się z nimi cackać. Jest godzina... – major Dobrowolski spojrział na zegarek – za dziesięć jedenasta. Za godzinę wymarsz. Zrozumiano?

Zapadła cisza. Dowódcy pododdziałów potwierdzili rozkazy milczącym skinieniem głów.

– Wykonać!

– *J*wan! – głos majora poderwał Rosjanina siedzącego na ławce przy wejściu do chaty w towarzystwie ukraińskiej sanitariuszki. – Pójdiesz z nami. Będziesz towarzyszyć siostrom. Może im się przydać

pomoc. Nie odstępuj ich na krok. Zresztą, będzie z tobą twój anioł stróż – Dobrowolski wskazał skinieniem głowy uzbrojonego żołnierza stojącego w odległości kilku metrów. – Nie zrób niczego głupiego. A ty, Swieta, chodź ze mną.

Rosjanin pokiwał ze zrozumieniem głową. Major odszedł, a Swieta zniknęła w drzwiach wejściowych tuż za nim. Gdy znaleźli się w izbie Dobrowolskiego, ten sięgnął do wiszącej na kołku torby. Wyciągnął z niej czarny metalowy przedmiot.

– To luger. Wystarczy ci. – Wyciągnął dłoń w kierunku dziewczyny. Odsunęła się, rozszerzając oczy ze zdumienia.

– Ale ja sanitariuszka... walczyć nie będę...

– Tak, wiem – major cmoknął zniecierpliwiony. Podszedł do niej tak, że widziała wyraźnie żarzące się na dnie jego oczu węgle. Zawahał się przez chwilę, ważąc słowa. – Jak cię twoi złapią, to możesz bardzo wtedy tego potrzebować. Umiesz się obchodzić z pistoletem?

– Umiem, ale nie będę strzelała do nikogo. – Pokręciła głową jakby pragnęła odgonić nawet samą myśl o takiej możliwości.

Major westchnął.

– To nie na twoich, to na ciebie. – Popatrzył w jej rozszerzone z przerażenia oczy. Jeszcze do niej nie docierało to, co chciał jej powiedzieć. – Sanitariuszkom według wojennego prawa nie wolno nosić broni. Ale jeśli UPA cię złapie, to kula może być twoim jedynym wybawieniem, rozumiesz?

Zrozumiała.


Wyszła z chaty oszołomiona, dźwigając na ramieniu torbę z medycznym ekwipunkiem. Kolejny raz zdała sobie sprawę z tego,

jak bardzo niebezpieczna była gra, w której przyszło jej uczestniczyć.

– Dawaj, ja pomogu. – Iwan chwycił za ramię torby, ale dziewczyna wyrwała mu się skutecznie.

– Nie trzeba – odpowiedziała, nie patrząc w jego stronę. – Sama sobie poradzę.

Usiadła na brzegu opartej o ścianę ławki, odchyliła głowę i zamknęła oczy. Iwan stał jeszcze przez chwilę obok, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu dał za wygraną. Odwrócił się na pięcie i odszedł w głąb obozu. Za nim, niczym cień, podążył pilnujący go anioł stróż uzbrojony w niemiecki pistolet maszynowy MP 40. Swieta dopiero teraz uniosła głowę i popatrzyła w kierunku znikającego pomiędzy drzewami Rosjanina.

 a dziesięć dwunasta ponad czterdziestu żołnierzy opuściło leśną kryjówkę. Major Dobrowolski prowadził kolumnę najkrótszą drogą biegnącą środkiem lasu. Nie bał się Niemców. Rzadko kiedy zapuszczali się w te strony, a do lasu nie wjeżdżali prawie nigdy. Rzeczywiste niebezpieczeństwo mogło grozić ze strony UPA lub sowieckiej partyzantki. Jednak w środku dnia ani Ukraińcy, ani Rosjanie nie odważyliby się zaatakować bądź co bądź licznego uzbrojonego oddziału. Zresztą nie było czasu do stracenia. UPA mogła właśnie szykować się do zajęcia Mierosławia. Długa, złożona z maszerujących partyzantów gąsienica z wysuniętymi wąsami czujek i ogonem zabezpieczenia pełzła szybkim tempem przez las. Swieta szła kilkanaście kroków za Martą. Tak zarządził major. Chodziło o to, żeby w razie zasadzki lub rozproszenia oddziału, dziewczyny mogły wspierać pomocą medyczną te grupy, w których się znajdują.

Sylwetka Marty migiała od czasu do czasu w oddali. Ukrainka widziała jej drobną postać znikającą pomiędzy maszerującymi żołnierzami. Starła się wyłowić jej jasne włosy splecione w warkocz wystający spod wojskowej

furażerki. Obok niej szedł Janek. To uspokajało Swietę. Janek prędzej sam da się rozszarpać na kawałki niż pozwoli, żeby żonie stała się krzywda. Nadmiernie skupiona na przyjaciółce uwaga miała jeszcze inne zadanie. Swieta jak mogła unikała rozmowy z postawnym Rosjaninem nie odstępującym jej na krok. Nie chodziło o to, że na dźwięk języka rosyjskiego włosy na całym ciele stawały jej dęba. Troska, jaką Iwan okazywał dziewczynie na każdym kroku, systematycznie drażyła małą dziurkę w murze, który zbudowała wokół siebie. No i zaczynała go lubić. A tego zupełnie nie planowała.

Iwan wiedział o istnieniu Piotra. Wszyscy wiedzieli. Swieta musiała zostać „uwiarygodniona” w oczach ludzi, pośród których miała przebywać od chwili pojawienia się w oddziale. Ukochany Polak, dla którego porzuciła dom i rodzinę, okazał się wystarczającym argumentem za tym, żeby leśni ludzie byli w stanie jeśli nie zaufać, to przynajmniej ją zaakceptować. Miłość i oddanie, jakim darzyła Swietę Marta, oraz los, który je ze sobą splótł, tylko utwierdzały wszystkich w tym, że jedyne niebezpieczeństwo, jakie może ich czekać z ręki pięknej Rusinki, to zastrzyk tępą igłą.

Iwan szybko poczuł więź z tą dziewczyną. Nic tak nie jednoczy jak wspólny los przypieczętowany nieszczęściami. Swieta nie sprawiała wrażenia szczęśliwej. Podobnie jak on. Nawet nie zauważył, kiedy zakochał się w niej bez pamięci. Istniała tylko jedna przeszkoda. Wiedział, że wygrać serce dziewczyny z legendą Piotra jest prawie niemożliwe. To tak, jakby próbować wyścigu z mitycznym jednorożcem, jadąc na krowie. Piotr był mityczny, jak jednorożec, nieuchwytny i daleki. Dlatego tak ciężko było sprawić, żeby Swieta zamieniła marzenie na krew i ciało. Ale ostatnio zauważył, że zaczęła schodzić mu z drogi. To dobry znak. Lepsze każde uczucie, nawet niechęć, niż obojętność. Do tej pory nie zamienił z nią więcej niż kilka słów. Wiedział jednak, że jego czas przyjdzie. Przecież wiecznie unikać kontaktu się nie

dało.

– Nie bój się o nią. Z taką ochroną to i stu kozaków jej niestrasznych – Swieta usłyszała za plecami i natychmiast poczuła gęsią skórę na rękach. Nie odpowiedziała. Iwan jednak nie dawał za wygraną. – Czemu mnie unikasz? Zrobiłem ci co? Skrzywdziłem? Traktujesz mnie jak powietrze. A co, oni lepsi? – Wskazał ruchem głowy na maszerujących obok żołnierzy. – Dla nich nie jesteś swoja. Nie rozumieją cię. Nie ufają. Widzę to.

Swieta zacisnęła usta. Chciała przyspieszyć kroku, ale było to bezcelowe. Iwan był przydzielony do niej jako jej ochrona. Poszedłby natychmiast za nią. Pochyliła więc tylko głowę. Rosjanin po chwili ciszy zagadał ponownie.

– Mnie traktują tak samo. Chcę walczyć, ale jedyne, co robię, to rąbanie drewna. – Położył dłoń na ramieniu dziewczyny, ale ta natychmiast ją strąciła. Chciała odpowiedzieć, ale w tej chwili padła komenda: „Stój!”.

I właśnie wtedy to poczuła. Swąd spalenizny. Przez moment sądziła jeszcze, że się jej zdawało, ale po chwili lekki powiew wiatru napełnił jej nos gryzącym dymem. Żołnierze zeszli z drogi i przykucnęli w oczekiwaniu na decyzję dowódcy.

– Mierosław się pali – usłyszała za sobą głos któregoś z partyzantów. Popatrzyła w stronę, gdzie jeszcze przed chwilą stała Marta. Nie dostrzegła przyjaciółki, za to w oddali mignęła jej postać Janka, który biegł w kierunku czoła kolumny, szukając zapewne majora Dobrowolskiego. W końcu była to jego rodzinna wieś. Popatrzyła na Iwana, który spokojnym głosem szepnął:

– Trzymaj się mnie i nie bój się, cokolwiek się stanie. Będę obok ciebie.

Pokiwała głową. Odruchowo sięgnęła dłonią w kierunku torby, w której dźwigała wszystkie niezbędne środki medyczne oraz prezent od majora. Cisza wlokła się niemiłosiernie. Nos przyzwyczał się już do nieprzyjemnego zapachu, za to żołądek ze zdenerwowania podszedł jej aż do gardła. Czekanie w bezruchu doprowadzało ją do szaleństwa. Swieta domyślała się, co zastaną

we wsi, jeśli czujki wysłane na rozpoznanie potwierdzą, iż osada została napadnięta przez banderowców. Bała się tego. W Małykach, gdzie obie z Martą cudem uniknęły śmierci, Janek wyprowadził je do lasu tak, żeby nie musiały oglądać piekła, które przynieśli ze sobą jej rodacy. Tym razem wiedziała, że się nie uda. Będzie zmuszona zmierzyć się z tym, że w jej żyłach, niczym czerwona rzeka, płynie krew okrutnych morderców. Wiedziała, że wszyscy będą ją bacznie obserwować, ciekawi jej reakcji. Czuła, jak zaczynają jej drżeć ręce. Nie pomógł nawet widok Marty machającej w jej kierunku. Na całe szczęście koszmar oczekiwania się skończył.

Przecucia ich nie myliły. Wieś została napadnięta przez UPA. Banderowcy prawdopodobnie już odeszli, gdyż zwiad nie potwierdził ich obecności. Major szybko zmodyfikował plan. Partyzanci mieli wejść do wsi z trzech stron. Pierwszy pluton miał za zadanie podejść od strony drogi prowadzącej na Roztoki, zostawiając dwie sekcje jako ubezpieczenie. Drugi w tym czasie wejdzie od strony lasu, wystawiając jednocześnie posterunek przy wylocie drogi na Jabłonną. Kilku żołnierzy zajmie stanowiska na skraju lasu, tak aby żaden niepożądany gość nie zaskoczył oddziału z tej strony.

– Świeta! Major rozkazał, abyś została z żołnierzami w lesie – młody poślaniec wyrwał dziewczynę z odrętwienia.

– Dlaczego? – Popatrzyła na niego zdziwiona. Wzruszył tylko ramionami. Na odchodnym rzucił przez ramię:

– A bo to ja wiem? Może chce cię oszczędzić, co byś nie widziała, co rezuny nawyprawiały. Albo... – zatrzymał się, nie odwracając głowy – albo nie chce, żeby któregoś z chłopaków poniosło...

Gorąco uderzyło jej do głowy. Chciała wstać, ale Iwan przytrzymał ją za ramię. Kilka minut później siedzieli na skraju lasu, patrząc, jak do pierwszych zabudowań docierają żołnierze.

Zabudowania? To, co zobaczyli, to dopalające się zgliszcza drewnianych domów, pomiędzy którymi uwijały się jakieś postaci.

– Twoi. – Iwan skinął w ich kierunku głową. – Kradną co popadnie i co udało się uratować.

Z odległości dwustu metrów było widać wszystko jak na dłoni. Na widok żołnierzy z kaemami w rękach biegnących w ich kierunku ludzie rozpierzchli się na wszystkie strony. Okrzyki uzbrojonych partyzantów mieszały się z głośnym płaczem i lamentami przerywanymi od czasu do czasu odgłosem wystrzału karabinowego.

– Nasi. Strzelają do szabrowników – gryzący źdźbło trawy starszy wąsaty partyzant wyjaśnił, widząc rozszerzone z przerażenia oczy Swiety. – I dobrze im tak, psiekrwiom! A ty gdzie...!?

Swieta pędziła w kierunku wsi. Za nią, przeklinając siarczyście, biegł Iwan. Anioł stróż Rosjanina nawet nie zdążył jeszcze zauważyć, że podopieczny nagle mu się urwał.

Dziewczyna wbiegła pomiędzy kikuty domów. W popołudniowym świetle widziała wyraźnie wszystko. Szła jak w transie, chłonąc każdym zmysłem piekło, w którym się znalazła. Żywych ludzi nie było. Były tylko ciała, nagie, bezbronne, leżące wzdłuż płotów, w progach domów, pomiędzy rosnącymi w ogródkach roślinami, wszędzie... Jak zahipnotyzowana patrzyła na poobcinane siekierami ręce, nogi, głowy... na powykłuwane oczy i obcięte nosy... Zobaczyła Martę wymiotującą pod płotem, a zaraz potem usłyszała Janka krzyczącego w niebo z wnętrza swojego domu.

Kucnęła pod jakimś drzewem bez słowa. Mijający ją żołnierze unikali jej wzroku, ale ona wiedziała doskonale, o czym myślą i co czują. I po raz pierwszy w życiu zapragnęła się nie narodzić. A już z pewnością nie jako Ukrainka. Łzy płynęły jej po policzkach, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. I dopiero wtedy ujrzała małego chłopca, który leżał obok niej. Patrzył

gdzieś w bok niewidzącymi już niczego oczami, a krew z rozciętego gardła wypłynęła szeroką strugą i wsiąknęła w suchą ziemię. Wyjęła opatrunek i przewięzała jego szyję, tak jakby tym gestem pragnęła choć trochę zmyć z siebie potworne poczucie winy. Spojrzała jeszcze raz na okaleczone ciało, oddychając płytko przez zaciśnięte gardło. Potem już niczego nie widziała.

Iwan nie mógł nigdzie znaleźć Swiety. Dopiero gdy usłyszał jej krzyk, pobiegł w kierunku, z którego dochodził. Stała pod drzewem, płacząc i krzycząc głośno, a z jej dłoni zwisała mała rączka dziecka. Wzdrygnął się na ten makabryczny widok. Dopadł jej i chwycił w ramiona. Przytuliła się do niego. Jej krzyk powoli zamienił się w szloch. Iwan wziął ją na ręce i ruszył w kierunku lasu. Zanim minął ostatni budynek, Swieta pogłaskała go po dłoni.

– Postaw mnie, Iwan. Chcę wrócić.

Posłuchał jej. Jeszcze przez moment trzymał ją w uścisku. Chwilę potem dołączyła do reszty oddziału.

Major wydał rozkaz, aby pochować pomordowanych. Uwijano się jak w ukropie, chcąc zdążyć przed zachodem słońca. Swieta razem z Iwanem pomagała nosić ciała. Nie dała sobie przetłumaczyć, że nic tu po niej. Chciała tu być. Chciała pokazać innym i sobie, że ci, którzy przynieśli tutaj śmierć na ostrzach siekier i kolbach karabinów, są dla niej takimi samymi wrogami jak dla pozostałych. O dziwo, jej polscy towarzysze nie patrzyli na nią z odrazą. W ich wzroku wyczuła ulgę. Teraz była już jedną z nich.

Janek pochował rodziców i rodzeństwo w osobnym grobie. Nie było mowy, aby składać ich w zbiorowej mogile, w której pogrzebano czterdzieści pięć ciał pozostałych bestialsko zamordowanych Polaków. Osobno też pochowano dwóch ukraińskich mieszkańców wioski zastrzelonych przez partyzantów, gdy rozkradali polski dobytek. Żołnierze otworzyli do nich ogień bez ostrzeżenia. Widok zmasakrowanych Polaków doprowadził ich do

punktu, z którego nie było już odwrotu. Dlatego reszta Ukraińców spędzona do dużej stodoły modliła się głośno o to, aby Bóg, który zwykł nosić wystrzelone przez człowieka kule, obrał sobie dla nich inny cel.

Ukraińcy zgromadzeni w stodole byli zbyt przerażeni, aby mówić cokolwiek. Na pytania mierzącego do nich z pistoletu maszynowego żołnierza odpowiadali milczeniem przerywanym od czasu do czasu głośnym szlochem.

– W którą stronę odeszli i gdzie mają kryjówkę?! – Wściekłość w jego głosie sprawiała, że wieśniacy kulili się jeszcze bardziej. – Kurwa, bo pogadamy inaczej, rezuny! Psia ich mać!

Szczęk odwodzonego zamka pistoletu wywołał ogólną histerię. Przerażeni ludzie cofnęli się pod ścianę stodoły.

– Starczy! – mocny, spiżowy głos majora Dobrowolskiego osadził żołnierza na miejscu.

– Tajest... – Partyzant opuścił niechętnie lufę, splunął na klepisko i obrócił się w stronę wyjścia.

– Panie majorze, ja bym się z nimi nie opierdalał – rzucił na odchodne dowódca.

– Szeregowy Buryłko. – Major wzbudzał respekt nawet, gdy mówił spokojnie. Teraz nie był spokojny, dlatego żołnierz zatrzymał się natychmiast, a Dobrowolski kontynuował. – Opierdalać to się możecie na wykopkach. Nie jesteśmy rezunami jak banderowcy. Jesteśmy Wojskiem Polskim. Nie mordujemy. To, że położyliście dwóch szabrowników, wystarczy na dzisiaj. To my jesteśmy tutaj strażnikami pieprzonej cywilizacji. Więc ją, kur... – urwał w pół słowa. Nie lubił przeklinać. – Więc ją chrońcie, zamiast niszczyć. Zrozumiano?!

– Tak jest, panie majorze!

– Spocznij!

Szeregowy Buryłko wyszedł ze stodoły, mijając się przy wejściu z porucznikiem Jurkiewiczem.

– Co jest? – zapytał oficer, patrząc na skulonych pod ścianą Ukraińców. – Nie chcą mówić?

Major westchnął i pokręcił głową.

– Ano nie chcą, Tadek.

Jurkiewicz położył mu rękę na ramieniu.

– Poczekajcie na zewnątrz. Zaraz wszystko załatwię.

Porucznik Jurkiewicz rzeczywiście „załatwił” wszystko. Można powiedzieć nawet, że od ręki. Po dziesięciu minutach złożył raport majorowi Dobrowolskiemu. Upowców od Petra Olijnyka „Eneja” było dwudziestu. Niepełny pluton wsparty Ukraińską Policją i wieśniakami z sąsiednich ukraińskich wsi. Razem około stu ludzi. Przyszli w środku nocy. Wyrobili się do wschodu słońca. Mieszkający we wsi Ukraińcy twierdzą, że nie brali udziału w rzezi i że ich samych zastraszano. Nie byli w stanie pomóc nikomu. Policja odeszła w kierunku miasteczka, chłopci wrócili do domów, natomiast UPA zniknęła w lasach na południu.

– Dowiedziałem się też, że gościny udzielają im ukraińscy mieszkańcy Huty Jaworowskiej. Będą tam aż do środy, czyli jeszcze dwa dni – zakończył składanie raportu porucznik.

Major spojrział na niego i zmarszczył brwi.

– Jak to zrobiłeś, Tadziu?

Jurkiewicz popatrzył na niego zdziwiony.

– Ale co?

– Nooo, jak wyciągnąłeś to od nich?

– Poprosiłem, to powiedzieli. – Porucznik wzruszył ramionami. – Brat jednego z nich służy u tych bandytów.

– Nawet nie chcę wiedzieć, co oznacza w twoich ustach słowo „poprosiłem” – westchnął major.

I słusznie. Prośba porucznika Jurkiewicza okraszona bowiem była niezupełnie regulaminowym przystawieniem lufy pistoletu do głowy żony jednego z Ukraińców. To wystarczyło, aby uzyskać odpowiedź na pytanie o liczbę i skład oddziału, który napadł na wieś. Odwiedzenie zaś kurka pistoletu pomogło ustalić to, gdzie obecnie znajduje się oddział UPA.

Major chwilę trwał w bezruchu. Masował dłonią podbródek, myśląc intensywnie. W końcu podniósł wzrok na porucznika i powiedział sucho:

– Idziemy po nich. Nie puszczę im tego płazem.

Jurkiewicz chwycił go za ramię.

– Bez rozkazu dowództwa?

Dobrowolski popatrzył na niego wzrokiem, w którym porucznik zamiast zwykłej dla majora rozwagi dostrzegł płonące ognie.

– Miną wieki, zanim otrzymamy rozkaz z pozwoleniem lub odmową. A czas, Tadziu, to w tym przypadku towar luksusowy. Jeśli się nam wymkną, to znów uderzą. Wolę mieć na sumieniu samowolkę niż kolejnych pomordowanych Polaków.



d Huty Jaworowskiej dzieliło ich osiem kilometrów. Wyruszyli zatem po

zmęku. Po przejściu ponad połowy dystansu zatrzymali się na odpoczynek. Wydawać by się mogło, iż wykończeni potwornie ciężkim dniem partyzanci natychmiast napełnią nocną leśną ciszę głębokim chrapaniem. Jednak przeżycia sprzed kilku godzin nie pozwalały prawie nikomu zmrużyć oka. Swieta, upewniwszy się, iż tuląca otępiełego Janka Marta radzi sobie ze stresem, odeszła na bok i położyła się na suchym poszyciu. Po chwili nie odstępujący jej na krok Iwan usiadł obok niej. Zaprotestowała, gdy próbował położyć jej ciężką od natłoku myśli głowę na swoich kolanach i poddała się dopiero, gdy zapewnił:

– Wiem o tym Pietce z Warszawy. Uszanuję to, choć za cholerę nie wiem dlaczego. – westchnął i położył dłoń na włosach dziewczyny, gładząc je. Swieta nie oponowała. Nie miała na to siły. Przed oczami uporczywie krążyły jej obrazy niczym z najbardziej makabrycznego snu, które tym się od nocnej mary różniły, że były prawdziwe. Dziewczyna za nic w świecie nie mogła się ich pozbyć. Z zamyślenia wyrwał ją Iwan.

– I co teraz, Swieta?

– Jak to co? – odparła nieco zdziwiona.

Iwan poruszył się i po chwili przerwy, jakby starał się z uwagą dobrać słowa, zapytał jeszcze raz.

– Kim teraz będziesz? Ukrainką? Polką? Mówisz po polsku jak jedna z nich – wskazał głową leżących w ciemnościach partyzantów – pomagasz im w walce przeciw własnym ludziom. Kim jesteś, Swieta?

Usiadła i popatrzyła na niego.

– Jeszcze cztery lata temu nie wiedziałabym, co ci powiedzieć. – Wzruszyła ramionami. – Mój ojciec był OUN-owcem, ważną figurą, zawziętym w swych poglądach ideowcem. Jednak spotkałam na swej drodze człowieka, który pokazał mi, że nie trzeba koniecznie być mordercą, żeby być dobrym Ukraińcem.

– Pietkę? – przerwał jej Iwan.

Roześmiała się cicho.

– Nie, nie Piotr. Piotr pokazał mi, jak to jest być kobietą, jak to jest czuć się szanowaną i kochaną. Uratował mnie od makabrycznego małżeństwa. Ale patriotyzmu uczył mnie Witalij, pułkownik wojsk kozackich jeszcze z czasów wojny w 1920 roku. Walczył z Piłsudskim przeciw wam. Nie chrząkaj mi tu. – Posłała mu kuksańca. – Taka prawda. On mi pokazał, jak odróżnić dobro od zła.

Nie mogę być nikim innym, niż tym, kim jestem. A jestem Ukrainką. Nie zmieni tego nawet morze krwi wylanej przez tych zbrodniarzy. A wiesz dlaczego? Bo my, normalni ludzie, musimy tu trwać. Tak żeby kiedy te szaleństwa się skończą, móc zbudować tutaj na nowo nasze domy. Jeśli dobrzy ludzie odejdą albo zaprą się samych siebie, to co tu zostanie? Piekło rządzone przez tych opętanych mordem ludzi. Widziałam dzisiaj, do czego są zdolni moi rodacy. Ale trwać muszę. Na przekór temu całemu złu, które jest ich udziałem.

– A Polacy?

Spojrzała na niego mocnym wzrokiem.

– Iwan, Sowieci zagłodzili miliony moich rodaków. Niemcy najechali tę ziemię i są taką samą zarazą jak Sowieci. Tylko na Sybir nie wywożą. Ukraińcy topią Wołyń i całą tę ziemię we krwi. Polacy tego nie robią. Mój ojciec wprawdzie opowiadał mi o tym, jak traktowali nas przed wojną, o braku szacunku i innych rzeczach. Sama widziałam płonąca cerkiew. Ale, na Boga, oni nas nie mordowali! Nic nie usprawiedliwia tego, co my teraz robimy im. A ja? Jem ich chleb, opatruję ich rany, korzystam ze schronienia, które mi zapewniają. Mimo że mordujemy ich okrutnie i nawet nasi popi święcą sierpy i siekiery, którymi ich rżemo. Popatrz na nich, to nie są zwykli żołnierze. To wojownicy starodawni. I tak jak w starych legendach, są

rycerscy. Nie odpowiadają mordem na mord. Widzę to na co dzień. Sam znalazłeś u nich schronienie, więc wiesz, o czym mówię. Zatem, jeśli kiedykolwiek miałabym żyć w wolnym kraju, to od piekła tworzonego przez ryznikiw z UPA wolałabym tysiąc razy bardziej Polskę, o którą walczą tacy ludzie jak ci obok nas.

Patrzył na nią bez słowa. Uśmiechnęła się. Ledwo to dostrzegł w blasku płonącego kilka metrów dalej ogniska.

– Mój mąż będzie Polakiem. Moje dzieci pewnie też. Ja jestem Ukrainką i chcę pomiędzy Polakami żyć. Przyjęli mnie jak swoją. Nawet katoliczką jestem – roześmiała się – grecką, ale katoliczką. Jednak zawsze będę Ukrainką. Na przekór temu, co się tu teraz dzieje.

Iwan westchnął.

– Przyjdzie Armia Czerwona i ukróci to wszystko. Skończą się rzezie.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Przecież mówiłeś, że nie jesteś bolszewikiem?

– A czy trzeba być bolszewikiem, żeby być radzieckim, rosyjskim – poprawił się – patriotą? Ja tylko mówię, że przyjdą. To nieuniknione. Nawet Polacy ich nie powstrzymają. Zwłaszcza oni. Na nich zresztą wyrok już zapadł.

– Możesz mówić, co chcesz. – Swieta spojrzała hardo na niego. – Możecie nawet podbić ten kraj, ale go nie zawojujecie na dobre. Pobją was znów i pogonią. I znów. I znów... Nie widzisz, co się tu dzieje? Nie widzisz, że ich nie można więzić w nieskończoność? Mieliście ich pod butem przez sto lat, a mimo to w dwudziestym roku pognali was tak, że onuce gubiliście. Tak będzie i tym razem, jeśli przekroczycie ich granicę, Iwan.

Nie odpowiedział na to nic. Nie chciał już rozmawiać o polityce i patriotyzmie. Chciał porozmawiać za to o niej i o nim. Nie wiedział tylko jak. Przełamał wreszcie strach i zapytał pół żartem, pół serio:

– Mówiłaś, że będziesz miała męża Polaka. A Rosjanina nie chcesz? Co ci z tego Polaka? Gdzie on jest teraz?

Popatrzyła na niego czule i dotknęła jego twarzy.

– Iwan, lubię cię. I może dałabym się porwać. Tylko... Ta historia nie miałaby dobrego zakończenia. Kiedy ty już w naszym wspólnym domu spałbyś szczęśliwy, ja siadałabym w oknie, patrząc na drogę i ciągle czekając. I w końcu uschłabym z tęsknoty przy kochającym mnie człowieku. – Uśmiechnęła się. – Chciałbyś tego, naprawdę?

Pokręcił głową, zaprzeczając. Zrozumiał. Biały jednorozec pokazał mu zad i pogalopował w siną dal, zabierając ze sobą cudną dziewczynę. Wiedział, że przegrał. Spuścił głowę. Poczuł, jak złość na tego Polaka i na wszystkich pozostałych zaczyna chwytać go za gardło.

– Prześpię się. Czuję, że wreszcie zasnę – powiedziała cicho Swieta, kładąc głowę na kolanach Iwana. Położył na niej dłoń i zamknął oczy, próbując złagodzić przełykaną śliną niesamowity ból gdzieś w okolicy serca.



– **M**asz! Zrób z niego użytek – major Dobrowolski w wyciągniętej ręce trzymał wysłużonego mausera. Odpryski na politurze karabinu oraz fatalny stan lufy wymownie świadczyły, że pamięta on czasy, gdy przytlaczająca część ludzkości polowała jeszcze z łukiem w ręku. Mimo to Iwan uśmiechnął się szeroko z zadowolenia. Wreszcie się doczekał!

Przyczaili się na skraju lasu. Przed nimi, w ciemnościach ledwie

podświetlonych srebrnym blaskiem księżycy, majaczyły zarysy chałup. Huta Jaworowska składała się z nieco ponad trzydziestu gospodarstw. Mieszkający w niej Ukraińcy nieraz udzielali schronienia oddziałom Ukraińskiej Powstańczej Armii. Do dzisiaj.

Oddział majora zajmował pozycje do natarcia. Podręczniki taktyczne mówią, że nacierający powinien dysponować trzykrotną przewagą liczebną, jeśli chce wygrać. Polacy mieli tylko dwa razy więcej żołnierzy niż śpiący w chatach banderowcy. Jednak przewagą partyzantów było całkowite zaskoczenie. Zwiad wysłany w celu rozpoznania przeciwnika doniósł, że Ukraińcy czują się dość bezpiecznie. Wystawili jedynie dwuosobowe posterunki po dwóch stronach wsi przy ubitej, przecinającej wieś na pół drodze. W ich kierunku za chwilę podkradną się dwie grupy mające za zadanie możliwie bezgłośnie ich wyeliminowanie. Na całe szczęście psy, dla których upowcy również byli intruzami, czekały przez całą noc. Nie było więc obawy, że zdradzą ujadaniem podkradających się do zabudowań żołnierzy.

– Józek, wyczyściłeś karabin? – ostry ton głosu Janka sprawił, że młodemu żołnierzowi zimny pot spłynął po plecach. Zagryzł wargi ze strachu i skłamał.

– Taaaak...

– Na pewno? Bo jak nie, to nogi z dupy powyrywam!

Józek skulił się w sobie, próbując w ciemnościach majstrować przy zamku Maschinengewehr 34, doskonałego niemieckiego karabinu maszynowego, który dzisiaj miał zamykać ogniem drogę dojazdową do wsi ze wschodu. MG 34 posiadał jednakże pewną istotną wadę. Jak każdy niemiecki sprzęt wyprodukowany został w oparciu o wyśrubowane normy. Skutkiem tego żołnierz otrzymywał broń celną i „skrojoną na wymiar”. Jednak w odróżnieniu od rosyjskich kulomiotów, których części

grzechoczące z powodu luzów gwarantowały niezawodność, nawet jeśli broń upadła w piasek, dopasowane elementy MG 34 reagowały zacięciem w mało sterylnych warunkach leśnych. Józek właśnie uświadomił sobie, że swoim niedbalstwem mógł narobić niezłego bałaganu. Jednak ze strachu przed gniewem Janka, którego wręcz rwało, żeby dobrać się banderowcom do skóry, przemilczał wszystko, licząc na to, że uda mu się naprawić błąd, kiedy zajmą już pozycję.

Janek pogładził po głowie żonę, która otrzymała rozkaz, aby razem ze Swietą pozostać w lesie, dopóki cała akcja się nie zakończy.

– Uważaj na siebie. – Marta drżała na samą myśl o tym, że mogłoby mu się coś stać. Od chwili gdy pogrzebał swoją bestialsko zamordowaną rodzinę, poza zdawkowymi odpowiedziami nie rozmawiał z nikim, nawet z nią. Gdyby mogła dostrzec w ciemności jego oczy, zauważyłaby, że oprócz błysku stali nie ma w nich nic. Pocałował ją w czoło i odszedł z Józkiem w kierunku drogi. Wiedziała i czuła, że jest wściekły na majora Dobrowolskiego za to, że nie pozwolił uczestniczyć mu w bezpośrednim ataku.

– Janku – Dobrowolski nie pozostawił żadnych złudzeń – straciłeś rodzinę, i to wczoraj. A to najprostsza droga, żeby zmienić się w krwawego mściciela, takiego jak ci bandyci. Nie potrzebuję tego. Poza tym najwięcej bohaterów ginie albo po wyjściu ze szpitala, albo gdy są nakręceni chęcią zemsty tak jak ty. Myślicie wtedy, że jesteście kuloodporni. Nie zależy mi na tym, żebyś się przekonał, że to bzdura.

Dyskusji nie było. Janek powłókł się pod kępę przydrożnych krzaków razem z taszczącym karabin Józkiem.

Usadowili się w małym zagłębieniu osłonięci gęstymi gałęziami dzikiej róży. Janek rozstawił karabin na dwójnogu i podniósł pokrywę, pod którą ulokował metalową taśmę z pięćdziesięcioma nabojami. Co piąty z nich był

pociskiem smugowym. Dzięki temu strzelec mógł w ciemności korygować prowadzony ogień. Obserwujący go Józek modlił się w duchu, aby żadna przypadkowa grudka ziemi, w którą upadła mu wieczorem „suka”, jak zwano ten typ karabinu, nie zablokowała go w czasie akcji. Bał się.

Wszystko zaczęło się nagle. Od strony chałup Janek usłyszał strzały. Najpierw pojedyncze, które szybko zamieniły się w kanonadę przerywaną krzykami. Zacisnął dłoń na uchwycie, obserwując uważnie przedpole i klnąc w duchu majora Dobrowolskiego na czym świat stoi.

42



Strażnicy nawet nie pisnęli. Zajęci chrapaniem lub paleniem skrętów z machorki nie zauważyli niebezpieczeństwa, dopóki nie zrobiło im ono dziury w plecach za pomocą bagnetu. W tym momencie do ścian pierwszych chałup dopadły grupy partyzantów. Uzbrojeni w pistolety maszynowe żołnierze podkradali się w kierunku podwórek i drzwi wejściowych do chałup. Mieli za zadanie błyskawicznie otwierać drzwi i likwidować śpiących w środku banderowców. Prawie się udało.

Nieprzeczuwający niebezpieczeństwa banderowcy spali w najlepsze rozlokowani w domach swych gospodarzy. Poza jednym, który włókł się za potrzebą za chałupę. Jednak gdy tylko cienie przeskakujące szybko od domu do domu mignęły mu przed oczami, podniósł krzyk. Wprawdzie kula wystrzelona z pistoletu zamknęła mu usta na dobre, ale efekt zaskoczenia przepadł. Żołnierze, którzy jako pierwsi wpadli do jednej z chałup, zostali

ostrzelani i tylko cudem uniknęli śmierci. Schowani za framugą drzwi zastanawiali się, co mają teraz zrobić. Przecież w środku z pewnością byli zwykli mieszkańcy wsi.

Inni banderowcy nie mieli tyle szczęścia. Odgłos strzelaniny wprowadził wyrwał ich z głębokiego snu, jednak po otwarciu oczu najczęściej widzieli wylot lufy kulomiotu, zimne białka oczu trzymającego go Lacha, a potem nie widzieli już nic. W kilku chałupach upowcy wybili szyby w oknach, wystawiając przez nie lufy karabinów i próbując się ostrzeliwać z nadzieją, że partyzanci nie odważą się obrzucić ich schronienia granatami. W końcu w środku byli nie tylko uzbrojeni Ukraińcy. Rozkaz Dobrowolskiego był jednak nieubłagany.

– Granaty do środka! Sami są sobie winni!

Po chwili lecące szerokim łukiem „jaja” wpadły przez wybite okna, zamieniając wnętrza chałup w piekło.

Major stał przy rogu jednej z nich w otoczeniu kilku żołnierzy, tak żeby widzieć możliwie jak najwięcej. Większość bandytów już nie żyła, mimo to z kilku domów w kierunku nacierających żołnierzy wciąż prowadzono beładny ogień. Z jednego z nich, leżącego na skraju wsi właśnie, wybiegło trzech uzbrojonych Ukraińców próbujących przebić się w kierunku lasu.

– Niech biegają – Dobrowolski mruknął pod nosem. – Nadzieję się na Janka jak na widelec.

– *P*oczekajcie tu. Nic wam nie grozi. – Iwan nagle zerwał się z miejsca. Pobiegł w kierunku wsi, zostawiając Swietę i Martę na skraju lasu. Dziewczęta nawet nie zdążyły zaprotestować. Po kilkudziesięciu sekundach był już pomiędzy chałupami. Rozglądał się intensywnie. Zobaczył go w blasku palącej się drewnianej chaty. Major stał wyprostowany. Obserwował całą akcję. Iwan podniósł mausera do oka. Mierzył chwilę i gdy

już miał nacisnąć spust, Dobrowolski popatrzył w jego kierunku. Mimo dzielących ich od siebie pięćdziesięciu metrów poznał go. Iwan zawahał się. Po raz pierwszy zadrżała mu ręka. Nagle po prawej stronie majora zza węgła wyskoczył na wpół rozebrany banderowiec z pistoletem w ręku. Iwan w ciągu ułamka sekundy przeniósł muszkę na niego i ściągnął spust. Karabin kopnął mocno w ramię, podczas gdy tamten zwałił się z nóg, opryskując krwią z przestrzelonej głowy majora i żołnierzy. Dobrowolski spojrzał na Iwana i pokiwał głową, dziękując. Rosjanin opuścił mausera i zaklął w duchu.

J anek czekał z niecierpliwością, obserwując sytuację. Czuł, jak pocałował się w rękę. Chciał, żeby w zasięgu jego celownika pojawił się jakiś Ukraińiec. Choćby nawet dziesięciu. Wytrwali doczekają się. Jakby przywołani myślami chłopaka, z boku drogi, w odległości nie większej niż trzydzieści metrów, pojawili się trzech banderowcy. Trzymając karabiny w rękach, biegli w jego kierunku.

„Dzięki Ci, Panie” – przemknęło Jankowi przez myśl. Bez pośpiechu, pozwalając im podejść na odległość dziesięciu metrów, przycisnął spust. Karabin wypluł jeden pocisk i zamilkł.

Mróz spłynął wzdłuż kręgosłupa, zamieniając jego ciało w sopel lodu. Zacięcie! Szarpnął kilka razy zamkiem, ale „suka” pozostała odporna na te zabiegi. A czas... czas był tym, czego Jankowi oprócz szczęścia zabrakło. Rozpędzeni intruzi wystrzelili w kierunku stanowiska partyzantów kilka serii. Ktoś, kto strzelał kiedykolwiek z pistoletu maszynowego, wie, że trafienie w cel w biegu nawet z dziesięciu metrów, gdy człowiekiem targa na przemian strach i adrenalina, graniczy z cudem. Te jednak od czasu do czasu się zdarzają. Pocisk, który uderzył Janka w ramię, nie był jedynym. Trzy pozostałe przeszły jego plecy, szyję i głowę. Stanowisko karabinu

maszynowego umilkło na dobre.

43



– Musimy iść, Martoczka – cichy głos Święty dotarł do uszu dziewczyny, jednak nie wywołał żadnej reakcji. Nadal klęczała z twarzą zasłoniętą kaskadą blond włosów. Nie płakała już. Po prostu wpatrywała się w świeżo usypany kopiec, z którego wyrastał równo ociosany brzozy krzyż. Gładziła osypujące się z niego grudki ziemi niczym najdroższy atłas. Od chwili, kiedy dotarło do niej, że ukraińska kula zakończyła jej małżeństwo, nie odzywała się prawie w ogóle.

– Pochowamy Janka obok matki i rodzeństwa – jej grobowy głos nie brzmiał jak prośba. Major Dobrowolski, który do znudzenia powtarzał swoim żołnierzom, że wojsko nie jest po to, żeby przeżyć, ale po to, żeby spełnić zadanie nawet za cenę życia, nie potrafił spojrzeć dziewczynie w oczy. Nie czuł winy z powodu śmierci Janka. To mogło spotkać każdego. Miał po prostu świadomość tego, że nie ma takich słów, które byłyby w stanie zalepić wielką czarną dziurę, którą młoda wdowa miała teraz zamiast serca, i przekonać ją, że „takie rzeczy się zdarzają”.

Marta czuła, że stało się coś złego, od chwili, kiedy wracający z akcji żołnierze zaczęli omijać ją szerokim łukiem i na każde pytanie o Janka odwracali wzrok. Dopiero gdy postawiono przed nią zrobione naprędce prowizoryczne nosze, zrozumiała dlaczego i osunęła się na ziemię. Jeszcze przez chwilę, jakby na przekór przestrelonej głowie męża, łudziła się, że

może to jednak nieprawda. Wyrwała się próbującej przytulić ją przyjaciółce, a z jej otwartych szeroko oczu popłynęły łzy. Położyła głowę Janka na swoich kolanach, kręcąc głową z niedowierzaniem i powtarzając w kółko jego imię. Swieta chciała odejść na chwilę na bok, żeby dać przyjaciółce trochę czasu, gdy nagle poczuła, jak jeżą się jej włosy na głowie. W jej uszy uderzył dźwięk tak przeraźliwy, że poczuła gęsią skórkę. Marta, trzymając dłonie wbite we włosy leżącego w bezruchu męża, podniosła oczy w górę i krzyczała na cały głos tak, jak krzyczy zarzynany okrutnie człowiek. Po kilku sekundach jej zdarte gardło wydawało już tylko przeraźliwy skrzek. Twarz, zalana łzami i zasłonięta posklejanymi włosami, sprawiała na tyle upiorne wrażenie, że stojący obok żołnierze odsunęli się z wytrzeszczonymi ze strachu oczami. Major Dobrowolski, który właśnie nadszedł od strony wsi, nie zdążył się zasłonić, kiedy Marta poderwała się do skoku jak dziki kot i dopadła go jednym susem, przeciągając paznokciami przez sam środek jego twarzy. Tylko dzięki przytomności Iwana nie stracił oczu, gdy oszalała dziewczyna wyrzuciła do przodu drugą rękę. Rosjanin złapał ją i wykręcił jej rękę. Marta wiała się jeszcze chwilę, krzycząc na całe gardło.

– To wszystko twoja wina, sukinsynu! Nie trzeba było go tam słać!

Swieta opatrzyła szybko twarz dowódcy.

– To nie jej wina, panie majorze – powiedziała zdławionym głosem. – To jeszcze dziecko. Niech pan jej nie karze.

– Co ci przyszło do głowy, dziewczyno? – Dobrowolski zachnął się. – Nie karze się za to, że człowiekowi pęka serce.

W tym czasie Iwan przytrzymał Martę z całych sił, a gdy osłabła, puścił ją. Otepiąta wróciła z powrotem do ciała męża i położyła głowę na jego piersi. Nie krzyczała już, choć głośny płacz ciągle dobiegał uszu wszystkich dookoła. Za jakiś czas wyciągnęła z torby medycznej gazę, nasączyła ją spirytusem i starła krew z twarzy Janka, kiwając się jak

w transie. Poprawiła jego mundur, odsuwając delikatnie, lecz stanowczo próbującą pogłodzić ją po włosach dłoni Swiety.

Do Mierosławia dotarli po południu. Marta całą drogę pokonała na własnych nogach, płacząc. Dreptała tuż za małym wózkiem, na którym partyzanci przewieźli ciało Janka. Wieczorem kolejna mogiła wyrosła obok świeżych grobów w ogródku Marciniuszynów.

Teraz jednak musieli opuścić wieś. Ukraińcy wprawdzie obchodzili ich z daleka, jednak nie można było wykluczyć, że wyślą do lasu posłańca, aby zawiadomić banderowski oddział pro Liachiw w seli. Dobrowolski dał dziewczętom obstawę składającą się z dziesięciu żołnierzy, ale mogła się okazać niewystarczająca w przypadku zasadzki lub ataku większego oddziału. Gdy więc słońce dotknęło horyzontu, partyzanci zaczęli się niecierpliwić. Wymienili kilka głośnych uwag ze Swietą, która towarzyszyła Marcie przez cały czas. Przyznała im rację. Ponownie podeszła do klęczącej przy grobie męża dziewczyny. Wyciągnęła delikatnie rękę i spróbowała ją przytulić. Przyjaciółka nie odtrąciła jej jak do tej pory, ale zarzuciła jej rękę na szyję i wtuliła się mocno. Po raz kolejny los okrutnie z nich zakpił, brutalnie odzierając ze wszystkiego, co było dla nich najdroższe, i po raz kolejny okazywało się, że mogą liczyć tylko na siebie. Cała reszta jawiła się w tej chwili jak rozsypujące się babki z piasku w świecie, w którym nie pozostało już nic trwałego.

Swieta nie miała serca przerywać tej chwili. Cała wojna i wszystkie okropieństwa, które kroczą jej śladem, poblady nieco i wydawały się tak odległe jak złoty krążek lśniący na horyzoncie. Gorące sierpniowe powietrze, delikatnie przecinane słabymi podmuchami wiatru, wdzierало się do płuc. Ptaki urządzały sobie koncerty, przysiadając na nielicznych ogrodowych drzewach, a pomiędzy grządkami pojawił się nie wiedzieć skąd kot. Dopiero

swąd spalenizny ze sterczących za plecami zgliszczy domu przypominał o tym, że lato 1943 roku nie było ani sielskie, ani beztroskie.

44



Marta odeszła. Nie pomogła troska, jaką obdarzyli młodą wdowę wszyscy żołnierze, dowódcy nie wyłączając. Miejsce, w którym każdy najdrobniejszy szczegół przypominał jej o Janku, zmieniło się z dnia na dzień w więzienie. Z początku nie wychodziła prawie w ogóle z leśnej chaty. Po tygodniu zabrakło jej łez. Swieta w tym czasie nie odstępowała jej na krok. Wojna na zewnątrz oddaliła się na razie na bezpieczną odległość. Partyzancki oddział po udanej akcji odwetowej w Hucie Jaworowskiej zaszył się na jakiś czas w leśnej kryjówce. Wysłane w teren patrole donosiły o koncentracji ukraińskich formacji w okolicy i o ich dozbajaniu przez Niemców w nietypowy sposób. Metoda ta polegała na pozorowanej, uprzednio uzgodnionej zasadzce na niemiecki oddział, który bez walki dawał się rozbroić. Pozwalało to Niemcom uniknąć odpowiedzialności za przekazywanie broni oficjalnie wrogiej partyzantce. W zamian za to Ukraińcy wyręczali ich w akcjach przeciw Armii Krajowej i polskiej ludności. Wszyscy byli zadowoleni. Poza Polakami.

Po tygodniu bezczynności Marta podjęła decyzję o powrocie do Bedryczan. Nie pomogły tłumaczenia Swiety, że nikt na nią tam już nie czeka. Marta uparła się i nic nie było jej w stanie przekonać. Major Dobrowolski przychylił się do jej prośby. Rozumiał ją doskonale.

– Pojedziesz jutro do miasteczka razem z moimi ludźmi. Wczoraj UPA znów uderzyła. Spalili kolejną wieś. Żołnierze ochraniają kolumnę uciekinierów. Przyda im się sanitariuszka. Będziesz więc im towarzyszyć. Gdy dotrzecie na miejsce, będziesz mogła odejść. Niestety, będziesz zdana tylko na siebie. Dalej nie będę w stanie ci pomóc, córcia.

Podziękowała mu skinieniem głowy. On jednak zagarnął ją szerokim ramieniem i przytulił do siebie jak swoje własne dziecko.

– Dziękuję panu, panie majorze – Marta uśmiechnęła się do niego blado. – Dziękuję za wszystko.

Na pożegnanie ze Swietą łązy się znalazły. Kobiety mają cudowną umiejętność, że kiedy trzeba, wydobędą tę odrobinę wilgoci pod oczami choćby spod ziemi. Marta tuliła się do przyjaciółki przez całą noc.

– Swietka, wiesz, nie żałuję tego czasu z Jankiem – odezwała się, upewniwszy się najpierw za pomocą intensywnego wiercenia się, że dziewczyna nie śpi. – Dał mi najpiękniejsze chwile, jakie spędziłam z kimkolwiek.

Swieta pogładziła ją po głowie, całując w czoło.

– Martoczka, jesteś dla mnie jak siostra, pamiętaj o tym. – Czują, jak w jej krtani zagnieżdża się ogromna klucha, a oczy ponownie zapełniają się łzami. – Jak się to wszystko skończy, to cię odnajdę. Razem z Piotrem. Odnajdziemy cię i zawsze będziesz blisko.

– Zabrzmiało jak... w romansie – Marta po raz pierwszy od śmierci męża roześmiała się. Przez łązy. Płakały i śmiały się już do samego rana.

O świcie major zapukał do izdebki sanitariuszek.

– Marta, zbieraj się. Wyruszenie złapać kolumnę uciekinierów po drodze. Swieta ucałowała przyjaciółkę mocno i kciukiem zrobiła jej na czole

mały znak krzyża.

– Idy z Bohom, Martoczka. Niczego się nie bój, będę zawsze przy tobie.

Marta zagryzła wargi, ale nie udało się jej powstrzymać płaczu. Siorbnęła głośno nosem, odwróciła się i biegiem dogoniła pięciu partyzantów znikających w lesie.

Świeta jeszcze długo stała w drzwiach chaty. Stała, dopóki pod oczami nie zrobiło się sucho.

Marta nie oglądała się za siebie. Szła równym tempem ze swoimi towarzyszami, aż dotarli na miejsce. Chłopcy zalegli w małym zagajniku tuż przy drodze. Nie było ich widać, za to oni mieli doskonały widok na całą okolicę. Nie czekali długo. Po pół godzinie pojawił się wóz i kilkanaście postaci obok niego. Marta czuła, jak serce podchodzi jej do gardła, a żołądek zaciska się na supeł. Otworzyła szeroko oczy i chłonęła makabryczny widok.

Na wozie leżało kilka osób. Wszystkie miały odrąbaną przynajmniej jedną nogę. Prowizoryczne opatrunki tamowały upływ krwi. Za wozem, płacząc i kulejąc, szli ludzie... Niektórzy nie mieli rąk. Ukraińcy musieli im je odciąć, zanim udało im się uciec. W tym strasznym pochodzie jedynym człowiekiem, który wyszedł z rzezi bez szwanku, był mały chłopczyk prowadzący swoją matkę. Kobieta miała przewiązane bandażem oczy. Marta nawet nie chciała myśleć o tym, co mogło się kryć pod opatrunkiem. Wszyscy szli w ciszy, przerywanej skrzypieniem wozu i płaczem co poniektórych. Partyzanci wyszli z ukrycia. Makabryczny pochód zatrzymał się na chwilę. Po upewnieniu się, że nikomu nic nie grozi, ruszyli dalej. Marta uwijała się pomiędzy koszmarnie poranionymi ludźmi, starając się pomóc najbardziej potrzebującym. Po kilkunastu minutach po uciekinierach i żołnierzach nie zostało na drodze śladu, poza znaczącymi szlak ich

wędrówki kroplami krwi. Odeszli, kalecy jak nosząca ich wołyńska ziemia.

45



Major Dobrowolski, odznaczony krzyżem Virtuti Militari czwartej klasy za zniszczenie dwóch czołgów i zatrzymanie niemieckiej kolumny pancernej we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, dowódca leśnego zgrupowania partyzanckiego Armii Krajowej, spał jak kamień, gdy ostry jak brzytwa nóż prześlizgnął się po jego gardle. Wyrwany ze snu próbował krzyknąć, jednak rozcięta krtań zalała jego gardło krwią, a dłoń mordercy zaciśnięta na jego ustach zdusiła każdy dźwięk w zarodku. Bezkompromisowy dowódca w ostatnich sekundach życia, zanim przywitał się ze Stwórcą, przeklął w myśli swoją lekkomyślność i głupotę, patrząc w oczy temu, który mu to spotkanie z Bogiem zaaranżował.

– Ciiii... – cichy szept skrytobójcy wybrzmiewał spokojnie jak ulatujące z majora życie. Po chwili było po wszystkim. Mężczyzna wstał i rozejrzał się po izdebce. Sięgnął po zawieszony na kołku mapnik, z którym Dobrowolski rozstawał się tylko wtedy, kiedy zasypiał. Włożył do niego jeszcze kilka drobiazgów z małej szuflady niewielkiego stolika i cicho, niczym duch, opuścił izbę. Chwilę później cisza na powrót otuliła szczelnie pomieszczenie. Oprócz małej myszy wystawiającej szarą główkę z dziury pod progiem w pokoju nie było już nikogo. Major spał wiecznym snem, czekając na dzwony obwieszające zmartwychwstanie.

artownik! Wartownik! – krzyk Swiety wytrącił obozowisko z porannego
W bezruchu. – Pomocy!

Z namiotów i ziemianek wysypali się żołnierze, w biegu wciągając spodnie i dopinając pasy. Kiedy pierwszy z nich dopadł wejścia do kwatery majora Dobrowolskiego, zmarł z przerażenia. W środku, trzymając w ręce okrwawiony nóż, z wytrzeszczonymi ze strachu oczami stała Swieta. Oddychała głośno. Żołnierz rzucił okiem na łóżko, na którym w kałuży krwi leżało ciało majora.

– Zabiłaś go, suko! – Ruszył w jej kierunku.

– To nie ja... – wyszeptała dziewczyna, zaprzeczając ruchem głowy. Odruchowo odsunęła się w kierunku okna. Oddychała ciężko, starając się przezwyciężyć szok paraliżujący ją od środka. Żołnierz był już krok od niej, kiedy ostry, stanowczy rozkaz osadził go na miejscu.

– Zostaw! – Porucznik Jurkiewicz, zastępca majora Dobrowolskiego, przybył na miejsce jako jeden z pierwszych.

– Panie poruczniku, zamordowała majora! – szeregowy kipiący z wściekłości nie dawał za wygraną.

Porucznik rozejrzał się wokół, gestem ręki zatrzymując w progu tłoczących się żołnierzy.

– Gdyby go zabiła, toby tak głośno nie krzyczała o pomoc, Walusiak. – Podszedł ostrożnie do okna. Zatrzymał się przed przerażoną dziewczyną. – A poza tym na oko widać, że rana nie jest świeża, bo krew stężała. – Wyciągnął powoli rękę w kierunku Swiety. – Oddaj nóż... nic ci nie grozi. Wiem, że to nie ty.

– To nie ja, pan porucznik... to nie ja. – Nerwy znalazły wreszcie sposób, aby przezwyciężyć szok, i Swieta rozplakała się, kładąc zakrwawione ostrze na wyciągniętej dłoni Jurkiewicza. – Ja znalazłam nóż obok majora...

Porucznik pokiwał głową. Przetaczały mu się przez nią dziesiątki myśli.

Próbował składać te puzzle, żeby wpaść na sensowne rozwiązanie zagadki. Dowódca został zamordowany. Kto? Kto za tym stoi? Żołnierze? Pokiwał głową, odrzucając tę myśl. Wszyscy traktowali Dobrowolskiego jak ojca. W ogień by za nim poszli. Ta Ukrainka zresztą też. Major dbał o nią jak o własną córkę. Zresztą, nieraz dowiodła lojalności. Pozostawało tylko jedno rozwiązanie.

– Strzelec Walusiak, weźcie dwóch chłopaków i sprawdźcie namiot Ruska. Na jednej nodze!

– Tak jest! – Walusiak trzasnął obcasami i wybiegł z izby.

Jurkiewicz usiadł na brzegu łóżka i położył dłoń na zimnej ręce martwego przyjaciela.

– Ech, Edziu – westchnął szeptem. – Tyle przeszliśmy, brachu, i tak bezsensownie musimy się żegnać... – Zacisnął pięść w bezsilnej złości. – Ale przyrzekam ci, dopadnę skurw...

– Jest Iwan, nie uciekł daleko! – głos Walusiaka przerwał porucznikowi rozmyślanie. – W zasadzie to w ogóle nie uciekał. Szedł w naszą stronę sam.

Major Dobrowolski od akcji w Mierosławiu pozwolił poruszać się Rosjaninowi bez anioła stróża. Zaufał mu. Teraz ten, poszturchiwany przez partyzantów lufami karabinów, wszedł do środka. Porucznik obserwował go uważnie. Iwan rozszerzył oczy ze zdumienia, a z jego otwartych ust popłynęło śpiewne „Bog moj”. Doskoczył do łóżka, chwycił rękę majora i spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na Jurkiewicza.

– Kak eto słucziłos’? Kto eto sdielał?!

Porucznik wykrzywił usta w grymasie, patrząc Rosjaninowi prosto w oczy. Jeśli rzeczywiście są one zwierciadłem duszy, to porucznik mógł w nich wyczytać jedynie zdezorientowanie i ból.

– Właśnie miałem nadzieję, że ty mi powiesz, Iwan. – Porucznik położył dłoń na kaburze pistoletu wiszącej przy pasie i odpiął ją. Iwan zauważył ten

gest, ale nie zrobił żadnego niespodziewanego ruchu.

– Szto ty? – Iwan otworzył oczy jeszcze szerzej. – Otkuda mnie eto znat’?

Jurkiewicz wstał z łóżka, a partyzanci stojący w drzwiach odbezpieczyli karabiny.

– Iwan, gdzieś ty był w nocy? – głos porucznika zawisł nad wystraszonym Rosjaninem niczym katowski topór.

– Noo, w mojej pałatkie – odpowiedział z rozbijającą szczerością. Mimo to czuł, że oficer mu nie wierzy.

Nikt mu nie wierzył.

Atmosfera w ciągu sekundy zgęstniała tak, że na czole Iwana pojawiły się kropelki potu. Wprawdzie nikt nie zrobił kroku w jego kierunku, ale mimo to miał wrażenie, iż zaczyna mu brakować miejsca w i tak niewielkiej izbie.

– Wartownik, wyprowadzić go i zamknąć w klatce. Dostanie czapę po południu. – Głos porucznika ożywił wszystkich, tak jak ruch korbą ożywia postaci w szopce noworocznej. Złapany za ramiona Iwan runął na kolana i nim zdążył się obejrzeć, wykręcono mu ręce i związane sznurkiem za plecami. Dwóch żołnierzy podniosło go za ramiona. Pchnęli go w kierunku drzwi, pomagając sobie uderzeniami karabinowych kolb. I wtedy usłyszeli za plecami:

– Zostawcie go. On nie kłamie. Byłam z nim w namiocie przez całą noc.

Cisza, która zapadła w izbie, była tak głęboka, że miało się wrażenie, iż wskazówki zegara stanęły w miejscu. Jurkiewicz otworzył usta ze zdziwienia. Popatrzył na Iwana stojącego ze spuszczoną głową, a potem na Swiętę.

– Jak to z tobą? – porucznik zwrócił się do dziewczyny. – Co robiliście?

Wzruszyła ramionami, spuszcżając wzrok.

– Nic. Bałam się sama spać. Miałam koszmary. – Dopiero teraz do niej dotarło, jakie skojarzenia wywołało jej wyznanie. Policzki zapłonęły jej

żywym ogniem.

– Czemu nie powiedziałeś, że byłeś ze Swietą? – Porucznik popatrzył na Iwana uważnie. Tamten spuścił głowę i powiedział cicho:

– Żebyście nie myśleli o niej tak, jak właśnie teraz myślicie. – Podniósł wzrok i spojrzał Jurkiewiczowi prosto w oczy. – Bo nic was nie przekona, że jej nie tknąłem.

– Panie poruczniku! – Głos wartownika przeciskającego się przez stojących w przejściu ludzi przerwał przesłuchanie. – Banderowiec nawiał!

– Jak to nawiał?! – Jurkiewicz skoczył w jego kierunku, łapiąc go za klapy munduru. – Co to znaczy nawiał?

– Nooo, normalnie – zawahał się przestraszony żołnierz. – Klatka była otwarta i ani śladu po sukinsynu...

Porucznik puścił wartownika, który wycofał się za drzwi, wygładzając wymięty uściskiem mundur. Zastanowił się jeszcze chwilę, po czym spojrzał na Iwana i rozkazał:

– Puścić go. Wierzę dziewczynie – westchnął. – Zresztą chyba już wiemy, kto jest mordercą.



Major Dobrowolski został pochowany w lesie tuż przy obozowisku. Stojąca przy samym grobie Swieta czuła, jak z każdą garścią ziemi rzucaną na trumnę przez pragnących oddać ostatni honor żołnierzy przybliża się nowa epoka, wcale niekoniecznie lepsza. Wprawdzie ufała porucznikowi

Jurkiewiczowi, nowemu dowódcy, jednak traktujący ją po ojcowsku major dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Teraz, mimo bezwietrznej pogody, czuła smagający ją po plecach chłód. Leśny oddział przestał być dla niej rodziną. Stał się po prostu oddziałem. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zateęskniła za Piotrem tak bardzo, że jej żołądek zamienił się w twardy supeł.

Iwan położył dłoń na jej ramieniu. Obróciła się i spojrzała na niego. Kąciki jego ust drgnęły lekko w delikatnym uśmiechu, ale oczy... oczy pozostały ciemne i puste. Nie odsunęła się. Brakowało jej odrobiny ludzkiego ciepła. Szczególnie teraz, gdy została całkiem sama.

Po południu nie mogła znieść natłoku własnych myśli, więc udając przed samą sobą, że dzieje się to zupełnie przez przypadek, stanęła przed namiotem, w którym mieszkał Rosjanin. Wahala się chwilę, po czym chrząknęła głośno. Reakcji żadnej nie było.

– Iwan, jesteś tam? – Pochyliła się i podniosła lekko połę zasłaniającą wejście. W środku nie było nikogo.

– Może to i lepiej – szepnęła sama do siebie.

Wstała i wolnym krokiem ruszyła przed siebie. Gdy minęła pierwszy posterunek, siedzący pod drzewem żołnierz, młody blondyn, spojrzał na nią i skinął głową na przywitanie.

– Nie możesz iść poza obóz – chłopak zagroził jej drogę – przykro mi. Rozkaz porucznika. Nikt bez pozwolenia nie może.

Swieta położyła mu dłoń na ramieniu.

– Michał, ja tylko tam, na chwilę. Muszę się przejść. Nikt się nie dowie. – Posłała mu spojrzenie, od którego zmiękły mu kolana. Wahał się jeszcze chwilę, ale machnął w końcu ręką.

– Tylko uważaj na siebie, Swietka – powiedział ciepłym głosem. – I nie odchodź za daleko, żebyś nie musiał biegać za tobą po lesie, bo mi się tak nie chce, że za czorta tyłka nie ruszę.

Poczęstowała go szerokim uśmiechem, od którego się zarumienił. Na odchodnym rzuciła przez ramię:

– Czekać no, przyjdiesz kiedyś do mnie na opatrunek. A wtedy przypomnę ci twoje słowa, tępą igłą.

Dogonił ją śmiech wartownika, ale nie zatrzymywała się już. Popołudniowe słońce przebijało się przez korony drzew niczym promienie światła wpadające do cerkwi przez maleńkie okna. Cerkiew. Zateśkniła za swoją małą bedryczańską świątynią. Poczuła, jak strumyczek łez spłynął po jej policzku. Stała pod drzewem na skraju krótkiego wąwozu. Kopnęła wystający z ziemi patyk, który koziółkując, spadł na dno jaru. Popatrzyła za nim, oparła się o drzewo i... nagle to zobaczyła.

But. Stary, zniszczony trzewik leżący pod krzakiem na dnie. Jednak to, co przykuło jej uwagę, to fakt, że but ciągle tkwił na wystającej spod gałęzi nodze właściciela. Swieta wahała się chwilę. Od wartownika dzielił ją dobry kilometr. Nie zwróciła wcześniej uwagi na to, jak bardzo oddaliła się od obozu. Popatrzyła uważnie w dół. Człowiek pod krzakiem nie sprawiał wrażenia żywego, jednak postanowiła się upewnić. Zsunęła się na dno wąwozu dość łagodnym porośniętym trawą fragmentem kilkumetrowego zbocza. Podniosła leżący na ziemi kij i podeszła ostrożnie do krzaka. Za pomocą patyka podniosła gałąź do góry i westchnęła. Leżący na wznak człowiek nie żył z całą pewnością. Rozharatana pachwina i poderżnięte gardło nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Jednak nie to zmroziło jej krew w żyłach. Znała tego mężczyznę. To był ich ukraiński jeniec.

– Nie żyje, nie bój się – usłyszała za plecami. Poczuła, jak wszystkie włosy na jej ciele stają dęba. Nie musiała się odwracać, żeby sprawdzić, do kogo należy głos. To był Iwan.

– Ty go zabiłeś? – W gardle zaschło jej tak bardzo, że z ledwością

wykrztusiła słowa. Nie odpowiedział jej. Odwróciła się powoli. Stał trzy metry od niej, w lekkim rozkroku, przyglądając się jej uważnie.

– Dziękuję, Swietłano, za to, że mnie kryłaś. Doceniam to... Nie musiałaś okłamywać porucznika, ale zrobiłaś to. Wiesz, co by zrobili Polacy, gdyby wiedzieli, że skłamałaś. Dostałabyś kulę, tak jak i ja. Ty mnie chyba naprawdę lubisz.

Zacisnęła usta.

– Skłamałam, bo ci ufałam. Jak nikomu. Boże mij, jaka byłam głupia... Ty go zabiłeś! – parsknęła, rzucając okiem na wystającą z krzaków nogę i próbując nadrobić strach udawaną pewnością siebie. Nie miała żadnych szans na ucieczkę. Był od niej silniejszy i szybszy. Dopadłby ją, zanim zdołałaby przebiec kilka metrów.

– A co cię jakiś banderowiec obchodzi? – wzruszył ramionami.

– Nie pytam o tego tu. – Spojrzała mu w oczy, ciemne i puste. – Pytam o majora!

Oczy Iwana zwięzły się w szparki. Zrobił krok w jej kierunku, ale cofnęła się. Zatrzymał się i zagryzł zęby.

– Ja. – Usiadł na sporym kamieniu porośniętym mchem. – Ja go ubiłem. Musiałem.

– Ty sukinsynu! – Swieta czuła, że mimo strachu jej serce napęnia się wściekłością. – Zdrajco i morderco!

– Uspokój się, dziewczyno! – Mimo podniesionego głosu nie wyczuła w jego tonie wrogości ani niechęci. – Taki miałem rozkaz! I wykonałem go!

Swieta otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Jaki rozkaz? Od kogo?

Iwan wstał i ponownie stanął w rozkroku, wypinając pierś do przodu.

– Nie uciekłem z transportu jenieckiego. Wykonuję misję. Jestem

lejtanantem Krasnej Armii! Sowieckim partyzantem! Taki miałem rozkaz, żeby polskiego dowódcę rozpracować i zabić! Niedługo przejdzie tędy zwycięska sowiecka armia. Pogonimy Niemców aż do Berlina. I tych wysługujących się Zachodowi bandytów też! – Kiwnął głową w kierunku partyzanckiego obozu. – Oczyszczam przedpole, Swietka.

Nie mogła ani nie chciała uwierzyć. Pokręciła głową i odsunęła się o kilka kroków. Zauważył to i skrócił dystans.

– Zrobiłbym to dawno, tylko mi, cholera, tego anioła stróża dał – cmoknął z niezadowoleniem. – No i okazji do ucieczki nie było. Ale teraz...

– Teraz poderżnąłeś gardło człowiekowi, który wyciągnął do ciebie rękę. – Poczowała, jak ogarnia ją obrzydzenie. Delikatnie, aby nie wzbudzić podejrzeń, położyła dłoń na torbie, z którą prawie nigdy się nie rozstawała. Wyczuła podłużne zgrubienie, prezent, który dostała od majora jakiś czas temu. Iwan nie zauważył jej ruchu, pokręcił głową i spojrzał na Swietę.

– Swieta, Polska, jaką znałaś i znasz, to przeżytek. Idzie nowe. Dla tych dinozaurów nie ma w tym nowym miejsca. – Wzruszył ramionami. – Dla tych zresztą też nie. – Skinieniem głowy wskazał na ciało pod krzakiem.

– A jego po coś zabił?

– Mogłem pozbyć się majora, zabrać mu rozkazy i wszystkie dokumenty i uciec, ale... – zawahał się. Spuścił głowę – zakochałem się.

Twarz Swiety wykrzywił grymas.

– A ja ci tak ufałam... – spojrzała mu w oczy. – Skłamałam, żeby cię ratować, bo wierzyłam, że jesteś dobry człowiek. Byłam gotowa... ech – przerwała.

Zerwał się w jej kierunku.

– Bo jestem dobry, Swietka. Wypuściłem tego banderowca, ale poszedłem za nim, zabiłem i schowałem. Chciałem, żeby jego podejrzewali, nie mnie, jak znajdą majora. Musiałem po wykonaniu zadania

zostać w obozie i potrzebowałem przykrywki. No i udało się. Są przekonani, że to Ukrainiec poderżnął gardło Dobrowolskiemu.

Swieta pokręciła głową zdezorientowana.

– Po co chciałeś zostać w obozie?

Popatrzył na nią pobłażliwym wzrokiem, jak patrzy się na dziecko nie rozumiejące prostych kwestii.

– Dla ciebie... Nie mogłem bez ciebie odejść. Chciałem cię ze sobą zabrać.

Parsknęła śmiechem.

– Ty chyba oszalałeś! – syknęła jak żmija. – Oszalałeś, jeśli myślisz, że po czymś takim mogłabym odejść z tobą, morderco!

– Nie musisz mnie tak kochać jak ja ciebie – Iwan zdobył się na najcieplejszy ton, na jaki mógł. – Pokochasz z czasem. Swieta, tu cię nic nie czeka. Ten twój Polak pewnie już nie żyje. Zresztą, co to za chłop, który po swoją kobietę nie wraca. – Doskoczył do niej tak szybko, że nie zdążyła nawet sięgnąć do torby. Objął ją za ramiona – Swieta! Ja cię kocham nad życie. Będę ci na noc łóżko kwiatami wykładał. Tylko chodź ze mną.

Próbowała się mu wyrwać, ale stalowy uścisk uniemożliwiał mu ruchy.

– Jesteś szalony! Puść mnie! – Dziewczyna czuła, jak odurzony jej bliskością Iwan traci panowanie nad sobą. Czuła jego dłoń na swoich plecach i z ledwością opanowywała ogarniającą ją panikę.

– Swieta, jesteś moja – głos Iwana mroził jej krew w żyłach. Ostatnim wysiłkiem sięgnęła do torby. I kiedy jego usta dotknęły jej szyi, strzeliła. Iwan z niedowierzaniem w oczach odsunął się od niej.

– Dlaczego... Swietłana... dlaczego... – Rosjanin podniósł umazaną krwią dłoń, jakby chciał się przekonać, że potworny ból brzucha rzeczywiście oznacza zbliżającą się śmierć, po czym osunął się na ziemię. Swieta stała z dymiącym pistoletem w dłoni. Płakała. Czuła, jak całe jej ciało drży,

a ogromna panika powoli, ale nieubłaganie zaciska swoje kosmate ręce na jej gardle. I wtedy zaczęła krzyczeć. Potworny ryk z samego dna serca zerwał do lotu tę resztę ptaków, które pozostały na drzewach po niedawnym strzale z lugera.

– Piotrze Ochocki! To dla ciebie to wszystko! Dla ciebie! Bądź tego godny, sukinsynu!

47



Podobno w życiu chrześcijanina nie ma przypadków. W myśl tej zasady wszystko, co nas w życiu spotyka, ma jakiś mniej lub bardziej oczywisty dla nas cel. Jeśli to prawda, przybycie do partyzanckiego obozu pod koniec października 1943 roku tajemniczego człowieka było jak perfekcyjne bilardowe uderzenie, w którym posłana przez Stwórcę pomiędzy setkami kolorowych biała kula trafia wreszcie tę jedyną, przeznaczoną dla niej.

Dwa dni wcześniej, na oddalonym o trzydzieści kilometrów nasypie zakończył swój żywot pociąg wiozący na front wschodni transport czołgów i dział. Pod jego kołami eksplodowały ładunki wybuchowe. Lokomotywa runęła ze skarpy, ciągnąc za sobą kilka pierwszych wagonów i unieruchamiając na wiele godzin całą resztę. Ostrzelana z pobliskiego zagajnika eskorta szybko wycofała się do jedyne go osobowego wagonu. To jednak nie wystarczyło partyzantom. Nacierająca od strony drzew drużyna przydu siła gwałtownym ogniem próbujących się bronić Niemców. Serie

z ustawionego z boku karabinu maszynowego odbierały załodze składu jakąkolwiek chęć kontrataku. Dowódca straży, pucołowaty sierżant, próbował zmusić swoich żołnierzy do większej aktywności, ale ukryty za linią drzew strzelec wybił mu to z głowy kulą kalibru 7,92 mm wystrzeloną z kaemu. Sierżant padł z roztrzaskaną głową. Po chwili przez zdemolowane pociskami okna do wagonu wpadło kilka granatów, definitywnie kończąc los broniącej się ochrony składu. Saperzy założyli jeszcze kilka dodatkowych ładunków na tych platformach, na których spod plandek wystawały wycelowane w niebo armaty czołgowe. Pięć minut później powietrzem wstrząsnął gwałtowny wybuch. Platformy zamieniły się w nienadający się do niczego złom. Dwadzieścia minut od rozpoczęcia akcji było już po wszystkim. Partyzanci wycofali się do lasu i słuch po nich zaginął, a wysłana na odsiecz kompania żandarmerii z pobliskiego miasteczka zastała tylko zgliszcza.

Niestety, Niemcy nie zamierzali odpuścić. Jeszcze tej samej nocy w leżącej najbliżej wiosce w ramach odwetu wywleczono z chat około pięćdziesięciu mieszkających tam ludzi. Ustawionych za stodołą płaczących i modlących się głośno przerażonych mężczyzn, kobiety i dzieci rozstrzelano seriami ustawionego na dwójnogu karabinu MG42. Doskonała niemiecka broń spisala się zgodnie z oczekiwaniami, czyli doskonale. Tych, którym udało się przeżyć, dobijano strzałem z pistoletu.

Na tym jednak odwet okupanta się nie zakończył. Tego samego dnia w miasteczku, w którym stacjonował batalion żandarmerii, dokonano aresztowania miejscowej elity. Do więzienia oprócz kilkunastu innych osób trafili: nauczyciel, ksiądz, dwóch lekarzy i pracownik poczty. O rozkazie, aby zakładników przetransportować do aresztu w Łucku, gdzie już czekał na nich pluton egzekucyjny, dowiedziano się od pracującego u Niemców informatora. Sytuacja nie przedstawiała się ciekawie. Jednak nie była

beznadziejna.

Cichociemny kapitan Jakub Błaszczak „Hucul”, który po zakończeniu akcji „Wachlarz” pozostał na Wołyniu, dowódca oddziału, który posłał na deski wojskowy transport, czuł się odpowiedzialny za los pojmanyh przez hitlerowców ludzi. Jego oddział, świetnie wyszkolony do zadań dywersyjnych, był jednak zbyt słaby, by zaatakować kolumnę wiozącą zakładników. Hucul obawiał się, że walka z obstawą konwoju może przedłużyć się na tyle niebezpiecznie, że żandarmi zaczną strzelać do więźniów. Porucznik potrzebował więcej żołnierzy.

Droga do Łucka biegła przez teren, w którym operowało zgrupowanie majora Dobrowolskiego. Zatem szybka wizyta złożona jego następcy, porucznikowi Tadeuszowi „Wilkowi” Jurkiewiczowi, zdawała się oczywista.

– Kapitan Hucul – zameldował się u dowódcy leśnego oddziału nieznanemu mu oficer. Jurkiewicz spojrzał przelotnie na błyszczącą się w kłapie munduru gościa gapę, nie pozostawiającą wątpliwości, iż noszący ją człowiek spadł do okupowanej przez Niemców Polski z nieba, cicho i w ciemności. Suchy, mocny uścisk dłoni dopełnił ceremonii powitania.

– Prosiłbym pana, panie kapitanie, o wprowadzenie mnie w szczegóły planowanej przez pana akcji. Wprawdzie jestem zobowiązany wykonać rozkaz oficera wyższego od siebie stopniem, ale rozumie pan, jestem odpowiedzialny za moich ludzi i chciałbym wiedzieć, co ich czeka. Wolałbym zatem, jeśli pan pozwoli, abyśmy dograli szczegóły po partnersku. – Jurkiewicz wskazał małą ławę służącą za siedzenie w niewielkim pomieszczeniu.

Hucul kiwnął potakująco głową.

– Taki właśnie miałem zamiar, poruczniku. Nie będę wkraczał w pańskie kompetencje. Zna pan lepiej swoich żołnierzy.

– Za chwilę nasza sanitariuszka przyniesie coś do zjedzenia – uśmiechnął

się przyjaźnie Jurkiewicz. – Swieta!

Siedzący przed nim oficer drgnął, a gospodarz wyczuł w wyrazie jego twarzy pytanie.

– Tak, tak, Swieta to Ukrainka – skinął głową. – Ale jest lojalna i karna. Jest naszą nieocenioną pomocą. Bez niej połowa oddziału chodziłaby bez rąk, nóg i z dziurami na całym ciele...

Drzwi otworzyły się, przerywając wyjaśnienia dowódcy, i do pomieszczenia weszła wezwana przez niego kobieta. Obcisła wojskowa kurtka zebrana w talii wojskowym pasem, ciemna spódnica i furażerka z białym orłem przykrywająca jej spięte w koński ogon włosy sprawiały dość surowe wrażenie, jednak Hucuł mimo półmroku panującego w pomieszczeniu dostrzegł jeszcze coś. Była piękna. Jedna rzecz tylko nie dawała mu spokoju. Miał nieodparte wrażenie, że gdzieś już widział jej twarz.

Kobieta zauważyła jego wzrok i spuściła głowę. Położyła na stole chleb i słoik ze smalcem, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Hmm... – Jurkiewicz, starannie maskując zażenowanie wywołane cięłym wpatrywaniem się Hucuła w Swietę, chrząknął znacząco i przerwał niezręczną sytuację. – Niestety, jest nie do zdobycia. Wypruła nawet flaki jednemu Ruskowi, który nie chciał tego zrozumieć. Zakochana do szaleństwa w jakimś Polaku z Warszawy.

Hucuł odwrócił głowę w kierunku dowódcy. Biała bila po karkołomnej podróży pomiędzy kolorowymi kulami rozłożonymi bezładnie na stole uderzyła w cel. Już wiedział wszystko. Dziewczyna z rysunku. Nie dał tego jednak poznać po sobie. Pochylił się nad stołem, położył ręce na jego blacie i opierając się o niego i patrząc Jurkiewiczowi w oczy, wyjawiał cel swojego przybycia:

– No więc sytuacja przedstawia się następująco...

Godzinę później pluton uzbrojonych partyzantów przedzierał się w kierunku wyboistej drogi. Grupa podzielona na trzy zespoły przemieszczała się różnymi ścieżkami. Hucuł przedstawił Jurkiewiczowi w zasadzie gotowy plan odbicia więźniów. Dowódcy nie pozostawało nic innego, jak tylko go zaakceptować, w duchu przyznając, że jest bez zarzutu. Ludzie Kuby założyli już ładunki, którymi zamierzano zatrzymać kolumnę i unieruchomić ją poprzez zniszczenie pierwszego pojazdu i zatarasowanie wysadzonym drzewem drogi za ostatnim. Żołnierze Jurkiewicza po dotarciu na miejsce obsadzili dwoma sekcjami kaemów stanowiska omiatające ogniem strefę zasadzki na początku i na końcu zatrzymanej kolumny. Hucuł miał nadzieję, że zamaskowane na lekkim wzniesieniu karabiny maszynowe skutecznie wyeliminują ciężarówki z wojskiem konwojujące więźniów, a dodatkowo będą w stanie kontrolować sytuację, w razie gdyby Niemcy próbowali się ostrzeliwać. Z tyłu za stanowiskami karabinów maszynowych drużyna partyzantów czekała w pogotowiu, aby w razie potrzeby zabezpieczyć odwrót grupy odpowiedzialnej za uwolnienie więźniów. Zakładano, że środkowa część zasadzki pozostanie wyłączona z pola ostrzału kaemów. Nie wiadomo było w zasadzie, ile ciężarówek będzie liczył konwój, więc ostrożność podpowiadała, aby grupa uderzeniowa operowała w strefie wolnej od ostrzału. W tym miejscu żołnierze uzbrojeni w pistolety maszynowe mieli zapewnić wsparcie dla nacierających na konwój szturmowców. Plan dodatkowo zakładał, że saperzy Hucuła po zdetonowaniu ładunków wycofają się za linię obsadzoną przez drużynę wsparcia i, jeśli zajdzie potrzeba, odpalą następne ładunki, dezorganizując ewentualną pogoń.

Sam Hucuł zajął pozycję w linii pistoletów maszynowych. Obserwował żołnierzy, którzy na jego sygnał pobiegą w kierunku oddalonej o dziesięć metrów drogi, aby uwolnić więźniów. Nie znał ich. Jurkiewicz wprawdzie zapewniał, że są najlepsi, ale nauczony doświadczeniem cichociemny ufał

jedynie sobie i swoim ludziom. W tym wypadku nie miał jednak wyjścia. Operacja była zbyt duża dla jego małej grupy dywersyjnej. Zniszczenie pociągu to co innego. Zabezpieczenie ucieczki ludzi, którzy mogą być ranni, pobici albo zwyczajnie wycieńczeni strachem i głodem, przerastało jego możliwości. Klnąc więc w duchu swoją niemoc, starał się nie zwracać uwagi na podenerwowanie, które zawsze towarzyszyło mu w takich okolicznościach. Chciał, aby świat już zawirował od eksplozji trotylu i świstu kul. Wtedy udręka czekania zamienia się w gorączkę akcji, podczas której nie ma miejsca na niepotrzebne myśli i wątpliwości. Zerknął do tyłu. W odległości trzydziestu metrów dostrzegł zamaskowanych żołnierzy, którzy tak jak on czekali w skupieniu. Gdzieś tam pośród nich kryła się ta Ukrainka. Przygryzł wargi. Zostawił na później rozmowę z dziewczyną. Wiedział już dokładnie, skąd ją zna. Bał się jednak, że informacja, którą dla niej ma, zamieni ją w rozszechaną bezwartościową dziewczuchę. On zaś potrzebował sprawnej sanitariuszki.

Jego rozmyślania przerwał odgłos pracy silnika. Sześciocyldrowy benzynowy motor firmy Buick o pojemności 3,6 litra obwieszczał przybycie kolumny. Po chwili Hucuł słyszał już wyraźnie odgłos kilku pojazdów z prawej strony. Gdy pierwszy z nich wyłonił się zza niewielkiego łuku, cichociemny ścisnął w dłoni niemieckiego schmeissera. Ciężarówka marki Opel Blitz minęła właśnie pozycję tylnej sekcji karabinu maszynowego. Jeszcze kilkadziesiąt metrów... Hucuł wyraźnie widział dwa kolejne pojazdy wyłaniające się zza zakrętu. Więźniowie musieli więc być w tym środkowym...

Huk eksplozji przytknął mu na moment uszy. Popatrzył zdziwiony w tamtą stronę. Jego ludzie odpalili ładunek za wcześnie, nie niszcząc pierwszego pojazdu. Cholera! – przemknęło mu przez głowę, ale w tym momencie jakby na komendę z dwóch stron zagrały „suki”. Serie kładły się miarowo na

burtach pojazdów, siejąc spustoszenie wśród siedzących pod plandekami żołnierzy. Wtórowały im eksplozje rzucanych z lasu granatów. Drugi wybuch odciął drogę ucieczki zaskoczonym nagłym atakiem Niemcom, którzy zeskakiwali po drugiej stronie ciężarówek, próbując ukryć się za nimi i odpowiedzieć jakimkolwiek ogniem.

– Marian! Orzeł! Skok!

Rozkaz Hucuła poderwał z ziemi grupy szturmowe. Wspierani ogniem z pistoletów maszynowych partyzanci dopadli do środkowej ciężarówki. Kilka strzałów zakończyło los kierowcy. Jego towarzysz zdążył wyskoczyć wcześniej z drugiej strony. Stojący na obydwu końcach pojazdów szturmowcy otworzyli ogień do kryjących się za nimi Niemców. Dwóch partyzantów otworzyło tylną burtę, za którą stali stłoczeni i przerażeni ludzie.

– Armia Krajowa! Jesteście wolni! Z wozu naty... – pocisk wystrzelony przez jednego z wycofujących się do lasu niemieckich żołdaków trafił partyzanta poniżej łopatki. Chłopak osunął się na ziemię. Przerażeni ludzie stłoczyli się w tyle okrytego brezentową budą auta. Po kilku sekundach zza burty wyłoniła się głowa kolejnego żołnierza.

– Spierdalać!

Więźniowie, jakby odczarowani tym okrzykiem, ruszyli do przodu, nie zważając na to, że karabinowe kule dosięgły już dwóch spośród nich. Jednak strach był tak duży, że po chwili oprócz trzech zabitych Polaków przy ciężarówce nie było nikogo.

– Gdzie?! – Hucul zagrzmiął do wycofujących się do lasu szturmowców. – Wracać po ciała!

I wtedy właśnie stało się to, co zwykle w takich sytuacjach się dzieje. Coś, co można określić jako nieprzewidywalny czynnik, a co zwykli żołnierze nazywają „cholernym pechem”. Po prawej stronie do zwalonego drzewa dojechała czwarta ciężarówka, która musiała zamarudzić nieco na

trasie. Z jej tyłu wysypało się ponad dwudziestu żołnierzy w charakterystycznych baniakowatych hełmach. Natychmiast zajęli pozycję na prawej flance partyzantów.

– Dwójka! Ogień na prawo!

Głos Hucuła przedarł się przez strzelaninę. Sekcja uzbrojona w MG34 zamilkła na chwilę, by po kilkunastu sekundach położyć nowo przybyłych Niemców na ziemię swoim ogniem. Jednak ośmieleni wsparciem żołnierze z dwu unieruchomionych przed chwilą ciężarówek zaczęli wracać i strzelać coraz gęściej. Sytuacja stawała się niebezpieczna. Obarczeni cywilami i rannymi partyzanci tracili powoli efekt zaskoczenia.

– Wsparcie na prawą stronę! – Hucul krzyczał do swoich ludzi. – Reszta odskok!

Dźwigający zabitych i eskortujący cywilów szturmowcy oraz obsługa przedniego karabinu maszynowego cofnęli się za pozycję grupy wsparcia, która dołączyła do sekcji kaemu, zatrzymując niemieckie natarcie. Reszta grupy podążyła w głąb lasu za cywilami. Po chwili uzbrojeni w peemy partyzanci, wsparcie oraz obsługa tylnej „suki” powoli wycofali się za nimi. Gdy ośmieleni odwrotem „leśnych” Niemcy poderwali się z ziemi, powietrzem targnęła seria trzech wybuchów. To saperzy zdetonowali kolejne ładunki. Do odgłosu kanonady dołączył trzask pękających pni drzew, które z łoskotem zwały się na ziemię. To osadziło żołdaków w miejscu. Strzelali już tylko bezładnie w kierunku oddalających się partyzantów. Idący z tyłu razem z zabezpieczeniem Hucul odetchnął. Rozejrzył się dookoła. Jego ludzie uspokoili już rytm odwrotu, dusząc objawy paniki wśród uratowanych zakładników. Mógł pogratulować w myślach żołnierzom i sobie. Akcja, mimo strat, powiodła się. Jednak Hucul był perfekcjonistą. Niesieni na prowizorycznych noszach, przygotowanych wcześniej na wszelki wypadek, zabici i ranni nie dawali mu spokoju. Zagryzł wargi i spojrzał na uwijającą

się nawet podczas marszu sanitariuszkę. Zauważyła to i odwróciła wzrok.

Akcja się udała, jednak zakładnicy byli przerażeni. W zasadzie nie wiadomo było, co z nimi zrobić. Do miasteczka nie mieli po co wracać. Gdyby ich rozpoznano, zostaliby z pewnością aresztowani ponownie i rozstrzelani, tym razem na miejscu. Do siedzącego na pniu Hucuła podszedł starszy mężczyzna i przedstawiając się jako doktor Miałkiewicz, zapytał:

– Panie oficerze, co z nami teraz będzie? Gdzie my mamy teraz pójść? Do domu nie ma po co wracać. Wszyscy boją się o rodziny. – Przejechał otwartą dłonią po łysiejacej głowie w geście bezradności.

Hucuł odchylił głowę, zamknął oczy i wciągnął do płuc haust chłodnego październikowego powietrza. Las pachniał igliwem, leżącymi na ziemi liśćmi i tytoniem palonym przez odpoczywających po akcji żołnierzy. Zakręciło mu się w głowie. Dawno nie skupiał się na tak przyziemnych sprawach jak zapach wdzierający się do jego nosa. Miał przez chwilę wrażenie, jakby dookoła niego nie było nikogo. Jakby cały jazgot otaczającej go od lat wojny ulotnił się wraz z kolejną porcją powietrza, którą nabrał do płuc. Poczul się przez moment... szczęśliwy.

– Nie wiem, doktorze. – Zaskoczony nie rozpoznał nawet swojego głosu. – Nie jestem wyrocznią. Ja tylko zwróciłem wam wolność. Wolelibyście teraz leżeć na więziennym dziedzińcu z przestrelonymi głowami?

Otworzył oczy i popatrzył na mężczyznę, który zakłopotany spuścił wzrok.

– Nie... – wyszeptał cicho. – Ale co zrobić z taką wolnością?

Hucuł westchnął.

– Nie macie rodziny gdzieś na wsi?

Stary pokręcił głową.

– Ja nie mam. Ukraińcy zamordowali latem... Inni to nie wiem...

– Posłuchajcie. Patrol odprowadzi was do wsi po drugiej stronie lasu. UPA w niej nie widziano od jakiegoś czasu. Tam znajdziecie schronienie.

Stary odszedł nieprzekonany. Hucuł spuścił głowę. Uczucie szczęścia zniknęło jak ręką odjął. Powrócił ten znany i swojski ciężar na piersiach. Niemoc spowodowana tym, że całego świata uratować się nie da...

48



Świeta od chwili, w której opuścili miejsce zasadzki, działała jak automat. Skupiła całą uwagę na pospiesznym tamowaniu krwi rannym podczas strzelaniny zakładnikom. Robiła wszystko, żeby tylko nie myśleć o latających jeszcze przed chwilą nad głowami pociskach. Bała się. Strach ściskał ją mocno za gardło i zamieniał jej nogi i ręce w ołowiane wałki. Dlatego właśnie starała się o nim nie myśleć. Ciągły ruch pozwalał zająć umysł działaniem. Wiedziała, że kiedyś pięknie, wybuchnie i wszystkie nagromadzone przez lata mroku lepkie od zła emocje rozleją się brunatną, śmierdzącą kałużą. Każda tama ma swoją wytrzymałość, a przez tą, którą ona wybudowała w swoim umyśle, przelewały się już od czasu do czasu gęste fale. Wystarczył jeden wstrząs więcej.

Wstrząs miał postać ciepłego, miękkiego dotknięcia. Hucuł chciał dobrze, a wyszło jak wyszło. Gdy poczuła czyjąś dłoń na swoim ramieniu, odwróciła głowę. Zobaczyła go. Od chwili gdy spotkali się po raz pierwszy, widziała,

że wpatruje się w nią jak sroka w kość. Kolejny, który przez tą jej cholerną urodę ostrzy sobie na nią zęby. Poczła wstręt, jakby to nie ludzka dłoń, ale macki jakiegoś ohydneho potwora dotykały jej ramienia. Z obrzydzeniem straciła rękę kapitana i zanim zdołał wypowiedzieć słowo, syknęła:

– Zabieraj łapę, przybłędo, bo ci ją odgryzę!

Hucuł cofnął się zaskoczony. Swieta zerwała się i stanęła naprzeciwko niego, zaciskając pięści.

– Nu szczo ty gapisz się! Czego ode mnie chcesz?! Co ja ci zrobiłam, że łazisz za mną! – Słowa rozlewały się brunatnym potokiem. Nawet nie kontrolowała tego, co mówi, po prostu usta same się otwierały, a potężna złość i rozpacz bulgotała jej w gardle. Otarła pięścią oczy, z których spływały strużki łez. – Nie dostaniesz mnie, sobaka, choćbyś sobie żyły wypruł...!

– Gdzie chowasz ten srebrny krzyżyk? – głos Hucuła z ledwością przedarł się przez gardę jej słowotoku i dotarł wreszcie do uszu. Umilkła i patrzyła na niego, dysząc jeszcze z wściekłości. Jej oczy zwężone w szparki lustrowały go uważnie. Stopniowo do jej świadomości dochodziło to, co przed chwilą usłyszała. Powoli złość ustępowała miejsca zdziwieniu.

– Krzyżyk, srebrny, malutki. Nie masz go na szyi, więc musiałaś schować.

Szparki zamieniły się w okrągłe spodki, odsłaniając duże, przepastne jak studnie oczy.

– A bluzka? Masz jeszcze tę bluzkę, w której brakuje małej czerwonej kokardki?

Rozpalone do czerwoności serce pompowało krew tak gwałtownie, że czuła puls w skroniach. Myśli przyspieszyły tak gwałtownie, że przestała za nimi nadążać. Stała tylko przed Huculem z otwartymi ustami, patrząc, jak ociera dłonią mokre od potu czoło. Spokojny, patrzący na nią zmęczonym wzrokiem przestał wydawać się jej uporczywym natrętem. Czekwała na jego

dalsze słowa, przyczajona, jakby bała się najmniejszym nawet ruchem powiek rozwiać tę zaskakującą jak pierwszy wiosenny motyl chwilę. Po czterech latach oczekiwania słowa Hucuła o krzyżyku zadziałały jak klucz włożony do zardzewiałego zamka, zaś te o kokardce przekreśliły go ze zgrzytem, otwierając ją na oścież.

Mężczyzna przyglądał się jej uważnie. Stała w milczeniu, czekając na jego ruch. Wiedział o tym. Teraz, gdy zobaczył jej reakcję, był pewien, że to ona. Nadszedł czas odkrycia kart.

– Jestem kapitan Jakub Błaszczak „Hucuł”, żołnierz 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, cichociemny oficer Armii Krajowej. – Zauważył, że jego spokojny, mocny ton głosu trafia do dziewczyny. Jednak czekała dalej, zastygła niczym marmurowa rzeźba.

– Ja... – zebrał myśli, przygryzając wargę. – Ja znam człowieka, który za tę kokardę gotów byłby sam na Berlin pójść z gołymi rękami. Poznałem go we Francji. Służyłem razem z nim. Do Polski też razem skakaliśmy. Widziałem cię na rysunku, który naszkicował, żeby nosić go zamiast twojego zdjęcia. Nigdy się z nim nie rozstawał.

– Boże... Piotr... – Pociemniało jej w oczach.

Hucuł pokiwał twierdząco głową.

– Tak, porucznik Piotr Ochocki. O ile mi wiadomo, żyje i działa w Warszawie. Jest w kontrwywiadzie.

Swieta spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– W kontrwywiadzie...?

– Nooo, tak... likwiduje tych, co kolaborują ze Szkopami.

– Jak to... likwiduje? – zapytała, jakby nie rozumiała tego, co mówił.

– Normalnie. – Kapitan wzruszył ramionami. Uniósł do góry dłoń, której palce układały się w kształt pistoletu. – Rozwala...

– Mój Piotr? – Swieta z trudem ogarniała docierające do niej słowa. –

Przecież on by nawet muchy nie skrzywdził...

W imieniu polskiego Państwa Podziemnego, za zdradę ojczyzny i kolaborację z niemieckim okupantem zostałeś skazany na śmierć!

Głuchy szcęk odbezpieczanego pistoletu zadziałał niczym sygnał, po którym pokój wypełnił się lamentem i błaganiami.

– Panie żołnierzu, zlituj się pan... – Klęczący pucołowaty mężczyzna składał dłonie jak do modlitwy. – U mnie żona, dwoje dzieci, co one zrobią beze mnie? Chciałem żyć!

Piotr popatrzył na niego i podniósł rękę, w której trzymał połyskującego lugera.

– A te żony i dzieci, których ojców i mężów wsypałeś, gnido jedna, to co mają zrobić?! – Ubezpieczający go młody żołnierz Grupy Szturmowej nie krył obrzydzenia. – Zdechniesz...

– Dość! – Piotr ostrym głosem przerwał towarzyszowi. Nienawidził momentów, kiedy skazany pękał i padał do nóg, płacząc i błagając o litość. Najgorsze były te wyroki, podczas których do lamentów przyłączała się żona i dzieci przebywające w tym samym pomieszczeniu. Dzisiaj było inaczej. Przestronne mieszkanie Ludwika Grajcaraka dawało ten komfort, że członków rodziny udało się zamknąć w sąsiednim pokoju.

Piotr nie był z siebie dumny. Strzelanie do nieuzbrojonych cywilów, nawet jeśli byli winni jak cholera, przyprawiało go o mdłości. Sto razy bardziej wolałby golić głowy obsługującym Niemców dziwkom, niż grać rolę kata.

„Już niedługo to wszystko się skończy... – huk wystrzału zakończył definitywnie płacz Grajcaraka, który runął na podłogę z przestreloną głową – ... wybuchnie powstanie i będziemy ładować do Niemców, a nie do takich jak ci...” – pomyślał, kiedy drugi pocisk przeszył czaszkę leżącego człowieka

i utkwiał w podłodze.

49



Kropła powiększała się powoli, by wreszcie ruszyć w dół szyby, zostawiając na zaparowanym oddechami oknie ślad, jaki na niebie zostawia czasem błyskawica, krzywy i połamany. Jednak nawet gdyby przyłożyć do tego mokrego pęknięcia oko i tak nie byłoby się w stanie wyłowić za wiele z widoku po drugiej stronie. Pociąg jechał dość szybko, a zimowy, czarno-biały krajobraz zlewał się w jedną szarą i nieciekawą plamę. Swieta mimo to przetarła dłonią kawałek szyby, do której przykleiła nos. Nigdy wcześniej nie jechała pociągiem. Nigdy też nie czuła się tak nieswojo. Nieogrzewane wagony wypełnione drewnianymi ławkami napchane były ludźmi do granic możliwości. Tylko dzięki temu, że siedzący obok Hucuł skutecznie odgradzał ją od reszty pasażerów, miała pewność, że nikt nie wyląduje na jej kolanach. Dziwna to była podróż. Kuba wprawdzie uprzedził ją, że część pasażerów to „dostawcy mięsa na rynek stołeczny”, jednak widok jegomościów trzymających pod płaszczami owinięte wokół ciała kiełbasy, płaty boczków i inne deficytowe produkty przyprawiał ją o z ledwością tłumiony śmiech. Mimo że co chwila w różnych miejscach wagonu wybuchały salwy śmiechu, to w powietrzu dało się wyczuć napiętą atmosferę. W każdej chwili skład mógł być zatrzymany przez Niemców, którzy konfiskowali wtedy cały przewożony towar. Aresztowania też nie należały do rzadkości. Starano się więc grozić okupacyjnego życia choć na

chwilę przytłumić opowiadanymi tu i ówdzie dowcipami o pewnym wąsatym kurduplu z Berlina.

Do pociągu wsiedli w Lublinie, do którego dotarli po kilku dniach podróży. Hucuł wolał uniknąć długich przejazdów. Mimo iż dokumenty mieli spreparowane przez podkomendnego Kuby, o którym chodziły słuchy, że nawet Churchillowi mógłby wysmażyć kenkartę, z którą byłby w stanie swobodnie poruszać się po Warszawie, ale ostrożności nigdy za wiele.

Swieta była przerażona. Nowy świat, w który właśnie wkraczała, był jej całkowicie obcy. Wprawdzie po polsku mówiła bardzo dobrze, jednak zdradzał ją akcent. Na dodatek ludzie, którzy od czasu do czasu próbowali podsunąć jej pod nos kawałek kiełbasy lub butelkę samogonu, posługiwali się jakąś dziwną dla niej gwarą.

– Niech się panusia tak nie boczy. – Siedząca naprzeciw niej kobieta wyciągała w jej kierunku szklaną butelkę, w której bełtał się mało klarowny płyn. – Herbatkie nie posiadam, ale bimberek na te okoliczność to i owszem.

Swieta kręciła odmownie głową, a Hucuł ze śmiechem na ustach wyciągał ją za każdym razem z kłopotów.

– Ona niepijąca, ale ja to co innego, z chęcią spróbuję, co tam macie za ducha w butelce.

I tak za każdym razem.

Miała czas, żeby zebrać myśli. Ostatni okres jej życia przeleciał błyskawicznie, niczym ciśnięty przez wioskowego urwisa kamień. Jeszcze miesiąc temu zupełnie nie wiedziała, co ze sobą zrobić, ale jedno spotkanie z siedzącym obok niej mężczyzną zakręciło jej losem jak bączkiem. Cztery lata czekała na znak z nieba, na jakąkolwiek informację, na choćby najdrobniejszy ślad. Doczekała się. Przyjaciół Piotra, jej Piotra, nie dość, że odnalazł ją przypadkiem w wołyńskim lesie, to jeszcze teraz zabiera ją tam, gdzie wreszcie kończy się jej wojenna wędrówka.

Na początku nie mogła uwierzyć. Potem były już tylko pytania. Jaki on jest? Czemu wyjechał na Zachód? Gdzie walczy? Jak walczy? Czy o niej pamięta? Czy ją wspomina? Czy kogoś ma...? Hucuł cierpliwie znosił podekscytowaną niczym nastolatka Swietę. W końcu on sam wprowadził napędzający ją mechanizm w ruch.

Porucznik Jurkiewicz nie miał innego wyjścia, jak zgodzić się na wyjazd swojej sanitariuszki do Warszawy, gdy tylko kapitan Błaszczyk zakończy swoje zadanie na Wołyniu. Jego obecność była dla niej jak dar z nieba. Przecież nawet gdyby udało się jej dotrzeć do stolicy samej, to i tak nie znała tam nikogo. Nawiązać kontakt z Państwem Podziemnym w obcym mieście graniczyło z cudem, mimo że była zaprzysiężonym żołnierzem Armii Krajowej. Z jej ukraińskim akcentem nie miała żadnych szans.

Kuba rozwiązywał wszystkie te problemy. Miał kontakt w Warszawie, wiedział, gdzie pójść i co najważniejsze, mógł potwierdzić, że jest wiarygodna. Musiała z nim jechać. Teraz, gdy pociąg wreszcie wtoczył się na stację Warszawa Wschodnia, jej serce zaczęło bić szybciej. Cel był w zasięgu ręki. Oddzielała ją od niego tylko zaparowana oddechami szyba.



Pierwsze tygodnie spędzone w Warszawie upłynęły Swiecie głównie na siedzeniu w domu. Kuba zorganizował dla niej pokój na Saskiej Kępie w mieszkaniu należącym do jednej z łączniczek Armii Krajowej. Gospodarze nie pytali za dużo, a Swieta nie opowiadała ani o swojej

przeszłości, ani o celu przyjazdu do stolicy. Tak ustalili. Nie chcieli, żeby Piotr dowiedział się o jej obecności od osób trzecich. Mógłby wtedy zrobić coś głupiego. Hucuł obiecał jej, że odnajdzie go i sam przekaże mu wiadomość. Jednak Ochocki wyjechał na razie z miasta i nikt nie wiedział, na jak długo ani w jakim celu. Uzgodniła więc z Kubą, że pozostanie w mieszkaniu nad Wisłą do powrotu kapitana Toma. Samotnie mogła jedynie spacerować nad rzekę. Hucuł bał się, że wzbudzi podejrzenia swoim akcentem, tak jak stało się pewnego dnia, gdy chcąc pomóc gospodarzom, poszła sama do sklepu. Jak zwykle jej uroda, niczym lampa przyciągająca ćmy, zaaferowała dwóch podpitych niemieckich oficerów. Nie straciła zimnej krwi i odpowiadała po polsku. Jednak jej akcent od razu wzbudził zainteresowanie kilku osób. Udało się jej wyrwać pijanym Niemcom, którzy machnęli ręką i poszli w swoją stronę. Od tamtej chwili postanowiła być bardziej ostrożna.

Kuba, gdy tylko mógł, odwiedzał mieszkanie na Saskiej Kępie. Czasem zabierał Swietę na spacer na drugą stronę Wisły. Chłonęła wtedy atmosferę wielkiego Miasta, które mimo terroru dalej emanowało dostojeństwem i dumą. Wszystko się jej tu podobało. Było takie inne niż to, co pozostawiła za sobą w Bedryczanach. Jedna rzecz doskwierała jej jednak nieustannie. Bezczytność. Nic jednak nie trwa wiecznie, o czym Swieta miała się niedługo przekonać

*P*rzeniesiono ją do nowego mieszkania, na ulicę Złotą w Śródmieściu. Nowy lokal zajmowany był przez Lewandowskiego, samotnie mieszkającego krawca. Oficjalnie figurowała więc jako córka jego dalekiej kuzynki ze Lwowa. Niedługo po przeprowadzce los uśmiechnął się do niej.

– Swieta, mam dla ciebie robotę! – Hucuł wpadł do mieszkania i zanim zdążyła zaprotestować, gdy błoto z jego butów spłynęło brudnoszarą strugą

na dopiero co zamiecione deski podłogi, chwycił ją za ramiona. – Pójdiesz z klamką!

Jej rozszerzone ze zdziwienia oczy przesunęły się z jego twarzy na mosiężną gałkę wyrastającą z drewnianych drzwi niczym spory guz z czoła.

– Jak to... z klamką?

Parsknął śmiechem, gdy uzmysłowił sobie, że dziewczyna nie do końca zrozumiała, o jaką klamkę chodzi.

– Nie, nie z taką jak ta przy drzwiach. – Pokiwał pobłaźliwie głową. – Chodzi o pistolet. Przeniesiesz broń dla chłopaków. Szykuje się większa akcja. Jedna z naszych dziewczyn złamała nogę, a ja zaproponowałem, że ją zastąpisz. Przecież tego chciałeś, działania, akcji, prawda?

Pokiwała głową, wysuwając się z jego uścisku. Czekwała na ten moment, a jednak poczuła zimny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Mimo wszystko nie była u siebie. Warszawa to nie był wołyński las. Nie czuła się tu zbyt pewnie.

– I zgodzili się? – zapytała nieśmiało.

Hucuł potaknął skinieniem głowy.

– Zgodzili – uśmiechnął się oszczędnie. – W końcu moje słowo coś przecież znaczy.

Znaczyło, rzeczywiście. Jednak Kuba nie dodał najważniejszego. Dowódca „Pegaza”¹¹, kapitan Adam Borys „Pług”, cichociemny, ufał Hucułowi bez dwóch zdań, z wzajemnością, ale co do ukraińskiej sanitariuszki miał mieszane uczucia. Przekonał go jeden szczegół. Święty nikt nie znał, ona również nikogo nie znała. W razie jakichkolwiek kłopotów Gestapo nie wydusiłoby z niej ani słowa. „Mała strata”, tak dokładnie brzmiały słowa dowódcy. Kuba zagryzł wargi, ale powstrzymał się od komentarza. Osiągnął to, co chciał. Święta rozpoczęła służbę czynną. O tym, że sobie poradzi, nie musiał nikogo przekonywać. Ważne, że on był

tego pewien.

Piotr natknął się na Hucuła podczas spotkania z kapitanem Pługiem. Spóźnił się nieco i gdy przekroczył już próg konspiracyjnego mieszkania, okazało się, że zebranie trwa od kilku minut. Dostrzegł przyjaciela prawie od razu. Kuba uśmiechnął się szeroko, pokazując ruchem głowy wolne krzesło obok siebie. Oprócz nich w niewielkim salonie znajdowało się kilku innych żołnierzy podziemia, którzy patrzyli z dezaprobatą na przeciskającego się pomiędzy nimi spóźnialskiego.

– Serwus, stary! – wyszeptał Piotr, ściskając dłoń przyjaciela. – Co ty tu robisz? Myślałem, że uganiasz się za Iwanami na wschodzie.

– Iwany to teraz sojusznicy naszych sojuszników, więc nie wolno nam zbyt mocno deptać im po piętach – Hucuł uśmiechnął się szeroko. – Chyba tylko NSZ¹² zachowuje zdrowy rozsądek i tępi ich, jak Pan Bóg przykazał...

– Panowie! – Stanowczy głos Pługa przeciął ich cichą rozmowę niczym samurajska katana. – Spóźnić się jest rzeczą naganną. Przeszkadzać zaś podczas omawiania szczegółów najbliższej akcji to po prostu chamstwo.

Wywołani do tablicy Kuba i Piotr poderwali się z miejsc. Strzelili obcasami trzewików i wykrzyknęli jeden przez drugiego:

- Tajest, panie kapitanie!
- Przepraszamy, panie...
- ... się już nie powtórzy, panie kapitanie!
- Ku chwale ojczyzny!

Pług machnął ręką, zrezygnowany. Odwrócił głowę i dał znak prowadzącemu, aby kontynuował.

- A więc zabezpieczeniem akcji zajmie się...

o zakończeniu zebrania Hucuł poczekał na Piotra w umówionym miejscu, w restauracji nieopodal. Uścisnęli się nawzajem serdecznie. Na stoliku wylądowały podejrzenie wyglądająca kielbasa, setka wódki i lemoniada.

– Dalej nie pijesz? – uśmiechnął się Kuba.

Piotr przecząco pokręcił głową.

– Nie mogę, jak tylko powącham spirytus, to mi się cofa. Tak mnie Witalij załatwił. Na dobre.

Podnieśli w górę szklanki i stuknęli się nimi.

– Za spotkanie po latach!

– Za spotkanie!

Rozmawiali długo, jakby bali się, że nie starczy wieczora, aby nadrobić te kilka lat. Hucuł opowiadał o czasach, w których walczył w akcji „Wachlarz”, o późniejszej służbie na Wołyniu. Jednak mały szczegół dotyczący dziewczyny o najpiękniejszych oczach na świecie zostawił sobie na sam koniec.

– Ukraińcy, psia ich mać! – Piotr kręcił głową, z niedowierzaniem słuchając o bestialstwach dokonywanych przez UPA, których Kuba był świadkiem podczas ostatniego lata na wschodzie. – Zapłacą nam kiedyś za to. Niech się tylko Polska odrodzi!

– To już nawet Węgrzy, choć są po stronie Hitlera, zachowywali się jak sojusznicy. – Kolejny łyk rozgrzał gardło Hucuła. – Tam, w Galicji Wschodniej, gdziekolwiek stacjonowały węgierskie wojska, tam panował porządek. Nie opierniczali się z tymi mordercami. Polaków traktowali jak braci, nie pozwalając nas krzywdzić.

Piotr pokiwał głową.

– Pamiętam, jeszcze z trzydziestego dziewiątego, jak nas przyjęli u siebie. A ichni regent? Horthy? Gdy mu Hitler zaproponował udział w ataku na Polskę, odpowiedział krótko, że jego kraj nigdy nas nie zaatakuje, a na siłę odpowiedzą siłą, choćby Niemcom.

– Nooo, tak było... ups! – Hucułowi powoli alkohol zaczął buzować w głowie. – I jeszcze ten, no..., powiedział, że wysadzi swoje kolejowe tory, jeśli będą chcieli go zmusić do przepuszczenia tych, no... hitlerowców... ups!

Głośne czknięcie zwróciło uwagę siedzących przy sąsiednich stolikach Gości. Piotr roześmiał się cicho.

– Muszę się zbierać, Kuba. Jutro wyjeżdżam do Radomia.

Hucuł nagle otrzeźwiał. Wyprostował się na krześle i zdziwiony zapytał:

– Jak to, myślałem, że bierzesz udział w tym interesie! – Mrugnął lekko, dając przyjacielowi do zrozumienia, że chodzi o akcję omawianą na wcześniejszym spotkaniu.

– Pług zaproponował mi udział w innym interesie, w Radomiu właśnie. Nie był zbyt zadowolony, że nie chciałem odbierać chłopakom z „Pegaza” glorii i chwały tutaj. Wolał, żebym ich wspomógł. Ale wybrałem tamten. W Warszawie mają dobrych żołnierzy. W Radomiu potrzebują wsparcia.

Hucuł chwycił go za rękaw.

– Nie możesz tego zrobić! Wróć do Pługa i odwołaj! Powiedz, że zostajesz...

– Kuba, coś ty? Szaleju się najadłeś? – Piotr zdziwiony przypatrywał się podekscytowanemu przyjacielowi. – Za dużo wypięłeś?

– Nie... – Hucuł pokręcił głową. – Poznałem kogoś na Wołyniu. I przywiozłem ze sobą...

hwilę później Piotr zerwał się z krzesła i popędził do wyjścia.

– Nie, Piotr! – Hucuł ruszył za nim, dopadając go przy drzwiach wyjściowych. – Nie teraz! Jutro! Muszę to uzgodnić z jej opiekunem!

Oszołomiony Piotr odwrócił głowę.

– Ja do Pługa... powiem mu, że zostaję w Warszawie!

Wyrwał się Kubie i zniknął w ciemnościach panujących na zewnątrz.

– A rachuneczek kto zapłaci, proszę sianownego pana? – Na ramieniu Hucuła wylądowało potężne ramię właściciela restauracji. Odwrócił się szybkim ruchem i sięgnął do kieszeni. Tym razem zamiast noża wyciągnął z niej portfel.

– Oczywiście. Ile się należy?



Stara brama zaskrzypiała pchnięta mocnym ruchem. Piotr, nie czekając na to, aż stróż odchylił całe skrzydło, wskoczył w powiększającą się szczelinę. Przebiegł kilka kroków i po chwili znalazł się wewnątrz „studni”, podwórka otoczonego ze wszystkich stron ścianami domów. Śródmiejskie kamienice nie grzeszyły urokiem. Czerwone ceglane mury, obłuskane z tynków niczym orzech z łupiny, sprawiały raczej ponure wrażenie. Na całe szczęście głęboki cień zalegający wewnątrz „studni” wyglądał tę mozaikę obłupanych cegieł i nadgryzionych kornikami okiennych ram, a śnieg przykrył równą warstwą zabłocone podwórko. Piotr nie zważał jednak zupełnie na wygląd miejsca, w którym się znalazł. Nie słyszał też krzyków dzieci bawiących się w rogu przy trzepaku. Nie słyszał nic oprócz bicia

własnego serca. Wszedł do otwartej na oścież klatki schodowej. Zwolnił kroku. Jakby na przekór rozsądkowi i logice. Cztery i pół roku strachu i niepewności dobiegały końca. Powinien teraz frunąć schodami do góry. Tymczasem, jakby na złość galopującym myślom, przesuwał stopy całym wysiłkiem woli. Droga na drugie piętro wydawała się długa jak wspinaczka na Giewont. Jeden krok, jeden schodek, jedna myśl.

„Będzie mnie pamiętać? Czekala na mnie? Kim stała się po tylu latach? Kim ja się stałem?”

Cichociemny porucznik Piotr Ochocki, spadochroniarz generała Sosabowskiego, perfekcyjny, cichy zabójca i konspirator drżał w środku jak oblana octem galareta. Bał się.

Po całej wieczności trwającej dwie minuty stanął naprzeciw brązowych, matowych drzwi. Podniósł niezdarnie rękę, która jeszcze wczoraj stanowiła jego niezawodną, precyzyjną śmiertcionośną broń, i wystukał kostkami palców umówioną sekwencję. Niestety, po drugiej stronie panowała cisza. Odczekał kilkadziesiąt sekund, i gdy już był pewien, że pomylił kod, klamka powędrowała na dół, a drzwi uchyliły się odrobinę.

– Ja po odbiór spodni od krawca – wydukał hasło matowym głosem. – Gotowe czy mam przyjść jutro?

Chwilę ciszy ciągnącą się całą wieczność przerwał głos postaci tonącej w mroku przedpokoju.

– Jeszcze tylko kancik doprasuję i gotowe.

Odzew się zgadzał. Głupi i naiwny, jak każde inne hasło i każdy inny odzew wypowiedane sztucznym, wyuczonym głosem. Serce skoczyło Piotrowi do gardła. Oznaczało to, że była tu, bezpieczna i... na wyciągnięcie ręki. Postać w drzwiach ustąpiła, wpuszczając go do środka.

– Jest w kuchni, po prawej stronie w głębi – usłyszał, wchodząc do mieszkania. – Nie wie o twojej wizycie. Nie upilnowalibyśmy jej.

Drżał. Przez tyle lat zastanawiał się, jak to będzie, gdy już ją odnajdzie. Jednak teraz wszystkie te przerabiane w nieskończoność w wyobraźni scenariusze rozplynęły się w niebycie. Jeszcze kilka kroków i nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły bezszelestnie. Czuł w skroniach pulsujące tętno. Zobaczył ją natychmiast po drugiej stronie kuchni przy zlewie. Stała tyłem do niego, odkładając na bok umyty talerz. Zatrzymał się w progu. Serce natychmiast zaczęło przeciskać się przez przełyk, nieomal pozbawiając go tchu. Nie był w stanie zrobić kroku. Chłonał ją oczami, jej drobniejszą, niż pamiętał, sylwetkę schowaną pod sukienką zebraną w pasie wąskim paskiem, pukle ciemnych włosów upięte w kucyk, ramiona poruszające się w rytm wykonywanej czynności, wszystko. Zrobił krok w przód. Drgnęła, usłyszawszy skrzypnięcie desek. Obróciła głowę z uśmiechem, spodziewając się pewnie któregoś ze zwykłych, codziennych gości i... zamarła.

Mógłby przysiąc, że świat nagle wyhamował, a przerwa pomiędzy kolejnymi tyknięciami ściennego zegara rozciągała się w nieskończoność. Zupełnie tak, jakby czas dobiegł do swojego naturalnego kresu i nic już nie miało się potem wydarzyć. Odnalazł wreszcie to, czego szukał od lat, od kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Ponownie stali naprzeciw siebie w ciszy, tak jak w bedryczańskiej cerkwi. Święta przechyliła lekko głowę, a uśmiech znikł z jej twarzy. Niby ta sama, ale Piotr miał wrażenie, że zmieniło się w niej coś... nieokreślonego. Tak jakby jej piękno ktoś posypał matowym pudrem zmęczenia. Oczy! Śliczne, duże oczy wyraźnie straciły odrobinę z tego blasku, który śnił mu się po nocach.

Patrzyła na niego w milczeniu. Poznała go od razu, choć teraz stał przed nią postawny mężczyzna zamiast ładnego młodego chłopca, który skradł jej serce.

– Dobrze, że jesteś, Piotrusiu – jej dźwięczny głos zabrzmiał w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka. Wytarła dłonie w ręcznik wiszący nad

zlewem i spuściła głowę, tak jakby się czegoś zawstydziła. – Zupa gotowa. Usiądź.

Nie rzuciła mu się na szyję, nie wyściskała go na przywitanie. Piotr miał wrażenie, że uczestniczy w jakimś surrealistycznym spektaklu. Podeszedł do nakrytego kolorowym obrusem stołu. Kiedy usiadł, postawiła przed nim gorący talerz. Nie wiedział, co je. Od wejścia do kuchni nie wypowiedział ani słowa. Bał się, że gdy otworzy usta, tama pęknie i po raz pierwszy od długiego czasu łyzy znajdą ujście. Usiadła obok niego, ściskając w dłoni róg chusty, którą narzuciła na ramiona. Znał ten gest, pamiętał go bardzo dobrze. Spojrzał na jej kształtną szyję. W lekkim dekolcie sukienki dostrzegł srebrny krzyżyk. Jego krzyżyk. Poruszyła głowę i popatrzyła w jego oczy. Ciepły wzrok ślizgał się po każdym detalu jego twarzy. Uśmiechnęła się czule i z takim spokojem, z jakim tłumaczy się dziecku, dlaczego musi pić znienawidzony tran, miękkim głosem powiedziała do niego:

– Piotrusiu, skarbie, jeśli jeszcze raz mnie zostawisz na tak cholernie długo samą – jej ręka wsunęła się w dłoń Piotra leżącą na stole – to cię zabiję, rozumiesz?

Nie zdążył powiedzieć nic, nie zdążył odstawić łyżki, żeby porwać ją w ramiona, gdy nagle osunęła się z krzesła na podłogę. Zemdląła. Odsunął gwałtownie krzesło i doskoczył do niej. Uniósł lekko jej głowę.

– Swieta! Swietoczka! – Potrząsnął nią lekko. – Swieta, ocknij się, na miłość Boską!

Otworzyła oczy.

– Piotrusiu... tak się bałam... – Łzy popłynęły po jej policzkach. Piotr czuł, że nie panuje nad sobą. Zacisnął z całej siły drżące usta.

– Swietka, nie zostawię cię już nigdy więcej – poczuł mokrą kulkę zsuwającą się z powieki – obiecuję.

Przytuliła się do niego z całej siły. Przyłgnęła tak, jakby chciała nadrobić

te kilka lat natychmiast. Gładził jej głowę wtuloną w jego ramiona, całował jej włosy, przesuwał palcami po jej policzku. Odchyliła lekko głowę, patrząc mu w oczy. Pocałował ją. Dotknął ustami jej pełnych warg i poczuł smak najśłodszy z owoców. Całował ją powoli, miękko, tak żeby nie stracić niczego. Czuł, jak jej dłoń wędruje z jego karku wyżej i wsuwa się w zmierzwiłone włosy, bawiąc się nimi.

Wstał i uniósł ją na rękach. Odgadła pytanie ukryte w jego wzroku.

– Tam, naprzeciwko – mówiła po polsku płynnie, ze wschodnim akcentem – tam jest mój pokój.

Niósł ją, czując, że nie przestaje bawić się jego włosami. Położył ją delikatnie na łóżku. Pociągnęła go do siebie. Upadł miękko na kódrę obok. Uśmiechała się do niego, piękniejsza niż kiedykolwiek. Dotykał jej gładkiego policzka bez słowa. Przywarła do niego ustami.

Pozostawiona za oknem szara okupacyjna rzeczywistość tego dnia nie mogła za nic wdrzeć się przez podwójną szybę do ich pokoju. Przez cały czas ani na chwilę nie wypuścił jej z ramion. Dopiero gdy zegar wybił dziewiątą, pocałował ją w czoło i wyszeptał do ucha:

– Muszę wracać, nie mogę tu zostać na noc. – Przesunął ustami przez kosmyk jej włosów. – Godzina policyjna za chwilę.

Popatrzyła na niego z takim politowaniem, że aż się roześmiała.

– Ty chyba żartujesz, chłopcze. – Wyrzut w jej głosie nie był udawany. – Nawet się nie waż mi tego dzisiaj zrobić.

– Ale... – nie dokończył. Zamknęła mu usta dłonią, podczas gdy drugą zaczęła błędzić po jego torsie.

– Co za uparte stworzenie z tego Lacha!

Roześmiał się. Po raz pierwszy tego wieczoru ze spokojem i radością.

ał się poruszyć, żeby jej nie obudzić. Ramię, na którym położyła głowę, zaczęło mu już drętwieć. Jednak zacisnął zęby i leżał spokojnie. Nie zauważył, że Swieta leżała z otwartymi oczyma. Nie spała od dłuższego czasu. Pozwalała natłokowi myśli przewalać się przez jej zmęczoną głowę. Przypominała sobie każdy moment od chwili, gdy usłyszała pukanie. Lata życia w ciągłym niebezpieczeństwie wyczuliły ją na każdy sygnał odbiegający od normy, a pukanie w drzwi konspiracyjnego mieszkania zawsze było niepokojące. Podeszła do drzwi kuchennych na palcach. Jej opiekun, pan Lewandowski, po dłuższej chwili otworzył drzwi wejściowe. I wtedy go usłyszała. Nie mogło być mowy o pomyłce. Hucuł mówił jej wprawdzie, że szuka kontaktu z Piotrem, że na pewno uda się go odnaleźć. Miała taką nadzieję, jednak z dnia na dzień czarna jak smoła myśl, że nigdy go już nie zobaczy, coraz bardziej wlewała się w jej wnętrze. A teraz słyszała jego głos za drzwiami, ledwie kilka metrów od siebie. Serce zabiło jej tak mocno, że obawiała się, że zdradzi ją jego łomotanie w piersiach. Usłyszała kroki za drzwiami. Szybko, znów na palcach, podeszła do zlewu. Kiedy drzwi otworzyły się bezgłośnie, nie mogła opanować oddechu. Tyle lat czekała na tę chwilę, a teraz bała się poruszyć, żeby nie zdmuchnąć gwałtownym gestem tego czaru. Podłoga skrzypnęła pod ciężarem jego kroku. Odwróciła się i... Przed nią stał jej chłopiec. Przystojny mężczyzna, z błyskiem w niespokojnych oczach. Zupełnie niepodobny do tego młokosa z Bedryczan, a jednak dokładnie ten sam, jej Piotr.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Chciała podbiec i wtulić się w niego tak mocno, żeby przeniknąć przez ubranie i wtopić się w ramiona. Nie mogła jednak zrobić kroku. Chciała go przywitać, wydusić cokolwiek z siebie. Zamiast tego zaproponowała mu zupę. Usiadł do stołu, podała mu talerz. Widziała, jak jego wzrok ślizga się po jej twarzy, szyi i piersiach. Serce waliło jej mocno jak kowalski młot. Nie wiedziała już, czy bardziej chce jej

się płakać, czy śmiać z radości. Poczwała nagle, że całe napięcie zgromadzone przez lata życia jak łowna zwierzyna opuszcza ją nagle. Fala gorąca zalała jej twarz. Zdążyła tylko wsunąć dłoń w jego rękę.

– Piotrusiu, skarbie, jeśli jeszcze raz mnie zostawisz na tak cholernie długo samą, to cię zabiję, rozumiesz?

Nie zdążyła się rozplakać, upadła na podłogę.

Cała reszta potem była jak z baśni. A teraz zastanawiała się, co stanie się z nimi. Myśl o jakimkolwiek rozstaniu wywoływała w niej paniczny lęk.

Jeszcze jedna rzecz nie dawała jej spokoju. Bała się rozmowy o tym. Bała się tak, jak boi się jej każdy człowiek z sumieniem zbrukanym rzeczami, o których wolałby zapomnieć na wieki. Jednak musiała przez to przejść. Im szybciej, tym lepiej. Piotr poruszył się nagle. Odwróciła głowę. W świetle świecy palącej się na stole zobaczyła jego otwarte szeroko oczy, wpatrujące się w nią intensywnie.

– Nie śpisz? – uśmiechnęła się z trudem.

Pokręcił przecząco głową. Pogłaskał ją po włosach. Przytrzymała jego rękę przy twarzy.

– Piotr, ja... – nabrała oddechu – ja muszę ci powiedzieć...

Popatrzył na nią uważnie. Pocałował w czoło bez słowa, dając jej czas na pierwszy krok. Usiadła na łóżku. Spuściła na chwilę wzrok, zbierając siły. Wreszcie podniosła głowę.

– Piotrusiu, ja... robiłam dużo... złe rzeczy. – Zagryzła zęby, tamując wzbierające fale łez. – Tak się tego wstydzę...

– Ciiiiii... – położył jej palec na ustach – nie musisz nic mówić. Swietoczka, cokolwiek zrobiłaś...

– Piotr! – przerwała mu, zsuwając jego dłoń ze swoich ust i przytrzymując ją na swoich piersiach. – Muszę to powiedzieć! Muszę to wyrzucić z siebie. Inaczej nie będę więcej mogła spojrzeć ci w oczy,

wiedząc, że możesz mnie już nie chcieć, gdy usłyszysz...

Nie sprzeciwiał się więcej. Pierwsze słowa wysypywały się z jej ust z wielkim trudem.

– Ja zabijałam ludzi. Broniałam się i zabiłam. – Łzy spływały jej po policzkach przy każdym słowie. Opowiedziała wszystko. Od ucieczki wraz z Martą przed Jegorem z Bedryczan, po czas spędzony w Małykach, rzeź sąsiadów i ucieczkę z Jankiem do lasu. O mordzie dokonanym przez UPA w Mierosławiu i o tym, jak została potraktowana przez sowieckich żołdatów. O zakochanym w niej Iwanie czerwonoarmiście i o podróży do Warszawy. O rozstaniu z Martą. O latach strachu i poniżenia. O wszystkim. Nie starała się udawać, że jakoś to znosi. Nie znosiła już. Jej mężczyzna był tuż obok i nie musiała już być silna. Piotr przytulił ją mocno, całując jej policzki, oczy, czoło, całą twarz.

– Świeta, to nieważne, to już przeszłość – szeptał jej do ucha. – Nie odepchnąłbym cię nigdy, przenigdy. Zostawiłem cię tam samą. To moja wina.

Czuł, jak trzęsie się w jego ramionach. Gładził jej włosy.

– Wojna potrafi strasznie zmienić człowieka. Ja też zabijałem. I będę zabijał. Tak zostałem wyszkolony. – Poczuł, jak Świeta, słysząc jego słowa, dotknęła jego twarzy tam, gdzie przecinały ją mokre smugi. – Nie musisz mnie przeproszać za nic. Nie mam żadnego prawa, żeby cię oceniać. Nikt nie ma. Nie zrobiłaś nic, czego mogłabyś się wstydzić. Wspowiadać się z tego, czuć się upokorzoną, tak. Ale nie wstydzić. To przecież nie twoja wina, że wojna uczyniła z tego kraju piekło... Zresztą, ja też muszę ci coś powiedzieć. Twój brat nie zaginął...

Po kilku minutach płakali oboje. Okrutny los, który wiązał coraz to nowe supły w ich życiu, nie oszczędzał ich. Tak jak milionów innych Polaków dotkniętych piętnem wojennego okrucieństwa.

Świeta jednak czuła, jak ciężki głaz spadł jej z serca dzisiejszej nocy. Człowiek z czystym sumieniem śpi spokojnie. Po kilku chwilach, wtulona w Piotra, zasnęła jak kamień.

Dla niego to była pierwsza noc, w której strach o nią zniknął zupełnie. Miał ją przy sobie. Wszystko inne stało się nagle tak mało istotne.

Nawet panująca za oknem wojna.

52



Chłód lutowego poranka wdzierał się do pokoju mimo zamkniętego szczelnie okna. Firanka poruszała się delikatnie muskana niewidzialnym podmuchem mroźnego powietrza, które przenikało poprzez pojedynczą, zaparowaną szybę. SS-Brigadeführer i Generalmajor der Polizei w jednej osobie, Franz Kutschera, dopinał powoli guziki płaszcza. Jego lodowate spojrzenie lustrowało chodnik spod wciśniętej na głowę czapki, na której srebrzący się orzeł trzymał w szponach małą swastykę. Dowódca SS oraz policji na dystrykt warszawski przełknął ślinę i poprawił ciemny krawat. Nienawidził miasta, które rozłożyło się pod jego oknem niczym warowny obóz oblegający zamieszkaną przez niego willę w alei Róż. Mimo iż był odważnym człowiekiem, który nie wahał się wcielać dyrektyw wodza Tysiącletniej Rzeszy za każdą cenę i którego imieniem matki straszły niegrzeczne dzieci od Jugosławii do Czechosłowacji przez Norwegię po Związek Sowiecki, tutaj, w Warszawie, czuł się nieswojo. Po raz pierwszy musiał się ukrywać. On, generał policji, oddany Hitlerowi wyznawca

narodowego socjalizmu tu, w byłej stolicy Polski, nie może nawet używać swojego nazwiska, gdyż bandyci zwący się Armią Krajową wydali na niego wyrok. Wiedział o tym. Abwehra, mimo że wiecznie darła koty z Gestapo, poinformowała go o tym. Gdyby to była jakaś Bratysława albo inny Paryż, nie bałby się chodzić z podniesioną głową jak na oficera przystało. Jednak te szczury, cokolwiek by o nich myśleć, potrafiły się zorganizować, a swoją zaciętością przyprawiały o senne mary i biegunkę wszystkich Niemców. Oprócz niego. Kutschera nie bał się ich, mimo że na terenie byłej Polski Rzesza musiała utrzymywać trzystutysięczny kontyngent wojsk okupacyjnych, by poradzić sobie z wiecznie konspiracyjnymi Polakami. Rozmach, z jakim stworzyli swoją podziemną armię, nawet w nim wzbudzał uznanie. To nie był jakiś tam ruch oporu jak we Francji czy w Holandii. To było całe państwo podziemne ze wszystkimi strukturami i zbrojną siłą strzelającą do jego ludzi na ulicach, dokonującą zamachów i terroryzującą swoich nowych panów. Tylko dlatego więc zdecydował się na tę całą konspiracyjną szopkę. Dekretu o kolejnych rozstrzelanych warszawiakach nie podpisywał swoim nazwiskiem, lecz jedynie funkcją „Dowódca Policji Bezpieczeństwa i SD na Dystrykt Warszawski”, dzięki czemu żaden z Polaków nie wiedział, kim jest ten tajemniczy „dowódca”.

Warszawa, cierń w dupie kierownictwa Rzeszy, odbijała się czkawką wszystkim. Dotychczasowe metody trzymania za mordę niepokornych mieszkańców dawały niezbyt satysfakcjonujące wyniki. Dlatego właśnie jemu gubernator Hans Frank powierzył zadanie rzucenia na kolana tego motłochu. Jako wytyczną przyjął rozporządzenie Franka z dnia 2 października 1943 roku „O zwalczaniu zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie”. W jego myśl mógł orzekać karę śmierci za dowolne uchybienie, przestępstwo czy odstępstwo od normy. Ba, mógł stawiać pod murem nawet za niewinność, byleby tylko zdławić opór.

Bo właśnie o to w tym wszystkim chodziło, o terror dla samego terroru. O strach tak wielki, żeby tym psom do głowy nawet nie przyszło, aby warczeć. I on, niespełna czterdziestoletni generał Hans Kutschera, serwował warszawiakom ten terror na zimno. Egzekucje odbywały się niemal codziennie i niemal codziennie przerażeni mieszkańcy tego podłego miasta witali różniące się na ścianie plakaty z czarnym nagłówkiem „Bekanntmachung”, czyli „Obwieszczenie”, pod którym równym maczkiem jedno pod drugim straszyły nazwiska rozstrzelanych lub powieszonych. Osiągnął sukces. Liczba zamachów na żołnierzy i urzędników niemieckich z jeszcze kilkudziesięciu w październiku spadła gwałtownie do jedynie pięciu w styczniu. Uśmiechnął się zadowolony. Po raz kolejny nie zawiódł. Te warszawskie szczury naprawdę się bały. Kulkę można było dostać za samą obecność na ulicy. Doprowadził do tego, że nikt nie mógł się czuć bezpiecznie, a każde wyjście z domu, nawet do sklepu, mogło okazać się tym ostatnim.

Możemy zrobić wszystko, bo racja jest po naszej stronie. Możemy usunąć każdą przeszkodę w realizacji naszych planów, każdą. Obojętnie, czy będzie nią człowiek, inne państwo czy wrogą naród. Wobec Tysiącletniej Rzeszy wszystko inne to tylko nieistotne klocki, które można przestawiać dowolnie. Już w hinduskiej *Bhagavadgicie* Kryszna uspokajał króla Ardżunę, aby nie bał się tego, co musi zrobić, by osiągnąć cel. „Rzuć się w wir bitwy, ale serce twe niech trwa wśród kwiecia lotosu, u stóp Pana”.

Uśmiechając się do swoich myśli, ponownie poprawił krawat. Nacisnął klamkę drzwi wyjściowych i po chwili szedł już sprężystym krokiem w stronę zaparkowanego przy chodniku służbowego opla admirała o numerze rejestracyjnym SS – 20795. Miał do pokonania króciutką aleję Róż, a potem niespełna sto pięćdziesiąt metrów dzielące jego ulicę od siedziby SS i żandarmerii w Alejach Ujazdowskich. Denerwowało go to, że nawet ten

krótki odcinek musiał przejechać w samochodzie, tak żeby nie narazić się na jakiś desperacki atak tych szaleńców. Mimo wszystkich środków służących zapewnieniu jego osobie bezpieczeństwa oraz kilkakrotnych prób zamachu na niego nie bał się. Strach, jako przejaw słabości, był mu obcy. Odpowiedział na powitanie adiutanta i wszedł do auta. Kiedy samochód ruszył, spojrzał na chodnik, na którym jakaś całkiem ładna dziewczyna zarzucała na ramię biały płaszcz. Popatrzył w jej stronę, a gdy zniknęła z pola widzenia, ziewnął głęboko. Zapowiadał się kolejny nudny dzień.

53



Szła szybkim krokiem w kierunku ulicy Pięknej. Ukryte w torebce dwa pistolety parabellum ciążyły jej nieznośnie. Mimo że przecież brała już udział w akcjach i potyczkach, czuła, jak napięte niczym postronki nerwy powoli, ale skutecznie zaczynają krępować jej ruchy. Tam, na Wołyniu, miała obok siebie towarzyszy z oddziału, na których mogła liczyć. Tutaj zaś przytłaczał ją ogrom miasta, jego zgiełk i anonimowość. Przemykający chodnikami ludzie nie dawali jej poczucia bezpieczeństwa. Sami czujnie rozglądali się we wszystkich kierunkach, gotowi pierchnąć natychmiast w razie jakiegokolwiek zagrożenia.

Przed chwilą opuściła mieszkanie przy ulicy Mokotowskiej 59, w którym odbywała się odprawa przed akcją. Swieta dopiero niedawno dowiedziała się, kto jest obiektem zamachu. Nie знаła nazwiska Kutschera, ale doskonale wiedziała, czym jest terror, jaki zafundował mieszkańcom okupowanej

stolicy ten człowiek. Warszawskie ulice od pięciu lat nie były bezpiecznym miejscem. Jednak dopiero od czasu przybycia Franza Kutschery jawiły się wszystkim niczym rwąca rzeka, gotowe porwać i wciągnąć w wartki nurt każdego, kto znalazł się w ich zasięgu. Na odprawie nie zadawała zbędnych pytań. Wyznaczono jej proste z pozoru zadanie. Miała pobrać broń, schować ją do torebki i dostarczyć kierowcy jednego z samochodów na miejsce akcji, na ulicę Piusa XI. Odbiorcę przesyłki, „Misia”, poznała jeszcze wczoraj. Kapitan Pług, jeśli nawet żywił wobec niej jakiegokolwiek wątpliwości, nie dał tego po sobie poznać. Krótkie, rzeczowe rozkazy pojęła w lot. Nie przejmowała się tym, że każdy patrzy na nią z lekkim dystansem. Nie pierwszy to już raz stawała przed ludźmi, dla których była zupełnie obcą osobą, a na której musieli polegać. Nie potrzebowała wkupiać się w ich łaski żadnymi uśmiechami albo uniżoną postawą. Znała swą wartość i wiedziała, że nie nawali. A wtedy sami się do niej przekonają.

Stukot jej pantofli na niewysokim obcasie niczym metronom narzucał tempo marszu. Czuła gęsią skórę na całym ciele, a dłonie pociły się, choć chłód zamieniał oddech w obłoczki pary. Mimo że w jej torebce spoczywały dwa pistolety owinięte w papier, była bezbronna. Byłe żandarm mógł w szybki sposób zakończyć jej karierę konspiratorki, a ona nawet nie miałaby szansy się przeciwstawić. Czuła się jak cel na strzelnicy odpustowej. Wrażenie, że wszyscy się na nią gapią, też nie dodawało jej otuchy.

Gdy do celu pozostało już mniej niż dwieście metrów, jej uwagę zwrócił patrol uzbrojonych w karabiny żołnierzy idący w jej kierunku. Czuła, jak z każdym krokiem żołądek wędruje jej coraz wyżej, aż do samego gardła. Gdy stukający podkutymi buciorami Niemcy zbliżyli się na odległość dziesięciu metrów, poczuła, że zżera ją panika. Serce waliło niczym oszalałe, sprawiając, że jej twarz płonęła żywym ogniem. Miała pewność, że ją zatrzymają, sprawdzą zawartość torebki i zaciągną do pobliskiej siedziby

Gestapo na Szucha. A wtedy na biciu do nieprzytomności na pewno się nie skończy. Chciała odwrócić się i uciec, jednak ostatnim wysiłkiem woli zmusiła buntujące się nogi do kontynuowania marszu. Niemcy rzeczywiście przypatrywali się jej dość intensywnie. Gdy ich mijała, usłyszała, jak śmieją się do siebie oraz do niej, a do jej uszu doleciało słowo „Schönheit”.

Gdy patrol minął ją bez żadnych kłopotów,omal nie osunęła się na ziemię.

„To chyba cud” – przemknęło jej przez głowę. Skrzyła w lewo w ulicę Piusa XI i po kilkudziesięciu metrach zauważyła bryłę samochodu, w którym za kierownicą w naciągniętej na oczy kaszkietówce siedział Miś.

– Dzięki. – Skinął głową, gdy podała mu zawiniątko z pistoletami.

– Ne ma za szczo – odpowiedziała pospiesznie, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że Miś otworzył usta ze zdziwienia, słysząc ukraiński język.

Zadanie było wykonane. Zawróciła w kierunku Alei Ujazdowskich. Z daleka zobaczyła Hucuła w towarzystwie dowódcy akcji, Bronka Pietraszewicza „Lota”. Gdy podeszła do nich, Kuba wziął ją pod rękę i pochylił się w jej kierunku, całując ją w policzek na powitanie. Lot uklonił się jej i uśmiechnął się. Zdała egzamin. Za sobą usłyszała warkot silnika. To Miś podjechał swoim adlerem na pozycję wyjściową do skrzyżowania z Alejami. Hucuł pociągnął ją za sobą. Oni już odegrali swoją rolę i mogli się oddalić. Odeszli kawałek w kierunku ulicy Matejki. Jednak po przejściu pięćdziesięciu metrów Kuba zatrzymał się.

– Miałem ci tego nie mówić, ale nie dam rady trzymać języka za zębami. Ustaliliśmy z Piotrem, że dowiesz się dopiero, gdy będziesz bezpieczna.

Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Obróć się delikatnie i popatrz w to miejsce, gdzie stałem z Lotem.

Zrobiła to, o co prosił. Spojrzała za siebie. O tej porze w Alejach Ujazdowskich panował względny spokój. Zobaczyła kilku przechodniów tu

i tam, jakąś kobietę z wózkiem przechodzącą przez jezdnię oraz grupkę oficerów niemieckich rozmawiających o czymś z ożywieniem. Dostrzegła również dwóch mężczyzn stojących na zbiegu ulic Szopena i Alei Ujazdowskich. Jednym z nich był Lot. Drugim zaś...

– Piotr...

Zacisnęła ze złością usta.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej, że Piotr też bierze udział w akcji? Dlaczego on mi nie powiedział?! – Jej dźwięczny głos przyciągnął uwagę kilku przechodniów.

– Uspokój się! – Hucuł uśmiechnął się do wpatrujących się w nich ludzi, cedząc słowa uprzejmie, lecz stanowczo. – Nie mogłem, nie mogliśmy... To twoje pierwsze zadanie i musiałaś się skupić na nim, a nie na – zauważył pytające skinienie głowy stojącego w oddali przyjaciela – ... tym baranie gapiącym się teraz na nas.

Swieta poczuła, jak Kuba chwyta ją za ramię i przytrzymuje mocno. Gdyby nie to, pewnie wyrwałaby się i wbrew rozsądkowi pobiegłaby z powrotem. Gorąco uderzyło jej do głowy. Teraz, gdy strach o Piotra ścisnął ją za gardło, zrozumiała, że Kuba ma rację. Zadanie to zadanie, nie ma miejsca na emocje, które mogłyby przeszkodzić w jego wykonaniu. Tyle że... Dopiero go odnalazła. Przedwczorajsza noc, gdy stanął w jej progu, była najszczęśliwszą w jej życiu. Od tamtej chwili nie widziała go już więcej. Dlatego teraz, wbrew rozsądkowi, miała ochotę krzyknąć, zawołać go, dać mu znak, że jest tutaj, że go widzi. Zamiast tego stała jak sparaliżowana. Chłoneła jego postać, wpatrywała się w każdy szczegół sylwetki.

– Wyrósł i zmężniał Lach proklatyj – szepnęła, zasłaniając dłonią szeroki uśmiech. Chciało jej się śmiać w głos. Ktoś, kto przypatrywałby się jej z boku, pomyślałby pewnie, że zwariowała ze szczęścia. Tak właśnie patrzył na nią Hucuł. I dokładnie tak myślał, że zwariowała.

– Teraz nie możesz podejść. – Trzymał ją dalej mocno pod ramię. – Spotkasz się z nim po akcji.

Kiwała głową, potakując, choć serce mówiło jej coś zupełnie przeciwnego. W tej krótkiej chwili była najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, które jakby na zamówienie skąpało Aleje Ujazdowskie deszczem promieni.

Nie widziała, jak kolejne obserwatorki przekazują znak, że samochód Kutschery ruszył spod willi w kierunku siedziby SS. Zupełnie nie dostrzegła Lota ściągniętego czapkę, by na ten znak Miś ruszył samochodem i zatrzymał pojazd kata Warszawy. Widziała tylko Piotra, który spokojnym ruchem sięgnął pod połę płaszcza, chwytając za broń. Gdy padły pierwsze strzały, a Broniek dopadł do opla admirała i otworzył ogień ze swojego MP 40, dziurawiąc Kutschere jak zardzewiały garnek, dotarło do niej, że machina została puszczona w ruch. Hucuł trzymał ją mocno, próbując odciągnąć w bok tak, by swoim intensywnym wpatrywaniem się nie zwróciła na nich uwagi. A ona odprowadzała wzrokiem Lacha, który z odbezpieczonym stenem zajął pozycję przy Parku Ujazdowskim i krótkimi seriami kosił po oknach budynku policji. Nic nie trwa wiecznie, akcja również dobiegała końca. Postrzelony przez Niemców Lot osunął się już na chodnik. Biegący w kierunku alei Szucha Miś trzymał się za zakrwawioną głowę i tylko przytomności umysłu Juna, który krzykiem zawrócił go w kierunku samochodu, zawdzięczał to, że nie wlaźł wprost na hitlerowców wybiegających z siedziby Gestapo na ulicy Szucha. Nie widziała ciała SS-Brigadeführera i Generalmajora der Polizei w jednej osobie, które zakrwawione leżało przy samochodzie. Nie to było w tej chwili ważne.

Dostrzegła za to doskonale coś innego. Zobaczyła, jak kula z pistoletu wystrzelona przez jakiegoś niemieckiego oficera trafia Piotra w piersi, rzucając go na kolana. Dwie następne szarpią jego ciałem, powalając je na

ziemię. Nie słyszała nic, nawet swojego krzyku, który zdławiony dłonią Hucuła kotłował się jej w gardle. Była sanitariuszką i wiedziała, co oznaczają trzy kule trafiające w piersi. Nie miała wątpliwości. Czuła jedynie, że jej towarzysz ciągnie ją z całej siły do jakiejś bramy, zakrywając jej usta ręką. Zanim zamknęły się za nimi drzwi, zdążyła jeszcze zauważyć, jak dwóch chłopaków wciąga ciało Piotra do samochodu, po czym osunęła się na kolana. Krzyczała na cały głos tym rodzajem krzyku, który rozrywa bębni w uszach i zdiera gardło do krwi, choć brzmi jedynie w głowie. Nie zwracała uwagi na łzy płynące obficie spod spuchniętych powiek. Kuba tulił ją do siebie, a ona powoli pogrążała się w tej obrzydliwie zimnej otchłani, która już raz uwięziła ją żelaznymi kleszczami po tym, jak banda sowieckich żołdatów zrobiła sobie z niej materac w lesie pod Małykami. Warszawa i wszystko to, co działo się na jej ulicach, powoli odpływało w niebyt. Obojętne było jej nawet, że umilkły już wystrzały. Nic już nie było ważne. Minuty szczęścia, którymi cieszyła się jeszcze przed momentem, w ciągu kilkunastu sekund obróciły się w popiół, jak gdyby podły los za wszelką cenę chciał z niej zadrwić. Udało mu się.

Gdy Hucul zabrał dłoń z jej ust, wyszeptala jedynie przez łzy:

– Do diabła z wami i z waszą wojną...

Brzęk upadającego na ziemię małego srebrnego krzyżyka utonął w szalejącym za bramą jazgocie.

Londyn 2013

³ Comment se fait-il que Hitler n'a pas tous vous tue? (fr.) – Jak to jest, że Hitler nie zabił was wszystkich?

⁴ Nous vaincrons parce que nous sommes plus fortes! (fr.) – Zwycięzimy, ponieważ jesteśmy silniejsi!

- 5 Touch the devil and you can't let go (ang.) – Dotknij diabła, a już się nie wymkniesz.
- 6 Sparkle (ang.) – Iskierka.
- 7 Special Operations Executive (ang.) – Kierownictwo Operacji Specjalnych.
- 8 Sonet w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.
- 9 Almost! But not this time! (ang.) – Prawie! Ale nie tym razem!
- 10 Komandyr (ukr.) – dowódca.
- 11 Pegaz (Przeciw-Gestapo) – kryptonim oddziału dywersji bojowej Kedywu Komendy Głównej AK, do stycznia 1944 roku Agat (Anty-Gestapo).
- 12 NSZ – Narodowe Siły Zbrojne. Trzecia co do liczebności po Armii Krajowej i Batalionach Chłopskich podziemna organizacja wojskowa, zbrojne ramię obozu narodowego.

Posłowie



Moja fascynacja Kresami pojawiła się dość późno. Wprawdzie w rodzinnym domu często słyszałem opowieści o czasach, gdy Galicja Wschodnia, Wołyń, Podole i Wileńszczyzna leżały w granicach Rzeczypospolitej, jednak nie przywiązywałem do nich zbyt dużej wagi. Dopiero kilka lat temu zacząłem świadomie odkrywać związki ze światem, który moi nieżyjący już rodzice musieli opuścić tuż po wojnie. Od najmłodszych lat na pytanie, gdzie urodziła się mama, odpowiadałem bez zająknięcia: w Rychcicach. Potrafiłem też bezbłędnie wskazać na mapie tę wieś leżącą na północ od Drohobycza. Natomiast w dowodzie osobistym mojego taty w rubryce „miejsce urodzenia” czarnym atramentem wykaligrafowano: „Wilno, ZSRR”. Owo „ZSRR” ojciec wydrapał żyłką, własnoręcznie wpisując w to miejsce „Litwa”, jeszcze zanim radzieckie czołgi opuściły granice Rzeczypospolitej Polskiej. Litwa była dla ojca tym samym, czym była dla Piłsudskiego – arcypolskim kawałkiem naszej Ojczyzny. Nie mogły więc Kresy nie wykiełkować w moim sercu. Jestem przecież ich dzieckiem, urodzonym na Ziemiach Odzyskanych. Więc kiedy po raz pierwszy odwiedziłem rodzinne strony mojej mamy, zatraciłem się w nich zupełnie.

Dlatego w mojej pierwszej powieści nie mogło zabraknąć tego świata, do którego wielu Polaków wciąż wzdycha z nostalgią. Malowałem zatem ten obraz Kresów farbami, które rozrabiali w mojej głowie ojciec, mama,

a potem jej starsza siostra, moja ukochana ciocia Aniela. To właśnie z ich opowieści czerpałem inspirację do napisania tej książki.

Czas tęsknoty nie jest podręcznikiem historii, jest powieścią historyczną. Zatem nie wszystko, o czym przeczytałeś, drogi Czytelniku, wydarzyło się naprawdę. Jednak opowieść o Piotrze i Swiecie osadzona została w konkretnej historycznej rzeczywistości. Obok fikcyjnych głównych bohaterów pojawiają się autentyczne postaci, takie jak: generał Stefan Rowecki, generał Sosabowski czy choćby dowódca Batalionu „Parasol”, podpułkownik Adam Borys „Pług”. Jednak już sir Brian White, właściciel stoczni „J. Samuel White”, nigdy nie istniał, choć sama stocznia w rzeczywistości należała do braci o nazwisku White.

Nie istnieją również Bedryczany, malownicza wioska na północ od Drohobycza. Wzorowałem ją na Rychcicach leżących dokładnie w opisywanym przeze mnie miejscu, w których w 1942 roku urodziła się moja mama.

Skąd pomysł, aby posłużyć się fikcyjnymi nazwami miejsc topograficznych? Moim celem było opisanie trudnej relacji pomiędzy dwojgiem młodych ludzi: Polakiem z Warszawy i Ukrainką z rodziny zaangażowanej w działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. W związku z tym, iż temat relacji polsko-ukraińskich przed wojną i w trakcie jej trwania wywołuje potężne emocje, szczególnie w kontekście rzezi wołyńskiej, chciałem obejść się z nim ostrożnie. Stąd też pomysł, aby nie umieszczać akcji powieści w konkretnych miejscowościach dotkniętych OUN-owskim ludobójstwem. Nie chciałem, aby ludzie wciąż głęboko przeżywający tamte tragiczne wydarzenia, słysząc znajomo brzmiące nazwy geograficzne, czuli się dotknięci zupełnie innym opisem wydarzeń niż ten, który znają z własnych przeżyć bądź opowieści. Opisy masakr dokonanych przez Ukraińską Powstańczą Armię wspomaganą niejednokrotnie przez

zwykłych Ukraińców, zładziłem tak bardzo, jak było to możliwe, a wciąż pozostają szokujące. Mimo że jest to powieść, a nie raport prokuratorski z miejsca zbrodni, to jednak sposoby przeprowadzania masakr są jak najbardziej autentyczne.

Trzeba też głośno powiedzieć o tym, że wielu Polaków zostało uratowanych z pogromów przez swych ukraińskich sąsiadów, którzy w ten sposób sami narażali życie. Dlatego w mojej książce nie zabrakło takich postaci jak kościelny Witalij czy Łuczenko pomagający przechować uciekinierki z Bedryczan.

Przy gromadzeniu danych o świecie przedstawionym w powieści korzystałem z kilku książek, które okazały się niezwykle pomocne. Chciałbym wymienić w tym miejscu tytuły kilku z nich: S. Jankowski „Agaton”, *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie. Wspomnienia 1939–1946*, L. Rees, *World War II. Behind Closed Doors. Stalin, the Nazis and the West*, G. Motyka, *Od rzezi wołyńskiej do akcji Wisła. Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947*, W. Siemaszko, E. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945*, K. Śledziński, *Cichociemni. Elita polskiej dywersji*, P. Witkowski, *Spadochroniarze Sosabowskiego*.

Z pewnością ktoś, kto czuje się specjalistą od II wojny światowej, a w szczególności od tematu cichociemnych, może mi zarzucić powierzchowność lub naginanie faktów, aby służyły mojej sprawie. I tak dokładnie jest, bo dla pisarza fakty historyczne mają za zadanie stworzyć tło, na którym nakreślił losy bohaterów. Ale jeśli po przeczytaniu książki poczujecie, że chcielibyście wiedzieć więcej na temat kampanii wrześniowej, rzezi wołyńskiej, historii Samodzielnej Brygady Spadochronowej, cichociemnych czy zamachu na Kutschere, to mogę się tylko cieszyć, bo oprócz dostarczenia Wam, Drodzy Czytelnicy, rozrywki, chciałem zarazić

Was historią i Kresami.

Copyright © by Adrian Grzegorzewski

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

www.panczakiewicz.pl

Fotografie na pierwszej stronie okładki

Copyright © David M. Schrader/Shutterstock.com

Copyright © Maxim Khytra/Shutterstock.com

Copyright © conrado/Shutterstock.com

Opieka redakcyjna

Julita Cisowska

Aleksandra Kamińska

Artur Wiśniewski

ISBN 978-83-240-2551-0

Między Słowami

30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

E-mail: promocja@miedzy.slowami.pl

Wydanie I, Kraków 2014

znak

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak Sp. z o.o.

30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569)

Plik opracował i przygotował Woblink

